

Brudnik przebojem wpisuje się w styl mistrzów gatunku.
Mroczny klimat, dynamiczny montaż, zawrotne tempo.
Satisfakcja gwarantowana!
VINCENT V. SEVERSKI

MROCNY
THRILLER
W SKANDYNAWSKIM
STYLU

FRA CHT

GRZEGORZ BRUDNIK
FILIA

GRZEGORZ BRUDNIK

**FRA
CHT**

FILIA

Copyright © by Grzegorz Brudnik, 2018
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2018

Wydanie I, Poznań 2018

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © plainpicture/Jean Marmeisse

Redakcja: Jacek Ring
Korekta: Dorota Wojciechowska
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-570-3

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

*Tacie. Za stateczność, pływerność
i dobrze zaprojektowane metacentrum.*

PROLOG

– Ciii. Cichutko, maleńka – rzekł, starając się, by jego głos brzmiał jak najdelikatniej. – Cichutko, bo znów będę cię musiał uderzyć.

Ucichła więc. Spod brudnego knebla usłyszał jeszcze kilka zdławionych jęków, ale nie był już na nią zły. Trudno oddychać ze szmatą w ustach. Nie był zadowolony z tego, że musiał ją uderzyć. I związać. Ale cóż mógł innego zrobić, skoro wpadła w szal? Przecież to wszystko dla jej dobra. Czy ona naprawdę tego nie rozumie?

Brzdęk.

Jakże klasycznie, pomyślał. Zupełnie jak w filmach. Łopata uderza o kamień. To jest właśnie ten moment, kiedy można jeszcze zrezygnować. To jest to zdarzenie, które wytrąca z rytmu. Gdy człowiek działa już mechanicznie. Poniżej progu świadomości. Brzdęk. *Witamy ponownie wśród istot myślących. Może więc jeszcze zastanowisz się nad swoim postępowaniem? Hej, przecież nikomu nie musi się stać krzywda.*

Odegnął te myśli. Czubkiem łopaty wykopał zalegający w ziemi kamień i odrzucił go do tyłu. Bardzo daleko. Był silny. Dziadek mawiał, że silny jak lew. W afrykańskiej wiosce, w której się wychował, niejeden oddałby dwa palce, by mówiono o nim „silny jak lew”.

Uderzenie pioruna. Gdzieś niepokojąco blisko. Czarny olbrzym się wzdrygnął. Akurat w tym jednym zgadzali się ze sobą jego afrykańscy bracia i europejskie diabły. W czasie burzy w lesie jest niebezpiecznie.

W lesie. Dobre sobie. Lasy to są u nas. Pełne roślinności. Pełne zwierzyny. I pełne przygód. Nie to, co tu. Kilka tysięcy drzew, w dodatku w granicach administracyjnych półmilionowego miasta. Ale uczciwie musiał przyznać, że takiej mgły, jak tutaj, jeszcze w życiu nie widział. A przecież, na wszystkie demony,

wychował się dokładnie na pograniczu strefy lasów deszczowych i mglistych. Niepojęte.

Grób był niemal gotowy. Już wystarczająco długi, ale trochę za płytki. Jeszcze odrobina wysiłku. Otarł czoło. Był cały mokry. Dziwne uczucie. Nie znał go dotąd. W Afryce tego nie doświadczał. Tam jest zupełnie inna wilgotność. No, trudno. Wziął zamach i wbił łopatę w ziemię.

I wtedy to usłyszał. Bardzo blisko i bardzo wyraźnie. Silnik. Za chwilę gęste mleko rozświetliło się na żółto. W oddali leśną przecinkę szturmowała terenówka. Pewnie leśniczy czy jak go tam zwą w tym zapomnianym przez Obatalę kraju. *Nie ma powodu do obaw. Z tej odległości i w tej mgle z pewnością nas nie zobaczy.*

Dziewczyna też to rozumiała. Po jej policzku spłynęła kolejna łza. *Czy to możliwe, by ratunek był tak blisko i tak daleko zarazem?*

Uśmiechnął się do niej, a potem ponownie zaczął kopać. I wtedy spadł deszcz. Ciężki i nieprzyjemny. Zupełnie inny niż ożywcze, przepełnione świeżością i zapachami deszcze na jego rodzinnym równiku. Przyspieszył pracę. Ciemność stała się jeszcze ciemniejsza, a chłód jeszcze chłodniejszy. Woda zalewała mu oczy, pracował więc po omacku. Metodycznie wybierał łopatą ziemię, raz za razem.

Błysnęło. Wzdrygnął się w oczekiwaniu na grzmot. Ten nastąpił trzy sekundy później. Rozległ się bardzo blisko. Niemal tuż obok. Dziewczyna musiała być przerażona. Przecież dziewczyny boją się byle czego. Odruchowo spojrział w jej kierunku akurat w chwili, gdy kolejna błyskawica przecięła niebo.

Ujrzał pustkę. Nie było jej tam.

Wyskoczył z grobu i usłyszał ją niemal natychmiast. Biegiem oddalała się od niego.

Dlaczego nie związałem jej nóg?

Potrafił słuchać lasu. Namierzył ją błyskawicznie, a dopadł chwilę potem. Nie było to trudne, bo z rękami związanymi za plecami nie utrzymała równowagi.

- Djembe... Proszę... - załkała, gdy nad nią stanął. Najwyraźniej

udało jej się wypluć knebel. – Nie rób tego.

– Muszę, kochanie. Wiesz o tym – odrzekł spokojnie.

– Nie bij mnie już.

– Muszę – odparł i uderzył ją łopata w głowę. Niezbyt mocno. Chciał, by straciła przytomność, i zamysł swój osiągnął. Przerzucił ją sobie przez ramię i zaniósł z powrotem.

Ocknęła się, gdy rozcinał jej więzy. Bardziej to poczuła, niż zobaczyła. Krew ciekąca z rany na czole zalała jej oczy.

– Djembe... – szepnęła.

– Jestem tu.

– Czy to już?

– Tak.

– Boję się.

– To potrwa tylko chwilę. Wstań.

W jego głosie nie było groźby. Raczej prośba. Przez moment łudziła się, że może zmięknąć. Może odpuści. Ale on wyjął zza pasa pistolet. Walthera P99 kupionego bez większych problemów na jednym z gdańskich ryneczków. Takich, co to można na nich znaleźć wszystko, pod warunkiem że się odpowiednio poszuka.

– Rozbierz się – rzekł powoli Djembe, celując w jej głowę.

– Djembe...

– Rozbieraj się! – krzyknął i zrezygnowana dziewczyna drżącymi rękami zaczęła rozpinać guziki. Powoli i niezgrabnie, ale nie poganiał jej. Po prostu patrzył.

Bluzka upadła u jego stóp. Kiwnął pistoletem, by kontynuowała. Dziewczyna zdjęła dżinsy. Potem bieliznę. Stała teraz przed nim zupełnie naga. Nie bardzo wiedziała, czy zasłaniać przed jego wzrokiem piersi, czy łono. Starła się jedno i drugie. Z mizernym skutkiem. Ale on nie zwracał na to uwagi. Zaskoczyło ją, gdy ściągnął koszulę. Później spodnie. Po chwili stanął nagi i pomyślała, że jeszcze zechce ją zgwałcić. Ta myśl wzbudziła w niej paniczny strach, choć przecież dwa dni temu sama rozłożyłaby przed nim nogi. Był przystojny i świetnie zbudowany. No a te plotki o murzyńskim przyrodzeniu...

Plotki, jak to plotki, okazały się mało prawdziwe. Nie zdążyła jednak odczuć rozczarowania, bo z leżącego na ziemi plecaka

Djembe wyciągnął niewielki kanister.

– Naprawdę musisz to robić? – wykrztusiła z trudem.

– Przecież wiesz. Już o tym rozmawialiśmy – powtórzył, polewając stos ubrań benzyną. Zrobił to bardzo dokładnie. Bał się, że deszcz zgasi płomień. W końcu cisnął ubrania do grobu, a w ślad za nim rozpaloną zapałkę sztormową. Doskonały wynalazek. Nigdy nie gasła.

Ogień skoczył w górę, a Djembe wylał do grobu resztkę benzyny.

– Teraz trzeba się śpieszyć – rzekł, odwracając się w stronę dziewczyny.

– Djembe, błagam cię. Nie rób tego.

– Każdy robi to, co do niego należy. Ale nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Uniósł pistolet. Wziął wdech.

– Djembe! Błagam! – krzyknęła, a jej ciałem targnęły spazmy.

– Nie utrudniaj – poprosił.

Upadła na kolana. Jej twarz była mokra od deszczu i łez.

– Dlaczego mi to robisz? – załkała.

– Żegnaj – odparł tylko i nacisnął spust.

Ponad lasem uniósł się huk wystrzału. Huk, który każdy usłyszy. Ale nikt nie zwróci na niego uwagi. Djembe tego nie planował. Burza go zaskoczyła. Pomyślał jednak, że to się dobrze składa. Cholernie dobrze...

Jego martwe ciało runęło do grobu, wzbijając chmurę rozedrganych iskier. Płomienie pochwyciły go w swoje ramiona, a ona na czworakach podpełzła do dziury. I zrobiła dokładnie to, o co ją poprosił. Odczekała chwilę, aż ciało się zwęgli, a potem zasypała grób.

ROZDZIAŁ 1

Kierowca czarnej opancerzonej limuzyny znalazł się na swojej robocie, a dodatkowo bardzo chciał zdążyć na mecz. Od dziesięciu lat nie opuścił ani jednego domowego spotkania göteborgskiej Frölundy i dziś też nie zamierzał. Dlatego nie oszczędzał trzyletniego mercedesa E-Guard i droga do Skeppstadsholmen zajęła mu siedemnaście minut, o całe cztery krócej niż zwykle. Dokładnie dwadzieścia sześć minut po szóstej wieczorem zatrzymał się przed czarną, masywną bramą, odgradzającą od świata willę admirała Yngve Bergmana. Wcisnął guzik na pilocie i gdy pomarańczowa lampka rozświetliła okolicę, a cichy szum zasignalizował, że brama ruszyła, nerwowo spojrzął na zegarek. Pozostały trzydzieści trzy minuty. Od areny Scandinavium dzieliło go dwadzieścia jeden kilometrów. Jeśli się pospieszy, powinien dotrzeć tam tuż przed pierwszą tercją.

Minęła wieczność, nim wrota się w końcu rozwarły. Kierowca ruszył nieco zbyt gwałtownie i wjechał na teren posesji. Kiedy dojeżdżał do pierwszego wewnętrznego ronda, kątem oka spostrzegł w lusterku, że brama się zamyka. Niech to szlag, kolejna strata czasu.

– Wjedź do garażu, dobrze? Strasznie wieje – odezwał się admirał, a z tonu jego głosu jednoznacznie wynikało, że nie jest to prośba.

– Jasne, proszę pana – odparł kierowca.

Na drugim wewnętrznym rondzie, tym stanowiącym główny dziedziniec przed wielką willą, a właściwie niewielkim pałacykiem, skręcił w prawo. Objechał budynek i skierował się do czwartego garażu od lewej. Od miesiąca przyjeżdżał tu dwa razy dziennie i doskonale wiedział, że w pierwszym garażu stoi czarne bmw 6 admirała, w drugim czarne audi Q7 jego małżonki, a w trzecim porsche cayman, z którego korzystali oboje. Oczywiście czarne. *Ciekawe po co temu staremu sknerze tyle*

samochodów, skoro od dawna i tak jeździ tylko służbowym?

Fotokomórka wysłała impuls do siłownika, a ten uniósł bramę.

Kierowca wjechał do środka i zatrzymał mercedesa. Chciał wysiąść, by otworzyć drzwi żonie Bergmana, ta jednak nie zamierzała czekać i opuściła auto, zanim zdążył odpiąć pas.

– Możesz już jechać – rzekł admirał, wysiadając z drugiej strony.
– Frölanda gra o dziewiętnastą, tak?

– Tak, proszę pana. Z Leksands.

– Przyjedź jutro o dziesiątej rano. Zamierzam trochę pospać.

– Dobrze, proszę pana.

Kierowca odjechał. Admirał Bergman wyszedł z garażu. Silny wiatr natychmiast osadził go w miejscu. Jego marynarski nos podpowiadał, że zbliża się coś więcej niż tylko zwykły zimowy orkan. Spojrzał na gęste drzewa otaczające posesję. Ich bezlistne korony tańczyły na wietrze, ale grube, zdrowe pnie nie miały prawa nie wytrzymać.

I wtedy rozległa się syrena alarmowa. Admirał znieruchomiał. Trwał tak przez krótką chwilę, nasłuchując odgłosów z wnętrza domu.

– Do diabła, Yngve! – krzyknęła Almira, a admirał westchnął. Wszedł do garażu i wcisnął guzik pilota. Brama opadła bezszelestnie, a on skierował się ku drzwiom prowadzącym do domu. Kiedy podszedł bliżej, ujrzał Almirę mocującą się z zamkiem szyfowym.

– Do cholery, mam już tego dosyć – krzyknęła Almira. – Mam dosyć tego cholernego domu i tej twojej cholernej obsesji!

– Uspokój się, kochanie. Wiesz dobrze, że...

– Nie chcę tego słuchać. Otwórz w końcu te drzwi.

Yngve znowu westchnął i bezwiednie wprowadził kod. Drzwi otworzyły się i Almira weszła do środka, nie oglądając się za siebie. Drażniła go jej złość. I to, że nic nie rozumiała. Nie rozumiała, dlaczego musieli zrezygnować z eleganckiego apartamentu w Lilla Bommen i przenieść się na to zadupie. Nie rozumiała, po co opancerzone auto, budka strażnicza w ogrodzie, dziesiątki kamer i codzienne zmiany kodów do wszystkich drzwi. Nie rozumiała, że to, kim był, mogło ściągnąć na nich wielkie

niebezpieczeństwo. No trudno. Właściwie i tak miał to gdzieś. To małżeństwo od lat było fikcją. Dawniej się jeszcze tym przejmował, ale przestał, kiedy pojawiła się Monica. O dwadzieścia lat młodszy od niego blond aniołek.

Zabrzęczała komórka. Yngve odebrał i rzucił kilka uspokajających słów ochroniarzowi. A w zasadzie wycedził, że szafy Ikei są najlepsze na świecie. Takie w tym tygodniu było hasło. System działał. Uruchomienie alarmu powodowało natychmiastową reakcję grupy operacyjnej, którą odwołać mogło jedynie poprawnie wypowiedziane hasło. Na wypadek gdyby nieproszony gość zmusił Yngvego do powiedzenia ochrone, że wszystko jest w porządku.

Ale tak naprawdę nie wszystko było w porządku. Almira nie miała zamiaru czekać na swojego męża. Być może utonęła już w pościeli albo poszła do łazienki. Yngve natomiast bezwiednie skierował kroki do gabinetu. Wstukał kolejny kod do elektronicznego zamka, drzwi lekko odskoczyły i admirał wszedł do środka. W gabinecie panował półmrok, ale nie zapalił światła. Pstryknął wyłącznik niewielkiej lampki stojącej na mahoniowym biurku. Ledowa żarówka potrzebowała chwili, by nabrać mocy. Usiadł w swoim ukochanym skórzanym fotelu za dwadzieścia pięć tysięcy koron. Postukał palcami w blat biurka, patrząc w nieokreślony punkt na ścianie. Wahał się. W końcu jednak nabrał odwagi i sięgnął ku szufladzie. Wysunął ją i wyjął list. Wyciągnął z koperty białą kartkę i siląc się na obojętność, przesunął wzrokiem po czarnych literach. Nie było ich dużo.

MÓJ SYN TEŻ TAM BYŁ. ZABIJĘ CIĘ.

Dostawał podobne rzeczy już wcześniej. Jeśli robisz karierę w wojsku i w dodatku jesteś charyzmatyczny, masz wielu wrogów. Masz również wielu przyjaciół, a to jeszcze gorsze.

Ale ta groźba była inna. Nie chodziło o dwa ostatnie słowa. One nie robiły na Yngvem wrażenia. Zwłaszcza dziś. Ale początek wiadomości go zmroził. Ktoś się dowiedział o tym, o czym nikt nie miał prawa wiedzieć. Zastanawiał się, czy powinien o tym poinformować kogo trzeba, ale uznał, że nie. Teraz ma stanowczo za wiele do stracenia. Trzeba się z tego gówna wyplątać. Tylko

jak? Z takimi ludźmi nie można się po prostu rozstać.

Drgnął, kiedy zadzwonił telefon na biurku. Stary, przedwojenny aparat o bardzo nieprzyjemnym i wyjątkowo głośnym dzwonku. Odruchowo chwycił słuchawkę i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że o tej porze nikt nie powinien tu dzwonić.

– Serdecznie gratuluję, admirale. – Rozmówca nie czekał, aż Yngve się przywita. – Jak rozumiem, właśnie wróciłeś z balu na swoją cześć. Czyli awans jest już oficjalny?

– Zakazałem ci tu dzwonić – syknął Yngve. – Rozłączam się.

– A cóż miałem zrobić, skoro specjalnie nie odbierasz komórki? A może olewasz tylko telefony ode mnie? Bardzo nieładnie. Nie podoba mi się to.

Yngve wziął głęboki oddech. Czas na drugą rundę. Pierwszą rozpoczął kilka tygodni temu. Ale przegrał.

– Mieliśmy umowę. – Starał się, by jego głos brzmiał groźnie, ale jednocześnie nie chciał, by Almira go usłyszała. Cholera wie, co temu babsku strzeli do głowy. A jeśli właśnie idzie, by mu powiedzieć, że suszarka do włosów nie działa? Szepnął więc najgroźniej, jak umiał, chociaż efekt nie zwał z nóg: – Mieliśmy umowę. Ostatni raz. Ten ostatni raz już minął. Mam teraz za dużo do stracenia.

– O tak – zaśmiał się rozmówca – masz naprawdę dużo do stracenia. Cholernie dużo.

– Czy to groźba?

– Owszem. Groźba. Grozę ci.

– Nie. To ja grozę tobie. Role się odwróciły. W każdej chwili mogę wysłać ekipę najlepszych szwedzkich zabójców, którzy sprawią, że zniknie po tobie wszelki ślad. Acz nie od razu i nie szybko.

– Imponujące. – Rozmówca admirała wybuchnął niepokojąco szczerym śmiechem. – Myślisz, że zdążą tu dotrzeć w trzy minuty? Bo mniej więcej tyle zajmie mi wyszukanie w Internecie numeru do „Svenska Dagbladet”. Tabloidy oszaleją ze szczęścia, jeśli im powiem, że nowy szwedzki admirał...

– Ta gra już się rozpoczęła – odparł Yngve lodowatym głosem. – Potrzebujesz mnie, więc nigdzie nie zadzwonisz, bo liczysz, że się

przestraszę i ci pomogę. A ja wykorzystam pierwszą okazję, by cię dopaść. Od teraz oglądaj się za siebie.

– Po co te nerwy, admirał? – rzekł pojednawczo rozmówca. – Nie miałem zamiaru cię oszukiwać. Ostatni transport naprawdę miał być ostatnim. Ale nie był. Trzeba wykonać jeszcze jeden. Wszystko już załatwione. Ty musisz jedynie zrobić to, co zwykle. Zabezpieczyć odbiór i przesłać do bazy. Tym razem naprawdę ostatni raz. Jutro rano.

– Nie wierzę ci. I nie chcę już tego robić.

– O, czyżby wątpliwości natury moralnej? Pojawiają się wraz z kolejnym stopniem oficerskim czy raczej z wiekiem? Zresztą nieważne. Towar jest już załadowany. Albo go jutro odbierzesz, albo...

– Albo co? – warknął Yngve. – Siedzisz w tym gównie tak samo jak ja. I też masz sporo do stracenia. A ja z przyjemnością cię wydam. O ile jeszcze będziesz żył.

– Dość tych przepychanek. Potrzebuję jasnej deklaracji. Teraz.

– Zastanowię się – rzekł Yngve i uderzył słuchawką o widełki. Trochę za mocno. Delikatna metalowa zawieszka ułamała się i upadła na biurko.

Kurwa mać. Szukałem tego modelu przez dwa lata. Oryginalny candlestick Western Electric. Czy powinienem był mu powiedzieć o liście? Nie, lepiej nie. Kurwa, gdzie ja teraz znajdę oryginalny candlestick Western Electric?

ROZDZIAŁ 2

Szli za nim od Storagatan, ale skąd biedny pijaczyna mógł o tym wiedzieć, skoro ledwo był w stanie pokonać siłę przybierającego z minuty na minutę wiatru? Wcześniej bawili się w Yaki-da, ale jakoś lamersko dzisiaj było. Jazz? Serio? Kto, kurwa, wymyślił jazz? Musieli sobie znaleźć inną rozrywkę.

Było ich czterech. A bezdomny pijaczyna był jeden. Wyglądał na takiego, co niewiele potrafi, ale na plecach targał stary futerał na gitarę. A to mogło oznaczać tylko jedno. Ulicznego grajka zbierającego na wódę i dragi. Więc być może da się coś zarobić.

Bezdomny szedł wolno. Skręcił w Chalmersgatan i kierował się w stronę Kungsparken. To się fantastycznie składało. Po północy w taką pogodę z pewnością w parku nie będzie ludzi. Zapewne zmierza na drugi brzeg kanału Vaalgraven i przy odrobinie szczęścia nie będzie mu się chciało iść aż do mostu Vasa. A do nocnego tramwaju takiego obdartusa na pewno nie wpuszczą. Nie. Z pewnością zechce przeciąć park i wybrać Bazarbron – drewnianą kładkę wiodącą wprost do Inom Vallgraven. To będzie łatwe.

Bezdomny faktycznie przeciął Parkgatan i zniknął w parku. Poszli za nim, ale to jeszcze nie był dobry moment. Tutaj nie było bezpiecznie. Za chwilę czeka ich jeszcze jedna ulica – Nya Allen. Potem już tylko alejki parkowe.

Janusz ściągnął mocniej kurtkę i zarzucił kaptur. Nie. Nie chodziło o to, by ukryć twarz. Po prostu piekielnie wiało. Coś niedobrego działo się z pogodą. Dwie godziny temu zaczął siać deszcz. Wiatr huśtał sygnalizatorami świetlnymi zawieszonymi nad skrzyżowaniami. Znaki drogowe wydawały nieprzyjemne dźwięki, gdy wichura uderzała w ich powierzchnię. Na ulicach nie było już prawie nikogo. W każdym razie na pewno nie na Parkgatan. Może to już ten moment, gdy kierowcy zaczęli się obawiać latających gałęzi?

Z Januszem było jeszcze dwóch Libańczyków i jeden Szwed. Wspaniałe, typowo szwedzkie multikulti. Wszyscy razem pracowali. Andreas był kierownikiem. Janusz jego zastępcą. A te dwa arabusy to cholera wie, czym się właściwie zajmowały. W każdym razie Allah nie zabraniał im pić wódki, więc pili nałogowo. Janusz lubił takich zawodników, odłożył więc na bok swoją zwyczajową niechęć do islamu i jego wyznawców. Zresztą czas spędzony w Szwecji otworzył mu nieco oczy. Nauczył się, że nie wszędzie jest tak, jak w Polsce. Mieszkał w Göteborgu już trzeci rok. Początkowo, jak każdy imigrant, czuł się nieco wyobcowany. Ale ostatecznie głupi nie był. Nie przyjechał pracować na zmywaku. Miał wykształcenie techniczne. No, prawie. Polibudy nie skończył, ale kogo by to interesowało? W każdym razie nauczył się języka. Może nie tyle języka, ile po prostu mówić i rozumieć. Ale to wystarczyło, by w jego życiu zaszła istotna zmiana. Bardzo szybko został liderem swojej ekipy remontowej. Jej nieformalnym szefem. Nawet Andreas nie miał nic przeciwko. No ale dziś przecież nie o robotę chodzi.

Dzisiaj imprezujemy.

To Janusz wpadł na pomysł, żeby zabawić się z bezdomnym.

Kolejna fatalna decyzja w jego życiu.

Ale za to ostatnia.

To, czego Janusz nie przewidział, zaskoczyło również jego towarzyszy. Bo bezdomny wcale nie był bezdomny. W gruncie rzeczy miał dużo więcej pieniędzy na koncie, niż ci czterej durnie razem zarobią przez całe życie. A raczej zarobiliby, gdyby go dziś nie spotkali. Nie był również starym pijakiem. Skryty pod zniszczonym, ale grubym i ciepłym płaszczem mężczyzna miał zaledwie pięćdziesiąt lat i przez całe życie jego podniebienia nie skalał choćby gram alkoholu.

Janusz ruszył do ataku, gdy tylko mężczyzna minął Nya allen. Wyszarpnął z kieszeni nóż i doskoczył do ofiary. Nie, nie chciał go zabić. Co to, to nie. W gruncie rzeczy był porządnym chłopakiem. Wystarczy pomachać kosą, a stary zgred na pewno odda forszę. Niestety, Janusz nie zdołał przeprowadzić swego błyskotliwego planu, bo umarł. Być może miał sekundę czy dwie,

by spróbować zrozumieć, co poszło nie tak. Jakim cudem nóż, ten sam, który dostał od brata przed wyjazdem do Szwecji, tkwił teraz w jego brzuchu wbity po rękojeść.

Nim jeszcze Janusz osunął się na mokrą trawę, Libańczycy doskoczyli do nieznajomego. Lubili tego Polaka, choć na każdym kroku usiłował im udowodnić, jak bardzo do dupy jest ich religia. Przymykali na to oczy, bo chętnie dzielił się fajkami i wódką, a czasami nawet przyniósł trochę rozrywki w proszku. Zresztą nie uważali się za przesadnie religijnych. W każdym razie teraz nie zastanawiali się, co tak naprawdę Koran mówi o zabijaniu.

Mężczyzna wzięty za bezdomnego też się nad tym nie zastanawiał, chociaż on akurat był religijny. I wielbił Allaha całym sercem.

Najbystrzejszym z całej ekipy okazał się Andreas. Być może właśnie dlatego był kierownikiem. Kiedy Ahmad i Muhammad – czy jak im tam do cholery – upadli na ziemię ze skręconymi karkami, rzucił się do rozpaczliwej ucieczki. Niestety, w złym kierunku. Miałby być może szansę, by zrozumieć swą pomyłkę, ale po prostu trafił na niewłaściwego człowieka.

– Cóż, nie tak chciałem to załatwić – rzekł do siebie mężczyzna, klękając na jedno kolano i rozpinając futerał od gitary. – Ale w sumie dobrze się stało.

Błyskawicznym ruchem wyciągnął z pokrowca swój karabin i oparł go na podstawce. Barrett M82 nie wybacza i nie zna się na żartach. Pomimo hamulca wylotowego odrzut jest potężny. Mężczyzna nie założył celownika optycznego. Nie było takiej potrzeby. Nie przy tej odległości.

Andreas zdążył już przebiec dwieście metrów, kiedy strzelec położył palec na spuście. Dwieście metrów, dobre sobie. W Afganistanie strzelał z M82 na odległość prawie trzech kilometrów. Na całym świecie nie było wielu lepszych od niego. To, co go czekało, było łatwe. Nawet przy tej parszywej pogodzie.

To nawet nie był huk. Coś syknęło i karabin wypluł pocisk. Ten nietypowy pocisk, który mężczyzna przygotował specjalnie na tę okazję.

Nie tak to miało wyglądać.

Andreas zdołał już dotrzeć do kładki. Zanotował naprawdę przyzwoity czas. Być może nawet rekord Szwecji.
Nagrodą była śmierć.

ROZDZIAŁ 3

Stary, tu i ówdzie pozbawiony już czarnego, świecącego lakieru zegarek marki Casio bipnął cicho na trzecią rano i Kuba Ćwiek w jednej chwili zerwał się z nóg, przebiegł cztery metry i wskoczył pod naczepę ciężarówki. Przez kilka sekund trwał w bezruchu, po czym roześmiał się cicho. *Ale z ciebie tchórz, chłopie. Naprawdę pomyślałeś, że w całej tej kakofonii ktokolwiek mógł usłyszeć ciche bipnięcie twojego starego zegarka? Tym bardziej ktoś, kto tak głośno sapie i jęczy, jak ten grubas?*

Odczekał jeszcze chwilę, a potem wychynął ze swojej kryjówki i powoli wrócił na poprzednie miejsce. Czerwona kabina ciężarowego mana bujała się wciąż w najlepsze, bynajmniej nie w związku z chybotaniem pokładu na wzburzonym morzu. Kuba znów wcisnął nagrywanie w swoim smartfonie i skierował obiektyw w kierunku górnego lusterka, w którym dostrzec można było, cóż to takiego dzieje się w szoferce. A działy się tam rzeczy wielce ciekawe.

Kuba miał niecałe dziewiętnaście lat i zapewne noce z niedzieli na poniedziałek powinien spędzać inaczej, ale życie to nie je bajka, jak mawiał jego ojciec, zanim pewnego dnia postanowił się ulotnić. A postanowił dość dawno temu. Z matką Kubie też nie było za bardzo po drodze. Dlatego kiedy tylko skończył zawodówkę morską w Świnoujściu, natychmiast ruszył na Bałtyk. To już ponad rok, a on wciąż nie mógł się przyzwyczaić do sztormów. W dodatku fucha pomocnika bosmana też nie należała do szczególnie relaksujących. Zwłaszcza że bosmanem był ten skurwiel Szeliga. Gównu, nie bosman. Kiedy w dwutysięcznym roku zmieniły się przepisy, stanowisko bosmana zostało zlikwidowane. Jednego dnia z waźniaka Szeliga stał się zwyczajnym starszym marynarzem. A wszystko to po trzydziestu latach na morzu. Nic dziwnego, że mu pękła żyłka. Wprawdzie armator utworzył dla niego nieformalne stanowisko

bosmańskie i Szeliga w gruncie rzeczy miał na *Raginisie* dokładnie te same zadania co zawsze, a dodatkowo wyższą pensję niż inni, to jednak stary wilk morski odebrał to wszystko jako osobistą zniewagę. A Kuba zawsze był najbliżej, więc czasem trafiło mu się lanie, ot choćby za to, że zupa była za słońca. I mimo że często mu się zdarzało wizualizować najbardziej wymyślne sposoby wymierzania bolesnej kary bosmanowi i mimo że był dopiero na początku swojej morskiej kariery, wiedział, że przepadł na zawsze. Miłość do pływania pochłonięła go w całości i był przekonany, że jest to uczucie na całe życie.

Tego samego jednak nie mógł powiedzieć o sztormach, które poznał dość szybko. Już pierwszy rejs *Raginisem*, promem samochodowo-kolejowym typu ro-ro, skończył się wielkim rzyganiem. Starsi koledzy pośmiali się trochę z niego, a potem doradzili, żeby w czasie większej chwiejby poszukał sobie miejsca w którejś z niższych sekcji kadłuba. „Im niżej jesteś, tym mniej kiwa” – mawiali. I Kuba zastosował się do tych wskazówek. No, prawie. Nie miał najmniejszego zamiaru spędzać podróży w maszynowni. Tam muszą chyba pracować głusi. A nawet jeśli nie, to wkrótce staną się głusi. Z kolei pokład kolejowy go przerażał. Przede wszystkim odgłosy, które się z niego dobywały. Ciężkie, spracowane wagony usiłujące się wyrwać z ciasnych oplotów sztawerskiego łańcucha, zgrzytające kołami wózków na nierównym torowisku. Rozciągane przez potężne siły żelazne szakle, pierścienie, ucha pokładowe i twistlocki. Brrr. Co innego pokład samochodowy, na którym było dość spokojnie, a jednocześnie wciąż wystarczająco nisko, by nie rzygać przez cały rejs. Kuba lubił się tu czasem zamelinować. Zwłaszcza że kierowcy zwykle nie zamykali swoich ciężarówek, a noc w trakcie rejsu przesypiali smacznie w kabinach pasażerskich lub przepijali w barze. Wchodziło się do szoferki, ucinało krótką drzemkę, a ta menda Szeliga mógł sobie szukać do woli.

Ale takich widoków, jak ten odbijający się na masywnym lusterku tira, to Kuba jeszcze nie widział.

Dziewczyzna miała dokładnie takie cycuszki, jakie uwielbiał. A raczej jak mu się zdawało, że uwielbia, bo po prawdzie, to

jeszcze w życiu żadnych nie dotknął. Ujeżdżała właśnie grubego kierowcę, zapewne jakiegoś Białorusina, sądząc po tablicach rejestracyjnych jego samochodu. Robiła to energicznie i z wprawą. Kurewka pierwszej wody. Ale bardzo ładna kurewka. Zgrabna blondyneczka. Kuba uśmiechnął się do siebie, patrząc na ekran swojego smartfona. Będzie miał wspaniałe nagranie. Kto wie, jeśli mu się poszczęści, może nagra też kawałek poślada?

Jeszcze nie tak dawno temu kierowcy nie musieli się kryć po pokładach, żeby sobie puknąć w trasie. Regularne prostytutki pływały ze Świnoujścia do Ystad, świadcząc swoje usługi dzielnym pogromcom autostrad, których żony wszak dawno już o nich nie dbały, wciąż tylko narzekały, że muszą same wychowywać dzieci, a przecież co jak co, ale pieniądze dostawać lubiły. Niektóre dziewczyny Kuba znał nawet po imieniu. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale w skrytości ducha miał nadzieję, że jedna z nich zdejmie z niego tę zniechęconą klątwę prawiczka. Jako realista z długą praktyką zaczął nawet odkładać na to kasę. Niestety, trzy miesiące temu szwedzka policja zrobiła niespodziewany nalot, który dla linii Baltic Bridge skończył się wysoką karą finansową i groźbą utraty koncesji na świadczenie usług przewozowych na terenie Królestwa Szwecji. Tamtego dnia kurewki odeszły na wieczną wachtę.

Ale jak widać, kierowcy umieli sobie poradzić w każdej sytuacji. Zaczęli zabierać w trasy swoje córki, które wprawdzie miały inne nazwiska niż oni i niejednokrotnie również paszport innego kraju, ale nikt z załogi w to nie wnikał i nie miał zamiaru robić z tego problemów. Trzeba być człowiekiem, no nie? Gorzej, że taka dziewczyna zwykle pracowała na wyłączność i plany pierwszego bzykana Kuba musiał odłożyć na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Zamyślił się. Nie usłyszał, że kolumny MacPhersona w starym manie przestały miarowo sapać. Nie usłyszał, jak od wewnątrz ktoś szarpie za klamkę. Dopiero skrzywienie kiepsko nasmarowanych zawiasów przywróciło go do żywych, ale było już za późno. Solidne drzwi uderzyły go w potylicę i upadł na pokład. Spojrzał w górę i ujrzał zdumiony wzrok dziewczyny.

– Co to było, kochanie? – zapytał po rosyjsku głos z wnętrza kabiny. Dziewczyna otworzyła usta, ale ujrawszy przepaszający i zarazem błagający wzrok Kuby, uśmiechnęła się tylko.

– Nic takiego, uderzyłam się w drzwi.

– Nie porysuj mi lakieru. Dopiero co malowałam.

Dziewczyna wyskoczyła z auta i zamknęła za sobą drzwi.

– Proszę, proszę. Podglądacz. – Zaśmiała się. – Będziesz musiał skasować ten film.

– Tak, tak. Skasuję – wydukał Kuba łamanym rosyjskim. – Tylko mu nie mów.

– Kim jesteś?

– Chodźmy stąd, bo usłyszysz.

– Nie usłyszysz. A ja chcę wiedzieć, kim jesteś, co tu robisz i dlaczego mnie nagrywasz.

Kuba westchnął. Fantastyczny początek znajomości. Pewnie w dodatku był czerwony na gębie. Ze strachu, wstydu i zażenowania.

– Jestem Kuba – powiedział cicho. – Pracuję tu.

– A nagrywasz, bo...?

– Bo... Bo jesteś taka ładna – burknął i w tej samej chwili zapragnął uciec na główny pokład i rzucić się w fale Bałtyku. Ale dziewczyna tylko się roześmiała. Z ich dwojga to ona miała charakter. Kuba podniósł się z ziemi, a ona podeszła do niego. Poruszała się bardzo lekko, nieznacznie jedynie chwiejąc się na pochylającym się to w lewo, to w prawo pokładzie. Jej uśmiech zniewalał. Jej włosy falowały. A jej ręka chwyciła Kubę za krocze.

– O, la la! – Zaśmiała się. – Mamy tu małego zboczeńca. Waliłeś konia? Czy dopiero będziesz to robić, jak wrócisz do siebie?

– Ja...

– Nie kłam. Masz twardszego niż ten białoruski spaślak. A on, w przeciwieństwie do ciebie, swojego używał. No, powiedzmy. Zatem? Czekam na odpowiedź.

Ale się nie doczekała. Westchnęła więc tylko.

– Masz pieniądze?

– Co?

– Jesteś rozkoszny, ale chyba zdajesz sobie sprawę, kim jestem?
– Rosjanką? – wydukał, a ona wybuchła śmiechem.
– Niech będzie. Ale przede wszystkim profesjonalistką. Rozumiesz? Przecież widzę, że teraz oddałbyś wszystko za loda. Jak masz pieniądze, to mogę spełnić twoje marzenia.

– Ja... Musiałbym pójść do kajuty i...

Znów wybuchnęła śmiechem. Była piękna. Na pewno młoda, choć mocny makijaż uniemożliwiał precyzyjne określenie wieku.

– Jak będziesz dla mnie miły – wymruczała – to może zrobię coś dla ciebie w zamian za skasowanie filmu. Co ty na to?

– Jakiego filmu? – odezwał się naraz głos za nimi. Biały kierowca wygramolił się właśnie z kabiny swojego auta i stał trzy kroki od nich. Jego mina świadczyła o tym, że odbył już proces myślowy, a wnioski mu się nie spodobały.

– Nagrywałeś mnie, szczeniaku? – warknął i ruszył w kierunku Kuby. Byłby go zdzielił pięścią, ale nie utrzymał równowagi na rozchybotanym pokładzie. Gdy upadł, dziewczyna chwyciła Kubę za rękę.

– Pyskajmy stąd! – krzyknęła i ruszyła w stronę rufy, ale teraz to Kuba był w swoim żywiole. Nikt nie zna tego pieprzonego statku tak dobrze jak on. Chwycił dziewczynę mocno za nadgarstek.

– Nie! – krzyknął, czując przyływ adrenaliny. – W drugą stronę.

Ruszyli biegiem, nie oglądając się za siebie.

– Stój, ty głupia kurwo! – wrzasnął za nimi grubas. Potem krzyczał coś jeszcze, ale jego oddalający się głos szybko rozmył się wśród tysięcy dźwięków wypełniających pokład samochodowy. Pewnie próbował ich gonić, ale byli już daleko w sekcji dziobowej. Dopadli drzwi i wskoczyli na klatkę schodową. Ruszyli w dół i za chwilę znaleźli się na zimnym pokładzie kolejowym.

– Chodź. Tu będzie przyjemnie! – krzyknął Kuba, wskazując stojący przy samej rampie furty niewielki spalinowóz manewrowy.

– Serio?

– Serio!

Podbiegli do lokomotywy. Kuba podsadził dziewczynę, a potem sam wskoczył na galeryjkę. Szarpnął zardzewiałą klamkę. Chwilę się z nią pomęczył, ale w końcu zadziałała. Gdy weszli do środka lokomotywy, Kuba zatrzasnął drzwi. Natychmiast zrobiło się cicho i przytulnie.

– Tutaj nas nigdy nie znajdzie. – Zajął miejsce w fotelu maszynisty.

– Założę się, że masz rację. – Dziewczyna uśmiechnęła się i usiadła obok niego.

ROZDZIAŁ 4

Jan Hassnik nie obudził się od razu. Powoli wracała mu świadomość i kolejno przyswajał i analizował wypełniające ciemną kajutę bodźce. Na początek rozpoznał wściekły huk morza. Hassnik nigdy nie zamykał okna. Ostatecznie śpiąc siedemnaście metrów ponad linią wody, nie musiał się martwić o wodę lejącą na głowę. Potem usłyszał dziwny metaliczny łomot. Brzmiało to zupełnie, jakby Neptun uderzał swoim wielkim trójzębem w kadłub wpływającego do jego królestwa intruza. Hassnik za długo już pływał, by nie zorientować się, że to krótka bałtycka fala napiera na burtę. I że ma przynajmniej siedem metrów wysokości. Niedobrze. W dalszej kolejności rozpoznał jęki wyginającego się pod naporem żywiołu kadłuba, stłumiony jazgot czterech diesli, z których załoga maszynowni najwyraźniej wyciskała wszystko, co się w takich warunkach dało wycisnąć, świst wiatru zaplątanego w balustrady przylegającego do burty sztormtrapu i wyjątkowo nieprzyjemne szuranie krzesła o podłogę kajuty. Kiwanie musiało być większe, niż mu się zdawało, ale choć świadomość powracała, to błędnie jeszcze spał.

Tego ostatniego dźwięku nie potrafił rozpoznać przez dłuższą chwilę. Tego, który tu nie pasował. Który go obudził. Tego dziwnego, staroświeckiego terkotania. Coś jakby próba zeszlifowania nasady klucza o żelazną tarę do prania. Coś jakby...

Ach, no tak.

Wyciągnął rękę, by chwycić wiszącą na ścianie słuchawkę interkomu. *Raginis* był starym statkiem i interkom miał stary. Stary i nieprzyjemnie terkoczący.

Cofnął rękę i spojrział na zegarek. Tarcza zaświeciła się na zielono. Kwadrans po trzeciej. Spał zaledwie czterdzieści pięć minut. Westchnął i chwycił słuchawkę.

– Tak? – zapytał cicho.

– Panie kapitanie, proszę na mostek. Pilnie – usłyszał głos mówiący po angielsku z nieprzyjemnym szwedzkim akcentem.

– Idę – odrzekł Hassnik i odłożył słuchawkę.

Nie spieszył się. Takie wezwanie w środku nocy mogło oznaczać kłopoty. A na kłopoty trzeba się przygotować. Zapalił światło i otworzył szafę. Wciągnął dzinsy, gruby wełniany sweter i battledressową bluzę.

Droga na mostek nie mogła zająć dużo czasu. Hassnik musiał jedynie wyjść na klatkę schodową i pokonać jedno piętro w górę. Co akurat wcale nie było łatwe. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio stary pocziwy Bałtyk aż tak bardzo rozbijał mu łajbę. Chwycił się poręczy po obu stronach wąskich schodków i ruszył na górę. Gdy tam dotarł, pchnął wodoszczelne drzwi z napisem STAFF ONLY. Jakby komukolwiek innemu chciało się wspinać aż na siódmy pokład.

Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Pierwszy oficer Podoliński był wyraźnie nie w humorze.

– Kapitanie – rzucił po polsku – niech pan zabierze stąd tego idiotę, bo przysięgam, że mu zaraz jebnę.

No tak. Można się było tego domyślić. Holmstrom, psia twoja...

– Bardzo proszę, byście panowie rozmawiali po angielsku – powiedział Peter Holmstrom, a jego ton dał Hassnikowi do zrozumienia, że w bezpośredniej rozmowie Podoliński powiedział już Szwedowi, co myśli o nim, jego matce, wszystkich Szwedach świata i oczywiście o jego szwedzkim szefie.

Holmstrom pływał kiedyś na *Skalskim*. Bliźniaczym promie *Raginisa*. Nie był nikim ważnym, doszedł jedynie do stopnia drugiego oficera maszynowni. Ale wiedział, jak się ustawić. Kiedy szwedzkie konsorcjum Östersjögång wykupiło połowę udziałów w Baltic Bridge, został inspektorem pokładowym. Szwedzi nie ufali polskim załogom. Holmstrom z kolei z całego serca ich nienawidził. Więc z przyjemnością zgodził się zostać pływającym płatnym szpiclem.

– O co chodzi, panowie? – zapytał Hassnik.

– Dmuchnęło trochę mocniej, niż przewidywaliśmy – warknął Podoliński.

– Ile?

– W porywach między osiemdziesiąt sześć a dziewięćdziesiąt węzłów.

– Ile? Przecież to już orkan. Gdzie jest Rafał?

– Jestem! – krzyknął potężny, rudowłosy i rudobrody marynarz, skupiony dotąd na operowaniu manetkami steru.

– Było coś w meteo?

– Nie, kapitanie. Zapowiadali stan morza sześć do siedem. Wiatr do pięćdziesięciu węzłów.

– Kierunek?

– Obecne westowy, dwieście siedemdziesiąt stopni.

– Panie kapitanie – przerwał Podoliński. – Mała szlagajta wyszła. Według klinometru cztery stopnie na bakburtę.

– Pogłębia się?

– Nie, stoi.

– Ładunek?

– Sprawdzony, nienaruszony. Niby nic się nie dzieje, ale przy takim wietrze cztery stopnie stałego przechyłu to sporo. Od samej fali dostajemy nawet do dwunastu stopni. No to na sterburcie momentami chyliny się do szesnastu. Doradzam sztormowanie.

– Nie ma na to zgody – wtrącił przez zęby Holmstrom. – Jesteśmy jeszcze na rynku tylko dlatego, że w miarę trzymamy się rozkładu.

Hassnik zapalił papierosa. Stanowczo wbrew przepisom.

– Panie Holmstrom – zaczął i przerwał na moment, by wypuścić z płuc dym. – Jeżeli jeszcze raz da pan wyraz swemu przekonaniu, że ma jakąkolwiek moc sprawczą na tej jednostce, to osobiście chwycę pana za kark i wrzucę do morza. Chcę, byśmy się dobrze rozumieli. To ja decyduję, na co jest zgoda, a na co jej nie ma.

– Stąpa pan po kruchym lodzie, kapitanie.

– A pan jest niedouczonego idiotą. Pierwszy, ile mamy na logu?

– Cztery do pięciu węzłów, kapitanie. Na pełnych obrotach – odparł Podoliński.

– Sam więc pan widzi, Holmstrom, że nie mamy szans, by

dotrzeć do Ystad na czas. Gdyby był pan prawdziwym marynarzem, wiedziałby pan zapewne, że czasami tak właśnie jest. Ja w każdym razie nie zaryzykuję życia moich ludzi, pasażerów i ładunku. Jasne? Nie przy tym stanie morza.

Hassnik otworzył lufcik i wyrzucił papierosa. Wcześniej zdążył się nim zaciągnąć zaledwie dwa razy, dlatego teraz wyciągnął z paczki kolejnego. Przypalił go żarówką zapalniczką.

– Pierwszy, porzucić marszrutę – rozkazał. – Sztormujemy. Rufą na wiatr.

– Aye, aye – odrzekł Podoliński i ruszył do rudego, żeby przekazać mu polecenia.

– Panie kapitanie... – zaczął pojednawczo Holmstrom. Widać było, że paskudna pogoda odebrała mu chęci do dalszej konfrontacji, choć Hassnik nie miał złudzeń, że do tej rozmowy będą jeszcze wielokrotnie wracać. – Przecież mamy sprawne heelingi. Zalejmy sterburtę, to zrównoważymy przechył.

– Nie możemy tego zrobić, panie Holmstrom.

– Do diabła, robiłem to dziesiątki razy na *Skalskim*. Po co mamy zbiorniki heelingowe, skoro nie można ich używać?

Hassnik westchnął. Ale był już spokojny. Myślał trzeźwo. I wiedział, że w tym wypadku Holmstrom nie jest winien swojej ignorancji.

– Pływał pan na *Skalskim*. W maszynie, ale jak mniemam, bywał pan czasem na mostku.

– Zgadza się.

– Więc pewnie zauważył pan pewną subtelną różnicę.

– Chodzi panu o dobudowany pokład nadbudówki?

– Właśnie. *Raginis* jest ostatnim z serii V13/77. Norwescy projektanci zdołali wprowadzić w nim szereg ulepszeń, które, jak to zwykle bywa, okazały się zmorą dla zmuszonych pływać na tym szmelcu załóg. Mamy więc dodatkowy, nie za bardzo potrzebny pokład nadbudówki. W związku z tym o półtora metra wyższe są burty. A to powoduje, że statek jest zawietrzny. Rozumie pan? *Skalski*, na którym zresztą pływałem, ma naturalną tendencję, by ostrzyć na wiatr. *Raginis* przeciwnie. Ustawia się do niego bokiem, gdy tylko popuścimy mu trochę steru. Potrafi

w pięć sekund zgubić kurs o trzydzieści stopni. Rozumie pan, co chcę panu powiedzieć? Przy tak silnym i zmiennym wietrze może nam się przytrafić, że przetniemy linię wiatru. Jeśli zalejemy zbiorniki heelingowe, by równoważyć napór wiatru, a potem przetniemy jego linię, to co się stanie?

Holmstrom milczał.

– No właśnie, panie Holmstrom. To zamiast równoważyć siły, zsumujemy je. I wywinjemy fikołka. Czy tragedia *Heweliusza* niczego pana nie nauczyła?

– Do licha – Szwed się skrzywił – skąd mogłem to wiedzieć?

– Powinien pan – odparł chłodno Hassnik. – Jest pan tu inspektorem i...

Nie skończył. Jego słowa zagłuszył huk syreny mgłowej. Przerażliwie obcej syreny mgłowej. I przeraźliwie blisko. Rzucił się do stanowiska radarowego.

– Co jest, do diabła?! – wrzasnął, ale operator wzruszył tylko ramionami.

– Na transponderze nic nie ma, kapitanie. Pusto.

– Przełącz na pierwotny.

Operator pstryknął palcem przełącznik i zamarł.

– Kurwa...

– Co do... – rzucił pierwszy oficer, który też już zdążył podbiec do radaru.

Na samym środku ekranu rozciągała się potężna zielona plama. Syrena mgłowa zabrzmiała raz jeszcze. Znacznie bliżej.

– Musi być tuż przed nami! – wrzasnął pierwszy.

– Lewe silniki cała wstecz, prawe cała w przód! Rafał, kręć na bak!

– Chryste panie – Podoliński wypchnął sternika z za konsoly i sam chwycił za manetki – oni tu chyba na ciemno sztormują!

– Może mają *blackout!* – krzyknął Holmstrom.

– Kręcić! Kręcić! – wrzeszczał Hassnik. – Trzymajcie się czegoś.

– Widzę go! Pięć kabli przed nami! – krzyknął Rafał. – Jezus Maria, to musi być Tripple E.

– Co to jest Tripple E, do kurwy nędzy? – wyjęczał Holmstrom.

– Ja pierdołę – powiedział cicho Hassnik, a Podoliński się

przeżegnał, bo choć przepływał ze starym już dobry milion mil morskich, to nigdy jeszcze nie słyszał przekleństwa z jego ust.

ROZDZIAŁ 5

Chciała być miła, ale jemu po prostu nie stanął. Ot, proza życia. Teraz Kuba siedział obok niej i choć bardzo starała się go pocieszyć, był w wyjątkowo podłym nastroju. Wiedział, że chwila minęła. Wanda była wspaniała, ale z seksu nici i koniec. A wszystko dlatego, że okazał się nieco wrażliwszy, niż zakładał. No ale trudno, przynajmniej ona podeszła do tego dojrzałe. Spodziewał się kpin, jednak się ich nie doczekał. Wanda pocałowała go w czoło. A potem się przytuliła. Tyle skorzystał, że pozwoliła się pomacać po cyckach. I to za darmo.

Statek kołysał się coraz mocniej. Kubę to drażniło, ale dziewczyna najwyraźniej znosiła sztorm zupełnie dobrze. Chyba nawet trochę przysypiała. Jej włosy przyjemnie pachniały. Jakim cudem pachniały tak po całym dniu na morzu?

Uderzenie w szybę spalinywozu przywróciło ich do życia. Przez niewielkie okienko zobaczyli twarz białoruskiego grubasa. Złość i zmęczenie wypaliły na niej szkarłatne piętno. Kuba zerwał się ze swojego fotela. Odruchowo. Nie miał żadnego planu. A nawet gdyby miał, to i tak nie zdążyłby go wcielić w życie. Grubas szarpał już za klamkę.

- Wyłażcie stamtąd - wysapał wściekle.

- Proszę stąd odejść. Nie wolno panu tu przebywać! - krzyknął Kuba. - To pokład tylko dla załogi.

- A ona to co? - Grubas się skrzywił. - Pierdolony lachociągoficer?

- Proszę...

- Dobra - rzekł pojednawczo grubas. - Wyjdźcie stamtąd. Nikomu nic się nie stanie. I tak nie macie dokąd zwać. Nie chce mi się tam wciskać.

I tak byś się nie zmieścił w drzwiach, grubasie.

Wanda westchnęła i ruszyła do przodu.

- Chodź - rzuciła krótko. Dziewczynom zawsze jest łatwiej

w takich sytuacjach. Można śmiało założyć, że jeśli grubas zechce komuś lutnąć, to raczej nie jej. Kuba westchnął i podążył za dziewczyną. Nie mógł teraz wyjść na tchórza. Powoli zeszli po metalowej drabince i stanęli na rozchybotanym pokładzie. Grubas wciąż sapał, ale chyba faktycznie już się uspokoił.

– Dobra, dzieciaki. – Białorusin musiał się postarać, by przekrzyczeć panujący na pokładzie kolejowym hałas. – Chcę tylko ten film. Muszę go dostać. Mam żonę i nie mogę ryzykować, że trafię do pornola.

Wanda się zaśmiała.

– Serio? – zapytała, mrużąc oczy. – Naprawdę myślisz, że ktoś by cię chciał oglądać?

– Nie dyskutuj ze mną. Oddaj film.

Kuba wyjął komórkę z kieszeni i chciał podać grubasowi. Nim jednak trafiła do adresata, przejęła ją Wanda.

– Będziesz musiał zapłacić – rzekła z uśmiechem.

– Co? Ty głupia...

– Dwieście euro. Zapłacisz i kasujemy film.

Nie spodziewała się tego. Grubas skoczył ku niej naprawdę szybko. Może nie jak pantera, ale z pewnością zawstydziłby nosorożca. Chwytał dziewczynę za gardło i cisnął na ziemię.

– Zostaw ją! – wrzasnął Kuba i rzucił się na grubasa, ten jednak zapewne zaprawiony był w takich sytuacjach. Uderzył na oślep. Trafił. Kuba upadł.

– A teraz... – wystękał Białorusin, wyciągając z kieszeni nóż. – Teraz...

Nigdy nie nastąpiło „teraz”, bo wydarzyło się coś bardzo dziwnego. W jednej chwili pokład uciekł grubasowi spod nóg. Tłuszcioch poleciał jedenaście metrów w dół i zginął przygnieciony lokomotywą. Wszystko stało się tak szybko, że biedak nie zdążył pewnie nawet zrozumieć, co się dzieje. W tym samym czasie runęły dziesiątki wagonów. Ogniwa łańcuchów sztauerskich strzelały dookoła jak pociski. Ze spadających w przepaść wagonów sypał się ładunek. Powietrze utraciło przejrzystość.

Gdy to wszystko nastąpiło, Kuba zareagował instynktownie.

Jezu, wywracamy się!

Jedną ręką chwycił się wystającego z pokładu semafora. Drugą złapał Wandę za włosy. Wrzasnęła. No tak, to nie było dla niej przyjemne. Ale przynajmniej przeżyła. Choć ledwo. Lokomotywa przeleciała tuż obok niej. Sypiące się szkło rozcięło jej twarz. Mocno krwawiła.

Kuba doskonale wiedział, że utrzyma ją tylko kilka sekund. Nie był silny, choć w koferdamie na pokładzie siłowni urządzili sobie z chłopakami małą pakernię. Dziewczyna zaraz spadnie w przepaść. On pewnie też. Poczł się trochę jak w Hollywood. Jak bohater filmu, który wspina się na Mount Everest, ale ktoś wyżej się wywraca, wpada na niego, a potem wiadomo: obaj lecą ku krawędzi. Niezdara spada, a bohater w ostatniej chwili wbija czekan w lód i wisi nad przepaścią. Chyba Stallone odwalił kiedyś taki numer. A może to była Izabella Scorupco?

– Skacz na lokomotywę! – wrzasnął Kuba i puścił włosy dziewczyny. Ale lokomotywy już nie było. Zniknęła pod wściekłą nawałnicą wody, która zalewała pokład z prędkością niewróżącą nic dobrego.

– Jezus Maria – szepnął Kuba. – Furta.

Puścił się semafora i wpadł do wody.

– Wanda! Wanda!

– Tutaj! – krzyknęła dziewczyna. Woda znosiła ją w głąb statku. A tam niewątpliwie czekała śmierć.

– Płyn do dziobu. Do dziobu!

– Co się stało? Kuba!

Ale on już jej nie słyszał. Kolejna fala zassała go pod wodę i cisnęła o leżące na boku i pozbawione wózków szczątki wagonu. Poczł ból, ale instynkt zadziałał prawidłowo. Nie otworzył ust. Nie krzyknął. Dał sobie szansę na przeżycie. Na oślep wymacał drabinkę wagonu i wspiął się na jego szczyt. Udało się. Woda nie zdołała go jeszcze zupełnie zalać, bo najwyraźniej leżał na czymś innym. Kuba wiedział, że ten stan nie miał szans utrzymać się zbyt długo. Rozejrzał się dokoła. Wandy już nigdzie nie dostrzegł.

Chwilę mu zajęło, nim odzyskał orientację. A wraz z nią dotarło

do niego, że *Raginis* tonie. Najwyraźniej statek leżał na burcie. To, co do niedawna było sufitem pokładu kolejowego, teraz stanowiło ścianę. Kiedy wiele miesięcy później wracał do tych wydarzeń, za każdym razem nie mógł się nadziwić swojemu szczęściu. Bo dokładnie naprzeciw niego, w suficie będącym teraz ścianą, ziała dziura łącznika technicznego między pokładami. Zwykle wykorzystywano go do przenoszenia między pokładami urządzeń sztauerskich i pokładowych. Jednak dziś posłuży czemu innemu. Ratowaniu życia. Jak dobrze pójdzie.

Coś zgrzytnęło Kubie tuż nad uchem. I znów zareagował prawidłowo. Nie spojrzął do góry, by przekonać się, co to takiego. Po prostu odbił się mocno od krawędzi wagonu i runął do wody. Całą siłę swych wątych ramion włożył w pokonywanie naporu fali. Huk, który za moment nastąpił, dowiódł mu, że warto było uczęszczać na nudne jak flaki z olejem szkolenia z bhp na rorowcach. Że stary inspektor, na oko ze stułetni, nie kłamał, mówiąc: „Pamiętajcie, jeżeli statek się przewróci, wagony i ciężarówki na krótką chwilę uwięzną w łańcuchach. Będą wisieć nad waszymi głowami aż do czasu, kiedy ogniwa popękają. A popękają na pewno. Jedyne od was zależy, jak daleko zdołacie spierdolić”. Kuba pamiętał, jak po kursie, przy piwku naśmiewali się z kumplami ze starego profesora. „Po co on się każe tego uczyć? Przecież statki nie toną. No, może czasem, ale nikt z nas i tak tego nie doświadczy. Strata czasu”.

Kuba wynurzył się na powierzchnię i stracił wszelką nadzieję. Kolejne wagony waliły się w dół. Ale już tak nie hałasowały. Woda sięgała na tyle wysoko, że potężne stalowe kolosy nurkowały w niej jedynie z cichym pluskiem. Kuba próbował coś wymyślić, ale rozpraszał go przeraźliwy gwizd. O tym też się nasłuchiwał z ust starego profesora. Że gdy statek tonie, woda wypycha powietrze ze wszystkich systemów. „Śmierć wisi nad wami i wesoło pogwizduje” – mówił. Bawiło ich to, ale tylko do czasu, gdy się dowiedzieli, że stary służył na Kudowie Zdroju i był jednym z ośmiu marynarzy, którzy przeżyli jej katastrofę na Morzu Śródziemnym. Zaczepiali go potem, by coś opowiedział, on jednak powtarzał tylko w kółko, że uratował go Cristóbal

Colón de Carvajal y Gorosábel, szlachcic, osiemnasty książę Vergua i w prostej linii potomek samego Krzysztofa Kolumba. I choć brzmiało to jak tchnienie alzheimera, okazało się prawdą. Porucznik Carvajal poprowadził swój śmigłowiec wbrew wyraźnemu zakazowi dowództwa, które uważało, że nie ma warunków do podjęcia akcji ratunkowej. Potem okrzyknięto go bohaterem, a w wojsku zrobił zawrotną karierę. Został nawet admirałem Armada Española.

Kuba odegnał te wspomnienia. Wiedział, że to śmierć usiłuje odwrócić jego uwagę. Że szepcze mu do ucha przyjemnie opowieści, a on słucha, zamiast się ratować. Przypomniał sobie o otworze technicznym. Zaraz, zaraz. *Gdzie to, do cholery, było?* Stracił na chwilę orientację, ale zupełnie niespodziewanie ogarnął go spokój. Jakby mózg mu podpowiadał: „Dobra chłopie, w zasadzie to ty już jesteś trupem. Ale możesz jeszcze spróbować coś ugrać, tyle że przy maksymalnej koncentracji i pełnym spokojem. Kumaszu, chłopie?”.

Kumał. Zamknął oczy. Woda przenosiła wibracje konającego statku i ciosy kolejnych ciężarów urywających się z łańcuchów. Było trochę jak na wojnie. Ale Kuba unosił się na powierzchni w absolutnym bezruchu. Położył się na wodzie. Czuł jej napór. Płynęła od furty. A on musiał się dostać do łącznika. Ułożył sobie w głowie mapę. Zrozumiał, że woda zniosła go kilkanaście, może kilkadziesiąt metrów w głąb statku. I że z każdą chwilą jest coraz gorzej. Ale nie przejął się tym. Bo sobie coś przypomniał.

Przypomniał sobie, że na rufie jest drugi łącznik. I to dużo lepszy niż pierwszy, gdyż tuż przy nim, na burcie pokładu samochodowego, znajdują się pewne drzwi. Kuba nigdy dotąd przez nie nie przeszedł, ale i tak je doskonale znał. Znał każde drzwi na tym pieprzonym statku. Wybito je w burcie tuż nad linią wody i zwykle otwierano jedynie po to, by podjąć lub oddać pilota. A teraz zapewne stanowiły jedyną drogę ucieczki. Tak, to się może udać. Trzeba będzie tylko...

Cokolwiek trzeba będzie, odbędzie się to w kompletnych ciemnościach. Najwyraźniej woda zalała już całą maszynownię. Generatory kaput. Lampy zgasły. Pokład pogrążył się

w całkowitych ciemnościach. Ale Kuba już się nie bał. Nie miał na to czasu. Musiał zrealizować plan. Brak światła to jedynie nieznaczące utrudnienie. Wiedział, gdzie znajduje się otwór. Wiedział, gdzie znajdują się drzwi. Nie potrzebował oczu. Potrzebował natomiast pomysłu, jako że drzwi znajdują się w burcie, która obecnie jest sześć metrów nad jego głową. Ale tym będzie się przejmować później.

Wziął oddech, a potem obrócił się na brzuch i popłynął w stronę ściany. Gdy już do niej dotarł, pozwolił się unieść prądowi. Obróciło go, kiedy usiłował się czegoś chwycić, płynął więc teraz nogami do przodu, robiąc wszystko, by nie uderzyć o na wpół zatopiony wagon czy powykręcane pokładowe szyny. W skrytości ducha liczył również, że wszystkie łańcuchy, które miały popękać, już popękały i żadne stalowe gówno nie zwali mu się prosto na łeb.

Całą wieczność później namacał w końcu krawędź otworu technicznego. Uzmysłowił sobie, jak wiele miał szczęścia. Gdyby statek przewrócił się na drugą burtę, pokrywa nie zsunęłaby się z przewodnic, a on na pewno nie miałby sił jej podważyć. Ta krzepiąca myśl zniknęła sekundę po tym, jak się pojawiła. Nie było czasu na takie rozważania. Woda sięgała znacznie wyżej, niż przypuszczał. Większość otworu została już zalana. Wciągnął powietrze i zanurkował. Wynurzył się po drugiej stronie i tak oto dotarł na pokład samochodowy. Tu sytuacja była znacznie gorsza. Ciągniki i naczepy, dużo lżejsze niż wagony, płynęły z nurtem i rozbijały się o ściany. Na szczęście metr ponad otworem z pokładu wystawała skrzynka, w której umieszczono silnik elektryczny służący do przesuwania pokrywy wjazdu technicznego. Podciągnął się na nią, czując, jak z każdą sekundą traci siły. Ponad głową ujrzał uwięziony w łańcuchach ciągnik. W kabinie paliło się delikatne światło. Albo ktoś tam był, albo kierowca zapomniał zgasić lampkę. Kuba oszacował ryzyko. Ciągnik nie miał naczepy. Łańcuchy trzymały go mocno. Gdyby udało się tam dostać, byłby chwilowo bezpieczny. Nie musiałby się już martwić pływającymi po całym pokładzie wrakami.

Przez moment się wahał, a potem przypomniał sobie jeszcze

jedną rzecz. Przecież drzwi dla pilota znajdowały się w burcie. A burta była teraz sufitem, wznoszącym się dobre pięć metrów ponad jego głową.

Odbił się od skrzynki i chwycił zwisający z góry łańcuch. Bujał się teraz na nim, a nad głową słyszał wyjątkowo złowieszcze zgrzytanie metalu o metal. Gdyby to wszystko się teraz urwało...

Odegnął złe myśli. Zdawał sobie sprawę z własnych ograniczeń. Na ratowanie życia poświęcił już większość sił, a sporo jeszcze zostało do zrobienia. Zaczął się wspinać. Pierwsze pół metra było najgorsze. Mokre ręce ślizgały się po łańcuchu, a zwiotczałe, spracowane mięśnie nie chciały generować odpowiedniej siły. W końcu jednak się udało. Nie patrząc w górę, wymacał oponę. Koło było skręcone i Kuba bał się, że gdy za nie chwyci, skreśli się jeszcze bardziej. Nic takiego się jednak nie stało. Jeszcze odrobina wysiłku. Jeszcze jeden chwyt. Złapał za wał. Podciągnął się i stopa znalazła oparcie na oponie. Potem już łatwo poszło. Dłonią chwycił drugie koło, a stopę oparł na wale. Po chwili był już na górze i stał na drzwiach kabiny. Przez wybite okno zajrzał do środka. Nikogo tam nie było. Ale boczna, a raczej w chwili obecnej dolna, szyba nie była wybita i Kuba ujrzał na niej latarkę. Opuścił się do środka. Światło mogło mu uratować życie. Stał na ramie, bojąc się nadepnąć na szkło. Podniósł latarkę. Świeciła mocnym światłem. Oby okazała się wodoodporna.

Wdrapał się z powrotem na górę. Jako stopnie posłużyły mu fotele i połamana kolumna kierownicy. Gdy ponownie stanął na drzwiach, włączył latarkę i poświecił w górę. I wtedy zrozumiał, że już po nim. Drzwi techniczne znajdowały się trzy metry wyżej. Nie miał najmniejszych szans, by do nich dotrzeć. Jedyną szansą jest woda. Ale gdy dotrze tak wysoko, by go do nich donieść, statek dawno już będzie w głębinach.

Usiadł na kabinie. Do oczu napłynęły mu łzy. Był przemarznięty. Teraz dopiero przypomniał sobie o hipotermii. Kolejna z rzeczy w katalogu „na pewno się nie przydarzy”. Siedział na ciężarówce, a nogi wisały mu nad przepaścią. Jego umysł włączył tryb drzemki. Wsłuchiwał się w zgrzyt łańcuchów, huk wody i uderzających o burty pojazdów, a wszystkie te odgłosy wydały

mu się naraz dziwnie przytłumione. Zdecydowanie mniej agresywne i przerażające niż jeszcze chwilę temu. Ze zdziwieniem odkrył, że dostrzega pewien rytm. Stuk, stuk, łup. Stuk, stuk, łup.

Jednak to, co usłyszał za chwilę, momentalnie przywróciło go do świata żywych. Krzyk. Kobięcy krzyk.

Zerwał się na nogi i włączył latarkę. Snop światła skierował w dół, ale nigdzie nie mógł dostrzec dziewczyny.

– Wanda! Wanda! – starał się przekrzyczeć symfonię dźwięków. Zdziwiła go siła echa, które potroiło moc jego głosu.

– Kuba! – dobiegł go słaby głos gdzieś z boku.

– Wanda, gdzie jesteś? Widzisz światło? Macham latarką.

– Widzę, spójrz w dół i w prawo.

Ujrzał ją zupełnie niedaleko. Stała na szczycie piramidy zbudowanej przez los z poskręcanych wraków. Piętnaście metrów od niego. Półtora metra nad powierzchnią wody. Twarz miała we krwi. Musiała bardzo cierpieć. Słona woda w takiej ranie z pewnością potrafi zniechęcić do życia, ale przynajmniej zatamowała krwawienie.

– Wanda! Musisz zejść do samochodu, na którym stoisz!

– Co?

Pod jej stopami chybotął się wrak pomarańczowej furgonetki. Leżała na boku, a przez całą długość jej burty ciągnął się napis *räddningsutrustning*. Kuba wystarczająco długo pływał do Szwecji, by wiedzieć, co to oznacza.

– Stoisz na furgonetce ze sprzętem ratunkowym! Zobacz, może jest tam jakiś ponton. Albo chociaż kamizelka ratunkowa. Musisz tu do mnie przyplłynąć.

– Nie dam rady.

– Musisz, Wanda. Tam na górze są drzwi. Razem może uda nam się do nich dostać.

Dziewczyna wahała się bardzo krótko. Potem wzięła oddech i przez wybitą szybę wpełzła do wraku. Po chwili wynurzyła się z niego, dźwigając dwie kamizelki.

– Nałóż to na siebie. A drugą wyrzuć! – krzyknął Kuba.

– A ty?

– Nie dasz rady z tym do mnie do pływac. Wyrzuć.

Dziewczyna zrobiła, co kazał, ale zajęło jej to dużo czasu. Ręce nie chciały wykonywać poleceń. W końcu jednak zapięła paski. Drugą kamizelkę cisnęła z powrotem do furgonetki.

– Teraz musisz skoczyć do wody. Widzisz to? – Poświecił na wystającą z podłogi skrzynkę, po której przed chwilą się wspinał.

– Musisz tu dopłynąć. Pod prąd. Dasz radę?

– Nie wiem.

– Postaraj się. To nasza jedyna szansa.

Wiedziała, że miał rację. I ufała mu. Chciała zrobić to, o co ją prosił. Naprawdę chciała. Ale nie zdążyła.

Kuba nie poczuł szarpnięcia, ale potężna siła cisnęła nim o ścianę. Uderzył w nią i spadł kilka metrów w dół. Wprost do wody. Czuł ból w plecach, ale nie stracił przytomności. Odruchowo zacisnął dłoń na latarce. Tak mocno, że teraz niebieski plastik zabarwił się czerwienią krwi z zerwanego paznokcia. Dłoń zaczęła go wściekle piec, jednak nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Rozpaczliwie usiłował utrzymać się na powierzchni, ale woda kotłowała się jak w gigantycznym garze. Tony żelastwa znów przewalały się przez pokład, a towarzyszył temu nieopisany, ogłuszający huk.

Raginis nie leżał już na boku. Obrócił się stępką do góry.

Trwało to zaledwie chwilę. Kuba szybko pojął, co się stało. Zrozumiał też dwie rzeczy: po pierwsze, że Wanda nie żyje. Nie mogła tego przeżyć. Nie zadał sobie nawet trudu, by spróbować ją zawołać. Spadając do wody, widział kątem oka, jak potężna naczepa staranowała furgonetkę, na której stała dziewczyna. Po drugie, że burta, która jeszcze do niedawna stanowiła sufit, teraz znów jest burtą. A to oznaczało, że drzwi dla pilota ponownie są w jego zasięgu. A ponieważ wybito je tuż nad linią wody, to teraz, gdy statek leżał stępką do góry, znajdowały się na tyle wysoko, że być może woda nie zdążyła ich jeszcze zalać. Wystarczy tylko przepłynąć na drugą stronę.

Wystarczy tylko... dobre sobie.

Pierwotny instynkt przetrwania dodawał mu sił. Popędził więc kraulem w kierunku przeciwległej burty. Udało mu się tam

dotrzeć w całości, nie raził go żaden z miliona pływających pocisków. To zakrawało na cud. Nie pierwszy tej nocy. Dotarł do drzwi. Latarka przestała działać, najwyraźniej do jej wnętrza dostała się woda. Kuba ją wyrzucił. Poradzi sobie po ciemku. Wymacał okrągłe zamknięcie rygla i przekręcił je zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Szeliga może i był skurwielem, ale na swojej bosmańskiej robocie znał się jak nikt inny. Wszystko tu było idealnie nasmarowane i działało jak w szwajcarskim zegarku. Wystarczyło przekręcić i pociągnąć drzwi ku sobie.

Jednak fizyka rządzi się swoimi prawami. I bardzo restrykcyjnie ich przestrzega. Gdy tylko rygiel wyskoczył z otworu, potężna siła wepchnęła żelazne drzwi do środka i wyrwała je z zawiasów. Kuba w ostatniej chwili zdążył się przed nimi uchylić, ale wściekła pięść Bałtyku trafiła go prosto w twarz. Nim to jeszcze nastąpiło, zrozumiał, że tym razem szczęście go opuściło. *Raginis* zanurzył się już tak mocno, że od zewnątrz drzwi skryły się poniżej poziomu wody. Otwierając drzwi, Kuba dopełnił dzieła zniszczenia.

Fortuna bywa jednak kochliwa. Nawet jeśli zaledwie przelotnie i na chwilę, wiernie miłuje swych oblubieńców. I choć Kuba nie miał już sił, choć niemal zupełnie opuściła go świadomość, los raz jeszcze uśmiechnął się do niego. Stary, zmęczony dziesiątkami lat pracy na morzu kadłub nie wytrzymał tego wszystkiego. Wdzierająca się od dziobu woda obciążała go z jednej strony. Gromadzący się na rufie ładunek z drugiej. Wzdłużniki i wręgi popękały jak zapałki. Poszycie rozerwało się jak stare, przetarte płótno. Kuba niewiele z tego rozumiał. Nie wiedział, jak to się stało, że nagle znalazł się pośrodku targanego sztormem morza. Nie wiedział, dlaczego wyraźnie czuje deszcz i wiatr smagające go po twarzy. Zdumiony obejrzał się za siebie i ujrzał rufę statku miotającą się jak zraniony harpunem wieloryb. Wyrosła wysoko, ponad fale, a potem runęła w dół. Część dziobowa wciąż jeszcze utrzymywała się na wodzie, ale nie trwało to długo. Co chwila skrywała się pod potężnymi falami, by za moment ponownie pojawić się nad powierzchnią. W końcu jednak już się nie pojawiła.

Kuba widział to wszystko wyraźnie. Zupełnie jakby siedział w ostatnim rzędzie luksusowego kina. Jak to możliwe? Niebo zasnuwały chmury. Księżyc z pewnością był tego dnia na L4. Kuba ponownie się obrócił na fali i ujrzał oślepiający blask. Oczy zapiekły go od natężenia światła, więc je zamknął. A gdy już zamknął, to niemal natychmiast zasnął. Zdążył jeszcze tylko poczuć, jak czyjeś silne dłonie zaciskają się na jego ramionach.

ROZDZIAŁ 6

O szóstej rano Michael Jackson zaśpiewał, że liberyjska dziewczyna przysłała i zmieniła jego świat. Aleksander Gall nie otworzył oczu, ale pomacał dłonią pościel dookoła. W końcu znalazł komórkę. Nadszedł czas, by zmierzyć się z porankiem. Uniósł powiekę i zaspanym wzrokiem omiół wyświetlacz, po czym nacisnął zieloną słuchawkę.

– Halo – sapnął.

– Tata! – zaświergotało w słuchawce. – Tata!

– A dlaczego ty jeszcze nie śpisz, księżniczko?

– Bo dzwonię.

Anna chciała jeszcze coś powiedzieć, ale najwyraźniej ktoś jej zabrał telefon. Zapewne ów ktoś przykrył teraz mikrofon dłonią, bo tych kilka słów reprimendy, które usłyszał, było wyraźnie przytłumionych.

– Aleks? – odezwała się w końcu Weronika. – Przepraszam. Mam nadzieję, że cię nie obudziliśmy.

– Nie, skąd. – Aleks ziewnął do słuchawki i przeciągnął się jak kot.

– Aha, właśnie słyszę.

– A wy? Dlaczego nie śpicie? W Waszyngtonie chyba północ?

– Mamy małe przyjęcie.

– Czy ona naprawdę już umie obsługiwać telefon?

– Umie go odblokować, włączyć klawiaturę i przytrzymać jedynekę. A także nauczyła się już, że jedynka łączy z tatą. Prócz tego bez najmniejszych problemów potrafi sobie odpalić na YouTube Świnke Pepę i to dokładnie ten odcinek, na który ma ochotę.

– Kiedy to się stało? – wystękał Aleks, podnosząc się z łóżka. Potarł dłonią twarz i zrozumiał, że natychmiast będzie musiał się ogolić.

– No właśnie – odparła Weronika. – Kiedy?

– Co u was?

– Ona za tobą tęskni, Aleks.

Milczał. Co miałyby jej powiedzieć?

– I nie tylko ona – kontynuowała Weronika.

Ponownie się nie odezwał. Wiedział, do czego to wszystko dąży. A nie miał ochoty na taką rozmowę o szóstej rano. Weronika jednak nie dała mu wyboru.

– Ty też za nami tęsknisz – powiedziała cicho.

– Weroniko...

– Tak, wiem. Chryste, co tam u ciebie tak dudni?

– Christina.

– Kto, przepraszam?

– Wiatr. Mamy tu niezły orkan. Zazdrośnica!

– Uważaj na siebie.

– To tylko orkan.

– Uważaj na siebie – powtórzyła tonem nieznoszącym sprzeciwu i Aleks nie wdawał się więcej w polemikę.

– Ty też. – Ziewnął.

– Przyjedziesz?

– Za jakiś czas.

Rozłączyła się, a Aleks wstał z łóżka i ruszył w kierunku części kuchennej. Nigdy dotąd nie mieszkał w lofcie. A na pewno nie w tak ogromnym.

Do Speicherstadt wprowadził się w listopadzie. Po tym wszystkim, co go spotkało zeszłego lata, postanowił odsapnąć gdzieś w Europie. Hamburg wybrał przypadkowo. Baldur mu go polecił, a opinii Baldura ufał ponad wszystko. Zresztą trudno było odmówić, skoro Baldur wręczył mu klucze do swojego luksusowego loftu, twierdząc, że w najbliższym czasie i tak nie będzie tam mieszkał. Nic dziwnego. Z tego, co Aleks wiedział, Baldur posiadał przynajmniej pięćdziesiąt luksusowych apartamentów na całym świecie. I setki mniejszych mieszkań. Nie da się mieszkać we wszystkich jednocześnie.

Aleks przyjął propozycję bez wielkiego entuzjazmu. Pragnął raczej zniknąć z radarów i zaszyć gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie, ale wiedział doskonale, że z Baldurem tak się nie da.

Jego przyjaciel – doskonały haker i fałszerz – zawsze wiedział, gdzie Aleks przebywa i czym się zajmuje. Ten typ tak ma. Za to Aleks nie wiedział o nim właściwie nic prócz tego, że pochodzi z Wysp Owczych i jest kompletnym świrem. Dawniej służyli razem w jednostce specjalnej, ale to stare dzieje. Co do jednej rzeczy Aleks natomiast nigdy nie miał wątpliwości: choćby świat się palił i walił, Baldur nigdy go nie opuści w potrzebie. Ot, taka dziwna przyjaźń.

Wiatr znowu uderzył o ogromne szyby. Aleks podszedł do okna, wcisnął guzik i rolety się obróciły. Widok nie był imponujący. A może właśnie był? Kilkadziesiąt metrów na wprost widniała kolejna fasada Speicherstadt. Pomiędzy budynkami płynęły wody kanału Kehrwiederfleet. Zielony osad na ścianach wyraźnie dawał do zrozumienia, iż bywało, że woda miała tu wyższy poziom. Zwykle kanał przetaczał swe wody leniwie, gdy zakochane pary odbywały tu romantyczne przejażdżki łodzią. Niemal jak w Wenecji.

Tak. Speicherstadt zdecydowanie pasowało do Baldura. Gigantyczny, zbudowany w gotyckim stylu magazyn z ciemnoczerwonej cegły, zamieniony w luksusowe apartamenty dla bogaczy. Baldur urządził sobie gniazdko na poddaszu, dzięki czemu dysponował pewnie milionem metrów kwadratowych. Aleks zastanawiał się, czy jego farerski przyjaciel spędził tu choć jedną noc.

Bezwiednie nastawił kawę. Było dość ciemno, a pogoda sprzyjała raczej spaniu. Ale Aleks wiedział, że już nie zaśnie. Ostatnimi czasy po prostu nie spał zbyt dobrze.

W sumie nic dziwnego. Nawet tacy ludzie jak Aleksander Gall z trudem znoszą sytuację, w której najpierw dowiadują się, że ich żona i córka nie żyją, a potem, że owszem, żyją, ale tak naprawdę nie są jego żoną i córką. A najgorsze w tym wszystkim było to, że choć całe jego życie okazało się kłamstwem, Aleks nadal kochał swoje kobiety. A one kochały jego.

O popierdolony świecie.

Kawa smakowała wyśmienicie. Nic dziwnego. Za kilogramowe opakowanie zapłacił prawie dwieście euro. Cóż. Stać go było.

Dostał spore pieniądze od amerykańskiego Kongresu za złapanie terrorysty zwanego Sługą. Poza tym po śmierci ojca Weronika Bird odziedziczyła doskonale prosperującą firmę. I choć w momencie przejścia miała zaledwie dwadzieścia cztery lata, początki jej kariery w nowym środowisku zwiastowały, że jeśli chodzi o sprawność biznesową, nie ustępowała staremu Birdowi na krok. Już w pierwszym miesiącu podpisała umowę na dostawę prawie stu szerokokadłubowych GB91 dla trzech wielkich azjatyckich linii lotniczych, a następnie wdrożyła projekt zupełnie nowego samolotu – GB01 – piętnastomiejskowej powietrznej taksówki dla regionalnych linii lotniczych. Podobno, mimo iż maszyna jeszcze nie istnieje nawet na papierze, kontrahenci już się o nią zabijają, a zamówienia spływają ze wszystkich stanów.

Przez jakiś czas Weronika próbowała przekonać Aleksa, że choć ich małżeństwo było fikcyjne, to przecież zawarte w zupełnie legalny sposób, więc Aleksowi należy się połowa majątku starego Birda. Nie chciał o tym słyszeć, ale przyjął stanowisko przewodniczącego rady nadzorczej z pensją wysokości półtora miliona dolarów rocznie. Stanowisko kompletnie fikcyjne, ale już do końca życia nie musiał się martwić o pieniądze.

Chciał zapalić, ale odczuwał lekki dyskomfort. W końcu nie był u siebie. Nie wiedział, co Baldur myśli o paleniu w mieszkaniu. Wprawdzie mały Farer nie stronił od dymka, ale czy palił w swoim apartamencie za pierdylion euro? W normalnych okolicznościach Aleks za pomocą jednego przycisku uchyliłby jedną z ogromnych szyb, ale przy tej pogodzie wolał nie ryzykować.

Włożył spodnie, wziął kubek z kawą i ruszył ku drzwiom. Skoro i tak nie będzie już spać, to równie dobrze może się przejść do usytuowanej na parterze palarni.

Gdy miał chwycić klamkę, usłyszał dzwonek telefonu. Nie spodziewał się tego. Nikt nie wiedział, że tu mieszka. Że w ogóle ktoś tu przebywa. Podniósł słuchawkę.

– Tu ochrona. Policja do pana idzie – usłyszał chropawy głos. Bogacze nie po to płacili gigantyczne pieniądze, by musieć się

mierzyć z domokrażcami, świadkami Jehowy i innymi natrętami. Ochroniarze urzędujący w patiu skutecznie odsiewali tego typu element. Ale żeby ostrzegać przed policją? Musieli mieć naprawdę dobre pensje.

Kilka minut później dało się słyszeć walenie do drzwi. Aleks otworzył i ujrzał dwóch mundurowych.

– Pan Aleksander Gall? – zapytał jeden z nich po niemiecku. Na szczęście Aleks swobodnie się posługiwał tym językiem.

– Owszem.

– Komendant Terim chciałby pana widzieć.

– To wspaniale. Powiedzcie mu, że bardzo mi z tego powodu wszystko jedno.

Miał zamiar zamknąć drzwi, ale drugi z policjantów zablokował je butem.

– Panie Gall – rzekł ciężkim, zmęczonym głosem – powiem inaczej. Komendant Terim bardzo pana prosi, by zechciał pan go odwiedzić.

– Jestem w coś zamieszany?

– Jeszcze nie – odparł pierwszy. – Ale to się może zmienić.

ROZDZIAŁ 7

Wielka plazma, zapewne największa w całym Szczecinie, mignęła i włączyła się na poranne wiadomości. Tomasz Makuszewski do dziś nie wiedział, jakim cudem jego żona, która nie miała nawet konta na Facebooku, potrafiła tak zaprogramować telewizor, by zamienić go w wielki budzik za pięć patyków. I to skuteczny budzik. Makuszewski otworzył oczy. Spojrzał na wyświetlacz i ujrzał godzinę: siódma rano. Dezorientacja trwała tylko chwilę. Kompletnie zapchany nos przypomniał mu, dlaczego jeszcze nie jest w pracy. W ogóle się tam dziś nie wybierał. Wieczorem miał wysoką gorączkę i wezwany w nocy lekarz stanowczo odradził mu wycieczkę do biura. Żona poszła o krok dalej i poinformowała go, że jeśli pójdzie do roboty, to się z nim rozwiedzie. A potem przeprogramowała budzik z piątej trzydzieści na siódmą. Taki bonusik od życia.

Reklamy. Nic, tylko reklamy. Makuszewski machnął ręką i podniósł się z łóżka. Wcisnął na pilocie wyciszanie, bojąc się, że nie zniesie kolejnej dawki nachalnych informacji o tym, co mu na pewno jest, na co z pewnością powinien się leczyć i za pomocą jakich specyfików. Dziewięćdziesiąt procent dzisiejszych reklam zachęca do kupowania leków. Makuszewski miał tego powyżej uszu.

Poszedł pod prysznic. Żona i córki już wyszły, nie musiał się więc spieszyć. Zafundował sobie wyjątkowo długą niasiadówkę w jacuzzi. *Ej, lekarz mówił, że to pomaga na przeziębienie!* Uwielbiał siedzieć w wannie. W weekendy potrafił wstać godzinę wcześniej, by do niej wleźć z książką. Teraz też sięgnął po lekturę. Żona mu poleciła debiutancką książkę Rafała Cichowskiego. Jakieś postapokaliptyczne klimaty z fajnym przekazem. Makuszewski uwielbiał takie rzeczy, a debiutant okazał się sprawnym konstruktorem myśli.

Wyszedł z łazienki po trzydziestu minutach. Owinął się szlafrokiem i ruszył do kuchni. Pstryknął włącznik czajnika, a z szafki wyjął pudełko z chińską herbatą, którą pół roku temu osobiście zebrał w czasie wycieczki na plantację w Tybecie. Woda zagotowała się w trzydzieści sekund. Zalał herbatę wrzątkiem, dodał trochę miodu i wcisnął odrobinę soku z cytryny. Potem leniwym krokiem ruszył z powrotem do sypialni.

Usiadł na łóżku. Wziął łyk naparu i przez chwilę poczuł się jak młody bóg.

A potem machinalnie spojrzął na ekran telewizora.

Kubek wyleciał mu z dłoni i herbata rozlała się po pościeli i szlafroku. Makuszewski poczuł, jak robi mu się gorąco. Nie od rozlanej herbaty. Od tego, co ujrzał w TVN24.

Obraz był zaśniewany i rozmyty, a w dodatku straszliwie się trząsał. Z pewnością ujęcia, które oglądał, nakręcono z pokładu helikoptera. To nie było dzieło ekipy telewizyjnej. Raczej jakiegoś wojskowego. A może po prostu automatycznej kamery?

Makuszewski oglądał sztorm na Bałtyku. Morze było białe od piany. Gdzieś pomiędzy wzgórzami i dolinami pływało coś, co w pierwszej chwili wyglądało jak morskie śmieci. Ale on poznał je od razu. Żółty pasek informował: MF WŁADYSŁAW RAGINIS ZATONAŁ W CZASIE SZTORMU NA BAŁTYKU. TRWA AKCJ... Dalsza część informacji zniknęła poza kadrem. Makuszewski nie odczekał, by ją doczytać. Nerwowymi ruchami przeszukał pościel, ale nie znalazł komórki. Zerwał się z łóżka i podbiegł do stojącego nieopodal krzesła, na którym wisiały jego dzinsy. Nim jeszcze przetrzepał kieszenie, wyczuł przez materiał znajomy kształt telefonu. Szarpał się moment z materiałem, który jakby się uparł, by uwieźć w kieszeni starego samsunga. W końcu jednak wyrwał go i odrzucił spodnie. Szybko odblokował ekran i zamarł. Przypomniawszy sobie, że wyciszył telefon w czasie nocnej wizyty lekarza. Teraz miał ponad sto nieodebranych połączeń. Musnął ekran i urządzenie automatycznie wybrało nieodebrane połączenie. Odbiorca odebrał po sekundzie, jakby tylko na to czekał.

- Tomek, kurwa, gdzieś ty był? *Raginis* zatonał.
- Jezus Maria. Co z ludźmi?
- Znaleźli tylko jednego.

Makuszewski usiadł na podłodze. Telefon wypadł mu z dłoni.

- Szefie, jesteś tam?! - krzyczała osoba po drugiej stronie cyfrowego przewodu. - Szefie? Tomek! Tomek!

ROZDZIAŁ 8

Ostatni raz Hamburg był tak pusty dwanaście miesięcy temu, kiedy orkan Ksawery spowodował podtopienie połowy miasta. Christina wprawdzie nie miała dość siły, by dorównać swojemu o rok starszemu bratu, ale ludzie woleli nie ryzykować. Kto mógł, pochował auta w halach garażowych i nie wyściubiał nosa z domu.

Ruch w mieście właściwie zamarł, ale radiowóz w postaci mercedesa benza klasy E jechał wyjątkowo wolno. Napór wiatru zdawał się unosić potężną maskę pojazdu, a kierowca nerwowo rozglądał się na boki, jakby starał się w porę wypatrzeć nadlatującą nie wiadomo skąd gałąź czy fragment gzysmu.

Aleks bezwiednie przesuwiał palce po ekranie smartfona. Piąty raz włączał tę samą stronę z wiadomościami, ale nie przeczytał nawet jednego nagłówka. Komendant Hanza Terim chce go widzieć. A to nie wróży niczego dobrego. Delikatnie powiedziałwszy.

Poznali się w listopadzie, kilka dni po tym, jak Aleks wprowadził się do Speicherstadt. Czternastego, w swoje urodziny, postanowił wypuścić się na miasto. Jak na końcówkę roku było dość ciepło, włożył więc lekką kurtkę skórzaną i ruszył na Reeperbahn, ulicę znaną w świecie z wielu atrakcji, a przede wszystkim z domów uciech cielesnych oferujących usługi przybywającym z każdego zakątka globu marynarzom. Ale on chciał się po prostu napić piwa.

Knajpkę wybrał w ciemno. Było w niej mnóstwo ludzi, a na podwieszonych pod sufitem plazmach pokazywano jakiś mecz. Kupił piwo i chciał gdzieś usiąść, ale cóż – pobożne życzenie. Chwilę postął, nim zwolniło się jedno miejsce przy długiej ławie.

Z napisów na ekranie wynikało, że towarzysko grają ze sobą Hamburger Sport-Verein i FC St. Pauli. Aleks nie znał się za bardzo na piłce. Lata spędzone w Ameryce spowodowały, że

wypadł nieco z obiegu. Kojarzył kilka drużyn z Polski, wiedział, że Lechia, której jako dzieciak kibicował, gra teraz w ekstraklasie, i tyle. Z niemieckich drużyn obili mu się o uszy Borussia Dortmund i Bayern Monachium. Do tego kilka znanych firm z Włoch, Anglii i Hiszpanii. Aha, i jeszcze francuskie PSG. Ale oglądanie piłki w telewizji nieodmiennie sprawiało mu radość. Cóż. Po prostu był Europejczykiem.

Kiedy człowiek siedzi w knajpie z bandą kibiców, pije piwo i zasadniczo jest mu dobrze, to bardzo szybko spostrzega, że kibicuje tym samym co reszta. Dlatego gdy HSV strzeliło gola, Aleks zmanifestował swą radość. Nic szczególnego. Nie należał do ludzi, którzy potrafią okazywać emocje. Krzyknął jakieś „jest”, jakieś „goool” czy coś w tym rodzaju. Skąd mógł wiedzieć, że w Hamburgu są dwie drużyny? I że Reeperbahn położone jest w dzielnicy St. Pauli, zaledwie rzut beretem od stadionu drużyny o tej samej nazwie? I że ci, co kibicują St. Pauli, to najbardziej lewicowi kibole świata, którzy całym sercem nienawidzą kapitalistów z HSV? Na Boga, mieszkał tu raptem od kilku dni.

Nim przyjechała policja, wysłał do szpitala sześciu agresorów. Nie musiał się nawet przesadnie wysilać. Zresztą pewnie w ogóle wykręciłby się od bijatyki, gdyby nie to, że jeden z tamtych wyciągnął nóż. Cóż było robić? Ostatnią osobą, która tamtego dnia odebrała od Aleksa lekcję, był komendant Hanza Terim. Niby skąd Gall mógł wiedzieć, że to policjant? Siedział z nimi wszystkimi, pił z nimi wszystkimi i nawet wyglądał jak oni. Podobno Terim chciał ich rozdzielać, ale najwyraźniej Aleks nie rozumiał jego zamiarów.

Minęli most pod torami i kierowca nieoczekiwanie przeskoczył przez linię ciągłą i zjechał z Amsinckstrasse w lewo, w Nordkalanbrücke.

– Tędy nie jedzie się do komendy – zauważył Aleks.
– Ano nie – potwierdził policjant siedzący na fotelu pasażera.
– Ile u was się dostaje za przekroczenie linii ciągłej?
– Nieżyły z ciebie cwaniaczek, co? – powiedział kierowca, rzucając Aleksowi wyzywające spojrzenie w przyklejonym do szyby lusterku. – Kiedyś się doczekasz przykrej niespodzianki.

– Z pewnością – odparł Gall i wrócił do smartfona. Stwierdził, że cała ta wycieczka to doskonała sposobność, by odpisać na kilka zaległych maili.

Kiedy przyjechała policja, Aleks oczywiście trafił do aresztu. Ale wyszedł z niego szybciej niż Terim ze szpitala. Cóż, znajomy wpływowy amerykański kongresman potrafi wyciągnąć człowieka z paki. Zwłaszcza jeśli ów kongresman kilka dni wcześniej wygrał wybory do Senatu i od stycznia miał zasiadać w wyższej izbie amerykańskiego parlamentu. A kongresman Kowalsky wygrał wybory w dużej mierze dzięki Aleksowi.

Łatwo w takiej sytuacji zrozumieć gniew Terima, a jego kreatywność i zawziętość godne były jednego z dwojga: podziwu albo współczucia. Doszło do tego, że komendant kazał wciągnąć kartę kredytową Aleksa na listę skradzionych, by móc kontrolować każdy jego ruch. Kiedy w styczniu Aleks pożyczył auto w wypożyczalni Hertz, Terim pojechał za nim i kawałek za miastem osobiście wlepił mu mandat za przekroczenie prędkości o siedem kilometrów na godzinę. Potem dwukrotnie robiono mu nalot, na podstawie rzekomych anonimowych donosów, ponieważ podobno w jego apartamencie handlowano narkotykami. Oba naloty odbyły się o czwartej rano i oba Terim osobiście nadzorował. Jak dotąd nie odważył się jeszcze nic Aleksowi podrzucić, ale Gall nie miał wątpliwości, że w końcu to nastąpi.

Kiedy na estakadzie zjechali na autostradę, Aleks westchnął. To nie wróżyło nic dobrego. Raczej nie wieźli go za miasto. Pewnie zjadą następnym zjazdem. A ta droga wiodła do dworca towarowego i doków. Odludna okolica, doskonała do wszelkiego rodzaju zabaw, którym oddają się mężczyźni o zranionej dumie.

Ale Aleks się nie przestraszył. Jego znajomi mawiali, że nie ma układu nerwowego. Po prostu natura wyłączyła mu jakiś neuron w głowie i Gall nie odczuwał stresu nawet w trakcie ślubu.

Ale głupiego gliniarza zawsze łatwo wyprowadzić z równowagi. A zwykle można przy okazji coś ugrać.

– Ej, kolego – rzekł Aleks, klepiąc w ramię kierowcę – powiedz mi, jak tam się pracuje pod rządami Turasa?

– Pierdol się – warknął kierowca.

– I lepiej się już nie odzywaj, dobrze ci radzę – dodał ten drugi.

Aleks się uśmiechnął. Jeszcze niedawno, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, w hamburskiej policji wybuchł wielki skandal o podłożu rasistowskim, a teraz komendantem głównym jest niemiecki Turek. Albo turecki Niemiec, jak kto woli.

– Bo co? – rzucił Aleks prowokacyjnie. – Zabrałeś mnie rano z domu bez żadnego nakazu. Jestem tu z własnej woli, łajzoo.

– Co powiedziałeś?! – krzyknął ten z fotela pasażera.

– Spokojnie. Nie daj mu się sprowokować – powiedział kierowca i na wszelki wypadek docisnął gaz. – Już prawie jesteście.

Faktycznie. Opuścili autostradę kolejnym zjazdem, objechali dookoła Ikeę i zaraz za nią skręcili w prawo, a potem w lewo. Wjechali na wąską drogę wiodącą ku ogródkom działkowym. Zwykle mieściła zaledwie jedno auto. A dziś nawet tyle nie.

– Kurwa mać – zaklął kierowca – tu się nie da jeździć.

Zwolnili do dwudziestu kilometrów na godzinę, a i tak zdawało się, że jadą za szybko. Amortyzatory pracowały pełną parą, próbując wyłapać nierówności drogi, ale Aleks musiał się chwycić zagłówka kierowcy, by utrzymać równowagę.

– A myślałem, że w Polsce mamy kiepskie drogi – powiedział, wyglądając przez okno. – Co tu się stało? Przecież ten asfalt wygląda, jakby go ktoś rozwalił młotem pneumatycznym.

– Nie marudź – odrzekł niechętnie kierowca, uważając przy tym, by sobie nie odgryźć języka. – Jeszcze przedwczoraj była tu normalna droga. Ale przez ten jebany orkan ziemia się osunęła. Wczoraj rano tędy jechałem i myślałem, że wywinę fikołka.

Był tu wczoraj rano? Oj, Terim, Terim. Co ty kombinujesz, cholerny skurczybyku?

Dotarli do końca drogi i zatrzymali się przy bramie, na której wisiała tabliczka z napisem VERBOTEN. Przy bramie stał komendant Hanza Terim.

– Wsiadaj – powiedział kierowca. Aleks posłuchał. Obaj policjanci również opuścili radiowóz. Wszyscy razem ruszyli

w kierunku Terima, który dopalał właśnie papierosa.

– As-salam alajkum – rzucił z uśmiechem Aleks.

– Spierdalaj – odparł Terim.

– Chętnie. Powiesz swoim łapsom, żeby mnie odwieźli, czy mam sobie wziąć taksówkę?

– Gall, czy ty musisz zawsze być tak wkurwiający?

– A jak nos, komendancie? Mam nadzieję, że już się zrosł.

– Szefie... – zaczął kierowca, kładąc dłoń na wiszącej u pasa pałce.

– Nie – odparł Terim.

– Pewnie, że nie – powiedział spokojnie Aleks, kierując wzrok na kierowcę. – Myślisz, że dam sobą pomiatać, ty głupia pało? Złamałem nos twojemu szefowi i wypuścili mnie po godzinie. Za ciebie nie dostanę nawet pięciu minut w pace.

Terim westchnął.

– Gall, na Boga, czy możesz być choć raz poważny?

– I kto to mówi? Mandat za przekroczenie prędkości o siedem kilometrów na godzinę? Serio? Naloty o czwartej nad ranem?

– Potrzebuję twojej pomocy – oświadczył komendant zrezygnowanym tonem. Dopiero teraz Aleks zauważył, że Turek wyglądał, jakby nie spał całą noc.

– Opracowałeś wspaniały sposób, jak gładko i za pierwszym razem uzyskać odmowę. Wysyłasz po mnie tych dwóch chamów, witasz epitetami. I jeszcze chcesz...

– Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, Gall. I zmęczeni. Ale teraz mówię poważnie. Proszę cię o twoją pierdoloną pomoc.

ROZDZIAŁ 9

Kierowca był zadowolony. I nie popsuł tego nawet fakt, że zamiast o dziesiątej musiał przyjechać po admirała o szóstej rano. No, ale wczoraj Frölunda gładko wygrała z Leksands 4:0, a on nawet za wiele nie spóźnił się na mecz. Ach, co to był za mecz. Długo jeszcze będzie się o nim mówić. Kto wie, może nawet Indianie zdobędą w tym roku tytuł? Z taką grą, jak wczoraj, wszystko jest możliwe.

Ziewnął. Trochę mu się chciało spać, bo przecież po meczu trzeba było pójść z kumplami na piwo. Wrócił do domu przed trzecią. Ale nawet mimo to czuł się bardzo dobrze. Prowadził pewnie, dość szybko, ale bez niepotrzebnej brawury. Jego zadania sprowadzały się jedynie do tego, by kontrolować kierownicę. Resztą zajmował się tempomat. Są tacy, którzy nie lubią jeździć autostradami. Twierdzą, że ich to nudzi. Ale kierowca admirała Bergmana był inny. Dla niego wygodna, bezstresowa jazda była nagrodą za cały tydzień przeciskania się przez wąskie uliczki Göteborga.

Już trzeci raz wioził Bergmana do Ystad. Wiedział, że droga zajmie im dokładnie trzy i pół godziny. Że na miejscu zabawią ze dwie, potem zjedzą obiad, a później pojedą w pewne tajemnicze miejsce, gdzie admirał zabawi godzinkę lub półtorej. Trzeba będzie być czujnym i dopilnować, by nikt admirałowi nie zrobił zdjęcia, gdy będzie z owego tajemniczego miejsca wychodzić, a konkretniej, gdy będzie się czule żegnał z tą swoją tęgą blondyną z gigantycznymi cyckami. Następnie powrót do domu. Cały dzień w trasie. Wspaniale.

W kompletnie odmiennym nastroju był admirał Yngve Bergman i nawet wizja szybkiego numerka z Monicą nie potrafiła mu poprawić humoru. Nie chciał już jeździć do Ystad. Nie po to, po co miał się tam dziś zjawić.

W ciągu ostatnich kilku tygodni wielokrotnie się zastanawiał,

jakim do cholery cudem wpakował się w tę sprawę. Jak to możliwe, że on, żołnierz w trzecim pokoleniu, błyskotliwy strateg i dowódca, upadł tak nisko? Dał się nabrać na tak dziecinną sztuczkę? Zawsze mu się zdawało, że jest kimś. Mężczyzną z zasadami. Z honorem. Ale cóż. Pięć milionów dolarów, które ostatnio wpłynęło na jego konto, miało na ten temat inne zdanie. Yngve solidnie się musiał napracować, by ukryć prawdziwe pochodzenie tych pieniędzy. Dzięki kilku przekupionym urzędnikom został ostatecznie właścicielem wielkiego spadku po jakimś tam dawno zapomnianym krewnym z Europy Wschodniej. Ale prawda jest taka, że te pieniądze wyjątkowo mu ciążyły.

I kiedy w końcu zebrał się na odwagę i postawił swoim mocodawcom spod ciemnej gwiazdy, okazało się, że gówno może. Że po prostu do nich należy. I być może będzie należał całe życie.

Zadzwoił telefon. Yngve spojrzął na wyświetlacz, a potem na kierowcę, a ten dostrzegłszy w lusterku spojrzenie szefa, bez słowa wcisnął przycisk podnoszący dźwiękoszczelną szybę pomiędzy częścią pasażerską a przedziałem kierowcy.

– Prosiłem, żebyś nie dzwonił bez powodu – warknął Yngve. – Jestem w drodze. Odbiorę kontener za dwie godziny. Jak zwykle.

– Zapomnij o tym – rzekł dzwoniący, a jego ton bardzo się admirałowi nie spodobał.

– Co? O czym ty mówisz, do cholery?

– *Raginis* zatonał.

Admirał poczuł się tak, jakby jego limuzyna znalazła się nagle kilometr pod wodą, zgniatana potężnym ciśnieniem. Zabrakło mu powietrza, a oczy zaszyły mgłą.

– Jak to? – wydukał tylko. – Co ty mówisz?

– *Raginis* zatonał. I teraz mamy przejebane. Ty masz przejebane. Chyba że zrobisz, co trzeba.

– Nie rozumiem. Co się stało?

– Skup się. *Raginis* za-to-nał. Trwa akcja, ale z tego, co wiem, na razie nikogo nie znaleźli. Lada moment powołają komisję, a ta z pewnością będzie chciała sprawdzić, co zaszło. I wyśle nurków.

A jak się postarają, to znajdą pewien kontener, którego znaleźć nie powinni. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak – bąknął admirał. – Kontener.

– Jak go znajdą, to wszystko zrozumieją. Dowiedzą się o twoim udziale.

– I twoim.

– Tak. Moim też. Więc albo obaj się z tego wypłaczymy, albo obaj mamy przejebane.

Yngve wziął głęboki oddech. Kurwa mać, jestem pieprzonym admirałem w tym pieprzonym kraju! Powinienem sobie poradzić, pomyślał.

– Przejmę śledztwo – rzekł twardo do słuchawki. – Wyślę Straż Wyrzeża do diabła, a zaraz za nimi śledczych z SHK. Mam zaufanych ludzi. Muszę tylko znaleźć jakiś pretekst.

– Przecież to proste – powiedział rozmówca, a w jego głosie dało się wyczuć wyraźną ulgę. – Podejrzanie terroryzmu. Ustalcie szybko jakąś wersję, a potem zalejcie wszystko betonem.

– Betonem?

– Na Boga. Skup się. Pamiętasz *Estonię*? Ogłosisz, że miejsce spoczynku wraku jest podwodnym cmentarzem czy czymś tam jeszcze. W każdym razie żaden zasrany nurek nie ma prawa zbliżyć się do wraku. Jak ci się uda tego dopilnować, to nikt się nie dowie.

– Tak. Racja. Wracam do Göteborga.

– Nie. Jedź do Ystad. Zaskocz ich. Przejmij sprawę, zanim się zorganizują. Admirale, to już nie jest gra o pieniądze. To gra o życie. I to dosłownie, bo jak ktoś się dowie o tym wszystkim, to nawet w wojskowym więzieniu szybko wsadzą ci kosę pod żebro.

– Skończyłeś? – warknął Yngve. – To teraz ty mnie posłuchaj. Od tej chwili ja się zajmuję tą sprawą. Bo to ja wiem, co mam robić, a nie ty. I właśnie teraz zawracam i jadę do Göteborga. Niech śledczy powołają zespół. Wkroczę wtedy, kiedy będzie trzeba, i nic ci do tego. Bo nie masz pojęcia o tej robocie. Jeśli chodzi o ciebie, mam tylko jedno polecenie: nigdy więcej do mnie nie dzwoń. Załatwię to sam. Jasne? Skasuj mój numer. Jeśli choć raz cię zobaczę, albo choć raz odważysz się do mnie zadzwonić, to

pożałujesz. Potrafię to tak zorganizować, żeby cała wina spadła na ciebie.

– Nie wątpię, że potrafisz, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Masz do wyboru: pograć się razem ze mną, pograć się samemu lub się z tego wykręcić. Decyduj.

– Zgoda.

– Co?

– Zgoda, admirale. Znikam z twojego życia. Ale jeśli tego nie załatwisz, to cię odszukam. A wtedy będziesz się modlił o wojskowe więzienie.

Połączenie zostało przerwane. Yngve zaklął pod nosem. Nie tak miała wyglądać ta rozmowa. Nie po to zainstalował na swym smartfonie apkę do nagrywania rozmów, by teraz tak się podkładać. I nawet nie wiedział, jak to teraz skasować. Będzie się tym musiał później zająć.

ROZDZIAŁ 10

Aleks gwizdnął przez zęby.

– A cóż to jest, do cholery? – zapytał.

– Wiedziałem, że ci się spodoba – odparł Terim.

Kiedy przekroczyli bramę, oczom Aleksa ukazały się dziesiątki radiowozów. Kompletnie zastawiły one parking dworca Billwerder-Moorfleet. Wyglądało na to, że cała stacja została wyłączona z użytku, bo wypełnione zwykle perony teraz świeciły pustkami, a przejeżdżający chwilę wcześniej pociąg linii S2 zwolnił, ale się nie zatrzymał.

Aleks i Terim zeskoczyli z peronu, przeszli przez torowisko i dotarli do części cargo. A tam Aleks zobaczył...

– No tak – rzekł z przekąsem. – Podoba mi się. Ale co to jest?

– Le Coffre – odparł Terim. – Tak go nazywają Francuzi. Szkatułka. Jeżdżący sejf.

Faktycznie, wagon przypominał nieco sejf. Piętnastometrowy sejf. Nie miał okien, a pośrodku znajdowały się rozsuwane drzwi. Przymocowana obok dotykowa klawiatura sugerowała, że nie każdy może te drzwi otworzyć.

– W porządku, Terim. Zaciekawileś mnie. Ale mam nadzieję, że to nie koniec niespodzianek.

– Niestety nie – odparł komendant. – Wierz mi, że wolałbym dać sobie zgnieść jaja w imadle, niż prosić cię o pomoc.

– W to akurat wierzę. – Aleks się zaśmiał. – Rozumiem, że ktoś ci okradł szkatułkę?

– O rany, Gall, skąd wiedziałeś? Czyżbyś miał z tym coś wspólnego? Może powinienem cię wsadzić?

– Śnij dalej, Terim.

– Mieszkasz tu już tak długo, że prawdziwy z ciebie hamburczyk. Zatem zapewne spotkałeś się na mieście z niebieskim logo przedstawiającym piorun wpisany w koło? To logo francuskiego banku Le Ressort. Zastrane żabojady robią tu

niezły biznes. Obsługują całe północne Niemcy. Siedziba niemieckiego oddziału mieści się tu, w Hamburgu. Dwa razy w miesiącu zbiera zgromadzony kapitał z wszystkich dziewięciu landów, przesyła tu, a stąd ekspediuje do Paryża takim właśnie pociągiem. Operacja trwa zwykle około czterech dni. W tym czasie my i wewnętrzna ochrona banku zabezpieczamy wszystko, co się da.

– Ale tym razem coś poszło nie tak, mam rację?

– Masz cholerną rację, Gall. Wczoraj pociąg wyruszył o dwunastej trzydzieści. Moi ludzie zabezpieczali odjazd. O dziewiętnastej trzydzieści pociąg przyjechał na miejsce. Gdy go otwarto, okazał się pusty. Rozumiesz? Dosłownie pusty. Nie było w nim ani pieniędzy, ani konwojenta.

– Bardzo mnie smucą twoje niepowodzenia, Terim. Ale szczerze mówiąc, co mi do tego. Złapcie konwojenta i po sprawie.

– Szukamy go. Ale jest kilka rzeczy, których nie potrafimy zrozumieć. Ani my, ani Francuzi, którzy przetrzepali wagon od osi po sufit, nim nam go odesłali.

– Mów.

– Rutyna wygląda tak: o ósmej rano pieniądze wyruszają z głównego skarbcza, który, rzecz jasna, jest w pełni monitorowany. Obsada furgonetki to trzy osoby. Dwóch w sfoferce i jeden z tyłu. Za furgonetką jedzie radiowóz. Wnętrze furgonu jest monitorowane. Cztery niezależne kamery. Konwój dociera tutaj. Ściśle mówiąc, na bocznicy tuż przy bramie, przy której wysadzili cię moi ludzie. Tam jest specjalna rampa. Samochód podjeżdża tyłem do drzwi wagonu. Jeden z konwojentów opuszcza kabinę i wsiada do pociągu. Następnie furgon cofa się do krawędzi. Następuje szczelne połączenie. Tak jakbyś przechodził z jednego pokoju do drugiego. Nikt nie jest w stanie się przecisnąć, więc nie ma jak zaatakować konwojentów w czasie przeładunku. No więc tych dwóch przeładowuje kasę. Później furgon odjeżdża. Jeden z konwojentów zostaje w środku i jedzie z przesyłką do Paryża. Drugi zamyka drzwi wagonu za pomocą elektronicznego zamka. Zna jednak tylko kod zamknięcia. Drzwi zostaną otwarte dopiero

w Paryżu, przez zupełnie innych konwojentów. Od wewnątrz nie da się tego zrobić. Nawet nie ma klamki. To są drzwi elektromagnetyczne. Żaden człowiek nie dałby rady otworzyć ich siłą. I nie muszę chyba dodawać, że cały pociąg naszpikowany jest kamerami.

- Rozumiem, że już je przejrzelście? - zapytał Gall.

- Całą noc je przeglądamy.

- I co?

- Zaraz do tego dojdę. No więc wczoraj wszystko wyglądało normalnie. Konwojenci załadowali pieniądze do wagonu i pociąg ruszył. Przez całą drogę do Paryża nad pociągiem leci śmigłowiec. Wczoraj też tak było. Tyle że jak pociąg dojechał i otwarto drzwi, okazało się, że nie ma ani pieniędzy, ani konwojenta. To znaczy były worki, ale wypełniały je pocięte papiery. Jak na filmach.

- Dużo tego było?

- Blisko dziesięć milionów euro.

Po wysuwającym stopniu weszli do wnętrza wagonu. Panował w nim zaduch. Aleks rozejrzał się i szybko wypatrzył osiem niewielkich kamer. Cztery z nich miały obrotowe czasze.

- Kamery mogą się obracać - zastanawiał się głośno Aleks. - Czy to znaczy, że mają operatora?

- Nie rozumiem - bąknął Terim.

- Czy kamery wysyłają obraz on-line. Czy ktoś może na bieżąco monitorować zdarzenia?

- Nie. Cały obraz przesyłany jest do centralnego komputera w siedzibie działu ochrony banku i tam nagrywany na dyskach. Ten komputer steruje wszystkimi systemami ochrony, dlatego nasi ludzie już mu się przyglądają.

- A obrotowe czasze?

- Cztery kamery przez całą drogę zataczają koła. Ale nigdy nie jest tak, że robią to w takich samych interwałach. Krótko mówiąc, zawsze przynajmniej dwie pokazują ogólny obraz wnętrza wagonu. Pozostałe cztery urządzenia umieszczone są na sztywno i pokazują wciąż ten sam obraz.

- Co pokazały wczoraj?

– Przejazd furgonem od banku do pociągu przebiegł bez żadnych zakłóceń. Trwał krótko, więc przejrzelśmy to bardzo dokładnie. Ustaliliśmy, że nagranie nie jest w żaden sposób zmontowane. Załadunek też przebiegał sprawnie. Kiedy pociąg ruszył, wszystkie kamery zarejestrowały konwojenta siedzącego wewnątrz i worki z kasą w specjalnym kojcu. Potem nie działa się dosłownie nic. Gdzieś po dwóch godzinach jazdy konwojent położył się na koi i zasnął. Nie ma w tym nic złego. Wolno mu. Nie może tylko zgasić światła. Zresztą i tak nie mógłby tego zrobić, bo nie ma włącznika. Do środka nie dostaje się światło słoneczne, więc wewnętrzne lampy palą się na okrągło. Nieważne. Nasz gagatek kilkakrotnie przewracał się z boku na bok, aż w końcu obudził się mniej więcej pięć minut przed dotarciem na miejsce. I wtedy stała się dziwna rzecz. Na trzydzieści sekund zgasło światło. Gdy się ponownie zapaliło, konwojenta nie było już w wagonie. Nie miał się gdzie schować, ale po prostu zniknął. A wraz z nim pieniądze. Jakimś cudem w pół minuty podmienił worki z kasą na wzięte nie wiadomo skąd worki z papierami, a potem za pomocą pieprzonej magicznej sztuki wyparował z kasą. Nagranie nie nosi śladów manipulacji. Maszynista nie zauważył żadnego spadku mocy, którym można by to wytłumaczyć. Zapytałem, bo podobno dość często zdarzają się takie spadki i wtedy na nagraniu zaciemnia się obraz. Kamery mają swoje zasilanie, więc pracują cały czas. Gaśnie jednak światło. Ale nie tym razem. Załoga śmigłowca też niczego nie widziała. Magia, Gall.

Aleks nie odpowiedział. Przyglądał się wnętrzu wagonu i musiał przyznać, że sprawa jest dość tajemnicza. Wnętrze zbudowane było ze stalowych paneli. Z pewnością ani w podłodze, ani w ścianach nie dało się zamontować żadnych ukrytych schowków. Poza tym to by wymagało pracy wielu osób, a sprawna ekipa śledcza i tak natychmiast odkryłaby modyfikacje.

- Powiedz mi coś więcej o tym pociągu, Terim.
- Pociąg jak pociąg. Tylko krótszy.
- Krótszy?

- Tylko lokomotywa i ten wagon.
- Bez dodatkowego obciążenia?
- Bez.
- Za jaką lokomotywą?
- Ströth, za jaką lokomotywą jechał ten wagon?! - krzyknął Terim do jednego ze swoich ludzi. Młody policjant wyciągnął z pokrowca tablet i przez kilka chwil muskał palcem po ekranie.
- Siemens EuroSprinter! - krzyknął w końcu. - Model ES64F4, czarterowany od Deutsche Bahn. Z ciekawostek, w listopadzie bank kupuje własną lokomotywę. Pesa Gama 111ed.
- Polska maszyna. - Aleks się uśmiechnął.
- Serio? - Terim przewrócił oczami. - Do czego to doszło, że Niemcy kupują polskie lokomotywy.
- Też się dziwię - odparował Aleks. - Ja tam bym brał tureckie. Mogłyby od razu przyjeżdżać z wagonami pełnymi Turków.
- Urodziłem się w Hamburgu - rzekł Terim z niezbyt szczerym uśmiechem. - Moi rodzice też urodzili się w Niemczech. Jestem prawdziwym Niemcem.
- Tak. Twój ojciec z pewnością był tak prawdziwym Niemcem, że należał do SS. Z tą swoją bujną blond czupryną musiał być aryjskim macho.
- O co ci, kurwa, chodzi, Gall? Naprawdę masz coś do Turków?
- Nie. Turcy są spoko. Lubię ich. Tylko Niemcy mnie wkurwiają. A właściwie jeden, ale przez litość nie pokażę palcem który. Jaką trasą to wszystko jechało?
- Co?
- Trasa, Terim. Z Hamburga do Paryża można jechać przez Frankfurt, Karlsruhe i Strasburg albo przez Dortmund, Kolonię i Brukselę.
- To drugie. Policzyliśmy, że całą akcję musieli przeprowadzić już po wjeździe do Paryża. A to naprawdę trudna sprawa. Dość dużo świadków. Interpol i Francuzi przeczesują okolicę.
- Niech prowadzą kontrole na trasie do Luksemburga.
- Myślisz? No dobra, może i słusznie. - Terim się zafrasował. Spojrzał na Strötha, a ten wyciągnął komórkę i wybrał numer, a potem wyszedł na zewnątrz.

– Masz tu te nagrania, Terim? – zapytał Aleks.

– Taaaaak – odparł komendant – ale to dość marna rozrywka. Oglądałem to w przyspieszeniu, a i tak wynudziłem się jak mops.

– Trudno. Pokaż.

– No to chodź.

Wyszli z pociągu, a potem przez tory wrócili na parking, na którym wciąż roiło się od radiowozów, a w dodatku tu i ówdzie stały samochody z wielkimi antenami na dachach.

– Kurwa mać, już się zaczyna. – Komendant westchnął. – Niczego nie da się utrzymać w tajemnicy.

Podeszli do dużej ciężarówki z napisem Polizei. Terim otworzył drzwi i Aleks ujrzał mobilne studio audio-wideo. Za konsolą siedział kurdupel w okularach z grubymi szklami

– To jest Mucha – przedstawił kurdupla Terim. – Jak z ciebie taki specjalista od zagadek, to sam się domyśl, dlaczego ma taką ksywę.

– Bo ja wiem? – Aleks udał, że się zastanawia. – Może od nazwiska?

Mucha się nie odezwał, jedynie poprawił okulary. Wyglądał na faceta, który nawet jeżdżąc elektrycznym samochodzikiem w parku rozrywki, powinien zapinać pasy bezpieczeństwa. Miał na sobie szary sweterek w kratkę i lniane spodnie. Nawet spotykając go na środku pustyni Gobi, Aleks wiedziałby, że ma do czynienia z informatykiem.

– Mucha, pokaż naszemu gościowi nagrania. I opowiedz, jak to działa – polecił Terim.

Mucha przejechał wraz z fotelem do innego ekranu i postukał w klawiaturę.

– Proszę tutaj, panie...

– Jestem Aleks – powiedział Gall nieco zaskoczony wyjątkowo niskim głosem kurdupla.

– No to proszę tutaj, panie Aleks.

– Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem – rzekł Terim, przysuwając sobie krzesło. – Mucha, włączaj w końcu to ustrojstwo. Pokaż widok z centralnej kamery. Tej, co wciąż obejmuje cały wagon.

– Nie – zaproponował Aleks. – Od początku. Najpierw furgon.

– To może najpierw skarbiec? – nieśmiało zaproponował Mucha.

– Jak chcesz. – Terim jęknął.

Aleks bardzo szybko zrozumiał nastawienie komendanta. Obraz z kamer był dość wyraźny, ale wyjątkowo mało dynamiczny. Najpierw widać było skarbiec wypełniony ludźmi. Trzem konwojentom towarzyszyło kilku mężczyzn i jedna kobieta. Dźwięku nie było, ale Gall szybko się połapał, że kobieta musiała być dyrektorem banku, a mężczyźni w garniturach jej podwładnymi. Przez dobrą godzinę liczyli pieniądze i ładowali je do specjalnie oznakowanych płóciennych worków. Aleks poprosił Muchę o przyspieszenie filmu. Dziesięć minut później obserwowali, jak worki trafiają do auta. Następnie Mucha przełączył nagranie na widok z furgonu.

– To wszystko jest zgrywane na dysk w banku, tak? – zapytał Aleks.

– W uproszczeniu – odpowiedział Mucha. – Serwer należy do banku, ale w nim nie stoi. Znajduje się w siedzibie firmy ochraniającej transport.

– Myślałem, że to wewnętrzna firma.

– Bo jest wewnętrzna. Ale siedzibę ma osobną.

– Czyli teoretycznie łatwo się dostać do tego serwera.

– Teoretycznie tak, ale przeanalizowałem te nagrania dokładnie i wykluczam jakąkolwiek ingerencję. Zapis jest ciągły, metadane dowodzą, że został zapisany na serwerze w czasie przejazdu pociągu. Po raz pierwszy został odtworzony przeze mnie. Nie ma śladów żadnego montażu, a zapewniam, że natychmiast bym je wyłączył.

Obraz z furgonu był jeszcze nudniejszy. Mucha w przyspieszonym tempie odtworzył nagranie z kamery wewnątrz ładowni. Konwojent był łysy i miał długą czarną brodę. Siedział oparty o swój karabin i zdawał się przysypiać. Co jakiś czas otwierał oczy i rozglądał się dokoła. Czasami wstał i wyrżał przez niewielkie okienko w burcie auta. Czasami spojrzął w kamerę. Ale zazwyczaj po prostu kimał. Nagranie

trwało pół godziny. Patrząc na przysypiającego konwojenta, Aleks uzmysłowił sobie, że sam spał tylko cztery godziny i chętnie by to nadrobił. Ziewnął, przesłaniając usta dłonią. Chciał to zrobić dyskretnie, ale szybko zrozumiał, że w tym wypadku dyskrecja nie ma sensu. Mucha ziewał zupełnie jawnie, a Terim chyba przysypiał na swoim krześle.

Na ekranie nic się nie działo. Konwojent siedział wyprostowany. W pewnym momencie wyciągnął smartfon i przez kilka chwil gapił się w wyświetlacz. A potem wewnątrz furgonu zupełnie niespodziewanie pojawiło się światło, a do ładowni wszedł drugi konwojent.

– Właśnie dojechali na miejsce – powiedział, ziewając, Mucha. – Teraz będą przeładowywać worki.

I faktycznie. Obaj mężczyźni zabrali się do roboty. W pół minuty przerzucili do wnętrza wagonu dziesięć dużych worków.

– Przełącz na pociąg – poprosił Aleks. – Tu się niczego nie dowiemy.

Mucha kiwnął głową i stuknął w klawiaturę. Nagranie z pociągu rozpoczęło się w momencie, kiedy w rozsuniętych drzwiach wagonu pojawił się tył furgonetki. Kierowca cofnął tak bardzo, że zderzak samochodu oparł się o metalowy stopień. Wtedy rozwarły się drzwi furgonetki. Aleks uśmiechnął się, widząc wymazany w brudzie napis *wasch mich*. Umyj mnie. Dawniej taki sam napis co chwila znajdował na swojej starej hondzie legend. Pod tym względem Weronika była wyjątkowo wrażliwa. Gdy wychodziła z domu przed nim, a jego auto nie przechodziło testu białej rękawiczki, natychmiast pojawiał się na nim napis *wash me*.

Worki z pieniędzmi kolejno łądowały w wagonie. Potem furgon odjechał, a jeden z mężczyzn wysiadł z pociągu. Kilka sekund później elektromagnetyczne drzwi się zasunęły i łysy konwojent z brodą został sam. Chwilę zajęło mu układanie worków w kojcach, a potem usiadł na koi i znowu wyjął smartfon. Przeciągnął się świadom, że ma przed sobą kilka godzin słodkiego lenistwa.

Aleks też ziewnął, a potem popukał palcem w ekran.

– To jest kluczowy człowiek w tej operacji – rzekł. – Jak się nazywa?

– Rolf Himbeere. Dowódca. W banku od sześciu lat.

Pociąg ruszył, a na obrazie nadal nic się nie działo. Wprawdzie Mucha przyspieszył obraz, ale Aleks i tak łapał się na tym, że nie skupiał się na nagraniu. Jego myśli wędrowały gdzie indziej. Zastanawiał się, czy nie odwiedzić Weroniki. Szczerze mówiąc, trochę brakowało mu seksu. Mógłby go wprawdzie dostać w każdej chwili, jako że nigdy nie miał kłopotu ze znajdywaniem kochanek, ale nie chciał. Dziwnie się poukładało jego życie. Najpierw umarła jego żona, a on długo nie mógł się pozbiierać. Potem okazało się, że ona żyje, ale nie mogą być razem. Przynajmniej przez jakiś czas. Co w niczym nie zmieniało faktu, że gdyby Aleks znalazł sobie jakąś kobietę, ot, choćby na chwilę, czułby, że zdradza Weronikę. A tego nie chciał. Weronika była miłością jego życia. A jej ciało regularnie śniło mu się po nocach. Czasami zastanawiał się, czy nie wpaść na jeden numerek. Był przekonany, że nie wygoniłaby go z łóżka. Jeśli już, to raczej nie wypuściła. Ale szybko przychodziło opamiętanie. Nie. Jeszcze trzeba się będzie przemęczyć. Albo w końcu złamać i wygrzmocić coś, co się nawinie. Aleks wiedział, że Weronika zrozumie. Łączyła ich naprawdę dojrzała więź.

– Dobra, teraz patrz – powiedział Mucha, przywołując Aleksa do rzeczywistości. Ostatnich trzech godzin na nagraniu Gall zupełnie nie zarejestrował. Mógł przegapić mnóstwo ciekawych rzeczy. Ale wątpił, by tak było.

Mucha spowolnił obraz. Himbeere właśnie przebudził się z krótkiej drzemki. Wstał i przeciągnął się. Spojrzał w kierunku kamery i w tym momencie na ekranie pojawiła się czerń. Przez dwadzieścia osiem sekund obraz był zaciemniony, po czym nagle światło wróciło. Ale konwojenta już nie było.

– No właśnie, kurwa – jęknął zaspany Terim. – Mówię ci, Gall, że to magia.

– Nie ma czegoś takiego jak magia, Terim – odparł Aleks. – Magicy to tylko zręczni oszuści, a magia to nauka. Nauka, jak oszukać najuważniejszego widza.

– To było o tobie czy o mnie?

– O tobie, Terim.

Aleks poczuł wibracje w lewej kieszeni spodni. Wyjął telefon. Nie rozpoznawał numeru, ale dzwonił do niego ktoś z Polski. Chwilę się wahał, w końcu jednak przesunął w prawo ikonkę z zieloną słuchawką.

– Gall – rzucił do telefonu.

Uśmiechnął się po chwili.

– Tomek, rany, pół życia cię nie widziałem. Co słyhać?

Rozmówca rozgadał się, a Terim zauważył, że z każdą sekundą twarz Aleksa tężeje. Po chwili próżno już było szukać na niej przejawów dobrego humoru. Coś się musiało stać.

– Dobra. Jadę do ciebie. Muszę tylko wynająć jakieś auto. Będę za jakieś cztery godziny.

Rozłączył się.

– Terim, możesz powiedzieć swoim chłoptasiom, żeby mnie odwieźli do centrum?

– Co? Ale...

– Wiesz, czym się zajmuję, prawda? Badam katastrofy, nie kradzieże. A na Bałtyku właśnie zatonął prom. W dodatku prom należący do mojego starego kumpla.

– Co? Jaki prom, o czym ty mówisz?

– Włącz jakieś wiadomości, to się dowiesz. Muszę natychmiast jechać do Szczecina.

– Myślałem, że pomożesz mi rozwiązać tę głównianą sprawę – rzekł Terim, a wyrzut w jego głosie zabrzmiał przynajmniej tak, jakby on i Aleks byli przyjaciółmi od wielu lat i właśnie nastąpiła jakaś nieprawdopodobna zdrada.

Aleks westchnął.

– Ja już ją rozwiązałem, Terim. I powiem ci wszystko pod warunkiem, że zaraz potem każesz swoim ludziom odwieźć mnie do Speicherstadt.

– Jak... Jak to rozwiązałeś?

– Zgadzasz się czy nie?

– Tak, jasne, ale jak...

– Widziałeś drzwi od tego samochodu? Jest na nich napisane

wasch mich. Terim, od trzech dni leje deszcz. Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć? Furgon nie mógłby mieć na sobie takiej warstwy brudu, bo ulewa po prostu by ją zmyła. To jest fałszywe nagranie.

– Ale ja ręczę, że nie zostało zmontowane! – wrzasnął Mucha.

– Nie. Zostało podmienione w całości.

– Co?

– To jest nagranie z innego dnia. Pewnie sprzed kilku miesięcy. Podejrzewam, że wszystkie nagrania są archiwizowane na jakiś czas. Prędzej czy później znajdziecie identyczne z dzisiejszym. Ktoś je skopiował. A wczoraj po prostu podłączył laptopa do serwera i zamiast z kamer w pociągu wypuścił nagranie z dysku. Dlatego metadane się zgadzają. Tyle. Jeśli zrobił to fachowiec, a przypuszczam, że tak właśnie było, trudno będzie znaleźć ślad ingerencji. Ale teraz, skoro mamy już podejrzenia, Mucha z pewnością bez trudno znajdzie dowody, że było dokładnie tak, jak mówię. Moment zaciemnienia nie ma większego znaczenia. Przyjęliście, że właśnie wówczas ten Himbeere, czy jak mu tam, uciekł z pociągu, ale równie mógł to zrobić dużo wcześniej i dużo później.

– Zaraz, ale skoro tak, to czym tak naprawdę jest nagranie pustego pociągu? Skoro mówisz, że to prawdziwy materiał, tylko z innego dnia, to by znaczyło, że kiedyś już zdarzyło się zniknięcie konwojenta.

– Niekoniecznie. Podejrzewam, że w trakcie zaciemnienia odłączono laptop od serwera i na ekranie pojawił się prawdziwy obraz z pociągu.

– Aleks – Terim jęknął, po raz pierwszy zwracając się do swojego gościa po imieniu – to wszystko nie ma sensu.

– Oczywiście, że ma – odparł Gall. – Obraz z wnętrza pociągu został zmanipulowany. To oznacza, że kradzieży teoretycznie można było dokonać w dowolnym momencie pomiędzy Hamburgiem a Paryżem. Te wspaniałe elektromagnetyczne drzwi zapewne faktycznie są nie do przejścia, pod warunkiem że się je zabezpieczy kodem. Wystarczy, że konwojent ryglujący drzwi tego nie zrobił.

– Niby tak – jęknął komendant.

– W sprawę musiały być zaangażowane cztery osoby. Trzech konwojentów i ktoś w biurze. Z dostępem do serwera. Proponuję zacząć od tych trzech.

– Nie mógłbyś chociaż odrobinę zawęzić pola poszukiwań? – zapytał Terim błagalnie.

– Mógłbym i zrobię to. Helikopter. Pamiętasz? Właśnie dlatego pytałem o trasę przejazdu. Widzisz, tak się składa, że dwa tygodnie temu jechałem pociągiem do Paryża. Przez Dortmund i Brukselę. Do miasta wjeżdża się od północnego wschodu. Jakies pół godziny przed dotarciem na miejsce tor biegnie tuż przy ogrodzeniu lotniska de Gaulle'a. Nie ma szans, by jakikolwiek cywilny helikopter dostał zgodę na przelot w tamtym rejonie. Tym bardziej że tor przecina oś pasa. Zadzwoń i zapytaj. Ale sądzę, że kontrola lotów odesłała śmigłowiec okrężną trasą. Biorąc pod uwagę, że kilka kilometrów dalej znajduje się lotnisko Le Bourget, to podejrzewam, że ostatnie pół godziny jazdy przebiegało w ogóle bez asysty. Złodzieje musieli o tym wiedzieć. Sprawa jest prosta. Worki z papierami musiały się dostać do pociągu wcześniej. Sprawdź pracowników stacji serwisowej, w której nocował wagon. Ktoś tam przyjął pewną sumkę, by przymknąć oczy na nieproszonych nocnych gości. Furgon podstawiono tak, żeby twoi ludzie nie mogli dostrzec, że wyładowane z niego worki nie były pierwszymi na pokładzie pociągu. Obraz odtworzono z dysku, więc Himbeere miał dużo czasu, by podmienić worki w kojcu i przygotować je do wyrzucenia. Na trzydzieści minut przed przyjazdem do Paryża śmigłowiec odleciał. Drzwi nie były zabezpieczone kodem, więc konwojent bez problemu je rozsunął, wyrzucił worki i sam wyskoczył. Tam zapewne czekali na niego współnicy. Czy mogę już iść, Terim?

Nie czekając na pozwolenie, Aleks opuścił ciężarówkę.

– Nie chciałbym być jego wrogiem – szepnął zdumiony Mucha.

– Zamknij mordę, Mucha, i sprawdź, czy to, co mówił, jest w ogóle możliwe.

– Jest. Niestety.

– Każ Ströthowi sprawdzić ten jebany helikopter. Jeśli Gall

mówi prawdę, ktoś za to beknie.

ROZDZIAŁ 11

Aleks jechał do Szczecina znacznie dłużej, niż się spodziewał. Wprawdzie wypożyczył w Avisie mercedesa z trzystudwukonnym silnikiem, jednak w trakcie jazdy w stadninie panował raczej piknik niż gonitwa. Autostrada była pusta, ale Christina najwyraźniej była bardzo niestabilną emocjonalnie dziewczynką. Po godzinie względnego spokoju rozchylała się na powrót. Ściana wody zalewała szybę, a przy prędkości powyżej stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę boczny wiatr spychał dwutonowe auto na lewy pas. Aleks ograniczył szybkość do stu dwudziestu i takim tempem dojechał do granicy w Kołbaskowie.

Mniej więcej w połowie drogi zadzwonił Terim. Powiedział, że potwierdziła się teoria ze śmigłowcem. W głosie komendanta Aleks po raz pierwszy usłyszał pewne oznaki szacunku. To dobrze. Bardzo dobrze. Z pewnością nie zyskał przyjaciela, ale stracił wroga. A to wróżyło odrobinę spokoju. Aleks nie miał natury pustelnika, ale zwykle wychodził z założenia, że im mniej dookoła niego ludzi, tym lepiej. Zdarzało mu się godzinami przeglądać komórkę, by znaleźć numer do kogoś, z kim da się pogadać. Zwykle nieszczęśnikami byli Baldur, Kao albo Weronika. Ale kilka ostatnich tygodni Aleks spędził sam ze sobą, sporadycznie tylko kontaktując się ze światem. I sprawiło mu to dużo przyjemności.

Zabawne. Korzystając jedynie z logiki, można śmiało twierdzić, ocierając się przy okazji o banał, że pogoda nie zna granic. Tyle że najwyraźniej nikt nie powiedział o tym pogodzie. Zaraz po przekroczeniu granicy ulewa się nasiliła, a wiatr wzmógł. Bardziej niż na drogę przed sobą Aleks spoglądał na jej graficzny odpowiednik wyświetlany przez ekran nawigacji. W końcu jednak dojechał do budynku Pazim na placu Rodła. Była czwarta po południu. Aleks odczekał chwilę w nadziei, że trafi mu się

okienko z niższymi opadami, ale po kilkunastu minutach w końcu zwątpił. Przebiegł z parkingu do głównego wejścia. Do windy wchodził kompletnie przemoczony.

Wjechał na dwudzieste pierwsze piętro, gdzie mieściła się siedziba Baltic Bridge.

Z Makuszewskim poznali się jeszcze w podstawówce. Nie chodzili do jednej klasy, ale Brzeźno nie jest największą dzielnicą Gdańska. Tam każdy znał każdego. Potem spotkali się w liceum, gdzie Makuszewski uczył się przez rok, zanim przeniósł się do Technikum Budowy Okrętów. Później kontakt się im urwał.

– Kopę lat – przywitał swojego gościa Makuszewski i poprosił sekretarkę o kubek gorącej herbaty.

Pogadali chwilę o dawnych czasach. Potem Makuszewski opowiadał o swoich studiach w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni i o tym, jak odziedziczył po ojcu niewielką flotę frachtowców.

– Gdzieś o tobie czytałem – powiedział Aleks. – Ale myślałem, że pływasz głównie do Afryki.

– Już nie. Pływałem tam prawie dziesięć lat. Początkowo to była żyła złota.

– I co się stało?

– Maersk się stał. Pływałem głównie do Abidżanu, Lome i Kotonu, a stamtąd przede wszystkim do Azji. Ale przyszedł Maersk i wykurzył takich jak my. Zrobiła się moda na kontenery i teraz niektórzy nawet węgiel w nich wożą. A co dopiero będzie, jak poszerzą Kanał Panamski? Przecież już dziś złomuje się zaledwie piętnastoletnie statki, bo są za małe. Za dwa lata pojęcie „panamax” przejdzie do historii. A mali po prostu znikną z rynku. Zastanawiałem się nawet, czy nie kupić jednego używanego kontenerowca i nie podziałać na tym rynku, ale umówmy się, Maersk to gigant. Z nimi mogą konkurować tylko inni giganci. MSC, UASC czy CSCL. Może jeszcze CMA CGM. Czyli Szwajcarzy, Arabowie, Chińczycy i Francuzi.

– Szwajcarzy?

– Jak widać, nie trzeba mieć dostępu do morza, żeby po nim pływać.

– No i co dalej? – zapytał Aleks. Przemoczone ciuchy sprawiły,

że zrobiło mu się zimno, a pamiętał przecież, że z Makuszewskiego zawsze był wyjątkowy gaduła.

– Zainwestowałem w przewozy pasażerskie. Dużo mniejsze pieniądze, ale spokojny byt. Tak mi się w każdym razie zdawało. Kiedy się do tego brałem, Unity Line i Polferries ledwo przędyły. A teraz biją mnie na głowę. I jakie oni mają statki! Zwłaszcza Unity. Ile ja bym dał, żeby mieć we flocie taką *Polonię* czy *Skanię*. Łącznie na trasie Świnoujście–Ystad pływa teraz osiem statków. Wkrótce będzie dziewięć, bo Polferries planuje kupić nową jednostkę. W dodatku dosłownie kilka dni temu dołączył TT-Line, który pływa do Trelleborga. Jeśli liczyć wszystkie jednostki kursujące pomiędzy Świnoujściem a Szwecją, to jest ich trzynaście. Plus połączenia z Gdańską i Gdyni. Szczerze mówiąc, Aleks, jestem sporo na minusie. A zatonięcie *Raginisa* może oznaczać dla mnie koniec zabawy.

– Aż tak źle? Czytałem ostatnio, że Baltic Bridge radzi sobie całkiem nieźle.

– Baltic Bridge tak, ale ja nie. Rok temu było tak źle, że byłem bliski bankructwa. Nie stać mnie było na remonty statków niezbędne do odnowienia klasy. Z Polskim Rejestrem Statków nie ma żartów na ten temat. Co gorsza, nie było pieniędzy na ubezpieczenie. Musiałem znaleźć inwestora. I znalazłem. Nazywa się Torgil Thoresen. Gruba ryba w Szwecji. Ma jakąś gigantyczną firmę spedycyjną. Zapłacił za remonty i ubezpieczenie. Miałem nóż na gardle, więc zgodziłem się na jego warunki, a są one dla mnie wyjątkowo niekorzystne. Za jednym razem przejął wszystkie moje frachtowce i połowę Baltic Bridge. Zgodnie z umową, w razie wypłacenia odszkodowania przez naszego ubezpieczyciela pieniądze w całości trafiają do mojego wspólnika.

– No to masz kłopot, bracie – rzekł Aleks z przekąsem. – Jest niewielka szansa na to, że się z tego wykręcisz.

– Niewielka, ale tego, co jest, muszę się chwycić. Dlatego potrzebuję twojej pomocy.

– Mów dalej.

– Na razie wciąż trwa jeszcze akcja poszukiwawcza. Akcja

ratunkowa nie przyniosła wielkiego skutku, wyłowiono tylko jedną osobę. Ale wygląda na to, że podjęto ją kilka minut po zatonięciu statku. Czyli ktoś był na miejscu. Dostaję informacje o jakimś kontenerowcu, który nadał *mayday relay* i przystąpił do akcji. Trzeba się dowiedzieć, czy w jakiś sposób nie przyczynił się do wypadku. To by mnie mogło uratować. Wiesz, gdyby nastąpiła kolizja, to odszkodowanie wypłaci ubezpieczyciel tej drugiej jednostki. W takim wypadku Torgil nie przejmie pieniędzy, tylko trafią one do majątku spółki.

– Myślę, że to akurat będzie łatwo sprawdzić, ale na twoim miejscu bym się nie łudził.

– Muszę się łudzić. Tak na dobrą sprawę, jeśli Torgil zgarnie kasę, to tak jakbym mu za cenę ubezpieczenia oddał statek. Świetny biznes dla niego. A ja zostaję z setkami milionów długów.

– Ile masz statków?

– Cztery. *Władysław Anders* stoi w stoczni remontowej. Nie licząc *Raginisa*, w służbie mam jeszcze dwa: *Stanisława Skalskiego* i *Stefana Roweckiego*. Ale jako taką rentowność osiągam, kiedy pływają wszystkie cztery. Z trzema ledwo się utrzymam na powierzchni. Z dwoma zatonę. A Torgilowi wcale nie zależy na ratowaniu przedsiębiorstwa. Chce mnie doprowadzić na skraj bankructwa i po prostu wykupić za jakiś psi grosz.

Aleks dopił herbatę i odstawił kubek. Makuszewski poprosił sekretarkę o dolewkę. Kobieta nie była już młoda, ale sprawnie się uwijała i po trzech minutach Gall trzymał w ręku drugi kubek. Upił trochę i gorący płyn sparzył mu język.

– Trzeba przyznać, że całkiem niezły biznes zrobił ten twój wspólnik – powiedział Aleks, sepleniąc nieco i krzywiąc się z bólu.

– No właśnie – przytaknął Makuszewski. – I to jest kolejna rzecz, o której chcę z tobą pogadać.

Aleks odstawił kubek i spojrzał uważnie na starego kumpla.

– Podejrzewasz go o coś? – zapytał.

– Wiesz, możliwe, że sobie wmawiam, bo sytuacja jest, jaka jest.

Ale z drugiej strony...

– Mów.

– Torgilowi już kiedyś zatonął statek. Też prom. Wypłynął w morze z otwartą furtą dziobową, bo podobno pomocnik bosmana zapomniał ją zamknąć.

– Serio? *Herald of Free Enterprise*? – szepnął Aleks.

– O właśnie, właśnie. Dokładnie tak się nazywał ten statek. Katastrofa podobna do naszej, tylko chyba mniej tragiczna. Oni zatonęli na płyčźnie i sporo ludzi uratowano, a u nas prawie nikt nie przeżył.

– Ile miałeś pasażerów na pokładzie, Tomek?

– Nie wiem dokładnie. Pewnie komplet, czyli trzydziestu sześciu. Plus dwudziestu dziewięciu marynarzy.

– Na *Heraldzie* zginęły sto dziewięćdziesiąt trzy osoby.

– O kurwa. Nie wiedziałem, że aż tyle. Słyszałem, że tam sporo ludzi wyciągnięto z wody.

– Bo wyciągnięto. Prawie trzystu pięćdziesięciu rozbitków. Jaki miał w tym udział twój wspólnik?

– Nie wiem dokładnie, ale raczej niemały. Ten człowiek nie wchodzi w biznesy, w których nie ma decydującego głosu. Mnie też chce wykończyć i nawet tego nie ukrywa.

– Chyba masz rację. O ile sobie dobrze przypominam, armator *Heralda* nazywał się Townsend Thoresen.

– O masz. Założyciel.

– Wątpię. Ta firma istnieje od późnych lat sześćdziesiątych, nie pamiętam dokładnie. W dodatku tamten Thoresen był Szkotem o norweskich korzeniach. Niemniej możliwe, że Torgil jest jakimś jego krewnym i odziedziczył firmę. Wiem, że rok po wypadku całość przejęła inna spółka i funkcjonuje do dziś.

– Jesteś niezłe obeznany z tym wypadkiem.

– Bo to była potężna katastrofa. Do czasów *Estonii* największa w Europie po drugiej wojnie światowej. A nie, czekaj. Był jeszcze *Heraklion* w latach sześćdziesiątych, ale o tym akurat niewiele wiem.

– Dostali jakieś pieniądze z ubezpieczenia?

– Stosunkowo niewielkie. W dodatku sami musieli wypłacić

miliony funtów odszkodowania. W toku śledztwa próbowano zrzucić całą winę na pomocnika bosmana, ale sąd go uniewinnił. Chłopak miał zamknąć furkę przed wyjściem w morze, ale podobno pracował już od trzydziestu sześciu godzin i po prostu przysnął w swojej kabinie. Nikt się nie zorientował, że płyną z otwartym dziobem. Sąd uznał winę armatora i kapitana.

– Nie chcę niczego sugerować, Aleks. Ale ta sprawa wyjątkowo śmierdzi. Jeżeli okaże się, że my jako armator popełniliśmy jakieś błędy, to też będzie trzeba płacić. Tyle że ja zapłacę dwie trzecie, a Torgil jedną trzecią. I jeszcze dostanie kasę od ubezpieczyciela. A ja stracę statek. On zyskuje wszystko. Ja wszystko tracę.

– Trochę za mało mamy. Od katastrofy *Heralda* minęło prawie trzydzieści lat. Nic nie wiemy o Torgilu. Co robił w tym czasie i czy próbował jakichś sztuczek.

– Wiem. Ale równie dobrze mogło być tak, że wówczas próbował przekrętu, ale nie wyszło, a teraz nadarzyła się druga okazja. Za jednym zamachem dostanie pieniądze, moją firmę i mnie na tacy jako kozła ofiarnego.

– No dobrze. – Aleks odstawił kubek. Ubranie trochę przeszło, ale i tak odczuwał nieprzyjemne mrowienie. W samochodzie miał parę rzeczy. Czas się stąd zbierać. – Zobaczę, co mi się uda ustalić.

– Aleks, musisz mieć na uwadze, że to nie będzie ani łatwe, ani przyjemne zadanie. Z tego, co wiem, *Raginis* zatonął na styku szwedzkiej i duńskiej wyłącznej strefy ekonomicznej. Torgil się postarał, żeby śledztwem zajęła się Statens Haverikommission. Nikt cię tam nie będzie chciał dopuścić do śledztwa i zapewne zrobią wszystko, żeby utrudnić ci odkrycie prawdy. Torgil ma dość forsy, by kupić sobie cały zespół śledczych i prokuratorów. Jedyne nadzieje w tym, że masz jakieś koneksje. Ostatecznie dostałem twój numer od jednej szwedzkiej śledczej.

– Pewnie od Kjerstin.

– Kjerstin Vasa, tak – przytaknął Makuszewski.

– Stara znajoma.

– To dobrze. Podobno ona poprowadzi śledztwo.

– To raczej zła wiadomość. Kjerstin to dobry zawodnik.

W całym SHK nie ma nikogo lepszego. Jej się nie da przechytrzyć. Jeśli zgodzi się na mój udział, to może coś ugramy. Jeśli nie, to jesteśmy w dupie.

– Uczciwie. Dziś w nocy mój statek płynie do Ystad. Dostaniesz kabinę.

– Twoje statki toną, Tomek. Chyba jednak wybiorę samolot.

– No nie wiem. Czytałem, że loty są na zmianę wstrzymywane i przywracane.

– Zaryzykuję – odpowiedział Aleks i wyszedł z gabinetu.

ROZDZIAŁ 12

Oczywiście wybrał prom. Ze Szczecina do Göteborga nie było żadnych lotów. Musiałby wrócić do Hamburga, a to nie wchodziło w grę. Zresztą Aleks uwielbiał pływać w sztormie. Świetnie pamiętał pierwszą przygodę tego typu w swoim życiu. Miał trzynaście lat. Wszyscy jego koledzy albo rzygali, albo klepali zdrowaśki. A on na dziobie robił *Titanica*. I to na wiele lat przed Cameronem.

Zwrócił więc auto szczecińskiemu Avisowi i pół godziny przed czasem przybył do terminalu portowego w Świnoujściu. Makuszewski zapewnił go przez telefon, że kapitan umożliwi mu wycieczkę po promie. MF *Stanisław Skalski* i MF *Władysław Raginis* były siostrzanymi jednostkami i Aleks uznał, że to doskonała okazja, by sprawdzić, jak wszystko wyglądało przed katastrofą.

Rejs trwał już od siedmiu godzin, ale płynęli bardzo wolno. Stary prom z wysiłkiem rozcinał piętrzące się przed dziobem fale. Christina bawiła się w najlepsze, a prognozy pogody pozbawiały złudzeń, że cokolwiek się zmieni przed końcem tygodnia.

Aleksowi kołysanie zupełnie nie przeszkadzało. Leżał właśnie w swojej kajucie i czytał nową książkę Wojciecha Chmielarza, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! – krzyknął Gall.

Drzwi otworzyły się i do pomieszczenia wszedł kapitan Krzysztof Kosz-Wolski.

– Dzień dobry, panie Gall. Zaraz mijamy latarnię Kollicker Ort i idziemy w otwarte morze. Pogoda da nam się we znaki, ale mam teraz chwilę, żeby pogadać. Proszę mi wybaczyć, że dopiero teraz, ale sam pan widzi, co się dzieje.

– Kollicker Ort? Czyli dopiero mijamy Rugię?

– Niestety. Robimy dziesięć węzłów. Jesteśmy w połowie drogi.

– Szykuje się spore opóźnienie.

– W taką pogodę nikt się tym nie przejmuje. Ale faktycznie. Będziemy płynąć dwa razy dłużej. Prawdopodobnie przybędziemy do Ystad koło południa. Przykro mi.

– Nie szkodzi. – Aleks zakrył dłonią usta i ziewnął przeciągle. Spodziewał się wizyty kapitana cztery godziny temu. Teraz po prostu chciało mu się spać. – Przepraszam. Przejdziemy się?

– Jasne – zgodził się Kosz-Wolski, rzucając Aleksowi czerwony sztormiak. – Jeśli się pan pospieszy, pokażę panu coś ciekawego. Tylko proszę się ciepło ubrać. Wyjdziemy na zewnątrz.

Za chwilę okutani w ciepłe okrycia i przewiązani pasami, z których zwisały zakończone karabińczykami liny, przemierzali wąskie korytarze pod nadbudówką. Kapitan prowadził, Aleks szedł za nim. Prom kiwał się teraz w trymie, przegłębiając się to na rufę, to na dziób. Szło się wyjątkowo ciężko. Kosz-Wolski pchnął w końcu metalowe drzwi i wyszli na zewnątrz. Zrobiło się bardzo głośno. Aleks na moment zamknął oczy, bo drobne, ostre jak szkło i pędzące z wiatrem krople deszczu uderzyły go w twarz. Zaraz je jednak otworzył. To, co ujrzał, przechodziło ludzkie wyobrażenia.

Znajdowali się z przodu statku, zaledwie dziesięć metrów od dziobnicy. Spieniony, wściekle biały Bałtyk wdzierał się na pokład, gdy *Skalski* zeskakiwał z fali wprost w morską otchłań, i wycofywał się, gdy dziób spotykał kolejną falę i wspinał się po niej siedem metrów w górę. Huk morza był nie do opisania.

– Tylko ostrożnie – ostrzegł kapitan. – Podejrzemy teraz do burty. Gdy tam dotrzemy, natychmiast proszę zapiąć karabińczyk na relingu. Wolałbym, żeby mi pan nie wypadł do morza.

– Mnie też się to nie uśmiecha, kapitanie! – krzyknął Aleks, a potem przykucnął i w takiej pozycji podążył za kapitanem w stronę sterburty. Gdy dotarli na miejsce, kapitan przypiął się do relingu. Aleks natychmiast uczynił to samo.

– To pokład dziobówki. Wstęp tutaj ma tylko załoga.

Kapitan ukucnął przy przyspawanej do burty metalowej szafie. Otworzył ją i wyciągnął ogromny szperacz.

– Proszę mi pomóc postawić to na skrzyni – zwrócił się do

Aleksa.

We dwóch unieśli reflektor i postawili na szafie. Kapitan sprawdził kabel i włączył urządzenie. Snop światła wyciął długi korytarz w otulonym czernią krajobrazie. Aleks gwizdnął.

– Niezła zabawka – rzekł z uznaniem. – Świeci na pół kilometra.

– Na pół mili morskiej. Prawie kilometr – poprawił go Kosz-Wolski, przesuając szperacz po falach. Kapitan wyraźnie czegoś szukał. Trwało to chwilę, aż w końcu krzyknął zadowolony: – Tam, panie Gall! Widzi pan to?

Aleks wpatrywał się w morze, ale chwilę mu zajęło, nim ujrzał huśtający się na fali o dobre trzysta metrów od nich czerwono-czarny słup, zakończony na szczycie dwiema czarnymi kulami przymocowanymi do elastycznej antenki.

– Widzę coś! – krzyknął. – Tam na wprost. Miga białym światłem.

– To pława „JH”. Wie pan, od czego to skrót?

– Domyślam się.

– Dobrze się pan domyśla. W systemie IALA czarno-czerwona pława oznacza „odosobnione niebezpieczeństwo”. Patrzy pan na miejsce agonii *Jana Heweliusza*.

– Ile to już lat?

– Za tydzień będzie dwudziesta pierwsza rocznica.

– Obawiam się, że zegar właśnie się wyzerował, kapitanie. Od teraz będzie się mówić o *Raginisie*. Daleko jesteśmy od miejsca, gdzie zatonął?

– Daleko. Ale teraz to strefa zamknięta. Wciąż trwają poszukiwania. Opłyniemy to miejsce szerokim łukiem, więc nic pan nie zobaczy.

– Jak pan myśli, kapitanie? Co się mogło stać? Ma pan jakieś...

– Chodźmy stąd – przerwał Kosz-Wolski. – Zimno tu jak diabli, a na pokładzie kolejowym możemy zapalić.

– Dobra myśl – zgodził się Gall. – Ale zanim pójdziemy, chciałbym jeszcze rzucić okiem na furtę. Mogę przejść na dziób?

– Nie ma mowy – zaprotestował kapitan – w tej chwili to niebezpieczne. Zobacz pan sobie wszystko w porcie. Wpuszczę pana na dziobówkę, porobi sobie pan zdjęcia czy co tam panu

potrzeba.

– Dzięki.

– Cóż. Armator każe, kapitan musi.

Zaśmiali się, a potem, gdy dziób *Skalskiego* wspinał się na kolejną fałę, Aleks odpiął karabińczyk i pobiegł w stronę nadbudówki. Po chwili dołączył do niego kapitan. Weszli do środka i zatrzasnęli za sobą drzwi. Kapitan przekręcił pokrętko zamka i zrobiło się ciszej. Klatką schodową zbiegli trzy piętra w dół.

– Tak to wygląda – powiedział Kosz-Wolski, przypalając papierosa. Stali pośrodku załadowanego wagonami pokładu kolejowego. – Proszę ostrożnie. Z pokładu wystają szyny i sporo różnych urządzeń. Łatwo sobie zrobić krzywdę.

Gall wyciągnął z kieszeni spodni paczkę marlboro. Kapitan podał mu ogień.

– Więc? – zapytał Aleks, wypuszczając dym nosem. – Ma pan jakąś teorię?

– Po mojemu to albo przesunięcie ładunku, albo furta. Prędkiej to drugie. Nie widzę innej możliwości, żeby taki statek tak szybko położył się na burtę. Przypomina to wypadek *Estonii*.

– A coś innego? Niech pan pomyśli. Nawet mało prawdopodobne teorie mogą podsunąć jakiś trop.

– Kolizja z czymś dużym. Ewentualnie bomba.

– Może mina?

Kapitan pokręcił głową.

– Minę bym raczej wykluczył. To bardzo uczęszczana trasa. Sam pływam tędy już trzydzieści lat.

– Kiedy zatonał *Heweliusz*, też spekulowało się o minie.

– W prasie, panie Gall. Żaden człowiek morza nigdy nie wierzył w tę pogłoskę.

– Prócz armatora. To armator wyjechał z tą miną.

– Armator to biznesmen. Musi pilnować interesu. Co miał powiedzieć? Że operował na beznadziejnym statku, którego szczątki od lat powinny gnić w jednej z azjatyckich stoczni rozbiórkowych? A prasa podchwyciła. Powtarzam. Jak dla mnie temat miny nie istnieje.

– A błąd ludzki?

Kosz-Wolski zamilkł na moment. Dwa razy zaciągnął się dymem, a potem rzucił peta na pokład i przydeptał ciężkim marynarskim butem. Aleks czekał, ale kapitan nadal milczał. Wyciągnął z paczki kolejnego papierosa i niespiesznie go zapalił.

– Kapitanie – ponaglił Aleks.

– Czy chodzi panu o to, żebym krytykował pracę swojego dobrego kolegi i jednego z najlepszych wilków morskich spod polskiej bandery? Bo tego pan żąda, prawda? Żebym wytknął błędy kapitana Hassnika.

– Raczej, żeby spróbował je pan przewidzieć. Pływał pan na *Raginisie*?

– Tak. Kilka razy.

– Więc wie pan coś o samym statku. Czego się na nim trzeba było wystrzegać? W jakiej sytuacji najłatwiej było o błąd?

Kapitan podrapał się w czoło. Widać było, że się zastanawia, więc Aleks go nie popędzał. W końcu powiedział:

– Wie pan, to są stare i spracowane statki. Mają swoje ograniczenia i wady, ale ogólnie pływa się na nich naprawdę dobrze. *Raginis* był trochę inny. Choć pochodził z tej samej serii co mój *Skalski*, dzieliło je pięć lat. W tym czasie coś tam pozmieniano w projektach i *Raginis* zszedł z pochylni w trochę innym kształcie. Miał większą powierzchnię burt. Przez to brzydko się zachowywał przy silnym wietrze. Potrafił myszkować i gubić kurs. Czasami trafiała mu się też niewytłumaczalna szlagzajta.

– Co takiego?

– Szlagzajta. Przechył. Miał jakiś niewielki feler. Drobne problemy ze statecznością. Przez podwyższone burty odrobinę mu zmalała wysokość metacentryczna. Niby nic poważnego, ale w pewnych warunkach mogłoby to mieć poważne konsekwencje.

– O jakich warunkach pan mówi?

– Wie pan, czym są heelingi?

– Układ dynamicznego stabilizowania statku?

– Oj nie, myli pan heelingi z systemem antyheelingowym. Podobnie się nazywają, ale to dwa zupełnie inne zagadnienia.

System antyheelingowy faktycznie służy do stabilizowania jednostki w ruchu. Po obu stronach statku znajdują się wielkie zbiorniki. Pompuje się tam wodę, a potem za pomocą sprężonego powietrza przerzuca wodę z burty na burtę. Gdy statek kładzie się na sterburtę, zalewana jest bakburta i odwrotnie. Ale *Raginis* nie miał tego systemu. W czasach, gdy go budowano, nikt jeszcze o czymś takim nie słyszał. Zamiast tego miał zbiorniki heelingowe, które służą do kompensowania przechyłów w trakcie załadunku. Na przykład w sytuacji, gdy na przyburtowy tor wtaczany jest ciężki pociąg. Można nimi jednak również kompensować delikatne szlagzajty i napór silnego wiatru na jedną z burt już na morzu. Ale w przeciwieństwie do antyheelingów zbiorniki na obu burtach nie są ze sobą połączone. I przyjmijmy teraz następujący scenariusz: *Raginis* płynie z wiatrem i falą w bakburtę. Powiedzmy, że wieje z trzystu czterdziestu stopni. Czyli w dziobnicę, ale trochę z boku. Statek chyli się więc na sterburtę. Ale ma problemy ze wstawianiem z przechyłu, bo na sterburcie ma kilkustopniowy stały przechył. To niebezpieczna, jednak dość powszechna sytuacja. Załoga postanawia skompensować ją zalaniem heelingu na bakburcie. To się wydaje zupełnie zasadne. Wszystkie siły pchają jednostkę ku sterburcie, więc zalanie bakburty nie może zaszkodzić. Ale wspominałem już panu, że *Raginis* gubił kurs. Silny podmuch wiatru potrafił go obrócić nawet o kilkadziesiąt stopni. A wiatr ma to do siebie, że jest zmienny. Jeżeli nawet pojedynczy podmuch uderzył prosto od dziobu, to mógł obrócić *Raginis*a tak, że jednostka przecięła linię wiatru. A wtedy kaplica. Mamy falę i wiatr w sterburtę, więc statek wali się na bakburtę. A ona dodatkowo zalana jest wodą. Statek mógłby złapać dobre czterdzieści, może czterdzieści pięć stopni przechyłu. Jeśli na pokładzie samochodowym lub kolejowym puściły łańcuchy, to wszystko przesypało się na burtę i było pozamiatane.

- Dość mało prawdopodobny scenariusz.

- Niestety, myli się pan. Dokładnie to samo przydarzyło się *Heweliuszowi*.

- Rozumiem. Myśli pan, że to prawdopodobne w przypadku

Raginis?

– Raczej nie. Hassnik był za dobry, by spieprzyć sprawę w ten sposób. I proszę nie myśleć, że krytykuję teraz Ułasiewicza.

– Kogo?

– Andrzeja Ułasiewicza. Kapitana *Heweliusza* i mojego dobrego przyjaciela. Wtedy nikt jeszcze do końca nie wiedział, jakie zagrożenie niesie zalewanie heelingów w warunkach sztormowych. Ale teraz już to wiemy. Między innymi dramat Ułasiewicza dostarczył nam tej wiedzy. Sądzę, że Hassnik nie popełniłby takiego błędu.

– Rozumiem. To teraz chciałbym porozmawiać o furcie.

– I słusznie. *Raginis* płynął prawdopodobnie pod falę. Jeśli z jakichś powodów furta się otworzyła albo wręcz urwała, to w ciągu kilku sekund pokłady zostały zalane. Niestety, na promach nie ma grodzi wodoszczelnych. Wzbierająca woda zapewne wystawiła z szyn wagony i rzuciła je na burtę. W takim wypadku *Raginis* musiał się natychmiast wywrócić. I moim zdaniem to właśnie się stało.

– Mogę zobaczyć mechanizm?

– Jasne. – Kapitan Kosz-Wolski wyciągnął z kieszeni krótkofalówkę. Wdusił przycisk i zawołał: – Marian. Marian. Tu stary.

– Co jest, szefie? – odezwał się po chwili zniekształcony nieco przez szumy głos.

– Możesz zejść na kolejowy?

– Jasne. Coś nie teges?

– Wszystko teges – uspokoił kapitan. – Chcę, żebyś opowiedział naszemu gościowi o procedurze zamykania furt.

– *On my way, chief. Over and out* – pożegnał się rozmówca.

– Marian jest szefem załadunku – powiedział Kosz-Wolski, chowając krótkofalówkę do kieszeni. – I odpowiada u nas za obie furty.

Marian pojawił się kilka minut później. Aleks i kapitan weszli w tym czasie na pokład samochodowy i dotarli do furty na dziobie. Od rozszalałego żywiołu dzielił ich teraz kawałek pionowej ściany, osłonięty stalowym kapturem.

– Więc tak: mamy tu trzy pokłady do załadunku – zaczął Marian, rudy grubas o nalanej, ale przyjaznej twarzy – na samym dole kolejowy, powyżej samochodowy, a jeszcze wyżej antresola pokładu samochodowego, czyli *upper car deck*. Pośrodku, czyli na pokładzie samochodowym, znajduje się konsola do zamykania furty. Zaraz tam przejdziemy. Ale najpierw o samej furcie. Składa się z dwóch elementów: stalowej kopuły zewnętrznej, stanowiącej jednocześnie dziobnicę statku i rampy załadunkowej, która przed wyjściem w morze się podnosi. Ta ściana, na którą pan patrzy, to właśnie rampa. Za nią jest kopuła. Nadąża pan?

– Nadążam – odparł z przekąsem Aleks.

– Świetnie. Obie części są ze sobą sprzężone. Kiedy otwieramy furkę, pneumatyczne siłowniki unoszą dziobnicę, a rampę opuszczają w dół i można ładować. Do obsługi siłowników, jak mówiłem, służy konsola na pokładzie samochodowym. Po zamknięciu furty trzeba wejść piętro wyżej, na antresolę, i zasunąć żelazne rygle rampy. Służą do tego silniki elektryczne, bo jeden rygiel waży... No, nie wiem ile w sumie, ale dużo. Zamontowane są na specjalnych szynach. Po założeniu rygli operator musi zejść na pokład kolejowy i zasunąć rygle kopuły. Też poruszane za pomocą silników elektrycznych. Jak pan spojrzy tutaj – Marian wskazał palcem grube wybrzuszenie poszycia burty w miejscu, w którym zbiegała się ona z dziobnicą – to zobaczy pan osłonę szyny prawego rygla. Oba biegną wewnątrz poszycia, bo muszą ominąć rampę. I to tyle.

– A gdyby się zdarzyło, że rygle nie zostaną zasunięte? – zapytał Gall.

– To niemożliwe – odparł stanowczo Marian. – Rozumiem, że z powodu rutyny człowiekowi zdarza się zaniechać pewnych czynności. Ale raczej nie zapomina o takich, które zajmują mu dziesięć minut i wymagają pokonania schodów pomiędzy trzema pokładami. Tym bardziej że zabezpieczenie furty jest jednym z moich głównych zadań. Szeliga na *Raginisie* miał dokładnie takie same.

– W porządku – rzekł pojednawczo Aleks. – Ale przyjmijmy taką

hipotezę. Co by się stało, gdyby prom wyszedł w morze bez zasuniętych rygli?

Marian spojrzął na kapitana, a ten wzruszył tylko ramionami.

– Cholera wie – powiedział Kosz-Wolski. – Nigdy nam się nic takiego nie przydarzyło. Furta ma czujniki. Jeżeli rygle nie zostaną zasunięte, na mostku włączy się alarm.

– Myślę, że nawet bez rygli furta powinna wytrzymać – dodał Marian. – Siłowniki też mają swoją moc. No, ale nie wiem. A już przy takiej pogodzie, to nie wiem podwójnie.

– A rufą? – zapytał Aleks. – Jak wygląda procedura z furcią rufową?

– Z rufową... – Marian powrócił do gry, korzystając z okazji, że rozmowa znów toczy się na znajomy mu temat. – No, z rufową to jest trochę inaczej. Rufowa ma jedną grubą warstwę, która jednocześnie jest poszyciem zewnętrznym i rampą. Też ma swoje rygle. Zasuwa się je na górnym pokładzie samochodowym i tam też znajduje się konsola.

– Ale myślę, że tylną furcią nie musi się pan kłopotać – wtrącił kapitan.

– Dlaczego? – zapytał Aleks.

– Bo ona nie była otwierana w Świnoujściu. Przez tylną rufę rozładujemy i ładujemy prom w Ystad. Przez przednią w Świnoujściu. Dobę przed katastrofą *Raginis* szedł ze Szwecji, w kiepskich warunkach i z falą w tyłek. Nic się nie stało, więc furta musiała zostać dobrze zabezpieczona w Ystad. A u nas, jak wspomniałem, nikt jej nie ruszał.

– Rozumiem – odparł Aleks.

– No dobrze – rzekł kapitan Kosz-Wolski. – Muszę wracać na mostek, panie Gall. Jeśli pan chce, może się pan rozejrzeć, acz szczerze mówiąc, wolałbym nie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale ani tu nie jest dla pana bezpiecznie, ani pan nie jest bezpieczny dla statku. Mamy tu wiele urządzeń, których przypadkowe włączenie mogłoby doprowadzić do katastrofy. Na przykład blokadę kół wagonów można dezaktywować wciśnięciem jednego guzika na panelu sterowania zwrotnicą. A proszę mi wierzyć, uciekanie z tonącego statku to nic

przyjemnego. Wiem, bo już mi się zdarzało. Jakieś dwadzieścia lat temu.

– Mnie się zdarzyło zeszłego lata – powiedział z uśmiechem Aleks, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

ROZDZIAŁ 13

Chwilę przed dwunastą MF *Stanisław Skalski* dotarł w końcu do Ystad i Aleks osobiście, choć przy asyście Mariana, odryglował rampę i kopułę, a potem aktywował siłowniki na konsoli. Uznał przy tym, że rzeczywiście trudno zapomnieć o właściwym zabezpieczeniu furty przed wyjściem w morze, bo cała procedura naprawdę wymagała sporo zachodu.

O wpół do pierwszej postawił stopę na brzegu i ruszył w kierunku postoju taksówek. Odczuwał zmęczenie. Po powrocie do kajuty nie mógł zasnąć, więc wrócił do książki. Teraz mijała mu trzydziesta godzina bez snu. Zastanawiał się, czy nie pojechać do hotelu, żeby się chwilę zdrzemnąć, ale ostatecznie jedynie zmienił przepocony T-shirt na świeży i ruszył w kierunku dworca kolejowego, żeby złapać pociąg do Göteborga. Podróż zajęła mu cztery i pół godziny, bo dość długo musiał czekać na przesiadkę w Malmö. Prosto z dworca udał się taksówką do szwedzkiej siedziby Baltic Bridge w dzielnicy Masthugget, na południowym brzegu rzeki Göta älv. Wprawdzie dochodziła już piąta po południu, ale Aleks wątpił, by w taki dzień jak dziś biuro było opustoszałe.

Taksówka minęła siedzibę Stena Line i skręciła w prawo na parking. Biurowiec Baltic Bridge znajdował się dokładnie naprzeciwko siedziby swego największego konkurenta. Kiedy tylko minęli narożnik budynku, Aleks ujrzał stojący przed wejściem żółty ambulans. Dyskoteka niebieskich świateł sugerowała, że ratownicy przybyli tu z interwencją.

Aleks zapłacił taksówkarzowi i krótką chwilę siłował się z drzwiami. W końcu wygrał z naporem wiatru i wysiadł z pojazdu. Pasażer taksówki, która pojawiła się na parkingu zaraz za nimi, nie miał najwyraźniej tyle siły. Aleks podszedł do białego volvo, chwycił za klamkę i szarpnął ją do siebie. Ujrzał zaskoczone, ale przepełnione wdzięcznością spojrzenie starego

człowieka. Gall podał mu dłoń i pomógł wsiąść.

– Dziękuję – rzekł starzec po angielsku, po czym wyjął z auta staromodny neseser i skinąwszy Aleksowi na pożegnanie, ruszył w kierunku wejścia do budynku. Gall wyciągnął papierosa. Od kilku godzin nie miał okazji zapalić i uznał, że to dobry moment. Deszcz siełł niemiłosiernie, więc Aleks skrył się pod skromnym plastikowym zadaszaniem rozciągniętym nad wejściem. Najwyraźniej stał na tyle blisko, że łapała go fotokomórka, bo drzwi co chwila otwierały się i zamykały. Nie przejmował się tym. Patrzył na stojącego nieopodal pięknego mercedesa SLS AMG. Srebrne coupé, z unoszonymi drzwiami. Pomimo paskudnej pogody auto lśniło czystością. Widać było, że właściciel wkładał sporo serca i pieniędzy w utrzymanie wozu.

W połowie papierosa usłyszał krzyki dobiegające z wnętrza budynku. Nie było popielniczki, więc wyrzucił niedopałek wprost na ulicę i wszedł do środka. A tam panowało niemałe zamieszanie. Drzwi windy były otwarte, a jeden z ochroniarzy przytrzymał je, zupełnie jakby przeszło sto lat temu nie wynaleziono fotokomórki. Dwóch sanitariuszy w wyraźnie podłych nastrojach usiłowało wyprowadzić z kabiny wózek inwalidzki, na którym we wszystkie strony rzucał się mężczyzna będący w nastroju jeszcze podlejszym niż sanitariusze. Miał na oko sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć lat i Aleks nie miał wątpliwości, na kogo patrzy.

– Nigdzie nie jadę! Nic mi nie jest! – krzyczał Torgil Thoresen. – Na Boga, Birgir, każ mnie zawieźć z powrotem.

– Uspokój się – powiedział ten nazwany Birgirem, a potem zwrócił się do sanitariuszy: – To już trzeci raz w ciągu sześciu miesięcy. Podajcie mu zero cztery miligrama nitrogliceryny pod język i analgetyk. Jak będzie trzeba, to metoprolol.

– Niech pan przyśle jego wyniki z ostatniego półrocza, doktorze – poprosił jeden z sanitariuszy.

– Wyślę, gdy tylko dotrę do biura.

– Birgir, ja nie mogę jechać do szpitala.

– Czego nie rozumiesz w sformułowaniu „właśnie masz zawał?” – odparował Birgir.

– Nonsens, ja... – Torgil urwał, bo zobaczył nadchodzącego Aleksa. Machnął w jego kierunku dłonią, przyzywając go do siebie po angielsku. – Ty! Ty jesteś Gall? Chodź tutaj.

– Aleksander Gall – przedstawił się Aleks, wyciągając dłoń w kierunku Torgila, ale ten nawet się nie ruszył.

– Proszę się odsunąć – warknął Birgir i bezceremonialnie odepchnął Aleksa, który jednak utrzymał równowagę.

– Birgir, na miłość boską! Idź na górę i przynieś mi aspirynę, bo zapomniałem! – krzyknął Torgil, a zrezygnowany lekarz westchnął tylko i ruszył w kierunku windy. – Pan mu wybaczy, panie Gall. Jest trochę przewrażliwiony. Przysyła pana Makuszewski, tak? Powiem panu coś! Niech ten szczył nie próbuje mnie kiwać. Proszę mu to przekazać!

– Niech pan mu to sam przekaże. Ja nie będę robić za głuchy telefon. Ciekaw jestem natomiast, co się stało.

– A jak pan myśli?! – krzyknął Torgil. – To się stało, że cała ta flota to jeden wielki szmelc. Statki mają po czterdzieści lat. Ciągłe awarie. Problemy ze statecznością. Problemy z pływalnością w obciążeniu. Nie słuchają steru, nie słuchają maszyny. Koszmar. To się stało. Nic tam nie działa tak, jak powinno, człowieku. Moi inspektorzy wszystko sprawdzili. Tak to jest, jak się wyprawia w morze flotę pod gównianą banderą. Czerwono-białe paski i jedna zaszracona gwiazdka w niebieskim polu. Wie pan, co to jest?

– Flaga Liberii.

– No to ma pan odpowiedź. Oto co się stało. A ten smarkacz, co jeszcze zżerał gile z nosa, jak ja już pływałem, śmie mnie oskarżać o sabotaż. We łbie mu się poprzewracało.

– Musi się pan liczyć, że takich oskarżeń będzie więcej. Bo trzeba przyznać, że ta katastrofa bardzo się panu opłaca.

– Owszem. I niezmiernie mnie to cieszy. Nie sama katastrofa, oczywiście. Tam ludzie poginęli. Ale to będzie najprostsze przejęcie w moim życiu. Ta linia właściwie już należy do mnie. I powiem panu coś. Z przyjemnością wyduszę z Makuszewskiego ostatniego pieprzonego centa. Ten człowiek nie powinien się zajmować rzeczami, na których się nie zna. Ja dostanę odszkodowanie, a on stracił *Raginisa*. Jest skończony.

– O ile okaże się, że zawinił statek.

– Tak, tak – zachnął się Torgil. – Wiem, co teraz będzie. Przejdzie pan do insynuacji Makuszewskiego, potem przypomni *Heralda*. Standardowo. *Herald*, panie Gall, to był wypadek. A winnego tego wypadku doskonale znamy. Służby dobrały nam się do dupy, ale winny był Stanley. Pieprzony Mark Stanley, który przespał moment, kiedy miał zamknąć furkę.

– Przespał, bo pracował od kilkudziesięciu godzin – zauważył Aleks.

– I co z tego? Młody człowieku, praca na morzu jest ciężka. A jak marynarze wypływają w roczny rejs, to myśli pan, że narzekają na godziny pracy? Panu się zdaje, że Stanley pracował non stop? Gówno prawda. Miał swoje obowiązki przy załadunku i rozładunku. A cały rejs mógł przespać. Trzy godziny snu, dwie godziny pracy, trzy godziny snu, dwie godziny pracy. I tak dalej. Czy to moja wina, że zamiast spać, oglądał pornole?

– A oglądał?

– A gównu mnie to obchodzi. Był winny i koniec.

– To pańska opinia.

– Żeby pan wiedział. I teraz też wiem, co się stało. Ten stary szmelc po prostu nie wytrzymał. W życiu nie widziałem tak źle zarządzanego przedsiębiorstwa. Zresztą gdyby nie ja, to Baltic Bridge już dawno przeszedłby do historii.

– Więc po co pan wszedł w tę spółkę? – zapytał Aleks.

– A to akurat nie powinno pana obchodzić, panie Gall. Ale powiem panu, skoro pan taki ciekaw. Dlatego że mimo wszystko jest to bardzo rentowny biznes. O ile nim odpowiednio pokierować. Na rynku jest czterech graczy, a mogłoby być nawet sześciu i każdy by wychodził na swoje. Rejsy ze Świnoujścia do Ystad to najtańsze połączenie promowe na Bałtyku. Göteborg, Gdańsk i Petersburg obsługują kontenerowce. A cała drobica pływa z nami. I jest tego naprawdę dużo. Nasze statki często są przeładowane. Wozimy towary z Niemiec, Włoch, Francji, Bałkanów, a nawet z Ukrainy czy Białorusi. Wie pan, ile to pieniędzy? Wystarczy zainwestować w większe i szybsze statki. Ale na to trzeba mieć kasę. A Makuszewski jej nie ma. Nie ma, bo

trwoni.

Uszu Aleksa dobiegł cichy dzwonek windy, która właśnie zatrzymała się na parterze. Pomyślał, że ani chybi wraca doktor, więc rozmowa zaraz się skończy. I faktycznie, skończyła się. Ale nie za sprawą doktora.

– Proszę mu nic nie mówić – odezwał się ciepły i melodyjny, ale również stanowczy i nieznoszący sprzeciwu głos. – Nie jest uprawniony do prowadzenia śledztwa.

– Ciebie też miło widzieć, Kjerstin. – Aleks się uśmiechnął.

Kjerstin Vasa miała czterdzieści lat i wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać szwedzka czterdziestolatka. Długie, niemal białe włosy miała spięte w kucyk. Świetnie dopasowane spodnie podkreślały wciąż atrakcyjne kształty. Dawniej, gdy znali się trochę lepiej, a przede wszystkim widywali znacznie częściej, Aleks lubił mawiać, że jej ciało wygląda tak, jakby wciąż było w ruchu. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Niestety, charakterek również się nie zmienił.

– Co ty sobie myślisz, Aleks? Przyjeżdżasz tutaj i wypytujesz moich świadków?

– Twoich świadków?

– Moich. Bo chyba wiesz, że prowadzę tę sprawę.

– Wiem. I szczerze mówiąc, liczyłem, że czymś się ze mną podzielisz.

– Tak? – Kjerstin się zaśmiała. – A to na jakiej podstawie?

– Dawniej tak właśnie było.

Kjerstin spoważniała. Spuściła oczy i nerwowym ruchem poprawiła żakiet. Aleks doskonale wiedział, że nie lubi mu odmawiać. Za wiele mu zawdzięczała. Między innymi błyskotliwą karierę w SHK. Statens Haverikommission. No, może bez przesady, ale pomógł jej w kilku naprawdę medialnych przypadkach. Śledcza szybko jednak odzyskała rezon. Spojrzała Aleksowi prosto w oczy.

– Ale dawniej – powiedziała spokojnie – nie byłeś stroną postępowania. A teraz jesteś. Dawniej chodziło ci o prawdę. Teraz chcesz wyciągnąć z kłopotów Makuszewskiego. Sama mu dałam twój numer.

– Jeśli zawinił, to pošlę go do diabła, Kjerstin. Przecież wiesz.

– Może. Ale pewności nie mam. – Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła się w stronę zniecierpliwionych nieco sanitariuszy i rzuciła w ich kierunku: – No raz, raz. Do szpitala. Na jednej nodze.

Cała kawalkada ruszyła w kierunku karetki, a ochroniarz przytrzymał drzwi wejściowe.

– Bardzo pana przepraszam – odezwał się głos za plecami Aleksa. Gall odwrócił się i ujrzał doktora. Mógł mu się teraz lepiej przyjrzeć. Widać było, że ma już swoje lata, ale wciąż był energiczny. Miał lekki brzuszeczek i skórę tak ciemną, że prawie brązową, choć bez wątpienia był Szwedem z dziada i pradziada. Świadczyły o tym jasne włosy i niebieskie, mądre oczy. – Przepraszam, że pana odepchnąłem – kajał się doktor. – Strasznie mi głupio. Nazywam się Birgir Krygård. Jestem lekarzem pana Thoresena. Rozumie pan. To wyjątkowo nerwowo dzień.

– Nie gniewam się, panie doktorze. Wszystko dobrze?

– Ze mną tak. Ale mówię panu, że ten stary dureń wykituje jeszcze w tym roku. Zupełnie nie słucha zaleceń. Pali dwie paczki dziennie. Na razie mamy jeszcze wszystko pod kontrolą, ale prędzej czy później w jego piersi eksploduje prawdziwa bomba.

– Długo pan z nim pracuje?

– Od kiedy wróciłem do Szwecji. Trochę mnie nie było. Niech mi pan wybaczy, Gall, ale muszę jechać do szpitala. – Podał Aleksowi wizytówkę. – Wiem, że wy, młodzi, już tego za bardzo nie używacie, ale może się przyda. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dzwonić. I naprawdę, raz jeszcze przepraszam.

– Nie ma sprawy, doktorze.

Krygård wyszedł, a Aleks powoli podążył jego śladem. W głowie kłębiły mu się myśli, ale zdawał sobie sprawę, że teraz najbardziej potrzebuje snu. A śledztwo może poczekać.

Wyszedł na zewnątrz i zdążył jeszcze dojrzeć Krygårdą dopadającego do swojego SLS AMG. Gwizdnął cicho. Najwyraźniej dziadek lubił jeszcze poszpanować. W końcu ruszył w kierunku stojącej nieopodal taksówki. Stała z włączonym

silnikiem. Wycieraczki rozpaczliwie starały się usunąć z szyby nadmiar wody. Aleks naciągnął kaptur kurtki i ostatnie metry przebył biegiem. Chwycił za klamkę.

– To chyba moja – odezwał się głos za jego plecami. Głos w przyjemnie znajomym języku, ale wyrażający stanowcze niezadowolenie. Aleks odwrócił się i ujrzał starca, któremu wcześniej pomógł wsiąść.

– Faktycznie, przepraszam – zreflektował się – pan nią przyjechał. Rozumiem, że kazał pan kierowcy czekać.

– Owszem – potwierdził rozzłoszczony starzec. Aleks go przepuścił. Mężczyzna wsiadł do środka, ale gdy Gall próbował zamknąć za nim drzwi auta, przytrzymał je dłonią.

– Co pan wyrabia, na Boga?! – zawołał. – Niechże pan wsiada. Zmieścimy się.

Aleks skorzystał z okazji. Gdy zatrzasnął drzwi, zrobiło się cicho i ciepło.

– Dokąd pan jedzie? – zapytał starzec. – Bo ja na lotnisko.

– Może być na lotnisko. Tam z pewnością są jakieś hotele. A ja potrzebuję snu.

– Świetnie. – Starzec machnął ręką, jakby odganiał muchę. Cokolwiek spowodowało jego gniew, zrobiło to wyjątkowo skutecznie. – Na lotnisko City – rzucił w kierunku kierowcy po angielsku.

– City nie pracuje – rzekł przyjaznym głosem arabski kierowca.

– No, wie pan. Z powodu pogody. Operacje przeniesiono na Landvetter. Mają tam dłuższy pas i kierunek wiatru jest...

– Dobra, dobra – przerwał mu starzec. – Jedź pan. Daleko to? Bo mi samolot ucieknie.

– Dwadzieścia kilka kilometrów – odparł kierowca. – A o samolot niech się pan nie martwi. Opóźnienia sięgają pięciu godzin.

Starzec westchnął. Być może ze złości, być może z bezsilności. Kierowca, nie doczekawszy się żadnej konkretnej odpowiedzi, wrzucił w końcu jedynekę i ruszył.

– Nazywam się Antoni Wścieklica – przedstawił się starzec, a Aleks się roześmiał. – No i co się pan wygłupia? – oburzył się

Wścieklica. – To szlacheckie nazwisko. Herbu cholerny Topór.

– Proszę wybaczyć – powiedział Aleks wciąż jeszcze rozbawiony. – Oczywiście nie z nazwiska się śmieję, a z tego, jak bardzo panu pasuje.

– Aaa to – odparł Wścieklica i po chwili też się roześmiał. – Zdenerwowała mnie ta głupia... No, jak jej tam?

– Idę o zakład, że chodzi panu o Kjerstin Vasę. Ze wszystkich osób, jakie znam w tym mieście, tylko ona potrafi tak człowieka rozsierdzić.

– No to widzę, że zna ją pan całkiem dobrze, panie Gall.

– Już drugi raz powtarza pan moje nazwisko. Skąd mnie pan zna?

– Słyszałem, jak Thoresen je wymawiał. Inaczej bym pana nie poznał, ale oczywiście słyszałem o panu. Badał pan zderzenie *Harpoona* i *Thraki*. Szczerze mówiąc, narobił pan sobie tym wrogów w Polsce. Wykazał pan, że nasi marynarze są niekompetentnymi durniami.

– Nonsens. Pozwoliłem im godnie żyć. Popełnili błędy. Zapłacą za nie i wrócą do pracy. Oni doskonale wiedzą, że pokpili sprawę, a ich lekkomyślność kosztowała życie pięciu marynarzy.

– Mnie pan nie musi przekonywać, panie Gall – uciął Wścieklica.

– Ale kapitan Paliwoda z pewnością ma na ten temat inne zdanie. Pływa teraz na promie w Świnoujściu. Wypadek *Raginisa* też będzie pan badał?

– Miałem taki zamiar – odrzekł Aleks, wpatrując się w zalewaną deszczem szybę. – Ale natrafiłem na ścianę. A wie pan, że Kjerstin też badała wypadek *Harpoona*? Właściwie to ja jej tylko pomagałem. Tak czy inaczej, teraz nie chce ze mną współpracować. To oznacza, że będziemy ze sobą konkurować. I niestety, ona ma w tej chwili sporą przewagę.

– Ha, i tu się mylisz, Gall! – zakrzyknął Wścieklica.

Aleks spojrzał na starca nieco uważniej niż dotychczas. Kim on właściwie był? Sporo wiedział. Za dużo, jak na przypadkowego człowieka. No i rozmawiał z Kjerstin. Ale ta zagadka rozwiązała się dość szybko, bo Wścieklica zdawał się czytać w jego myślach.

– Widzę to nieme pytanie w pana oczach. – Starzec zaśmiał się,

wesoły, jakby właśnie wyciął zabawny numer kumpłowi z klasy.
– I nic dziwnego. Pan mnie nie zna. Jestem kapitanem portu w Świnoujściu i nadzorowałem akcję ratunkową. Ta rozwydrzona panienka zażyczyła sobie, bym osobiście przywiózł jej wszystkie dokumenty. Tutaj. Do Göteborga. Czyli w teren, bo przecież oni główną kwaterę mają w Sztokholmie.

– O jakich dokładnie dokumentach mowa?

– O raporcie z akcji ratunkowej i poszukiwawczej, a także dokumentach załogowych i ogólnych dokumentach portowych. Z ciekawszych, to zgłoszenie zasobów statku, lista załogi, lista pasażerów, manifest ładunków niebezpiecznych. Do tego dochodzą dokumenty: lista ładunkowa, manifest frachtowy, morski list przewozowy i tak dalej. Sporo się można dowiedzieć, choć użytek z tej wiedzy zrobi tylko specjalista.

– Sugeruje pan, że Kjerstin nie jest specjalistą? Nie docenia jej pan.

– Jest czy nie jest to kwestia drugorzędna. Chodzi o to, że ona tych dokumentów nie dostała.

– Jak to? – zdziwił się Aleks.

– Tak to. Spotkałem ją w korytarzu biurowca Baltic Bridge, ale nie dała mi dojść do słowa. Nie poznała mnie. Myślała, że jestem dziennikarzem. Rozumiesz to, człowieku? Mam osiemdziesiąt siedem lat. Czy wyglądam na dziennikarza, kurwa jego mać?

– Raczej nie. – Aleks się zaśmiał. – Ale na osiemdziesiąt siedem lat też pan nie wygląda. Najwyżej na osiemdziesiąt pięć. No, może osiemdziesiąt sześć. Nie więcej.

– Dupek. – Wścieklica też się roześmiał.

– Niech się pan nie obrazi, ale czy nie powinien pan być na emeryturze od jakichś stu lat?

– A i owszem, powinienem. Ale nie jestem. Do grobu też mi się nie spieszy. Codziennie przebiegam dziesięć kilometrów i zdziwiłby się pan, jakie mam wyniki badań.

– Prawdziwy wilk morski.

– Żebyś pan wiedział. Swoje się przepłynęło. No, nieważne. W każdym razie nie dała mi dojść do słowa. Powiedziała, że mam przyjść do niej jutro o dziesiątej, bo będzie konferencja prasowa.

Pech chce, że ja właśnie jutro rano zaczynam urlop. I lecę bardzo daleko. A pani Vasa będzie musiała poczekać na dokumenty dwa tygodnie.

– Uuu, zrobi się z tego gnój, kapitanie.

– A co mnie to obchodzi? To jej problem. Ja specjalnie przyleciałem do niej śmigłowcem Straży Granicznej, pieprzonym, niewygodnym i starszym chyba ode mnie sokołem. W pogodę, w którą w ogóle nie powinno się latać. I w dodatku będę wracać jakimś rejsowym szajsem. Na lotnisku nikt na mnie nie czekał. Pojechałem do hotelu Upper House przy Mässansgata, gdzie podobno mają tymczasową bazę, to mnie odesłali do Baltic Bridge. Przebyłem kawał drogi, a ona mi każe przyjść na konferencję prasową. No nie. Kiedy ja już badałem wypadki, to jej rodzice dopiero pchali się na świat. I tej odrobiny szacunku wymagam. A urlopu nie przesunę. Ja to ja, ale mój pies sobie na niego zasłużył.

– Pies?

– No przecież mówię. Jak mi żona zmarła dziesięć lat temu, zostaliśmy sami z psem. Obaj jesteśmy starzy i obaj musimy czasem od wszystkiego odpocząć. Więc jeździmy do lasu i spędzamy w nim tydzień czy dwa.

– No dobrze – rzekł przeciągle Aleks. To już był moment, by wykorzystać fakt, że rozmowa im się kleiła. – Powie mi pan coś?

– Bardzo chętnie. Utrzymy nosa tej smarkuli – powiedział starzec, kładąc na kolanach neseser. Oba zamki otworzyły się w tym samym momencie, wydając ciche trzaski. Wścieklica wyjął z nesesera papierową teczkę, a z niej kilka luźnych kartek.

– Przygotowałem małe podsumowanie – rzekł, wkładając okulary, które chwilę wcześniej wyciągnął z kieszeni marynarki ukrytej pod płaszczem. – Co my tu mamy. Najpierw o samym statku. MF Władysław *Raginis*. Zbudowany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku w norweskiej stoczni Trosvik Versted. Sto dwadzieścia sześć metrów długości. Siedemnaście metrów szerokości. Trochę ponad cztery metry zanurzenia. Dwa tysiące trzydzieści pięć ton nośności. Pojemność: trzy tysiące piętnaście ton rejestrowych. Rozumiem, że zna pan różnicę

między toną a toną rejestrową.

- Tona rejestrowa to jednostka pojemności, a nie masy. Dalej, panie kapitanie. - Aleks przesłonił usta dłonią, ale jego ziewnięcie było aż nadto oczywiste. Wścieklica jednak nie zwrócił na nie uwagi.

- Tak. - Przez kilka chwil błądził wzrokiem po notatkach, jakby na moment się zdekoncentrował. Po chwili jednak odnalazł odpowiednie dane. - Jeszcze prędkość maksymalna: dziewiętnaście i pół węzła. Nieźle, jak na takiego gruchota. - Zamilkł i ponownie przewertował kartki. Aleks się nie odzywał. Czekał. W końcu kapitan podjął: - Z manifestów wynika, co następuje: stan załogi: dwudziestu dziewięciu. Liczba pasażerów: trzydziestu pięciu.

- Niewielu.

- Baltic Bridge nie prowadzi przewozów pasażerskich. Pasażerami w tym wypadku nazywamy tylko kierowców ciężarówek. Dobra, teraz o załadunku. Według sztauplanu: na pokładzie kolejowym dziesięć wagonów załadowanych cementem i złomem o łącznej wadze trzystu trzydziestu trzech ton, plus dwie niewielkie lokomotywy spalinowe. Typowo manewrowe. Każda po dwadzieścia cztery tony. Za nimi dwanaście zestawów ciężarówek o łącznej wadze czterystu trzydziestu ośmiu ton. Tu trafiły te najcięższe. Wiadomo, im niżej, tym lepiej. Na pokładzie samochodowym z kolei szesnaście ciężarówek o łącznej wadze czterystu czterech ton i dwa samochody dostawcze, po trzy tony każdy. Wszystko pospinane krzyżowo odciągami łańcuchowymi.

- No to mamy więcej kierowców niż samochodów - zauważył Aleks.

- I nic w tym dziwnego. Na niektórych trasach mają podwójne obsady.

- No dobrze. Łącznie tysiąc dwieście dwadzieścia dziewięć ton. Nawet nie zbliżyli się do granicy nośności.

- Proszę pamiętać, że statek był zabunkrowany paliwem. Do tego ciężar materiałów eksploatacyjnych, pasażerów, zasobów własnych i tak dalej. Przed wypłynięciem zaraportowano

o stanie zanurzenia. Na dziobie trzy i sześć dziesiątych metra, na rufie cztery i osiem dziesiątych metra. Proszę pamiętać, że według zasad konwencji o liniach ładunkowych zimą statek musi mieć wyższą wolną burtę. Wie pan, odległość od górnej krawędzi burty do linii maksymalnego załadunku. A więc musi nieść mniej ładunku niż latem. Wszystko to określają naniesione na burtę znaki Plimsolla. Śmiem twierdzić, że *Raginis* znajdował się blisko granicy, a może nawet ją lekko przekroczył. Co jednak nie powinno stanowić problemu, bo znak Plimsolla zakłada pewien margines błędu.

– Czyli byli załadowani pod sufit.

– Nie, raczej nie. Prawdopodobnie na pokładach było jeszcze sporo miejsca. Zresztą w sztauplanie nie ma choćby słowa o załadunku antresoli nad pokładem samochodowym. Ale tu się liczy ciężar, a nie liczba pojazdów.

– Rozumiem – powiedział Aleks. – Czyli mamy w pełni załadowany pokład kolejowy, wyżej nie do końca załadowany pokład samochodowy, a jeszcze wyżej zupełnie pustą antresolę pokładu samochodowego.

– Właśnie. Statek wyszedł w morze zgodnie z planem, o dziesiątej wieczorem – ciągnął Wścieklica. – Początkowo marszruta przebiegała sprawnie, trzymali się trasy i harmonogramu. Pogoda od kilku dni nastęrczała problemów, ale dopiero tego wieczoru nastąpiło prawdziwe piekło. Według raportów meteo w krytycznym momencie stan morza wynosił osiem w skali Douglasa. Mowa o falach wysokości od dziewięciu do czternastu metrów. Przy czym to akurat bardziej teoria. Na Bałtyku po prostu nie ma tak dużych fal. Stawiałbym raczej na sześć do siedmiu metrów. Siła wiatru – dwanaście w skali Beauforta. Ale tylko dlatego, że na dwunastu kończy się skala. Dwunastka oznacza wiatr wiejący szybciej niż siedemdziesiąt dwa węzły. Ale tamtej nocy odnotowano nawet dziewięćdziesiąt jeden węzłów. Niech pan to sobie wyobrazi. Prawie sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Chyba podobnie jak w noc zatonięcia *Heweliusza* – zauważył Aleks.

– Podobnie – zgodził się kapitan – ale wtedy jednak wiało mocniej. Nawet sto węzłów, co, muszę przyznać, przeraża nawet mnie. Przepływałem dziesiątki lat i tylko raz, na Atlantyku, trafił mi się wiatr o prędkości dziewięćdziesięciu węzłów. Tyle że tam mieliśmy piętnastometrowe fale. No, nieważne. Kierunek wiatru w chwili katastrofy dwieście siedemdziesiąt stopni.

– Moment – przerwał Aleks. – Rozmawiałem z kapitanem Koszem-Wolskim, który zapewniał mnie, że tamtej nocy wiało od północy. Był wtedy w morzu. A dwieście siedemdziesiąt to typowo westowy.

– Kapitan Kosz-Wolski się nie myli, tylko że on w chwili katastrofy *Raginsa* stał już przy kei w świnoujskim porcie. Wiatr zmienił kierunek około pierwszej w nocy. Z innych danych: ciśnienie atmosferyczne zaledwie dziewięćset jedenaście hektopaskali, temperatura powietrza: jeden stopień Celsjusza. Temperatura wody: dwa stopnie Celsjusza. Wpadasz do wody, to umierasz w pięć minut. Wypadek zdarzył się o trzeciej trzydzieści jeden, na pozycji – w przybliżeniu – pięćdziesiąt pięć stopni i dwie minuty północ, czternaście stopni i osiemnaście minut wschód. I dodam, że jest to pozycja oddalona od trasy około dziesięciu mil morskich na wschód, co oznacza, że zgubili kurs lub nie mogli go utrzymać. Przewiało ich po prostu. Do portu zabrakło im trzydziestu dwóch mil morskich. Czyli około dwóch godzin według planu, ale w takich warunkach mogliby płynąć nawet siedem lub osiem godzin. *Raginis* nie wołał o pomoc. Myślę, że sytuacja ich zaskoczyła. Natomiast już trzy minuty po katastrofie wezwanie *mayday relay* wystosował na kanale szesnastym UKF przepływający właśnie obok kontenerowiec *Stepanique* należący do MSC. Oni też pierwsi przystąpili do akcji ratunkowej i wyratowali jedynego rozbitka.

– Jak to?! – krzyknął Aleks. – Ktoś przeżył?

– Tak – odparł Wścieklica. – Młody chłopak. Usiłują ustalić jego tożsamość, bo nic przy sobie nie miał. Ale sądząc po wieku, to pomocnik bosmana.

– Jak z nim?

– Głęboka hipotermia. Leży w śpiączce w którymś ze szpitali

w Ystad. Marynarze ze *Stepanique* zeznali, że *Raginis* przełamał się na pół i dzięki temu ten chłopak uszedł z życiem. Wyobraża pan to sobie?

– Niech pan mówi dalej – poprosił Aleks.

– Wrak leży na płyciźnie. Na burcie lub stępką do góry. Na głębokości dwudziestu trzech metrów. Zaledwie sześć metrów poniżej lustra wody. To nawet płycej niż *Heweliusz*.

– Moment – przerwał Gall. – Skoro to była płycizna, to co tam robił cholerny kontenerowiec?

– Dobre pytanie. Trzeba będzie je zadać. Niestety, nie odpowie na nie kapitan, ponieważ w trakcie akcji ratunkowej wypadł z szalupy i utonął.

– Żartuje pan.

– Skądże. Odważny człowiek, ale jeszcze nie wiem, jak się nazywał. W każdym razie jego wołanie zostało odebrane przez Lyngby Radio. Komunikat przekazano dalej. Na miejsce wypadku pospieszyło dość dużo jednostek. Sześć rosyjskich, dwie polskie, dwie niemieckie, dwie szwedzkie, jedna duńska. Niedługo potem wypłynęły statki ratownicze z Rönne, Ystad i Sassnitz, a z Gdyni wyprawiono holownik ratowniczy Aegir. Centrum dowodzenia akcją ratunkową ulokowano początkowo w Bremie, ale potem my przejęliśmy sprawę. Zmobilizowaliśmy dziewięć załóg śmigłowców, ale ostatecznie żadnej nie wypuściliśmy. Było dla nich zbyt niebezpiecznie, a jednostki będące już na miejscu raportowały, że nie widzą nikogo żywego.

– I tak by nie wystartowali przy takim wietrze.

– Pan nie zna tych pilotów, Gall. Kiedy zatonął *Heweliusz*, wiało dużo mocniej. Piloci z Kilonii polecili obsłudze przepchnąć śmigłowce za hangar. Osłonili się przed wiatrem, żeby uruchomić wirniki i polecili ratować ludzi.

Dopiero gdy auto się zatrzymało, zorientowali się, że są już na lotnisku. Wścieklica zamknął teczkę, a potem odpiął pas i poprawił płaszcz. Z kieszeni wyciągnął portfel, ale Aleks powstrzymał go ruchem dłoni.

– Ja pojedę dalej. Proszę się czuć zaproszonym na tę przejażdżkę.

Stary kapitan uśmiechnął się i powiedział:

– Niech pan zwróci uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze, ten statek już kiedyś złapał głęboki przechył w trakcie rejsu. Zaraz za główkami portu w Ystad. W wyniku wadliwego balastowania. To raz. A dwa, niecałe pół roku temu przechodził remont przedniej furty po lekkiej kolizji.

– Bardzo dziękuję za te informacje.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Wścieklica i szarpnął klamkę. Tym razem otworzył drzwi bez problemu. Wysiadł, ale nim odszedł, powiedział jeszcze: – A przy okazji, czy wie pan, po kim pan nosi nazwisko?

– Po ojcu – odrzekł zaskoczony Aleks.

Wścieklica ponownie posłał mu ciepły uśmiech. Po dawnej złości nie było już śladu.

– Niech pan sobie włączy YouTube i posłucha starej pieśni żeglarskiej, zatytułowanej *Mona* – rzekł i zamknął za sobą drzwi.

– Dokąd teraz? – zapytał kierowca.

– Tam gdzie dają czystą pościel – powiedział Aleks, ziewając.

ROZDZIAŁ 14

Mężczyzna w masce jednoroźca niecierpliwie spojrział na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Nie cierpiał takich imprez, ale bal u króla doskonale nadawał się do tego, co musiał zrobić. W sali pałacowej bawiło się przynajmniej czterysta osób, a każdy z twarzą skrytą za maską.

Raz jeszcze powtórzył sobie w głowie to, co miał do powiedzenia. Dłoń bezwiednie powędrowała w kierunku wewnętrznej kieszeni smokingu i namacała kopertę. *No pewnie, że tam jest. Niby kto miałby mi ją zwinąć?*

Nie bał się. Po prostu nigdy jeszcze nie robił takich rzeczy. Nigdy nie spotykał się z takimi ludźmi. Na dobrą sprawę miał ogromne szczęście, że w ogóle do kogoś takiego dotarł. Przydały się znajomości ze starych czasów. A teraz będzie musiał się postarać, by wyjść na profesjonalistę. Jeśli okaże strach, tamten na pewno to wyczuje. Cholera wie, co się wtedy stanie. Nie, nie. Tamten musi wiedzieć, kto tu rządzi. Mężczyzna miał nadzieję, że pieniądze, które przygotował, jednoznacznie określą go jako zawodnika z najwyższej półki.

A jednak wzdrygnął się, gdy poczuł na ramieniu czyjś dotyk. Spojrzał w górę i ujrzał mężczyznę w masce renesansowego konowała. Zamiast nosa miała długi, zakrzywiony w dół dziób, w którym ówczesni doktorzy umieszczali gazy nasączone wonnymi olejkami. Żeby nie czuć smrodu rozkładających się od dżumy zwłok.

– No, wreszcie! Miał pan być o ósmej.

– Zgadza się, ale pogoda mnie zatrzymała – odparł przybysz, nieszczerólnie przejęty reprimendą. – Czy naprawdę musimy uprawiać tę dziecinadę?

– Owszem. Musimy. Nie chcę, by znał pan moją twarz. A ja nie chcę znać pańskiej. I żadnych nazwisk. Przyjmijmy, że ja jestem Pan Jednorożec, a pana będę nazywał Panem Dżumą. Chyba że

woli pan być Panem Czarną Śmiercią. To nawet bardziej pasuje.

– Niech będzie Pan Dżuma. A teraz słucham pana, Panie Jednoroźcu.

Pan Jednorożec powoli wyjął z kieszeni kopertę i podał przybyszowi. Ten otworzył ją wprawnym ruchem i wyciągnął fotografię. Przyjrzał się widniejącemu na niej mężczyźnie. I ucieszył się, że ma na sobie maskę, bo ukryła ona jego zaskoczenie. I rozbawienie. Znał tego człowieka aż za dobrze. Jeśli będzie trzeba na niego zapolować, to szykuje się doskonała zabawa. Ale trudna. Bardzo trudna.

– Nazywa się Aleksander Gall – rzekł Pan Jednorożec.

– Ma umrzeć? – zapytał Pan Dżuma.

– Tak. Ale nie od razu. Na razie chciałbym, żeby go pan śledził.

– Po co?

– Bada pewną sprawę, którą jestem żywo zainteresowany. Nim umrze, chciałbym się dowiedzieć, co ustalił.

– Nie zajmuję się śledzeniem ludzi. Nudzą mnie takie zadania.

– Milion dolarów – powiedział krótko Pan Jednorożec, a Pan Dżuma ponownie się uśmiechnął.

– Przekonujący argument – odparł.

– Milion dolarów – powtórzył Pan Jednorożec. – Ale dopiero po zakończeniu akcji.

– Połowa od razu.

– Nie, Panie Dżuma.

– Takie są zasady.

– Więc je zmieniam. Oferuję dobre pieniądze i mam swoje wymagania. I proszę się nie martwić. Jestem człowiekiem honoru. Jak oferuję zapłatę, to płacę.

– Nie martwię się – odrzekł spokojnie Pan Dżuma. – Gdyby chciał mnie pan oszukać, to pana zabiję i sam sobie wezmę pieniądze. Wszystkie. To się panu stanowczo nie opłaca.

Pan Jednorożec przełknął ślinę. Przez krótką chwilę uległ iluzji, że jest panem sytuacji. Ta chwila właśnie minęła i poczuł się nieswojo.

– To jak, zgadza się pan? – zapytał, usilnie starając się ukryć drżenie głosu.

- Zgadzam się – odparł Pan Dżuma. – Ale zrobię to po swojemu.
 - To znaczy jak?
 - Poproszę o pomoc przyjaciela.
 - Wolałbym...
 - Gdzieś mam, co by pan wolał. Jeśli ma pan swoje pomysły i przekonanie, że są tak dobre, by mi je sugerować, proszę się samemu zająć tą sprawą.
 - Dobrze, dobrze. Jak pan to zamierza rozegrać?
 - Mój człowiek będzie śledził tego Galla, a kiedy przyjdzie odpowiedni moment, ja się włączę do gry.
 - Bo śledzenie ludzi jest według pana nudne.
 - Właśnie – odparł Pan Dżuma. – Będziemy w kontakcie.
- Odszedł. Pan Jednorożec odczekał chwilę, a potem zdjął maskę i wytarł rękawem smokingu spoconą twarz.

ROZDZIAŁ 15

*Wiem dobrze, że synowie ich
Też w morze pójdą, kiedy znów
Do oczu komuś zajrzy śmierć
I wezwie ratowniczą łódź.*

Potem jeszcze kilka cichych brzdęknięć na gitarze i utwór się skończył. Aleks zamknął YouTube i otworzył Wikipedię.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku szkockie wybrzeże nawiedził silny sztorm, który ósmego grudnia zerwał z kotwicowiska stary latarniowiec North Carr. O trzeciej trzydzieści z przystani Broughty Ferry wyruszyła mu na pomoc *Mona* – niewielka łódź ratownicza, obsadzona ośmioma marynarzami. Nikt inny nie odważył się wyjść tej nocy w morze. Ostatni sygnał *Mona* nadała o czwartej czterdzieści osiem. Jakiś czas później odnaleziono ją wysztrandowaną i odwróconą do góry dnem. Ośmiu mężczyzn zginęło, a kilka lat później zespół The Dubliners nagrał piosenkę ku ich czci. Wśród ludzi morza stała się ona hołdem dla wszystkich tych, co nie powrócili do swoich portów. Nieważne, jak wiele alkoholu przelewa się w żeglarskiej knajpie, jeśli ktoś zaintonuje *Monę*, wszyscy wstają, rozmowy milkną, a czapki zdejmowane są z głów.

Szyper *Mony* nazywał się Aleksander Gall.

Aleks zamknął laptopa i przeciągnął się. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta rano. Przespał trzynaście godzin. Nie miał wyrzutów sumienia, ale uznał, że najwyższy czas zabrać się do pracy.

Idąc pod prysznic, zdał sobie sprawę, że w sumie nie wie, od czego zacząć. Nie spotkał się dotąd z sytuacją, że był persona non grata w śledztwie. Jasne, wielu śledczych okazywało mu lekceważenie, a czasami nawet pogardę, ale głównie ze strachu o własny tyłek. Bo Aleks był naprawdę dobry. Największym

dupkiem ze wszystkich był Scottie Jordan z amerykańskiej NTSB. Emerytura wisała nad nim jak miecz Damoklesa i za wszelką cenę usiłował udowodnić Aleksowi, że każdą sprawę jest w stanie rozwiązać sam. Ale nie był i chyba w końcu to zrozumiał. Aleks mógłby przysiąc, że Jordan nienawidził go z całego serca. Ale szanował. Aleks też szanował starszuka i bardzo ubolewał nad jego śmiercią. Tym bardziej że była to śmierć na służbie.

Hotel uchodził za przyzwoity, więc i ciśnienie wody w kranie było w porządku. Aleks zamknął oczy, gdy woda z deszczownicy trysnęła mu na twarz. Miała dokładnie taką temperaturę, jak powinna. Automatyczny termostat to wspaniały wynalazek. Resztki snu pierzchły. Nie otwierając oczu, Gall sięgnął po tubkę z płynem do mycia. Nie spieszył się, ale i przesadnie nie celebrował kąpieli. To nie był jeden z tych pryszniców „sto”. Kiedy Aleks był młodszy, miał kłopoty z porannym wstawaniem, zwykle budził się za późno, a potem dużo czasu mitrężył pod prysznicem. W końcu wpadł na pomysł, by z momentem odkręcenia kranu odliczać od stu do zera. I przy zerze zakręcać wodę. Tym sposobem nauczył się, że jeśli potrzeba, prysznic może trwać niecałe dwie minuty, wliczając w to mycie zębów i włosów.

Ale tym razem poranna toaleta zajęła mu kwadrans. Gdy wyłączył wodę – wyłączył, nie zakręcił, bo służył do tego przycisk, nie pokrętko – i sięgnął po ręcznik, usłyszał przytłumiony śpiew Michaela Jacksona. Wytarł się szybko, rzucił ręcznik do kabiny prysznicowej i wszedł do pokoju. Komórka wibrowała wściekle, nim jednak po nią sięgnął, zamilkła. Spojrzał na wyświetlacz. Nie znał numeru osoby, która przez ostatnie piętnaście minut dzwoniła do niego jedenaście razy. Już chciał oddzwonić, ale nim zdążył wybrać numer, komórka zawibrowała i zagrała pierwsze takty *Liberian Girl*. Aleks przeciągnął w prawo zieloną słuchawkę na wyświetlaczu i przyłożył telefon do ucha, jednak nie zdążył nic powiedzieć.

– Co się z tobą dzieje?! – wrzasnął kobiecy głos, którego Aleks nie rozpoznał. – Ile razy mam dzwonić?

– Kto mówi? – zapytał Aleks.
– Ten skurwysyn mnie odsunął!
– Jaki skurwysyn? – spytał, zdając sobie w końcu sprawę, że rozmawia z Kjerstin Vasa.

– Nie wiem, jakiś skurwysyn. Złaż na dół, jestem w holu.

– Idę – odrzekł Aleks i zakończył połączenie.

Według wyświetlacza winda stała na szóstym piętrze i Aleksowi nie chciało się czekać. Zszedł dwa piętra po schodach i znalazł się w holu. W pierwszej chwili nie ujrzał Kjerstin, dopiero gdy przeszedł nieco dalej, zauważył ją w niewielkiej wnęcie ze stolikami. Niczego nie piła, za to rozglądała się dookoła, jakby się przed kimś chowała. Gdy ujrzała Aleksa, przywołała go ruchem dłoni. Usiadł obok niej.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała szybko. Wyglądała, jakby nie widziała łóżka przynajmniej od doby. Pysznica i grzebienia też. Nerwowo podrzucała w dłoni telefon. – Pracowaliśmy całą noc. Godzinę temu wpadli nagle jacyś ludzie i wyrzucili nas z hotelu. To znaczy z miejsca, gdzie urządziliśmy tymczasową bazę.

– Wiem. Hotel Upper House.

– Skąd... Ach tak. Zapomniałam, że ukradłeś mi specjalistę.

– Sama z niego zrezygnowałaś.

– Niby kiedy?

– Tego samego dnia, którego zapomniałaś definicji słowa „szacunek”.

– Nieważne. Przyszli i nas wyrzucili. Wojskowi. Nie mam pojęcia kto, ale pokazali naprawdę przekonujące upoważnienia.

– Od kogo?

– Yngve Bergmana. Mówi ci to coś?

– A powinno?

– To nowy admirał Svenska marinen.

– On cię wyrzucił?

– Nie słuchasz mnie. Wyrzucili mnie ludzie, którzy mieli od niego upoważnienie. Odsunęli mnie i zabrali wszystkie materiały. Nie mam żadnych danych ani dostępu do czegokolwiek.

- Ale nie zamierzasz odpuścić?
- Wprost przeciwnie, Aleks. Wyjeżdżam. - Ponownie otaksowała wzrokiem hol hotelu.
- Co? Dokąd?
- Do Malezji. Wczoraj zdarzył się tam wypadek samochodowy. Zginęły dwie osoby. Taksówkarz i jego pasażer, który był obywatelem szwedzkim. Jadę tam asystować przy śledztwie.
- Czyli nie tylko cię odsuwają, ale chcą też uciszyć. Będiesz bezpieczna?
- Będę, ale... - Zamilkła, obserwując coś, co niewątpliwie działo się za jego plecami.
- Dobrze się czujesz, Kjerstin?
- Już tu są - wyszeptwała. - Nie odwracaj się.
- Kto?
- Chcieli mnie wsadzić w samolot do Malezji od razu. Związałam im, żeby z tobą pogadać, ale właśnie mnie znaleźli. Już tu są. Jeszcze mnie nie widzą, ale to kwestia minuty. Teraz wypytyują recepcjonistę. Pewnie pokazują moje zdjęcie.
- Kjerstin...
- Posłuchaj mnie, Aleks. Jest pewna dziwna rzecz. W porcie przy nabrzeżu Skandiahamnen stoi kontenerowiec *Stepanique*.
- To ten sam, co...
- Na miłość boską, nie przerywaj mi. To ten kontenerowiec, który przybył pierwszy na miejsce zatonięcia *Raginisa*. Oni nadali *mayday relay* i pierwsi przystąpili do akcji ratunkowej. Ludzie uważają ich za bohaterów, ale jest coś, o czym jeszcze nikt nie wie. *Stepanique* ma na dziobie wyraźne ślady zderzenia. Nic wielkiego, ale uszkodzenia są wystarczająco poważne, żeby nie otrzymać zgody na wyjście w morze. Statek został zatrzymany do wyjaśnienia. Załoga też. Niestety niekompletna. W trakcie akcji ratunkowej kapitan wypadł za burtę i zginął. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że wypadł sam. Tam się działy jakieś dziwne rzeczy, Aleks. Sprawdź to. Statek należy do MSC, więc na pewno ma czarne skrzynki. Tylko nie licz na to, że ktokolwiek ci coś pokaże. Musisz się wykazać inicjatywą.
- Pani Vasa? - rozległ się męski głos tuż ponad ramieniem

Aleksa, który odwrócił się i ujrzał dwóch mężczyzn. Z pewnością wojskowych.

– A kto pyta? – odrzekła Kjerstin po angielsku.

– Gdzie nam pani tak znikła? – zapytał jeden z mężczyzn, ignorując pytanie Kjerstin, ale również przechodząc na angielski.

– A, to wy. Przecież powiedziałam waszemu dowódcy, że nie wylecę na miesiąc do Malezji, dopóki się nie pożegnam z narzeczonym.

– Zdaje się, że nie wyraził na to zgody.

– Zdaje się, że mamy to w dupie – przerwał Aleks.

– Jestem cywilem. Możecie mi skoczyć – syknęła Kjerstin.

– Mamy panią zabrać. Choćby siłą. A ty – zwrócił się do Aleksa – nie podskakuj, pętaku.

Aleks się zaśmiał. Przybysz nie. Był duży i napakowany. Nosił mundur moro i jasnozielony beret z oznaczeniami Amfibiekåren. Morski komandos. Wpatrywał się w Aleksa oczami zimnymi jak lód, a w tym czasie jego kolega chwycił Kjerstin za ramię. Trochę za mocno.

– Powiedz swojemu chłopakowi, żeby był nieco delikatniejszy – wycedził Aleks, wciąż siedząc na krześle.

– Coś powiedział, dupku? – zapytał żołnierz, pochylając się nad Alekssem, na co ten właśnie liczył. Jeśli się nad kimś pochylasz, a twoje ciało wygina się do przodu, niewiele potrzeba, aby cię pozbawić równowagi. To błąd. Ale dużo gorszym błędem było lekceważenie Aleksa. Nie wyglądał może na zabijakę i nie przepadał za walką na pięści. Przeciwnie. Wychodził z założenia, że bójki jako element spędzania wolnego czasu to idiotyczna strata energii. Walka to wypad poza strefę komfortu. A taki wypad powinien trwać bardzo krótko. Jeden cios. Jedna ofiara. Aleks chwycił żołnierza za kołnierz munduru i mocno pociągnął ku sobie, jednocześnie zrywając się z krzesła. Żołnierz runął na szklany stolik, tłukąc go w drobny mak, nim jednak jeszcze upadł na ziemię, Aleks wymierzył mu kopniaka prosto w twarz i facet zasnął. Ten drugi puścił wystraszoną Kjerstin i skoczył ku Aleksowi, usiłując wyciągnąć pistolet z kabury. Kolejny błąd. Aleks nie czekał. Dосkoczył do przeciwnika i wykorzystując

impet, uderzył go czołem w twarz. Trafił prosto w nos, który nieprzyjemnie chrupnął. Żołnierz upadł, ale nie stracił przytomności. Uderzenie nie było aż tak silne. Gall postawił mu stopę na szyi i spokojnie, bez cienia emocji w głosie powiedział:

– Chcę, żebyś sobie zapamiętał jedną rzecz. I powtórzył ją koledze, jak się obudzi. Jeśli tej pani coś się stanie w trakcie wycieczki do Malezji, to znajdę was wszystkich i zabiję. Powtórz.

Nie powtórzył, więc oberwał kopniaka w brzuch.

– Powtórz – poprosił ponownie Aleks.

– Nic jej się nie stanie – wystękał żołnierz.

– Świetnie. Zatem do zobaczenia.

Uśmiechnął się do Kjerstin i wyszedł.

ROZDZIAŁ 16

Dochodziła czwarta nad ranem. Rudy okularnik skoczył w górę i zdążył złapać piłkę, nim staranował go wielki, czarny osiłek. Okulary spadły mu z nosa i wylądowały tuż pod butem przeciwnika, który kopnął je poza obręb boiska, w kierunku kilkunastu chłopaków siedzących na pierwszym stopniu trybuny. Jeden z nich z dziką radością nastąpił na szkła, zmieniając je w drobny biały proszek.

– Faul! – krzyknął płacziwie okularnik bez okularów, a pozostali gracze ryknęli śmiechem.

– Co z tobą, Barbie? – zapytał wielki Afroamerykanin. – Śniadania nie opierdoliłeś?

– Barbarian – jęknął chłopak – mam na imię Barbarian.

Odpowiedział mu jedynie chóralny śmiech. Zacisnął zęby i usiłował się podnieść, ale jego przeciwnik, niby mimochodem, poczęstował go jeszcze kopniakiem w brzuch. Barbarian zwinął się w kłębek, a śmiechy jeszcze przybrały na sile. Jednak na krótko, bo przerwał je stanowczy i władczy głos:

– Cisza, czarnuchy!

Barbarian nie widział człowieka, który wypowiedział te słowa. Ale cisza, która po nich zapadła, mówiła sama za siebie. Domyślił się, kto do niego mówi. Głupi Czarnuch. Nie, Barbarian nie był rasistą. Trudno by mu było, zważywszy na to, że wychował się w Botswanie i tam to on był mniejszością. Po prostu mężczyzna, który nadszedł, kazał się nazywać Głupim Czarnuchem. Cały Harlem tak do niego mówił. Choć Barbarian nie był przekonany, czy biały też może sobie na to pozwolić.

– Co to za wygłupy, czarnuchy?! – wrzasnął Głupi Czarnuch. – I kto tu wpuścił tego białego pajaca? Wypierdalaj stąd, białasie.

Barbarian ani drgnął, nie odzyskał jeszcze tchu. Głupi Czarnuch chwycił go jedną ręką za spodenki i uniósł, jakby chłopak nic nie ważył. Ale nie upuścił go, tylko pozwolił mu postawić stopy na

ziemi. Barbarian po raz pierwszy ujrzał człowieka, o którym krążyły legendy. Był potężny. Gruby i wysoki, ale sprawiał wrażenie drapieżnika, który czeka tylko na okazję, by rozszarpać swoją ofiarę.

- Wypierdalaj stąd – powtórzył.

- Przyjechałem tu, żeby pograć – odpowiedział niepewnie Barbarian.

- Przyjechałeś?

- Przyjechał mustangiem – rzekł jeden z gapiów, którzy zebrali się dookoła. – O, tamtym. – Wskazał palcem na oświetlonego pojedynczą latarnią shelby’ego z sześćdziesiątego siódmego roku.

- Przyjechałeś. – Głupi Czarnuch się zamyślił, a Barbarian niemal usłyszał odgłosy zderzeń neuronów w jego głowie. – Po co?

- Chcę grać z czarnymi – wypalił Barbarian.

Głupi Czarnuch otaksował go wzrokiem. Barbarian zdawał sobie sprawę, jak wygląda. Jego metr osiemdziesiąt nie robiłby wrażenia na żadnym amerykańskim boisku do kosza. A z tych tutaj tylko jeden był niższy, reszta zaś mogła mu spokojnie napluć na głowę. No i do tego to imię. Przez całe dzieciństwo słyszał, jak za nim wołają Barbie albo Barbara. Nie znosił tego. Dawniej nienawidził swojego życia za to, że wyglądał niemęsko. Że nie miał włosów na kłacie, a podbródek golił średnio raz na pół roku, a i to po to jedynie, by poprawić sobie samopoczucie.

- Chcesz grać z czarnuchami i przyjechałeś do Harlemu, tak? I spośród wszystkich boisk wybrałeś właśnie to? Celowo czy przez przypadek?

- Przypadkowo, ale słyszałem raz, że tu się gra niezłe mecze.

- Niezłe mecze. Słyszeliście, czarnuchy?

Na krótko wybuchły śmiechy, ale zamilkły, gdy tylko Głupi Czarnuch zwrócił się z powrotem do Barbariana.

- Czy ty wiesz, gdzie się znalazłeś, białasku? – Przerwał na moment, ale nie doczekał się odpowiedzi, więc westchnął tylko i kontynuował: – Jesteś w Parku Ruckera. Mówi ci coś ta nazwa?

Barbarian nadal milczał, a Głupiemu Czarnuchowi chyba coraz

bardziej działało to na nerwy. Zbliżył się niebezpiecznie. Barbarian poczuł nieświeży pot, typowy dla ludzi o dużej nadwadze.

– To nasza świątynia, białasku. Najlepsze boisko na świecie. Grali tu najwięksi, zanim jeszcze stali się sławni. Rozumiesz? Nie ma tu miejsca dla takiego gówna, jak ty. Do tego kosza rzucał Kareem Abdul Jabbar. Wiesz, kto to?

Barbarian kiwnął głową.

– Wiesz?! – wrzasnął Głupi Czarnuch.

– Tak – odparł Barbarian, czując, że żarty się skończyły.

– A Kozica? – kontynuował indagację grubas. – Czy wiesz, kim był Kozica?

– Nie, chyba nie.

– Nie wiesz, kim był Kozica i śmiesz tu przychodzić?! – wrzasnął Głupi Czarnuch i runął na Barbariana jak góra. Chłopak nie zdążył uskoczyć. Przeciwnik chwycił go w swe potężne ramiona i cisnął nim o ziemię. – A Perła? Jastrząb? Szczudło? Słyszałeś o nich kiedyś? Splugawiłeś naszą świętą ziemię, ty podła, arogancka kurwo. Ty narcystyczny, przekonany o własnej zajebistości skurwielu!

Głupi Czarnuch ponownie dopadł Barbariana. Chwycił go za szyję i zamierzył się pięścią, a nieszczęsny białasek mógł zrobić jedynie to, co robią w takiej chwili nieszczęsne białaski.

– Nie bij mnie – poprosił. – Pójdę sobie.

– Nigdzie nie pójdziesz – syknął grubas, wyprowadzając cios. Barbarian w ostatniej chwili schylił nieco głowę i napastnik uderzył go prosto w czoło. Powinien sobie złamać rękę, ale zdawał się nie odczuwać żadnego bólu.

– Głupi Czarnuchu – odezwał się naraz nieśmiały głos, a grubas spojrział w tłum, wypatrując śmiałka, który odważył się przeszkadzać mu w egzekucji. Tłum się nieco rozstał i wychynął z niego czarny chłopak z czerwoną bandaną á la Tupac Shakur. – Może być z nim zagrał?

– Coś powiedział?

– No, może być z nim zagrał. Wiesz, o auto.

Głupi Czarnuch spojrział łakomym wzrokiem na zaparkowanego

pod latarnią mustanga.

– No co, białasku? – syknął. – Zagrasz o autko? Ze mną. Wygram, zabieram mustanga, przegram, ty zabierasz swoją dupę i spierdalasz w jednym kawałku. Tylko nie zastanawiaj się za długo. Gramy do dziesięciu. Uliczne zasady.

– Tak – odpowiedział szybko Barbarian. – Zagram.

Głupi Czarnuch się uśmiechnął. Błysnęły dwa złote zęby. Dookoła nich nagle zrobiło się strasznie głośno. Tłum otoczył graczy i Barbarian nie miał wątpliwości, komu będą kibicować w tym starciu. Ktoś rzucił Głupiemu Czarnuchowi piłkę. Ten odbił ją oburącz od ziemi, podrzucił lekko, nadając jej rotację, dzięki której przyjemnie poślaskotała go w palce. Potem złapał ją ponownie i rzucił w stronę Barbariana. Chłopak złapał piłkę. Wyczuł pod palcami szew.

– Zaczynaj – powiedział Głupi Czarnuch i wycofał się plecami w stronę kosza, by przyjąć pozycję obronną. Barbarian odbił piłkę od ziemi. Potem jeszcze raz. Aż w końcu pojedyncze odbicia zamieniły się w regularne kozłowanie. Nieco skulony podszedł powoli w stronę rywala, nie spuszczać z niego oczu. Grubas pochylił się nieco i rozczapierzył ręce. Miał zasięg ramion jak jumbo jet rozpiętość skrzydeł. Ale Barbarian widział już takich. Wielkich i silnych, za to wolniejszych od jego babci. Skoczył w przód, jakby chciał staranować Głupiego Czarnucha. Ten nieco zgłupiał i odstawił lewą nogę trochę w tył. Barbarian zamarkował zwód w prawo, a gdy rywal przesunął się w jego kierunku, wykonał piruet wokół prawego ramienia, zostawiając grubasa daleko za plecami. Przebiegł jeszcze kilka kroków, kozłując, po czym wybił się w powietrze i niezgrabnym wsadem wpakował piłkę do kosza. Metalowa siatka zawibrowała lekko, a zgromadzony tłum wydał okrzyki zdumienia i dezaprobaty. Głupi Czarnuch podniósł piłkę i rzucił nią w kierunku Barbariana.

– Jeden – syknął.

Uliczne zasady różnią się nieco od normalnych. Ten, kto trafi punkty, zaczyna kolejną akcję. Zamiast trzech punktów za rzut dystansowy, przyznaje się dwa. Zamiast dwóch za rzut z akcji,

przyznaje się jeden. Łatwizna. Barbarian grywał już na takich boiskach. Wiedział zresztą, kim był Earl Manigault, zwany przez miejscowych Kozicą. Najlepszy w historii gracz, który nie załapał się do NBA. Facet podobno potrafił wyskoczyć tak wysoko, że ściągał banknot z górnej krawędzi tablicy i jeszcze zostawiał tam resztę. W każdym razie Barbarian widział coś takiego na filmie. Tak czy inaczej wiedział o koszykówce dużo więcej, niż się komukolwiek mogło wydawać. Przyjechał do Stanów w połowie szkoły średniej. Wybrał Oakland Tech i z miejsca stał się jednym z najlepszych rozgrywających w całej Kalifornii. Zainteresowało się nim kilka ciekawych uniwersytetów znanych z koszykarskich tradycji. Mógł studiować i grać w UCLA, Notre Dame albo Duke. Kto wie, może nawet miałby szansę na NBA. Ale, jak powiedział mu lekarz, depresja to wróg, który potrafi pozbawić złudzeń. Barbariana pozbawiła.

Głupi Czarnuch zrobił się nieco czujniejszy. Wiedział już, że ta biała pokraka coś jednak potrafi. Jeśli taki kurdupel potrafi wpakować piłkę z góry, to trzeba na niego uważać. Staął więc mocniej na nogach, uważnie wpatrując się w przeciwnika.

Barbarian, kozłując niedbale, wyszedł za półokrągłą linię wyznaczającą strefę podwójnie punktowanych rzutów. Staął przy niej i chwilę wpatrywał się w grubasa, jakby się zastanawiał, jaki wariant zagrywki wykonać. Nagle wyrzucił jedną nogę w przód, jakby chciał się zebrać do biegu. Głupi Czarnuch odruchowo cofnął się o dwa kroki, ale Barbarian nie oderwał drugiej nogi od ziemi. Zatrzymał się wpół ruchu i cofnął do poprzedniej pozycji. Miał teraz trochę miejsca, więc wybił się w górę i posłał płaski, ale bardzo precyzyjny rzut. Piłka przeleciała przez środek obręczy, a metalowa siatka ponownie obwieściła punkty.

– Razem trzy – powiedział chłopak, a Głupi Czarnuch znów podniósł piłkę i odrzucił ją przeciwnikowi.

Barbarian zdobył jeszcze dwa punkty. Pierwszy w banalny sposób. Po prostu ruszył w prawo, a gdy ociężały przeciwnik podążył w ślad za nim, chłopak przekozłował piłkę do lewej ręki, skoczył w lewo i miał wolną drogę do kosza. Drugi punkt rzucił

z półdystansu, z lekkim odchyleniem. Jak niegdyś Michael Jordan.

Tłum falował i złorzeczył. Było głośno i bardzo nieprzyjemnie. Ale Barbarian zdawał się tego nie słyszeć. Po raz kolejny powróciły wspomnienia. Znow przypomniawszy sobie, co mogłoby się stać, gdyby nie tamto zdarzenie na moście. Zdarzenie, które odmieniło jego życie. Nadało mu sens. A nawet radość. Do tego Barbarian wciąż jeszcze nie potrafił się przyzwyczaić.

Szósty punkt wisiał na włosku, gdy Barbarian przekozłował piłkę pod nogą i ponownie kompletnie zmylił przeciwnika. Udzielił mu się ten sam nastrój, który swego czasu stanowił jego największą boiskową wadę. Nonszalancja. Nie popędził w stronę kosza. On tam potruchtął, rozglądając się na boki, czy aby na pewno zgromadzeni widzą, jak miażdży ich guru. Podbiegając do tablicy, uśmiechnął się. Naskoczył na obie nogi i wybił się w górę, by ponownie zakończyć akcję wsadem. Uniósł wzrok, by skontrolować swoją pozycję względem obręczy, ale jej nie zobaczył. Zamiast tego ujrzał potężną pięść spadającą na niego z góry. Upadając na ziemię, zrozumiał, że tym razem przeciwnik go oszukał. Celowo odbiegł w lewo, żeby zatoczyć koło i wyskoczyć do bloku. Właściwie Głupi Czarnuch nie musiał nawet za bardzo skakać. Na pewno miał sporo ponad dwa metry wzrostu.

Barbarian upadł zdezorientowany na ziemię, a z nosa pociekła mu krew. Głupi Czarnuch tymczasem podniósł piłkę i udał się z nią za linię, a potem z impetem ruszył w kierunku kosza. Barbarian zerwał się na nogi, by zająć pozycję obronną, ale było za późno. Rozpędzony grubas staranował go jak pociąg towarowy, a potem wybił się i wykonał przerażający power dunk. Uderzył piłką w obręcz tak mocno, że rozhuśtał całą tablicę. Tłum ryknął z radości.

– Daję i odbieram nadzieję – warknął grubas, przechodząc obok leżącego na ziemi chłopaka.

Kilka chwil później Barbarian zrozumiał, dlaczego Głupi Czarnuch nie przegrał nigdy żadnego ulicznego meczu. Bo kiedy miał już piłkę, nie dało mu się jej odebrać. Siła, z jaką nacierał, była niewyobrażalna. Grubas nie miał techniki. Kozłował

zaledwie poprawnie. Ale każdą piłkę pakował do kosza. A po każdym zdobytym punkcie wracała ona do niego i zabawa zaczynała się od nowa. Tłum wiwatował. Barbarian nigdy wcześniej nie słyszał bardziej kreatywnych pogroźek niż te, które mu zafundowali tej nocy bywalcy Parku Ruckera.

– Białasku – zawołał śpiewnie Głupi Czarnuch – nie wiem, czy zmieszczę moją czarną, grubą dupę do tej twojej zabawki. Więc mam propozycję. Odsprzedam ci ją za pięćdziesiąt patoli. Co ty na to? Prawie nówka, ma zaledwie jakieś pięćdziesiąt lat.

Barbarian zacisnął zęby i stanął do obrony, ale na nic się ona zdała. Po kilku sekundach było już sześć do pięciu dla rywala. Akcję później siedem do pięciu. I wtedy gdzieś w oddali zadzwonił telefon. Wszyscy naraz zamilkli.

– To mój – wysapał Barbarian, ruszając w kierunku trybuny, gdzie zostawił swoją czarną, sportową torbę.

– Nie odbieraj, skurwielu – syknął Głupi Czarnuch.

Barbarian nie posłuchał.

– To brak szacunku! – wrzasnął za nim grubas, a potem cisnął w przeciwnika piłką.

– To ważny telefon – odparł spokojnie Barbarian. – Ty nigdy nie dostajesz ważnych telefonów?

Tłum się rozstąpił. Barbarian dotarł do trybuny i usiadł na niej, teraz dopiero czując, jak bardzo jest obolały. Wyciągnął komórkę, która głosem Lady Gagi obwieszczała mu, że ktoś oczekuje na połączenie.

– Halo – rzucił do słuchawki.

– Co ty, kurwa, robisz? – rzekł z wyrzutem rozmówca.

– Gram w kosza.

– Co? Jest przecież... No, kurwa, która tam u was jest?

– Niedługo piąta.

– Dlaczego grasz w kosza o piątej nad ranem?

– Nie przypominam sobie, żebyśmy podpisali umowę na matkowanie – powiedział Barbarian. – A ty gdzie jesteś?

– Tam gdzie i ty masz być za dziesięć godzin.

– Co?

– Pakuj się i przylatuj do Szwecji.

- Gdzie?
 - Do Göteborga.
 - Ale ja przecież pracuję – zaprotestował Barbarian.
 - A dopiero co powiedziałeś, że grasz w kosza.
 - Kurwa, ale ty czasem bywasz upierdliwy. Nigdzie nie jadę.
 - Milion dolarów.
 - Co?
 - Tyle jest do zarobienia.
 - A ile to jest w pulach?
 - Kurwa mać, skąd ja mam to niby wiedzieć? Po sześciu latach w Stanach nadal przeliczasz wszystko na botswańską walutę?
 - Tylko te większe kwoty.
 - To se przelicz z małych. Ile tego wchodzi na jednego dolara?
 - No z dziewięć. I pół.
 - To masz dziewięć i pół miliona. Ty serio chodziłeś do szkoły?
- Czy mi naściemniałeś w CV?
- Masz ty ten dar przekonywania.
 - A, i jeszcze jedno. Od teraz nazywasz mnie Panem Dżumą.
- Zmień sobie w telefonie.
- Co? Po co?
 - Bo taka jest potrzeba chwili.
 - Dobra, nie wnikiem.
 - Znajdź jakiś samolot. Tylko się pośpiesz. – Rozmówca rozłączył się, a Barbarian schował komórkę do kieszeni. Usiadł na trybunie i zdjął buty.
 - A co ty odpierdalasz? – krzyknął Głupi Czarnuch, który w otoczeniu licznej asysty zjawił się właśnie przy trybunie.
 - Koniec gry, muszę jechać – powiedział Barbarian, chowając do torby białe buty Air Jordan VII. Klasyki wyprodukowane w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku z okazji olimpiady w Barcelonie. Barbarian dał za nie dwa tysiące dolarów.
 - Nigdzie nie pojedziesz, dopóki nie skończymy gry! – wrzasnął grubas.
 - Sorry, chłopie – odparł Barbarian, mocując na stopach trampki. – Szef mnie wzywa.
 - Chuj mnie twój szef obchodzi. Jeśli nie chcesz dalej grać, to

oddawaj kluczyki.

- Nie mogę. Muszę dojechać na lotnisko.

- Dojedziesz, ale w najlepszym wypadku karetką - wycedził Głupi Czarnuch.

- Ty - rzucił Barbarian w kierunku chłopaka, który przez nieuwagę wysunął się nieco z grupy gapiów - dzwoń na policję.

W tłumie zawrzało.

- Coś ty powiedział, Barbie? - zapytał Głupi Czarnuch, a wściekłość wyciekała mu przez wszystkie pory.

- Żeby zadzwonił na policję.

- Już nie żyjesz, kapusiu pierdolony.

- Nie, to ty nie żyjesz - rzekł Barbarian, wyciągając z torby walthera P99 z tłumikiem. Pociągnął za spust i wysłał Głupiego Czarnucha na mecz z Kozicą i wielkim Wiltem Chamberlainem, znanym jako Szczudło. Jedynym zawodnikiem w historii NBA, który w ciągu meczu rzucił sto punktów. A w czasie kariery często wpadał pograć w Parku Ruckera, bo dopiero tam spotykał godnych siebie przeciwników. Ciało Głupiego Czarnucha runęło na ziemię z dziurą w głowie, a tłum zaczął wrzeszczeć i w jednej chwili rozbiegł się po uliczkach Harlemu.

- Nazywam się Barbarian - rzekł chłopak do stygnących zwłok. I zaraz pomyślał, że kiepsko mu wyszła ta kwestia. Strasznie teatralnie.

ROZDZIAŁ 17

Majora Viggo Siegbahna w armii nie lubił nikt, wielu nienawidziło, ale wszyscy, bez wyjątku, panicznie się go bali. Wyglądał niepozornie. Miał sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i niejednokrotnie jego aresztanci przewyższali go o głowę. Czasami o dwie. A jako że przeżył już czterdzieści dwa lata, niekiedy był od nich nawet dwukrotnie starszy. A jednak to on ich prowadził w kajdankach. Zawsze. Stał teraz przed swoim dowódcą wyprostowany jak struna.

– Spocznijcie, Siegbahn – rzekł niedbale admirał Bergman, a major rozluźnił się nieco, rozstawił nogi, a dłonie splótł za plecami. – Wprowadzono was w sprawę?

– Tak jest – odparł krótko Siegbahn.

– Pytania?

– Jedno, panie admirale.

– Słucham?

– Nie wiemy, kim jest sprawca, ale to raczej na pewno cywil. Dlaczego ma się nim zajmować oficer żandarmerii wojskowej? To sprawa dla policji.

– Znasz Ahlströma i Pilkvista?

– Tak jest.

– A znasz jakiegoś cywila, który w niespełna dziesięć sekund byłby w stanie wysłać ich do szpitala?

– Tak jest. Przynajmniej kilku, panie admirale.

– A ja nie. Facet na pewno ma przygotowanie wojskowe. Cholera wiem, kim jest. Może to jakiś szpieg? Chcę, żebyś go dopadł i do mnie przyprowadził. Jasne?

– Tak jest.

– Zaczynajcie od przesłuchania Torgila Thoresena, szefa Baltic Bridge. Podobno u niego w biurze ostatni raz widziano naszego tajemniczego zbira.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść! – krzyknął Yngve.

W pomieszczeniu pojawił się młody żołnierz.

– Panie admirale, przyszła jakaś kobieta. Chce się z panem widzieć. Mówi po angielsku.

– Prasa?

– Nie wiem, nie chce się przedstawić.

– Skoro nie chce, to każ jej się wynosić do diabła.

Żołnierz zasalutował i wyszedł. Siegbahn stał nadal w pozycji „spocznij”. Yngve machnął mu ręką. Żandarm włożył берет i wyszedł. Admirał podniósł się zza mahoniowego biurka. Najwyraźniej SHK może liczyć na szeroki gest króla, skoro Królestwo Szwecji wynajęło im całe ostatnie piętro w hotelu Upper House. A to nie jest byle jakie ostatnie piętro, a ostatnie piętro w trzeciej wieży Gothia Towers. Hotel tak nowy, że gdzieś spotyka się jeszcze folię na urządzeniach. Yngve wyrzwał przez okno i ujrzał ścielący się u jego stóp park rozrywki. Dwudzieste dziewiąte piętro. Nieźle. Admirał stał chwilę w bezruchu, a potem przypomniał sobie list.

Mój syn też tam był. Zabiję cię.

Odruchowo odsunął się od okna. Zaledwie jeden krok. Trwał tak chwilę, jakby samego siebie usiłował przekonać, że nie ulegnie szantażowi. Że się nie da.

Z rozmyślań wyrwały go dobiegające z korytarza krzyki. Po chwili Yngve usłyszał huk, a drzwi do jego tymczasowego gabinetu otworzyły się z impetem. Stała w nich młoda, ruda kobieta.

– Ty podły sukinsynu, mnie chcesz spławić?! – wrzasnęła, nim żołnierz dyżurny zdołał ją chwycić za pas i unieść. – Zostaw mnie, ty małpoludzie – krzyczała po angielsku dziewczyna, a Yngve poczuł, jak wraca jego migrena. Nie spał od doby, a ostatnio doświadczał stanowczo za dużo stresu. Jak tak dalej pójdzie, to podąży śladem starego Torgila. Z sercem nie ma żartów.

– Zostaw ją – rzekł w końcu, a żołnierz natychmiast puścił dziewczynę i wyszedł.

– Jak panu nie wstyd?

– Czego pani ode mnie chce? I kim pani jest?

– A pan?

– Ja? Przecież to pani do mnie przyszła.

– Więc to pan jest admirałem Bergmanem? – rzekła nieco spokojniej dziewczyna, po czym niepytana przez nikogo odsunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciw admirała.

Yngve skarcił się w duchu za to, że natychmiast spojrzął na jej wyeksponowany biust. Nie był zbyt wielki, ale kobiety wiedzą, jak podkreślać swoje walory.

– Czego pani chce? – powtórzył.

– Nazywam się Marianne Eek – powiedziała ruda, zdmuchując z oka niesforny kosmyk włosów. – Mieszkam w Tallinnie. Wie pan, gdzie to?

– Tracę cierpliwość, pani Eek.

– Mój mąż jest Polakiem. Kamil Kownacki. Pobraliśmy się dwa lata temu. On rzadko bywa w domu, ale wystarczająco często, żebym miała pewność, że nasz związek jest udany.

– Gratuluję – bąknął Yngve.

– Dziękuję, jest czego – powiedziała Marianne, gładząc się po brzuchu.

– Ach tak. – Admirał westchnął.

– Drugi miesiąc. Niedługo zaczniesz być widać.

Yngve nie skomentował, ale Marianne zamilkła i wpatrywała się w niego oczami, które ocieniały rzęsy długie jak pieprzony *Jahre Viking*. W końcu Yngve nie wytrzymał.

– Czy ma pani do mnie jakąś konkretną sprawę, bo jestem trochę zajęty?

– Mam do pana bardzo konkretną sprawę – odparła, jakby tylko czekała na to pytanie. – Mój mąż ma swoją firmę. Trzy lata temu wydał wszystkie pieniądze na dwa tiry i wozi towar z Polski do Szwecji. W nocy z wtorku na środę wraz ze swoim współnikiem płynęli *Raginisem* do Ystad.

– Bardzo mi przykro – powiedział Yngve.

– Mnie też było bardzo przykro, panie Bergman. Dopóki „Äripäev”, nasz estoński dziennik, nie opublikował listy ofiar. Mojego męża na niej nie ma.

Yngve rozłożył ręce.

– W takim razie czego pani ode mnie potrzebuje?

– Mam swoich ludzi, nurków, i chcę z nimi wejść do wraku.

Zapadła cisza, którą przerwało jedynie chrząkanie admirała. Starał się, jak mógł, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Nie ma mowy – powiedział w końcu. – Pomijając, że jest to żądanie skrajnie absurdalne, to nie ma w tej chwili możliwości dotarcia do wraku.

– Oczywiście, że jest. Dowiedziałam się, że nie planujecie wyciągać ofiar. Morski pogrzeb czy jak wy to tam nazywacie. Wrak płytko leży. A ja muszę się tam dostać, panie Bergman. Niech pan spojrzy na to. – Wręczyła mu komórkę. Na ekranie widniało zdjęcie. Było ciemne i zamazane, ale niewątpliwie pokazywało rampę wjazdową do *Raginisa*. Zdjęcie zrobiono z wnętrza oczekującej na wjazd ciężarówki. Kawałek burty umożliwiał odczytanie nazwy statku. Rampę zalewała woda. Sztorm dawał się we znaki nawet w porcie. – Dostałam to zdjęcie chwilę po dwudziestej drugiej. Mąż mi napisał, że właśnie wjeżdżają na statek.

– A nie wzięła pani pod uwagę, że po prostu panią oszukał? Może napisał pani, że płynie, a pojechał do kochanki?

– To zdjęcie zrobiono na terenie terminalu. Jak tam się raz wjedzie, to już się nie wyjeżdża.

– Może pochodzi z innego dnia.

– A może mój mąż dostał się na prom, a potem nagle zniknął? Może go porwano? Przecież minęły trzy dni od katastrofy. Na pewno dałby już znać. Panie admirałe, ja twardo stąkam po ziemi. Wiem, że faceci robią czasem różne świństwa. Daleka jestem od tego, by zapewniać pana, że mój nie. Ale ostatni kontakt miałam z nim w noc katastrofy. Wysłał mi zdjęcie z załadunku. A potem zniknął.

– Niewykluczone, że na liście pasażerów wystąpił błąd.

– Mam to w dupie, panie admirałe – syknęła Marianne. – Czy pan byłby skłonny przejść nad taką sytuacją do porządku dziennego, gdyby chodziło o pana żonę albo kochankę? Muszę wiedzieć, czy mój mąż tam jest. A skoro pan i pańscy ludzie nie

zamierzacie mi pomóc, to przynajmniej nie przeszkadzajcie.

– Przykro mi, pani Eek – powiedział spokojnie Yngve. – Nikt nie popłynie na statek. Negocjujemy właśnie z Polakami. Kiedy tylko uzyskamy ich zgodę, prom zostanie zalany betonem i uznany za miejsce spoczynku. Tym samym nie będzie wolno się do niego zbliżać na odległość mniejszą niż dwieście metrów. W innym wypadku zaraz się zlecą szabrownicy z całego świata.

– Jeszcze nie odkryliście przyczyny, a już chcecie zalewać statek betonem? Nie obawia się pan, że opinii publicznej to się nie spodoba? Prasa zacznie pytać, co pan ukrywa.

– Brzmi prawie jak groźba. – Yngve się uśmiechnął.

– Bo nią jest w istocie – odparła Marianne. – Skończmy tę farsę, admirale.

– Proszę wyjść – warknął Yngve.

– Nigdzie nie pójde, dopóki się nie dogadamy. Jestem sprytną dziewczynką. Dowiedziałam się o pewnych kontenerach, które przychodzą do pana z Polski. Mam mówić dalej? Chyba nie muszę. Wie pan, co mam na myśli.

– Nie – skłamał Yngve.

– Tym gorzej dla pana – odparła Marianne i nieoczekiwanie podniosła się z miejsca. – Popłynę na ten wrak. A skoro usiłuje mi pan w tym przeszkodzić, to będę zmuszona pogadać z mediami, zanim wyda pan rozkaz zalania wraku betonem. Żegnam.

– Proszę usiąść.

– Poproś mnie.

– Słucham?

Marianne uśmiechnęła się do niego promiennie. Podeszła do biurka i pochyliwszy się nad nim, oparła dłonie o blat. Jej piersi, podniesione nieco dzięki stanikowi push-up, zaświeciły Yngvemu prosto w oczy.

– Myślisz, że ja cię o coś proszę, dupku? – wyszeptwała, a uśmiech ani na moment nie zniknął z jej twarzy. – Wszystko wiem. Wiem, co robisz, co szmuglujesz. I jeśli nie dasz mi tego, czego żądam, to jutro podam twoją głowę na tacy wszystkim szwedzkim tabloidom. Albo nawiążę kontakty z jakimiś gangsterami, którzy zagrożą ci tym samym, a w zamian za milczenie zażyczą sobie stu

milionów euro. Albo dwustu.

– Stąpasz po cienkim lodzie, panienko. – Bergman zmusił się, by oderwać wzrok od piersi i spojrzeć dziewczynie prosto w oczy. – Nie wiesz, jakie mam możliwości.

– Żadnych – odparła Marianne. – A jeśli trafisz do puchy, to tak jakbyś był już martwy.

Yngve chciał coś odpowiedzieć, ale dziewczyna uciszyła go ruchem dłoni.

– Kończmy już tę rozmowę, Yngve. Masz wydać pozwolenie na nurkowanie we wraku dla mnie i mojej ekipy. Za trzy godziny chcę znać szczegóły.

Wyszła, kręcąc tyłkiem. Ale Yngve tego nie zauważył. Zastanawiał się, jak to możliwe, że wszystko tak się spierdoliło. Skąd ci wszyscy ludzie? Kto im powiedział? I co z tym wszystkim, do cholery, zrobić?

ROZDZIAŁ 18

Taksówka wjechała na teren portu ulicą Skagerack, a potem pojechała prosto jeszcze kawałek, skręciła w ulicę Sydatlanten i po chwili zatrzymała się pod budynkiem administracji terminalu. Aleks zapłacił i wysiadł, a kierowca wrzucił bieg i pospiesznie odjechał. Port Skandiahammen sprawiał upiorne wrażenie. Wiatr gwizdał, rozbijając się o bramownice. Poustawiane w wielopiętrowe stopy i poupychane na każdym fragmencie wolnej przestrzeni kontenery drżały i sprawiały wrażenie, jakby za moment miały się przewrócić.

Aleks zastanawiał się, jak to rozegrać. Żeby dostać się do statku, musiał przejść przez zamkniętą strefę. Na co dzień brama raczej nie była przesadnie strzeżona. Ostatecznie każdego poranka i każdego wieczoru przepuszczała tysiące osób. Ale Aleks zakładał, że admirał Bergman, czy jak mu tam było, uruchomił już odpowiednie służby. Poza tym dziś nie mógł się skryć w tłumie pracowników, bo port nie pracował. Orkan przybierał na sile. Załadunek w takich warunkach byłby zbyt niebezpieczny. Przestój kosztuje miliony dolarów dziennie. Podejrzał, że natrafi dziś na wiele wkurzonych osób, i musiał zachować czujność.

Stepanique stała przy nabrzeżu, w dodatku w jego zachodniej części. Widział w oddali jej zarys i nie miał wątpliwości, że czeka go kilometrowa wycieczka. W jedną stronę. A był już kompletnie przemoczony.

Wszedł do budynku administracji. Recepcjonistka, zaczytana w jakimś kolorowym pisemku, nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Podszedł do stojącego przy ścianie dystrybutora i wrzucił do niego kilka monet. Zanim maszyna wydała kawę, niespodziewanie rozległ się przesywający głos syreny alarmowej. Recepcjonistka oderwała się od lektury i spojrzała na Aleksa.

– Co znowu, do cholery? – zapytał po angielsku.

– Alarm przeciwpożarowy – odparła dziewczyna, nie bardzo wiedząc, co powinna teraz zrobić. Spojrzała na konsolę telefoniczną, wybrała jakiś numer i rzuciła coś po szwedzku do słuchawki.

Tymczasem od strony klatki schodowej zaczęli schodzić się ludzie. Po minucie niewielki hol całkowicie się zapełnił, a osób wciąż przybywało.

– Na zewnątrz, na zewnątrz! – krzyczała recepcjonistka. Aleks nie znał szwedzkiego, ale mowa ciała dziewczyny była jednoznaczna. Niezadowolony tłum wyszedł na zewnątrz. Ewakuacja w taki dzień jak dziś? Serio? Gdzieś w oddali rozbrzmiały sygnały portowej straży pożarnej.

Aleks wyszedł ze wszystkimi, zastanawiając się, co się właściwie dzieje, nim jednak zdążył dojść do jakiegokolwiek konkluzji, ktoś z tłumu chwycił go za ramię.

– Ty jesteś Gall? – zapytał szeptem podniecony męski głos.

Aleks kiwnął głową.

– Świetnie. Chodź za mną. Szybko, mamy mało czasu.

Aleks obejrzał się i ujrzał niewysokiego blondyna przeciskającego się przez sporą grupkę ludzi. Podążył za nim. Zaaferowani wydarzeniami ludzie bezwiednie rozstępowali się przed nimi, więc szybko wydostali się z tłumu. Obeszli budynek i blondyn wskazał Aleksowi metalowe drzwi. Podbiegli do nich. Mężczyzna wyciągnął klucz i przekręcił zamek.

– To wejście techniczne. Szybko – ponaglił.

Wbiegli do środka. Pokonali wąski przedsionek i zeszli po schodkach do korytarza w piwnicy. Skręcili w lewo i po kilku sekundach dotarli do klatki schodowej.

– Na ostatnie piętro! – krzyknął blondyn, a Aleks westchnął. Na szczęście budynek liczył zaledwie pięć poziomów, więc szybko znaleźli się na miejscu. Dzięki alarmowi nikt ich nie zauważył. Blondyn popchnął szklane drzwi i weszli do ogromnego biura. Cała północna ściana zastawiona była bardzo zaawansowanym sprzętem.

– To centrum sterowania – rzekł blondyn, ledwo łapiąc oddech.

– Jeszcze przez chwilę nikogo tu nie będzie, ale musimy się śpieszyć.

– Kim jesteś? – zapytał Aleks.

– A, prawda. Mam na imię Olof. Jestem narzeczonym Kjerstin. Muszę ci coś pokazać.

Facet nie miał nawet trzydziestu lat. Co oznaczało, że lubił starsze kobiety. Ale prawdę mówiąc, bardziej liczyło się to, że starsze kobiety lubiły jego. A zwłaszcza Kjerstin. To znaczyło, że musiał mieć poukładane w głowie.

– Co z nią? – zapytał Aleks.

– Leci do Malezji, tyle wiem. Ale dzieje się coś niedobrego. I dzięki.

– Za co?

– Za poskromienie tych patałachów. Należało im się.

– Specjalnie wywołałeś ten alarm?

– Tak. Kjerstin poprosiła, bym ci wszystko pokazał. Bez tego alarmu w życiu byś tu nie wszedł. Zobaczyłem przez okno, że przyjechałeś, i podpaliłem kosz na śmieci w kanciapie na parterze. Zaraz go ugaszą, więc się sprężajmy.

Podszedł do ściany zastawionej monitorami i kliknął w kilka przycisków na trzech różnych klawiaturach.

– Zobacz – powiedział. – Wprawdzie nie prowadzimy tu nasłuchu radarowego, ale mamy dostęp do wszystkich danych. Każdy statek, który kiedykolwiek wpływa do jakiegokolwiek szwedzkiego portu, dostaje od nas identyfikator. Dzięki temu zawsze wiemy, kiedy wpłynie na nasze wody. Możemy śledzić jego obraz na radarze i zapisywać przebieg tras. To bardzo ułatwia obsługę portową. Spójrz na ten ekran.

Wstukał kilka danych do komputera i pojawił się wykres radaru. Aleks ujrzał niebieską ikonkę przypominającą kształtem strzałkę. Obok ikonki widniał napis 3ZRG.

– To *Raginis* – powiedział Olof. – W noc wypadku. Zauważ, co robi.

Przód ikonki nieznacznie, ale stale zmieniał położenie. Lekkie odchylenie w lewo, lekkie odchylenie w prawo. Poruszał się przy tym do przodu, co Aleks wywnioskował jedynie na podstawie

wylistowanych w rogu ekranu parametrów ruchu.

– Teraz, patrz teraz!

Raginis zupełnie niespodziewanie zaczął się obracać, wykonując skręt na bakburtę. Obrót trwał dość długo, a gdy się skończył, ikonka nagle znikła z radaru.

– Co to, do cholery? – zapytał Aleks.

– Zniknął. To obraz z radaru wtórnego. Transponder na statku wysyła sygnał, a my go odbieramy. Jeśli transponder przestaje działać, statek znika z radarów.

– A przestaje działać na przykład wtedy, gdy woda zaleje elektrykę.

– Na przykład – potwierdził Olof. – Obserwujesz radarowy zapis katastrofy. Zauważyłeś coś dziwnego?

– Nie bardzo – przyznał Aleks.

– No właśnie, właśnie. – Blondyn się zaśmiał. – Ważne jest właśnie to, czego nie zauważyłeś.

– Rozumiem. Tu powinien być drugi statek.

– Bingo! – krzyknął uradowany Olof. – *Stepanique* rozpoczęła akcję ratunkową kilka minut po tym, jak *Raginis* się wywrócił. Musiała być na miejscu. Ten statek zawija do nas czasami, choć częściej pływa do Gdańska i Kłajpedy. Jeśli chodzi o Szwecję, to tak duże jednostki może przyjąć tylko Göteborg. No więc *Stepanique* zostałyby wychwycona przez nasz radar wtórny. A nie została.

– Jaka może być tego przyczyna, Olof?

– Tylko jedna. Wyłączyli transponder. Ewentualnie mogli mieć awarię, ale to mało prawdopodobne. Takie systemy mają zduplikowane i niezależne od siebie źródła zasilania.

Olof ponownie wpisał coś do komputera.

– Kiedy to odkryłem – ciągnął – przejrzałem zapisy wstecz. Zobacz. To nagranie sytuacji na pół godziny przed katastrofą.

Na ekranie pojawiła się inna ikonka. Różowa i znacznie większa niż poprzednia. Poruszała się w poprzek ekranu. Poniżej widniał napis 3F9SQ.

– To *Stepanique* – wyjaśnił Olof. – Patrz, co się dzieje.

Oznaczony ikonką statek przez chwilę poruszał się swoim

torem, a potem nagle się zatrzymał. Wykaz parametrów przy pozycji „prędkość” wskazywał zero węzłów.

– W takim bezruchu *Stepanique* trwała około dwóch minut – powiedział Olof, ruszając umieszczonym na pulpicie pokrętkiem. – Nie mamy tyle czasu, więc przyspieszę trochę.

W prawym górnym ekranie pojawił się napis „x10”. *Stepanique* przez chwilę pozostawała w swoim położeniu i zupełnie nagle znikła.

– Jasna cholera – zaklął Aleks, a Olof jeszcze bardziej podkreślił prędkość.

– Przez dwadzieścia minut nic się nie dzieje. Potem w obszar wpływa *Raginis*. – Olof wskazał znaną już Aleksowi ikonkę, która pojawiła się właśnie na radarze. Raz jeszcze prześledzili jego trasę i dziwne zachowanie, aż do zniknięcia. Chwilę potem nieoczekiwanie ponownie pojawiła się ikonka *Stepanique*. Olof zatrzymał obraz. – Dokładnie trzy minuty po zatonięciu uruchomili transponder i rozpoczęli akcję ratunkową. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to nie wierzę w taki zbieg okoliczności. No wiesz, że mieli awarię i ustąpiła ona akurat w momencie katastrofy *Raginisa*.

– Faktycznie – zgodził się Aleks. – Naciągane. Prawdopodobnie wyłączyli transponder. Raczej nie ze strachu przed radarem, bo jak widać, łatwo to wyśledzić.

– Tylko pod warunkiem, że ktoś sobie zada trud. Kontrola prowadzona jest przez służby portowe. Na pełnym morzu nie monitorujemy wszystkiego na bieżąco. Nie mamy ludzi, by wszystko ogarnąć. Komputer robi to za nas.

– No, ale po zgłoszeniu sygnału mayday zapewne wszyscy operatorzy przełączają się na ten rejon.

– Owszem, ale wtedy *Stepanique* jest już na radarze.

– Zatem *Stepanique* wyłącza transponder, by się ukryć. Można więc przyjąć, że wyłącza również światła. Leje jak z cebra. Na *Raginisie* mogli ich po prostu nie widzieć.

– Dokładnie to samo sobie pomyślałem. Że tam miała miejsce kolizja. Dlatego poszedłem wczoraj wieczorem na nabrzeże. Na dziobnicy *Stepanique* wyraźnie widać ślady zderzenia.

– Muszę to obejrzeć.
– Wiem. Chodźmy tam od razu, bo zaraz nas tu ktoś przyłapie.
– Nie boisz się, że któraś kamera wyłapała, jak podpalasz śmietnik?

– Nie fantazuj, Aleks. Tu nie ma żadnych kamer. Jedna w recepcji, i tyle.

Olof zresetował radar i usunął historię przeglądania, a potem zbiegli na dół, kierując się ku drzwiom. Na zewnątrz ujrzeni dwa wozy straży pożarnej, ale flegmatyczne działania strażaków dowodziły, że sytuacja jest pod kontrolą. Tłumek odrobinę stopniał. Zapewne ludzie zaczęli już wracać do swoich biur. W taką pogodę nikt nie zostałby na zewnątrz dłużej niż to konieczne.

Przed budynkiem znajdował się niewielki parking. Olof poprowadził Aleksa właśnie w tamtym kierunku. Gdy dotarli, nacisnął guzik na pilocie i niebieskie bmw zamrugało pomarańczowymi światłami. Olof otworzył drzwi od strony kierowcy i skinął głową w kierunku Aleksa. Na całym świecie gest taki oznacza: „wsiadaj, do cholery”.

– To za daleko, żeby iść piechotą – wyjaśnił blondyn, gdy Aleks zamknął za sobą drzwi. – Na pewno nie w taką pogodę. Za dużo otwartych przestrzeni.

Włączył wycieraczki i ruszył. Faktycznie. Jechali dość długo, lawirując pomiędzy stosami kontenerów. W końcu znaleźli się przy bramie dla pracowników. Olof machnął legitymacją w kierunku siedzącego w budce strażnika, a ten bez żadnych oporów otworzył szlaban. Olof dodał gazu i bmw przejechało przez pusty plac.

– Muszę ci powiedzieć coś jeszcze. Bo jedna rzecz nie pasuje do naszej zgrabnej teoryjki.

– Co mianowicie?

– To, w jaki sposób zachowywała się załoga *Stepanique*. Wzywali *mayday relay* w imieniu *Raginis* na kanale szesnastym. Dziś już tak się nie robi. Są bardziej zaawansowane systemy. Zgłoszenie odebrało Lyngby Radio. Oni wciąż mają anteny w Rønne na Bornholmie. W każdym razie już po nadaniu

zgłoszenia załoga nie potrafiła podać swojej pozycji. Twierdzili, że mają *blackout* i systemy im się dopiero podnoszą. Żeby ustalić pozycję, wyrzucili za burtę EPIRB. Radiopławę awaryjną. Po kontakcie z wodą zaczyna emitować sygnał z własną pozycją. Sygnał wyłapują satelity systemu Cospas-Sarsat i potem przekazują go do centrum dowodzenia akcją ratunkową. Takie wyposażenie to obecnie nie tyle norma, ile wręcz obowiązek. Procedura EPIRB wchodzi w skład systemu GMDSS, ogólnoswiatowego systemu bezpieczeństwa i alarmowania, którym objęte są wszystkie jednostki morskie... Co tak patrzysz?

- Nic, nic. Po prostu mówisz o rzeczach, które wie nawet początkujący żeglarz.

- No tak. Przepraszam, wczułem się trochę. W każdym razie intuicja mi podpowiada, że przy kolizji *Stepanique* chciałyby wezwać pomoc jak najszybciej. Więc gdyby było tak, jak podejrzewamy, gdyby nie było żadnego *blackoutu*, a jedynie intencjonalne wyłączenie transpondera, to raczej skorzystaliby z GMDSS, zamiast zawracać sobie głowę EPIRB. To nie jest taka prosta sprawa. Radiopławy montuje się na sztywno do kadłuba czy nadbudówki. Założenie projektantów było takie, że kiedy statek tonie i nie może podać swojej pozycji, to EPIRB, po wejściu w kontakt z wodą, robi to za niego. Więc żeby uruchomić urządzenie, trzeba się najpierw do niego dostać, potem je zdemontować, a następnie wrzucić do wody. Nie chce mi się wierzyć, że w tak dramatycznej sytuacji załoga zachowała zimną krew i celowo spowolniła wezwanie pomocy, by nie zostawić śladów swojego oszustwa. Może i spowodowali katastrofę, nie wiem, ale akcją ratunkową prowadzili w sposób heroiczny. Żeby w taki sztorm wyrzucić ACEBI z siedmioma osobami na pokładzie, to trzeba mieć jaja ze stali. Wprowadzie ACEBI to doskonałe łodzie ratunkowe, w pełni zamknięte i z własnym napędem, ale to nie miało znaczenia. Decydując się na to, wiedzieli, że mogą zginąć. Nawiasem mówiąc, jeden zginął.

Podmuchy wiatru zdawały się pchać ich w kierunku kanału, ale Olof bezbłędnie panował nad autem. Gdy wyjechali zza ogromnego magazynu portowego, ich oczom ukazała się

Stepanique w całej okazałości. Była ogromna.

– Tylko statki z serii Tripple-E są od niej większe – powiedział Olof.

Przejechali obok czarnego, niemal czterystumetrowego kadłuba. *Stepanique* siedziała w wodzie bardzo głęboko. Na jej pokładzie wciąż zalegały kontenery.

– Statek czasowo aresztowano – poinformował Olof. – Załoga jest pod kluczem.

– Ale na pewno ktoś tego pilnuje.

– Tak. Urzędnik portowy. Mój kumpel. I zapewne niezbyt dokładnie. Szczerze mówiąc, przypuszczam, że śpi.

– Skąd taka myśl?

– Bo wiem, co robił wczoraj wieczorem. I jak długo to robił.

Olof zatrzymał bmw tuż obok gigantycznej, smaganej wichurą i deszczem dziobnicy kontenerowca. Aleks chwilę mocował się z naporem wiatru, ale w końcu udało mu się otworzyć drzwi. Wysiadł i zadarł głowę. Sześć metrów powyżej nabrzeża, mniej więcej w połowie wysokości dziobnicy, widniało wyraźne, poprzeczne wgniecenie, zakończone sporą dziurą. Aleks wyjął komórkę i zrobił zdjęcie.

– Widzisz to? Wyraźne ślady białej farby. *Raginis* był biały! – krzyknął Olof.

– Jak połowa statków kursujących po Bałtyku – odparł Aleks, wskakując z powrotem do auta i zamykając za sobą drzwi.

– Co myślisz? – zapytał Olof.

– Sam nie wiem. Uszkodzenie znajduje się bardzo nisko nad linią wody. Dziobnica jest pochyła, gdyby uderzył w nią statek rozmiarów *Raginis*, to zapewne uszkodzenie znajdowałoby się znacznie wyżej.

– Możliwe – odparł zawiedziony Olof.

– Poza tym uszkodzenie jest podłużne. Tutaj nie było uderzenia, a raczej solidna obcierka.

– Czyli z teorii o kolizji nici?

– Nie, nie wykluczałbym tego tak szybko. Teoretycznie, gdyby w momencie zderzenia *Stepanique* płynęła na wysokiej fali, a *Raginis* u jej podstawy, to takie uszkodzenie mogłoby się

przydarzyć. *Stepanique* staranowałaby wtedy *Raginisa* całym swoim ciężarem.

– Nie mieliby szans.

– Żadnych. Ale myślę, że uszkodzenia *Stepanique* byłyby poważniejsze.

– Statek ma czarne skrzynki. Chodźmy na mostek – powiedział Olof, wciskając gaz. Trap znajdował się w połowie długości statku. Kto by szedł dwieście metrów w taką pogodę?

Pół minuty później Olof i Aleks wspinali się na burtę po stromym trapie. Do pokonania mieli kilkanaście metrów i nie była to przyjemna wspinaczka. Christina uparła się, by im poskręcać karki, ale w końcu udało im się dotrzeć na pokład. Podbiegli do metalowych schodków, którymi weszli na niewielki mostek, a nim dotarli do drzwi nadbudówki. Ustąpiły po naciśnięciu klamki i obaj mężczyźni, przemoczeni i zziębnięci, weszli do środka.

– Knut! – zawołał Olof. – Knut!

– Co jest? – odezwał się zaspany głos. Po chwili z pierwszego pomieszczenia, tuż przy samym wejściu, wychyliła się rozczochrana głowa. – Olof? To ty?

– Tak. Knut, to jest mój przyjaciel Aleks. Jest pisarzem i chciałby zwiedzić statek. Mogę go oprowadzić?

– Jasne. – Knut ziewnął i spojrzał na Aleksa. – Będiesz pisać o kontenerowcach?

– Planuję. – Aleks uśmiechnął się i podał dłoń Knutowi.

– A ty byś popracował, zamiast spać. – Olof się zaśmiał.

– Zejdź ze mnie. Pół godziny temu zrobiłem obchód. Wiesz, ile trwa taki obchód?

– Dobra, dobra. Żartowałem – rzekł pojednawczo Olof i klepnął Knuta w ramię. Aleks podał mu dłoń, a ten ścisnął ją niedbale.

– Tylko niczego nie zepsujcie – rzucił i wrócił do swojej kabiny.

– Tam w głębi jest winda – powiedział Olof i ruszył przed siebie.

– Byłeś już na kontenerowcu?

– Tak. Na *Earlu*.

– Aaa... *Earl*. Znam go, bywa u nas.

Przeszli kilkanaście kroków i stanęli przed drzwiami windy.

Olof wcisnął guzik. Wyświetlacz poinformował, że kabina znajduje się na dziesiątym poziomie, więc musieli chwilę poczekać. Gdy w końcu drzwi się otworzyły, weszli do środka i Olof wcisnął przycisk z napisem BRIDGE. Znajdował się on na samej górze listy. Dziesiąty poziom. Winda ruszyła, a Aleks przysunął się plecami do ściany.

– Co jest, Aleks? – Olof się zaśmiał. – Masz klaustrofobię?

– Nie – odparł Aleks, wpatrując się w wyświetlacz informujący o ich aktualnej wysokości – ale ty też się lepiej schowaj. Tam ktoś jest.

– Co? O czym ty...

– Winda była na górze – przerwał mu Aleks. – Powinna być na dole. Knut powiedział, że dopiero co robił obchód. Zapewne wjeżdża na każde kolejne piętro, aż do mostka. A potem zjeżdża na dół. Nie wygląda na takiego, któremu chce się chodzić po schodach.

– Na pewno nie chodzi. – Olof zrozumiał, co się dzieje. Odruchowo schował się za Alekssem.

– Możliwe, że ktoś tam wjechał, a z powrotem zszedł schodami, bojąc się wykrycia. Zejść jest jednak łatwiej, niż wejść. Ale musimy być ostrożni.

Na wyświetlaczu pojawiła się dziewiątka i winda zaczęła zwalniać. W końcu zatrzymała się dokładnie w momencie, gdy dziewiątkę zastąpiła dziesiątka. Drzwi się rozsunęły i Aleks ujrzał przed sobą centrum sterowania okrętem. Po prawej stronie, przy ścianie stała wybebeszona metalowa szafa, z której wystawały setki różnokolorowych kabli. Niewysoki Afrykanin właśnie wypinał z nich jakieś urządzenie.

– Kradnie rejestrator! – wrzasnął Olof. Afrykanin w jednej chwili wycelował w ich stronę pistolet. Aleks popchnął Olofa i obaj upadli na ziemię, osłonięci przez niewysoką, metalową ściankę. Huk rozległ się jednak dopiero sekundę później, a wraz z nim dźwięk tłuczonego szkła. Do pomieszczenia wpadł wiatr. Leżące dotąd w nieładzie papiery teraz wystrzeliły w górę i oddały się chaotycznemu, improwizowanemu tańcowi z Christiną. Olof zerwał się ze swojego miejsca i zdążył jeszcze

zobaczyć intruza wychodzącego przez rozbite okno.

– No i spierdala! – krzyknął do Aleksa.

– Niby jak? Ma pod sobą ze trzydzieści metrów przepaści.

– Wspina się na dach!

– Zostań tu – polecił Aleks i ruszył w kierunku okna.

– Aleks, kurwa! Nie zabij się, bo Kjerstin łeb mi urwie! – wrzasnął z oddali Olof, ale Aleks już go nie słyszał. Wystawił głowę przez okno i spojrzął w górę. Ponad linią okna znajdował się reling, którego można się było chwycić. Tędy wydostał się złodziej, a Aleks nie zamierzał być gorszy. Naprawdę potrzebował tego cholernego rejestratora. Postawił stopy na krawędzi, wychylił się przez okno i chwycił relingu. Wiatr zdawał się dąć z siłą huraganu, na szczęście jego kierunek przyklejał Aleksa do ściany. Podciągnął się na tyle wysoko, by złapać za górną krawędź nadbudówki. Jeszcze odrobina wysiłku i znalazł się na dachu. Siedemdziesiąt metrów od stępki. Czterdzieści metrów nad linią wody. Byłby to wspaniały punkt widokowy, gdyby nie to, że w Christinie obudziły się mordercze instynkty i całą swą mocą usiłowała zepchnąć go z dachu. Z dachu, na którym Aleks nie dostrzegł złodzieja. Przez chwilę myślał, że niewysoki Afrykanin nie wytrzymał naporu wiatru i spadł, ale po chwili ujrzał go na szczycie stosu kontenerów, piętrzących się na pokładzie od strony rufy statku. Gall pokiwał głową z uznaniem dla odwagi złodzieja. By się tam dostać, musiał przeskoczyć na śliską metalową skrzynię, znajdującą się cztery metry poniżej i siedem metrów dalej. Siedem metrów? Niewiele krócej niż rekord świata w skoku w dal. A złodziej nie miał się gdzie rozpędzić.

Aleks przez chwilę zastanawiał się, czy da radę, a w tym czasie złodziej przeskakiwał już na kolejny kontener. Gall czuł na plecach oddech Christiny. Uznał, że dzięki jej pomocy da radę. Wziął oddech i ruszył. Wybił się tuż przy krawędzi nadbudówki i za chwilę wylądował na stalowym cielsku kontenera, prawie w połowie jego długości. Z pomocą orkanu musiał przelecieć w powietrzu niemal dziesięć metrów. Przeturlał się po dachu skrzyni, by złagodzić upadek, a potem wstał i ruszył w pogoń.

Złodziej biegł szybciej niż on i był najwyraźniej sprawniejszy. Aleks pędził za nim, przeskakując z kontenera na kontener. Na pokładzie stały zarówno standardowe dwudziestostopowe kontenery, jak i dwa razy dłuższe 2TEU, co zaburzało rytm biegu. Złodziej radził sobie z tym bardzo dobrze, ale Aleks zauważył, że mężczyzna dobiega już do ostatniego kontenera. Będzie musiał się zatrzymać, jeśli mu życie miłe. Nikt nie da rady skoczyć do wody z czterdziestu metrów. Nawet zawodowy ratownik nie dałby rady. Rekord świata wynosi wprawdzie coś około sześćdziesięciu metrów, ale żeby coś takiego zrobić, trzeba się uczyć całe życie. A ci najlepsi i tak doznają ciężkich obrażeń.

Ale uciekinier skoczył. Aleks zaklął i przyspieszył. Dotarł w końcu do krawędzi i zorientował się, że to wcale nie jest ostatni szereg kontenerów. Za nim znajdowało się jeszcze kilka, każdy kolejny niżej od poprzedniego.

– Sukinsyn! – krzyknął Aleks, zeskakując na niższą skrzynię, ale złodziej był już daleko. Układ kontenerów w tej sekcji utworzył schody, po których uciekinier dotarł właśnie na pokład główny. Najwyraźniej był nieźle przygotowany do tej eskapady. Musiał mieć zaplanowaną trasę ucieczki.

Aleks nie biegł dalej. To nie miało już sensu. Afrykanin podszedł do krawędzi burty i spojrzał w górę, w kierunku Aleksa. Nie uśmiechnął się. Nie pokazał środkowego palca. Po prostu popatrzył chwilę, za moment odwrócił się, przeszedł przez reling i skoczył do kanału. Ze spienionej, rozfalowanej wody podjęła go ukryta dotąd przy burcie motorówka. Dwóch facetów wciągnęło złodzieja na pokład, silnik zagrał na pełnych obrotach i łódź ruszyła, z impetem rozbijając fale.

Gall, dysząc ciężko, usiadł na krawędzi kontenera i przez chwilę patrzył, jak jego jedyna poszlaka odpływa w dal.

ROZDZIAŁ 19

Aleks był w wyjątkowo podłym nastroju, więc nie odzywał się w taksówce zbyt wiele. Kierowcy to pasowało. Po angielsku mówił tak sobie, więc ucieszył się, że uniknie niepotrzebnego stresu. Nucił sobie coś pod nosem, niby to, co w radiu, ale nie trafił w ani jedną nutę. Kompletne beztalencie.

Wszystko, co mogło się nie udać, to się nie udało. Aleks nie przypominał sobie dnia, w którym prześladowałby go taki pech jak dziś. Nie mając żadnego planu, postanowił pojechać na dobrą kawę. Włączył Internet w komórce i dowiedział się, że najlepszą kawę w mieście podaje niewielka kawiarnia przy Kungsgatan. Zdawał sobie oczywiście sprawę, ile warte są takie opinie, a ściśle mówiąc, ile warte są w twardej walucie, ale co mu szkodziło przekonać się osobiście, na ile renomę lokalu wypracowali bariści, a na ile spece od marketingu.

Rzekę Göta älv pokonali mostem Älvsborg, jednym z zaledwie trzech, za to najdłuższym i najbardziej imponującym w Göteborgu. Następnie skręcili w lewo na drogę szybkiego ruchu, którą pomimo kiepskiej pogody jechało się całkiem przyjemnie. Głównie dlatego, że zatłoczona zwykle trasa dziś świeciła pustkami. Miasto wyglądało jak wymarłe. Gdy dotarli do dzielnicy Stigberget, Aleks poprosił, by kierowca zjechał z szybkiej trasy i estakadą przeskoczył na równoległą lokalną drogę. Kierowca nie wydawał się zachwycony, wołał jechać dalej i opuścić trasę dopiero przed samym Götatunneln przebiegającym pod ścisłym centrum miasta, ale Aleks był nieugięty. Chciał jeszcze raz przejechać obok siedziby Baltic Bridge. Tak po prostu. Bez powodu.

Taksówka skręciła i pojechała tak, jak sobie Aleks zażyczył. Za chwilę znaleźli się na Emigrantvägen, starej, wąskiej ulicy, na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku będącej głównym traktem, którym marzący o dostatnim życiu w Ameryce

emigranci maszerowali z miasta do portu. Obecnie miała jedynie lokalne znaczenie, stanowiąc głównie drogę dojazdową do rozsianych po całym południowym brzegu rzeki budynków Stena Line i kilku konkurujących z nią firm.

Gdy dotarli do końca ulicy, byli już prawie na miejscu. By dostać się do starego miasta, musieli jeszcze tylko przekroczyć kanał Rosenlund. Most przebiegał nad fosą niemal u ujścia rzeki Göta älv do morza i zalewała go woda, więc kierowca zwolnił. Ale i tak zaskoczył go jakiś smarkacz wbiegający wprost pod maskę. Taksówkarz wdusił hamulec, auto zatańczyło, ale udało się je opanować. Dzieciak stał oparty obiema rękami o maskę i dyszał ciężko. Kierowca odsunął szybę i wyrzucił z siebie solidną porcję szwedzkich przekleństw, których Aleks nie rozumiał i rozumieć nie chciał.

– *Hjälp!* – krzyknął dzieciak, kładąc się na masce.

Kierowca błyskawicznie spoważniał. Chwycił za klamkę i rzucił w kierunku Aleksa:

– Prosi o pomoc!

Ale to akurat Aleks zrozumiał, więc był już na zewnątrz.

– *Min hund!* – krzyczał dzieciak przez szyby. Wskazał palcem za barierkę mostu. Kierowca i Aleks podbieli, ale nic nie zobaczyli. Słyszeli jedynie przeraźliwe ujadanie.

– *Under bron!* – krzyknął chłopak, a kierowca natychmiast przetłumaczył na angielski:

– Mówi, że pod mostem.

Dzieciak coś jeszcze krzyczał, ale Aleks już go nie słuchał. Przechylił się maksymalnie przez barierkę i ujrzał niewielką drewnianą łódź odwróconą do góry dnem, na którą rozpaczliwie usiłował wpełznąć duży pies. Zapewne owczarek niemiecki lub coś, co go przypominało. Łódź zakleszczyła się o stojący pośrodku nurtu filar.

– Mały mówi, że pies wyrwał mu z ręki smycz i wskoczył do łódki, a ta się zerwała z uwięzi. Prąd przyniósł ją aż tutaj – zrelacjonował pokrótce kierowca, choć Aleks nie był pewien, czy dobrze zrozumiał, bo kierowca w nerwach mówił po angielsku nawet gorzej niż wcześniej.

– Ma dużo szczęścia, że zatrzymała się na tym filarze. Gdyby łódź wpadła do Göta älv, byłoby po zwierzaku. Masz linkę holowniczą?

– Co? A, jasne – odrzekł kierowca i rzucił się biegiem w kierunku bagażnika auta. Aleks w tym czasie przeszedł na drugą stronę barierki i zaczął się ostrożnie opuszczać na rękach. Lustro wody znajdowało się zaledwie dwa metry poniżej, ale nurt był silny. Łódka opierała się o filar, jednak w każdej chwili nadpływająca fala mogła ją przesunąć w jedną lub drugą stronę. Aleks bał się na niej stanąć.

Pół minuty później kierowca wrócił z elastyczną niebieską linką.

– Pięć metrów długości – powiedział, podając Aleksowi sznur, zwinięty i umieszczony w pokrowcu z jakiegoś sztucznego materiału.

Aleks chwycił pokrowiec w zęby i opuścił się na rękach tak bardzo, że stopami niemal sięgał wody. W końcu bardzo ostrożnie oparł się o łódź. Drgnęła lekko, ale się nie przesunęła. Zachęcony tym drobnym sukcesem postawił na łodzi drugą stopę, a rękami oparł się o filar. Natychmiast poczuł wściekle uderzenia wezbranego kanału, ale zmusił się do koncentracji. Powoli ukucnął i puścił filar. Zerwał z liny opakowanie ochronne i odrzucił je od siebie. Trudno, może kierowca taksówki mu to wybaczy. Rozplątał linę i trzymając ją oburącz, powoli zbliżył się do oszalałego ze strachu zwierzęcia. Chciał owinąć mu linę pod przednimi łapami, żeby kierowca mógł go wciągnąć, ale nim to zrobił, zauważył, że przyczepiona do obroży smycz jest mocno napięta. Musiała o coś zahaczyć. Najwyraźniej pies usiłował się uwolnić i wywrócić łódź. Teraz jego pysk znajdował się zaledwie dziesięć centymetrów nad wodą. Aleks sięgnął do obroży i zrozumiał, że tak mocno napiętej smyczy nie zdoła odzepić od obroży. Musiałby zmusić psa do zanurkowania, a wiedział, że przestraszone zwierzę prędzej odgryzie mu rękę, niż pozwoli się podtopić. Przez kilka chwil bezmyślnie siłował się ze skórzaną obrożą, mając nadzieję, że może uda mu się ją pokonać. Ale wszelkie próby spełzły na niczym.

I nagle tuż obok siebie usłyszał dziwny świst, a potem głucho łupnięcie. Spojrzał w bok i ujrzał długi, ostry nóż wbity w burzę łódki. Podniósł głowę i zobaczył niewysokiego mężczyznę zwisającego z barierki.

- Przetnij smycz! - krzyknął mężczyzna po angielsku.

Aleks kiwnął głową i chwycił rękojeść noża. Ten jednak dość mocno tkwił w drewnianym dnie łódki. Gall zmobilizował wszystkie siły, szarpnął potężnie i wyrwał ostrze, ale stracił równowagę. Łódź się zachybotła i odsunęła nieco od filaru, a nurt zrobił resztę. Aleks runął do wody, a łódka ruszyła szybko w kierunku ujścia kanału do rzeki. Był pod wodą może sekundę. Lekko oszołomiony spojrzał za odpływającą łodzią i zrozumiał, że ma jeszcze tylko jedną szansę. Kilka metrów od mostu, tuż przy samym ujściu, kanał przecinała wąska kładka dla pieszych.

Biegła nisko nad wodą i przynajmniej na chwilę powinna zatrzymać łódkę, która z pewnością nie zmieści się pomiędzy pomostem a lustrem wody.

Aleks czuł, jak chłód go obezwładnia, ale wykrzesał z siebie resztkę sił. Wsadził nóż między zęby, ostrzem na zewnątrz, i popłynął za łódką, która zgodnie z jego przewidywaniami oparła się o kładkę. Jednak nurt nie dawał za wygraną. Napierał na łódkę z tak ogromną siłą, że ta zaczęła się powoli zagłębiać. Za kilka chwil zostanie wgnieciona pod pomost. Psa już na powierzchni nie było. Gall dopadł kładki i zanurkował. Po omacku znalazł smycz. Zwierzę się nie ruszało. Nóż był ostry, więc Aleks przeciął smycz trzema ruchami, a potem chwycił za obrozę i wypłynął na powierzchnię. Nagłe uderzenie prądu rozbiło łódkę na mniejsze kawałki, które natychmiast wpłynęły pod kładkę. Aleks jedną ręką trzymał się krawędzi pomostu, a drugą zacisnął na obroży. Ale nie wyglądało to dobrze. Wiedział, że sił wystarczy mu na kilka sekund. Nurt szarpał ich w stronę ujścia. Za chwilę będzie musiał puścić psa i dać sobie samemu ostatnią szansę na przeżycie tego dnia. Wtedy poczuł, jak czyjaś dłoń zaciska mu się na nadgarstku. Spojrzał w górę i ujrzał mężczyznę, który przed chwilą rzucił mu nóż.

- Najpierw pies - wycharczał Aleks. - Inaczej go stracimy.

Mężczyzna w kurtce ratownika wisiał na barierce. W ręku miał linę holowniczą. Zapewne dar od kolejnego przypadkowego kierowcy, bo poprzednia płynęła właśnie w kierunku Kattegatu. Nie dalej niż za dwa dni będzie już w Atlantyku. Mężczyzna przywiązał linę do barierki, a pętlę przełożył sobie pod pachami. Tak upięty opuścił się do Aleksa. Chwycił obrozę psa na kilka chwil przed tym, jak wyslizgnęła się ona ze skostniałej dłoni Galla. Ten natychmiast wykorzystał okazję, by oburącz mocniej uchwycić się barierki. Jeszcze kilka sekund zdoła poczekać na ratunek.

Ratownik przywiązał wolny koniec liny do obroży psa. Rozumiał, że zwierzę jest za ciężkie, by je wepchnąć na pomost. Zamiast tego sam się na niego wdrapał, a potem wciągnął psa. Następnie skoczył w kierunku Aleksa, chwycił go za dłonie i wciągnął na pomost.

Przez krótką chwilę Gall leżał na kładce, nie wiedząc, co się dzieje. Kierowca taksówki natychmiast okrył go kocem. Najwyraźniej był przewidujący. Niewielki mężczyzna zajął się natomiast reanimacją psa. Poszło mu całkiem sprawnie. Zwierzę, choć słabe i przerażone, stanęło na nogi szybciej niż Aleks.

– Flyga, Flyga! – wrzeszczał przez łyzy uratowany właściciel psa.

– To dość śmieszne, żeby takiego psa nazwać muchą – powiedział z uśmiechem nieznamy, gdy Aleks usiłował złapać pion.

– Tak, dość śmieszne – rzekł Gall słabym głosem. Wyciągnął rękę w kierunku mężczyzny. – Nazywam się Aleksander Gall.

– Ja jestem major Viggo Siegbahn – rzekł mężczyzna i sprawnym ruchem zapiął kajdanki na przegubie dłoni Aleksa, który dopiero teraz zauważył wystający spod sztormowej kurtki ratownika mundur. – A ty, Gall, jesteś zatrzymany.

ROZDZIAŁ 20

Stojąc na platformie widokowej lotniska Landvetter, Pan Dżuma miał poważne obawy, czy oczekiwany przez niego samolot w ogóle wylądaje. Obawy potwierdziły się bardzo szybko, gdy boeing 737 linii KLM w ostatniej chwili przerwał podejście i odszedł na drugi krąg. Pogoda była wyjątkowo paskudna i Pan Dżuma zastanawiał się, jak to możliwe, że lotnisko nie zostało zamknięte.

Ale nie zostało, a przy drugim zejściu maszyna poradziła sobie znacznie lepiej. Przyziemiła blisko progu pasa, dało się słyszeć huk załączonych odwracaczy ciągu i po niedługim dobiegu samolot skręcił na drogę kołowania i nieśpiesznie potoczył się w stronę terminalu.

Pan Dżuma opuścił platformę i udał się w kierunku hali przylotów. Dobiegała dwudziesta pierwsza. Biorąc pod uwagę fakt, że Barbarian musiał się przesiadać w Amsterdamie, to trzeba przyznać, że dotarł na miejsce bardzo szybko.

Niestety za późno.

Pojawił się niecały kwadrans później, niosąc na ramieniu niewielką torbę podróżną. Przywitali się solidnym uściskiem dłoni, wymienili kilka żartów. Jak zwykle.

– Kurwa, co to za pogoda? – rzucił Barbarian, gdy po przebiegnięciu ulicy i parkingu skryli się w końcu w wynajętym samochodzie.

– Jest styczeń. Co ty, w Europie nigdy nie byłeś?

– W Europie? Myślałem, że to Syberia.

Ruszyli w kierunku miasta. Drogi były puste i jechało się całkiem przyjemnie.

– Co ciekawego porabiałeś? – zapytał Pan Dżuma.

– A, musiałem stuknąć jednego faceta w Nowym Jorku. Głupiego Czarnucha.

– Chyba go nie lubieś.

– Nie, nie. On się tak nazywał. To znaczy tak na niego wołali. Gruba ryba w półświatku. Dealer z Harlemu.

– Dużo ci za niego zapłacili?

– W porównaniu z tym, co ty przygotowałeś, to prawie nic.

Pan Dżuma się uśmiechnął. Faktycznie, to zlecenie było jak spóźniony prezent gwiazdkowy.

– Jak go stuknąłeś? – zapytał chłopaka.

– Wziąłem piłkę i pojechałem na jego boisko. Trochę poklepałem, aż się zjawił. Cały wieczór musiałem udawać ostatnią pizdę.

– Nie gadaj, że stuknąłeś go, jak dzwoniłem.

– Minutę później, chłopie. Gdybyś się nie rozłączył, to miałbyś transmisję na żywo.

– Dużo świadków?

– Masa. Ale idę o zakład, że nikt nie zakabluje.

Kilka chwil jechali w milczeniu. Barbarian był zmęczony i marzył o hotelu ze świeżą, pachnącą pościelą. Radio grało jakieś smętne kawałki, wichura huczała za oknami, nic ciekawego się nie działo.

– No dobra, Panie Dżuma – rzekł w końcu Barbarian, celowo akcentując nowe imię swego przyjaciela. – To co nagrałeś?

Pan Dżuma się uśmiechnął. Pogoda wymagała skupienia, a przede wszystkim tego, by kierownicę trzymać oburącz, więc odczekał chwilę, aż znaleźli się na prostej drodze, po czym prawą ręką sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął z niej kopertę. Podał Barbarianowi, a ten otworzył i wyciągnął ze środka zdjęcie. Przez chwilę wpatrywał się w nie kompletnie zaskoczony.

– Chyba sobie robisz jaja.

– Ależ skąd, Barbie.

Barbarian przewrócił oczami, niemniej Pan Dżuma był jedynym człowiekiem na świecie, który mógł tak do niego mówić i nie ryzykował kulki między oczy.

– I co? Mamy go stuknąć? – zapytał.

– Jeśli zajdzie potrzeba – odparł Pan Dżuma. – Ale ja się tym zajmę. Ty masz go tylko śledzić.

- Nie cierpię śledzić ludzi. - Chłopak westchnął.
- To śledź stan swojego konta.
- Dobrze. Zapamiętam na przyszłość. W każdym razie coś mi się zdaje, że szykuje się niezła zabawa.
- Nie lekceważ Galla, Barbie. To śmiertelnie niebezpieczny typ. Cokolwiek wymyślisz, on to przewidzi. A jeśli tylko poczuje się zagrożony, to zastrzeli cię jak psa.
- Zobaczymy kto kogo.

Pan Dżuma gwałtownie zjechał na prawo i zatrzymał samochód. Włączył światła awaryjne i spojrzał Barbarianowi prosto w oczy.

- Nie chcę tego słuchać, Barbie. Masz go śledzić i nic więcej, jasne? Jak zobaczysz, że do ciebie celuje, to zwiewasz gdzie pieprz rośnie.

- Doooobra, przecież żartowałem - rzekł pojednawczo Barbarian. - Zostawiam go tobie.

- Tak będzie najlepiej - powiedział Pan Dżuma, uśmiechając się do siebie, bo w jego głowie pojawiło się kilka bezsprzecznie przyjemnych pomysłów dotyczących najbliższej przyszłości.

- To gdzie on teraz jest? - zapytał chłopak.

- I tu napotykam pierwszy problem - odparł Pan Dżuma, licząc wszakże, że jest to problem niewielki.

ROZDZIAŁ 21

Aleks nie wiedział, gdzie go trzymają, bo jechał autem bez okien. Ale trzymali już bardzo długo. Komórkę stracił, jednak podejrzewał, że minęło przynajmniej osiem godzin. W tym czasie zamknięto go w niewielkiej ciemnej celi, w której znajdowała się jedynie prycza, kibel i coś, co z grubsza przypominało zlewozmywak. Wykorzystał sytuację i poszedł spać. Trochę był ciekaw, o co w tym wszystkim chodzi, ale przecież w końcu na pewno mu powiedzą. Spał więc całkiem długo i obudził się dopiero teraz, gdy zamek przeraźliwie zabzyczał i drzwi odskoczyły z głośnym kliknięciem. W pomieszczeniu pojawiło się dwóch żołnierzy. Na migi kazali mu się podnieść. Aleks przypuszczał, że nie mówią po angielsku. Jeden z nich skuł więźnia, a potem przeszukał go od stóp do głów, zupełnie jakby jakimś cudem mógł sobie skombinować w tym eremie coś, co mogłoby stanowić broń. W końcu odeskortowali go do pokoju przesłuchań, w którym czekał już major Siegbahn.

– Usiądź – powiedział, gdy żołnierze zdjęli Gallowi kajdanki.

– Postoję – odparł Aleks.

– Usiądź – powtórzył Siegbahn i Aleks stwierdził, że dalsze spory nie mają sensu. Siegbahn miał czas. On nie.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał więzień, ale major milczał. Przez jakiś czas wpatrywał się w Aleksa, ale z jego ust nie padło ani jedno słowo. – Daj spokój – zachnął się Aleks. – Nie wystarczy, że siedzę tu od ośmiu godzin? Nawet nie pozwoliliście mi zadzwonić.

– Imponuje mi, że wskoczyłeś do rzeki po tego głupiego sierściucha – powiedział w końcu major. – Mógłbym cię za to nawet podziwiać, Aleks. Niestety nie mogę przejść do porządku dziennego nad tym, że posłałeś do szpitala dwóch moich kolegów.

– Kolegów? – Aleks się zaśmiał. – Ciekawe, czy gdybym ich

zapytał, to też nazwaliby cię kolegą. Czy może raczej pierdolonym łapsem? Tacy jak ty nie mają kolegów, Viggo.

– Być może, ale służymy w tej samej armii. Oni udają, że mnie lubią, ja udaję, że nie mam tego w dupie i tak to się toczy.

– Fajna zabawa. Na pocieszenie powiem ci, że każdy z nich jest znacznie większym dupkiem niż ty. A zebrani razem...

– Gdzie moduł, Aleks? – przerwał major.

– Jaki znowu moduł?

– Po twojej wizycie na *Stepanique* ze statku zniknął moduł pamięci, zapisujący dane z rejestratorów. Powtarzam więc pytanie: gdzie jest moduł?

– Najwyraźniej ktoś go ukradł – odparł Aleks.

– I nie byłeś to ty, tak?

– Zupełnie jakbyś tam był, Viggo.

– Zatem skoro nie ty, to kto go ukradł? – Siegbahn nie dał się wytrącić z równowagi.

– Ty mi powiedz – odparł Aleks, rozkładając ręce. – To ty jesteś cholernym gliną, nie ja.

– Nie pomagasz sobie.

– To ty sobie nie pomagasz. Wykonujesz swoje śmieszne rozkazy jak maszyna. Jesteś ślepcem, Viggo. Czy myślisz, że gdybym ukradł moduł, to pojechałbym sobie na kawę do centrum? I gdzie go niby ukryłem? Może jest w taksówce, którą złapałem w porcie. Przeszukałeś ją?

– Owszem. Przeszukałem.

– Nie wierzę.

– Jestem sumienny. A ty nadal sobie nie pomagasz.

– Zastanawiam się, czego ty właściwie chcesz. Ustalić, kto ukradł moduł, czy jedynie znaleźć sposób, by mnie przypisać tę kradzież? Bo przecież nie chodzi o tych dwóch patałachów. Po jednym ciosie na głowę. To ma być wojsko?

– Po mojemu wygląda to tak – rzekł Siegbahn, stukając długopisem w stół – ukradłeś moduł i tym samym zniszczyłeś rejestratory statku, który jest podejrzewany o udział w kolizji. Zginęło wiele osób. Jeśli mnie wkurzysz, a robisz wszystko, by do tego doprowadzić, to mogę cię nawet oskarżyć o terroryzm. A to

skutkuje bardzo długą odsiadką.

– Zawołaj swoich chłopaków, Viggo – rzekł Aleks, siląc się na pełne zniecierpliwienia ziewnięcie. – Niech mnie zaprowadzą do celi, gdzie jeszcze chwilę się kimnę, czekając, aż zdobędziesz jakieś dowody. Takie bezsensowne pierdolenie strasznie mnie nudzi.

Ktoś zapukał i nim Siegbahn zdążył odpowiedzieć, drzwi się uchyliły.

– Majorze, można pana prosić na moment?

– Jestem zajęty – odparł poirytowany Siegbahn.

– Admirał chce pana zobaczyć.

Major westchnął i podniósł się z miejsca.

– Zostań z nim – polecił żołnierzowi, a ten wszedł do pomieszczenia i stanął sztywno pod ścianą. Siegbahn wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Aleks zastanawiał się, co teraz będzie. Nie miał wątpliwości, że nic na niego nie mają, ale po prostu nie miał czasu na te zabawy. Wstał z miejsca.

– Siadaj – ostrzegł go żołnierz.

– Daj spokój – Aleks machnął ręką – trzymacie mnie tu od południa. Muszę rozprostować nogi.

Żołnierz nie był służbistą. Obserwował więźnia uważnie, ale nie ruszył się z miejsca. Aleks obszedł stół i stanął naprzeciwko wielkiego lustra. Zapewne weneckiego. Nie miał wątpliwości, że z pomieszczenia po drugiej stronie obserwuje go wiele par oczu. Zbliżył się do szkła, przyjrzał dokładnie własnej twarzy, a potem wycisnął przyszcza, który wyskoczył mu tuż nad łukiem brwiowym i od rana nie dawał spokoju. Potem jeszcze kilka chwil stroił miny, żeby porozciągać zmęczone mięśnie twarzy. Prycza nie była zbyt wygodna.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do pomieszczenia wpadł Siegbahn.

– Siadaj! – krzyknął do Aleksa, a ten posłusznie wrócił na swoje miejsce. Major patrzył na niego przez chwilę i Gall szybko zrozumiał, że żandarm stara się opanować gniew. Zupełnie skutecznie. Aleks był pod wrażeniem, ale zależało mu, żeby Siegbahn się nie uspokoił. W złości zawsze można coś chlapnąć.

– Aleś się zapienił – powiedział Aleks, patrząc majorowi w oczy i serwując mu jeden z tych kpiących, pełnych pogardy uśmiezków, za pomocą których wszczyna się burdy w barach dla motocyklistów.

– Śmiej się, Aleks. Ale już niedługo. FBI po ciebie leci.

Aleks nie przestał się uśmiechać, ale informacja zupełnie go zaskoczyła.

– Co? – zapytał kąśliwie Siegbahn. – Zamurowało? Przystajesz być naszym problemem. Przylatują i cię zabierają.

– Wątpię – odparł Aleks, rezygnując z wygłupów. Sprawa zaczęła się robić poważna, a on nic z tego nie rozumiał. – Nie jestem poszukiwany przez FBI.

– Najwyraźniej jesteś. – Siegbahn przesunął w jego kierunku wydruk z komputera. Przedstawiał zrzut ekranu ze strony najbardziej poszukiwanych przez FBI przestępców. Major czerwonym markerem zakreślił jedno ze zdjęć. I nie było wątpliwości, że przedstawia ono Aleksa. – Przypuszczam, że od jakiegoś czasu nie przeglądałeś witryn FBI, panie – przesunął kartkę w swoim kierunku, by odczytać zapisane pod zdjęciem nazwisko – Gretzky? Morderstwo pierwszego stopnia. Nieźle. Moi ludzie się spisali. Szukanie po nazwisku nie przyniosło rezultatu, więc spróbowali po twarzach. Co ty na to?

Adam Gretzky. Aleks jęknął cicho. Kiedy ma się przyjaciela o takich zdolnościach jak Baldur, wiąże się to z określonymi przywilejami. Na przykład można posługiwać się kilkoma tożsamościami. Ludziom takim jak Aleks to się przydaje. Na przykład dwa lata temu, w samym środku badania wypadku tankowca u wybrzeży Los Angeles, mógł niezauważony polecieć do Calgary, by przesłuchać pewnego mężczyznę. Było wskazane, żeby ekipa śledcza nie dowiedziała się o świadku i by świadek nie dowiedział się o ekipie śledczej. Aleks wykorzystał więc jeden z kilkunastu paszportów, którymi dysponował. Nie były to zwykłe podróbki. Baldur potrafiłby je zrobić, ale miał lepszy sposób. Po prostu włamywał się do centralnego komputera służb odpowiedzialnych w danym kraju za ewidencję ludności i tworzył w nim fikcyjnego człowieka. Dziś, w dobie cyfryzacji,

nikt nie sprawdza takich rzeczy w źródłach papierowych. Następnie człowiek ów może zupełnie legalnie wyrobić konto w banku, więc ma kartę kredytową. Ma legalną komórkę, legalne prawo jazdy, wszystko to, co miałby prawdziwy człowiek. Zwykle z Baldurem wybierali nazwiska znanych ludzi. To ułatwiało wiele spraw. W razie wpadki w każdym kraju świata policjant na ogół był mniej drobiazgowy, jeśli podejrzewał, że ma do czynienia z krewnym Ala Gore'a, Borysa Jelcyna czy Gerharda Schrödera. Na Bałkanach warto było się nazywać Proeski albo Kusturica. Ewentualnie Karadzić, acz to nazwisko działało dobrze tylko w niektórych kręgach. W Argentynie najlepiej Messi, choć Maradona też się sprawdzało.

W Calgary ów człowiek nazywał się Adam Gretzky, domniemany powinowaty Wayne'a Gretzky'ego. Hokeista darzonego uwielbieniem wszędzie na północ od Key West. I ów Adam Gretzky dał się podejść. Rzekomy świadek okazał się zbir, który miał za zadanie utrudnić śledztwo. Prawdopodobnie nie chciał zabić Aleksa, ale wyjął nóż. Gall nie lubił zabijać ludzi. Ale wyznawał kilka prostych zasad. Jedna z nich brzmiała „jeśli wyciągnąłeś przeciwko mnie nóż, to uznaję to za bezpośrednie zagrożenie swojego życia”, druga zaś „jeśli czuję, że chcesz mnie zabić, to ja zabijam ciebie”. Zgodnie z tą logiką, Aleks odebrał napastnikowi nóż i wbił mu go prosto w krtań. Ale najwyraźniej gdzieś popełnił błąd. Będzie musiał to przeanalizować. Poprosi o pomoc Nathaniela Kao, jednego ze swoich najbliższych przyjaciół, który sztukę usuwania za sobą śladów doprowadził do perfekcji. Poprosi, jeśli będzie miał sposobność. A na to na razie się nie zanośli.

– Więc? – naciskał Siegbahn.

Zrezygnowany Aleks wzruszył ramionami.

– W porządku. – Siegbahn wstał. – To już i tak nie mój problem.

Skinął głową w stronę stojącego przy ścianie żołnierza, a ten wyciągnął kajdanki i skuł więźnia. Aleks nie protestował. Major zatrzymał się jeszcze w progu i powiedział:

– Będą tu za jakieś dziesięć godzin. Wyśpij się, o ile dasz radę. Nasze szwedzkie więzienia to przy amerykańskich hotele all

inclusive.

ROZDZIAŁ 22

Trzydzieści sekund. Tyle BBC poświęciło sprawie aresztowania polskiego inżyniera, podejrzanego o kradzież rejestratorów statku biorącego udział w kolizji z promem MF Władysław *Raginis*. I te trzydzieści sekund wystarczyło, by rozwścieczyć Pana Jednorożca.

Jakiś żandarm wypowiedział do kamery kilka słów, a uczynił to tak, jakby miał sraczkę i gonił do kibla. Admirał Bergman otoczył się kordonem ochroniarzy i nie raczył na dziennikarzy nawet spojrzeć.

Pan Jednorożec wyłączył telewizor i schował pilota do szuflady. Na ciekłokrystalicznym ekranie stojącym na biurku pomuskał zieloną plamkę i wywołał połączenie z sekretarką.

– Szefie? – zapytała.

– Przynieś mi jacka danielsa. I idź w końcu do domu.

Sekretarka rozłączyła się bez słowa. Zbyt długo pracowała dla Pana Jednorożca, żeby próbować mu przypominać, że dochodzi północ i powinien iść się trochę przespać. Zamiast tego po prostu nałapała trunku do szklanki i przyniosła do gabinetu szefa. A ten nawet jej nie zauważył.

Rozmyślał, co zrobić. Jak powinien się w tej sytuacji zachować. Bergman powiedział bardzo wyraźnie: masz do mnie nie dzwonić. Ale wyeliminowanie Galla w tej chwili było błędem.

Przez chwilę się wahał, a potem sięgnął po komórkę i wybrał numer. Bergman długo się zastanawiał, czy odebrać, bo minęło przynajmniej dziesięć sygnałów, nim w końcu to uczynił.

– Powiedziałem ci, że... – zaczął, ale Pan Jednorożec mu przerwał.

– Wypuść Galla – syknął do słuchawki.

– Co?

– Wypuść Galla, durniu. Wszystko zepsujesz.

– Co zepsuję? Usiłuję to posprzątać.

- On to posprząta za nas. Tylko go pilnuj.
 - Czyś ty oszalał? Wszystko odkryje.
 - Gównu odkryje. Po prostu zabezpiecz wrak. Jak się do niego nie dostanie, to nic nie odkryje.
 - To cwany gość.
 - Wiem. I powziąłem pewne środki bezpieczeństwa. Wynająłem odpowiednich ludzi, by się tym zajęli. Będą za nim podążać jak cienie. Sprawdź, co ustalił. A od tego, co ustalił, może zależeć los nas obu. Więc nie wkurwiał mnie, tylko go wypuść. Moi ludzie go zastrzelą, jeśli zrobi choć jeden krok w niebezpieczną stronę.
 - Za późno - rzekł po krótkiej chwili ciszy admirał Bergman.
 - Jak to za późno?
 - FBI go przejmuje.
 - Co?
 - To, co słyszałeś. Jest poszukiwany w Stanach za morderstwo.
 - Nonsens.
 - Wejdz sobie na pieprzoną stronę FBI i sam zobacz. Występuje tam pod nazwiskiem Gretzky, ale zdjęcia na pewno nie pomylisz.
 - Pozwól mu uciec.
 - Za późno.
 - Nie musisz im go oddawać. Powołaj się na procedurę. Niech się starają o ekstradycję.
 - Nie żartuj.
- Pan Jednorożec milczał. Czuł narastającą złość, ale wiedział, że role się odwróciły. Teraz to Yngve miał wszystkie atuty.
- Jeszcze się odezwę - rzekł w końcu, a brzmiało to jak groźba. Nim Yngve zdążył zaprotestować, Pan Jednorożec rozłączył połączenie, a następnie wybrał numer Pana Dżumy.
 - Czy pański człowiek jest już na miejscu? - zapytał, gdy ten odebrał telefon. A zrobił to prawie natychmiast. Profesjonalista.
 - Owszem.
 - To dobrze. Gall jest gdzieś więziony.
 - W głównej bazie marynarki wojennej w dzielnicy Älvsborg.
 - Wiem, gdzie to jest, durniu. Nie znam dokładnej godziny, ale zapewne dziś w nocy lub jutro rano ma go przejść FBI. Planują go zabrać do Stanów. Nie dopuście do tego.

– Okej – powiedział Pan Dżuma i się rozłączył.

ROZDZIAŁ 23

Jeszcze trzy dni temu Yolande nienawidziła swojej pracy. Przybyła do Szwecji zaledwie rok temu, zupełnie legalnie, z nadzieją na lepsze życie. W Eldoret skończyła osiem klas szkoły podstawowej, w każdym trymestrze będąc najlepszą uczennicą w szkole. Potem wyjechała do Nairobi. W stolicy skończyła szkołę średnią, uzyskując na egzaminie końcowym sześć razy A i jedynie z matematyki notując B. Droga do każdego kenijskiego uniwersytetu stanęła przed nią otworem. Ale w Szwecji nic to nie znaczyło. W konkursie świadectw zajęła wysokie miejsce, jednak choć po angielsku mówiła znacznie lepiej niż większość jej szwedzkich rówieśników, nie miała jednego z czterech certyfikatów językowych. Nie wiedziała, że jest potrzebny. Zapisła się na internetowy egzamin TOEFL, ale musiała na niego czekać trzy tygodnie, a w tym czasie wszystkie rekrutacje zostały zamknięte.

Jej nowe życie w Skandynawii zaczęło się od wielkiego rozczarowania, a przecież matka oddała jej na to ostatnie pieniądze.

Yolande była ambitna. Ani przez chwilę nie pomyślała, że mogłaby się starać o jakiś socjal. Nawet nie wiedziała, czy może. Zamiast tego zaczęła szukać roboty. Nie miała złudzeń, że będzie to praca marzeń, ale jak to się stało, że ona, świetny biolog, przyszły lekarz, musiała zapieprzać ze szmatą? Przeglądając ogłoszenia, szybko zrozumiała, że od ręki może zostać tylko sprzątaczką. No trudno. Zastanawiała się, co zrobić, by wynieść z tego coś dla siebie, i wpadła na pomysł, że mogłaby poszukać roboty w szpitalu. W Sztokholmie nikogo nie szukali. W Göteborgu też nie. Dopiero szpital w Ystad ją przyjął i zaproponowano jej dwanaście tysięcy koron miesięcznie. To były dla niej duże pieniądze, ale życie w Szwecji jest drogie, a ona połowę zarobków odsyłała matce, której prócz swej wielkiej

życiowej szansy zawdzięczała jeszcze coś – sumienność i pracowitość. Dyrektor szpitala Marie Ekberg szybko się zorientowała, że zatrudniła skarb, nie pracownika. Odbyły kilka rozmów, Yolande opowiedziała jej o sobie, a Marie wygospodarowała w szpitalu pomieszczenie, w którym Yolande mogła mieszkać za darmo. Była lubiana zarówno przez pacjentów, jak i personel.

Właściwie przez personel to nawet za bardzo. Bo prócz sumienności zawdzięczała mamusi jeszcze kilka niezwykłych atrybutów. Niezwykle kształtną pupę, smukłą talię i wielkie piersi w rozmiarze DD. Ojciec, którego nie знаła, zafundował jej czarną jak heban skórę. Razem robiło to piorunujące wrażenie na facetach. Już w pierwszym miesiącu pracy jeden z ordynatorów zasugerował, że jej życie mogłoby się bardzo zmienić, gdyby tylko rozważyła kilka spotkań w tygodniu. Oczywiście dyskretnie, bo przecież miał żonę. Yolande odmówiła, a ordynator nie naciskał. Nadal odnosił się do niej przyjaźnie. Być może jeszcze na coś liczył. Dupek. Mniej przyjazny natomiast okazał się młody pediatra mołdawskiego pochodzenia, który nie przyjął odmowy zbyt dobrze. Stał się napastliwy i Yolande naprawdę się przestraszyła. Na szczęście Maria szybko się zorientowała w sytuacji i pediatra wrócił do swojego kraju z zarzutami. Od tego czasu nikt już Yolande nie zaczepiał, ale poza szpitalem wciąż otrzymywała mniej lub bardziej dosadne propozycje.

Jeszcze trzy dni temu Yolande zastanawiała się, czy da sobie radę. Czy znajdzie w sobie tyle samozaparcia, by walczyć o swą przyszłość. Każdemu trafiają się trudne chwile. Ale ona była sama. Tak bardzo sama. Od pięciu miesięcy w nieustannym biegu.

Trzy dni temu wszystko się jednak zmieniło, kiedy na intensywnej terapię przywieźli tego chłopaka z katastrofy. Maria powiedziała, że ma na imię Jakub. Yolande nie znała takiego imienia, więc sprawdziła w Internecie, co ono oznacza. Z aramejskiego ja'aqob'el. Niech Bóg ochrania. No i ochronił go Bóg, choć Yolande nie wiedziała, w jakiego boga wierzy Jakub

i czy w ogóle wierzy. Po ciężkiej hipotermii odzyskał przytomność zaledwie na chwilę, a ona akurat u niego sprzątała. Spojrzał na nią nieco skołowany, a ona zakochała się bez pamięci. Ludzie mogą się śmiać. Ale ona po raz pierwszy wiedziała, że spotkała mężczyznę swojego życia. Powiedział coś do niej. Głos miał bardzo przyjazny, ale słów nie zrozumiała. Miała jedynie nadzieję, że przez tę krótką chwilę, przez zaledwie kilka minut, zdążyła mu się spodobać.

Zaraz po tym, jak odzyskał przytomność, wprowadzono go w śpiączkę farmakologiczną. Dziś, po czterech dniach, wiadomo już było, że nie straci żadnej z kończyn i że układ krwionośny odzyskuje sprawność, za kilka dni, może za tydzień lub dwa, będzie można go wybudzać. Maria powiedziała jej, że Jakub jest marynarzem z Polski i ma dziewiętnaście lat. Tyle co ona. Kilka przyjaznych aluzji ze strony pani dyrektor uświadomiło jej, że wszyscy już wiedzą o jej uczuciach. Zauważył je też ordynator zboczeniec, ale o dziwo, nie usłyszała żadnych kpin. Jedynie posłał jej kilka złośliwych uśmiezków, ale był to kontrolowany, przyjazny rodzaj złośliwości. W gruncie rzeczy fajny był facet z tego ordynatora. Gdyby tylko nie był zdradzającą żoną podłą świnią, to mogłaby go nawet polubić.

Dochodziła północ, a ona w cztery godziny wysprzątała już cały korytarz na drugim piętrze. Czas się zająć salami. Nauczono ją, w jaki sposób rozłożyć sobie pracę, by ze wszystkim zdążyć. Trzy dni temu opracowała jednak własny plan. Sprzątanie sal na drugim piętrze rozpoczynała od pokoju dwieście dziewięć, gdzie leżał Jakub. Sprzątała go dość długo, ale nie dotykała szyb. Potem zabierała się do kolejnych pomieszczeń, a na koniec wracała do dwieście dziewięć, by umyć okno. I jeszcze kilka chwil spędzić z Jakubem. Mówiła do niego po angielsku. Nie wiedziała, czy ją słyszy. Ani czy ją rozumie. Ale mówiła.

Zgasiła światło na korytarzu. Zawsze to robiła po sprzątaniu. Ochroniarz skinął jej przyjaźnie głową. Dla niego był to sygnał, że można się chwilę kimnąć. Yolande wzięła swój wózek i skierowała się do sąsiedniego skrzydła, gdzie pośrodku korytarza znajdowały się drzwi do sali dwieście dziewięć. Przed

samym wejściem poprawiła obcisłą białą bluzkę. Kto wie, może się przebudzi? Yolande nigdy dotąd nie miała mężczyzny. Matka skutecznie chroniła ją przed absztyfikantami. Ale kobieca natura podpowiadała jej, jak zrobić wrażenie na facecie. Biała, lekko przezroczysta bluzka i koronkowy stanik, który kupiła wczoraj w H&M, wspaniale kontrastowały z jej czarnym ciałem i czuła się naprawdę atrakcyjna. Poprawiła jeszcze szary pracowniczy fartuch, wszak trzeba było przy tym wszystkim zachować przynajmniej pozory skromności, i pchnęła drzwi.

Mężczyzna, który przyciskał poduszkę do twarzy Jakuba, miał wyraźnie azjatyckie rysy twarzy i w pierwszej chwili jej nie zauważył.

- Co robisz?! - wrzasnęła, a on odskoczył od łóżka ofiary i błyskawicznie otaksował ją wzrokiem. Trwało to ułamek sekundy, a potem rzucił się na zaskoczoną dziewczynę, potężnymi, pokrytymi tatuażami łapskami chwytając ją za szyję. Chciała krzyknąć, ale zabrakło jej tchu. Szarpnęła się rozpaczliwie, ale napastnik tylko się zaśmiał. W odruchu desperacji kopnęła w swój wózek, który wywrócił się, robiąc przy tym trochę hałasu. Woda rozlała się po podłodze. Yolande miała nadzieję, że ochroniarz z sąsiedniego skrzydła usłyszy odgłos upadającego wózka w otulonym ciszą szpitalu, ale odniosła jeszcze jedną, niespodziewaną korzyść. Wózek spadł na nogę mężczyzny, a ten musiał to odczuć, bo poluzował nieco chwyt i spojrzał w dół. Naładowana adrenaliną dziewczyna, niewiele myśląc, uderzyła go pięścią w nos. Niezbyt mocno, ale wystarczyło, żeby ją puścił. Chciała rzucić się do ucieczki, ale podłoga była bardzo śliska. Chwycił ją za upięte w koński ogon włosy i cisnął na łóżko Jakuba. Upadła na niego i przyłapała się na tym, że zamiast myśleć o ratunku, zastanawiała się, czy mu aby nie zrobiła krzywdy.

Napastnik wyciągnął nóż i skoczył w kierunku dziewczyny, ale poślizgnął się na mokrej posadzce i upadł na jedno kolano. Yolande natychmiast to wykorzystała, kopiąc go w twarz. Lekko, bo w ostatniej chwili zwolniła uderzenie. Nie nawykła do bicia ludzi. Zadziałał odruch dobrego człowieka. Ale i ten cios

wystarczył jej, by zyskać chwilową przewagę. Przeskoczyła nad leżącym mężczyzną i wybiegła na korytarz. W pierwszej chwili chciała biec po ochroniarza, ale szybko zrozumiała, że jeśli to zrobi, Jakub zginie. Zabójca najwyraźniej czekał, aż Yolande zgasi światło na korytarzu. Był przygotowany i miał zadanie. Zabije Jakuba, nim ona wróci z ochroniarzem. I nawet jeśli go złapią, to cóż z tego?

- Ratunku! Ratunku! - wrzasnęła po szwedzku Yolande i wskoczyła z powrotem do sali. Mężczyzna zdążył się już podnieść. Jego wzrok nie pozostawiał wątpliwości, że teraz to ona jest celem. Skoczył ku niej, ale chyba nie docenił determinacji zakochanej kobiety. Porwała z półki metalową butlę z tlenem i wyrzuciła go prosto w twarz. W ostatniej chwili zdążył się uchylić, ale i tak oberwał w policzek. Niestety, nie osłabiło go to. Przeciwnie. Rzucił się na nią z jeszcze większą werwą. Zamachnęła się ponownie, ale tym razem był na to przygotowany. Uchylił się i uderzył ją pięścią w podbródek. Ugięły się pod nią nogi. Ręce opadły. Gdy ukłękła, napastnik kopnął ją w twarz. Usłyszała obrzydliwy plask, gdy pękła jej warga, a potem pokój pogrzyżył się w ciemności. Nie odpłynęła zupełnie. Poczuła, jak siada na niej okrakiem. Okruchy świadomości podpowiadały jej, że zaraz zginie. Że napastnik wyjmie nóż i poderżnie jej gardło. Ale jego zraniona męska duma najwyraźniej wzięła górę nad rozsądkiem. Chciał ukarać tę czarnulkę. Uderzył ją pięścią w twarz. Potem jeszcze raz. I jeszcze raz. Yolande straciła przytomność, napastnik jednak nie zwalniał. Podniósł pięść do ostatniego, najpotężniejszego ciosu.

Wzmacniany stalą skórzany but zgruchotał mu szczękę, jak kula do wyburzeń uderzająca w styropianową ścianę. Drugie kopnięcie złamało mu kark i niedoszły morderca umarł.

- Posiłki do dwieście dziewięć! - wrzasnął do krótkofalówki ochroniarz, odruchowo wycierając zakrwawiony but o spodnie trupa. - I lekarza! Na Boga, lekarza. Yolande umiera!

ROZDZIAŁ 24

Aleks nie skorzystał z rady Siegbahna. Nie poszedł spać. Przez kilka chwil zastanawiał się, jaki popełnił błąd w Calgary. Nie bał się przesadnie. Wiedział, że Baldur i tak go z tego wyciągnie. Ale świadomość błędu nie dawała mu spokoju. Był pewien, że o wszystko zadbał.

Wkrótce porzucił te rozważania na rzecz kolejnych. Kiedy człowiek myśli bez szczególnego skupienia, często jedno przemyślenie prowadzi do innych, a te do jeszcze innych i w końcu zatrzymują się w zupełnie nowym miejscu. U Aleksa na katastrofie *Raginisa*. Nie trzeba było mieć jego wiedzy i doświadczenia, żeby rozumieć, że coś tu nie gra. Zastanawiała go rola *Stepanique* w tej katastrofie. Ktoś ryzykował życie, by ukryć przed nim informacje dotyczące rejsu i pozycji kontenerowca. Ale zapisu radarowego nie mógł skasować. Olof wykonał dobrą robotę. W dodatku kapitan ginący na morzu w trakcie akcji podejmowania rozbitków... Aleks nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek w historii zdarzyło się coś takiego, ale wiedział jedno: w taką pogodę kapitan koordynuje akcję ratunkową z mostka. Chyba że czuł się winny. Tylko dlaczego kapitan *Stepanique* miałby się tak czuć? I jak on się w ogóle nazywał? Nikt nie przekazał mu takiej informacji. Trzeba będzie się jakoś skontaktować z Baldurem, niech to sprawdzi. Kolejna sprawa to ślady kolizji. Nie ma wątpliwości, że z takimi uszkodzeniami statek nie mógłby wyjść w morze. Z drugiej jednak strony Aleks wierzył swojej intuicji i raczej wykluczał możliwość kolizji *Stepanique* z *Raginisem*. Zresztą, nawet gdyby do takiej doszło w wyniku jakiejś awarii na kontenerowcu, to po co tak się starać, żeby ukryć ten fakt? Awaria to awaria. Tu musiało być coś więcej.

Zamek zabzyczał i drzwi się otworzyły. Była ósma rano.

– Wstać – polecił żołnierz, a Aleks posłuchał. Potem pozwolił sobie zapiąć na nadgarstkach kajdanki i za chwilę wolnym

krokiem szli w stronę sali przesłuchań. Gdy się do niej zbliżali, Aleks zajrzał przez okienko i zobaczył dwóch agentów. Nie wyglądali na fajnych gości. Nigdy nie wyglądają. Gall miał tylko chwilę, by ustalić, który z nich jest dobrym, a który złym policjantem. Jeden z nich był dość niski i sprawiał wrażenie formalisty. Wyglądał jak jeden z tych, którzy fakt posiadania lekkiej nadwagi usiłują tuszować świetnie skrojonym garniturem i dobrze wyglądającą podróbką rolexa. Mężczyzna stukał niecierpliwie długopisem w stół. Drugi był inny. Typowy cwaniaczek z Chinatown. Luzacka fryzurka, niedbale zarzucona marynarka bez krawata. Czarne okulary. Typ, który na imprezach mówi zapewne: „Ej, maleńka, zasmakowałaś kiedyś prawdziwego orientu? Bo teraz masz doskonałą okazję”. Aleks nie miał wątpliwości. On nie jest przeciwnikiem. Ma do odegrania rolę przydupasa. Gra się będzie toczyć z tym drugim.

Weszli do pokoju. Aleks spojrzał na stojącego w rogu Siegbahna. Major wyglądał tak, jakby mu ktoś napluł do zupy.

- Rozkuj go – polecił żołnierzowi eskortującemu ten grubszy.
- Odradzam – odparł Siegbahn. Agent spojrzał na niego z ukosa.
- Rozkuj – powtórzył i tym razem nikt już nie zaoponował.

Aleks roztarł nadgarstki.

- Proszę usiąść, panie Gall – powiedział agent. – A może panie Gretzky? Jak pan woli być nazywany?

Aleks nic nie odrzekł.

- Jestem agent specjalny Johnson, a to agent specjalny Smith.
- Serio?
- Co serio?
- Johnson i Smith?
- Coś nie pasuje?
- Nie mogliście sobie wymyślić czegoś mniej krzyżącego „chuj ci do tego, jak się nazywamy naprawdę”?
- Nie cwaniakuj – rzekł ten wyższy, ani na moment nie przestając żuć gumy. To on był Smith.

- I przybyliśmy tutaj, by zabrać pana do Stanów – kontynuował Johnson – gdzie odpowie pan przed społeczeństwem za swoje przewinienia.

– Dziwne – odparł Aleks. – Zawsze mi się zdawało, że Calgary leży w Kanadzie.

– I? – zapytał Johnson.

– Słyszałeś kiedyś o czymś takim jak jurysdykcja?

– A ty słyszałeś kiedyś o czymś takim, jak „mam to w dupie”? Calgary to twój najmniejszy problem, Gall.

Aleks zastanowił się chwilę. Calgary nie było jego pierwszą przygodą. Jednak rachunek sumienia potrwałby w tych okolicznościach trochę za długo, więc po prostu zapytał:

– Czego właściwie chcecie?

– Wszystko w swoim czasie, Gall. Na razie wyjaśnijmy sobie to, co oczywiste. – Johnson pokazał Aleksowi zdjęcie z jakiejś kamery przemysłowej. – Wiesz, co to jest, prawda? Zapis monitoringu stacji benzynowej. Tej samej, na której zaszytował się Rodrigueza.

Aleks uśmiechnął się i spojrzał Johnsonowi prosto w oczy.

– Coś mi tu brzydko pachnie, panie agenciku. Bo wiesz co? Mam dobrego przyjaciela, który usunął to nagranie z serwera, zanim przerażony sprzedawca zdecydował się wyleźć spod lady i zadzwonić po kawalerię.

– A jednak je mamy – odparł Johnson. – Czy mam odbierać pańskie oświadczenie jako przyznanie się do winy?

– Sprawdziliście ich? – zapytał Aleks Siegbahna.

– Sami do nich zadzwoniliśmy, Gall. Ale owszem, sprawdziliśmy ich papiery, uzyskaliśmy też potwierdzenie z samego budynku Hoovera. Od zastępcy dyrektora, ściśle biorąc. Nie wiem, co nawywiąłeś, Gall, ale już cię ma.

Johnson skinął na Smitha, a ten wyjął dokument i pokazał go Aleksowi. U szczytu białej kartki papieru widniała Wielka Pieczęć Stanów Zjednoczonych. Pod spodem jego nazwisko. Na dole zamasztystry odręczny podpis zastępcy dyrektora FBI. Edgar J. Thompson. Aleks nie poświęcił dokumentowi zbyt wiele uwagi. I tak nie byłby w stanie rozpoznać, czy jest prawdziwy, czy nie. Ale ufał Siegbahnowi. Zachowanie przy moście wiele mówiło o tym człowieku. Służbista, ale uczciwy. Z pewnością sprawdził wszystko dwa razy. Tym bardziej że chyba niechętnie

wypuszczał więźnia ze swoich rąk.

Johnson odebrał Aleksowi dokument i oddał go Smithowi. Najwyraźniej udział tego drugiego w przesłuchaniu właśnie się zakończył, bo na piknięcie Facebooka wyjął komórkę i zaczął pisać, uśmiechając się przy tym jak szczeniak umawiający się na pierwszą w życiu seks randkę.

– Zabieramy go, majorze. Czy zorganizuje nam pan obstawę na lotnisko? Odlatujemy za dwie godziny.

– Macie czarter? – zapytał Siegbahn.

– Nie. Lecimy rejsowym. Ale spokojnie. Mamy na to procedury.

– Nie wątpię – odparł Siegbahn. – Dam wam trzech żołnierzy.

– Bez żartów, majorze – warknął Johnson. – Trzy samochody i dziesięciu uzbrojonych mężczyzn. To nie jest byle kto.

– Gówno mnie obchodzi, kto to jest – odparł major. – Wasz cyrk, wasze małpy. Radźcie sobie.

Wyruszyli pół godziny później. W trzy samochody i w towarzystwie dziesięciu żołnierzy z jednostki specjalnej. Jedyne odstępstwo od żądania Johnsona stanowił fakt, że jednym z żołnierzy była kobieta.

ROZDZIAŁ 25

Nie był z siebie zadowolony. Bóg mu świadkiem, że nie. Zabicie tych gnojzków w parku było błędem, jaki nie powinien mu się przytrafić. Początkowo zwał to na karb zmęczenia. Jego misja trwała już naprawdę długo i wciąż nie przynosiła pożądanych rezultatów. Na dobrą sprawę, trafiały mu się takie chwile, w których wątpił, czy w ogóle się uda osiągnąć to, czemu poświęcił ostatnie lata. Poza tym, tłumaczył sobie, przecież go zaatakowali. Musiał się bronić. Ale potem nadchodziło opamiętanie. Jestem profesjonalistą, do cholery. Nie mogę się tłumaczyć zwątpieniem. A już na pewno nie tym, że mnie zaatakowali. Wystarczyło im połamać ręce.

A najgorsze w tym wszystkim było to, że nie udało się doręczyć wiadomości. Głupi szwedzcy gliniarze nie wykonali dobrze swojej roboty. Nie odnaleźli kuli, którą przygotował specjalnie na tę okazję. Strata czasu i zasobów.

Zmęczenie nie mogło go usprawiedliwiać, ale ono było. Przede wszystkim psychiczne. Cztery lata mieszkał już w tym kraju i choć nauczył się w tym czasie mówić tak dobrze, że jego fałszywe szwedzkie papiery nikogo nie zaskakiwały, to jednak nie nauczył się rozumieć tych ludzi i ich kultury. Chciałby stąd wyjechać. Tylko dokąd? Do domu? Na pewno nie. Nigdy nie ujrzy już Rijadu. Ominie go hadżdż, pielgrzymka do Mekki, będąca obowiązkiem każdego muzułmanina. Nie odwiedzi świątyni Al-Kaba, nie dotknie świętego kamienia Al-Hadżar al-Aswad. Allah pewnie się pogniewa. Jeszcze do niedawna byłby to problem, ale ostatnio mężczyzna zrozumiał, że oddalił się od Boga. Wiedział, że obarczanie Allaha za swoje błędy jest tchórzostwem, ale przecież człowiek jest słaby.

Przestań. Skup się.

Widział wczoraj w telewizorze tego Galla. Znał faceta. To on w zeszłym roku schwytał Sługę. Terrorystę numer jeden na

świecie. Był więc kimś ważnym. A teraz zamknęli go w więzieniu admiralicji.

Przyszedł na swój punkt obserwacyjny rano. Ubrany jak zwykle w wiele warstw starych łąchów. Wyglądał jak kloszard, ale przynajmniej było mu ciepło. A w miejscu, w którym się znajdował, dobre osiemdziesiąt metrów nad powierzchnią ziemi, wiatr i deszcz były jeszcze bardziej odczuwalne niż na dole.

Droga wiodąca z siedziby marynarki wojennej na lotnisko była doskonale widoczna, nawet mimo niekorzystnych warunków. Sześćset metrów. Żadna odległość dla kogoś takiego jak on. Innej nie mogli wybrać. Ta trasa była najszybsza i najkrótsza. Po co jechać naokoło? W jego zasięgu znajdowały się dwa kilometry drogi. Nie było szans, że przegapi kolumnę. Mógł spokojnie obserwować, mając pewność, że nikt go nie zauważy. Ruch był niewielki. Sobota, wczesna pora, fatalna aura. Komu by się chciało ruszać z domu?

Wiedział, jak to rozegra. Najpierw wypatrzy ich na rozjeździe mostu Älvsborgsbron. Wprawdzie nim nie przyjadą, ale rozjazd będą musieli pokonać, a on ich na nim zauważy. Następnie wjadą w ulicę Oscarsleden. Miną położony nieco na północ od drogi Novotel, gdzie na moment straci ich z oczu, gdy skryją się za skupiskiem wysokich budynków. Szybko jednak pojawią się znowu. A gdy dojadą do parkingu przy Terminalu Niemieckim Stena Line, będzie miał ich jak na dłoni i na wyciągnięcie ręki. Sześćset metrów. Bułka z masłem.

Nie zdążył się nawet znudzić, a już ujrzał to, na co czekał. Cztery czarne limuzyny. Identyczne. Chyba volvo. Gall był w drugiej albo trzeciej. Szyby były przyciemnione i zapewne kuloodporne. Ale to nic. Mężczyzna dość czasu spędził w służbach specjalnych, by wiedzieć, jak to się robi. Jeśli jadą cztery auta, więzień jest w trzecim. Jeżeli wpadną w pułapkę, to załogi z trzech aut nawiązują walkę, a wiozący więźnia ucieka. Zdarza się, że musi się przebić. Ale nigdy nie wiadomo, czy trzeba będzie uciekać do przodu, czy w tył. Przodem dużo łatwiej jest się przebić przez dwa auta niż tyłem. Dlatego zwykle pojazd eskortowany za sobą miał tylko jedno auto. Gall siedział z pewnością z tyłu, po prawej

stronie. Jak najdalej od kierowcy. Taka była procedura.

I to się świetnie składało, ponieważ konwój jechał tak, by mu przypadkiem niczego nie utrudnić. Ustawił odpowiednio celownik optyczny i ujrzał w niej szybę, do której celował. W tę pogodę nie będzie łatwo, ale nie musi trafić dokładnie. Wystarczy tylko...

Nacisnął spust. Barrett M82 syknął i wypluł pocisk. Na pozór nic się nie wydarzyło, ale mężczyzna wiedział, że trafił. Bo nagle drugie auto zjechało w bok i zwolniło, zasłaniając samochód wiozący więźnia. Ten trzeci, tak jak strzelec przewidział. Kolumna gwałtownie przyspieszyła.

Mężczyzna się uśmiechnął. To powinno wystarczyć.

ROZDZIAŁ 26

Telefon zadzwonił i Pan Jednorożec natychmiast odebrał.

– I co? – zapytał.

– Mamy mały problem – odparł Pan Dżuma.

– To ostatnia rzecz, jaką chcę usłyszeć od człowieka, któremu płacę milion dolarów.

– Zastanawiam się, czy nie za mało, szanowny Panie Jednorożcu. Bo gra tu się chyba toczy o znacznie wyższą stawkę, niż pan nam usiłuje wmówić.

– Nie rozumiem.

– Wyjaśnię. Zajęliśmy dobrą pozycję i wykonalibyśmy zadanie bez problemu. Ale Gall wyjechał w bardzo licznym towarzystwie. Cztery samochody. Mała armia. Nawet gdyby nam się udało go odbić, w co wątpię, bo działamy raczej sprytem niż siłą, to zrobiłaby się z tego duża afera. Połowa szwedzkiej policji ruszyłaby w pościg. A chyba nie tego chcemy.

– Absolutnie nie – jęknął Pan Jednorożec.

– Co gorsza – kontynuował Pan Dżuma – mamy konkurencję.

– Co pan przez to rozumie?

– Ktoś strzelał do konwoju. Nie trafił, ale może mieć pan pewność, że teraz Galla będą pilnować jak Fortu Knox.

– I co pan zamierza zrobić?

– Nic.

– Ten człowiek jest mi potrzebny, Panie Dżuma. Jeśli zniknie, to pański milion też zniknie.

– Niech się pan nie martwi – rzekł Pan Dżuma, a w głosie jego zadźwięczała taka stal, że Pan Jednorożec zakonotował sobie, by nigdy więcej nie grozić temu człowiekowi. Czymkolwiek. – Pan nie zna Galla. Tego człowieka nie da się zatrzymać. Wróci tu szybciej, niż się pan spodziewa.

– Więc co robimy?

– Czekamy.

ROZDZIAŁ 27

Po tym, jak pocisk z karabinu wyborowego uderzył w samochód i osiadł w połowie szyby, zrobiło się trochę nerwowo. Kierowcy przyspieszyli. W radiu wciąż padały rozkazy w języku szwedzkim. Johnson i Smith rozglądali się wypłoszeni. Na szczęście dalsza podróż przebiegała już spokojnie i pół godziny później dotarli na lotnisko Landvetter. Siegbahn, którego najwyraźniej zmuszono, by osobiście eskortował więźnia, zrobił krótki rekonesans i nie stwierdził żadnego zagrożenia.

Gdy tylko weszli do głównej hali, Aleks poprosił o wizytę w toalecie. Johnson początkowo nie chciał o tym słyszeć, ale ostatecznie dał się przekonać. Aleks był mu za to wdzięczny.

Odprawę odbyli w specjalnym pokoju, gdzie agenci okazali dokumenty niezbędne do transportu więźnia i wniesienia na pokład broni. Aleksowi się zdawało, że wszystko okropnie długo trwa, ale bardziej martwiło go to, że straci przynajmniej kilka dni.

W końcu udało im się załatwić wszystkie formalności. Siegbahn i jego ludzie odprowadzili agentów aż na pokład samolotu. Nowiutkiego Great Birda 11, maszyny produkowanej przez żonę Aleksa. Co za ironia. Wprowadzenie mężczyzny w kajdankach wywołało pewne zamieszanie. Raczej rzadko się zdarza, że pasażerowie na taki widok krzyczą: „Hej, leci z nami skazaniec, ale super”. Aleksa usadzono pośrodku, przy oknie usiadł Smith, a Johnson usadowił się w pierwszym fotelu od strony przejścia.

Aleks milczał. Siegbahn raz jeszcze wszystko sprawdził. W końcu zabrał swoich ludzi i opuścili pokład. Stewardesa zamknęła i zaryglowała drzwi, a samolot natychmiast ruszył z miejsca. Najwyraźniej czekali tylko na nich. Za chwilę samolot stanął na progu pasa, a potem silniki ryknęły pełną mocą i maszyna skoczyła do przodu.

A Gall wybuchnął śmiechem.

– Cicho, durniu, jeszcze nie jesteś bezpieczny – ofuknął go Baldur Eysturvind.

– Nie mam czasu na zabawy, agencie Johnson – odparł cicho Aleks, starając się nie udławić.

– Nie bój nic, człowieku.

– Będziecie mi musieli to i owo wytłumaczyć, cwaniaczki.

– Potem – rzekł Nate Kao, wciąż żując gumę.

– Niewiele brakowało, a ryknąłbym śmiechem w czasie przesłuchania. – Aleks westchnął, gdy samolot oderwał się od pasa.

– No – zaśmiał się Baldur – ja też.

– Dobra, a teraz serio. Muszę tam wrócić jak najszybciej...

– Ćśśś – uciszył go Farer. – Słuchaj.

Aleks posłusznie ucichł, ale przez kilkadziesiąt sekund nic się nie działo. Spojrzał na Baldura, a ten tylko wzruszył ramionami, jakby nic nie rozumiał. Ale wtedy w interkomie odezwał się głos:

– Szanowni państwo, tutaj kapitan. Niestety mam złą wiadomość. Z powodu drobnej awarii musimy wrócić na lotnisko Landvetter. Jednocześnie zapewniam, że nie ma żadnego zagrożenia, robimy to wyłącznie przez wzgląd na komfort państwa podróży.

– No dobra. – Aleks się uśmiechnął. – Wiem, że na to czekasz. Co zrobiłeś?

– Ciszej, na Boga!

– Na Boga? – Aleks ściszył głos. – Myślałem, że wróciłeś do skandynawskiej wiary. Thor i te sprawy.

– To było w zeszłym roku – uciął Baldur. – Znudziło mi się. I nie chodziło mi o żadnego Boga. Tak mi się powiedziało.

– No to co zrobiłeś?

– To, co zwykle. – Mały Farer się uśmiechnął. – Znalazłem człowieka. A potem znalazłem coś na człowieka. I on zrobił wszystko, o co poprosiłem.

– Ja pierdołę, Aleks – westchnął Nate – nie prowokuj go. Przecież wiesz, że jego mitomania nie zna granic. Będzie się teraz chełpił do jutra. Po prostu włamał się do komputera jednego z mechaników i znalazł na nim ukryty dysk z pornosami. Zagroził

mu, że powie jego narzeczonej. To wystarczyło.

– Przed samym odlotem chłopak odciął podwozie od układu hydraulicznego – powiedział zadowolony z siebie Baldur.

– Czyli nie schowaliśmy podwozia. – Aleks się zaśmiał.

– No nie schowaliśmy – odparł Baldur.

Samolot wykonał przelot awaryjny wzdłuż osi pasa lotniska. Standardowa procedura przy kłopotach z podwoziem. Kontroler z wieży mógł przez lornetkę ocenić, czy wszystko jest okej. Pilotom trudno było stwierdzić, czy po nieudanej próbie wciągnięcia kół podwozie jest w pełni wysunięte, a zamki nadal trzymają. Ale chyba wszystko było w porządku, bo kilkanaście minut później, gdy samolot zrzucił już tyle paliwa, że mógł bezpiecznie wylądować, pilot wprowadził go w ciasny łuk i ustawił do lądowania. Raczej nieprzyjemnego. Wiatr rzucał maszyną na wszystkie strony, a przyziemienie było dość twarde. Ale najważniejsze, że się udało.

– To co teraz? – zapytał Aleks.

– Teraz trafisz do lotniskowego aresztu – odparł Baldur.

ROZDZIAŁ 28

Funkcjonariusz przyjrzał się dokładnie dokumentom.

– Co pan planuje, agencie Johnson? – zapytał.

– Samolot nie odleciał, więc spóźnimy się na przesiadkę – odparł agent. – Polecimy inaczej. Przez Kopenhagę. Za trzy godziny.

– Aleksander Gall – przeczytał funkcjonariusz, przenosząc wzrok ze zdjęcia w paszporcie Aleksa na twarz jego właściciela. Chwilę się przyglądał, ale najwyraźniej nie znalazł niczego, do czego mógłby się przyczepić. Potem spojrział jeszcze na federalny nakaz aresztowania. – Dobra – rzekł w końcu i wcisnął guzik. Po chwili w głębi pomieszczenia otworzyły się drzwi i weszło dwóch policjantów.

– Uważajcie na niego – rzekł agent Smith. – To niebezpieczny typ. Najlepiej nie wypinajcie go z kajdanek.

Więzien posłał mu mordercze spojrzenie, a Smith uśmiechnął się złośliwie. Policjanci odprowadzili w stronę aresztu chwilowego podopiecznego.

– Baw się dobrze, Gall – rzucił za nim wesoło Smith.

– Chodź – polecił Johnson. – Nie ma czasu na żarty. Za trzy godziny odlot.

Agenci uścisnęli dłoń funkcjonariuszowi i ruszyli do wyjścia. Pokonali długi korytarz. Kilkakrotnie zatrzymywali się przed grodzącymi im drogę drzwiami, które otwierały się natychmiast po tym, gdy spojrzeli w umieszczone ponad nimi kamery. Za ostatnimi z takich drzwi znajdowała się już główna hala lotniska. Gdy tam dotarli, Baldur odetchnął.

– Niezła zabawa – powiedział, ocierając pot z czoła.

– Nie mów, że się denerwowałeś. – Aleks się zaśmiał.

– Nie miałem za dużo czasu, żeby się przygotować, no nie? – odparł Baldur. – To prawdziwy cud, że się nie zorientowali. Dokumenty Nate'a przygotowywałem w samolocie.

- Poczekaj. Muszę do łazienki.
- Znowu?
- Tak. Bo poprzednio coś tam zostawiłem, a teraz chciałbym to odzyskać.
- Cwaniak – rzucił wesoło Baldur. Gołym okiem było widać, że schodzi z niego ciśnienie. Aleks przeszedł przez halę z pochyloną głową. Mimo wszystko lepiej nie dać się złapać kamerom. Wszedł do łazienki. Kabina, której potrzebował, była zajęta, musiał więc chwilę poczekać. Umył w tym czasie ręce i wytarł je papierowym ręcznikiem. Gdy kabina się w końcu zwolniła, wszedł do środka i stanął na sedesie. Odkręcił plastikową osłonę żarówki i wyciągnął z niej niewielki przedmiot. Potem przykręcił klosz i wrócił do Baldura.
- Co to? – zapytał Farer, odbierając od Aleksa kawałek zniekształconego metalu.
- A jak myślisz?
- Kula. Duża. Na oko dwanaście i siedem dziesiątych milimetra. Z karabinu wyborowego. Mam kumpla, który nam powie, z czego to wystrzelono.
- Nie wiedziałem, jak będzie przebiegać odprawa, a nie uśmiechało mi się stracić ten fant. Przyjrzyj się temu dokładniej.
- Jak będę miał lepsze światło. Ale widzę, że coś tu wygrawerowano. Potem sprawdzimy. Chodź, nie mamy za wiele czasu.
- Dlaczego? Rozumiem, że Nate ucieknie.
- Nic z tego. Szukaliby go. Czyli ciebie. Muszę tu wrócić i polecieć z nim do Kopenhagi. Tam się rozpląniemy i wrócimy do Göteborga, jak tylko się da.
- Rozpląniacie się?
- No jasne. Szwedzi mają interes, by się ciebie pozbyć. Duńczycy będą to mieli w dupie. Nawet nie będą wiedzieli, że wiozę rzekomego więźnia, bo przecież im nie wyślę dokumentów. Nie bój nic.
- Wyszli z terminalu i trafili na ścianę deszczu. Wiatr nieco zelżał, ale nadal utrudniał poruszanie się. Baldur, jak na swoją tuszę, biegł całkiem szybko. Na całym świecie tylko kilka osób

wiedziało, że Baldur jest jednym z tych facetów, których stanowczo nie warto oceniać po pozorach. Zwykle ci, którzy się o tym dowiadawali, w następnej sekundzie umierali. Niewysokie, lekko otyłe ciało kryło potwora. Baldur był piekielnie inteligentny i precyzyjny jak robot, a kiedy zaszła potrzeba, zamieniał się w doskonałą maszynę do zabijania.

Deszcz siekł po oczach, więc Aleks nie skupiał się na tym, dokąd biegnie. Po prostu podążał za Baldurem, a gdy mały Farer w końcu zatrzymał się przy swoim samochodzie, Gall niemal na niego wpadł. Dopiero teraz spojrzał przed siebie i bezwiednie uśmiechnął się na widok bryki. Z politowaniem. Była czarna, gigantyczna i zawieszona tak wysoko, że niejednym autem można by pod nią wjechać. A ponadto zwyczajnie emanowała złem. Był to jeden z tych samochodów, które gdy stają na czerwonym świetle, rozglądają się dookoła i krzyczą do stojących obok porszaków i bmw: „No co, palanty? Chodźcie tu, kurwa! Zajebię wam!”.

– Baldur! Co to jest?

– Nie poznajesz? Nowy ram.

– Wiem, co to jest!

– No to co się głupio pytasz? – Baldur rzucił Aleksowi kluczyk. – Wskakuj. Ty prowadzisz.

Aleks westchnął i obszedł auto. Miało płaską, zabudowaną pakę, zamykaną na klucz, i czteroosobową kabinę. Szarpnął klamkę i wskoczył do środka. Skórzany kubełkowy fotel objął go przyjaźnie. Obszyta brązową skórą kierownica była niezwykle przyjemna w dotyku. Wnętrze pachniało nowością, a estetyką dorównywało pewnie niejednemu ferrari. Aleks po prostu musiał to przyznać. W porównaniu z tym cudem stary ram Eleonore Burley, którym Gall jeździł jakiś czas temu, wydawał się czymś w rodzaju połączenia traktora z wywrotką.

Wcisnął guzik „start” i stadnina zarżała. Silnik pięć i siedem dziesiątych litra, trzysta czterdzieści pięć koni mechanicznych. Większość facetów świata przejażdżkę takim monstrem zapamiętuje do końca życia. Przy czym dla niektórych z nich „do końca życia” oznacza „do pierwszego zakrętu”. Aleks przesunął

dźwignię na „drive” i auto żwawo ruszyło z miejsca.

– Nigdy tego nie zrozumieć – powiedział Aleks.

– Czego niby? – zapytał Farer.

– Tej dziwnej mody na ramy. W Stanach farmerzy korzystają z tego, żeby rozwozić gnój po polach. A w Europie japiszony kupują to pudło, żeby rwać laski pod knajpami.

– Przecież już tym jeździłeś – zaperzył się Baldur.

– No właśnie. Typowym wołem roboczym, którym Eleonore docierała na swoją farmę w samym środku niczego. Daj spokój, jest toto zawieszony półtora metra nad ziemią, a w środku urządzone jak pałac maharadży. Jedno do drugiego nie pasuje. I jeszcze lakier w macie.

– Lubię go po prostu, i tyle – powiedział Baldur, a w jego głosie Aleks usłyszał kiepsko skrywaną urazę. – Nazywa się Ramzes.

– Bo jesteś konusem – odparował Gall. – Konusy lubią wielkie auta. Normalny człowiek kupiłby zamiast tego challenger.

– Challengeera?! – krzyknął Baldur. – Przecież to wypicowane gówienko dla lamusów!

– Nie dogadamy się. – Aleks wyszczerzył zęby. – Nazwałś samochód Ramzes?

– No raczej. Dobra. A teraz najlepsze. – Baldur zaśmiał się, muskając palcem po dotykowym wyświetlaczu kosmicznego odtwarzacza audio. Głośniki przyjemnie zawibrowały od niskich tonów.

– Żartujesz! – krzyknął Aleks.

– Niby dlaczego?

– Przecież to Tede.

– No raczej, człowieku. Ostatnio jaram się polskim hip hopem. Dzięki tobie.

Aleks spojrział na swojego przyjaciela wzrokiem, który Baldur bardzo dobrze już znał. Coś jak „jaja sobie ze mnie robisz, ale udajesz śmiertelnie poważnego, żeby potem robić sobie jeszcze większe jaja”.

– Mówiłeś mi kiedyś o dissie Tedego i Rycha Peji. Posłuchałem i teraz się jaram.

– Przecież ty nie znasz polskiego!

– Szczegół. Posłuchaj sobie tego, ziom. – Podkręcił głośność. – Typ nagrał kawałek o dacji logan. Znasz coś bardziej zajebiście popierdolonego?

– Ja w ogóle nie znam tego kawałka – odparł Aleks, w ostatnim momencie wrzucając kierunkowskaz i wyjeżdżając na przelotówkę w kierunku centrum.

– To mnie akurat nie dziwi. – Baldur wyszczerzył zęby. – Tego kawałka jeszcze nie ma w obiegu. Ukradłem go z serwera studia.

– No dobra, to ja sobie posłucham i pobawię się kierownicą, a ty opowiadaj. Tylko przycisz trochę.

– Nie ma za bardzo o czym opowiadać. – Baldur przesunął palcem po wyświetlaczu radia. – Jak wiesz, napisałem sobie jakiś czas temu skrypcik na stałe podczepiony do Google. Dzięki temu dostaję powiadomienie, gdy ktoś sprawdza w wyszukiwarce moje nazwisko.

– Które? – Aleks się zaśmiał.

– Wszystkie – odparł Farer i ponownie wyszczerzył zęby. – Nieważne. W każdym razie ostatnimi czasy podpiąłem do skryptu jeszcze kilka osób. Ciebie, Weronikę, Nate’a... No wiesz, na wszelki wypadek. Wczoraj dostałem powiadomienie, że ktoś sprawdza twoje nazwisko. Właściwie to nie tyle sprawdza, ile równo chesze Internet w poszukiwaniu czegokolwiek na twój temat. Wszystkie poszukiwania prowadziły do czterech komputerów należących do marynarki wojennej Królestwa Szwecji. Co, jak zapewne dobrze rozumiesz, wzbudziło nieco moją czujność. Ciekaw byłem, gdzie jesteś, ale na szczęście łatwo to było sprawdzić.

Faktycznie. Jakiś czas temu Baldur подарował Aleksowi telefon, który za pomocą napisanej przez Farera aplikacji stale raportował o tym, gdzie Aleks przebywa. Proste, skuteczne i bardzo użyteczne. Aleks nie raz się o tym przekonał.

– Odniosłem wrażenie – kontynuował Baldur – że stanowisz dla nich problem, który chcieliby rozwiązać cudzymi rękami. Więc wbiłem się na stronę FBI, no wiesz, od lat mam tam swoją furtkę, i umieściłem na niej twoją facjatę. Zadzwonili pięć minut później. Przechwyciłem połączenie.

– Nieźle – ocenił rzeczowo Aleks. – Ale najlepsza robota to nakaz aresztowania.

– Przeceniasz mnie. To autentyki. I twój, i Nate’a.

– Jak to? – zapytał zaskoczony Gall.

– Czyli nie wiesz.

– Czego nie wiem?

– Nie wiesz, kto został w zeszłym miesiącu dyrektorem waszyngtońskiego FBI – rzucił ze śmiechem Baldur.

– Kto?

– Niejaki Christopher Chase junior, zwany pięknišem.

– Serio?

– Serio, serio. Zawsze był dobry, ale schwytanie najgroźniejszego terrorysty świata otworzyło mu wiele nowych drzwi. Podejrzewam też, że ojciec mu trochę pomógł, choć Chase nigdy się do tego nie przyzna.

– I co? Poprosiłeś go o nakaz?

– O dwa, dla ścisłości. Jeden na ciebie i drugi na Nate’a. Od razu zaplanowaliśmy, że jak samolot wyląduje, Nate jako ty trafi do paki, a ty jako Nate wyjdiesz na wolność. Genialne, nie? To był jedyny sposób. Niestety, potrzebowałem dwóch nakazów i w tak krótkim czasie nie byłbym ich w stanie przygotować. Na szczęście Chase gra z nami. Dobrze pamięta, komu zawdzięcza najwięcej fejmu. O nic nie pytał. Powiedziałem mu tylko, że potrzebuję tego, żeby ci pomóc, i natychmiast wszystko przygotował. Potem trzeba było jeszcze wziąć twój paszport i wkleić do niego zdjęcie Nate’a, żeby mógł cię udawać w pudle.

– I zrobiłeś to w samolocie? Przecież to niemożliwe.

– Możliwe. Bo Weronika dała nam samolot i mogłem zabrać sprzęt. A tak przy okazji, to mógłbyś ją odwiedzić. Tęskni.

– Dlaczego więc nie wracaliśmy samolotem Weroniki? – zapytał Aleks, udając, że nie słyszy wyrzutu w głosie przyjaciela.

– Biorąc pod uwagę to, co mieliśmy do wykonania, lepiej było skorzystać z rejsowego. Raz, że służby miały więcej na głowie, bo musiały się zająć dwustoma pasażerami, a dwa, że gdyby awarii uległ prywatny samolot, to na pewno dokładniej patrzyliby nam na ręce. A ważne było, żeby nie patrzyli. Paszport

Nate'a naprawdę nie jest dobrze zrobiony.

– Ja tam nie dostrzegłem niedoróbek.

– Bo się nie znasz, i tyle. Dobra. Dość pieprzenia o głupotach. Opowiedz mi teraz, w co się znowu wpakowałaś.

Opowieść trwała dłuższy czas i nim Aleks skończył, dotarli do centrum. Wjechali na promenadę przy Gullbers Strandgata i Aleks zaparkował na jednym z wielu wolnych miejsc. Pogoda zatrzymała Szwedów w domach. Wiatr do spółki z falą wychodziły z siebie, by porwać na rzekę przycumowane do kei jachty i żaglówki, ewentualnie strzaskać je o siebie, ale ich właściciele nie byli w ciemię bici. Podwoili cumy, pozabezpieczali burty odbijaczami i nie musieli się martwić o szkody.

– *Stepanique* na sto procent ma z tym jakiś związek – zawyrokował Baldur. – Ale niekoniecznie taki, jak myślisz.

– Rozwiń myśl – poprosił Aleks.

– Wiemy na pewno, że statek miał uszkodzenia, z jakimi nie mógłby wyjść w morze. Musiał się ich nabawić w czasie rejsu. Wiemy, że stał w dryfie, zupełnie po ciemku. Ty oceniasz jednak, że ślady na kadłubie nie pasują do hipotezy o zderzeniu z *Raginisem*, a ja ci wierzę, bo się na tym znasz. Ale być może oni się tam zderzyli z kimś innym. To by wiele tłumaczyło. Awarię, śmierć kapitana, blackout, uszkodzenia, późniejszy sabotaż.

– Hm. Spory zbieg okoliczności. Ale trzeba to będzie sprawdzić. Najlepiej by było pogadać z załogą, ale w obecnej sytuacji nie ma na to szans.

– Zobaczę, co da się zrobić. Wiesz, gdzie ich trzymają? Może wyślemy tam Nate'a?

– Spróbuję się dowiedzieć. Zadzwonię do Olofa. Ale jedna rzecz mi tu nie pasuje. Skoro załoga jest aresztowana, to kto ukradł moduł pamięci rejestratora?

– Dobre pytanie. Może ludzie z tego trzeciego statku.

– Bardzo wątpliwe, by po zderzeniu z takim gigantem jak *Stepanique* był w stanie się utrzymać na wodzie, a co dopiero zawinąć do portu. Zresztą radar niczego takiego nie pokazywał.

– Ale radar można oszukać, wyłączając transponder – zauważył Baldur. – Mało tego. Teraz trochę pofantazjuję, ale jeśli był to na

przykład szwedzki okręt podwodny? Powiedzmy w tajnym rejsie? Wojsko bardzo by się postarało, żeby żadne informacje na ten temat nie ujrzały światła dziennego.

– To prawda. Myślę, że trzeba będzie poszukać tych cwaniaczków, co ukradli rejestratory. W porcie uciekli ze *Stepanique* motorówką. Na nabrzeżach z pewnością są kamery. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się ustalić, gdzie dobili do brzegu.

– Poszperam, jak tylko wrócę z Kopenhagi.

– Mamy mało informacji, Baldur. Obawiam się, że bez wycieczki na wrak się nie obejdzie.

– To będzie trudne. – Farer potarł dłonią podbródek. – Ale nie niemożliwe. Mam pewien pomysł, ale zajmiemy się tym później.

– Dobra. Wracaj do Nate’a.

– Wezmę taksówkę. Opiekuj się moim skarbem – rzekł Baldur, otwierając drzwi.

ROZDZIAŁ 29

Aleks nie odjechał od razu. I tak nie miał za bardzo pomysłu, co dalej robić. W obecnej sytuacji bez Baldura był jak bez ręki. A obaj z Kao wrócą dopiero wieczorem. Jak dobrze pójdzie.

Nie gasząc silnika, wyjął telefon i włączył wiadomości. Miał nadzieję, że dowie się czegoś nowego, ale najwyraźniej nic jeszcze nie ustalono. Pojawiły się za to teorie spiskowe, standardowe w tego typu sytuacjach. Że terroryści i bomba, że wojsko przewoziło broń, że przemyt, że mina, że armator na bank coś ukrywa i takie tam. Tak samo było zarówno z *Heweliuszem*, jak i *Estonią*. Nudy.

Zapewne natarczywy huk wiatru spowodował, że nie usłyszał, jak ktoś szarpie za klamkę drzwi pasażera, a gdy już się zorientował, było za późno. Ujrzał wycelowaną w twarz lufę pistoletu.

- Bez wygłupów - powiedział po angielsku czarnoskóry mężczyzna, po czym powoli, wciąż celując w Aleksa, wsiadł do auta i zamknął drzwi. Gall natychmiast go poznał. Złodziej ze *Stepanique*. Wykonał w głowie szybką kalkulację. W momencie wsiadania napastnik najbardziej jest narażony na kontratak, ale ten najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę. Sposób, w jaki trzymał broń, sugerował, że jest amatorem, ale z odległości metra trafi nawet ślepiec. Mężczyzna usadowił się w aucie. Wciąż mierząc w Aleksa, prawą ręką sięgnął za lewe ramię i wymacał kolumnę pasa bezpieczeństwa. Aleks czekał. Najwyraźniej napastnik chciał dokąds z Alekssem jechać i bał się, że ten może w trakcie jazdy gwałtownie przyhamować, by wytrącić mu broń. Ale w ramie niełatwo zapiąć pas. Pomaca ze trzy razy, nie znajdzie wtyku i odruchowo spuści wzrok. Wtedy będzie można zaatakować.

Jednak człowiek z bronią po raz kolejny udowodnił, że jest cwany.

– Proszę mi to zapiąć – polecił, przysuwając lufę do twarzy Aleksa. – Tylko bez kombinowania.

Aleks uznał, że nie warto ryzykować. Wciąż żył, a skoro mają dokąś jechać, to przynajmniej na razie jest bezpieczny. Przechylił się więc nad środkową konsolą i zapiął pas mężczyzny.

– Teraz pan – powiedział napastnik.

– Nie mogę, mam chory kręgosłup. Lekarz mi zakazał.

– Proszę zapiąć pas – rozkazał Afrykanin i tym razem Aleks posłuchał. A wtedy napastnik odwrócił nieco broń. – Proszę się temu przyjrzeć, panie Gall. Jest prawdziwa.

– Póki nie dotknę, nie będę wiedział na pewno – skłamał Aleks. Prawdziwą berettę 92FS rozpoznałby nawet po zapachu. Ta z pewnością była prawdziwa.

– No to nie będzie pan wiedział. Chowam pistolet do kieszeni, ale nadal w pana celuję. Niech pan wyjedzie na Gullbers Strandgata i skręci w prawo. Wie pan, gdzie jest dzielnica Ringön?

– Jasne, jestem tu aż pierwszy raz w życiu.

– Więc proszę wstukać w nawigację.

– Nie potrafię jej obsługiwać.

– Panie Gall – rzekł napastnik wciąż jeszcze spokojnie, ale z wyraźnymi objawami pogorszenia nastroju. – Jest pan odważnym i prawym człowiekiem. Byłoby mi bardzo przykro, gdybym musiał pana zastrzelić. Ale jeśli mnie pan zmusi, zrobię to, bo w mojej sytuacji cel uświęca środki.

– Jaki adres? – zapytał Aleks.

– Ringögatan. Numeru nie znam. Wskażę panu na miejscu.

Aleks wbił adres i na mapie pojawił się czerwony punktik. Na oko niecałe trzysta metrów od nich. Ale po drugiej stronie rzeki. Gall aktywował nawigację i urządzenie pokazało trzy warianty drogi. Napastnik kliknął ostatni z nich. Mieli do przejechania równo pięć kilometrów.

– Do dupy taka jazda. – Aleks westchnął i ruszył z miejsca.

Jechali piętnaście minut. Ulice wprawdzie wciąż były puste, ale nasilająca się ponownie ulewa ograniczała widoczność do stu metrów. Napastnik czuł się niepewnie, a Aleks nie chciał go

prowokować. W tej chwili nie planował się uwolnić. Najwyraźniej ten człowiek lub jego zleceniodawca mieli mu coś do powiedzenia. A on musiał się czegoś dowiedzieć, żeby ruszyć ze śledztwem. Może to będzie dobry interes. Win-win.

Po kwadransie wjechali pomiędzy magazyny w przemysłowej części miasta. Na polecenie napastnika Aleks skierował się ku odchodzącemu od rzeki kanałowi i zaparkował tuż przy niewielkiej, zardzewiałej przystani. Widział teraz dokładnie miejsce, z którego przyjechali. Odległe o trzysta metrów. Po drugiej stronie rzeki.

Afrykanin ponownie wycelował w twarz Aleksa i po omacku zaczął rozpinąć pas. Poszło mu znacznie sprawniej niż z zapinaniem.

– Oddaj kluczyk – rzekł. – Wolałbym, żebyś mi teraz nie odjechał.

Aleks oddał kluczyk, a napastnik wysiadł, obszedł auto i otworzył drzwi od strony kierowcy. Pistolet zatańczył w jego dłoni i Gall, unosząc powoli ręce, wysiadł z rama. Mężczyzna zamknął za nim drzwi i wciąż nie zdejmując palca ze spustu, poprowadził Aleksa w kierunku niebieskiego metalowego hangaru. Wielkie przesuwne wrota były uchylone. Weszli do środka. Panował tam mrok, poprzetykany drabinką dziennego światła, dostającego się do wnętrza przez niewielkie okienka u szczytu dachu. Pomieszczenie było ogromne. Zawieszony kilkanaście metrów nad nimi dach podtrzymywały wysokie podpory.

Pośrodku hali stał stolik, a dookoła niego kilka starych skórzanych foteli. Napastnik pchnął lekko Aleksa w tamtym kierunku i w tym momencie rozległ się huk wystrzału. Afrykanin odskoczył nieco, wciąż jednak mierząc w Aleksa. Spojrzał ku drzwiom i ujrzał niewielkiego mężczyznę celującego do niego ze strzelby.

– Masz fart! – krzyknął Baldur po angielsku. – Następnym razem nie chybię. Odłóż spluwę.

– Zabiję go – zagroził napastnik, ale Aleks wiedział, że tego nie zrobi. Dopiero teraz miał szansę mu się przyjrzeć. Po jego

zmęczonej twarzy prześlizgiwały się wąskie pasy światła. Napastnik był przerażony. Dokładnie tak samo jak wtedy na *Stepanique*, gdy kradł rejestratory.

– Nie będę się z tobą wdawał w dyskusje. – Baldur nie tracił spokoju, co było do niego niepodobne. Pod tym względem stanowił idealne przeciwieństwo Aleksa. – Ty masz krótką broń, ja długą. Dzieli nas czterdzieści metrów. Ty mnie nie trafisz, ja ciebie tak. A jeśli zastrzelisz mojego przyjaciela, to zginiesz w bardzo nieprzyjemny sposób. Gwarantuję ci to.

– Nie ma potrzeby mówić takich rzeczy, panie Eysturvind – rozległ się gdzieś z boku niski tubalny głos. Z zaciemnionej części hali wychynął mężczyzna o równie czarnej, jak u porywacza skórze, ale w przeciwieństwie do niego potężnie zbudowany. Musiał mieć ze dwa metry wzrostu, a szerokością barków ustępował najwyżej niedźwiedziowi grizzly.

Olbrzym powoli ruszył w kierunku mężczyzn stojących przy fotelach. Żaden z nich nawet nie drgnął. Baldur wodził lufą za nowo przybyłym, w każdej chwili gotów nacisnąć spust.

– Możesz już iść, Peter. Dziękuję – rzekł olbrzym do porywacza. Ten spojrział na Aleksa przepaszająco, a potem nieśmiało zerknął w stronę Baldura. Baldur skinął głową, ale mężczyzna westchnął tylko i powiedział:

– Zostanę tu.

Usiadł na fotelu, a olbrzym oparł dłoń na jego ramieniu.

– Dziękuję – powiedział, a potem zwrócił się do Aleksa: – Niech pan usiądzie, panie Gall. Pan Eysturvind może zostać tam, gdzie jest, jeśli nie czujecie się panowie komfortowo. Ale zapewniam, że nic wam nie grozi. Brzydzą się sposobem, z którego musieliśmy skorzystać, by tu pana sprowadzić, panie Gall. Ale nie miałem wyjścia. Inaczej by pan nie przyjechał. Teraz natomiast to ja jestem na pańskiej łasce, a nie pan na mojej.

Wyciągnął dłoń w kierunku Petera, a ten podał mu pistolet. Olbrzym wyjął magazynek i cisnął broń w kierunku Baldura. Musiał być prawdziwym siłaczem, bo beretta upadła metr od stóp Farera.

– Zachęcam, by się pan do nas przysiadł – powiedział olbrzym

do Baldura, a Aleksowi wskazał miejsce w fotelu. Gdy Gall usiadł, do hali wszedł młody człowiek o białej skórze i postawił coś na stoliku.

– Ej, Baldur, podali browar! – krzyknął Aleks.

Farer westchnął i ostrożnie ruszył w kierunku stołu.

– Rozumiem, że jest pan czujny i zapewne zauważył, że mój człowiek obserwuje pańskiego przyjaciela, a potem wsiada do samochodu z pistoletem w rękę. Zapewne złapał pan taksówkę i kazał kierowcy podążać z ramem. Ale skąd pan wziął ten obrzyn?

– Pański człowiek powinien przejrzeć bagażnik samochodu, który kradnie – odparł Baldur, opuszczając nieco łufę. – Znalazłby kilka ciekawych zabawek. Musiałem tylko poczekać, aż sobie pójdziecie.

Olbrzym zaśmiał się i rzucił Baldurovi puszkę z piwem. Następnie usiadł w fotelu, który ugiął się pod jego ciężarem. Farer zyskał przekonanie, że na razie są bezpieczni, więc usiadł obok, wciąż jednak trzymając strzelbę na kolanach. Jedynie łufę odwrócił w drugą stronę. Nie chciał przecież nikogo postrzelić.

– No dobrze – rzekł Aleks, patrząc olbrzymowi prosto w oczy. – Do rzeczy, panie...

– Nazywam się Banyingela Tshombe i...

– Idiota! – krzyknął Baldur.

– Słucham? – zapytał zdziwiony Tshombe.

– Jestem idiotą. – Farer się zaśmiał. – *Stepanique*. Wszystko rozumiem, na Boga. Jak mogłem o tym zapomnieć?

– Baldur, wzięłeś dziś swoje tabletki? – zapytał z przekąsem Aleks.

– Cicho – ofuknął go Farer. – Banyingela Tshombe. Kapitan *Stepanique*. Czyli jednak pan nie zginął na morzu.

– Jak widać – rzucił rozbawiony Tshombe. – Faktycznie, jestem kapitanem *Stepanique*, a dżentelmen, który zmuszony był pana porwać, to Peter Oualembo. Mój dobry przyjaciel i współpracownik.

– Wszystko już wiem, Aleks. Pamiętasz, jak w zeszłym roku zaokrętowaliśmy się na kontenerowiec *Earl Mærsk*?

– Jasne. W Japonii.

– Ty poszedłeś spać, a ja uciąłem sobie pogawędkę z kapitanem... No, jak mu tam było?

– Andrzej Malinowski – wtrącił Tshombe. – To właśnie on mnie zachęcił, bym się z panami skontaktował. Raz jeszcze przepraszam za nietypową formę tego zaproszenia.

– Tak, tak. – Baldur pokiwał głową. – Malinowski. Opowiedział mi o nigeryjskim kapitanie, który pływa kontenerowcem między Afryką a Europą i przemyca ludzi.

– To brzydkie słowo. – Tshombe się wzdrygnął. – Ja po prostu zabieram kilku pasażerów na gapę.

– Rozumiem – rzekł Aleks. – Mogę się zatem domyślić, dlaczego stał pan z wyłączonymi światłami. Ale trudno mi uwierzyć, że kapitan z pańskim doświadczeniem dopuścił się tak nieodpowiedzialnego zachowania. Stać bez światła i transpondera pośrodku szlaku?

– Błąd, panie Gall. Ten rejon leży daleko od szlaku. Piętnaście mil. W dodatku jest tam płycizna, którą opisują wszystkie locje. *Raginis* nie miał prawa tam wpłynąć.

– *Raginis* nie miał prawa, a pan tam wpłynął statkiem z szesnastometrowym zanurzeniem?

– Ja to co innego – odparł spokojnie Tshombe. – Ponieważ ja, panie Gall, wpłynąłem tam świadomie i na własne ryzyko. A w dodatku nie po raz pierwszy. Znam te wody. Miałem pod kilem siedem metrów wody. I nie wiozłem pasażerów.

– Niech pan w końcu powie, co tam się stało – nie wytrzymał Baldur.

– Chętnie. Tylko proszę o cierpliwość. Muszę najpierw opowiedzieć trochę o sobie. Nie z megalomanii, ale żeby uporządkować fakty. Mój ojciec był urzędnikiem, w latach sześćdziesiątych blisko związanym z generałem Emeką Ojukwu. Choć sytuacja w Nigerii była niestabilna, rodzicom niczego nie brakowało. A kiedy matka zaszła w ciążę, ojciec po prostu wywiózł ją z kraju. Urodziłem się w Glasgow. Mieliśmy dom, pieniądze i wszystko, co trzeba. Ukończyłem szkołę morską i zacząłem robić karierę. Dopiero mając trzydzieści lat, po raz

pierwszy postawiłem nogę na Czarnym Łądzie. Byłem pierwszym oficerem na niedużym belgijskim drobnicowcu. Wpłynęliśmy do Lagos. Przeżyłem szok i coś się we mnie zmieniło. Pół roku później zostałem kapitanem, a dwa lata później, czyli osiem lat temu, dostałem *Stepanique*. Rzucono mnie na afrykańskie trasy. Chyba ktoś założył, że będę szczęśliwy, pływając do domu. Ale to piekło nie jest moim domem. Kiedy po raz pierwszy przypłynąłem do Nigerii swoim statkiem, wiedziałem, że kogoś zabiorę. I zabrałem. Dziesięć osób. To był Port Harcourt. Nie wiedziałem, co zrobić z tymi ludźmi, więc ukryłem ich w pustym kontenerze. Byłem przerażony, że wszystko się wyda. Ale najgorzej było w Hamburgu, kiedy trzeba było tych ludzi wyładować.

- Udało się? - zapytał Baldur.

- Ledwo, ledwo - wtrącił się Peter. - Ja płynąłem tym transportem.

- Prócz Petera wszystkich wyłapali i odesłali. Na szczęście nikt nie powiązał tego ze mną. A ja już wiedziałem, że to misja. Że następnym razem też to zrobię i że muszę być przygotowany na wszystko. Musiałem wymyślić jakiś dobry plan. I wymyśliłem, choć nie jestem z tego do końca dumny. Płynęliśmy z Hamburga do Lagos i dalej wzdłuż Zatoki Gwinejskiej. Do Lagos wieźliśmy między innymi siedemdziesiąt trzy kontenery z najnowszymi modelami mercedesów dla junty. Same G-klasy. Oni mają hopla na punkcie tego auta. Były na samej górze, bo wyładowywano je w pierwszym porcie. Ukradliśmy te samochody.

- Jak to ukradliście? - zapytał z niedowierzaniem Aleks.

- Zwyczajnie - odparł Tshombe. - Wynajęliśmy pływający dźwig, który niedaleko Wysp Kanaryjskich podjął od nas czterdzieści sześć kontenerów. Na pełnym morzu, podczas sztormu. To był naprawdę niezły wyczyn. Przerzucaliśmy na jego pokład kontener po kontenerze. Potem powiedzieliśmy, że spłukało nam je morze. Wyrzuciliśmy jeszcze trochę żelastwa, żeby wyglądało wiarygodnie.

- Pamiętam to - powiedział Baldur. - Było o tym głośno.

- Tak - rzekł Tshombe. - Miałem potem trochę problemów, ale

tej nocy naprawdę mocno wiało i ostatecznie nic na mnie nie znaleźli. Winę na siebie wziął port w Hamburgu. Błędy w załadunku. Do dziś nie wiem, dlaczego to zrobili. Ale chyba po prostu czasami takie rzeczy się na terenie terminali zdarzają i porty są na to przygotowane. Ich ubezpieczyciel wypłacił odszkodowanie, i tyle. Kontenery, które buchnęliśmy, były warte sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów każdy. W sumie prawie siedem milionów. Towar opchnęliśmy za pięć. Za te pieniądze w Szwecji wykształciliśmy Petera na szypra i kupiliśmy statek. Stary trawler. Osiemdziesiąt pięć metrów długości. Peter z kilkuosobową załogą wypływa na połowy i wszystko wygląda okej. Jednak komisarze nie wiedzą, że co jakiś czas Peter zamiast na połów wypływa w morze z innego powodu. Spotyka się ze mną i przejmuje pasażerów. Przez pięć ostatnich lat daliśmy szansę na nowe życie ponad tysiącowi osób. Wielu z nich pracuje w naszym przedsiębiorstwie. I radzimy sobie naprawdę nieźle. Teraz mamy już pięć statków, z czego jeden jest przetwórnia.

– Rozumiem, że w noc zatonięcia *Raginisa* oddawał pan pasażerów.

– Tak. I była to trudna operacja. Musi pan zrozumieć, że burta *Lero*, naszego statku, ma siedem metrów wysokości. A burta *Stepanique* trzydzieści. W pełnym załadunku czternaście. Nawet na spokojnym morzu przeładunek pasażerów, który odbywa się przecież po sztormtrapach, jest niebezpieczny. Przy takim sztormie jest niemal niewykonalny. Ale nie mieliśmy wyboru. Ta działalność niestety tak właśnie wygląda. Nie ma drugiej szansy. Wszystko albo nic. Ci ludzie gotowi są ryzykować życie, więc my też je ryzykujemy. Przycumowania *Lero* do *Stepanique* w takich warunkach nie podjąłby się nikt na całym świecie. Prócz Petera. Ja kontrolowałem operację z mostka. Szło opornie, ale w końcu się udało. Przeładowaliśmy wszystkich i *Lero* zaczął powoli odbijać od naszej burty. Wtedy obserwator krzyknął, że coś płynie. Spojrzałem przez lornetkę i zobaczyłem duży, czarny kształt. Szedł bezkolizyjnie, ale w pierwszej chwili przestraszyłem się, że to służby. W pewnym momencie jeden z moich ludzi powiedział, że to coś skręca prosto na nas.

Uruchomiliśmy syrenę mgłową, a chwilę potem rozpoczęliśmy przywracanie systemów. Wtedy rozległ się przeraźliwy huk. To, co potem zobaczyłem, zapamiętam do końca życia. W odległości może pół kabla...

- Po ludzku - poprosił Baldur.

- W odległości nie większej niż sto metrów - poprawił się Tshombe - prom pasażerski nagle wierzgnął i wyłożył się na burtę. Po prostu się przewrócił. To nie był zwykły postępujący przechył. On uderzył burtą o wodę tak mocno, że aż się rozprysła na boki. Jednocześnie natychmiast zaczął się przegłębiać na dziób. Nie wiem, ile minęło czasu, ale dosłownie chwila, gdy obrócił się do góry stępką i zaczął tonąć. Rufą do góry. W tym czasie Peter usiłował uciekać.

- Uciekaliśmy dość rozpaczliwie - powiedział Peter. W momencie katastrofy bujaliśmy się na fali pomiędzy *Raginisem* a *Stepanique*. Jednocześnie wiedzieliśmy, że wkrótce akwen zaroi się od wszelkiego rodzaju służb.

- Zarządziłem, że Peter odpływa, a my podejmujemy akcję ratowniczą - kontynuował Tshombe. - Nadaliśmy sygnał *mayday relay*, zebraliśmy w łodzi siedmiu mężczyzn i zrzuciliśmy ich do wody. Niestety, mamy tylko jedną łódź, bo więcej nie potrzebujemy. Udało się wyciągnąć tylko jednego chłopaka.

- Dziobnica *Stepanique* została uszkodzona w trakcie ucieczki *Lero*?

- Tak - odparł Peter. - Czas naglił, a sytuacja była bardzo niebezpieczna. Fala uniemożliwiała nam precyzyjne sterowanie. Przeszliśmy przed *Stepanique*, ale woda rzuciła nas na dziobnicę. Na szczęście uderzyliśmy nadbudówką. Statek będzie musiał przejść poważny remont, ale zachował pływalność i udało nam się uciec do portu. Tak to wygląda.

- Rozumiem, że *Lero* jest biały - powiedział Aleks.

- Jest niebieski - zaprzeczył Peter. - Ale ma białą nadbudówkę. Przechodząc przed dziobem, dostaliśmy falę w bok i złapaliśmy przechył. Uderzyliśmy w dziobnicę z przechyłem sięgającym trzydziestu stopni. Straciliśmy wszystkie szyby na mostku.

- Jedną rzecz musicie wyjaśnić - wtrącił się Baldur. - O co

chodzi z tymi transponderami? Po co je wyłączyliście? Przecież na ekranie radaru widać wyraźnie: płyniecie, potem nie płyniecie i potem znów płyniecie. Każdy, kto przejrzy zapis, natychmiast zrozumie, że to jakiś przekręt.

– Nie planowaliśmy tego. Podczas usypiania generatorów zawiesił nam się główny komputer. Musieliśmy go zresetować, a to trochę trwa. Ale przynajmniej uwiarygodniło to naszą awarię. Mamy przygotowany plan zeznań na wypadek wtopy. Awaria głównego komputera sterującego zasilaniem.

– Ale z pewnością macie zdublowane układy zasilania – powiedział Baldur.

– Owszem – odparł Tshombe. – A nawet trzy niezależne. Ale tylko jeden komputer główny.

– A *Lero*? – zapytał Aleks?

– *Lero* po pasażerów wychodzi bez transpondera.

– I co na to władze portu?

– Wyraziłem się nieprecyzyjnie. Wychodzi z transponderem, ale na pełnym morzu go po prostu wyłącza. Pamiętajmy o tym, że z portu w Göteborgu do miejsca przechwyty pasażerów mamy ponad dwieście trzydzieści mil morskich. Taki rejs trwa około trzynastu godzin w dobrych warunkach. Jest gdzie zniknąć.

– Wyłączamy się zwykle około dwóch godzin po minięciu mostu nad Sundem – sprecyzował Peter. – Jesteśmy starym statkiem rybackim. Zrywana transmisja to nic nowego. Nigdy nie musieliśmy się z tego tłumaczyć. Przed wyjściem mamy zaraportowany plan rejsu, i tyle. Służby wiedzą mniej więcej, gdzie jesteśmy. A gdzie dokładnie, to ich za bardzo nie obchodzi. Płyniemy ostrożnie, na radarze pierwotnym, mamy podgląd na blisko dwadzieścia mil i to nam wystarcza.

– Ma pan lojalną załogę? – zapytał Aleks.

– Niech się pan o to nie martwi – odparł kapitan. – Pływają ze mną od lat. Wiedzą, po co to wszystko. Powiedzą dokładnie to, co trzeba.

– Nikt się nie złamie?

– Na pewno nie.

– A pan?

– A ja się złamałem. Wie pan, miałem ostatnio sporo problemów ze służbami. Przyglądają mi się. Polują na mnie. Uznałem, że lepiej się ukryć. Przynajmniej na jakiś czas. Mamy na *Stepanique* ukryte pomieszczenie. Służy do przewozu naszych pasażerów. Trochę pospawaliśmy i mamy teraz duży, nieujęty w planach koferdam na rufie. Nie znajdzie go nikt, kto nie wie, gdzie szukać, bo żeby się do niego dostać, trzeba przejść przez zamaskowany właz w pomieszczeniu maszyny sterowej. Ale mimo wszystko chyba źle to rozegrałem.

– Raczej tak – rzekł Baldur. – Teraz wszyscy pana podejrzewają o spowodowanie katastrofy *Raginis*.

– Wiem. Ale musieliśmy odzyskać rejestrator. Gdyby ktoś go przeanalizował, bylibyśmy skończeni. Komputer zapisuje raporty z administrowania systemami. Wiedzieliby, że wszystko wyłączyliśmy celowo. Dlatego proszę was o pomoc. Kapitan Malinowski, z którym rozmawiałem przedwczoraj, powiedział mi, że dysponujecie szczególnymi umiejętnościami, dzięki którym zdołacie to odkręcić. Nie wiem, co mógłbym wam dać w zamian, ale dam wszystko.

– Wystarczy przysługa. – Aleks się uśmiechnął. – Będzie pan nam winien przysługę. I proszę mi wierzyć, to nie jest niska cena.

– Przeciwnie. To jak za darmo. Jesteście znajomymi kapitana Malinowskiego, więc i tak zawsze mogliście liczyć na moją pomoc.

– Co tam się stało? – zapytał Aleks, patrząc kapitanowi prosto w twarz.

– Według mnie to była bomba – odparł Tshombe. – Bałtyk huczał jak oszalały, ale od strony statku huknęło jeszcze potężniej. No i jako kapitan z długim stażem nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, co by się musiało stać, żeby statek przewrócił się tak szybko. Jeśli ktoś umieścił bombę w którejś ciężarówce ulokowanej w sekcji dziobowej, to wybuch mógł urwać furtę dziobową. A przy takiej fali to oznacza natychmiastową utratę pływalności.

– Gdyby tak było, to pewnie widziałby pan, że *Raginis* nie ma furty – zwrócił mu uwagę Baldur.

– W dzień tak. Może nawet w nocy, gdyby pogoda była sprzyjająca. Ale w tę nawałnicę? Jeszcze w trakcie marszruty nie widziałem z mostka nawet światła sygnalizacyjnego na własnym dziobie. A *Raginis* był jedynie czarną plamą na czarnym tle. Nigdy bym go nie wypatrzył, gdyby nie mój obserwator.

– Dobra, muszę uciekać. – Baldur wstał z miejsca. – Niedługo odlatuje mój samolot.

– Czego pan od nas oczekuje, Tshombe? – zapytał Aleks.

– Nie wiem. Pomóście mi znaleźć sposób, żeby to wszystko odkręcić.

– Od katastrofy minęły już trzy dni – zauważył Baldur. – To nieco komplikuje sprawę.

– Myślę, że powinien pan poczekać, aż to wszystko wyjaśnimy – powiedział Aleks. – Kiedy będzie jasne, że *Stepanique* nie miała żadnego udziału w wypadku, służby będą zdecydowanie mniej dociekliwe.

– Właściwie to kombinowałem inaczej. – Tshombe sprawiał wrażenie zamyślnego. Wzrok utkwiał gdzieś w oddali. – Chcieliśmy wypłynąć *Lero* na morze i wrócić ze mną jako rozbitkiem.

– I jak pan wytłumaczy, że przez trzy dni pływał pan w morzu o temperaturze dwóch stopni Celsjusza? – zapytał Aleks, marszcząc brwi.

– Dobre pytanie. – Kapitan westchnął.

– Dla mnie sprawa jest prosta – oznajmił Baldur tonem świadczącym, że jego pomysł nie będzie podlegał dalszym negocjacjom. – W trakcie akcji ratunkowej wpadł pan do jednego z luków ładunkowych i stracił przytomność. Nikt pana nie znalazł, bo kilka godzin po wypadku statek stał już pusty przy kei w Göteborgu. Nie mógł się pan wydostać.

– Tam są drabinki – zauważył Aleks.

– Są, ale kapitan Tshombe był tak obolały, że nie dał rady się po nich wspiąć. Był też za słaby, by krzyknąć. Ale na szczęście w końcu obibok, który pilnuje statku, poświecił latarką między kontenery i dostrzegł kapitana.

– Zadzwońię do Olofa – powiedział Aleks.

– Ja widzę to tak – kontynuował Baldur. – Po wejściu na Bałtyk wysiadł wam główny komputer. Zaciął się. Sam pan zresztą mówił, że wam się zawiesił. No więc raz działał, raz nie, ale częściej nie. Nawigowaliście bez GPS-u, a w nocy przy tych warunkach i z zachmurzonym niebem łatwo zejść z kursu. Siadał wam prąd. Siadał transponder. Nic nie działało jak należy.

– Pan naprawdę myśli, że oni w to uwierzą? – Tshombe patrzył na Farera takim zdumionym wzrokiem, że Aleks aż się uśmiechnął. Nikt nie znał Baldura tak jak on. I nikt jak on nie wiedział, że są sytuacje, w których ten niepozorny facet po prostu się nie myli. Zwłaszcza gdy sam pociąga za sznurki.

– Oczywiście – odparł Baldur i prócz Aleksa żaden człowiek na świecie nie wychwyciłby w jego głosie pychy. Właściwie Gall też jej nie wychwyił. Po prostu wiedział, że ona tam jest. – Ponieważ potwierdzi to rejestrator.

– Który ukradłem – wtrącił Peter, składając ręce na piersi.

– Który ukradł jakiś szabrownik – poprawił go Baldur, kopiując przy okazji jego gest – a który za kilka dni znajdzie się w jednym z göteborgskich lombardów. Odpowiednio przeprogramowany.

– Zorientują się – powątpiewał Tshombe. – Mają ludzi, którzy zjedli na tym zęby.

– Nie, jeśli ja go przeprogramuję – zapewnił go Farer, spoglądając na zegarek. Niecierpliwił się.

– Ale przecież nasz komputer jest w porządku – nie dawał za wygraną Tshombe. – Sprawdź to i...

– Nie, nie sprawdzą, kapitanie – zapewnił go Aleks. – Kiedy się okaże, że *Stepanique* nie brała udziału w kolizji, śledczy oleją temat. Niby po co mieliby się tym jeszcze interesować? Armator wyśle panu techników, oni nic nie znajdą i uznają, że problem sam się rozwiązał. Albo wymienią panu komputer.

– No, wreszcie – jęknął Baldur. – Skoro to kumasz, to wyjaśnij pozostałym, jak to będzie działać. Ja już muszę iść.

– A zderzenie?! – Tshombe krzyknął za odchodzącym Farerem, lecz ten tylko machnął ręką. W drzwiach zatrzymał się jednak na moment, spojrzął na Tshombe i krzyknął:

– Macie tam niejakiego Galla? To niech wam coś wymyśli. Jest

dobry w te klocki.

I wyszedł.

– Właściwie to mam pewien pomysł – powiedział wolno Aleks. Wciąż jeszcze analizował w głowie wszystkie za i przeciw. Sprawdzał, czy w jego teorii wszystko się zgadza, czy nie ma ukrytych słabości. Czegoś, co uczyni ją niewiarygodną lub nawet wręcz niemożliwą. Nie znalazł niczego takiego.

– Niech pan mówi – ponaglił go Peter, a jego mina świadczyła, że umierał z ciekawości.

– Byliście na miejscu zdarzenia. I uratowaliście rozbitka. A statek pękł na pół. Możecie powiedzieć, że kiedy statek pękł, staranowaliście jedną z części, by dostać się do tego tonącego chłopaka.

Nikt się nie odezwał, ale miny, z jakimi Peter i Tshombe na siebie spojrzeli, świadczyły, że równie dobrze mogliby mówić: „hej, ty znasz tego wariata?”. „Nie, coś ty, myślałem, że to twój kumpel”. Aleks westchnął.

– Nikogo tam nie było – kontynuował. – Nikt nie wie, jak przebiegały wypadki.

– To... – zaczął Tshombe i urwał, szukając najwłaściwszych słów. – To dość osobliwe.

– Być może, ale nikt nie zdoła podważyć takiego zeznania. I zapewne nawet nie spróbują. Powie pan, że improwizował w obliczu sytuacji zagrożenia życia.

– Mielibyśmy ślady również na gruszce dziobowej.

– Na Boga, Tshombe, niechże pan się nieco wysili i coś wymyśli. Być może uderzyliście tylko w górną część pochylonego wraku. Zresztą serio pan myśli, że ktoś wam będzie oglądał gruszkę dziobową? Że was w tym celu rozładują? Odholują do suchego doku? Będą to mieli w dupie. Ważne jest tylko to, by dowieść, że nie zderzyliście się z *Raginisem*. A raczej nie zderzyliście się z nim przed przełamaniem. Tyle.

– Pewnie ma pan rację – rzekł Tshombe, dając w końcu za wygraną.

– Na pewno. Boję się tylko, że będzie to stało w sprzeczności z tym, co powiedzieli pańscy ludzie.

– Tym się proszę nie martwić. Ustaliliśmy, co mają mówić. Tylko tyle, że staliśmy blisko i że uratowaliśmy chłopaka. Co do reszty, będą milczeć. Teoria ze staranowaniem wraku trzyma się kupy. Sensowne jest również to, że przemilczeli ten fakt. Po prostu bali się konsekwencji tak nietypowego manewru.

– Do tego stopnia jest ich pan pewien?

– Owszem. Gdybym zginął, pewnie o wszystkim by powiedzieli. Ale wiedzą, że żyję.

– Ale SHK nie wie. I być może postawią pańskich ludzi w sytuacji, w której od tego, co wyjawia, będzie zależała ich wolność.

Tshombe wstał. Jeszcze przed chwilą wyglądał na przyjemnego faceta. Kiedy siedział, Aleks niemal zapomniał, jaki to wielkolud. Teraz jednak kapitan spoglądał na niego z góry. Oczami świdrował swego rozmówcę, jakby chciał, by Aleks do końca życia zapamiętał jego słowa.

– Wie pan – rzekł cicho, ale dobitnie – mam w załodze pierwszego oficera z pokładu, Australijczyka, nazywa się Hastings. Nie cierpię typa, a on nie cierpi mnie. Uważa, że jest ode mnie lepszy i od kilku lat dybie na moje stanowisko. Według mnie lepszy nie jest, ale jest naprawdę dobry, pomijając fakt, że to menda, jakich mało. Ten człowiek miał setki okazji, by mnie zniszczyć. Wystarczyłby jeden anonimowy donos, by mój statek stał się jego statkiem. A jednak nigdy tego nie zrobił. Ponieważ prócz dziesiątek wad ma również przynajmniej jedną niepodważalną zaletę – jest lojalny. Jak oni wszyscy.

– Świetnie. – Aleks wstał i sięgał teraz kapitanowi mniej więcej do obojczyka. – Zatem sprawa załatwiona. Dam panu znać, kiedy Baldur przygotowuje, co trzeba.

– Jedno mnie zastanawia – powiedział Tshombe, pochylając się nieco, tak by móc spojrzeć Gallowi w oczy. – Dlaczego pan mi wierzy? Jestem obcym człowiekiem, który pana porwał, a potem opowiedział panu niewiarygodną historyjkę. To wszystko nie ma przecież sensu.

– Nie wierzę panu, Tshombe. Za to wierzę Malinowskiemu.

– W porządku. Jak dla mnie to wystarczająco uczciwa

odpowieź. I ze swojej strony dodam tylko jedno. Jestem Szkotem. Czuję się Szkotem, więc nim jestem. A Szkoci to piekielnie dumny naród. Dlatego od dziś po kres moich dni ma pan we mnie sprzymierzeńca. Kiedykolwiek będzie pan potrzebował, proszę mi dać znać, a przybędę.

– Zapamiętam – powiedział Aleks. – Ale musi pan sobie zdawać sprawę z pewnej rzeczy. Mianowicie, jeśli się okaże, że pana działania doprowadziły w sposób pośredni lub bezpośredni do katastrofy *Raginsa*, to panu tego nie odpuszczę. Zamieciemy pod dywan temat pasażerów, ale kara za spowodowanie wypadku pana nie ominie. Wierzę, że nie doprowadził pan do kolizji, ale jestem w stanie wyobrazić sobie przynajmniej trzy scenariusze, w których nagłe pojawienie się ogromnego kontenerowca przed dziobem jednostki pasażerskiej może doprowadzić do katastrofy.

– Jestem do pana dyspozycji – odparł spokojnie kapitan i obdarował swojego rozmówcę szczerym, przyjaznym uśmiechem. – I zapewniam pana, że jeśli stwierdzi pan moją winę, nie będę unikać odpowiedzialności.

Wyciągnął w kierunku Aleksa dłoń, a ten ją uściśnął. A potem jeszcze o wiele mniejszą, ale równie silną dłoń Petera, który jednocześnie podał mu kluczyk do rama. I ruszył w kierunku wyjścia. Miał tylko nadzieję, że Baldur nie miał zapasowego kluczyka i nie zabrał auta. Szukanie taksówki na tym pustkowiu zupełnie mu się nie uśmiechało.

ROZDZIAŁ 30

Aleks był niezadowolony. Miał wrażenie, że znowu tracił czas. Gdyby nie przypadkowe spotkanie z Tshombe, praktycznie nic by nie wiedział. Teraz było jednak nieco lepiej. *Raginis* z jakichś powodów się przewrócił, i to bardzo dynamicznie. Mogło się stać tylko jedno. Zalanie pokładów samochodowych i kolejowych, przechył, a potem przesunięcie ładunku. Tylko dlaczego tak się stało? Aleks podejrzewał otwartą furtę dziobową. Kapitan Hassnik w ostatniej chwili ujrzał *Stepanique*, uciekał dziobem do fali, a ta po prostu wpłynęła do wnętrza statku. Ale dlaczego furta się otworzyła? Czy nie została właściwie zamknięta? Jeśli tak, to z jakiego powodu? W wyniku celowego działania czy przez nieuwagę? A jeśli ją jednak zamknięto, to czy na pokładzie nie wybuchła bomba? A może furta po prostu była uszkodzona?

Dochodziła dwudziesta druga. Wkrótce miną cztery doby od katastrofy. A on miał więcej domysłów niż pewnych informacji. Tylko dlatego zgodził się na tę wycieczkę. Jechali już trzecią godzinę.

Aleks był niezadowolony.

A Baldur wprost przeciwnie.

- Niesamowity, no nie? – ekscytował się.
- Tak, niesamowity – potwierdził Gall.

Baldur na szczęście szybko załatwił, co miał załatwić. O piętnastej sześć wystartowali z Kao do Kopenhagi, a cztery godziny później był z powrotem w Göteborgu. A teraz znów jechali do stolicy Danii. Baldur twierdził, że to jedyne wyjście, a Aleks mu ufał.

- Wiesz, ile kosztował? – dopytywał Farer.
- Nie mam pojęcia.
- Oficjalnie dziesięć miliardów euro. Ale poszperałem trochę i...
- Czy ty zawsze musisz sprawdzać takie rzeczy?
- Zawsze. – Baldur wyszczerzył zęby, wciskając lekko hamulec.

Można się było spodziewać, że w taką pogodę na wspinałym, wartym oficjalnie dziesięć miliardów euro moście Öresundsbron nie da się przycisnąć. Temperatura w nocy spadała do zera i było po prostu ślisko, a orkan nie miał najmniejszego zamiaru pójść się bawić gdzie indziej. Nie wiał już tak mocno jak wcześniej, ale nadal wystarczająco, by podróż ośmiokilometrowym pomostem zawieszonym nad zmarzniętymi i rozchybotanymi wodami cieśniny Sund zamienić w koszmar. Synoptycy twierdzili, że Christina pozostanie nad Europą jeszcze przez dwa tygodnie, co z pewnością stanowiło jakiś meteorologiczny rekord.

– Podziwiał widoki, Aleks. Bo zaraz minimy Peberholm i wjedziemy do tunelu.

– Jakie widoki, Baldur? Jedziemy środkiem morza. I jest ciemno jak w dupie.

– W tunelu będzie ciemniej.

Obaj przesadzali. Wzdłuż mostu porozstawiane były latarnie, a w tunelu światła było nawet więcej niż potrzeba. Ale to prawda, że Öresundsbron stanowił prawdziwy cud inżynierii. Malmö od Kopenhagi dzieli zaledwie czterdzieści kilometrów. Ale do dwutysięcznego roku podróż z jednego miasta do drugiego potrafiła się zamienić w całodniową wyprawę. Promy pływały szybko, ale trzeba było się jeszcze na nie dostać. Po otwarciu mostu ruch na tej trasie znacznie wzrósł. Nic dziwnego. Od wyjścia z domu w Szwecji do zameldowania się w kopenhaskim biurze wystarcza teraz czterdzieści minut.

– Cztery dni temu most był zamknięty – powiedział Baldur. – Po raz drugi w ciągu miesiąca. Wyobrażasz sobie przejazd tędy w środę?

– No ba. To by była fascynująca wycieczka.

– Jesteś chorym człowiekiem. – Baldur zrobił jedną ze swoich najpopularniejszych min. Tę wyrażającą brak nadziei na to, że jego przyjaciel kiedykolwiek stanie się zrównoważony psychicznie. Bo choć mały Farer wychował się w Klaksvik, zapomnianym przez Boga miejscu, gdzie przez trzysta dni w roku padał deszcz, a w pozostałe śnieg, gdzie porywisty wiatr był zjawiskiem do tego stopnia powszechnym, że gdy go zabrakło,

mieszkańcy wieszczyli Armagedon, to jednak zupełnie nie potrafił zrozumieć namiętności, którą Aleks darzył skrajne zjawiska pogodowe. Ten polski szaleniec najwyraźniej doskonale czuł się w warunkach, które zaproponowała Christina. A jak tylko słońeczko wyjdzie w końcu zza chmur, będzie narzekał, że boli go łeb. Niepojęte.

– Jak myślisz, co może oznaczać litera F wyglądająca jak R? – zapytał Aleks.

– Że co?

– Litera F, ale od dolnej poprzeczki odchodzi nóżka, jak w literce R.

– Nie mam pojęcia. Dlaczego pytasz?

– Bo właśnie to zostało wygrawerowane na kuli, którą wystrzelił we mnie nasz tajemniczy snajper.

– Inicjały? Poczekaj... Fiodor Rodionow ze specnazu. Jest też Felix Röth, ale on ma z sześćdziesiąt lat. I chyba nie żyje. Więc nikogo nie znam. A nie, czekaj. Można jeszcze od nazwiska. To Richard Forge, Francuz, bardzo dobry strzelec. I Richard Fleetwood. Ale on odpada. To mój dobry znajomy. Mogę zresztą zadzwonić, ale prawdę mówiąc, nigdy nie słyszałem, żeby strzelcy wyborowi podpisywali się na pociskach. W warunkach bojowych zwykle takich jak oni nienawidzi się najbardziej, więc się tajniaczą. Nie, nie wierzę w podpis na pocisku.

– Tym bardziej jeśli ten pocisk wystrzeliwany jest w kierunku człowieka podczas pokoju, w europejskim mieście.

– Właśnie. To co?

– Bo ja wiem? Wiadomość? Strzelił w kierunku pancernej limuzyny. Może to zaplanował.

– Ale czy mógł wiedzieć, że ona jest pancerna?

– Może nie. Ale gdyby mnie zabił, to ktoś i tak wyjąłby tę kulę. Wiadomość zostałaby dostarczona.

– Tyle że nie tobie. Kto więc jest odbiorcą?

– Może jakiś FR albo RF?

Przez dłuższą chwilę nie rozmawiali. Baldur w tym czasie testował swojego rama. To mu dodawał gazu, to ujmował. System kontroli trakcji działał bez zarzutu. System kontroli

trakcji w samochodzie do zwożenia gnoju z pola.

- Baldur - powiedział w końcu Aleks. - Czy mógłbyś się pobawić swoją zabawką, jak już zjedziemy z oblodzonego mostu?

- Nie bawię się.

- Bawisz.

- Nie, nie bawię. Ktoś za nami jedzie.

Aleks otworzył szerzej oczy i spojrzał na przyjaciela. Natychmiast zrozumiał, że Farer nie żartuje, obejrzał się więc do tyłu. Przez tylną szybę dostrzegł oddalone o dobre sto metrów światła samochodu osobowego.

- Baldur - westchnął - jesteśmy na pieprzonym ośmiokilometrowym moście. Tu się da jechać tylko w jednym kierunku.

- Dlatego właśnie raz zwalniam, raz przyspieszam. A on wciąż jest za nami. Jak jechałem siedemdziesiąt na godzinę, to był w takiej samej odległości za nami jak teraz. A teraz jadę sto siedemdziesiąt.

- Może po prostu chce jechać za nami. To dość wygodne. W taką pogodę dobrze mieć przewodnika.

- Może. Ale widziałem go już w Helsinborgu. Srebrne volvo v60.

- Zatrzymaj się.

- Coś ty. Tu nie wolno.

- Baldur, nie rozśmieszaj mnie.

- Dobra. - Baldur wzruszył ramionami i z całej siły wdepnął hamulec. ABS zazgrzytał, a ram zatańczył po mokrej nawierzchni.

- Powiedziałem „zatrzymaj się”, a nie „zabij nas”, ty durniu! - krzyknął Aleks, gdy ram zaczął sunąć bokiem po jezdni. Spojrzał w tył i zobaczył, że srebrne volvo, rozpaczliwie usiłując uniknąć zderzenia, również wpadło w poślizg. Baldur wprawnymi ruchami opanował auto, kierowcy volvo też się udało, ale zatrzymał się tyłem do kierunku jazdy. Z wściekłością dusił klakson.

- Załatwione. - Baldur uśmiechnął się niewinnie.

- Jesteś nienormalny - podsumował Aleks. Klakson rozbrzmiewał jeszcze długo. - Gdyby nas śledził, toby nie trąbił, nie uważasz? Staralby się nie zwracać na siebie uwagi.

- No, może się pomyliłem – zgodził się w końcu Farer.
- Jesteś nienormalny – powtórzył Aleks.
- Oj tam. Zmień stację radiową. Właśnie wjeżdżamy do Danii.

ROZDZIAŁ 31

Pan Dżuma rzadko kładł się spać o tej porze. Ale nie dlatego, że był jakimś szczególnym nocnym markiem. Po prostu zazwyczaj miał robotę.

A tym razem jej nie miał. Dlatego z przyjemnością zakopał się w miękkiej i pachnącej pościeli z logo göteborskiego Novotelu. Nastawił telewizor na VH1. Leciały jakieś klasyczne bzdety, ale to mu nie przeszkadzało. Do snu mógł łykać nawet jazz. Obsługa telewizora za pomocą pilota była dość prosta. Szybko znalazł funkcję odpowiedzialną za przyciemnianie obrazu. W pokoju zapanował mrok.

Pan Dżuma lubił ten hotel. Zatrzymywał się w nim za każdym razem, gdy miał coś do załatwienia w Göteborgu. Czyli jak dotąd raz. Teraz drugi. Novotel ulokowano w dawnym browarze – ogromnym kompleksie wybudowanym z cegły. Był jednocześnie bardzo nowoczesny i kompletnie oldskulowy. Uwielbiał takie połączenia.

Mniej więcej w momencie, gdy w szalonym jam session zabrzmiały pierwsze dźwięki saksofonu, pokój nieco pojaśniał. Pan Dżuma spojrzął na wyświetlacz wyciszonego telefonu. Odebrał.

- Zgubiłem ich – powiedział Barbarian.
- Jak to zgubiłeś? Gdzie ich zgubiłeś? Na moście?
- Zorientowali się, że ich śledzę.
- Świetnie.
- Kurwa, prawie zginąłem. Ten kurdupel to kompletny świr.
- Zgadza się. Mówiłem ci.
- Będziesz mi musiał opowiedzieć więcej. O obydwu. Bo to przestaje być śmieszne. Zaliczył poślizg przy stu siedemdziesięciu na godzinę tylko po to, żeby się mnie pozbyć.
- Co zamierzasz zrobić?
- Będą musieli tędy wracać. Zaczają się.

– Barbie, ty nie masz im towarzyszyć, tylko ich śledzić. Musimy się dowiedzieć, po co pojechali do Danii. Wymyśl coś.

Rozłączył się, nim rozmówca zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Odłożył telefon na stolik. Potem westchnął i podniósł go ponownie. Włączył tryb głośny. Być może jednak dziś się nie wyśpi.

ROZDZIAŁ 32

Przez Kopenhagę przemknęli Strandvejen, jedną z najstarszych dróg nie tylko w stolicy, ale i w całej Danii. Swoją nazwę nosiła niezmiennie od tysiąc osiemsetnego roku, a to o czymś świadczy. Pojechali na północ, mijając coraz niższe zabudowania, aż w końcu Strandvejen zmieniła się w Kystvejen, szeroką przelotówkę usytuowaną tuż nad morzem. Kilka minut później nawigacja obwieściła, że docierają do Taarbæk. Celu swej podróży.

Dochodziła dwudziesta druga trzydzieści, gdy zatrzymali się w końcu przed futurystyczną i z pewnością bardzo drogą willą.

- Myślisz, że nie będzie spał? – zapytał Aleks.
- Myślę, że nie. Jeśli będzie, to go obudzę. I już nie będzie.
- Bardzo śmieszne.

Aleks nacisnął guzik na domofonie przy furtce. Odczekali kilka chwil, ale po drugiej stronie nikt nie podniósł słuchawki.

- Może go nie ma – zmartwił się Aleks.
- Zapewniam cię, że jest – odrzekł Baldur, po czym wziął niewielki rozpęd i potraktował furtkę kopniakiem. Aleks westchnął, ale nic nie powiedział. Weszli do środka.

Dopiero teraz Aleks dostrzegł, jak bardzo zaniedbany jest ogród. Trawy nie koszone przynajmniej od roku. Pojawiający się w tej okolicy od czasu do czasu śnieg przygniótł ją do ziemi i tak już pozostała. Była bardziej żółta niż zielona. Dwa stojące na posesji jesiony były kompletnie nagie. Liście pospadały, gdy Zelandię ogarnęły pierwsze chłody, ale nikt nie zadał sobie trudu, by je uprzętnąć. Walały się wszędzie. I śmierdziały. Jak to zgniłe liście.

- Halo, jest tam kto?! – krzyknął Aleks. Odpowiedziała mu cisza. Podeszli do drzwi frontowych, w które Baldur załomotał pięścią.

- Otwieraj, Kuupiksen. Wiem, że tam jesteś! Otwieraj, bo wyważę drzwi.

Baldur nie należał do ludzi, którzy rzucają słowa na wiatr, ale nim zdążył zrealizować swoją groźbę, Aleks szarpnął klamkę i okazało się, że drzwi są otwarte.

– Kuupiksen, wchodzimy! – krzyknął Aleks, ale nadal odpowiadała mu tylko cisza. Aleks wyjął z kieszeni latarkę i ją włączył. Snopem światła omiół salon willi.

– Jezu, Baldur. Spójrz tylko na to.

W pomieszczeniu panował niewyobrażalny bałagan. Wszędzie piętrzyły się opakowania po pizzy i spaghetti, ale w oczy przede wszystkim rzucały się butelki. Setki butelek.

– Jakbyś chciał zapalić, to odradzam – powiedział Baldur. I trudno było stwierdzić, czy żartuje. W domu tak śmierdziało alkoholem, że troska Farera mogła być uzasadniona. Więcej tu było oparów alkoholowych niż tlenu.

– Kuupiksen, gdzie jesteś?! – krzyknął Baldur, ale nawet on powoli zaczynał tracić nadzieję. Gospodarza albo nie było, albo leżał gdzieś pijany w sztok.

– W życiu go tu nie znajdziemy.

– Może nie będzie tak źle. – Baldur wskazał otwarte szklane drzwi prowadzące do ogrodu.

Ruszyli w tamtym kierunku i po chwili wyszli na umieszczony na tyłach domu taras połączony z ogrodem. Ogród był nieduży, ale zarośnięty drzewami. I równie zaniedbany, jak ten od frontu. Na drzewach nie było liści. Leżały na ziemi.

I w niewielkim basenie, który znajdował się dokładnie na wprost, zaledwie dwa metry od krawędzi tarasu. Z pewnością od dawna nikt w nim nie pływał. Powierzchnia wody mieniła się czerwienią i żółcią. I śmierdziała jak diabli.

Po prawej stronie tarasu stał mocno zużyty plażowy leżak. A na nim spał wysoki, chudy mężczyzna. Był zupełnie nagi, jeśli nie liczyć kłapków. W rękę trzymał niemal pustą butelkę po wódce. Chrapał. Długie czarne włosy miał tłuste i splątane. Zarostu nie przycinał prawdopodobnie od wielu miesięcy.

Baldur podszedł do gospodarza i trzasnął go otwartą dłonią w twarz.

– Wstawaj, Kuupiksen! – krzyknął mężczyźnie prosto do ucha.

Ten otworzył oczy, ale się nie poruszył. – Słyszysz mnie, pijaku?

– Idź stąd – wybełkotał Kuupiksen i znów zamknął oczy. Baldur uderzył go ponownie. Tym razem gospodarz zareagował nieco szybciej. Otworzył oczy i lewą ręką chwycił się za twarz. Butelka upadła na taras, ale się nie rozbiła.

– Auu – jęknął Kuupiksen. – Co mi robisz? Idź stąd.

– Nigdzie nie pójdę – rzucił rozeźlony Farer. – Musisz mi pomóc.

– Jestem zajęty – odparł Kuupiksen i ponownie zamknął oczy.

To ostatecznie wyprowadziło Baldura z równowagi. Aleks zawsze mu powtarzał, że musi popracować nad umiejętnościami miękkimi. Zwłaszcza nad cierpliwością i tajnikami sztuki negocjacji. I wszystko na nic. Farer chwycił gospodarza za włosy i jednym szarpnięciem podniósł z leżaka.

– Auu, ty kuuutacie – wycharczał Kuupiksen, ale niewiele więcej zdążył dodać, bo Baldur kopniakiem posłał go wprost do basenu. Pijaczyna wpadł wprost w śmierdzącą mieszaną przegniłych liści i od dawna niewymienianej wody. Zniknął pod powierzchnią. I nie wypłynął.

– Utopi się – ostrzegł Aleks.

– Nie ma szans – odparł spokojnie Baldur, a jego pewność nie zmalała nawet dwie minuty później.

– Baldur...

– Dobra, dobra. Ale ten chujek zwyczajnie sobie z nami pogrywa.

Wciąż jeszcze rozeźlony podszedł do krawędzi basenu. Przyklęknął przy niej i wsadził rękę do wody.

– Chodź tu, ty żałosny skurwielu. – Stęknął i szarpnął. Na powierzchni pojawił się Kuupiksen, trzymany przez Baldura za włosy.

– Zostaw moje włosy, ty przeklęty dupku! – krzyknął gospodarz.

– Myślałeś, że mnie nabierzesz na numer ze wstrzymywaniem oddechu? – Baldur spiorunował Kuupiksena wzrokiem, ale ten kompletnie go zignorował i zaczął się wspinać na krawędź basenu. Farer oparł mu jednak stopę na głowie i wepchnął pijaka z powrotem pod wodę. – O nie, nie tak szybko.

– Baldur, mamy zero stopni, a on jest na golasa. Dostanie

hipotermii.

– Wóda go rozgrzewa.

– To tak nie działa.

– Uspokój się. To Grenlandczyk. Nic mu nie będzie.

Znowu minęły dwie minuty, ale tym razem Kuupiksen wynurzył się bez dodatkowej zachęty. Zimna kąpiel chyba dobrze mu zrobiła, bo wzrok miał jakby odrobinę bardziej rozumny.

– Kim wy, do cholery, jesteście? – zacharczał. – I co robicie w moim domu? Dzwonię po policję.

– Musiałbyś najpierw wyjść z basenu – odparł Baldur.

– Czego chcesz? Mówiłeś, że mam ci w czymś pomóc.

– Mówiłem.

– Więc pierdol się. W niczym ci nie pomogę. – Znowu usiłował się wydostać z basenu. I tym razem Baldur mu na to nie pozwolił.

– Dziwię ci się – powiedział spokojnie Farer. – Młody chłopak, a już taki pijaczyna. Ile masz lat? Dwadzieścia?

– Gównu o mnie wiesz.

Baldur przykucnął nad krawędzią i znów chwycił Grenlandczyka za włosy. Tym razem jednak znacznie delikatniej. Chciał się tylko upewnić, że chłopak przyswoi sobie to, co miał mu do powiedzenia.

– Przeciwnie – wycedził. – Wiem o tobie wszystko. Nazywasz się Angaangaq Kuupiksen. I docień, że nauczyłem się na pamięć twojego pojebanego imienia. Mistrz Danii w pływaniu stylem dowolnym.

– Czterokrotny – wypalił Kuupiksen.

– Nie mówiłeś, że to Eskimos – wtrącił Aleks.

– Inuita, ty tępy chuju! – wrzasnął Grenlandczyk, za co ponownie oberwał po twarzy.

– Bądź grzeczny – rzekł spokojnie Baldur.

– To niech mnie nie obraża – odciął się Kuupiksen.

– Nie wiedziałem, że Eskimos to obelga – usprawiedliwiał się Aleks.

– To trzeba się uczyć. Czego chcecie?

– Powinieneś raczej zapytać, co możemy ci dać – odparł Baldur.

– Nic mi nie możecie dać.

- Ależ oczywiście, że możemy. - Farer już się całkowicie uspokoił. Wiedział, że kontroluje przebieg gry. - No więc nazywasz się Kuupiksen i pochodzisz z Nuuk. Czterokrotny mistrz Danii w pływaniu stylem dowolnym. Pierwszy w historii Grenlandczyk, który miał szansę wziąć udział w igrzyskach olimpijskich.

- W letnich - bąknął Kuupiksen. - W zimowych już startowali Grenlandczycy. Pod flagą duńską oczywiście. Pod własną nie możemy startować na olimpiadzie. Nieważne. I tak chuj wam do tego.

- Pierwszy Grenlandczyk, który miał szansę wystartować w letnich igrzyskach olimpijskich, ale był na tyle głupi, żeby brać stanozolol, dehydrochlorometylotestosteron i kłomifen. Jednocześnie.

- Nic nie brałem! - wrzasnął Kuupiksen.

- WADA twierdzi co innego - powiedział Baldur.

- WADA kłamie!

Aleks przewrócił oczami.

- Daj spokój - powiedział. - Masz dwadzieścia lat. Na ile cię zawiesili? Na dwa lata? Będą kolejne igrzyska, o ile się nie zapijesz na śmieć.

- WADA kłamie - powtórzył Kuupiksen podniesionym głosem i ponownie podjął próbę wydostania się z basenu. But Baldura ponownie ją uniemożliwił. - Wrobili mnie!

- Posłuchaj samego siebie - zakpił Gall.

- Są przekupieni - nie dawał za wygraną Grenlandczyk. Aleks miał dość tej rozmowy.

- I kto ich niby przekupił? - zapytał kpiąco.

- Knut Jensen.

- Kto?

- Knut Jensen. Mój rywal! Jest ode mnie gorszy, ale nie potrafi się z tym pogodzić. Podmienił próbki.

- Niby jak?

- Przekupił ich!

- Dość - przerwał mu Aleks. - Nie ma bardziej żalonych ludzi niż ci, co swoimi błędami obarczają wszystkich naokoło. Na

przykład słabeuszy, takich jak ty. Co nie są w stanie osiągnąć sukcesu własnymi siłami, więc wspomagają się chemią.

– Ale ja...

– Zamknij ryj – syknął Aleks. – Miej godność i pogódź się z tym, że jesteś zwykłym patałachem. Nigdy nie pojedziesz na igrzyska, bo tam jeżdżą tylko prawdziwi sportowcy. Albo mistrzowie w oszukiwaniu. Ty nie jesteś ani jednym, ani drugim, gnojku.

– Aleks. – Baldur usiłował nieco załagodzić spór, ale Aleks nie był wzburzony. Nigdy nie był wzburzony. Po prostu lubił mówić to, co myśli.

– Po co my tu w ogóle przyjechaliśmy, Baldur? Ten człowiek to wrak!

– Nic nie brałem – jęknął Kuupiksen.

– Drażnisz mnie – powiedział Gall.

– Aleks. – Tym razem głos Baldura zabrzmiał znacznie bardziej stanowczo. – Sęk w tym, że on nie kłamie.

Aleks zamilkł. Spojrzał na przyjaciela i założył ręce na piersi. Jeszcze bardziej zdumiony wyraz twarzy pojawił się u Kuupiksena. Farer w końcu zdjął buta z jego czoła. Młody Grenlandczyk wygramolił się z basenu i wszedł na taras. Owinął się ręcznikiem, ale nie sprawiał wrażenia, jakby mu było zimno. Trochę dygotał, ale nie z zimna. Po prostu alkohol go opuszczał.

– Jensen nie podmienił próbek, ale zapłacił komuś, kto sfałszował wyniki badań – wyjaśnił Baldur. – To dość proste, bo inni ludzie badają, inni wklepują dane do komputera, inni analizują, a inni prowadzą sprawę tego czy innego zawodnika. Po badaniu próbki A wystarczy poczekać, aż wynik pojawi się w bazie i go podmienić, nim zainteresuje się nim człowiek, który będzie prowadził analizę. Potem trzeba to samo zrobić z próbką B i po sprawie.

– Wiedziałem! – krzyknął Kuupiksen. – Wiedziałem, że ten skurwiel to zrobił. Ale właściwie to skąd o tym wiesz? Znaczący o tych próbkach.

– Bo to ja je podmieniłem?

– Co? – zdumiał się Aleks.

– Co?! – wrzasnął Grenlandczyk i skoczył w kierunku Farera, co

zakończyło się kolejną kąpielą. To dziwne. Ludziom się wydaje, że jeśli są wyżsi, szczuplejsi i lepiej zbudowani od Baldura, to mogą go pokonać. Baldur z kolei myśli dokładnie odwrotnie. I to on ma rację. – Dlaczego to zrobiłeś? – wyjącał Kuupiksen, wynurzając się spod liści i wypływając wodę.

– Dla pieniędzy – odparł spokojnie Baldur.

– Dla pieniędzy zniszczyłeś mi życie?

– Oczywiście. Nie tylko tobie. Cały czas to robię.

Zapadła cisza. Aleks dawno już się nauczył kochać Baldura miłością braterską i bezwarunkową. Wprawdzie Farer niewiele mu mówił o tym, czym się zajmuje, kiedy akurat nie ratuje świata, ale Aleks był bardzo domyślnym człowiekiem.

Kuupiksen znowu wylał na brzeg. W jego oczach zaszklily się łzy.

– Dałem z siebie wszystko – zaszlochał. – Pływam od drugiego roku życia. Całe dzieciństwo w wodzie. Mam dwadzieścia lat, a opłynąłem już świat dookoła.

– Nie maź się – powiedział Baldur. – Z głodu nie umrzesz. Widać, że tatuś jest bardzo zamożnym człowiekiem.

– Co? Myślisz, że chodzi mi o pieniądze, mendo?

– A skąd. Żartowałem. Chodzi o to, że świat rządzi się pewnymi prawami. Jedno z nich brzmi: każdy przekręt można odkręcić.

– Nie... Nie rozumiem.

– Już tłumaczę. Kiedy ja fałszuję takie rzeczy, to nie zostają żadne ślady, ponieważ jestem w tym najlepszy na świecie. Tak, tak, wiem. Jestem zadufanym w sobie dupkiem. No trudno. Niemniej tak się składa, że owe ślady też potrafię wyprodukować. Łapiesz?

– Nie – odrzekł skołowany Grenlandczyk, a Baldur westchnął.

– Naniosę ślady fałszerstwa na twoje badanie. Potem porozmawiam z jednym z urzędników, których przypadkiem znam. Poproszę go, by ponownie przyjrzał się twojemu badaniu, bo coś tam, coś tam. On mnie nie lubi, ale się mnie boi, więc to zrobi. Znajdzie ślady świadczące o fałszerstwie, zwolni techników, którzy ich poprzednio nie zauważyli, i rozpęta piekło. Będziesz musiał się udać na ponowną kontrolę i postaraj się do

tego momentu wytrzeźwieć.

– Kurwa – jęknął Kuupiksen – muszę posprzątać ogród.

– Nie tylko ogród – wtrącił Aleks.

– Pojedziesz na igrzyska – ciągnął Baldur. – Może nawet coś na nich osiągniesz, jeśli wóda nie zmieniła cię w wieloryba w ciąży.

– Czego chcesz? – zapytał Grenlandczyk.

– No i zaczynamy rozmawiać. – Baldur się uśmiechnął. – Słyszałeś o promie pasażerskim, który zatonął cztery dni temu na Bałtyku?

– Nie. Serio?

– Kurwa, od jak dawna siedzisz na tym tarasie?

– A bo ja wiem? Kilka tygodni.

Aleks chciał się wtrącić, ale Baldur uciszył go gestem dłoni. Teraz już trzeba było płynąć do brzegu.

– Wrak leży na płyciźnie. Musimy się do niego dostać. Potrzebujemy pomocy.

– Na płyciźnie?

– Dwadzieścia trzy metry. Sześć metrów poniżej lustra wody.

– Da się zrobić standardowymi środkami, ale z krótką dekompresją. Nurkowaliście już?

– Tak – odparł Baldur.

– Na wrakach?

– Tak.

– To do czego mnie potrzebujecie?

– Po prostu potrzebujemy – powiedział Aleks. – Mimo wszystko brak nam doświadczenia. Baldur twierdzi, że jesteś w tym najlepszy.

– Istotnie – przyznał Kuupiksen. – Jestem. Byłem dotąd na ponad dwustu wrakach.

– Nieźle jak na dwudziestolatka – pochwalił Aleks. – Ale jest jeszcze jeden mały haczyk.

– Jaki?

– Wrak został uznany za miejsce spoczynku ofiar katastrofy morskiej. Nie ma do niego dostępu. Pilnuje go marynarka.

– Faktycznie, mały haczyk. Jak to planujecie rozegrać?

– Mamy człowieka, który nas podrzuci w okolicę. Resztę

będziemy musieli przepłynąć pod wodą.

– Jak daleko?

– Przynajmniej kilometr.

– Nie dacie rady.

– Damy, bo będziemy mieli podwodny skuter.

– Świetnie. Żeby pojechać na igrzyska, muszę ryzykować życie.

I to mimo że jestem niewinny.

– Doskonale. – Baldur zatarł dłonie. – Załatw cały sprzęt. Ja pokrywam koszty.

– Jedyna szansa to płynąć w nocy – rzekł zrezygnowany Grenlandczyk. – Musimy mieć silne lampy, bo w Bałtyku bardzo kiepsko widać nawet za dnia.

– W takim razie płyniemy jutro w nocy – oświadczył Aleks. – Postaraj się wytrzeźwieć.

– Raczej martw się o siebie – odciął się Kuupiksen. – Co tam będziemy robić? Jaki jest plan wycieczki?

Aleks i Baldur spojrzeli po sobie. Żaden z nich nie wpadł na to, by ułożyć jakiś plan.

– Na pewno musimy wpłynąć do ładowni – powiedział Farer. – Statek jest przełamany, więc pewnie w dwóch turach. Zobaczymy, ile tam tego naprawdę było.

– Ja chcę obejrzeć furtę dziobową – dodał Aleks. – I trzeba wydobyć rejestrator danych komputera. Powinien dać kilka odpowiedzi.

– Coś jeszcze? – zapytał Kuupiksen.

– Ogólne oględziny wraku od zewnątrz – powiedział Aleks.

– W porządku. Maksimum godzina pod wodą, wliczając dopłynięcie do wraku. Wracając, wpłyniemy na trzy metry i na tej głębokości dotrzemy do waszego człowieka. Dzięki temu nie będziemy się musieli dekompresować. Ale to będzie droga impreza. Potrzebne będą maski pełnotwarzowe i transmitery. Nie popłynę na taką wyprawę z nowicjuszami, z którymi nie mogę pod wodą rozmawiać.

– Dobra, dobra. – Baldur machnął ręką. – Bierz, co potrzebne. I uważaj na język. Jak ja nurkowałem na wrakach, to ty jeszcze na stojaka wchodziłeś pod szafę.

- Tak - odparował Grenlandczyk - zapewne krótko po zatonięciu *Vasy*.

- No, zaraz mu lutnę - zaperzył się Baldur, ale nie zyskał poparcia Aleksa, bo ten akurat umierał ze śmiechu. - Ej, nie jestem aż tak stary. Mam trzydzieści osiem lat.

- Jezus już nie żył w tym wieku. - Kuupiksen uśmiechnął się niewinnie. - I to od pięciu lat.

- Chyba zaczynam go lubić - wtrącił Gall.

- Bądź gotowy jutro wieczorem - syknął Farer. - A jak dasz dupy, to do twoich badań dorzucę ślady po stosowaniu heroiny.

- Dobra, dobra. Wyluzuj. To tak: trzy razy pełnotwarzowe maski z transponderami. Trzy dwunastolitrowe butle z powietrzem o ciśnieniu trzystu barów. Trzy skafandry suche, neoprenowe. Pamiętajcie, żeby pod spód włożyć ciepłe dresy. Trzy pasy balastowe. Trzy razy czujnik bezruchu. Trzy razy komputer naręczny z funkcją lokalizacji. Trzy razy nóż nurkowy. Trzy razy palnik do cięcia podwodnego. Trzy razy silne podwodne latarki i trzy razy mniejsze, zapasowe. Trzy razy....

- Dość. - Baldur się skrzywił. - Po prostu to załatw. Potem będziesz mógł sobie zatrzymać. Jako bonus.

- I dorzuc do tego trzy kamery podwodne - uzupełnił Aleks. - O jak największej rozdzielczości. I przynajmniej jeden silny wykrywacz metali.

ROZDZIAŁ 33

Uskoczył w ostatniej chwili. Miał nadzieję, że go nie usłyszeli, ale pewność zyskał dopiero wtedy, gdy huknęły potężne drzwi rama. Za chwilę silnik ryknął i auto odjechało. Stara budka ogrodnika okazała się dobrą kryjówką.

Odczekał jeszcze pół minuty, a potem pobiegł do przecznicy, i jeszcze sto metrów na zachód, gdzie zostawił swoje volvo. Znowu padało. Gdy wsiadł do środka i zamknął za sobą drzwi, szyba natychmiast zaczęła parować. Włączył silnik. Nawiew zadziałał błyskawicznie. Barbarian postanowił odczekać chwilę, by uspokoić oddech. Gadanie przez telefon jest bez sensu, jeśli ciągle trzeba robić przerwę na złapanie tchu.

Dogonił ich dość szybko. Najwyraźniej jego spontaniczny pomysł z klaksonem zadziałał. Uznali, że jest tylko przypadkowym kierowcą i nie forsowali tempa. Świry, naprawdę świry. Trzeba będzie o tym porozmawiać z Panem Dżumą.

Pan Dżuma? Co to w ogóle za pseudonim?

Nie zbliżał się już do nich tak bardzo jak wcześniej, przez co zadanie stało się jeszcze trudniejsze. Kiedy wjechali na osiedle willowe w Taarbæk, zniknęli mu z radarów. Przestraszył się, że ich zgubił. Na szczęście trudno o bardziej charakterystyczne auto niż ram, więc w końcu wypatrzył go przed jedną z posesji. Potem wystarczyło się zakraść.

Wyjął telefon i wybrał numer.

- Mów - odezwał się Pan Dżuma zaspanym głosem.
- Nie udało mi się nic podsłuchać - zastrzegł od razu. - Stałem za daleko, a strasznie tu wieje. Bardziej niż w Szwecji. Ale spotkali się z jakimś młodym pijaczyną. Wygląda na to, że dość bogatym.
- Wiesz, jak się nazywa?
- Na domofonie było napisane Kuupiksen.
- Kurwa mać.

- Co?
- Nie interesujesz się sportem, prawda?
- Interesuję. Lubię koszykówkę. I hokej. I...
- A pływanie?
- Proszę cię. Pływanie jest dla ciot.
- Panu Jednoróżcowi to się nie spodoba.
- Komu?
- Naszemu zleceniodawcy.
- Co mu się nie spodoba?
- Chyba że mu nie powiemy.
- Czego?
- Tak. Nie powiemy mu. I tak się dowie, a my zyskamy trochę czasu.
- Czego mu, kurwa, nie powiemy?
- Że oni płyną na wrak.

ROZDZIAŁ 34

Aleks odczuwał chłód. Ale trudno się dziwić, skoro woda właściwie powinna już zamarzać. Na szczęście Kuupiksen się spisał i wyczarował skądś podgrzewane chemicznie skafandry. Gdyby nie one, cała misja już dawno by się skończyła. Mimo że trwała dopiero pięć minut.

Baldur również się spisał. Na widok podwodnego skutera, który skombinował, gwizdnął nawet Grenlandczyk. W niczym nie przypominał tych najpopularniejszych, przyjmujących postać zwykłych wiatraczków czy ewentualnie niedużej torpedy. Właściwie do torpedy był nawet trochę podobny. Ale miał dwa metry długości. Żeby go zwodować z *Lero*, musieli użyć dźwigu szalupy ratunkowej. No i był szybki. Robił przynajmniej sześć węzłów. Po bokach miał przymocowane poręcze, których trzymali się kurczowo i wraz ze swym stalowym rumakiem pędzili do przodu.

Płynęli w milczeniu. Przed wejściem do wody Kuupiksen przypomniał im, że im więcej będą gadać, tym więcej powietrza zmarnują. Najlepiej mówić jak najmniej i płetwami też nie machać bez potrzeby. Zastosowali się do tego.

Skuter miał wbudowany potężny reflektor. Ale ustawili go na jedynie dziesięć procent mocy. Peter Oualembo ustalił, że w pobliżu wrakowiska znajdują się dwa statki. Niewielka szwedzka korweta i statek hydrograficzny. O tej porze i przy tym stanie morza z pewnością nie natkną się na nikogo pod wodą. Ale silne światło mogło zostać dostrzeżone z powierzchni. Płynęli na trzech metrach głębokości i nie chcieli ryzykować, więc otaczała ich absolutna ciemność. Poruszali się niemal po omacku.

Prócz marynarzy, którzy z natury rzeczy mają spaczony system wartości, nikt nie lubi Bałtyku. Polscy turyści, którzy każdego lata przyjeżdżają do nadmorskich kurortów, tachając ze sobą idiotyczne kolorowe parawany, gdyby ich zapytać, zawsze

odpowiedzą: „Panie, byliśmy z Żanetką w Rumunii. Tam to są piaski”. Albo: „Panie, my tu nigdy nie przyjeżdżamy, bo to zbiorowisko wieśniaków. Tylko akurat urlopu nie dali tyle, żeby pojechać do Chorwacji. Tam to dopiero jest morze. Taaaakie niebieskie”.

Bałtyk jest zielony. Wprawdzie naukowcy twierdzą, że w gruncie rzeczy przybiera wiele różnych barw, to jednak każdy, kto choć na moment zanurzył się w nim z rurką, wie, jak jest naprawdę. Zielony i martwy. Przez niskie zasolenie żyje tu niewiele organizmów, a te, co żyją, są dwa razy mniejsze niż ich kuzyni w Morzu Północnym. Właściwie Bałtyk jest bardziej słodki niż słony. Zasila go dwieście pięćdziesiąt rzek, a od Cieśnin Duńskich słona woda napływa tylko w czasie okazjonalnych wlewów.

Tak, Bałtyk to dziwne morze. Niebezpieczne i niepokojące. Płytkie, o krótkiej, agresywnej fali. Tylko jakieś tako mało popkulturowe. Kiedy zatonał *Titanic*, świat nie potrafił przejść nad tym do porządku dziennego przez sto lat. A kto słyszał o zatonięciu *Estonii*? Przecież zginęło na niej ponad osiemset pięćdziesiąt osób. No ale nikt nie zrobił o niej filmu z DiCaprio. Bo to tylko Bałtyk. Bałtyk, w którym pływa więcej ludzkich dusz niż w jakimkolwiek innym morzu świata. Gdzie *Titanicowi* do *Gustloffy*, na którym być może zginęło nawet dziesięć tysięcy osób. Naukowcy wciąż się o to spierają. Albo do *Goi*, która zatonała niemal z siedmioma tysiącami osób na pokładzie? Były jeszcze *Steuben* i *Cap Arkona*, oba powiodły na dno po cztery tysiące ofiar. Był *Thielback* i trzy tysiące ofiar. Było tego bez liku.

Wszystko to przebiegało Aleksowi przez głowę w sposób machinalny. On należał do tego znikomego procentu Polaków, którzy kochają Bałtyk. Mimo że był tak cholernie zimny jak teraz. Średnia roczna temperatura jego wód nigdy nie przekracza dziesięciu stopni Celsjusza. Gall zdawał sobie sprawę, że jego miłość jest irracjonalna. Jest wiele piękniejszych i żywszych akwenów, otoczonych piękniejszymi i cieplejszymi plażami. Może to ta stara woda. Całkowita wymiana wód Bałtyku zajmuje nawet trzydzieści lat. Może to o to chodzi? O pamięć wody. O to,

że czasy się zmieniały, a ona wciąż tam była.

Ciche bipnięcie wyrwało go z przemyśleń.

– Stop – rzucił do zainstalowanego w hełmie mikrofonu.

– Co jest? – zapytał zaniepokojony Kuupiksen, skręcając manetkę skutera.

– Wskazanie wykrywacza. Silny sygnał.

– To niemożliwe – powiedział Baldur. – Do wraku mamy jeszcze przynajmniej trzysta metrów.

– Wiem – odparł Aleks. – Ale może mamy szczęście i trafiliśmy na furkę.

– Ta, jasne. – Baldur westchnął. – Jeśli tak, to powinieneś zagrać dziś w totka.

– Zostańcie tu. Zejdę i sprawdzę.

– Uważaj – ostrzegł go Kuupiksen. – Tutaj jest około trzydziestu metrów. Pamiętaj o oddychaniu. Zwłaszcza gdy będziesz wracał. Masz pięć minut.

Aleks pobrał ze skrytki skutera odrobinę obciążenia, przytoczył je do pasa i ruszył w dół. Kilka metrów niżej włączył latarkę. Zrobiło się dość jasno. I bardzo zielono. Widział teraz trochę więcej niż wcześniej. Może nawet na dziesięć metrów.

– Pamiętaj, żeby wszystko dokładnie obejrzeć – usłyszał głos Baldura. – Masz kamerę w hełmie. Potrzebujemy nagrań.

Aleks nie odpowiedział. Nie potrzebował tego przypomnienia i szkoda mu było powietrza na bezsensowną dyskusję. Płynął powoli. Starał się nie skręcać nigdzie w bok, żeby nie zgubić drogi. Czuł się nieswojo. Jakby ktoś go zamknął w ciasnym, zielonym pokoju. A przecież pokój ten nie miał ani jednej ściany. Aleks nie potrafił zrozumieć, co ludzie widzą w nurkowaniu. Nurkował w swoim życiu kilka razy. Nigdy nie sprawiało mu to przyjemności.

– Słyszycie mnie? – zapytał.

– Głośno i wyraźnie – odparł Baldur. – Według namiaru zdryfowałeś o dziesięć metrów na południowy zachód.

Aleks ruszył przed siebie. Nie wiedział, w którym kierunku ma płynąć, ale z góry nie przyszła już żadna wskazówka. Czyli jego instynkt spisał się bez zarzutu i nakreślił mu właściwy kurs.

Dookoła było zupełnie cicho. Aleks czuł się jak postać z horroru. W scenie, w której twórcy celowo tonują emocje i wyciszają świat otaczający bohatera, by naraz zupełnie niespodziewanie wypuścić na świat potwora.

Początkowo nie zorientował się, że to już. Ot, woda stała się trochę ciemniejsza. Ale gdy poświecił latarką w tamtym kierunku, ujrzał nagle wielką, pionową ścianę. Była biała, ale w miejscach odrapanej farby ogniły się już pierwsze skupiska korozji.

- Baldur – rzucił do radia.

- Co jest?

- Jak wrócimy, przypomnij mi, że mam kupić los na loterię.

- Serio?

- Ponad wszelką wątpliwość. To furta dziobowa. Znamy bezpośrednią przyczynę zatonięcia *Raginisa*.

- Sfilmuj to dokładnie.

- Nie wiem, czy się da. Leży dziobnicą do góry, lekko wbita w piasek. Będę musiał pod to wpłynąć.

- Uważaj na siebie. Sprawdź, czy nosi jakieś ślady po eksplozji.

- *Stand by*.

Starając się oddychać jak najspokojniej, opłynął dziobnicę. Na jednym z jej końców znalazł cztery wielkie zawiasy. Rozszarpane. Fala, która je zerwała, musiała być potężna.

Obejrzał wszystko dokładnie, a potem wpłynął w otwór pomiędzy dnem a szczytem dziobnicy. Dokładnie omiół wzrokiem wszystkie krawędzie furty. Później zawrócił i zrobił to jeszcze raz. Nie znalazł żadnych dalszych uszkodzeń. Wszystko było w porządku.

- Wracam – rzucił krótko.

- Znalazłeś coś?

- Nie. Czyli tak. Potem pogadamy. Ale nie było tu żadnej eksplozji. Furtę wyrwała fala.

Zwolnił dwa obciążniki i zaczął się wynurzać, oddychając powoli i spokojnie.

- Trochę przed siebie – zakomenderował Baldur i Aleks machnął kilka razy rękami.

Znalazł ich dość szybko, głównie dlatego, że świecili latarkami w jego kierunku. Gdy w końcu chwycił barierki skutera, Kuupiksen bez słowa podkreślił nastawnik i ruszyli przed siebie.

Długo nie mogli znaleźć wraku, co wyraźnie denerwowało Grenlandczyka. Zastanawiał się, czy aby na pewno dobrze policzył ilość powietrza potrzebnego do przeprowadzenia tej akcji. Na szczęście Aleks i Baldur radzili sobie dużo lepiej, niż zakładał. Doświadczenie podpowiadało mu, że zużywają nie więcej niż dwadzieścia pięć litrów powietrza na minutę. Ale nawet mimo to odetchnął z ulgą, gdy wykrywacz metali w końcu ożył.

– Dobra – rzucił Baldur – jaki jest plan?

– Mamy do odwiedzenia ładownię, czyli po przełamaniu w sumie dwie ładownie i mostek.

– Sugeruję, by się rozdzielić – powiedział Kuupiksen. – Myślę, że starczy nam powietrza, ale musimy zakładać wariant ostrożny. Popłyńcie we dwóch na mostek. To bezpieczniejsze. Ja odwiedzę pokłady.

– Nie, Anga – powiedział spokojnie Aleks. – Owszem, rozdzielimy się, ale ty popłyniesz z Baldurem, a ja sam.

– Wykluczone – odrzekł kategorycznie Kuupiksen.

– Posłuchaj. – Aleks był nieprzejednany, ale zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji zwyciężą tylko racjonalne argumenty, dlatego złapał Grenlandczyka delikatnie za ramię i spojrzał mu prosto w oczy. – Nie wiem, czego się spodziewać na pokładach. Po prostu muszę tam wpłynąć i się rozejrzeć. Poszukać czegoś, co nie pasuje. Co jest nietypowe. Ty mógłbyś najwyżej nagrać dobre wideo, ale to za mało. Z kolei z mostka musimy odzyskać rejestrator danych. Może jeszcze jakąś inną elektronikę. Nie będziesz w stanie sam tego zrobić, dlatego musi ci towarzyszyć Baldur.

Kuupiksen walczył ze sobą przez chwilę. Wiedział, że Gall ma rację. Bardzo szybko stracił złudzenia, że to on dowodzi tą operacją. Teraz chciał po prostu wyjść z tego z twarzą.

– Dobra – powiedział w końcu. – Ale cała operacja ma zająć kwadrans i ani chwili dłużej. Podpływamy skuterem do burty

i tam go zostawiamy. A po kwadransie wszyscy widzimy się z powrotem.

– Zgoda – odparł Aleks, a Kuupiksen westchnął i wprowadził skuter w tryb zanurzania. Kiedy opadli dziesięć metrów, Grenlandczyk zwiększył moc lampy. Skuter przegłębił się na dziób i reflektor rzucał teraz światło na otchłań pod nimi. Przez kilka chwil płynęli w milczeniu, aż w końcu ich oczom ukazało się coś, czego się spodziewali, co jednak i tak zrobiło na nich ogromne wrażenie.

Nieskończenie długa, bo rozplywająca się w zielonym mroku czerwona połać stępki, zakończona dwiema ogromnymi śrubami i wetkniętą pomiędzy nie, obróconą w lewo i lekko nadłamaną, płetwą steru. Wrak leżał do góry dnem.

– To może być problem – powiedział Baldur. – Wszystko od pokładu głównego w górę będzie zmiążdżone.

– Pamiętaj, że kadłub jest przełamany – pocieszył go Aleks. – Jestem przekonany, że przód będzie leżał na boku. Ta sekcja po oderwaniu ma zupełnie inny środek ciężkości. Możecie mieć problem, ale zrób wszystko, by odzyskać rejestrator.

– Postaram się.

Skuter opadł na dno tuż przy rufie *Raginisa* i Aleks zauważył, że tylna furta była nienaruszona. Gdy w końcu puścili poręczę, poczuli się, jakby ich oderwano od pępowiny. Baldur i Kuupiksen pierwsze kroki po dnie stawiali dość nieśmiało. Aleks miał już to za sobą. Zapalił latarkę i wzniósł się o pięć metrów, by obejrzeć ster.

– Nic tu nie ma – oznajmił, chociaż nikt go nie pytał. – Płetwa pocięta od uderzenia o dno.

– Prawdopodobnie opadł rufą w dół – odezwał się Baldur.

– Tak – potwierdził Aleks. – Prowadnice obu wałów też są pokrzywione. Śruby nieuszkodzone.

– Bo są z tytanu, a prowadnice nie – wyjaśnił Farer. – Wał w środku pewnie jest kompletnie pogruchotany.

Aleks ruszył w dół, kierując się światłem latarek, które Baldur i Kuupiksen zdążyli już włączyć. Grenlandczyk ponownie przyciemnił światła skutera. Znowu zrobiło się mrocznie.

– Dobra – powiedział Kuupiksen. – Od teraz kwadrans.

– Płyniemy razem wzdłuż stępki aż do przełamania – zarządził Aleks. – Potem ja wpłynę do ładowni, a wy na mostek. Ruszajmy.

Wzniesli się kilka metrów i przez jakiś czas płynęli tuż nad kilem, dzięki czemu wszystko wydawało się bardzo proste. Kil wyznaczał kierunek i uniemożliwiał zabłądzenie. Pokonali niemal sto metrów, nim czerwona połać kadłuba po prostu znikła.

– Sekcja dziobowa musi być gdzieś blisko – powiedział Aleks. – Będzie miała około czterdziestu metrów długości, więc raczej nigdzie jej nie wymyło. Szukajcie na osi.

– Uważaj na siebie – odparł Baldur.

– Zostało trzynaście minut – dodał Kuupiksen i wraz z Farerem rozplynęli się w zielonej mgłę.

Aleks został sam. Powoli wychylił się za krawędź kadłuba i opuścił. Żarty się skończyły. Teraz wszelkie ruchy trzeba było dokładnie przemyśleć. Każdy statek poprzecinany jest tysiącami kilometrów rur i kabli. Są tu systemy paliwowe i przeciwpożarowe. Jest woda pitna i woda balastowa. Jest chłodzenie silników i podgrzewanie paliwa. Dolot powietrza i spaliny. Hydraulika i sprężone powietrze. Nieczystości i osuszanie. Do tego instalacja elektryczna. By to pomieścić wewnątrz statku, dawniej budowało się specjalne modele. Teraz za wszystko odpowiadają programy komputerowe. Ale kiedy po skończonym projektowaniu inżynierowie zasiadają z kawą przed monitorami, aktywując program antykolizyjny, na ogół wcale nie oznaczają końca ich pracy. Konfliktów są zwykle tysiące. Rury zderzają się ze sobą lub nie łączą w zaplanowanych miejscach. Łączenia są za grube lub za cienkie. Niekiedy całe systemy wychodzą poza obrys statku, bo dział kadłubowy zmodyfikował plan w trakcie projektowania. Dopasowanie tego wszystkiego przypomina układanie gigantycznych i bardzo drogich puzzli. Wiele rur można dostrzec na statku gołym okiem. Część ukrywa się w miejscach niedostępnych dla postronnych – siłowniach, ładowniach i wielu innych pomieszczeniach. Tam nie trzeba ich maskować, żeby ładnie wyglądały. Ale sporo systemów, zarówno

tych transportujących media, jak i okablowanie, puszczone jest w burtach i wewnątrz podłóg pokładów. Biegają niekiedy wzdłuż całego statku, od rufy aż po dziób.

Mijając krawędź złamana, mógł dostrzec, jak to wygląda w praktyce. I był to przerażający widok. Dziesiątki połamanych, ostrych jak brzytwy rur sterczało z rozerwanych pokładów niczym harpuny. Wystarczyła chwila nieuwagi, by płatanina pozrywanych kabli zamieniła się w śmiertelną pułapkę więżącą nurka jak rybacki włók.

Mimo to zdecydował się wpłynąć do środka. Gdyby był sam, rozsądek zapewne zabroniłby mu podjęcia takiej próby. Ale gdzieś tam, niedaleko, za zieloną mgłą pływał Baldur. A to zmieniało postać rzeczy.

Wciąż podrażniane przez niespokojny morski prąd przewody bujały się na lewo i prawo. Aleks musiał sobie pomóc rękami. Odsunął kable, jakby były wiszącą na karniszu zasłoną. W końcu udało mu się wślizgnąć do środka. Znajdował się na pokładzie samochodowym. Nawet gdyby jego poczucie przestrzeni szwankowało, nie mógłby mieć co do tego wątpliwości. W świetle latarki ujrzął prawdziwy labirynt utworzony z poskręcanych wraków ciężarówek. Były ich tam dziesiątki, a wszystkie porozbijane jak na złomowisku.

Aleks wzdrygnął się na samą myśl, że miałby pomiędzy nie wpłynąć.

Po czym wpłynął.

Niełatwo było znaleźć drogę. Jak to w labiryncie. Najpierw wpełzł pomiędzy dwa kontenery, które zderzone ze sobą spiętrzyły się i u podstawy stworzyły niespełna dwumetrowy prześwit. Gdy pokonał tę przeszkodę, ujrzął szoferkę czerwonego mana. Była oderwana od reszty pojazdu i leżała na dachu, opierając się o rumowisko. Nie miała szyb, więc wpłynął do środka. Tylną część szoferki rozerwał potężny most napędowy pochodzący najpewniej z innego pojazdu. Końcówka mostu blokowała wyjście, ale Aleksowi udało się go wypchnąć. Nie bez wysiłku, bo dyferencjał zaklinował się w wiszących za kabiną kablach. Gall musiał je przeciąć nożem.

Dalej było nieco łatwiej. Wraki aut leżały pod nim. Oglądał wszystko dokładnie, mając w pamięci, że dzięki temu obejmie całość okiem umieszczonej w hełmie kamery. Widok był niesamowity, nigdy czegoś takiego nie oglądał. Ale nic nie wzbudzało jego podejrzeń.

– Aleks, słyszysz mnie? – usłyszał głos Baldura.

– Słabo – odparł. – Szumisz.

– Nie masz tu po co płynąć. Sekcja dziobowa jest kompletnie...

– Baldur, powtórz.

– Jest zniszczona. Statek spadł na dziób. Wszystko jest zmiążdżone.

– Baldur?

– Nic tam nie ma. Byłem w środku.

– Zobacz otwór furty.

– Aleks... otworu furty... ci, cała sekcja jest zmiążdżona. Na przestrzeni dwudziestu... jest tylko rumowisko... ale... chodów... za to dużo...

– Powtórz, Baldur.

– Jest dużo samochodów na dnie. Bezpośrednio w morzu. Kuupiksen je nagrywa.

– Musiały się wysypać, gdy statek tonął. Skoro tonął dziobem na przód, to mamy potwierdzenie, że nie było furty.

– Nie słyszę, Aleks.

– Co z mostkiem?

– Mamy fart. Mostek się oderwał przy uderzeniu. Leży obok wraku, właśnie...

– Powtórz.

– Jestem na mostku. Mam rejestrator i...

– Baldur. Baldur.

– ...potem.

Zrezygnowany Aleks ruszył dalej. Jeśli Baldur znalazł coś ciekawego, to na pewno nie zabraknie im czasu, by o tym pogadać. Nie było sensu marnować teraz powietrza.

Machnął płetwami zaledwie kilka razy, gdy zrozumiał, że jego rekonesans dobiega końca. Dotarł do ściany. Tym razem jednak nie stanowiły jej tylko wraki. Była to ściana w ujęciu dosłownym.

Pokład samochodowy zapadł się pod ciężarem zalegających na górze wagonów kolejowych. Choć połamany i pełen dziur, stanowił zaporę nie do przejścia. Aleks westchnął. Nie znalazł nic ciekawego. Ale czy mógł się spodziewać czegoś innego? Wielkiego pakunku z napisem: „Hej, jestem podejrzanym ładunkiem, stanowią odpowiedź zagadki”?

Wetknął latarkę w szczelinę pokładu, a hełm przycisnął do kolejnej. Chciał jeszcze sprawdzić, czy da się coś zobaczyć za rumowiskiem. Nie dało się. Podpłynął więc do innej szczeliny.

Tym razem coś dostrzegł. Szybko wrócił myślami do swojej rozmowy ze Wścieklicą i zrozumiał, że patrzy na coś, czego tam być nie powinno.

Na samym dole, przygnieciona fragmentem pokładu, leżała biała kabina ciężarowego volvo. Tuż obok, postawiony na sztorc i podpierany przez stos żelastwa, którego Aleks nie potrafił zidentyfikować, stał kontener.

Nie powinno go tam być. Ale Aleks wiedział, że i tak się nie dowie, co w nim jest. Nie było jak do niego dopłynąć. Zastanawiał się, czy kamera to wszystko nagrała. Nie wiedział, w którym dokładnie fragmencie hełmu znajduje się obiektyw. Nie chciał nagrać ściany. Podjął kilka prób, mając nadzieję, że przynajmniej jedna skończyła się powodzeniem.

– Baldur, wracam – rzucił do radia.

– ...miałem.

Ruszył z powrotem, trzymając się blisko burty. Fragment zerwanego pokładu działał mu na wyobraźnię. Wiedział, że nad jego głową piętrzą się setki ton wagonów i rozsypanego z nich ładunku. Cement i złom – tak mówił Wścieklica. Pokład mógł się zerwać w każdej chwili, ale przy ścianie powinien być najmocniejszy. Tam znajdują się jego fundamenty.

Płynąc powoli, minął otwarte drzwi na korytarz i opierając się dłonią o ścianę, wzniosł się nieco, by ominąć sterczący fragment jednej z naczep.

Zaraz!

Drzwi na korytarz?

Przypomniał sobie krótką wycieczkę, którą odbył z kapitanem

Koszem-Wolskim po pokładzie *Skalskiego*. Drzwi prowadziły na korytarz, ten biegł kilka metrów równoległe do ściany i kończył się klatką schodową. Być może tamtędy uda się minąć rumowisko.

Zawrócił i popłynął w kierunku drzwi.

Dlaczego były otwarte? To jedne z tych drzwi, które zawsze musiały być zamknięte. Promy takie jak *Raginis* to najbardziej niebezpieczne statki świata. Z racji swej charakterystyki nie mogły być poprzecinane grodziami wodoszczelnymi. Były ogromnymi, pustymi w środku halami, których zalanie powodowało natychmiastowe zatonięcie statku. Ale to jeszcze nie powód, by nie zamykać drzwi prowadzących do części pasażerskiej. Ludzie na takim statku i tak mieli niewielkie szanse na przeżycie katastrofy, ale skrajną nieodpowiedzialnością było te szanse jeszcze zmniejszać.

Zagadka jednak bardzo szybko się wyjaśniła. Drzwi po prostu nie było. Wrak, uderzając o dno, spłaszczył się nieco, ściana się zdeformowała, a drzwi zostały wybite z otworu. Tkwiły teraz w poprzek korytarza i uniemożliwiały przedostanie się nim w kierunku dziobu statku. Na szczęście Aleks planował płynąć w przeciwną stronę. Liczył na to, że drzwi na niższym piętrze klatki schodowej też nie wytrzymały.

Korytarz był nieco krzywy, ale przepłynął nim bez większych problemów. Również klatka schodowa zachowała niemal w całości swój kształt, więc zaledwie minutę później był już na dole. Tam jednak zrobiło się znacznie trudniej. Ogromna masa leżącego stępką do góry wraku zmiażdżyła korytarz i teraz miał on zaledwie połowę swojej wysokości. A nawet poprzednio nie był zbyt wysoki. Ale były też dobre strony takiego obrotu spraw. Ściana została rozerwana i Aleks bez problemu przepłynął przez nią do hali pokładowej. A raczej do niewielkiego pomieszczenia ze wszystkich stron otoczonego zwałami żelastwa. Hałdą, którą dostrzegł wcześniej, a której nie rozpoznał, był potężny korpus silnika. Zrozumiał, że znajduje się pod maszynownią, której sufit nie wytrzymał uderzenia. Silnik oderwał się, przebił pokład kolejowy i dwa pokłady samochodowe, rozcinając przy okazji

spory płat burty. Co było fantastyczną wiadomością. Nie trzeba będzie wracać przez ten labirynt. Z wraku da się wypłynąć w ciągu dziesięciu sekund. Spojrzał w górę i zrozumiał, że pozostała część pokładu wytrzymała. Miał nad sobą w miarę stabilny sufit, zawieszony trzy metry nad głową. Wyglądało na to, że jest tu dość bezpiecznie. Skierował światło na stojący pośrodku kontener. Dlaczego on się tu znajdował?

Podpłynął bliżej, omiatając żelazną skrzynię snopem światła. Był to kontener 2TEU, mający ponad dwanaście metrów długości. Od dołu do mniej więcej połowy wysokości był kompletnie zmiądzony, a górna krawędź sięgała niemal sufitu.

Aleks wzniósł się nieco wyżej i zauważył coś dziwnego. Masywne drzwi kontenera lekko podskakiwały. Zupełnie jakby w środku uwięziono jakieś potężne zwierzę, które teraz chciało się oswobodzić z klatki. Musiało tam być coś, co unosi się na wodzie.

Stanął na szczycie kontenera. Chwilę się wahał, po czym uznał, że powinien go otworzyć. Sięgnął po przytroczony do uda palnik. Skierował światło latarki na niewielki żelazny skobel.

I zamarł.

Na lewym skrzydle drzwi, zaledwie pół metra od rygła, ktoś wymalował czerwonym sprayem literę. A raczej dwie litery. Symbol wyglądał jak litera F, ale od dolnej poprzeczki odchodziła nóżka. Zupełnie, jak w literce R.

– FR – szepnął Aleks.

Przykucnął nad rygłem i skierował w jego kierunku płomień palnika. Żelazny skobel poddał się bardzo szybko.

Za szybko. Aleks nie był na to przygotowany.

Wielkie drzwi strzeliły do góry, spychając go z kontenera. Poleciał w dół i nim zdołał odzyskać równowagę, uderzył plecami o korpus silnika. Poczuł silny ból w kręgosłupie. Nie rozumiejąc, co się dzieje, upadł na zmiądzone resztki górnego pokładu.

Przez kilka chwil leżał w absolutnym bezruchu. Nie dlatego że go bolało. Nie dlatego że coś na niego spadło. Leżał ze wzrokiem skierowanym w górę. W rękę kurczowo trzymał latarkę, której

światło omiatało sufit. Leżał, patrząc na najbardziej przerażający obraz, jakiego doświadczył w całym swoim życiu.

– Aleks – odezwał się Baldur. – Aleks, kurwa, wszystko w porządku? Twój czujnik bezruchu szaleje.

Gall spojrział na swoje ramię. Przytroczone do niego żółte pudełko migotało czerwonym światłem. Machinalnie chwycił za obudowę i skasował alarm.

– Aleks?

– Baldur – szepnął Gall.

– Wszystko dobrze?

– Musisz tu natychmiast przyplynać.

– Kurwa, mów, co się dzieje.

– Żyję i jestem cały. Przepłyn nad stępką i poszukaj dużej wyrwy w bakburcie. Powinny z niej wystawać fragmenty silnika. Wpłyn do środka. Pośpiesz się.

– Płynę.

– Baldur.

– Co jest?

– Zostaw Kuupiksena na zewnątrz.

ROZDZIAŁ 35

– Słodki Jezu i matko jego Maryjo – jęknął Baldur, robiąc ręką znak krzyża. To, że był ateistą od urodzenia, z drobnymi przerwami na wyjątkowo oryginalne, acz zwykle nieudane eksperymenty religijne, nigdy mu nie przeszkadzało w czynieniu tego typu gestów.

Ponad jego głową, przy samym suficie kłębiły się dziesiątki ludzkich ciał. Pośmiertne gazy, którymi były wypełnione, wypychały je w górę, wbijając w porozrywany sufit.

Aleks siedział na dnie, wpatrując się w to wszystko z uczuciem, które u każdego innego człowieka można by nazwać przerażeniem. U niego co najwyżej lekkim zaniepokojeniem.

– Po co tu w ogóle wpłynąłeś? – zapytał Farer.

– Zauważyłeś symbol na drzwiach?

– Tak. FR. Ale ty nie mogłeś go zobaczyć, dopóki tu nie wpłynąłeś.

– Racja. Ale ten kontener nie powinien się tu znajdować i to mnie zastanowiło.

– Jak to?

– Wścieklica.

– Co?

– Wścieklica. Ten stary kapitan portu w Świnoujściu. Wyraźnie podkreślił, że na antresoli pokładu samochodowego nie było ani jednego pojazdu. Tylko na głównym pokładzie samochodowym i na pokładzie kolejowym. Potwierdził mi to dwa razy. A to, co widzisz nad głową, to właśnie antresola. Tego kontenera nie powinno tu być. Pomyślałem, że może to jakiś utajniony ładunek.

– Cholerna racja – odparł Baldur. – Z pewnością jest utajniony. Ile jest tych trupów?

– Naliczyłem dwadzieścia osiem ciał. Ale wiele zostało zmiażdżonych i leży pod kontenerem. W sumie pewnie około czterdziestu.

– Rany boskie, Aleks. Sami czarni?
– Tutaj tak. Na dole dostrzegłem jednak przynajmniej dwóch Arabów.

– W co myśmy się wpierdolili, bracie?

– Dobre pytanie.

Milczeli chwilę, a Baldur omiół wszystko okiem kamery. Potem podpłynął do Aleksa i usiadł obok niego.

– Będziemy musieli poważnie porozmawiać z Tshombe.

– Też tak myślę. – Aleks westchnął. – Wygląda na to, że ktoś celowo zatopił ten statek.

– Niby jak? Mówiłeś, że dziobnica nie jest uszkodzona. Nie było bomby.

– No właśnie. Nie jest uszkodzona, więc została otwarta. A raczej jej nie zamknięto.

– Obawiam się, że musisz mówić jaśniej.

– Płynąłem tym statkiem, Baldur. To znaczy nie tym. Takim samym. Wiem, jak wygląda procedura zamykania furty. Najpierw unosi się rampę, potem opuszcza dziobnicę. A później jedno i drugie trzeba zaryglować. Gdyby furta została zaryglowana, to byłaby porozrywana w gniazdach rygli. A nie była. Wniosek jest następujący: *Raginis* wypłynął w morze z niezabezpieczonymi wrotami. Musiał zatonać.

Ponownie zamilkli. Trudno było znaleźć temat do rozmowy, patrząc na to wszystko. Aleks odczuwał ogólne zniechęcenie. Poczł się nagle bardzo zmęczony. Najchętniej położyłby się teraz do łóżka i spał przez dwadzieścia godzin. Świadomość tego, ile jeszcze jest do zrobienia, nim w końcu zakopie się w pościeli, stanowczo psuła mu humor.

– Wiesz co – zaczął Baldur. – Patrę na to wszystko i... – Przerwał na moment. – Patrę i zastanawiam się, czy oni byli już tam martwi, czy... No wiesz, czy się utopili. Jezu, to straszne.

– Nie mam pojęcia – odparł spokojnie Aleks.

– A ja mam – odezwał się znajomy głos w ich słuchawkach.

Spojrzeli w jedynym kierunku, z którego mógł ktoś nadpłynąć, i ujrzeli Kuupiksena lawirującego pomiędzy zwłokami.

– Co ty tu robisz?! – wrzasnął Baldur.

– To, czego ty nie potrafisz – odparł Grenlandczyk. Głos miał zupełnie spokojny, jakby to, na co patrzył, nie robiło na nim większego wrażenia. – Widzicie tę pianę unoszącą się w wodzie? To wymiociny. Wymioty są standardową reakcją organizmu, kiedy człowiek opije się słonej wody. A picie wody jest standardową reakcją człowieka, który się topi. Ponadto niektórzy mają zakrzepłą krew w uszach. W trakcie utonięcia w zbiorniku głębszym niż sześć metrów następuje krwotok z ucha środkowego i...

– A ty co, kurwa – warknął Baldur – młodociany detektyw?

– A ty myślisz, że ja całymi dniami tylko siedzę w basenie? Studiuję medycynę, głąbie!

– Studiujesz medycynę? – zdumiał się Baldur. – Nie wiedziałem. Dlaczego ja o tym nie wiedziałem?

– Boś głąb – powtórzył Kuupiksen.

– A ty nie lepszy! – odciął się Baldur. – Żeby zaliczyć wpadkę dopingową, będąc studentem medycyny? Pewnie straszliwie się z ciebie nabijają w szkole.

Kuupiksen westchnął.

– Dobra – przerwał to Aleks. – Wynośmy się stąd.

Ruszyli w kierunku szczeliny w kadłubie. Nikt się za siebie nie obejrzał, jakby udawali, że nie widzieli nic szczególnego. Jednak Aleks w pewnym momencie się zatrzymał. Potem machnął płetwami dwa razy, skręcił ciało i zawrócił.

– Co robisz? – zapytał Baldur.

Aleks nie odpowiedział. Podpłynął do kłębiących się pod sufitem ciał. Wyciągnął z kieszeni na udzie nóż.

– Nie zamierzasz chyba... – zaczął Baldur, ale szybko zrozumiał, że owszem, Aleks zamierzał. Podpłynął do jednego z ciał, chwycił je za nadgarstek i zaczął go odcinać. Szło opornie i Aleks musiał włożyć w to zadanie sporo sił. Był już spokojny. Wiedział, że tak trzeba.

– Jezu, Aleks – jęknął Baldur.

– Sprawdźmy odciski palców – wyjaśnił Aleks. – Woda jest zimna, więc naskórek jeszcze się nie oddzielił.

Kostki nadgarstka opierały się przez kilka chwil, ale w końcu

Aleksowi udało się odciąć dłoń. Pokazał ją Baldurowi, a ten tylko machnął ręką. Aleks wsadził dłoń do niewielkiej torby przytroczonej do piersi i ruszył w kierunku pozostałych.

Wyłynęli przez szczelinę. Od skutera dzielił ich niewielki dystans.

– Anga, ile nam zostało czasu? – zapytał Aleks, a Kuupiksen spojrzął na zegarek i odparł:

– Dziesięć minut do odjazdu. Licząc już z rezerwą.

– Popłynemy jeszcze do sekcji dziobowej.

– Mówiłem ci, że nic tam nie ma.

– Wiem. Ale skoro mamy czas, to możemy się jeszcze rozejrzeć. Więcej tu na pewno nie wrócimy.

Baldur burknął coś niezrozumiałego, ale Aleks odebrał to jako zgodę. Ruszyli we trzech wzdłuż kadłuba. Płynęli tuż nad dnem, przyswiecając sobie latarkami. Gdy kadłub się nagle skończył, Baldur rzekł:

– Teraz za mną. Wiem, gdzie leży sekcja dziobowa.

Wzniesli się nieco, bo na dnie zalegały porozbijane ciężarówki i wagony kolejowe. Minęli dwa tiry, które stały na kołach, a kabiny miały wczepione w siebie, jakby dopiero co uczestniczyły w zwykłym wypadku drogowym. Dalej walała się furgonetka ze sprzętem ratunkowym, co wywołało u Aleksa lekki uśmiech. Ot, paradoks. Sprzęt ratunkowy zatopiony w trakcie katastrofy morskiej. Dziesiątki kamizelek walało się po dnie. Najwyraźniej były uszkodzone, skoro nie wyłynęły. Dalej leżało kilka wagonów i rozerwana wpół naczepa.

– Stać. Cisza! – syknął nagle Kuupiksen i wskazał palcem coś znajdującego się nieco na lewo i w dół od nich. Początkowo niczego nie zauważyli. Baldur skierował w tamtym kierunku światło, ale Kuupiksen wykonał gwałtowny ruch i zasłonił snop.

– Gasić! – szepnął Grenlandczyk i wszyscy trzej natychmiast wyłączyli latarki. Ale światło nie zgasło. Od przodu nadpływała grupa nurków. Ich latarki były mocne, a mężczyźni nie starali się przesadnie ukryć swojej obecności. Gdy się zbliżyli, Kuupiksen pokazał pozostałym sześć palców. Baldur machnął ręką, by zwrócić na siebie uwagę, a gdy mu się udało, wskazał palcem

rozerwaną naczepę. Kiwnęli głowami i powoli popłynęli w jej kierunku. Wewnątrz walały się drewniane palety i tysiące porozbijanych słoików. Trzeba było bardzo uważać. Podpłynęli do rozerwanej plandeki i skryli się za nią. Mieli teraz bardzo dobry widok i jednocześnie pewność, że sami nie zostaną dostrzeżeni.

Intruzi płynęli przy samym dnie. Trzech pierwszych omiatało latarkami okolicę. Pozostała trójka po prostu płynęła za nimi, co jakiś czas tylko świecąc za siebie, jakby pilnowali tyłów. Ten na czele co jakiś czas odwracał się do towarzyszy i wydawał im na migi polecenia. Wtedy jego towarzysze płynęli nieco na boki, ale tylko na chwilę. Sprawdzali coś w innych sektorach dna, a później szybko wracali na dawne pozycje.

– Nie słyszą nas – powiedział spokojnie Aleks. – Gdyby mieli mikrofony i nadawali na tych samych częstotliwościach, to już byśmy o tym wiedzieli. Zresztą i oni od dawna wiedzieliby o nas. Ciekawe, czego tu szukają.

– Czegoś na pewno – wtrącił się Baldur. – Przeczesaują dno.

– I to jest dziwne – uzupełnił Aleks. – Gdyby szukali kontenera z ciałami, zachowywaliby się inaczej.

– Niekoniecznie – odparł Baldur. – Wrak pękł. Wiele pojazdów się wysypało. Nie mogą wiedzieć, że kontener z trupami jest wciąż we wraku.

– Uciszcie się w końcu – warknął Kuupiksen. – Marnujecie powietrze.

Posłuchali go. Aleks spojrzał na zegarek. Zostało im pięć minut, a potem przynajmniej dziesięć będą płynąć do *Lero*.

– Rozumiem, że mamy rezerwę do rezerwy – powiedział z nadzieją.

– Oczywiście, że mamy – odparł poirytowany Grenlandczyk. – Inaczej nie zgodziłbym się tu płynąć. Ale za dwadzieścia pięć minut musimy być na powierzchni. Choćby skały srały... Kurwa, patrz!

Wskazał palcem w kierunku nurków. Ten, który dotąd płynął na końcu, przyspieszył i wyminął dwóch swoich towarzyszy. W rękę trzymał długi nóż. Nim pozostali zorientowali się w sytuacji,

zatopił go po rękojeść w plecach jednego ze skrzydłowych. Ci dwaj z czoła odwrócili się gwałtownie, a wtedy okazało się, że pozostali też mają w rękach noże. Drugi ze skrzydłowych, wielki chłop, ruszył do ataku, ale nie miał dużych szans. Dwóch napastników oplotło go ramionami, a trzeci wbił mu nóż w brzuch. Olbrzym musiał umrzeć natychmiast, bo jego ciało opadło na dno jak kamień. Mordercom pozostała już tylko jedna ofiara. Płetwonurek, który dotąd płynął na czele, zamachał rozpaczliwie płetwami, ale nie miał w tym chyba zbyt wielkiej wprawy, bo pomimo gwałtownych ruchów udami prawie nie ruszył się z miejsca. Zabójcy dopadli go i chcieli powtórzyć manewr, dzięki któremu załatwili wielkiego skrzydłowego. Dwóch schwyciło ofiarę, a trzeci zadał cios. Ale dość słaby, bo nim zdążył skończyć pchnięcie, jego nerkę rozerwało ostrze Baldura, który nieoczekiwanie wkroczył na scenę. Aleks nie potrafiłby zliczyć, ile razy przestrzegał przyjaciela przed takim postępowaniem. Ile razy mówił, że nie wiadomo, kto tu jest dobry, a kto zły. Kto ma słuszość, a kto jest zwykłym mordercą. Ale teraz wszystko to nie miało znaczenia, bo Baldur stał się jedną ze stron.

Raniony przez morderców płetwonurek opadł na dno. Podobnie jak ten, który stracił nerkę. Baldur nie czekał jednak na rozwój wydarzeń i natarł na kolejnego napastnika. Ten jednak okazał się bardzo szybki. Najwyraźniej nie pierwszy raz bił się pod wodą. Skręcił ciało i ostrze Farera minęło go o włos. Baldur błyskawicznie przeanalizował sytuację i wystawił przed siebie rękę na wypadek kontry. Która istotnie nastąpiła. Zderzyli się przedramionami, a ostrze noża bandyty zawisło dziesięć centymetrów od skrytej pod lateksową kryzą szyi Baldura. Tym samym napastnik stracił swą ostatnią szansę, bo ułamek sekundy potem Aleks przeciął mu nożem przewód wiodący od butli. Facet złapał się za szyję i gwałtownie zakotłował wodę płetwami, usiłując skierować się ku powierzchni. Ale nie miał szans. Trzeci z napastników nie zamierzał podzielić losów kumpli i rzucił się do ucieczki. Baldur dopadł go, ale jedyne, co zdołał zrobić, to wbić mordercy nóż w łydkę. Tamten szarpnął się, a zdrową nogą

kopnął Baldura w hełm. Farer zachwiał się, a napastnik zatrzepotał płetwami i odpłynął.

– Baldur, zostaw go! – krzyknął Aleks. – Czas nam się kończy!

– Co z tym zaatakowanym?

– Żyje, ale ma nóż w brzuchu. Na szczęście niezbyt głęboko. Musimy spadać. Ale już.

– Gdzie Kuupiksen?

– Zwiął.

– Zabiję skurwysyna.

– Uspokój się. – Gall wskazał palcem na rannego płetwonurka. – Musimy go zabrać.

Podpłynęli do rannego i chwycili go pod ramiona. Był nieprzytomny, ale oddychał miarowo. Każdy z nich wiosłował jedną ręką, ale poruszali się wolno. Sytuacja była beznadziejna, lecz po raz kolejny Kuupiksen okazał się użytecznym partnerem. Nagle ujrzeli oślepiające światło, a pół minuty później Grenlandczyk zatrzymał przy nich skuter. Przytroczyli rannego do torpedy, jak spętanego kowboja do końskiego grzbietu. Z jednej strony zabezpieczał go Baldur, z drugiej Aleks. Kuupiksen podkręcił manetki i maszyna ruszyła przed siebie.

Na początku płynęli przy samym dnie. Grenlandczyk kilkakrotnie korygował kurs, kierując się wskazaniem elektronicznego namiernika. Po blisko dziesięciu minutach wpłynęli na trzy metry, dzięki czemu odbyli dekompresję. Na powierzchnię wynurzyli się dopiero przy burcie *Lero*. Peter i jego załoga sprawnie ich wyłowili. W wodzie został tylko Baldur, który wspomagał podejmowanie z wody skutera. Rannego nurka natychmiast zaniecono do zlokalizowanej w rufowej części kadłuba kajuty.

– Ostrożnie – ostrzegł Aleks. Nie niósł rannego. Tym zajęli się ludzie, którzy w tej chwili mieli więcej sił niż on. Odpiął sprzączkę hełmu, zdjął go i po raz pierwszy od godziny odetchnął świeżym powietrzem.

Marynarze położyli rannego na koi. Jedno spojrzenie na niewielkie wybrzuszenie skafandra uzmysłowiło Aleksowi, że płetwonurek jest kobietą. Ratownicy też już to wiedzieli. Zdjęli jej

hełm.

Aleks podszedł bliżej i przysiadł na skraju koi. Dziewczyna była młoda. Włosy miała rude i poskręcane. Suche. Najwyraźniej przebicie nożem skafandra nie spowodowało zalania hełmu, czego Aleks obawiał się przez całą drogę.

Nagle statkiem szarpnęło. Położył się delikatnie na burtę, maszyny ryknęły i statek skoczył do przodu. Aleks zerwał się na równe nogi i wyskoczył z kajuty. Wpadł na korytarz, a na zewnątrz spotkał Baldura.

– Kurwa mać! – wrzasnął Farer. – Napierdalają do nas z armaty! Rozumiesz to?

Faktycznie, jak na komendę nocną ciszę przerwał odgłos wystrzału połączony z nieprzyjemnym świstem. Kilkaset metrów za rufą rozhukana przez nieustający sztorm tafla wody pokryła się setką drobnych pienistych wykwitów. Następna salwa uderzyła w niemal to samo miejsce. Dwie kolejne również. Strzelcy się nie poddawali i ostrzeliwali przeciwnika prawie pięć minut, nim działo w końcu zamilkło.

– Nie trafią – zawyrokował Aleks.

– Na pewno nie – potwierdził Baldur, natychmiast odzyskując spokój. Miał zbyt duże doświadczenie, by nie zauważyć, że napastnicy strzelają na oślep. Nawet jeśli ich namierzą, to nie zdążą już zmienić ustawień. *Lero* był stary, ale bardzo szybki. Robił prawie trzydzieści węzłów. A tam, na pokładzie szwedzkiej korwety raketowej typu Visby w końcu ktoś zda sobie sprawę, że nie można sobie tak bezkarnie strzelać do cywilnego statku. Jeden pocisk wystrzelony z boforsa kalibru pięćdziesiąt siedem milimetrów kosztuje tysiąc euro. W minutę boforsa wypłuka ich dwieście dwadzieścia. Co oznacza, że w ciągu ostatnich pięciu minut załoga korwety utopiła w morzu milion euro. Czyli jakieś dziewięć milionów szwedzkich koron. Jeśli mają na pokładzie księgowego, to właśnie ordynuje on kapitanowi przeciąganie pod kilem.

– Mogą nas jeszcze dogonić – myślał na głos Baldur.

– Teoretycznie – odparł Aleks. – To szybkie statki. Wyciągają nawet trzydzieści pięć węzłów. Ale nie w taką pogodę. Zresztą,

skoro do nas strzelali, to znaczy, że chcą nas zatopić, a nie aresztować.

– Co oznacza, że boją się tego, co odkryliśmy – zawyrokował Baldur.

– No właśnie. I chyba im się nie dziwię.

– Będziemy mieli problemy, Aleks.

– Wiem.

ROZDZIAŁ 36

Pan Jednorożec nie spodziewał się telefonu o tej porze i poważnie rozważał odrzucenie połączenia. W domu? Przy żonie? Na pewno nie będzie rozmawiać. Wcisnął czerwoną słuchawkę.

- To znowu ona? - zapytała zaspana blondynka.
- Jaka znowu ona? - zdumiał się Pan Jednorożec.
- Żartuję, głupolu.
- Ach. Już myślałem...

Kurwa mać! Muszę z nim porozmawiać.

Wstał i wsunął stopy w kapcie.

- Dokąd idziesz?
- Do kibelka.
- I zabierasz telefon?
- Kochanie, muszę oddzwonić. Biznes.
- Wracaj szybko. - Ziewnęła i obróciła się na bok. Pan Jednorożec wiedział, że jak wróci, to będzie już spała. Nie miała podstaw, by mu nie ufać. Ich życie było piękne. Ale jeśli nie oddzwoni, wszystko może się zmienić.

Powlókł się do łazienki. Zamknął za sobą drzwi i wybrał numer Yngvego.

- Czego chcesz? - rzucił do słuchawki, gdy tylko ustał sygnał.
- Dlaczego nie odbierasz? - syknął Yngve.
- Zdaje się, że to ty nie chciałeś, bym dzwonił.
- Ale teraz ja dzwonię. Gall był na wraku.
- Co?
- To ja się pytam co. Miałeś z nim coś zrobić, idioto! - krzyknął admirał.
- A ty miałeś zabezpieczyć wrak.
- I pracuję nad tym. Ale to trudne. A ty...
- Uspokój się. Na pewno nie znalazł kontenera.
- Skąd ta pewność?

– Logika. Tam była masa kontenerów. Myślisz, że przeszukiwał każdy?

– Nie wiem. A ponieważ nie wiem, zakładam najgorszą możliwość. Załatw to w końcu! Ja muszę teraz trochę poprzesuwać pionki na szachownicy.

– Co?

– Nie wszystkim mogę ufać.

– To twój problem.

– To nasz wspólny problem. I jak widzę, z nas dwóch tylko ja jeden usiłuję go rozwiązać.

Połączenie zostało przerwane.

ROZDZIAŁ 37

Pan Dżuma nie spodziewał się telefonu o tej porze, ale na wszelki wypadek zostawił włączony dzwonek. I teraz bardzo tego żałował. Szybkim ruchem uniósł kołdrę i przegnał prostytutkę, z której usług korzystał prawie co noc, bo była bardzo sprawna w tym, co szczególnie sobie upodobał. Dziewczyna westchnęła i sięgnęła po czarny, prześwitujący stanik, który jeszcze przed chwilą miał na twarzy. Duże piersi zabujały się tuż przed jego oczami. Jedna z nich uderzyła go w policzek, a on wyciągnął język, po polizać prześlizgujący się po wargach sutek. Dziewczyna chwyciła stanik i uderzyła nim Pana Dżumę w twarz. Lekko. Bez złości. Tylko po to, by wiedział, że jest rozczarowana.

Telefon przestał dzwonić. Dziewczyna wstała. W pokoju panował półmrok, ale i tak widział jej boskie kształty. Ależ on uwielbiał tę dziewczynę. Chętnie by się z nią ożenił. Naciągnęła na siebie stringi. Robiła to długo i przesadnie wypinając pupę. Potem przysła kolej na jasne obciste dżinsy, a dalej poszło szybko i za chwilę gotowa była do wyjścia.

- Pieniądze są na stoliku! – krzyknął za nią.
- Wiem! Zawsze tam są.
- Do jutra.

Ciche trzaśnięcie drzwi upewniło go, że już wyszła. Chwycił telefon. Jego ekran na moment rozświetlił pomieszczenie. Oddzwonił.

- Dlaczego nie odbierasz? – warknął Pan Jednorożec.
- Ponieważ pewna piękna kurewka właśnie robiła mi przyjemne rzeczy. Wisisz mi trzy tysiące koron. Może być w euro.
- Gall był we wraku.
- Wiem o tym.
- Jak to wiesz? I nic mi nie powiedziałaś? Za co ci płacę?
- Tak naprawdę to jeszcze mi nie zapłaciłaś ani centa.

- Pamiętasz umowę? Po robocie. Której nie wykonujesz. Nie sądzisz, że powinieneś był mi powiedzieć, że Gall płynie na wrak?
 - A co by to zmieniło? I tak byś go nie powstrzymał.
 - Koniec tego dobrego, Panie Dżuma. Oczekuję efektów.
 - Czego konkretnie?
 - A jak myślisz? Zabij go.
 - Wcześniej mówiłeś, że...
 - Wcześniej mówiłem. A teraz mówię, że masz go zabić. Sprawy zaszły za daleko.
- Rozłączył się.

ROZDZIAŁ 38

Barbarian nie spodziewał się telefonu o tej porze, zwłaszcza od Pana Dżumy, który przecież leżał w sąsiednim pokoju hotelowym, i z tego, co Barbarian wiedział, spędzał właśnie czas z Kittie. A może nie? Ściany nie były grube i zwykle chłopak słyszał, gdy Pan Dżuma zrzucał z siebie swoją ulubioną dziewczynę i zabierał się do swojej części roboty. A podobno rzucić ją z siebie nie było łatwo. Pan Dżuma tak twierdził.

Wcisnął kwadracik na padzie i Messi oddał strzał. Niestety za mocno i piłka przeszła nad poprzeczką.

– Kuuurwaa! – wrzasnął, ciskając padem o podłogę. Urządzenie wyłączyło się, a na ekranie pojawił się baner sygnalizujący zapauzowanie gry. To była ostatnia szansa. Jego Barcelona przegrywała z Juventusem 0:2. Potrafił odrobić takie straty, ale minęła właśnie osiemdziesiąta minuta gry. Gdyby teraz trafił, mogłoby się udać. Ale nie trafił.

Ależ ja nienawidzę tej głupiej, oszukańczej gry.

Wstał i nacisnął na konsoli przycisk „off”. Fifa 13 znikła z ekranu, a jego telefon przestał dzwonić.

– Zaraz! – krzyknął, bo był przekonany, że Pan Dżuma i tak go słyszy. Podniósł komórkę i wybrał numer.

– Dlaczego nie odbierasz? – zapytał pogodnie Pan Dżuma.

– Nie denerwuj mnie – warknął Barbarian.

– Znowu przegrałeś?

– Nie denerwuj mnie!!

– Idź spać, Barbie. Zaczynamy prawdziwą robotę.

– Zleceniodawca się dowiedział?

– Tak.

– I co?

– Jak to co? Kazał zabić Galla.

– A my go zabijemy.

– Ależ skąd.

- Czasami cię nie rozumiem.
 - Ale zawsze ze mną zarabiasz.
 - Jeżeli zleceniodawca się dowie, że z nim pogrywasz, to gówno zarobimy.
 - Nie martw się.
 - Dlaczego właściwie go po prostu nie zabijemy?
 - Bo wtedy nam na pewno nie zapłaci.
 - Chodziło mi o Galla!
 - Przecież wiem. Uspokój się. Zabawimy się z nim.
 - Musisz naprawdę nienawidzić tego człowieka.
 - Idź spać, Barbie. Najbliższe dni będą bardzo intensywne.
- Rozłączył się.

ROZDZIAŁ 39

Aleks przeciągnął się na wygodnej skórzanej sofie. Na pewno nie takiej z Ikei. Ta musiała kosztować więcej, niż on zwykł wydawać na samochody. Była szara, ani za miękka, ani za twarda. Idealny mebel.

Wstał i kolejny raz podszedł do półki z płytami CD. Były ich tysiące. Właściwie cała ściana zastawiona była eleganckim, mahoniowym regałem, wypełnionym plastikowymi opakowaniami. Aleks nie chciał ich dotykać. Nie był u siebie. Ale męczyła go ta cisza. Podniósł więc pilota i wcisnął „play”. Sprzęt audio był imponujący. Wprawdzie Aleks zupełnie się na tym nie znał, ale już sam wygląd sugerował, że są to zabawki z najwyższej półki.

Tkwiąca w napędzie płyta zawirowała niemal bezgłośnie i po sekundzie z głośników popłynęły pierwsze dźwięki, a Aleks aż podskoczył. Znał te smyczki. Uśmiechnął się i wrócił na sofę. Zamknął oczy. Po niedługim instrumentalnym wprowadzeniu usłyszał wspaniały, potężny sopran Marity Solberg. Śpiewała po norwesku, ale jemu to nie przeszkadzało. Znał te słowa. Potem kilka chwil przepętnionego próżną nadzieją wesołego przyśpiewu, a wraz z następną ciężką i smutną partią smyczków kolejne refleksje.

– Piękne – usłyszał słaby głos dobiegający z rogu pomieszczenia. Przyciszył i podniósł się z miejsca. Dziewczyna wciąż była blada, ale jej spojrzenie upewniło go, że nic jej nie jest.

– Co to takiego?

– Peer Gynt, Pieśń Solvejgi, Edwarda Griega. Przypuszczam, że wszyscy Skandynawowie go uwielbiają.

– Nie dziwię się. – Zdobyła się na delikatny uśmiech, co bardzo dodało jej uroku. Słabe, niepotrafiące sobie poradzić z grubą kurtyną chmur słońce przespacerowało się po jej twarzy, uwypuklając niewielką bliznę na policzku. Aleks uznał, że

dziewczyna jest piękna.

- Ja też nie – odpowiedział.
- O czym to?
- O czym? O miłości oczywiście.
- Ale chyba niezbyt szczęśliwej.
- Niezbyt.

Kiedy opuścili wczoraj *Lero*, Baldur uznał, że potrzebują bezpiecznego lokum. Hotele odpadały. Jeśli ścigało ich wojsko, a wiele na to wskazywało, potrzebowali miejsca, gdzie nie było recepcjonisty służbisty, kamer i obowiązku meldunkowego. Baldur zadzwonił do kogoś i powiedział mu, że potrzebuje jego apartamentu na kilka dni, a ów ktoś odrzekł, że i tak miał zamiar wyjechać na wakacje. Podobno na południowej półkuli temperatury sięgają trzydziestu stopni Celsjusza. Baldur był niesamowitym człowiekiem. Wszędzie na świecie miał kogoś, kto mu wisiął przysługę. Albo kogoś, na kogo miał haka. A jeśli nie miał, to w każdej chwili mógł zdobyć. Wszyscy skrywamy tajemnice. Gospodarz tego mieszkania chyba właśnie wyzbył się długu. I zapewne zrobił to z radością, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał mieć długu u Baldura.

- Opowiedz mi, co się stało – poprosiła dziewczyna.
- Najpierw ty – odparł stanowczo, spoglądając na zegarek. Miał nadzieję, że Farer wróci, nim dziewczyna się obudzi. Wyszedł o szóstej rano. Mijała właśnie dziewiętnasta, a jego wciąż nie było.
- Szukałam męża – powiedziała dziewczyna.
- Są chyba lepsze sposoby.
- Nie, nie. Dobra. Od początku. Nazywam się Marianne Eek. Pochodzę z Tallinna, a mój mąż jest Polakiem. A właściwie... Chyba był. Podejrzewam, że utonął na *Raginisie*.
- Podejrzewasz?
- Jego nazwiska nie ma na liście ofiar. Ale wiem, że tam był. Dzwonił do mnie ze statku.
- Mógł kłamać.
- Nie.
- Nie?

– Po co?

– Mężczyźni...

– Nie. Nasz związek można było nazwać nowoczesnym. On był kierowcą ciężarówki. Jeździł po świecie. Pozwalałam mu na zaspokajanie apetytu, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Nie bardzo.

– O rany, pozwalałam mu uprawiać seks z innymi kobietami, jeśli długo był poza domem. A on z tego korzystał, ale niezbyt często.

– Naprawdę ci to nie przeszkadzało?

– Naprawdę. Ja też lubię ładne dziewczyny. Nieważne. Może trudno w to uwierzyć, ale zapewniam cię, że gdyby chciał pobzykać, toby mi o tym powiedział. Zawsze mi mówił przed.

– Niezły układ. – Aleks się zaśmiał.

– Prawda? Myślę, że na liście jest błąd. Ale muszę się upewnić. On i ja... To nie była miłość jak z filmu, ale było nam ze sobą dobrze.

– Ciekawe – zastanowił się Aleks. – Zeszłaś pod wodę, więc uzyskałaś zgodę.

– Trochę nakłamałam temu admirałowi. Najpierw chciałam go zmiękczyć, mówiąc, że jestem w ciąży, ale ten palant kompletnie to zignorował. Więc powiedziałam mu, że wiem, co szmugluje, i faja mu zmiękła.

Aleks uniósł brwi.

– No więc co szmugluje? – zapytał.

– Nie wiem. – Wyszczерzyła w uśmiechu równiutkie białe ząbki.

– Ale najwyraźniej coś szmugluje, skoro się zgodził. Kamil, mój mąż, powiedział mi, że wielokrotnie wiozł ładunki, które były obsługiwane poza kolejnością i wchodziły na prom bez kontroli. On sam nie wiedział, co to. Myślałam, że to taka paplanina, jakiej nieraz oddają się kierowcy. Ale nie miałam wyjścia. Blefowałam. I się udało.

– A potem o mało cię nie zabili.

Dziewczyna wzdrygnęła się i przez chwilę wyraźnie widać było strach przemykający po jej twarzy. Bezwiednie dotknęła ręką zranionego brzucha.

– Nic mi nie będzie, prawda? – zapytała drżącym głosem.

– Nic – potwierdził Aleks. – Rozcięli ci trochę skórę i to wszystko. Narządy nieruszone.

– Nie spodziewałam się, że jest do tego zdolny. – Westchnęła. – Czy moi ludzie...

– Nie żyją.

– Zabiję tego skurwysyna – warknęła i uniosła się na łokciach. Ale zapału starczyło jej tylko na chwilę. Poczowała ból i opadła z powrotem na poduszkę. Dokładnie w chwili, gdy u drzwi zadzwonił dzwonek. Aleks zamarł.

– To pewnie ten drugi, no nie? – powiedziała Marianne.

– Raczej nie. On by nie dzwonił. Idź do drugiego pokoju i się schowaj. Tam jest zresztą wygodniejsze łóżko.

Wstała, sycząc z bólu, i dopiero wtedy zorientowała się, że ma nieosłonięte piersi.

– Co, do kurwy nędzy? – warknęła.

– O, wybacz. Musiałem cię opatrzyć. Byłaś cała mokra i bałem się, że dostaniesz gorączki, więc...

– Pieprzony dobry samarytanin się znalazł – fuknęła, okręcając się kołdrą. Ale niesłusznie była zła. Aleks mówił prawdę. Dopiero teraz spostrzegł, jaka jest zgrabna. Nim owinęła się kołdrą, widział ją przez ułamek sekundy. Małe, ale za to krągłe piersi, wąska talia i długie nogi. Mogłaby być modelką. Miała na sobie tylko białe stringi i Aleks żałował, że nie zdążył rzucić okiem na pupę. W sumie pod pewnymi względami był dokładnie taki sam, jak każdy inny facet. Ale wcześniej, gdy leżała nieprzytomna, a on rozcierał jej zmarznięte ciało ręcznikiem, kompletnie nie zwracał uwagi na jej wdzięki. Bo pod pewnymi względami Aleks był zupełnie odmienny od innych facetów.

– No idźże – ponaglił ją, a ona spojrzała na niego z ukosa i ruszyła do sąsiedniego pokoju. Mijając go, zakręciła zalotnie biodrami. I pokazała środkowy palec.

Aleks powoli podszedł do drzwi. Zupełnie bezgłośnie. Nie miały wizjera i nie mógł sprawdzić, kto czai się po drugiej stronie. Ale był niemal pewien, że mieszkanie jest bezpieczne. Baldur nie nawalał w takich kwestiach.

Błyskawicznym ruchem przekręcił zamek i szarpnął za klamkę. Impet, z jakim drzwi się otworzyły, całkowicie zaskoczył Kjerstin Vasę.

ROZDZIAŁ 40

Aleks zdążył jedynie dochować podstawowych obowiązków dobrego gospodarza. Gdy tylko przyniósł Kjerstin kubek z kawą, w drzwiach stanął Baldur. A minę miał bardzo nieszczególną. Usiadł na sofie i ciężko westchnął.

– Co jest? – zapytał Aleks.

– Problemy. Cześć, Kjerstin. Ty jesteś Kjerstin, tak? Wybacz, że padłem, ale jestem padnięty.

– Nie szkodzi. – Śledcza machnęła ręką.

– Rozumiem, że to ty ją tu ściągnąłeś – powiedział Aleks.

– Sama się ściągnęła. Dzwoniła na twoją komórkę. Zostawiłeś ją w aucie, więc odebrałem.

– Faktycznie. Zostawiłem ją w ładowarce. Strasznie szybko się rozładowuje.

– Pewnie coś z baterią. Sprawdzę to. Potem. Teraz muszę odpocząć.

– A co cię tak zmęczyło?

– Panowie – przerwała Kjerstin, nim Baldur zdążył się obruszyć. A widać było, że ma zamiar to zrobić. – Może najpierw o ważnych rzeczach. Admirał Bergman chce zalać wrak betonem. Operacja rusza pojutrze. To bezprecedensowe działanie.

– Widać, że się skurwiel boi – powiedział Baldur.

– To już bez znaczenia, Kjerstin – dodał Aleks.

– Jak to bez znaczenia, kurwa mać? Wskoczyłam z dwudziestego czwartego piętra, by zdążyć cię ostrzec!

– Co zrobiłaś? – zdumiał się Aleks.

– Uwięzili mnie w tej Malezji. Kiedy tylko przyjechałam. Zamknęli mnie w apartamencie na dwudziestym czwartym piętrze. Wskoczyłam przez okno. Na balkon poniżej. I, kurwa, trochę w bok! Rzykowałam życie.

– Kjerstin – rzekł spokojnie Baldur – jemu chodzi o to, że Bergman może sobie zalewać wrak betonem do woli. Bo my już

na nim byliśmy.

Tym razem to śledcza zrobiła wielkie oczy.

– Co takiego? Znaleźliście coś?

Baldur spojrział na Aleksa, a ten wzruszył ramionami i powiedział:

– Kilka ciekawych rzeczy. Teraz będziemy je sprawdzać.

– No niekoniecznie. – Baldur westchnął. – Nastąpiła mała komplikacja. Tshombe oddał się wczoraj w ręce żandarmerii. Przetrzywiają go teraz razem z załogą i nie ma szans, byśmy z nim pogadali. Od rana programowałem jego rejestrator, a potem pojechałem z nim pogadać. A tu klops. Peter się martwi.

– Niedobrze – powiedział Aleks. – Ale może Nate coś poradzi.

– Boję się, że nie tym razem. – Baldur wyraźnie się martwił. – Siedzą w jednym dużym pomieszczeniu bez okien, bezustannie pilnowani. Nate jest dobry, ale zwykle działa skrycie. W każdym razie zadzwoniłem do niego i zobaczymy, co powie.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, co tu się dzieje? – zachnęła się Kjerstin.

Opowiedzieli jej o wyprawie na wrak. O oderwanej, ale nie zniszczonej furcie. Gdy opowiadali o kontenerze pełnym ciał, śledcza zbladła.

– To chyba nie był zwykły wypadek – zawyrokowała w końcu.

– Też tak sądzę – odparł Aleks. – Ale spróbujmy nie wyciągać pochopnych wniosków.

– Właśnie – poparł go Baldur. – Zwłaszcza że zaraz dowiemy się znacznie więcej. Rozgryzłem rejestrator. Mam masę danych. I niespodziankę. Mówiłem ci we wraku, ale chyba nie słyszałeś. Wyłowiłem kostkę pamięci z systemu monitoringu pokładowego. Wszystkie kamery.

– O. – Aleks się uśmiechnął. – W końcu jakaś dobra wiadomość.

– Jutro będzie jeszcze jedna. – Baldur wyszczerzył zęby. – Kup gazetę, a dowiesz się, że WADA ma poważne luki w systemie, przez co prawie zniszczyła karierę młodemu grenlandzkiemu sportowcowi.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Kjerstin nie. Akurat o udziale Kuupiksena w ekspedycji zapomnieli jej wspomnieć, więc nic nie

zrozumiała. Ale machnęła na to ręką.

– Do roboty, panowie. Nie wiem, ile mi zostało czasu. Myślę, że Siegbahn już na mnie poluje. Na szczęście nie wie, jak wyglądam.

– Tu cię nie znajdzie – zapewnił Baldur. Już miał ruszyć do biurka, ale naraz spojrział w kierunku zaciemnionego sąsiedniego pokoju. – Dziewczyna nadal śpi?

– Obudziła się na chwilę – powiedział krótko Aleks. – Kazałem jej się schować w drugim pokoju, bo nie wiedziałem, kto puka. Nie przyszła, więc pewnie znowu śpi. Wciąż jeszcze jest słaba.

Zasiedli do pracy. Mieli do dyspozycji trzy laptopy przyniesione przez Baldura. Czasu nie było dużo, a pracy tak. Podzielili się zadaniami. Robili swoje w milczeniu. W tle przez chwilę leciał Grieg, ale Baldur stwierdził, że rozprasza go taka muzyka. Podszedł do regału, chwilę poszperał, po czym radośnie zakrzyknął i wyciągnął jedną z płyt. Aleks zrozumiał podniecenie swojego przyjaciela, gdy tylko usłyszał dobywający się z głośnika śpiew. Baldur podarował mu kiedyś płytę Eivør Pálsdóttir, więc znał kilka jej kawałków. A Føroyar Mín Móðir, którym raczyła ich właśnie farerska wokalistka, bardzo przypadło mu do gustu. Dziewczyna śpiewała w języku, który rozumiało ze trzydzieści tysięcy ludzi. A mimo to miała fanów w całej Europie. Pomieszkując chwilę w Hamburgu, Aleks poszedł kiedyś do klubu Prinzebar na jej koncert.

Po Føroyar Mín Móðir było jeszcze Trøllabundin oraz Í Gøtu ein dag. Wszystko, co najlepsze. Niech żyją składanki. Potem jeszcze kilka numerów, ale ani Baldur, ani Aleks nie zauważyli, kiedy płyta się skończyła. Pochłonięci już byli pracą. Zmieniarka wykonała za nich robotę i włączyła się Wardruna.

Kiedy Baldur już się zabierał do pracy, nigdy jej nie przerywał, dopóki nie skończył. Nieważne, czy chodziło o sfalszowanie jakiegoś dokumentu, włamanie na jakiś serwis czy posprzątanie mieszkania. Ale tym razem było inaczej. Stało się to, gdy wstał na moment, by rozprostować barki i machinalnie spojrział na Aleksa. Jego przyjaciel nieobecny wzrokiem wpatrywał się w monitor, co dziesięć sekund cofając i powtarzając jakąś scenę z oglądanego właśnie materiału.

– Co tam masz, bracie? – zapytał, podchodząc do Galla.
– Spójrz. – Cofnął materiał trochę dalej. Włączył przyspieszanie.
– Co tu się dzieje? Co to jest?
– Kamera umieszczona na mostku. Zobacz, przez całą godzinę się kłóca.

– O co?

– Nie wiem, nie ma dźwięku.

– Sternik niby manewruje, ale chyba niezbyt się skupia na przyrządach – zauważył Farer. – A tych dwóch to chyba zaraz się pobije.

– Nie zdążą – odparł Aleks. – Patrz dalej.

Przesunął obraz nieco do przodu. Jeden z mężczyzn, którzy przed chwilą gotowi byli skoczyć sobie do gardeł, wysłuchiwał teraz reprimendy od kogoś nowego.

– Ten facet to kapitan Hassnik – poinformował Aleks. Tymczasem do niego i Baldura dołączyła również Kjerstin.

– A ten drugi to prawdopodobnie Peter Holmstrom – powiedziała. – Inspektor od nowego armatora.

– Czyli wtyka – rzekł Baldur. – Nic dziwnego, że nie pałają do siebie miłością.

– To, co widzicie, rozgrywa się minutę przed katastrofą.

– Co?! – krzyknął Farer. – Przecież tu się nic nie dzieje. Niemożliwe, żeby...

Zamilkł. Dalszą część oglądali w ciszy. Nagle jeden z marynarzy zaczął pokazywać coś przez szybę sterówki. Kapitan rzucił się w kierunku stanowiska radarowego. Coś przełącza, a zaraz potem macha rękami w kierunku sternika. Ten szarpie joystickiem. Przez dziesięć sekund nic się nie dzieje, a potem zupełnie nagle...

– O kurwa – szepnęła Kjerstin. – Co to było? Cofnij!

Aleks cofnął i puścił jeszcze raz. Dziesięć sekund po tym, jak sternik nadał statkowi kierunek, obraz nagle przechylił się w lewo. Zdążyli zauważyć kapitana lecącego w przepaść. Dwóch innych marynarzy spadało tak szybko, że nie mogli ich rozpoznać. Wypełnione mrokiem szyby sterówki eksplodowały wszystkie jednocześnie i do pomieszczenia wdarła się woda. Pięć

sekund później było już po wszystkim. Obraz zrobił się czarny. Woda sięgnęła elektroniki.

– Przecież ta cała wywrotka nie trwa nawet dziesięciu sekund – powiedział Baldur.

– No właśnie.

– W świetle tego, co już ustaliliśmy, i mając to nagranie, wydaje mi się, że przyczyna katastrofy jest już jasna. Furta dziobowa musiała odpaść. Nie stwierdziłeś śladów eksplozji, więc...

– Furta nie została zamknięta – przerwał mu Aleks. – Mówiłem ci o tym wcześniej. Gniazda rygli nie zostały rozerwane. A bardzo wątpię, by wszystkie cztery rygle po prostu się rozsunęły. Chyba że ktoś je wysunął już w trakcie rejsu. Ale to się robi ręcznie. To znaczy za pomocą elektrycznych silników, ale każdy z czterech trzeba uruchomić ręcznie, a nie z pulpitu sterowania furką. Bardzo wątpię, by ktoś to zrobił.

– A ja mam pewną ciekawostkę na ten temat – wtrąciła się nieoczekiwanie Kjerstin i ruchem dłoni zaprosiła ich do swojego komputera. Przemieścili się do jej stanowiska, a ona wyjaśniła: – Dokopałam się do zapisu nagrań wewnętrznego systemu bezpieczeństwa. I znalazłam taką rozmowę.

Pogmerała myszką przy plikach i po chwili na ekranie pojawiło się okienko rozmowy wideo. Po prawej stronie zobaczyli nieruchomą twarz kapitana Hassnika. Po lewej – jego rozmówcy. Mężczyzny w sile wieku, o gładko ogolonej, trochę bladej twarzy. Aleks poczuł mrowienie na przedramionach. Ta twarz nie była mu obca. Już ją kiedyś widział. Usiłował szybko przeskanować pamięć, ale Kjerstin wcisnęła „play” i obraz ożył.

– Igor, furta mi tu wyje. Zamknąłeś ją? – zapytał kapitan.

– Zamknąłem, szefie – odparł mężczyzna.

– Zaryglowałeś?

– No przecież mówię.

– Dobra, pewnie to znowu czujnik. Możesz skasować alarm?

– Nie da się, szefie.

– Dobra. – Kapitan westchnął. – Skasuję u nas. Wychodzimy w morze. Zdrzemnij się chwilę.

– Dobry plan. – Mężczyzna się uśmiechnął, a zaraz potem

nagranie się urwało.

– To bosman Szeliga – powiedziała Kjerstin. – Chcecie zobaczyć jeszcze raz?

– Nie – odparł Aleks.

– Czyli furta została zamknięta – rzekł strapiony Baldur.

– Nie – powtórzył Aleks.

– Myślisz, że on kłamie? – zdziwił się Farer.

– Czy możesz mi sprawdzić w rejestratorze, kiedy uruchomił się alarm? – poprosił Gall. Baldur skinął głową i ruszył do swojego komputera. Przez kilka minut w milczeniu przekopywał się przez informacje. W końcu znalazł to, czego szukał.

– Wedle zapisów furta została zamknięta o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt cztery.

– I co dalej? – zachęcał Aleks.

– O dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt sześć statek ruszył i rozbrzmiał alarm.

Gall spojrział na Kjerstin, a ta zrozumiała jego nieme pytanie. Podeszła do swojego komputera.

– Rozmowa miała miejsce o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt sześć. Wygląda na to, że zaraz po tym, jak statek ruszył – powiedziała.

– A to oznacza, że Szeliga kłamał – skonkludował Aleks. – O dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt cztery system zanotował zamknięcie furty, a dwie minuty później bosman meldował zakończenie operacji. Ale panel sterowania znajduje się na pokładzie samochodowym. I stamtąd Szeliga odbył rozmowę z kapitanem. I nie ma możliwości, by w ciągu dwóch minut zdążył pójść na antresolę pokładu samochodowego, zasunąć rygle rampy, potem zejść na pokład kolejowy, zasunąć rygle furty i wrócić na stanowisko, by potwierdzić kapitanowi wykonanie wszystkich operacji. A przecież twierdzi, że zasunął rygle.

– A zatem mamy sabotażystę – oznajmił Baldur.

– Na to wygląda – zgodził się Aleks. – Co wyczytałeś z rejestratorów? – zapytał Baldura.

Farer chwycił swojego laptopa i usiadł z nim na sofie.

– Przede wszystkim niepokojące są wskazania klinometru.

Wykazał czterostopniowy przechył na lewą burzę.

– Kurs statku i kierunek wiatru? – zapytał Aleks.

– Kurs zero-jeden-zero. Niemal na północ. Prędkość między cztery a pięć węzłów, czyli prawie stali w miejscu. Wiatr wiejący na zachód, dwieście siedemdziesiąt stopni. Czyli musiało ich nieco chylić na tę przegłębią burzę.

– Nie, Baldur. Dwieście siedemdziesiąt stopni to wiatr wiejący na wschód. Kierunek wiatru określa się inaczej niż kurs statku. Zapis wskazuje, skąd wieje wiatr. A nie dokąd. Czyli mówimy o wietrze wiejącym z kierunku dwieście siedemdziesiąt stopni, a nie w kierunku dwieście siedemdziesiąt stopni. Jak ty się uchowałeś w naszym oddziale, do cholery?

– Zwykle siedziałem pod pokładem i grzebałem w komputerach – odciął się Farer. – W takim razie wiatr powinien równoważyć przechył, zmieniając nieco kurs. Przecież on tu miał falę prosto w burzę.

– Tak. Ale z zapisów radarowych i tego nagrania na mostku wynika, że w końcowej fazie gwałtownie skręcili w lewo.

– Zgadza się – potwierdził Baldur – prawdopodobnie po to, żeby uniknąć kolizji ze *Stepanique*.

– I wtedy przecięli linię wiatru – stwierdził Gall. – Musiało ich zdrowo przechylić.

– I to wystarczyło do wywrotki? – powątpiewała Kjerstin.

– Na pewno nie – odparł Aleks. – Ale natarli wtedy dziobem na falę. Jeśli w tym momencie urwała się furta, to przyjęli wodę na pokłady, leżąc już w pochyleniu. W takim wypadku wywrotka faktycznie mogła nastąpić błyskawicznie.

– W porządku, ale jedna rzecz mi się tu nie zgadza – powiedział Baldur. – Ja rozumiem, że są na świecie różne skurwysyny i ten Szeliga zwyczajnie mógł być jednym z nich. Ale jak na sabotaż, to strasznie dużo w tym wszystkim pozostawiono przypadkowi. Gdyby *Raginis* nie natknął się na *Stepanique*, to być może do niczego by nie doszło. Poza tym popraw mnie, jeśli się mylę, ale w Polsce zamachy samobójcze chyba nie mają szczególnie bogatych tradycji. A Szeliga musiał zginąć. Chyba że wyskoczył w ostatniej chwili, ale raczej już byśmy o tym wiedzieli.

– Słuszne uwagi – zgodził się Aleks. – I jedna, i druga. Ale w tej chwili nie wymyślimy satysfakcjonujących odpowiedzi. Trzeba to badać dalej.

– Musimy znaleźć sposób, by porozumieć się z Tshombe – powiedział Baldur. – Nie znam nikogo innego, kto szmuglowałby ludzi. Być może dzięki temu uda się powiązać ładunek z Szelią i rozwiązać zagadkę.

– Trzeba też ponownie odwiedzić Torgila Thoresena – wtrąciła Kjerstin. – Mimo wszystko ta sprawa trochę za bardzo przypomina wypadek *Herald of Free Enterprise*. Myślę, że warto go zapytać, dlaczego kapitan wyszedł w morze pomimo włączonego alarmu. Z tego, co wiem, w takiej sytuacji kapitan powinien osobiście przeprowadzić inspekcję furty. A poza tym... Przecież to jest w ogóle bez sensu. Co to znaczy, że po wyjściu w morze kapitan pyta o furtę? Chyba najpierw powinien być meldunek o gotowości?

– Powinien – potwierdził Aleks. – Ale z tego wszystkiego widać, że bardzo się spieszyli. Trzeba będzie dopytać o procedurę, ale podejrzewam, że to częsta praktyka. Zawsze jest tak, że procedura jedno, a praktyka drugie.

– Ale przecież to jest furta dziobowa, do diabła – wściekała się Kjerstin. – Rozumiem, że można tak zrobić z rufową. Ale nie z dziobową.

– Na *Heraldzie* tak zrobili – zauważył Baldur.

– *Herald* zatonął prawie trzydzieści lat temu. Dziś mamy inne czasy.

– Poza tym *Herald* miał trochę inną budowę niż *Raginis* – zwrócił im uwagę Aleks. – Tam furta otwierała się na boki. Nie była unoszona. Więc dużo łatwiej było ją zamknąć w ruchu.

– W porządku. Zapytam o to Thoresena – powiedziała Kjerstin, a potem wyjęła komórkę i zrobiła odpowiednią adnotację w jakimś androidowym notatniku.

Przenieśli się na loggię. Baldur nalał każdemu po szklaneczce brandy. Usiedli w wygodnych skórzanych fotelach i zapalili papierosy. Pomimo brzydkiej pogody loggia okazał się bardzo przyjemnym miejscem. Była osłonięta od wiatru grubą,

przesuwaną szybą i w gruncie rzeczy stanowiła dodatkowe zamknięte pomieszczenie, z którego rozciągał się widok na portową część Göteborga. Wielkie stalowe żurawie pogwizdywały na wietrze, a przyłączone do nich lampy kołysały się, rzucając snop światła raz tu, raz tam. Całość sprawiała wrażenie wielkiego widowiska z gatunku światło i dźwięk.

Milczeli przez chwilę, jakby nic już nie mieli do dodania. Byli zmęczeni. Nie potrafili dociec, jak szerokie kręgi zatacza tajemnica, którą usiłowali zbadać. Ale żadne nie chciało gadać o rzeczach, które uznawali za nieistotne. Bali się, że im więcej pytań, tym bardziej rozmyje się to, co już ustalili. W końcu jednak Baldur nie wytrzymał.

– Muszę wam coś powiedzieć. Sam jeszcze nie wiem, co to znaczy, więc dotąd siedziałem cicho. I, nie gniewaj się, Kjerstin, chciałem o tym porozmawiać z Alekssem na osobności. Ale jak rozumiem, on ci ufa.

– Bezdyskusyjnie – stwierdził Aleks, a śledcza uśmiechnęła się lekko.

– No to ja też. No więc sprawdziłem odciski palców tego truposza z kontenera.

Aleks zerwał się na równe nogi, strącając ze stolika szklanek z brandy. O dziwo nie pękła, ale złocisty płyn rozlał się po terakocie.

– Co takiego? – krzyknął. – Przecież to...

– Tak, tak – uciął Baldur. – Kluczowa informacja. Jednak bardzo dziwna.

– No to mów – popędził go Gall.

– Ofiara nazywa się Inoma Babangida. Z ludu Kanuri. Lat dwadzieścia sześć. Urodzony w Nigerii, w mieście Kaduna, w stanie o tej samej nazwie. Absolwent Uniwersytetu Stanowego w Kadunie, na wydziale Nauk Środowiskowych. Kierunek: architektura.

– No i co? – zapytała zniecierpliwiona Kjerstin.

– No i nic – odparł Baldur. – Nie żyje.

– Tego bym się nie spodziewał – zakpił Aleks.

– Bo nie rozumiesz – odparł Baldur powoli, zaglądając w oczy

swojego przyjaciela. – W sierpniu dwa tysiące dwunastego roku został skazany na karę śmierci za homoseksualizm. W Kaduna, podobnie jak w jedenastu innych stanach Nigerii, wciąż się to praktykuje. Wyrok wykonano w październiku.

– Baldur, wiesz, że to niemożliwe, prawda?

– Wiem. I dlatego uważam, że coś tu jest cholernie nie tak.

– Może to jacyś seks niewolnicy – zauważyła Kjerstin. – Skoro ten Inoma był gejem, to mogłoby pasować. No wiecie, w Nigerii panuje straszna korupcja. Ktoś mógłby za niego zapłacić i wywieźć go do Europy.

– Tym bardziej trzeba się dostać do Tshombe – rzekł Aleks.

– Nate jest w drodze. Będzie u nas za kilka godzin – powiedział Baldur.

I na tym ich rozmowa się zakończyła. Chwilę jeszcze pogadali o bzdurach, a potem Baldur doszedł do wniosku, że czas już iść spać. Pozostali byli zbyt zmęczeni, by wdawać się w dyskusję. Przez kilka chwil okupowali łazienkę. Pierwsza poszła Kjerstin, ale uwinęła się szybko. Ostatni był Aleks i też się nie guzdrał. W sumie zajęło im to kwadrans. Kiedy Aleks wychodził z łazienki, pozostali już spali. On sam zasnął pięć minut później.

Nie spała tylko jedna osoba. Marianne Eek od przyjścia Baldura nie zmrużyła oka. Większość czasu spędziła w skórzanym fotelu ustawionym przy samych drzwiach. Tylko z niego mogła wszystko dokładnie słyszeć, skrywając się jednocześnie w mroku. Kiedy towarzystwo przeniosło się na balkon, wślizgnęła się do stojącego pod oknem łóżka i słyszała wszystko nawet lepiej niż poprzednio.

Teraz zastanawiała się, jak zdobytą wiedzę spożytkować.

ROZDZIAŁ 41

Na chwilę przestało padać, co niezwykle ucieszyło majora Jacka Reachera z amerykańskiej żandarmerii wojskowej, który mocował się właśnie z drzwiami taksówki pod starymi koszarami w Kviberгу. Taksówkarz przyjął pieniądze i natychmiast odjechał. Reacher został sam. Postawił nieco wyżej kołnierz płaszcza i omiółł wzrokiem potężny kompleks wybudowany z czerwonej cegły na rok przed śmiercią Alfreda Nobla. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego żandarmi ze szwedzkiej Livgardet zdecydowali się ulokować swoją tymczasową kwaterę operacyjną w miejscu, które do niedawna kryło jedynie Muzeum Historii Militarnej. Dopóki w zeszłym roku muzeum nie wyniosło się do Sztokholmu z powodu braku funduszy na wynajem piekielnie drogich pomieszczeń w kompleksie. Teraz są tu tylko sklepy, a w weekendy odbywa się wielki targ, na którym można kupić mydło i powidło.

Reacher ruszył dziedzińcem. Wiele suchych plam na asfalcie dowodziło, że jeszcze niedawno plac wypełniały samochody. Teraz stało ich zaledwie kilka. I nic dziwnego. Dochodziła dziewiętnasta. Sklepy pozamykano. Budynek pustoszał.

Żandarm musiał przyznać, że kompleks robił wrażenie. Przypominał ogromny pałac, którego główną elewację umieszczoną na linii wschód-zachód uzupełniały dwa długie, prostopadłe skrzydła. Całość wybudowano w charakterystycznym dla krajów bałtyckich stylu gotyku ceglanego, przez co kompleks był ciężki, mroczny i monumentalny. A jego podziemia zapewne idealnie nadawały się na kazamaty.

Major Reacher dotarł do niepozornych drewnianych drzwi, które stanowiły główne wejście do części wojskowej. O ile wciąż można było o takiej mówić. Po prostu kiedyś tędy wchodziło się do garnizonu. Drzwi były zielone i wyglądały na mało solidne.

Z pewnością nie był to najlepiej zabezpieczony obiekt wojskowy w kraju. Zaraz za drzwiami znajdował się drewniany kontuar, przy którym siedział znudzony żołnierz. Znudzony do tego stopnia, że czytał jakąś książkę. Usłyszawszy skrzypienie drzwi, oderwał się od lektury i pytającym wzrokiem spojrzął na gościa.

– Major Reacher z amerykańskiej żandarmerii wojskowej do majora Siegbahna – rzekł przybysz po angielsku, rzucając na blat swoją legitymację. Żołnierz podniósł plastik i wybuchnął śmiechem. Reacher się skrzywił.

– Nazywa się pan Jack Reacher i jest majorem amerykańskiej żandarmerii wojskowej? – zapytał wesoło. – Pewnie cała masa ludzi musi sobie z pana robić jaja.

– Pana to śmieszy? – warknął Reacher.

– Nie, nie – odparł pojednawczo żołnierz. – Zresztą nie mógłby pan być tym Reacherem z książki. On ma już pewnie z pięćdziesiąt lat. Albo i więcej.

– Skoro już pan to ustalił...

– Dobra, dobra. Jest pan umówiony?

– Nie, nie jestem.

– Wobec tego obawiam się, że panu nie pomogę. Major Siegbahn...

– Posłuchaj mnie, chłopcze – syknął Reacher, starając się, by jego głos brzmiał jak najbardziej protekcyjnie, nawet mimo faktu że mógł być najwyżej pięć lat starszy od młodziutkiego wartownika – nie jesteś jakąś pierdoloną sekretarką w agencji reklamowej, tylko żołnierzem. Więc podnieś słuchawkę swojego zasranego białego telefonu i poinformuj dowódcę, że przybył major Jack Reacher z amerykańskiej żandarmerii wojskowej i przywiózł ważne dokumenty o poszukiwanym Aleksandrze Gallu. Jeśli tego nie zrobisz, to najpierw ja ci skopię dupę, a potem robi to major Siegbahn. – Po tych słowach położył na blacie czarną teczkę, już na pierwszy rzut oka wypchaną papierami. Żołnierz wpatrywał się w niego przez chwilę. Nie wyglądał na przestraszonego. Ale najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że może mieć kłopoty. Ociągając się lekko, by zbyt jawnie nie demonstrować swej uległości, podniósł słuchawkę i stuknął

w klawiaturę. Pojedynczy ruch. Najwyraźniej numer do Siegbahna miał zapisany w pamięci urządzenia.

– Dowódcu, przybył major Reacher z amerykańskiej żandarmerii wojskowej. Chce rozmawiać o Gallu – powiedział, gdy Siegbahn odebrał połączenie. Przez trzy sekundy słuchał, po czym odłożył słuchawkę.

– Proszę za mną – rzekł, a następnie uniósł ruchomy blat, otworzył niewielkie drzwiczki i wyszedł zza kontuaru. Dopiero teraz Reacher zorientował się, że ma do czynienia z ogromnym chłopiskiem. Dobrze, że nie musiał wprowadzać w życie swojej groźby sprzed chwili.

Ruszyli długim korytarzem. Reacher rozglądał się z zaciekawieniem, ale był raczej rozczarowany. Spodziewał się ciekawej architektury, tymczasem ściany pokryte były zwykłą białą emulsją i poniżej linii barków zabezpieczone obrzydliwą żółtą lamperią. Nawet włączniki światel były współczesne, choć z pewnością nie nowe.

W milczeniu doszli do wschodniego skrzydła, gdzie natychmiast skierowali się na klatkę schodową i wdrapali na pierwsze piętro. Przez szklane drzwi oczom Reachera ukazał się kolejny długi korytarz. Żołnierz bez słowa ruszył w jego kierunku. Gdy pchnął drzwi, zorientował się, że posadzka jest mokra. Odruchowo przywarł do ściany, starając się nie rujnować pracy wykonanej przed chwilą przez sprzątaczkę. Kobieta stała zresztą kilka metrów dalej i niechętnie spoglądała na gości, wduszając jednocześnie mopa w plastikową kratkę, by ociekła z niego brudna woda.

Reacher zachował się tak, jak zwykle w takich sytuacjach zachowują się wszyscy. W ślad za przewodnikiem przycisnął się do ściany, starając się dodatkowo stąpać po jego śladach, które wyraźnie odznaczały się na mokrej podłodze. Przechodząc obok sprzątaczkę, uśmiechnął się do niej przepraszająco.

Ale kobieta ani myślała się gniewać. Już od pewnego czasu przyglądała mu się szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– To pan? – zapytała cicho, boleśnie kalecząc angielski.

– Słucham? – odpowiedział pytaniem Reacher.

- No tak! - krzyknęła uradowana. - To pan! Pan Kao!

- Chyba mnie pani z kimś myli - rzucił Reacher, spoglądając na wartownika, który mierzył go podejrzliwym wzrokiem.

- Ależ skąd! Ja mam dobrą pamięć do twarzy. Pan się nazywa Kao. Uratował pan mnie pan przed złodziejami. No, nie pamięta pan? Rok temu. W Sztokholmie.

- Myli się pani - wtrącił się żołnierz. - Ten pan jest z amerykańskiej żandarmerii wojskowej. Nazywa się Reacher, nie Kao.

- Dobrze sobie. - Sprzątaczką się zaśmiała. - Żandarm Reacher to jest w książkach. A to pan Kao i koniec. Uratował mnie. Napadli mnie przy dworcu w Sztokholmie. Był pan ze swoim przyjacielem. No, jak on się nazywał? Aleksander... Jakoś tak.

- Aleksander Gall - powiedział wolno wartownik, powoli cofając dłoń za plecy.

- Właśnie! Gall! - zakrzyknęła dziewczyna.

- Właśnie. Gall - syknął żołnierz i chwycił dłonią za kaburę, ale Kao nie czekał. Potężnym kopniakiem posłał w kierunku wartownika wiadro pełne brudnej, śmierdzącej wody. Sprzątaczką krzyknęła, a żołnierz uchylił się odruchowo. W tym czasie Kao pędził już ku klatce schodowej.

- Co ja takiego powiedziałam? - wyjęczała kobieta, ale wartownik już jej nie słuchał. Pędził za zbiegiem, lewą ręką odpinając od paska krótkofalówkę.

- Dowódcu, mamy intruza! - ryknął. - To kumpel Galla!

- Zatrzymaj go za wszelką cenę! - krzyknął głos w słuchawce.

- Ucieka na dół!

- Wszyscy na dziedziniec, ale już! - wrzasnął Siegbahn, a potem z urzędnika popłynęły potwierdzenia odebrania rozkazu.

Ale Nathaniel Kao nie zamierzał dać się złapać. Nigdy nie przystępował do takich akcji nieprzygotowany. Wyświetlił sobie w głowie plan budynku dostarczony mu rano przez Baldura. Operacja może i była spontaniczna, może mieli niewiele czasu, by zapoznać się ze wszystkimi uwarunkowaniami, ale to, co Kao wiedział, powinno wystarczyć. Był na przykład świadom, że jeśli wybiegnie na dziedziniec, to jest skończony. Tam nie ma się gdzie

ukryć. Plac przed budynkiem to wielka otwarta przestrzeń. Nate wątpił, by zdecydowali się do niego strzelać, ale wykluczyć takiej możliwości nie mógł. W dodatku podejrzewał, że Siegbahn miał swoich ludzi w starych strażnicach na obrzeżach placu. Dlatego gdy dopadł w końcu do kontuaru, nie skręcił w kierunku zielonych drzwi, a popędził prosto. Wedle stanu jego wiedzy mniej więcej za pięćdziesiąt metrów trafi na klatkę schodową, nią wbiegnie na pierwsze piętro, a tam, w narożnej wieżycze budynku, znajduje się okno. Jedyne w całym kompleksie, które spełnia dwa warunki. Po pierwsze, wychodzi na południe, gdzie nie ma strażnic, jest natomiast niewielki lasek, w którym łatwo się ukryć, a po drugie, znajduje się pod nim przymontowana do ściany drabina techniczna. Gdyby żandarmeria stacjonowała w Kvibergu na stałe, z pewnością tę drabinę by zdemontowano. A tak...

Nate biegł jak najszybciej, ale w tej części budynku schody były drewniane. Słyszał za plecami uderzenia ciężkich butów o stare, lekko zmurszałe stopnie. Musiało go ścigać przynajmniej siedmiu–ośmiu mężczyzn. Cała ekipa składała się, licząc Siegbahna, z dziesięciu. Plus prawdopodobnie czterech w strażnicach. Takich informacji dostarczył mu Baldur, a Baldur zwykle się nie mylił. Zwłaszcza kiedy czerpał wiedzę wprost z wojskowych serwerów. Nate zakładał, że Siegbahn wysłał na plac przynajmniej dwóch żołnierzy. Ale Aleks ostrzegwał, że major to sprytny przeciwnik, więc jego ludzie najprawdopodobniej zostali już skierowani ku południowej elewacji. Dlatego musiał się naprawdę spieszyć. Cała reszta obsady garnizonu deptała mu po piętach. I to była dobra wiadomość, bo w sumie wciąż znajdowali się za nim.

Dopadł do okna i po raz kolejny przekonał się, że Baldur nigdy nie zawodzi. Drabina była na swoim miejscu.

Niestety, przekonał się również, że nie docenił Siegbahna.

– Stój, agencie Smith! – krzyknął, odbezpieczając broń. Kao znał ten dźwięk bardzo dobrze. I usłyszał go naprawdę blisko. Za blisko. Dowódca żandarmów musiał stać najwyżej trzy metry od niego.

Zatrzymał się. Powoli uniósł ręce. A potem się odwrócił. Ujrzał Siegbahna mierzącego do niego z glocka 19, a za nim tłoczących się żandarmów. Żaden z nich nawet się nie spocił. Livgardet znała się na szkoleniu swoich ludzi.

– Czy wiesz, co grozi za podszywanie się pod agentów FBI? – zapytał Siegbahn.

– Nie – skłamał Kao.

– A za uprowadzenie więźnia?

– Nie.

– Ja też nie – odparł żandarm, powoli podchodząc do zatrzymanego. W prawej dłoni wciąż trzymał gotowy do strzału pistolet. Lewą wyciągnął, by przeszukać więźnia. – Ale w sumie to twój najmniejszy problem. Zanim cię do nich odeślę, najpierw sobie porozmawiamy.

Ale tak, jak wcześniej Kao nie docenił Siegbahna, tak teraz Siegbahn nie docenił Kao. A ten miał w zanadrzu kilka niezwykle interesujących sztuczek. Jedną z nich postanowił się właśnie pochwalić. Wykonał błyskawiczny przysiad, po czym wybił się potężnie z obu nóg, jednocześnie odginając ciało do tyłu. Będąc w połowie salta, wyprowadził kopnięcie w dłoń Siegbahna. Kopnięcie było lekkie, tylko na filmach można takim pajacowaniem zrobić komuś krzywdę. Ale Nate osiągnął oba cele, które sobie założył. Po pierwsze, wytrącił Siegbahnowi broń z ręki, po drugie, pozbawił go równowagi. Nim żandarm zrozumiał, co się dzieje, Kao wyskoczył przez okno i chwycił się drabinki.

– Pierdolony ninja się znalazł – powiedział zupełnie spokojnym tonem Siegbahn. – Za nim, do cholery.

Ale nie mogli go już dopaść. Kao ześlizgnął się po drabince, a dwadzieścia sekund później wpadł pomiędzy drzewa, znikając z oczu napastnikom. Kolejne dwadzieścia sekund później znajdował się już w srebrnym, nierzucającym się w oczy mercedesie viano z przyciemnianymi szybami, którego zaparkował tutaj w południe, zanim jeszcze odebrał od Baldura fałszywe papiery, fałszywy mundur i plan operacji. Auto stało na niewielkim parkingu przy Kvibergsvägen, wśród kilku innych

pojazdów, nie zwracając niczyjej uwagi. Przylegającym do jezdni chodnikiem spacerowali ludzie, po ulicy jeździły samochody. Zwykły, codzienny pejzaż wielkiego miasta. Dla wybiegającego właśnie z lasu Siegbahna Kao po prostu rozplynął się w powietrzu.

ROZDZIAŁ 42

– Ty prowadź, bo ja sobie trochę wypilem – powiedział Baldur.
– Przed dwudziestą? – zapytał Aleks.
– Nawet przed siedemnastą. – Farer zaśmiał się, rzucając przyjacielowi kluczyk.

Marianne jeszcze spała. Odzyskiwanie sił zajmowało jej sporo czasu, ale nie było w tym nic dziwnego. Przeżyła szok. Wprawdzie nic o niej pewnego nie wiedzieli, ale Aleks nie miał wątpliwości, że już samo przebywanie pod wodą stanowiło dla niej wyzwanie. Cała reszta była wyzwaniem nawet dla niego, który dość regularnie bywał w trudnych sytuacjach.

Po prostu potrzebuje czasu – pomyślał. – Wylize się.

Chwilę po dziewiętnastej opuścili apartament w budynku Lilla Bommen, przez mieszkańców Göteborga zwanym po prostu szminką, przez wzgląd na czerwono-białą elewację. Aleks wykonał wcześniej telefon do Torgila Thoresena, a ten zgodził się ich przyjąć, choć ta wizyta z pewnością go nie uszczęśliwiła. Poprosił, by przyjechali do biura w porcie, bo jak się okazało, nie należał do ludzi, którzy po jakimś lekkim zawale serca szliby na zwolnienie lekarskie.

Aleks uruchomił silnik, ale zanim ruszył, podał Baldurowi swój telefon.

– Podłącz go do ładowarki – poprosił. – Znowu pada bateria.
– Gdybyś mi przypomniał, to już byś miał nową – odrzekł Farer z lekkim wyrzutem.

Zdążyli się przyzwyczaić do göteborgskiej pogody. Deszcz i wiatr nie robiły już na nich wrażenia. Były tak oczywiste, że prędkiej piękna, słoneczna pogoda wprowadziłaby ich w konsternację. Wycieraczki włączyły się automatycznie. W głośnikach rozbrzmiały zwrotki Tedego, pewnie znowu kradzione, bo Aleks nie potrafił rozpoznać nagrania. Ale słuchało się tego przyjemnie. Baldur nie oszczędzał na sprzęcie grającym.

– Masz tu telewizor? – zapytał Gall.

– Po co mi telewizor w samochodzie? – zdziwił się Baldur.

– Nie mam pojęcia. Ale znając ciebie, naszpikowałeś to auto swoimi zabawkami aż po podsufitkę. GPS, poukrywane nadajniki na wypadek kradzieży, audio z najwyższej półki. Co jeszcze?

– Zdziwiłbyś się. – Mały Farer ziewnął. – To nie moje auto. Korzystam z niego... No cóż, na podobnych zasadach jak z apartamentu.

– Właściciel wyjechał na urlop, tak?

– Na długi urlop. Wróci dopiero, jak zniknę z miasta. A i to nie wiadomo. Moje są tu tylko płyty.

– To po co się ze mną wyklócałeś, jak się nabijałem z tego grata?

– Z tego samego powodu co zawsze. – Baldur się wyszczerzył. – Dla zabawy.

Wycieraczki przyspieszyły. Deszcz się nasilił. Ale przeszkadzał im tylko przez moment. Dwie minuty po tym, jak Aleks wrzucił „drive” i auto ruszyło z miejsca, wjechali do tunelu Göta. Pokonali nim niemal całą drogę, wyjeżdżając na powierzchnię dopiero przy Emigrantvägen. Do celu pozostało im trzysta metrów.

– Cała droga pod ziemią – nie mógł uwierzyć Aleks. – Niesamowite.

– Niesamowite, bo u ciebie w kraju buduje się tunele wzdłuż rzek. – Baldur się zaśmiał. – Ale u nas, na Wyspach Owczych, mamy dziewiętnaście tuneli, a jeden fajniejszy od drugiego. Ten tutaj to ledwie wykopki.

– Tak, tak – przyznał Aleks. – Czytałem o tym. Zapamiętałem tylko tyle, że są tam tunele, których nazw nie potrafi wymieniść nikt z normalną krtanią.

– Grabisz sobie, Aleks. Farerski to piękny język. A nazwy nie są wcale takie trudnie. Árnafjarðartunnilin to po prostu tunel Árnafjørður. W sensie takiej miejscowości. U was to by było, no, co tam macie? Tunel Radomski. Albo coś. I tak jest ze wszystkim. Hvannasundstunnilin prowadzi do wsi Hvannasund, Kollfjarðartunnilin prowadzi z Tórshavn do Kollafjørður, a Villingardalstunnilin...

– Dobra – przerwał Gall. – Zrozumiałem.

– Ale słuchaj, to jest jeszcze nic. Za jakieś sześć lat będziemy mieli jedenastokilometrowy podmorski tunel, który będzie miał rondo pośrodku...

– Zrozumiałem! – powtórzył nieco głośniejszym głosem Gall. – Na szczęście jesteście już na miejscu.

Thoresen ostrzegł ich, że mogą zapomnieć o wjeździe na teren biurowca. Po osiemnastej brama zostaje zamknięta i otworzyć ją można tylko za pomocą elektronicznej przepustki. Dlatego Aleks zjechał na samo nabrzeże, w miejsce gdzie sznur ciężarówek czekał w kolejce do rampy promu Steny. Wśród wyrysowanych na betonie linii znalazł wolne miejsce parkingowe i zatrzymał rama. Baldur wysiadł, a Gall, wciąż trzymając nogę na hamulcu, zabrał się do rozpinania ładowarki. Nie chciał wychodzić bez telefonu. Czekał na wieści od Nate'a.

Samego strzału nie usłyszał. Nawet świstu kuli, która przecież musiała przelecieć bardzo blisko. Ale usłyszał głośne plaśnięcie, gdy pocisk przebił skórę Baldura i rozszarpał mięsień piersiowy wielki. Usłyszał trzask gruchotanych żeber i chlupot krwi lejącej się z porozrywanych żył.

– Baldur! – wrzasnął i wyskoczył z auta. Przeklął w myślach rama. Nim go okrąży, minie cenna sekunda lub dwie. Zgodnie z wyuczonym odruchem obiegnął auto z tyłu, tak by stanowiło osłonę w razie kolejnego strzału. Dopadł leżącego przyjaciela. Baldur był przytomny, a jego wzrok bardziej niż ból wyrażał zdumienie. Aleks chciał się odezwać, ale nim sformułował zdanie, usłyszał głośny klakson. Obrócił głowę i zobaczył, że ram powolutku zmierza w kierunku kanału. Przejeżdżał właśnie pomiędzy stojącymi w kolejce tirami i jego los był przesądzony. Nawet gdyby Aleks chciał, nie zdążyłby już dopaść auta. A i tak nie miał zamiaru tego robić. Baldur był ważniejszy. Potem mu wytłumaczy, że wyskoczył z auta tak szybko, że nie przerzucił dźwigni z pozycji „drive” na pozycję „neutral”.

– Aleks... – jęknął Baldur.

– Spokojnie, nic ci nie będzie – powiedział Gall, pochylając się nad przyjacielem. Rozpiął mu kurtkę, by sprawdzić, jakie spustoszenie wyrządziła kula. W tym samym czasie jeden ze

stojących dotąd w rzędku tirów gwałtownie skoczył do przodu i zajechał drogę ramowi. Pozbawiona kierowcy terenówka oparła się zderzakiem o podwójny zestaw kół czerwonego volvo. Auto się zatrzymało i silnik zgasł. Kierowca wyskoczył z szoferki i podbiegł w kierunku Aleksa, ale gdy tylko zauważył Baldura, natychmiast się zatrzymał.

– O kurwa – rzucił w swoim języku, a Aleks rozpoznał rodaka.

– Znasz szwedzki? – zapytał po polsku, a kierowca skinął głową i wyciągnął komórkę. W mig pojął, co ma zrobić. Wybrał numer, ale gdy już miał nacisnąć zieloną słuchawkę, zawahał się na moment.

– Ale jak zadzwonię, to zjedzie się psiarnia – ostrzegł. – Tu to tak działa i...

– Dzwoni! – krzyknął Gall.

– Aleks – jęknął ponownie Baldur. – Akurat gdy mieliśmy przycisnąć Torgila. To nie przypadek.

– Leż spokojnie. Zaraz będzie pogotowie.

– Myślisz, że to przypadek? – nie dawał za wygraną Farer.

– Tak. Do mnie też strzelali. Pamiętasz? I nie mieliśmy wtedy przycisnąć Torgila.

– No tak. – Baldur westchnął, po czym dodał: – Aleks. Musisz stąd pryskać. Inaczej cię zamkną, a ja cię nie wyciągnę.

– Leż spokojnie – powtórzył Aleks, ale Baldur już go nie słyszał. Stracił przytomność. Gall obrócił go lekko na bok i namacał dłonią ranę wylotową. Szybko znalazł kulę, bo nie przebiła kurtki. Najwyraźniej strzelano z bardzo daleka i przedzieranie się przez ciało Baldura odebrało pociskowi większość energii. Aleks wyciągnął pocisk i schował do kieszeni dzinsów. I tak wiedział, co się na nim znajduje. Literka F łączyła się z R.

Rafał, polski kierowca, spisał się bez zarzutu. Najwyraźniej często gościł w Szwecji, bo wezwanie pogotowia zajęło mu nie więcej niż minutę. Podał dokładną lokalizację, co nie było bardzo trudne, bo przecież każdy w tym mieście wie, gdzie znajduje się terminal Stena Line. Ale streścił też przebieg wydarzeń i opowiedział operatorowi o kondycji Baldura. A to już wymagało pewnej wprawy. Szybko skończył rozmowę, a potem westchnął

i ukląkł obok rannego. Widok krwi działał na niego odpychająco i Aleks dostrzegł walkę, jaką mężczyzna ze sobą stoczył. Wygrał ją i zyskał w Aleksie dłużnika. A to jak trafić szóstkę na loterii.

Na placu nagle zrobiło się tłoczno. Kierowcy oczekujących ciężarówek przybiegli na pomoc. Ktoś przyniósł koc, ktoś inny wodę. Znalazła się jakaś apteczka. Człowiek z natury rzeczy jest dobrą istotą. Szybko stało się jasne, że choć rana jest ciężka, Baldur się z tego wyliże. Kierowcy nieco się uspokoili, ale Aleks nadal był zaniepokojony. Nie martwił się o przyjaciela. Mały Farer nie takie ciosy przyjmował już od życia. Ale ktokolwiek strzelał, wciąż mógł być na pozycji. Aleks uzmysłowił sobie to, nim jeszcze wyskoczył z auta. Podjął ryzyko, bo nie miał wyboru. Teraz jednak martwił się o tych wszystkich ludzi. Spontanicznych ratowników, którzy przybiegli tu z dobrego serca, nie wiedząc nawet, że ryzykują życie. Żaden z nich nie słyszał strzału. Nie mogli wiedzieć, co tak naprawdę się stało. Na szczęście tego wieczoru nikt już do nikogo nie strzelał.

Pogotowie zjawilo się po dziewięciu minutach od wezwania. Policja dwie minuty później. A po kolejnym kwadransie przyjechało wojsko i impreza się skończyła.

ROZDZIAŁ 43

Kao spojrzął na zegarek. Już od czterdziestu minut czekał w aucie na parkingu garnizonu w Kviberгу. Gdy tylko uzyskał pewność, że Siegbahn dał za wygraną, uruchomił auto i wrócił pod koszary. Żandarmi z pewnością nie spodziewali się takiego ruchu. Zatrzymał auto naprzeciwko wyjścia. Miał tu jeszcze coś do zrobienia.

Nate rzadko odczuwał przyrost adrenaliny w czasie misji. Tym razem jednak było inaczej. Ta akcja od początku do końca była nietypowa. Wchodząc do budynku, zdawał sobie sprawę, że potrzebowałby cudu, by dostać się do Tshombe i jego ludzi, chociaż doskonale wiedział, gdzie Siegbahn przetrzymuje załogę. To się nie mogło udać. Dekonspiracja była nieunikniona, a Kao nie przywykł do takich sytuacji. Jak nikt inny na świecie potrafił się włamywać do niedostępnych miejsc. Jak mało kto umiał z nich również uciekać. Ale nie na żywo! Działał w mroku. Wykorzystywał chwile, gdy nikt nie patrzył i nie słuchał. Robił to po swojemu i nikt, nawet Baldur, nie miał prawa układać mu planu.

Tym razem jednak ułożył i Nate został zdemaskowany. Po raz pierwszy w życiu. Dlatego też adrenalina niemal rozsadzała mu żyły. Czekając pod koszarami, wykonał kilka ćwiczeń oddechowych i teraz w końcu poczuł, że mięśnie mu nieco odpuszczają. Westchnął z ulgą i uruchomił wycieraczkę. Pogoda wreszcie się zmieniła. Niestety, na gorsze. Był czternasty styczeń i właśnie spadł pierwszy tego roku śnieg. A przynajmniej pierwszy w Göteborgu.

Dobrze się stało, że pół godziny wcześniej Siegbahn i dwóch jego ludzi opuściło garnizon. Wyglądali zresztą, jakby się spieszyli. Może ktoś im doniósł, że widział na mieście Kao. Cóż, jeśli tak, to się pomylił. Ale wiadomo, jak jest w tej robocie. Dostajesz meldunek, to musisz go sprawdzić. Gdyby Siegbahn

przebywał w koszarach, Nate nie odważyłby się włączyć wycieraczek. Nie widziałby wejścia. I choć na dobrą sprawę nie musiał go widzieć, czułby się niekomfortowo. Nie lubił tracić panowania nad sytuacją. Ale Siegbahna nie ma, a ta banda tumanów stanowiących jego oddział zapewne korzysta teraz z nieobecności szefa, grając w karty i gadając o dupach. Może nawet popijają wodę, o ile udało im się jakąś zdobyć. Z pewnością żaden z nich nie patroluje okolicy. Nie w taką pogodę. Nate postukał w smartfon, a ten podpowiedział mu, że temperatura powietrza spadła do minus dziewięciu stopni Celsjusza. Zimno.

W końcu się doczekał. Drzwi garnizonu drgnęły i przecisnęła się przez nie niewielka postać. Sprzątaczką w lnianej niebieskiej sukience i niedbale zarzuconej zimowej kurtce. Gdy zorientowała się, jaką niespodziankę przygotowała dla niej aura, owinęła się szczelniej grubym materiałem i szybkim krokiem ruszyła do przodu. Kiedy była blisko, Nate otworzył swoje drzwi i stanął jej na drodze.

- A co ty tu robisz? – spytała zaskoczona kobieta.
- Czekam na ciebie – odparł. – Wsiadaj.
- Zwariowałaś? Mogą cię zobaczyć.
- Nie zobaczą.

Obszedł auto i otworzył jej drzwi. Kobieta wsiadła do środka, a on po chwili znalazł się za kierownicą.

- Jack Reacher z amerykańskiej żandarmerii? – Kjerstin się zaśmiała. – Serio?

- Serio, serio. – Nate błysnął białymi jak śnieg zębami i uruchomił silnik. – Pomysł Baldura. Uznał, że dzięki temu odwróci uwagę strażnika od faktu, że legitymacja sfałszowana jest na szybko, a mundur nie ma nic wspólnego z mundurem amerykańskich żandarmów.

- No to chyba się udało.
- Jasne, dziewczyno. A tobie się udało?
- Pewnie. Baldur jest jednak genialny. Nikt nie zwrócił uwagi na sprzątaczkę.

Bo i nie mógł zwrócić. Szwedzka Livgardet stacjonowała w budynku gościnie. Nie znali pracowników administracji. Nie

znali nawet za bardzo procedur. Wystarczyło włożyć mundurek firmy sprzątającej, który Baldur kupił dziś rano od jednego z pracowników za tysiąc koron.

– Stało się dokładnie to, co Baldur przewidział – ciągnęła Kjerstin. – Wszyscy ruszyli za tobą i miałam chwilę, by dotrzeć do Tshombe. Niestety, on nic nie wie.

– Do diabła – zaklął Nate. – Cała wyprawa psu na budę?

– Niezupełnie – uspokoiła go śledcza. – Mam drobny ślad.

– Jaki?

– Sraki. Wypieprzajmy stąd, na Boga, bo prosimy się o nieszczęście. Zaraz zadzwonię do Aleksa.

Kilka minut później stanęli na parkingu. Dokładnie tym samym, na którym wiano czekało od rana na swój udział w akcji. Kjerstin wybrała numer Aleksa, ale ten nie odebrał połączenia. Po kilku próbach spróbowała dodzwonić się do Baldura. Również bez skutku.

A Nate zrozumiał w końcu, dlaczego Siegbahn takim pędem opuścił koszary. Twarz mu stężała. Ręka odruchowo sięgnęła do włącznika zapłonu.

– Zapnij pasy – polecił i nim Kjerstin zdążyła zareagować, wbił twardy żołnierski but w podłogę, niemal miażdżąc pedał gazu.

ROZDZIAŁ 44

Aleks zabębnił palcami o pomalowany na zielono metalowy blat stołu. Niecierpliwił się, a to już pierwszy krok do irytacji. To, że zwykle żaden człowiek na świecie nie potrafiłby dostrzec u Aleksa objawów irytacji, nie oznaczało bynajmniej, że ona nie występowała. Jeśli chodzi o odczuwanie emocji, Gall był takim samym człowiekiem jak wszyscy inni. Tym, co go różniło, była niecodzienna umiejętność zachowywania swoich odczuć dla siebie. Zupełnie jakby miał wbudowaną śluzę. To, co targało nim w środku, nie wydostawało się na zewnątrz. W żadnej postaci. Nie pocił się nerwowo, nie miał tików, nie trzęsły mu się ręce. Serce mu nie przyspieszało, a głos się nie łamał. Nigdy. Baldur śmiał się, że Aleks powinien grać w pokera na pieniądze. Ani z jego twarzy, ani z ruchów ciała nie dałoby się wyczytać jego myśli. No, chyba że tego akurat chciał. Potrafił na pokaz wpaść w gniew. Potrafił się nawet wkurwić, co nie było tym samym co zwykły gniew. Przynajmniej nie według jego definicji. Aleks wiedział, że okazywanie emocji czasami może przynieść korzyść. Kiedy ktoś celuje do ciebie z broni, a ty nie okażesz mu strachu, stracisz element zaskoczenia, dzięki któremu możesz wyprowadzić cios. Jeśli zaś strach okażesz, przeciwnik uzna, że paraliż nie pozwoli ci działać. Rozluźni się nieco. Straci koncentrację. Wtedy jest twój.

Właśnie dlatego Aleks ponownie zabębnił palcami w blat. Chciał okazać zniecierpliwienie. Wiedział, że go obserwują na monitorach. Nikt nawet się nie postarał, by zamaskować umieszczoną nad drzwiami kamerę. Niech się nagra, że się złości. Że się bulwersuje. Że dąży do jak najszybszego załatwienia sprawy. Że jest rozeźlony.

A był rozeźlony. Znów nie widział, gdzie go wieźli. Nie znał żołnierzy, którzy go przejęli, choć zauważył, że mieli na mundurach insygnia Livgardet. A więc zapewne żandarmi. Ale

dłaczego nie Siegbahn? Działo się tu coś dziwnego. Gdy dojechali do budynku, zasłonili mu oczy, a potem długo prowadzili wąskimi i krętymi korytarzami kompleksu. Kto tak robi? Przecież nie żołnierze. Jeśli już, to bandyci. To z całą pewnością nie było oficjalne zatrzymanie.

Zamknięto go w pomieszczeniu, które od biedy mogłoby przypominać pokój przesłuchań. Tyle że z zeszłego wieku. Pomieszczenie zostało ulokowane w piwnicy, z całą pewnością poniżej poziomu gruntu, bo u szczytu ściany wznoszącej się naprzeciwko drzwi wejściowych widniało niewielkie zakratowane okienko. Wystarczająco duże, by wpuścić do środka odrobinę powietrza, ale za małe, by wydostał się przez nie trochę bardziej niż standardowo spasiony kot. Ściany zostały otynkowane i pomalowane na biało, ale chyba cienką warstwą i dość dawno, bo obrysy cegieł przebijały spod tynku, który zresztą tu i ówdzie po prostu odpadał. No i ten grzyb. Pokrywał ściany od sufitu aż do wysokości metra nad podłogą, gdzie zaczynała się obrzydliwa żółta lamperia.

Właściwie jedynym nowoczesnym urządzeniem w całym pomieszczeniu prócz kamery były drzwi. Ciężkie i stalowe, ale z pewnością nowe. I żeby je otworzyć, należało wpisać kod na niebieskim dotykowym wyświetlaczu i przyłożyć niewielką magnetyczną pestkę.

Szlag by to. W normalnych okolicznościach Aleks nawet nie pomyślałby o ucieczce. Ale to nie były normalne okoliczności. Raz, że już tym ludziom uciekł, co automatycznie uczyniło z niego winnego i nim się wytłumaczy, miną lata. Dwa, że Siegbahn już dawno powinien tu być. No i trzy: wciąż nie wiedział, co z Baldurem.

Naraz drzwi wydały trzykrotne ciche piknięcie, po czym zamek elektromagnetyczny zabrzęczał. I choć były masywne, ktoś z zewnątrz pchnął je tak mocno, że aż uderzyły o framugę. Do pomieszczenia wpadł duży facet z niewielkim opatrunkiem na spuchniętym nosie. Nim Aleks zdążył się zorientować, z kim ma do czynienia, Pilkvist podniósł stół z łatwością, jakby zdejmował kołdrę z łóżka, i cisnął nim w ścianę. Rozległ się huk

zwielokrotniony przez echo.

– Poznajesz mnie, skurwysynu?! – wrzasnął po angielsku napastnik, wymierzając pozbawionemu osłony Aleksowi kopniaka w pierś. Więzień poleciał do tyłu wraz z krzesłem, a Pilkvist dopadł do niego i wymierzył jeszcze jedno potężne kopnięcie. Ale nie trafił. Aleks przetoczył się w prawo. Napastnik zareagował bardzo szybko. Skręcił tułów i usiłował nadepnąć Gallowi na twarz, ale ten obrócił się na plecach, jak rasowy b-boy, i z całej siły kopnął żołnierza w piszczel. Gdy Pilkvist upadał, Aleks zerwał się na nogi i nagle sytuacja się odwróciła.

– Złamałem ci nos – zaśmiał Gall – i najwyraźniej ci się spodobało. Więc złamię ci jeszcze...

Za dużo gadania. Pilkvist odtoczył się pod ścianę, a gdy znalazł się poza zasięgiem Aleksa, zerwał się na nogi i ponowił atak. Tym razem chciał to załatwić klasycznie. W pełnym biegu cofnął rękę, by wyprowadzić uderzenie pięścią, jednak zamiast tego ponownie padł na ziemię, trafiony przez Aleksa stołem, który choć po uderzeniu w ścianę nie nadawał się już do swych podstawowych funkcji, jako taran spisał się znakomicie.

– Kurwa! – ryknął Pilkvist, zrzucając z siebie mebel. Znow chciał się zerwać na nogi, w jego ciele buzowała mieszanka adrenaliny i poharatanej męskiej godności. Aleks zrozumiał, że ten człowiek zrobi wszystko, by się odegrać, więc skończył się z nim cackać. Dосkoczył do przeciwnika i kopnął go prosto w twarz. Celowo niezbyt mocno. Chciał Pilkvista zaledwie wyłączyć. W gruncie rzeczy nie miał nic do tego człowieka, lecz okazać mu swoją wyższość nie zaszkodzi. Nie wiadomo, kiedy przewaga psychologiczna może się przydać. Żołnierz w ostatniej chwili osłonił twarz przedramieniem i usiłował się odturlać od napastnika. Aleks spokojnie poszedł za nim i ponownie wyprowadził kopnięcie. I ponownie Pilkvist zdołał go uniknąć.

I wtedy rozległ się cichy trzask.

– Dość – usłyszał Gall i zrozumiał, że ktoś celuje do niego z właśnie odbezpieczonej broni. Zatrzymał się w połowie ruchu i zaczął powoli podnosić ręce. Szybko okazało się, że „dość” było skierowane tylko do niego, bo Pilkvist wstał, po czym rąbnął

Aleksa pięścią prosto w twarz. Gall zachwiał się, ale nie upadł. Poczł, jak pękają mu wargi, a usta zapełniają się krwią.

– Gratulacje. – Splunął juchą na podłogę. – Wygrałeś.

– Zamknij ryj – wysapał żandarm.

– Zepsułeś stolik, Pilkvist – powiedział spokojnie mężczyzna trzymający w dłoni pistolet. Aleks dopiero teraz mógł mu się przyjrzeć. Facet równie dobrze mógł mieć pięćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt lat. Ubrany był w mundur z insygniami pułkownika. Szycha.

Pilkvist podniósł mebel, w powietrzu ustawił go blatem do góry i z całej siły uderzył nim o podłogę, a Aleks szybko zrozumiał, że żandarm nie darzy pułkownika szczególną estymą.

– Trochę się będzie chybotać, panie Gall, ale to chyba panu nie przeszkadza? Proszę sobie podnieść krzesło i usiąść.

– Gdzie jest Siegbahn? – zapytał Aleks.

– Pilkvist – rzucił cicho mężczyzna z bronią, a żandarm nieoczekiwanie uderzył Aleksa prosto w twarz, po czym wycedził:

– Zamknij ryj.

– No właśnie – powiedział mężczyzna z bronią. – To spotka pana za każdym razem, gdy się pan odezwie. Ponieważ ja nie chcę, by się pan odzywał. Nikt tu nie będzie z panem rozmawiał. Wiemy, że jest pan sprawnym manipulatorem.

– Gdzie jest Siegbahn? – zapytał ponownie Aleks i tym razem otrzymał od Pilkvista uderzenie łokciem prosto w nos. I był to cios znacznie silniejszy niż poprzednio, co oznaczało, że żarty się skończyły. Kość wytrzymała, ale Aleks runął na ziemię jak długi. Pilkvist podszedł do niego powoli, po czym chwycił swoją ofiarę za bluzę i postawił na nogi, przyciskając do ściany. Aleks zastanawiał się, czy to nie dobry moment, by okazać odrobinę gniewu. Ale zamiast tego wyprowadził cios czołem prosto w złamany nos Pilkvista. Ten jednak przewidział to i w ostatniej chwili zdołał cofnąć głowę. Prawe przedramię wraził pomiędzy brodę a obojczyk Aleksa, który zrozumiał, że popełnił błąd. Żandarm nacisnął i Gall poczuł, jak gwałtownie zmniejsza mu się dopływ tlenu do płuc.

- Uspokój się, bo cię zabiję - syknął Pilkvist, a siła, z jaką miażdżył Aleksowi krtań, dowodziła, że nie rzuca słów na wiatr.

- Jestem pułkownik Jakob Sund - powiedział dowodzący akcją.

- I tyle musi pan wiedzieć.

- Gdzie... - sapnął Aleks, ale Pilkvist wzmocnił nacisk i dalsze słowa zmieniły się w niemożliwy do zrozumienia zestaw prychnięć i charknięć.

- Pan jest zupełnie niereformowalny, Gall - odparł pogardliwie Sund. - Ale niech będzie, powiem panu. Major Siegbahn już nie prowadzi tej sprawy. Teraz ja to robię, i nie jest to wiadomość, która powinna panu przynieść ulgę. Siegbahnowi brak moich kompetencji. Tę noc spędzi pan tutaj. A jutro rano zabierzemy pana do Sztokholmu. I tam się zabawimy.

- Wolę dziewczyny - ni to wycharczał, ni zaśmiał się Aleks. Pilkvist błyskawicznie nakrył mu dłońią usta i nos. Porozcinane wargi płonęły żywym ogniem i Aleks zamilkł, wpatrując się prosto w oczy żandarma. Gniew. Czy powinien go już okazać? Żandarm łypał na swoją ofiarę. Jego twarz znajdowała się zaledwie centymetry od twarzy Galla, który mógł dostrzec kropelki potu na łysym czole swojego oprawcy. Obaj wiedzieli już na pewno, że jeszcze się spotkają. Ale najpierw Aleks straci przytomność.

- Dość - rzucił Sund, tym razem kierując swe słowa do Pilkvista, który posłusznie odjął rękę. Aleks łąpczywie wdychał powietrze, krztusząc się przy tym niemiłosiernie. - Do jutra, panie Gall.

Wstukał kod i przyłożył magnetyczną pestkę do czytnika. Drzwi warknęły i pułkownik opuścił pomieszczenie. Zaraz za nim wyszedł Pilkvist. W drzwiach obrócił się i raz jeszcze posłał Gallowi mordercze spojrzenie.

Za chwilę drzwi zatrzasnęły się z łoskotem. Była dwudziesta pierwsza.

ROZDZIAŁ 45

Admirał Yngve Bergman rzadko kładł się wcześniej spać, a już szczególnie we wtorki, kiedy zwykle spotykał się z przyjaciółmi na pokera. W dawnych czasach. Niezbyt odległych, a jednak należących już do poprzedniego życia. Życia przed nominacją. Tego dnia jednak czuł się wyjątkowo podle. Od rana łało mu się z nosa, a przemycony przez sekretarkę termometr pokazał trzydzieści osiem stopni gorączki. Jeszcze rok temu nawet by tego nie zauważył. Ale wiele się od tamtego czasu zmieniło, a dziś Yngve po raz pierwszy w swym sześćdziesięcioletnim życiu zdał sobie sprawę, że się starzeje. Każdy człowiek doświadcza takiego dnia. I dla każdego jest on trudny. Dlatego ten właśnie wieczór Yngve zamierzał spędzić w łóżku. W drodze do domu kupił „Aftonbladet”, „Svenska Dagbladet” i oczywiście „Göteborgs-Posten”. Czas w końcu rzucić okiem na to, co piszą o jego nominacji. Dwa dni temu udzielał wywiadu, w trakcie którego mówił mądrze i na temat. Tak to widziała jego sekretarka. Teraz z lekkim niepokojem przerzucał strony. Jego kondycja psychiczna daleka była od ideału. Stracił pewność siebie. Nie pamiętał, o czym rozmawiał z dziennikarzem. Na pewno o katastrofie. Czy aby nie powiedział zbyt wiele?

Pieprzony Baltic Bridge.

Odruchowo uniósł głowę, gdy rozległo się delikatne, ale stanowcze pukanie do drzwi. Almira nie czekała na jego reakcję i weszła do środka. To go zdziwiło. Od kiedy zdecydowali się na osobne sypialnie, żona nie odwiedziła go ani razu. Teraz też zachowywała się, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Nie podeszła do niego. Oparła się o ścianę, złożyła ręce na piersiach i przez chwilę wpatrywała się w niego wzrokiem, który stanowczo mu się nie spodobał.

– Co? – zapytał.

– Ochroniarz – odparła.

– Co z nim?

– Twierdzi, że przysłała do ciebie jakaś kobieta. Czekasz na kogoś?

– Na nikogo nie czekam. I z nikim nie zamierzam...

– Podobno jest młoda i ładna.

Yngve westchnął. Wiedział, do czego zmierza ta rozmowa. O niczym innym nie potrafili już rozmawiać.

– Czy musisz je zapraszać nawet do naszego domu? – zapytała Almira, a w jej głosie nie było już złości. Nie było jej tam od lat. Jedynie smutek, choć Yngve przypuszczał, że nawet on był nieszczerzy.

– Nikogo nigdzie nie zapraszam – odpowiedział nieco za ostro.

– Czyżby? Podobno przyniosła ci książkę, którą zostawiłeś w pracy.

– Jaką znowu książkę?

– *Dziesięciu Murzynków* Agaty Christie. Zdajesz sobie chyba sprawę, że to brzmi jak tajne hasło kochanków? Pomijając nawet absurdalność tej pozycji, nie widziałam cię z książką od...

Ale Bergman nie słuchał już jej paplaniny. Zerwał się z łóżka i podbiegł do okna. W ostatniej chwili powstrzymał się przed tym, by gwałtownym ruchem odsunąć zasłonę. Wiedział, że przy zapalonym świetle byłby doskonale widoczny dla swojego gościa. Zamiast tego stanął przy krawędzi okna i delikatnie odchylił cienki tiul.

Za oknem szalała śnieżycą. Wysokie, dające mocne pomarańczowe światło latarnie dodawały grubym i sypiącym się ze wszystkich kierunków płatkom śniegu bajkowego charakteru. Yngve widział zaledwie zarys postaci stojącej przy bramie, ale i tak doskonale wiedział, kto to jest.

Jeśli to był dotąd zły dzień, teraz zamieni się w koszmar.

Pięć minut później Marianne Eek weszła do urządzonego na parterze gabinetu. Jej płaszcz był zupełnie przemoczony, podobnie jak włosy, przynajmniej te, które nie skrywały się pod czarną, wełnianą czapką. Ale makijaż na jej twarzy był nienaruszony. Dzisiejsza kosmetologia potrafi zdziałać cuda. Spoglądała swoimi wielkimi, pięknymi oczyma na siedzącego

przy biurku Bergmana, a ten czuł, że zaczyna się pocić. Nie wiedział tylko, czy to strach, czy gorączka znów dała o sobie znać.

– Bardzo nieładnie, Yngve – rzekła dziewczyna. – Zmuszona jestem przypuszczać, że chciałeś mnie zamordować.

Nie odpowiedział. Zaprzeczanie nie miałoby sensu, a pozbawiłoby go resztek godności. Wolał się skupić na tym, z czym do niego przyszła.

A przyszła z laptopem, którego wyjęła właśnie z plecaka. Aluminiowy MacBook Air śmignął w jej rękach. Białe, nadgryzione jabłuszko rozświetliło się, gdy uniosła pokrywę. Postawiła urządzenie przed admirałem i obróciła ekranem w jego stronę.

– No dobrze, Yngve – powiedziała spokojnie. – Najwyższy czas zagrać w otwarte karty.

Wcisnęła spację i przygotowany wcześniej materiał wideo wyruszył w swą sześciominutową podróż. Yngve nie doczekał do końca. Już po minucie energicznym ruchem stuknął w klawisz i zatrzymał obraz. Stopklatka, którą przypadkowo wybrał, pokazywała dziesiątki ciał unoszących się w wodzie. Jeśli dotąd admirał mógł mieć nadzieję, że Marianne blefuje, to właśnie okazało się, że była ona płonna.

ROZDZIAŁ 46

Dwóch rzeczy Aleks się nie spodziewał. Po pierwsze, że będzie tu tak ciemno, a po drugie, że tak pusto.

Nie bardzo wiedział, w której części kompleksu się znajduje, ale mniej więcej znał plany. Przeglądał je przecież rano. Choć szyby w aucie, które go wiozło, były zasłonięte, nie miał wątpliwości, że przewieziono go do starego garnizonu w Kvibergu. Czyli tam, dokąd wyprawili dziś Nate'a i Kjerstin.

Ciekawe, jak im poszło.

Szedł korytarzem. Starał się stąpać jak najciszej, ale cóż, nie miał nawet odsetka umiejętności Nate'a, a ponieważ dookoła panowała kompletna cisza, odnosił wrażenie, że odgłosy jego kroków niosą się po całym budynku i niewątpliwie zaraz kogoś mu ściągną na głowę.

Ale wciąż nie ściągały. Gdzie, do cholery, są wszyscy? Czyżby zamknęli go tu i zwyczajnie poszli do domu? Czy nikt się nie zorientował, że bez pozwolenia opuścił celę i teraz metr po metrze zbliża się do wolności?

W oddali zamajaczyło delikatne światło. To utwierdziło Aleksa w przekonaniu, że jest na dobrej drodze. To musiała być klatka schodowa. Z każdym kolejnym krokiem widział coraz więcej. Po chwili mógł już dostrzec brudną, żółtą lamperię na tynkowanych ścianach. Odetchnął i przyspieszył kroku. Nie miał pewności, do której klatki schodowej się zbliża, a budynek miał ich kilka. Ale po pierwsze, każdą z nich mógł się dostać do miejsca, w które się kierował, a po drugie, intuicja podpowiadała mu, że więziono go we wschodnim skrzydle. Wjechali najpewniej przez główny dziedziniec, a po wejściu do budynku skierowali się w lewo, a potem ponownie w lewo.

Dotarł do klatki schodowej i przywarł plecami do ceglanego muru. Być może taka była wizja architekta. Korytarze tynkować, klatek nie. A być może w czasie renowacji zabrakło funduszy.

W każdym razie Aleks wtulił się w mur tak mocno, że czuł, jak jego kręgi wpasowują się w szczeliny pomiędzy cegłami. Chwilę nasłuchiwał, a gdy nie usłyszał żadnych niepokojących odgłosów, odkleił się powoli od ściany i spojrzał w górę. Na schodach nie było nikogo. Chyba że Livgardet zatrudnia wojowników ninja na etatach żandarmów wojskowych.

Puścił się pędem na górę. Im prędzej znajdzie się na najwyższym piętrze, tym lepiej. Niestety, szybko się okazało, że tym razem los nie zamierzał przyjść mu z pomocą. Gdy już wbiegł na parter, dostrzegł żelazną, lekko przerdzewiałą, ale wciąż bardzo solidną kratę, odcinającą dostęp do wyższych kondygnacji. Znał plany budynku i wiedział, że podziemiami nie przedostanie się do przeciwległego skrzydła. Pozostała mu droga parterowym korytarzem. Najgorsza z możliwych, ponieważ dokładnie pośrodku długości korytarza, do którego właśnie wszedł, znajdowała się recepcja, przy której o tej porze na pewno siedzi wartownik.

Aleks zaklął w duchu. Wartownik stanowił przeszkodę, ale dużo bardziej martwiła go ta cholerna krata. A co, jeśli na przeciwległej klatce schodowej znajduje się podobna? Wtedy cały plan diabli wezmą. Przecież musiał się przedostać na ostatnią kondygnację, by móc uciec oknem, obok którego znajdowała się przytwierdzona do muru drabina. Tym samym oknem i tą samą drabiną, z których kilka godzin temu powinien skorzystać Nate. Ucieczka przez dziedziniec nie miała sensu. Bez wątplenia w narożnych strażnicach znajdują się żołnierze, którzy natychmiast go schwytają. Wprawdzie tego wieczoru wszystko zdawało się stawać na głowie, nikt go nie pilnował, właściwie pozwolili mu uciec, ale może to jakaś brudna zagrywka Siegbahna? Albo tego drugiego, jak mu tam? Wszystkie te rozważania przysłoniła jeszcze jedna, nawet bardziej niepokojąca myśl. A co, jeśli krata była zamknięta również w trakcie misji Nate'a? Może to właśnie dlatego nigdzie nie było Siegbahna? Może siedzi w jakimś lochu i przesłuchuje jednego z najbliższych przyjaciół Aleksa, a on sam nic nie może zrobić? Nate był sprytny i zwinny jak kot. Do tego piekielnie odważny.

Ale gdy przychodziło co do czego, miał w sobie najmniej siły z całej ich trójki. Nie nadawał się do konfrontacji. Działał po cichu, gdy nikt nie patrzył. Aleks nie wiedział, jak Nate mógłby znieść takie przesłuchanie.

Ale szybko odegnał te myśli. Nate był sprytny. Nieraz już zostawiali go w beznadziejnej sytuacji, a on i tak docierał do celu przed nimi. Był do tego stworzony. Nigdy się o niego nie martwili. I tym razem Aleks też nie zamierzał.

Przyspieszył kroku, ale nie zbliżył się nawet na dwadzieścia metrów do recepcji, a już usłyszał szum krótkofalówki. Czyli wartownik był na swoim miejscu. Przy odrobinie szczęścia może zapadł w lekką drzemkę. Jednak Aleks nigdy nie zdawał się na szczęście.

Przycisnął się do ściany i podpełzł tak blisko recepcji, jak tylko się dało. Choć stał teraz nie dalej niż pięć metrów od wartownika, nie mógł go widzieć. Tylko słuch mógł mu teraz pomóc rozeznąć się w sytuacji.

Co kilka chwil krótkofalówka wypluwała z siebie głośny szum, wśród którego przemycone były krótkie komunikaty, co świadczyło o tym, że w kompleksie Kviberg znajdowali się ludzie. Gdzie, do jasnej cholery, się pochowali? I po co? Krótkofalówka odzywała się co jakiś czas, a prócz niej w pomieszczeniu rozchodziły się jeszcze inne dźwięki. Cicha rozmowa kobiety z mężczyzną, a w jej tle oszczędna w formie, ale dramatyczna melodia. Aleks szybko zrozumiał, że to telewizor, ale niewiele mu to dało. Wciąż nie wiedział, na czym stoi. Wartownik mógł się skupiać na filmie i być może dzięki temu uda się jakoś prześlizgnąć. Ale równie dobrze może nie zwracać uwagi na telewizor, a ten gada jedynie po to, by coś gadało. Trzecia, najkorzystniejsza opcja zakładała, że strażnik sobie przysnął. Przecież wszyscy to robimy. Śpimy na filmach. Zwłaszcza gdy znamy je na pamięć lub nas zupełnie nie interesują. Aleks wątpił, by w Kvibergu zamontowano kablówkę, a jeśli nawet, to jaka była szansa, że akurat leciało coś, co mogłoby autentycznie przyciągnąć uwagę wartownika? Gdyby z telewizora płynęły odgłosy meczu, to co innego. Ale prawdopodobnie żołnierz po

prostu puścił jakieś nagranie. Pewnie ma stary magnetowid. W takim wypadku i o tej porze wartownik mógł sobie przysnąć.

Ale Gall odrzucił tę myśl. Po pierwsze, jak dotąd miał sporo szczęścia, lecz musiałby być głupcem, by nadal na nie liczyć. Po drugie, nie słyszał chrapania. Oczywiście nie każdy żołnierz śpiący na służbie chrapie, ale bez tego rachunek prawdopodobieństwa krzychał: nie rób tego!

Aleks cofnął się nieco w głąb korytarza, po czym przeszedł pod przeciwległą ścianę. Powoli przesuając się wzdłuż ściany, ujrzał w końcu wychylający się zza narożnika korytarza kontuar recepcji. A przy niej żołnierza. Mężczyzna faktycznie nie był zainteresowany telewizorem. Bo telewizora nie było. Był za to tablet, w który młody chłopak ze śmiesznym, cienkim wąsikiem wgapiał wzrok. Nic dziwnego. Bohaterowie filmu przestali rozmawiać. Teraz wydawali z siebie wszelkiego rodzaju jęki, krzyki i westchnięcia. Początkowo ciche, potem coraz głośniejsze. Na twarzy chłopaka zagościł uśmiech.

Dziewczyzna na ekranie musiała mieć naprawdę fajne cycki.

Aleks podjął decyzję, że warto zaryzykować. Jeśli się pochyli, to powinno mu się udać przemknąć niezauważenie. Osłonią go kontuar i cycki. Przy odrobinie szczęścia dostanie się do przeciwległego korytarza. Nim jednak zdążył cokolwiek przedsięwziąć, wszelkie dźwięki nagle znikły. Gall wysunął się lekko i ujrzał, że żołnierz wystukuje coś na ekranie komórki. Przyłożył ją do ucha i chwilę czekał na połączenie. Gdy je nawiązał, tłumaczył coś cierpliwie osobie po drugiej stronie, a ton jego wypowiedzi świadczył, że raczej koledze niż przełożonemu. Potem przez kilka chwil wsłuchiwał się w odpowiedź, która najwyraźniej nie była taka, jakiej oczekiwał. Wyrzucił z siebie kilka kolejnych zdań, a wśród wielu słów padło jedno kluczowe: toaletten.

Aleks drgnął. Czyżby miał aż tyle szczęścia? Wrodzona podejrzliwość uruchomiła mu w głowie wszystkie dzwonki alarmowe, ale żołnierz zakończył połączenie, odłożył komórkę i schował tablet do szuflady, czym nieco zaskoczył Aleksa, który podejrzewał, że młody żołnierz bynajmniej nie za potrzebą

fizjologiczną zamierzał się udać do toalety. A w każdym razie nie taką związaną z oddawaniem moczu.

Szkoda – pomyślał Aleks. – Miałbym więcej czasu.

Żandarm podniósł się z miejsca. Gall nie zareagował. Wiedział, że najbliższa toaleta znajduje się na końcu przeciwległego skrzydła. Musiał tylko zadbać o to, by wartownik nie ujrzał go, gdyby z jakiegoś powodu zechciał się odwrócić.

Żołnierz obszedł kontuar z lewej strony i ruszył ku drzwiom wyjściowym, a Aleks w tym czasie okrążył recepcję od prawej i skrył się za drewnianym biurkiem. O ile chłopak nie postanowi tu wrócić, nie spostrzeże uciekiniera.

Nie wrócił. Zamknął drzwi wyjściowe na klucz i szybkim krokiem ruszył korytarzem. Aleks odczekał sześćdziesiąt sekund i podążył jego śladem. Kolejne sześćdziesiąt sekund później dotarł do klatki schodowej. Ta również zabezpieczona była kratą, jednak kłódka wisiała luźno. Znowu szczęście. Co tu się, do cholery, dzieje?

Wbiegł na piętro i chwilę później już otwierał okno. Zamek był naoliwiony, więc poszło sprawnie. Wskoczył na zewnątrz, chwycił się drabiny i wtedy coś poszło nie tak. Metalowe stopnie były oblodzone. Noga Galla ześlizgnęła się z jednego z nich i byłby runął w dół, gdyby nie to, że mocno zacisnęła obie dłonie na poręczach. Zjechał dobre dwa metry, nim udało mu się opanować sytuację. Dalej poruszał się w miarę szybko, ale ostrożnie i kilka sekund później zeskoczył na ziemię.

Wylądował po kostki w śniegu, czego się zupełnie nie spodziewał. Dopiero teraz spojrzął przed siebie. Na zewnątrz szalała śnieżycyca, a kto nie widział szwedzkiej śnieżycy, ten nie wie, co to prawdziwa zima. Wiatr zelżał nieco, ale nadal był silny. Grube płatki śniegu wirowały w powietrzu, opadając we wszystkich kierunkach. Aleks niewiele mógł zobaczyć, ale mimo to ruszył przed siebie. Musiał się spieszyć. Zostawiał wyraźne ślady na śniegu.

Niewielki zagajnik był blisko, ale nim do niego dobiegł, zrozumiał, że sytuacja jest naprawdę nieciekawa. Zabrali mu telefon i portfel. Ale przede wszystkim pozbawili go ciepłej

kurtki z futrzanym kapturem. Tymczasem temperatura dawno przekroczyła minus dziesięć stopni. Weronika zawsze narzekała, że Aleks ubiera się zbyt młodzieżowo jak na swój wiek. Że jeśli tylko będzie mógł, to zamiast eleganckiej marynarki zawsze wybierze powyciągany sweter. Albo bluzę z kapturem. Ale koniec końców, tę, którą właśnie miał na sobie, szarą z białym zamkiem i niebieskimi obramowaniami kieszeni, kupiła mu właśnie ona. Na zgodę po jakiejś drobnej kłótni. Cóż. Przez większość ich znajomości udawała modelkę, może narzekanie na styl otrzymała w scenariuszu do roli, którą musiała przed nim odegrać? W każdym razie Aleks nie miał wątpliwości, że bluza, którą mu podarowała, właśnie ratuje mu życie. Zarzucił kaptur i zawiązał naciągające go sznureczki. Nie było już na co czekać. Musiał jak najszybciej znaleźć taksówkę i jechać do Lilla Bommen.

Puścił się biegiem przez zagajnik. Właściwie na oślep, choć z pewnością nie było ciemno. Oślepiła go wszechobecna biel, zasysająca światło z każdego możliwego źródła. Wyciągnął przed siebie rękę, by nie wpaść na jakieś drzewo. Ziemia pod śniegiem była zmarznięta, ale wyczuwał pod stopami nierówny grunt. Zastanawiał się potem, dlaczego w ogóle to zauważył. Ludzie nie zwracają uwagi na takie rzeczy. Zwłaszcza kiedy uciekają przed żandarmerią wojskową i przy minus dziesięciu stopniach mają na sobie tylko dzinsy i bluzę z kapturem. A jednak świadomość Galla zawsze pozostawała czujna. Miał na to proste wytłumaczenie. Był wrażliwym człowiekiem. Często powtarzał, że wrażliwość to nic innego, jak stopień percepcji. Im więcej rzeczy odczuwasz, tym jesteś wrażliwszy.

Tym razem wrażliwość uratowała mu życie. W pewnym momencie poczuł, że nierówność gruntu zniknęła i zrozumiał, że wybiegł na jezdnię za zagajnikiem. Zatrzymał się odruchowo, w sam czas, by uniknąć uderzenia przez tańczące na jezdni białe volvo xc90. Masywny pojazd przemknął obok niego, hamując dość rozpaczliwie. Rzuciło nim trochę na bok, ale kierowca opanował auto przy wydatnej pomocy elektroniki pokładowej.

Auto się zatrzymało. Kierowca otworzył drzwi i Aleks nie

wiedział, czy chce go opieprzyć, czy zapytać o zdrowie. Ale niewysoki, krępy mężczyzna nie zrobił ani jednego, ani drugiego.

– Wsiadaj – polecił krótko Siegbahn. Zza potężnej konstrukcji Aleks widział jedynie jego głowę i mimowolnie się roześmiał.

– Chyba żartujesz.

Siegbahn oparł dłoń o dach auta. Trzymał w niej glocka 19.

– A teraz? – zapytał.

– A teraz to już nie jestem tego taki pewien – odparł Aleks, wbijając wzrok w żandarma.

– Wsiadaj – powtórzył Siegbahn i nie czekając na reakcję Galla, schował się w aucie i zatrzasnął za sobą drzwi. Aleks zrozumiał, że i tak nie ma wyboru. Może i udałoby mu się uciec. Ale jeśli tak, to zamarnie. Zaklął pod nosem, po czym szarpnął klamkę drzwi pasażera i wsiadł do środka. W aucie było ciepło i przyjemnie pachniało. Śpiewał Frank Sinatra. Choć było już dwa tygodnie po świętach, The Voice odśpiewywał kolejne strofy Little drummer boy. Siegbahn powoli ruszył z miejsca.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Aleks, rozcierając skostniałe dłonie. Jeszcze przed chwilą zimne jak lód, teraz zaczynały go palić żywym ogniem. Dobrze, że miał na głowie kaptur. W przeciwnym razie uszy podzieliłyby ich los.

– To zależy od ciebie.

– Och, świetnie. – Aleks zaśmiał się, wkładając sporo wysiłku w to, by Siegbahn nie przegapił ironii w jego słowach. Był zmęczony i nie miał ochoty na gierki. – W takim razie może do Hiltona?

– Po co do Hiltona?

– Mieszkam tam.

– Mieszkaś w Lilla Bommen, Aleks. W dodatku niezbyt legalnie.

– Oho, pies na tropie.

– Właśnie.

– Dobrze. Zatem jedźmy do Lilla Bommen.

– W porządku – odparł Siegbahn spokojnie.

Przez chwilę milczeli. Obserwując drogę, Gall szybko zrozumiał, że żandarm faktycznie kieruje się w stronę portu, co było jakimś zaskoczeniem.

– A ty co, dorabiasz sobie na taksówce? – zapytał.
– A to już nie można kumpla podrzucić do domu?
– Już ci mówiłem. Tacy jak ty nie mają kumpli. Nie pogrywaj ze mną, Viggo. Jestem zmęczony i zły, a w dodatku martwię się o przyjaciela.

– Eysturvindowi nic nie jest. Opatrzyli go i wrócił do siebie. To znaczy do tego nieszczęśnika, którego mieszkanie zajął. Za karę trochę pocierpi, bo ma złamane dwa żebra. W kilku miejscach. Ale zasadniczo miał wielki fart.

Nikt na świecie nie potrafiłby stwierdzić u Galla objawów ulgi, która wlała mu się właśnie do serca. To druga strona medalu. Nie okazywał strachu, nie okazywał gniewu. Ale nie okazywał też pozytywnych uczuć. Nigdy tego nie robił, aż poznał Weronikę. Ona szybko mu uświadomiła, że czasami w życiu trzeba odegrać niewielką rolę, by zyskać uznanie publiczności. Z czasem zaakceptowała go takiego, jaki był. A on z czasem nauczył się, że kilka słów, kilka uśmiechów i szczere spojrzenie potrafią zdziałać cuda.

– Czego chcesz, Viggo? – zapytał po krótkiej chwili ciszy.

– Czyli nie wierzysz, że po prostu postanowiłem cię odwiedzić do domu? Nie ufasz mi. To przykre. Przecież to ja wypuściłem cię z Kvibergu.

– Bardzo ciekawe. – Aleks wbił wzrok w twarz skupionego na drodze żandarma. Trudno mu było prowadzić auto w takich warunkach. Tym bardziej że jechali teraz jednojezdniową ulicą, a kawałek przed nim, błyskając pomarańczowymi światłami, wlokła się piaskarka. Ale był zupełnie spokojny. Żeby nie powiedzieć: wyluzowany. Oderwał na moment wzrok od drogi i spojrzał na Galla, a potem westchnął.

– No dobrze – rzekł. – Myślałem, że tego unikniemy. Jesteś mądrym facetem i idę o zakład, że doskonale wiesz, o czym mówię. Ale skoro...

– Nie ufam ci, Viggo – przerwał mu Aleks. – Jeszcze nie.

– Dobra – odparł Siegbahn. – W trakcie przesłuchania Pilkvist nakrył ci usta dłonią. Wyglądało, jakby chciał cię uciszyć, co zresztą było zgodne z jego rozkazami, ale jednocześnie wsadził ci

do ust pestkę magnetyczną, otwierającą drzwi. Pestkę, którą dostał ode mnie. I z wypisanym na niej kodem do panelu zamka. Wypisanym przeze mnie. Własnoręcznie. Czarnym markerem. Prawda, że tak było? Widzisz, Pilkvist to bardzo dobry żołnierz. Dobry, bo lojalny. Ale tytanem intelektu to on nie jest. Zdaje ci się, że wymyśliłby coś takiego? Zwłaszcza że, umówmy się, nienawidzi cię jak psa. Czemu się specjalnie nie dziwię.

Aleks nie odpowiedział i Siegbahn ponownie westchnął, tym razem jednak wydawał się autentycznie rozczarowany.

– Rozumiem, że nadal mi nie wierzysz – powiedział.

– Przeciwnie, Viggo, przeciwnie – odparł Gall. – Odnotowałem, że od momentu zatrzymania nie pojawiłeś mi się w kadrze ani na moment. Co mi zupełnie nie pasuje do twojego wizerunku. Bez urazy, ale strasznie upierdliwy z ciebie gość. Odnotowałem też, że Pilkvist nie darzy przesadną estymą tego, jak mu tam...

– Sund. Dupek z koneksjami.

– No właśnie. Sprawiał wrażenie zwykłego frajera.

– Ja bym na twoim miejscu nie zadzierał z tym frajerem. Jest naprawdę pięknie umocowany.

– Za późno. Wracając do tematu, Pilkvist faktycznie dał mi pestkę, a sposób, w jaki to uczynił, dowodził, że chciał ten fakt ukryć przed Sundem. Potem, gdy opuściłem swój apartament, nie napotkałem nikogo i zrozumiałem, że tylko ty mogłeś tak skutecznie odwołać swoich ludzi. Wiem, że gdzieś tam byli. Po prostu nie chcieli mnie zatrzymać. No i ten chłopaczek, który musiał iść się odlać dokładnie wtedy, kiedy było mi to na rękę, chociaż właśnie oglądał pornosa na tablecie.

– No wiesz – rzekł z przekąsem Siegbahn – żołnierz też musi czasem wyjść do kibla.

– I oznajmia to głośno i wyraźnie wszystkim w promieniu stu metrów?

– Oczywiście. Wartownik musi znaleźć zastępcę.

– Możliwe. Ale gdyby nawet faktycznie starał się go znaleźć, to na pewno nie przez komórkę. Przecież miał krótkofalówkę.

– Mogła nie działać. Zasięg w tych murach...

– Jest wystarczający, Viggo – przerwał mu Aleks. – Słyszałem

komunikaty. Zresztą gdyby on naprawdę chciał się odlać, to z pewnością skorzystałby z krótkofalówki. Prosi o chwilowe zastępstwo i dowódca mu je przydziela. To nie jest prośba do kumpla. Koniec kropka. Tyle że on nie chciał zastępstwa. Chciał mi jedynie głośno dać do zrozumienia, że opuszcza stanowisko. Przypuszczam, że na korytarzu znajdują się kamery, o których nie wiedziałem.

– A na recepcji jest monitor – uzupełnił Siegbahn, rezygnując z dalszej zabawy. – Dodam tylko, że wartownik dokładnie wypełnił moje rozkazy. Chyba więc mamy już jasność, że nie jestem twoim wrogiem.

– Owszem. I to mnie właśnie zastanawia, Viggo.

– A tak przy okazji, na tylnym siedzeniu leżą twoje rzeczy. Mój człowiek je przejął. Kurtka, portfel, komórka.

Aleks spojrzał w tył i szybko okazało się, że Siegbahn nie kłamie. Telefon był rozładowany. Jak zwykle.

Żandarmowi udało się w końcu wyprzedzić piaskarkę. Zaklął cicho, gdy piasek z dyszy rozprysnął mu się po szybie. Wcisnął mocniej gaz. Szwedzi potrafią robić samochody świetnie spisujące się w zimowych warunkach. A przecież Göteborg jest rodzinnym miastem koncernu Volvo. Każdy projektant w trakcie codziennego dojazdu do pracy nabierał doświadczenia, dzięki któremu kolejne auta były coraz lepsze i właśnie teraz Aleks mógł się o tym przekonać na własnej skórze. Siegbahn przekroczył sto kilometrów na godzinę, a xc90 sunęło równiutko, jakby te trzy centymetry ubitego śniegu pod kołami stanowiły jego ulubioną nawierzchnię, swego czasu wpisaną do projektu. Jakby na początku XX wieku, gdy projektowano ten pojazd, spotkało się grono zacnych Szwedów i jeden powiedział: dobra, chłopaki, mamy tu ciągle trzy centymetry pieprzonego śniegu na ulicach, zbudujmy coś, co będzie lubiło po tym jeździć.

Żandarm zrozumiał w końcu, że Aleks nie ma zamiaru drażnić tematu. Przemycił swoje pytanie w ostatnim stwierdzeniu i teraz czeka na odpowiedź.

– Nie jestem głupi, Aleks – zaczął żandarm. – Od kiedy Bergman został admirałem, bardzo dziwnie się zachowuje. Mam wrażenie,

że prowadzi jakąś prywatną wojnę. Jeszcze niedawno kazał mi cię pojmać, a dziś bez słowa wyjaśnienia odsuwa mnie od sprawy, przysyłając w zamian swojego wieloletniego przydupasa. Czy wiesz, jakie rozkazy dostał Sund?

– Nie mam pojęcia.

– I nic dziwnego. Bo nie dostał żadnych. Pojmać i zamknąć do jutra. W sztabie teraz się głowią, co z tobą zrobić. Tak samo jak głowili się poprzednim razem. Widziałeś jakiś sens w tym, że bez słowa zgodzili się oddać cię FBI? Ale nie to jest najbardziej kuriozalne. Pilkvist doniósł mi, że Sund mu rozkazał uniemożliwić ci mówienie. Że jeśli się odezwiesz, ma cię zdzielić po pysku. Nigdy w życiu nie słyszałem takiego rozkazu. Podejrzewam, że coś wiesz, a Sund nie chciał, by Pilkvist usłyszał, co masz do powiedzenia, bo natychmiast by mi to przekazał. Widzę wyraźnie, że stanowisz dla nich zagrożenie. A przecież jesteś tu, by badać zatonięcie *Raginisa*. Jeśli to zsumować, to konkluzja jest prosta. Chcą ukryć coś związanego z wypadkiem. I na każdym kroku dostajemy potwierdzenie tej teorii. Przejęcie cywilnego śledztwa przez wojsko. Mamy zaledwie ósmy dzień po katastrofie, a oni już się szykują, by zalać wrak betonem, mimo że bez problemu można by go wyciągnąć. A przynajmniej przeczesać w poszukiwaniu wskazówek. W niedzielę jakiś kuter rybacki zbliżył się do wraku, a korweta pilnująca wrakowiska ostrzelała go z boforsa. Coś takiego dotąd się jeszcze nie zdarzyło poza manewrami. Bergman dość rozpaczliwie próbuje ukryć wszelkie ślady.

– Wiesz o tym, że igrasz z ogniem, Viggo? Jesteś żołnierzem. Majorem. A on jest admirałem i rządzi całą marynarką. Jeśli się dowie, że działasz przeciwko niemu, to jesteś trupem.

– Myślisz, że posunąłby się do fizycznej eliminacji?

– Do fizycznej eliminacji? Tak się to u was nazywa, Viggo?

– Chybaby się posunął – ciągnął żandarm, nie zadając sobie trudu, by odnieść się do szyderstw Galla. – Ostatecznie jego ludzie ostrzelali ten kuter. No i jest jeszcze sprawa tego chłopaka.

– Chłopaka?

– Jakub Ćwiek. Mówi ci coś to nazwisko?

– Rozbitek z *Raginisa*?

– Właśnie. Wciąż nieprzytomny, ale weszły piątek ktoś usiłował go zamordować w szpitalu.

– Rozumiem, że nieskutecznie.

– Dobrze rozumiesz. Sprzątaczką go uratowała i sama niemal przyplącała to życiem. W każdym razie dzieje się tu wiele dziwnych rzeczy, a ja zamierzam się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. I chciałbym, żebyś mi pomógł.

Już od kilku chwil Aleks spodziewał się tej prośby. Wciąż jednak zastanawiał się, czy może zaufać Siegbahnowi. Był przekonany, że żandarm stoi po jego stronie. Potrafił to wyczuć. Ale nie mógł ryzykować. Poprzedniego lata nauczył się, jak wiele może zależeć od dobrze poprowadzonej gry pozorów. I jak łatwo można popełnić błąd, jeśli się komuś za szybko zaufa.

– Nie wiem zbyt wiele, Viggo – odparł w końcu. Uznał, że nie musi się spieszyć. Jeśli Siegbahn żąda od niego zaufania, najpierw sam będzie musiał zaufać jemu. Ale żandarm szybko udowodnił, że jest dobry w te klocki.

– W porządku – rzekł. – Krótko: nie żebym się wychwalał, ale, jak już wspomniałem, nie jestem głupi, Aleks. Doskonale się orientuję, kto był na tym kutrze. Powiem ci nawet, że Bergman też to wie. I że dość aktywnie poszukuje tej jednostki, więc warto, byś ostrzegł swoich przyjaciół. To, co znalazłeś pod wodą, przyprawia Bergmana o siwiznę. Krótko mówiąc, wiem, że ty już wiesz. Ale zgoda. Rozumiem, że nie zaufasz mi tak łatwo. Przecież mogłem zaaranżować całą tę ucieczkę. Ba, mogłem zaaranżować zatrzymanie, a potem ucieczkę. Wszystko po to, by wkraść się w twoje łaski. Rozumiem twój tok myślenia. Więc po prostu proszę cię, jak będziesz gotów pogadać, znajdź mnie. Tylko niech to trwa krócej niż dłużej, okej?

– Co oznacza FR? – zapytał nagle Aleks.

– Co?

– Symbol FR. Właściwie jest to literka F, ale od dolnej poprzeczki odchodzi nóżka jak w literce R.

– Dłaczego pytasz?

– Wiesz, czy nie wiesz?

- Fracht. To oznaczenie frachtu wojskowego.
- Czyli?
- Ładunku, który w ramach umowy krajów nadbałtyckich nie podlega kontroli celnej. Nadawcą i odbiorcą jest wojsko.

- I co się w nim wozi?

- Wszystko, Aleks. Dlaczego pytasz?

Aleks wyjął z kieszeni zgnieciony pocisk, którym strzelano do Baldura, i podał go Siegbahnowi. Żandarm zjechał z drogi i zaparkował na poboczu. Światła awaryjne rozświetliły mrok na pomarańczowo. Viggo sięgnął ręką do przełącznika umieszczonego na suficie i wewnątrz pojazdu zrobiło się jasno. Natychmiast zauważył wygrawerowany symbol.

- Co to? - zapytał Siegbahn.

- Pocisk, którym ktoś usiłował zabić Baldura. Pamiętasz ostrzał kolumny, którą jechaliśmy na lotnisko? Na tamtym pocisku też znalazłem ten grawerunek.

- Ciekawe. Musisz na siebie uważać, ale dla mnie to dziwne. Po co ludzie Bergmana mieli do ciebie strzelać, skoro zadbali, by cię deportowano? Bergman szukał możliwości, by się ciebie pozbyć i ją znalazł. Zlecając zabójstwo, dużo by ryzykował.

- Dlatego nie sądzę, żeby to był on.

- A kto?

- Nie wiem. Ale się dowiem. I to szybko. Wygląda to tak, jakby ktoś chciał wrobić Bergmana. Albo szantażować.

Siegbahn nie odpowiedział. Zgasił wewnętrzne światło i ruszył przed siebie. Ulica była pusta. Przez gęstą, śnieżną mgłę przebijały już blade światła Lilla Bommen. Prawie dotarli na miejsce.

Gdy dojechali, Viggo zaparkował pod budynkiem, ale nie zgasił silnika. Aleks zrozumiał, że ich spotkanie dobiegło końca. Chwycił za klamkę, ale nie otworzył drzwi. Mieć sojusznika w Siegbahnie to duża korzyść. Dlatego uznał, że mimo wszystko powinien coś żandarmowi podarować. Coś, co dowiedzie dwóch rzeczy. Po pierwsze tego, że ich dalsza współpraca jest możliwa, a po drugie, że będzie ona dla żandarma korzystna.

- We wraku znalazłem kontener - powiedział wolno. - A na

kontenerze ten sam znak co na pocisku.

Chwycił klamkę. Wiatr szarpnął drzwi i Aleks szybko znalazł się na zewnątrz.

– Poczekaj! – krzyknął za nim Siegbahn. Otworzył swoje drzwi i wyskoczył na zewnątrz. – Co w nim było?

– Nie ruszaj się, żołnierzyku – rozległ się naraz głos, a Siegbahn szybko zorientował się, że ma broń przyłożoną do skroni. – Obróć się powoli i...

Viggo nie posłuchał. Był niewysokim mężczyzną, w przeciwieństwie do swojego przeciwnika. Błyskawicznym ruchem zgiął się wpół i zaatakował głową brzuch napastnika. Chwycił go wpół, podniósł z dziecinną łatwością i rzucił na maskę. Nim mężczyzna zdołał odzyskać równowagę, nie miał już w ręce pistoletu, za to na jego nadgarstkach zapinały się kajdanki.

– Serio? – jęknął Gall. – Co to ma być? Walka kogutów? Viggo, będę potrzebował tego człowieka.

– Viggo? – sapnął Nate. – Masz nowych kolegów, Aleks?

– Zazdrośnik? – zapytał Siegbahn, łokciem przyciskając twarz Nate'a do maski. Kao jęknął z bólu. Zapięte za plecami kajdanki naciągały mu barki.

– Zostaw go – poprosił Aleks.

Siegbahn posłuchał. Najwyraźniej chłód spowodował, że nie miał więcej ochoty na tę zabawę. Zrzucił Nate'a z maski volvo, a potem uśmiechnął się i wsiadł do auta.

– Kluczyk! – zawołał Nate.

– Och, jestem przekonany, że jakoś sobie poradzisz, panie mistrzu ucieczek.

– Goń się, łajzo – odparł Kao, rzucając w żandarma kajdankami. Siegbahn złapał je w locie, uśmiechnął się i zamknął drzwi.

– Ale szybki skurwiel – rzekł z podziwem Nate, gdy białe volvo odjechało, a oni ruszyli ku Lilla Bommen. – Dobrze, że się z nim zakumplowałeś, bo nie chciałbym być jego wrogiem.

– Dlaczego mu przystawiłeś spluwę do głowy?

– Myślałem, że będę cię musiał odbijać. Ale jest nienaładowana. Przyjechałem tu wprost z garnizonu. Nikogo nie zastałem

i trochę zacząłem się martwić. Potem przyszedł Baldur i powiedział, co się stało. W szpitalu zajął się nim jakiś doktorek i nasz chojrak uznał, że czas wracać do domu. Acz po mojemu, to on najlepiej nie wygląda. Doktorek obiecał, że odwiedzi Baldura w domu. Pojechałem do garnizonu. Widziałem, że Siegbahn zmusił cię, żebyś wsiadł do jego auta. Potem przyjechaliście tu, a ja za wami.

Weszli do środka i skierowali się ku window. Aleks trzął się z zimna, ale w holu temperatura była przyjemna. Świadomość, że zaraz zakopie się w pościeli, dodawała mu sił.

– Mówisz, że nikogo nie było – zwrócił się do Nate'a. – A Marianne?

– Marianne to jakiś lepszy numer. Zwinęła się.

– Jak to?

– Tak to. Zgrała materiały z wraku i poszła. Napisała miłą wiadomość. Że dziękuje i przeprasza, ale pożyczyla sobie nagrania, bo będą jej potrzebne.

– Fatalnie. Na sto procent pójdzie z nimi do Bergmana.

– Może i dobrze. Niech wie. W stresie łatwiej o błędy.

– Możliwe. Ale od teraz każdy z nas musi się mieć na baczności. Żarty się skończyły.

– Zauważyłem.

– Coś ustaliliście?

– Kjerstin spisała się na medal, ale Tshombe nic nie wie. Powiedział właściwie tylko jedną rzecz. Że gdzieś na północy jest burdel dla gejów, gdzie podobno można sobie wynająć czarnego pytonga, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Czarnego pytonga?

– No, czarnego chłopaka. Z Afryki. A dokładniej jego...

– Zrozumiałem, Nate. Jeśli nie zauważyłeś, naśmiewam się z twojego słownictwa. Gdzie ten burdel?

– Nie wiem. Zapytaj Kjerstin.

Ale nie zapytał, bo kiedy weszli do mieszkania, okazało się, że Kjerstin już śpi. Baldur również. Aleks wziął szybki prysznic i wskoczył do łóżka. W głowie kłębiły mu się setki myśli, ale nie potrafił ich poukładać. Co chwila odnosił wrażenie, że którąś

schwycił, że to ona właśnie jest tą najważniejszą, tą, która wszystko uporządkuje i pomoże mu rozwiązać zagadkę, ale ostatecznie każda rozmywała się w nicości. Zasnął w chwili, gdy naciągnął na siebie kołdrę.

Przebudził się po kwadransie. Coś nie dawało mu spać. Coś, co miał zrobić. Błyskawicznie sobie przypomniał. Wpadł na ten pomysł jeszcze w garnizonie. Pomacał prześcieradło, szukając komórki. Ostatnimi czasy spała z nim w łóżku, bo w jego sypialni nie było żadnej szafki, na której mógłby ją położyć. Tym razem jednak jej nie było i Aleks przypomniał sobie, że resztką świadomości podpowiedziała mu, by przed snem włączyć telefon do kontaktu. Mruknął i niechętnie wstał z łóżka. Podniósł telefon leżący na podłodze i wybrał numer. Oczekując na połączenie, spojrzął przez okno. Widok na tonący pod śniegiem port naprawdę robił wrażenie.

– Cześć – przywitał go ciepły, ostrożny głos.

– Cześć – odparł i urwał, bo nie wiedział za bardzo, co powiedzieć. Te rozmowy nigdy nie były łatwe. – Nie obudziłem cię? – zapytał w końcu, a ona się roześmiała.

– Zwykle nie śpię o osiemnastej.

– Racja. – Aleks westchnął. – Nie przeliczyłem sobie godzin.

Chciałbym cię o coś prosić.

– Co tylko chcesz – zapewniła go Weronika.

– Chciałbym coś od ciebie pożyczyć.

ROZDZIAŁ 47

– *Welcome to fucking Åmål* – rzekł Nate, skręcając z drogi E45 w Strömstadsvägen, prowadzącą wprost do owianego złą, choć bezzasadną sławą miasteczka z filmu Moodyssona. Aleks uśmiechnął się. Znał ten film. Oglądali go z Weroniką. Ale nie spodziewał się, że Nate go zna.

Każdy, kto narzeka na jakość dróg w swoim kraju, powinien się przejechać północną odnogą E45. Od Vänersborga zaczyna się prawdziwe rodeo. A jeśli dodatkowo jest to ten dzień, w którym zima przypomniła sobie, że ma do wykonania robotę, a zasnęła o dobre dwa miesiące i bardzo stara się to nadrobić, nic dziwnego, że na pokonanie niecałych dwustu kilometrów dzielących Åmål od Göteborga potrzebowali aż czterech godzin. Ram doskonale spisywał się na pięciocentymetrowej warstwie świeżego puchu, czego jednak nie można było powiedzieć o innych samochodach na drodze. Korki skutecznie ich spowolniły.

Dochodziła pierwsza po południu i za moment miała się zacząć ta bardziej niebezpieczna część wyprawy. Baldur stanowczo się upierał, by pojechać z nimi. Aleks kategorycznie odmówił, co doprowadziło do niewielkiej scysji. Farer nie należał do ludzi, którzy leżą w łóżku w sytuacji, gdy powinni działać, ale jeśli kogokolwiek na świecie był skłonny posłuchać, to chyba tylko Aleksa. Dlatego właśnie krótka wymiana zdań zakończyła się dla Baldura pełną kapitulacją. Gall wiedział, że dobrze postąpił, ale szczerze mówiąc, teraz wolałby mieć tego małego wariata przy sobie.

Nielegalny gejowski burdel. Aleks przez kilka chwil zastanawiał się, skąd Tshombe mógł wiedzieć o tym miejscu, ale rozmyślenia te nie przywiodły go do żadnego konstruktywnego wniosku, więc je porzucił. Martwił się, że jechali tam właściwie bez rozpoznania. Baldur niczego nie wyszperał, a to było naprawdę

niepokojące. Na wszelki wypadek pojechali uzbrojeni. Ostatecznie nie mogli mieć pewności, czy świadczący w Åmål swe usługi mężczyźni na pewno robili to zupełnie dobrowolnie.

Gdy ujrzeni pierwsze zabudowania, zadzwonił telefon. Aleks odruchowo pomacał kieszenie, a potem przypomniał sobie, że jego telefon leży w pojemniku na kubki umiejscowionym na środkowej konsoli. Całą drogę wpięty był do portu USB, bo bateria z dnia na dzień wytrzymywała coraz krócej.

Przyłożył słuchawkę do ucha.

– Aleks – rzucił krótko.

– No więc Thoresen nie wygląda na kogoś, kto sześć dni temu przeszedł atak serca – odparła Kjerstin, nie tracąc czasu na przywitanie.

– Może udawał – odparł Aleks.

– Nie sędzę. Po prostu zignorował fakt, że prawie się przekreślił. W każdym razie poświęcił mi pół godziny. Spytałam, dlaczego załoga wypłynęła w morze pomimo alarmu furty. Byłam pewna, że powie coś w rodzaju „a skąd ja mam wiedzieć”, ale, o dziwo, nie zrobił tego. W zamian zapewnił mnie, że to zupełnie normalne, bo alarm bezustannie się psuł. Podobno czujniki wciąż łapały wilgoć w czasie przeładunków i wariowały. W takiej sytuacji kapitan miał obowiązek porozmawiać z obsługą furty i uzyskać od nich potwierdzenie, że wszystko jest okej.

– I to by się zgadzało – powiedział Aleks. – Właśnie tak to wszystko wyglądało na nagraniach. Zapytałaś go o Szeligę?

– Tak, ale tym razem mnie zbył. Powiedział, że to nie jego ludzie i nic o nich nie wie. Nie on ich zatrudniał, nie wie, co umieją, a czego nie, nigdy ich nie poznał. Musiałam mu dwa razy powtarzać nazwisko.

– Kłamie. Miał na statkach swoich szpicli, a ci z pewnością przygotowali mu szczegółowe raporty o załogach.

– Poza tym – wtrącił Kao, który jedynie z kontekstu odgadywał przebieg rozmowy – skoro nie znał swoich ludzi, to jakim cudem tak wiele wiedział o awariach czujnika? Przecież takie info to tylko od załogi.

– Nic więcej się nie dowiedziałam. – Kjerstin w końcu

westchnęła. – A nie, przepraszam. Jeszcze coś o procedurze. Jest dość dziwna. Po pierwsze, statki Baltic Bridge zawsze ustawiają się furtą dziobową do nabrzeża. W przeciwieństwie do innych promów, które w Świnoujściu zawsze stają rufą. Wynika to z ich przestarzałej konstrukcji, która uniemożliwiła dokowanie dziobem w Göteborgu. Dlatego przy wchodzeniu do portu płyną na obrotnicę, tam są zawracane i potem holowniki wciągają je na miejsce. Ale dzięki temu mogą same wychodzić z portu. Bez asysty holowników. Tam jest bardzo tłoczno. Przy jednym nabrzeżu są trzy stanowiska, ale tylko jedno z doprowadzonymi torami. Rozkład ułożony jest tak, że kiedy jednostki Baltic Bridge realizujące wieczorny kurs odbijają od nabrzeża, w kanale stoi już gotowa do dokowania jednostka Unity Line. Statek Baltic Bridge musi się wycofać i poczekać, aż Unity stanie przy kei. Dopiero wtedy może ruszać w trasę. No więc według Torgila statek może odbić od nabrzeża z otwartą furtą, ale musi ona zostać zamknięta, zanim sternik zada ciąg do przodu. Z mostka doskonale widać, czy furta jest zamknięta, więc nie ma niebezpieczeństwa wyjścia w morze z podniesioną. Co najwyżej z niedomkniętą. I to właściwie tyle. Thoresen najchętniej utopiłby Makuszewskiego w łyżce wody, ale w tej kwestii stoi po jego stronie. Mówi, że to słuszna procedura, która pozwala zaoszczędzić czas. Zresztą sprawdziłam u innych przewoźników. Potwierdzają, że czasami tak robią, jeśli zawijają gdzieś, gdzie cumują dziobem.

Pogadali jeszcze chwilę o warunkach drogowych i filmie Moodyssona, a potem Kjerstin pożegnała się i Aleks przerwał połączenie.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł Nate, zatrzymując auto na wąskim miejscu parkingowym przy supermarkecie Netto. – I co teraz? Bo nie sądzę, by ogłaszali się w gazecie. Jak ich znajdziemy?

– Jak myślisz, Nate, ilu w Åmål mieszka czarnoskórych?

– Kurczę, nie wiem. To Szwecja. Pewnie wielu.

– W takim razie prawdopodobnie na jakiegoś trafimy.

– Rasista. Nie każdy czarnoskóry musi być...

– Ale każdy z pewnością wie, że w jego miasteczku znajduje się

nielegalny burdel dla gejów z czarnymi chłopakami. To dość nietypowa usługa.

– I myślisz, że ci o tym powiedzą?

– Mnie na pewno nie.

– A mnie to niby... A, rozumiem. – Nate uśmiechnął się i zatarł ręce.

Nie szukali długo. Objechali jeden kwartał i na Hjeltegatan, sto metrów od Netto, ujrzeli niewysokiego czarnoskórego mężczyznę spacerującego z psem.

– Do roboty – rzucił Aleks. Nate zatrzymał auto, otworzył drzwi i przepadł. Gall zajął jego miejsce, co w ramie wymaga odrobiny wysiłku. Potem ruszył powoli w kierunku mężczyzny z psem. Gdy go wyminął, zatrzymał się na chodniku i wysiadł z auta. Podchodząc do mężczyzny, rozcierał ręce. Nie było mu zimno, ale chciał sprawiać takie wrażenie. Zagubionego, przemarzniętego turysty, który trzęsie się jak osika już minutę po opuszczeniu auta.

– Przepraszam – rzekł przyjaźnie, a mężczyzna chwycił mocniej smycz. Biały amstaff natychmiast usiadł, wpatrując się w Aleksa czujnym wzrokiem.

– Słucham pana?

– Chciałbym... – zaczął Aleks i urwał, jakby to, co miał do powiedzenia, powodowało u niego zażenowanie. – Chciałbym się nieco zabawić.

– Nie rozumiem – odparł mężczyzna.

– No, wie pan. Słyszałem, że tu w okolicy jest takie miejsce...

– O co panu chodzi?

– Takie miejsce, gdzie można spędzić godzinę z chłopakiem z Nigerii. Teraz pan rozumie?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Na pewno pan wie.

– Jest pan z policji?

Aleks wskazał dłonią rama.

– Czy policja jeździ takimi brykami? Mam sporo kasy. Chcę jej trochę wydać. No, wie pan.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. I proszę mnie zostawić

w spokoju.

– Przecież ja pana o nic nie oskarżam.

– Czyli jednak jest pan z policji.

– Nie jestem.

– Nie rozmawiam z policją. Proszę mnie zostawić, bo poszczuję psem.

– Nie jestem z policji, ile razy mam...

– Nanga, bierz go! – krzyknął mężczyzna, ściągając jednocześnie smycz. Typowy błąd w gruncie rzeczy dobrego człowieka. Niby grozi, ale jednocześnie pilnuje, by nikomu nie stała się krzywda. Ale jego wysiłek okazał się zbyteczny, bo Nanga nie miał zamiaru się ruszyć. Wciąż siedział na chodniku. Jego wzrok nie wyrażał już ani złości, ani szczególnego zaciekawienia. Wyglądał, jakby miał ochotę się zdrzemnąć.

– Nanga! – krzyknął właściciel. Pies uniósł łeb i spojrzał na niego z niemym wyrzutem.

Tak było zawsze. Psy nie atakowały Aleksa. Nie potrafił wytłumaczyć tego fenomenu, ale jakiś czas temu Baldur znalazł w Internecie badanie, z którego wynikało, że psy atakują, tylko czując strach lub gniew ofiary. A Aleks nie okazywał ani jednego, ani drugiego. Więc może o to chodziło.

– Jestem wielkim czarownikiem. – Aleks się uśmiechnął.

– Raczej jebanym rasistą – odciął się mężczyzna. – A ja jestem Szwedem i nie wierzę w czarowników. A teraz spierdalaj.

Dla podkreślenia wagi swych słów pokazał Aleksowi środkowy palec. Co wyglądało dość śmiesznie, zważywszy na to, że miał na dłoni dwupalczystą, kolorową rękawiczkę. W końcu odwrócił się i ruszył przed siebie. Szarpnięty przez smycz Nanga niechętnie podążył śladem swojego pana.

Aleks wsiadł do rama i wtedy przypomniał sobie o czymś ważnym. Jeszcze niczego nie jadł. Zawrócił i ruszył w kierunku czegoś, co z braku lepszego słowa można było nazwać centrum miasta. Do przejechania miał dobre trzysta metrów.

Przy rondzie łączącym Torggatan i Kungsgattan znalazł obskurny bałkański bar. Zaparkował przy samym wejściu i wszedł do środka. Przy kontuarze krzątał się stary Bośniak. Jeśli

wierzyć szyladowi nad drzwiami, miał na imię Miloš. Pewnie bośniacki Serb. Mężczyzna dawno już przekroczył sześćdziesiątkę, ale był zadbany i starannie ogolony. W barze było czysto. Aleks zamówił burek z mięsem i jogurt. Właściciel spełnił jego życzenie bez choćby jednego słowa.

Knajpa była obskurna, ale burek znakomity, więc Gall zamówił jeszcze jeden. To wyraźnie spodobało się Milošowi, który nagle stał się nieco rozmowniejszy. Powiedział, że jego żona sama robi burek i gdyby Aleks chciał, to ma też świetne čevapčici, i że to nie jest to gówno, jakie sprzedają w sklepach, tylko prawdziwie bośniacki smak i tylko ten jogurt jest do dupy, no ale taki się robi w Szwecji, a ściąganie go z Sarajewa zupełnie się nie opłaca. Ale spoko, bo gdyby Aleks chciał, to on, Miloš, z pewnością znajdzie na zapleczu odrobinę śliwowicy, która dużo lepiej się komponuje z burkiem niż to szwedzkie badziewie, pseudojogurt dla ludzi bez cienia poczucia smaku.

Aleks odmówił grzecznie, wskazując zaparkowanego pod barem rama. Miloš machnął ręką i wrócił do swoich zajęć.

W połowie drugiej porcji zadzwonił telefon.

– Dokładnie tak, jak przypuszczałeś – powiedział Nate. – Odprowadził psa i zaraz pobiegł do tamtych. Ty być faktycznie wielki czarownik. Gamla Örnäsgatan. Na samym końcu jest kemping. Na terenie kempingu stadion. Idziesz na południe i mijasz korty tenisowe. Potem dziurawą betonową drogą w las. Dwieście metrów i dochodzisz do dość dużego, starego magazynu z niebieskiej blachy falistej. To tam.

Aleks machnął dłonią w stronę Miloša, a ten w mig pojął zachciankę klienta i przyniósł styropianowe opakowanie do dań na wynos. Aleks zapakował resztę dania i zabrał ze sobą. Za dobre, by rezygnować. Zostawił napiwek, w zamian usłyszał hvala brate, i ruszył do wyjścia.

Droga na miejsce zajęła mu pięć minut, wliczając w to starcie z nawigacją. Nie zapamiętał dokładnie nazwy ulicy i musiał próbować kilka razy. W końcu zajechał pod stadion.

Śnieżyca nasiliła się i przez całą drogę wokół stadionu właściwie nic nie widział. Sytuacja poprawiła się dopiero wtedy,

gdy wszedł do gęstego sosnowego lasu. Dość szybko wypatrzył magazyn z blachy falistej. W przeciwieństwie do Nate'a, który ani razu nie pojawił mu się na radarze. Najwyraźniej Kao uznał, że bardziej się przyda, zabezpieczając tyły.

Odszukał wrota i zapukał w nie na tyle mocno, że huk rozniósł się po całej okolicy. Nie czekał długo. W prawym skrzydle wielkich wrót znajdowały się zwykłe drzwi. Nie było potrzeby otwierania całości, jeśli do wnętrza miał się przedostać człowiek zamiast wielkiej ciężarówki. Dawniej drzwi były jasnoniebieskie, podobnie jak całe wrota. Dziś już raczej brązowopomarańczowe od rdzy. Zamek szczęknął, drzwi się otworzyły i Aleksowi zastąpił drogę imponujących rozmiarów Afrykanin. Miał pewnie ze dwa metry wzrostu, a bary tak szerokie, że ledwo się mieścił w drzwiach. Na czubku łysej jak kolano głowy widniała paskudna blizna. Afrykanin łypnął na gościa podejrzliwie, po czym powiedział coś po szwedzku.

- Chcę się zabawić - rzekł po angielsku Aleks.

- Ty masz pieniądze? - zapytał bramkarz.

- Mam.

- Ty wchodzi. - Usunął się nieco. Aleks wszedł do hali i natychmiast zrozumiał, że biznes musi się całkiem nieźle kręcić. Wnętrze było wyłożone jasną boazerią, na podłodze leżała elegancka terakota. Pomieszczenie było niewielkie i Aleks zrozumiał, że jest w czymś, co musiało pełnić funkcję recepcji.

- Dlaczego tu nikogo... - zaczął Aleks, ale przeszkodziło mu potężne uderzenie w tył głowy. Na szczęście lata spędzone w armii wyrobiły u Galla pewne odruchy. Na przykład takie, by nigdy nie ufać wielkiemu bramkarzowi w nielegalnym burdelu, zwłaszcza takiemu, który czai się za plecami. Kątem oka zauważył ruch i zdołał się nieco pochylić, ale uderzenie i tak zważyło go z nóg. Bramkarz runął na przeciwnika jak świetnie wyszkolony wrestler, ale nadział się na nogę, którą Aleks zdążył wystawić. Takie uderzenie nie mogło zrobić na nim większego wrażenia, zwłaszcza że Aleks nie zablokował nogi, a pozostawił ją luźną w kolanie. Inaczej właśnie umierałby z bólu, bo złamanie kości udowej, strzałkowej i goleni musi cholernie boleć. Niemniej

Gall zyskał kilka sekund, które wykorzystał teraz, by odtoczyć się na bok i zerwać na nogi. Wiedział, że jego przeciwnik jest niebezpieczny, ale znał słabości takich jak on. Marna szybkość i jeszcze marniejsza kondycja. Gdy Afrykanin doskoczył, Aleks wyprowadził błyskawiczne uderzenie pięścią w jego nos. Napastnik odruchowo osłonił twarz i natychmiast otrzymał kopnięcie w udo. Zachwiał się lekko, a Gall doskoczył i uderzył łokciem nieco powyżej gardy. Garda opadła, ale gdy Aleks zamierzał zadać kończący cios w podbródek, przeciwnik walnął go w twarz bykiem.

Cholera, nie doceniłem go.

Lekko zamroczony Afrykanin wrzasnął coś w nieznanym Aleksowi języku. Po obu bokach recepcji otworzyły się drzwi i wybiegło z nich kilkunastu mężczyzn. Wszyscy czarnoskórzy i piekielnie sprawni, choć nie tak wielcy jak bramkarz. Rzucili się na Aleksa. Ten mógł blokować pojedyncze ciosy, ale tłum szybko nauczył się, jak sobie z tym poradzić. Podbiegali do niego z różnych stron i kopali w twarz, brzuch i nogi.

Sytuację uratował na moment Nate, który najwyraźniej uznał, że jego misja związana z zabezpieczaniem tyłów ze statusu „profilaktyczny” przeszła w status „operacyjny”. Pojawił się znikąd i skoczył w tłum z wyprostowanymi obiema nogami, wyłączając z walki dwóch przeciwników, a trzeciego skutecznie do niej zniechęcając. Ale obaj z Alekssem doskonale zdawali sobie sprawę, że to nie wystarczy. Zaraz zostali pochłonięci przez ludzkie morze i Kao uznał, że sytuacja dojrzała do tego, by powoli kończyć zabawę. Nie było łatwo, bo przeciwnicy szarpali go za ręce, ale w końcu udało mu się wyrwać zza paska beretę i strzelił w sufit. Metalowe ściany hangaru zawibrowały. Napastnicy odskoczyli jak oparzeni. Uciekali w kierunku drzwi. Po kilku sekundach na placu boju został tylko bramkarz.

– Łapy do góry, pieprzony gorylu! – wrzasnął Kao, sapiąc i dysząc, jakby właśnie przebiegł maraton. Bramkarz powoli podniósł ręce. Nate kiwnął mu ręką, a on zrozumiał polecenie i uklęknął. Przez cały czas nie odrywał wzroku od Nate’a.

– Co się gapisz?! – ryknął i podbiegł do więźnia. Chciał go

zdzielić kolbą, ale Aleks krzyknął:

– Zostaw! Bo nic nam nie powie.

– I tak wam nic nie powie – odezwał się znajomy głos. Aleks podniósł wzrok i zobaczył niewysokiego mężczyznę mierzącego do niego z pistoletu.

– Jombu, idź stąd – polecił Peter Oualembo, a bramkarz posłusznie, acz wciąż wbijając wściekły wzrok w Nate'a, podniósł się z ziemi. Nieśpiesznym ruchem otrzepał ubranie i ruszył w kierunku drzwi do wewnętrznej części hali.

– Miło cię widzieć, Peter – rzekł Aleks, starając się, żeby ironia w jego głosie była wystarczająco zauważalna.

– I ciebie, Aleks – odparł Peter i opuścił broń. – Rozumiem, że chcecie pogadać.

– Bystry jest – zakpił Nate.

– To pogadajmy. Ale nie tu. Widzicie te drzwi? Tam, za kontuarem. To moje biuro.

– Nie uśmiecha mi się to – powiedział spokojnie Gall. – Nie wiem, co tam jest, a ty masz broń i sporą grupę ludzi, którzy nam kiepsko życzą.

– Bo myślą, że jesteście z policji, Aleks. Ja wiem, że nie. Patrz, chowam broń.

I faktycznie ją schował. Zaprezentował Aleksowi puste dłonie. Kao zatknął berettę za pasek, ale niechętnie i z ociąganiem. Oualembo odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę swojego gabinetu. Gdy weszli do środka, siedział za niewielkim biurkiem. Dłonią wskazał im kanapę.

– Skąd wiecie o tym miejscu? – zapytał, gdy usiedli.

– Od Tshombe – odparł Aleks, a Peter zmarszczył brwi. Przez kilka chwil ważył w myślach tę informację. W końcu westchnął. Głowa opadła mu na biurko. Nie patrząc na gości, zapytał:

– Od jak dawna wie?

– O czym?

– O tym.

– Chyba w ogóle nie wie.

Peter uniósł głowę i spojrzał na nich z uwagą. Zapewne chciał wiedzieć, czy nie robią sobie z niego jaj, ale nie zdołał zadać

pytania, bo Aleks kontynuował:

– Powiedział nam, że słyszał o takim miejscu. Raczej nie wiedział, że to twój biznes.

– Oby... Tshombe by tego nie zrozumiał. On jest dobrym człowiekiem. Ale naiwnym. Zresztą każdy dobry człowiek jest naiwny.

– Najwyraźniej – wtrącił Nate.

– Powiecie mu?

– Na razie musisz nam wyjaśnić to i owo – rzekł Aleks. Peter ponownie westchnął.

– Od czego by tu zacząć? – zapytał jakby samego siebie. – Może od tego, że wcale nie każdy chce uciekać z Nigerii. Tam nie jest bezpiecznie, a w dodatku miejscami panuje skrajna bieda. Ale nie każdy jest w stanie podjąć decyzję o opuszczeniu domu. Musi mieć naprawdę dobry powód. Często są to ludzie prześladowani przez władze albo kogoś z lokalnych watażków, czasem drobni przestępcy, czasami przedsiębiorcy, którzy nie ułożyli się z mafią. No i homoseksualiści. Przede wszystkim oni. W dwunastu nigeryjskich stanach za homoseksualizm dostaje się karę śmierci. Czyli w jednej trzeciej kraju. W pozostałych stanach jest niewiele lepiej. Można trafić do więzienia, można zostać zlinczowanym. Zresztą zagrożenie życia to jedno, ale dużo gorszy jest kompletny brak perspektyw. Ci ludzie nigdy nie będą mieli w Nigerii nawet namiastki wolności. Muszą się ukrywać. Jak ktoś się zorientuje i doniesie, to prócz paki grozi im też choćby utrata pracy. Może nie w Lagos czy Abudży, ale wszędzie indziej już tak. Dużo by o tym gadać. W każdym razie ponad trzy czwarte ludzi, których Tshombe przewozi do Szwecji, to homoseksualiści. A gdy już trafiają do Göteborga, doznają szoku. Na wielu płaszczyznach. Nie każdy jest przygotowany na wolność, ale gdy już jej doświadczą, czasem potrafią się nią zachłysnąć. Niektórzy trafiają do nas, na kutry. Ale wielu z nich nie chce robić przy rybach. W Afryce często byli menadżerami, nauczycielami, lekarzami. Nie nadają się do pracy fizycznej. Zwykle odchodzą, by szukać szczęścia. Niektórym załatwiamy lewe papiery. Inni znikają, nim zdążymy im pomóc. I zwykle, koniec końców, trafiają

na ulicę. Dla heteroseksualnego faceta jest to nie do pomyślenia. Dla homoseksualisty tak, choć nie chcę sobie wyobrazić upokorzenia, z którym muszą się zmierzyć na początku tej drogi. W każdym razie w pewnym momencie zebrałem ich do kupy i umieściłem tu. Lepiej i bezpieczniej tak niż na ulicy. Zrobiłem to z myślą o nich.

– I żeby zarobić.

– Nie osądzaj mnie, Aleks, bo mógłbyś się zdziwić. W każdym razie to pierwsza prawdziwa demokracja, której ci ludzie doświadczyli w życiu. Są czymś w rodzaju spółdzielni. Sami tym zarządzają. Sami ponoszą koszty. To, co zostanie, dzielą między siebie i nieźle z tego żyją. Niektórzy odkładają co nieco i znikają. Inni są tu już dość długo. Ja jedynie pomagam tym zarządzać, bo mam trochę kontaktów, a nade wszystko jestem legalnym przedsiębiorcą, co wiele rzeczy upraszcza. Mogę kupować materiały budowlane i wyposażenie w większych ilościach i nikogo to nie dziwi.

– Nawet Tshombe? – zapytał Nate.

– Tshombe pływa. Nie wtrąca się w działalność połowową. Nie ma wglądu w faktury. Bywa w Szwecji bardzo rzadko. Ląduje raczej w Hamburgu, Gdańsku albo Kłajpedzie.

– Wyglądał mi na bardziej ogarniętego – nie dawał za wygraną Kao, ale Peter jedynie machnął ręką.

– Dużo pracy mnie kosztuje utrzymanie tego przed nim w tajemnicy. Połowę życia spędzam w Göteborgu, a połowę tu, w Åmål. Gdyby kapitan się dowiedział... Gdyby się dowiedział, że ratuje ludzi, którzy potem lądują w takich miejscach, mógłby zaniechać działalności. A ona jest potrzebna. Dlatego jeszcze raz proszę, nie mówcie mu o tym.

– Nie powiemy, o ile nie zajdzie taka konieczność – obiecał Aleks.

– Po co właściwie przyjechaliście?

– Spenetrowaliśmy wrak – zaczął Nate, ale Aleks uciszył go gestem dłoni.

– W ładowni *Raginisa* znaleźliśmy kontener, a w nim kilkanaście ciał. Młodzi czarnoskórzy mężczyźni.

– Co takiego? – Peter zerwał się na równe nogi i doskoczył do swoich gości. – Jaki kontener?

– Ktoś przemycił w nim ludzi.

– To nie my! Tshombe wozi ludzi wyłącznie swoim statkiem. I od dawna nie w kontenerach.

– Wiem. Dlatego szukamy innego wyjaśnienia. Uznaliśmy, że może nim być nielegalny burdel z afrykańskimi homoseksualistami. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Peter usiadł na kanapie pomiędzy Alekssem i Nate'em. Ukrył twarz w dłoniach. – Ślepy zaułek. My nie mamy z tym nic wspólnego.

– Wierzę ci – odparł Aleks. – Dlatego już sobie pójdziemy. Mamy za mało czasu, by go...

– Zostańcie – przerwał mu Peter. – To jeszcze nie wszystko.

Wstał, podszedł do biurka i wyjął z szuflady komórkę. Wybrał numer i chwilę czekał na połączenie, a potem rzucił kilka słów w niezrozumiałym dla Aleksa języku. Zapewne jednym z nigeryjskich. Może joruba? Albo igbo. Rozmowa trwała kilka chwil, w trakcie których Peter kompletnie stracił nad sobą panowanie. Krzyczał do słuchawki, aż w końcu się zakrzuszył. Potem się rozłączył i wrzucił telefon do szuflady. Usiadł w fotelu, ciężko dysząc. Przez dwie minuty nie odezwał się ani słowem, a potem rozległo się pukanie.

– Wejdz! – krzyknął Peter i drzwi się otworzyły. Stał w nich bramkarz, z którym Aleks miał już przyjemność. Wszedł dość nieśmiało. Dawna wrogość wyparowała. Podszedł do biurka i stanął koło Petera.

– To jest Jombe – przedstawił go Oualembo.

– Przepraszam – bąknął olbrzym. – Ja nie wiedział.

– Musicie być cierpliwi – wyjaśnił Peter. – Jombe wciąż się uczy angielskiego. W Nigerii wprawdzie angielski jest językiem urzędowym, ale na północy kraju panuje izolacja. Jombe nauczył się angielskiego dopiero tutaj. Jest pojętny. Błyskawicznie opanował szwedzki. Ale angielskim się nie posługuje, więc... No, nieważne.

– Ty szukasz Chetachi? – zapytał niespodziewanie olbrzym. –

Znajdujesz?

– Nie rozumiem – mruknął Aleks.

– Jombe, zacznij od początku – poprosił Peter, a potem dla pewności powtórzył to samo w ich wspólnym języku. Jombe skinął głową, ale się nie odezwał. Peter poklepał go po ramieniu.

– No? Wszystko od początku. To samo co mnie.

– Okej – rzekł Jombe. – Ja jestem Jombe. Z Sokoto w Nigerii. Jestem gejem. Rozumie? Byłem drwalem, a potem jeździłem na zawody kulturystyczne. Tam poznałem Chetachi i on mój przyjaciel. My złapani przez policję i poszliśmy do więzienia, bo nie wolno mieć innego mężczyznę w Sokoto. My dostali karę śmierci, ale szybko nas gdzieś zabrali z więzienia. Jeden facet powiedział, że on nas kupuje i zabiera do Szwecji, żeby żyć dobrze i szczęśliwie tutaj. My byliśmy radość. On ten facet nas zbadał, bo do Szwecji nie można z HIV, ale my nie mieli HIV. My dostali szczepienia na różne choroby i oni nas zabrali do portu na statek. Ale tam dziwnie. Statek stary. Oni nas zaprowadzili do takiej, no... Do dziury w statku.

– Do luku – poprawił Peter.

– Tak. Do luku. A tam tylko jeden kontener i dużo ludzi. Prawie sami czarni mężczyźni, ale też kilka Arabów. Mnie to się nie spodobało, bo oni byli brutalni. Bili ludzi. I Chetachi też oberwał, jak nie chciał wejść do kontenera. Ale ja nie pozwoliłem bić Chetachi i sam zbiłem jednego faceta. A potem uciekłem, bo ich było kilku i nie miałem szans. I wiedziałem już, że oni są bandyci, co sprzedają gejów do burdeli w Europie. Każdy gej w Nigerii zna historie o nielegalnych burdelach w Europie. Oni, ci źli, krzyczeli za mną, ale ja uciekłem z luku, bo tam były takie schody. Uciekłem na pokład i wrzuciłem dużą beczkę do wody. Oni myśleli, że ja skoczyłem, i spuścili łódkę, żeby mnie złapać. Ale ja jestem silny i zszedłem po linie.

– Po cumie! – krzyknął Nate.

– Po cumie na brzeg – przytaknął przejęty Jombe. Widać było, jak wiele go kosztuje ta opowieść. – Oni mnie na pewno szukali, ale ja już uciekłem. A Chetachi został. Ja jutro wróciłem do portu, ale statku nie było już. Zabrali Chetachi i ja nie wiem gdzie.

– I co dalej, Jombe? – zachęcał Aleks.

– Ja musiałem się ukrywać i trochę kraść. I mnie złapał jeden człowiek, jak ja kradłem mięso. Ale widział to kapitan Tshombe i za mnie zapłacił. To było już cztery miesiące potem. On mi powiedział to samo co tamten zły człowiek. Że on mnie zabierze do Szwecji. I ja pojechałem z Tshombe.

– Dlaczego? – zapytał Aleks.

– Co dlaczego?

– Dlaczego popłynąłeś z Tshombe po tym, co cię spotkało?

– Kilka rzeczy. Najważniej, że Tshombe jest czarny. A tamci biali. Ja nie jestem rasista, ale Tshombe od razu był dla mnie godny zaufania. Poza tym to kapitan. Ma piękny, wielki statek. I on pozwolił mi wejść i zobaczyć ten statek. Tshombe nie chciał żadnych badań i szczepień, więc wiedziałem, że nie chce mnie sprzedać do burdelu.

– Skoro nie chciałeś do burdelu, to dlaczego tu jesteś? – zapytał Nate.

– Zamknij dziób i nie przerywaj mu – fuknął Peter.

– Ja przyjechałem do Szwecji, poznałem Petera i Peter mnie nauczył rybować. I ja lubię to, ale ja tęsknię za Chetachi. I ja ciągle rzucam sumieniem, że ja uciekłem, a on został. Więc ja szukałem Chetachi w całej Szwecji. Ja zarabiałem pieniądze na rybowaniu i jeździłem szukać Chetachi. Ja znam teraz wiele bandytów w południu Szwecji. Pracuję dla nich i oni mi ufają, więc łatwiej mi znaleźć różne informacje. I ja ich pytałem o nielegalne burdele. Ale nikt nie wie nic. Ja już dużo ludzi pytałem. Ja tu już jestem trzy lata. Ja więcej wydaje pieniędzy, niż zarabiam, bo dużo jeżdżę. Peter mnie daje pracę tutaj i ja dzięki temu więcej zarabiam. Ale tu jest dobrze. Każdy sam robi, co chce. Jest wolny. Nikt nikogo nie zmusza. Rozumiesz?

– Rozumiem, Jombe – mruknął Aleks.

– Ty znajdujesz Chetachi?

– Nie znalazłem go, Jombe, ale szukam.

– Ja pomogę, jeśli ty chcesz. Zrobię, co tylko ty chcesz. Chetachi, on... Chetachi jest nieszczęśliwy bardzo. On trzy razy próbował samobójstwo. On jest ze wsi w lesie, wyгнаła go rodzina. On

nienawidzi tego, że jest gejem. Chciałby nim nie być. Ja nie wiem, czy on żyje, ale ja szukam.

– Zbieraj dalej informacje. Cokolwiek usłyszysz, powiedz Peterowi, a on da mi znać. Zgoda, Peter?

– Niechętnie – odparł Oualembo. – On dużo ryzykuje. Ale wiem, że i tak będzie to robił.

– Jeszcze jedno – powiedział Aleks – Jombe, którą cumą uciekałeś ze statku?

– Co?

– Którą liną uciekałeś ze statku? Dziobową czy rufową?

– Nie rozumiem. Lina na brzeg. Chodzi ci, czy z tyłu, czy z przodu? Z tyłu.

– Szkoda. – Aleks westchnął zawiedziony. – Z przodu może byś dostrzegł nazwę statku.

– Akurat była duża nazwa na rufie statku. Bardzo duża. *Opakh*.

– *Opakh*? Dziwna nazwa – stwierdził Aleks nieco zmartwiony. – Jesteś pewien, że właśnie tak brzmiała?

– W stu procenty. Zapisuje nawet. Ja od razu wie, że będzie potem szukać Chetachi.

– Okej. Świetna robota, Jombe – powiedział Aleks, po czym zwrócił się do Nate'a: – Wyślij esemesa do Baldura. Niech dowie się wszystkiego o statku *Opakh*. Ewentualnie niech poszuka anagramów.

– Jasne – odparł Nate, wyciągając telefon z kieszeni.

ROZDZIAŁ 48

Głupi policjanci. Już dawno powinni się zorientować. Co za durnie. Najwyraźniej w Europie są tak samo pojętni jak w Arabii Saudyjskiej. A ten Gall? Wcale nie lepszy. Miał podobno być takim geniuszem. Przecież nawet podniósł pocisk. Książę widział to doskonale przez celownik optyczny swojego barretta. I co? I nic.

Książę leżał na swoim punkcie obserwacyjnym i drżał z zimna. Miał wprawdzie na sobie kilka warstw ubrań, w tym stary, biały płaszcz, który odkupił wczoraj od jakiegoś bezdomnego, ale śnieżyca i mróz ostro dawały mu się we znaki. W wizjerze celownika optycznego prawie nic już nie widział i zdawał sobie sprawę, że dziś raczej nie postrzela. Zresztą do kogo miałyby strzelać?

Leżał spokojnie. Był pewien, że w tym białym płaszczu jest zupełnie niewidoczny. Aby go dostrzec, postronny obserwator po prostu musiałby wiedzieć, że on tam jest. A nikt nie miał prawa tego wiedzieć.

Spojrzał jeszcze raz przez celownik. Po drugiej stronie rzeki zobaczył zarys niebieskiego miejskiego autobusu. Nie potrafił wprawdzie rozpoznać koloru, ale podwójnie przegubowe volvo 7500 jest tak charakterystyczne, że od razu wiedział, na co patrzy. I że jest niebieskie, jak wszystkie autobusy w Göteborgu.

Może by tak...

Jeśli strzeli, z pewnością zjedzie się masa policji. Może któryś coś wywęszy?

Pomacał palcem spust, ale wiedział, że raczej się nie zdecyduje. Za duże ryzyko. Mógłby trafić kogoś postronnego. Poprowadził jednak karabin śladem odjeżdżającego autobusu. Gdyby tak spróbować w koło to...

– Zimno, co? – powiedział ktoś.

Snajper zamarł. Czy to możliwe? Nie, musiał się przesłyszeć.

– I ten śnieg – dodał głos.

Strzelec bardzo powoli uniósł głowę. Metr od siebie ujrzał faceta około trzydziestki. Może trochę starszego. Dobrze zbudowanego i przede wszystkim gustownie ubranego. Miał na sobie gruby, czarny płaszcz do kolan. Pod nim eleganckie czarne spodnie. Na stopach błyszcząły lakierki, z pewnością bardzo drogie. I z pewnością ślizgały się na metalowej, pokrytej świeżym śniegiem powierzchni. Strzelec zanotował to sobie w pamięci na później. Tymczasem kontynuował obserwację. Mężczyzna stał tuż obok cienkiej barierki i jak gdyby nigdy nic palił papierosa. Wielu ludzi uważa, że ma lęk wysokości, ale to nieprawda. Po prostu odczuwają naturalną obawę, gdy znajdują się wysoko, co jednak nie ma nic wspólnego z prawdziwą akrofobią. Jednak facet w płaszczu zachowywał się tak, jakby rozpościerając się o pół metra od niego osiemdziesięciometrowa przepaść nie robiła na nim żadnego wrażenia.

– To jednak nie to samo co na misji, prawda? – zagadnął mężczyzna, wypuszczając dym nosem. – Kiedy masz ze sobą obserwatora i nie musisz się martwić, że zza pleców ktoś nagle przyjdzie nakopać ci do dupy.

Snajper błyskawicznie chwycił karabin i usiłował zrobić zwrot, ale intruz był naprawdę szybki. Wyprowadził szybkie kopnięcie prosto w szczękę, nawet się przy tym za bardzo nie chwając. Strzelec natychmiast stracił przytomność.

– Dobranoc – powiedział ciepło napastnik. Wyjął z kieszeni kajdanki. Spojrzał w niebo i oczy natychmiast zasypał mu śnieg.

Jak go tu przypnę do barierki, to zamarznie...

Wepchnął kajdanki z powrotem do kieszeni, a potem chwycił nieprzytomnego strzelca pod ramiona i pociągnął w kierunku drzwi do klatki schodowej.

ROZDZIAŁ 49

Droga powrotna zajęła im jeszcze więcej czasu, choć tym razem prowadził Aleks. A przecież gdy jechali do Åmål, bez przerwy naśmiewał się ze ślamazarnej jazdy Nate'a. Dochodziła ósma, gdy parkowali przed Lilla Bommen. Choć księżyc dawno przejął wachtę od słońca i skrył się za gęstymi chmurami, dokoła było raczej jasno. Padający śnieg rozpraszał światło miejskich latarni.

Kilka minut później otworzył im Baldur. Wyglądał raczej kiepsko, ale rozpromienił się na widok Aleksa i rzucił krótko:

– Masz gościa.

Gall wszedł do środka i przy wielkim, panoramicznym oknie ujrzał mężczyznę w doskonale skrojonym garniturze. I domowych kapciach. Aleks zaśmiał się cicho.

– Bardzo śmieszne – zachnął się Venom, nie odwracając wzroku od szyby.

– A myślałem, że to jakaś nowa moda – powiedział Aleks, pochodząc bliżej i klepiąc gościa po plecach.

Venom był płatnym zabójcą. Poznali się w zeszłym roku i długo by gadać o ich relacjach. Ale ten dziwny ulsterczyk z przeszłością w IRA był jednym z tych ludzi, którym Aleks ufał bezgranicznie. Weronika mu ufała, więc i on.

– Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie – rzekł Aleks, ściskając gościowi dłoń.

– Miałeś szczęście. Byłem akurat w Dublinie, więc kiedy Weronika zadzwoniła, że „chcesz mnie pożyczyć”, wsiadłem w samolot i przyleciałem. Choć niewiele brakowało, by nas gdzieś odesłali. Pogodę macie tu fatalną.

– Powiem ci szybko, o co chodzi.

– Nie musisz. Sprawa załatwiona.

– Już?

– Weronika powiedziała, w czym problem. Łatwo było człowieka namierzyć. Tylko z jednego miejsca miał odpowiednie

warunki, by oddać strzał do kolumny i do Baldura pod siedzibą Baltic Bridge.

– Skąd?

Venom wskazał punkt za oknem.

– Żartujesz! – rzucił zaskoczony Aleks. Choć widział jedynie dwa blade, ledwo się przebijające przez zamieć światełka, doskonale wiedział, co tam jest. – Ale to oznacza, że do Baldura strzelał przynajmniej z dwóch kilometrów.

– Z tysiąca ośmiuset metrów – poprawił go Venom. – To zawodowiec, ale działa sam. Wygląda na to, że prowadzi jakąś krucjatę.

– Gdzie teraz jest?

– Tam. Przypiąłem go kajdankami do drabiny wewnątrz korytarza serwisowego. Zabranie go stamtąd bez przyciągania uwagi postronnych graniczyłoby z cudem.

– A broń?

– Też tam. Chyba nie spodziewałeś się, że będę spacerować po mieście z taką bronią? Facet ma barretta M82.

– No to pojedę sobie z nim porozmawiać.

– Pojedziemy – wtrącił się Baldur. – I nie chcę słyszeć żadnej dyskusji. Wystarczająco długo siedziałem w domu.

– A sprawdziłeś mi ten statek? – zapytał Gall.

– O właśnie, dobrze, że mi przypomniałeś. Sprawdziłem. I mamy problem. Jednostka o nazwie *Opakh* nie występuje w żadnym rejestrze. Nie została też z żadnego wyrejestrowana w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Krótko mówiąc, statek widmo. Albo ten twój wielkolud ma problemy ze składaniem liter.

– Nie sądzę – odparł Aleks. Przygryzł lekko wargę i natychmiast poczuł pękającą skórę. Miał chyba problem z jakąś witaminą. Każdej zimy pękały mu usta. Kiedy żył z Weroniką, zawsze znajdowała na to jakiś sposób. Ale teraz nawet ona by nie pomogła, bo nie zima, a Pilkvist przyczynił się do jego problemów. A ściśle mówiąc, jego pięść. – Nie wiem, jak skutecznie działa prawo w afrykańskich portach, ale podejrzewam, że mieli po prostu przemalowaną nazwę. Jeśli trudnili się przemytem ludzi, w dodatku do takich celów, o jakie

ich podejrzewamy, to możliwe nawet, że za każdym razem wpływali jako inna jednostka.

– No nie wiem, Aleks – powątpiewał Farer. – To dość skomplikowane. Przemalować nazwę to prosta sprawa, ale sfalszowanie za każdym razem dokumentów statku to już wyższa szkoła jazdy.

– A poza tym – wtrącił się Nate – po co malowaliby nazwę na rufie? Nie ma takiego obowiązku. Wymalowaliby na dziobie, i już. Po co tyle zachodu?

– Słuszna uwaga – zauważył Aleks, skubiąc wargę.

– Czy mogę już iść? – zapytał Venom. – Nie zdążyłem do końca załatwić swoich spraw w Dublinie, a za dwa dni wracam do Stanów.

– Jasne. Wielkie dzięki. – Gall uściśnął zabójcy dłoń na pożegnanie. Ten wymienił jeszcze uściski z Baldurem i Kao, choć z tym drugim niechętnie. Aleks już jakiś czas temu zauważył, że ci dwaj za sobą nie przepadają. Potem Venom wziął z szafy płaszcz, nałożył na stopy bardzo drogie lakierki i wyszedł bez słowa. Baldur poszedł do kuchni i kilka chwil później wrócił z dwiema filiżankami kawy. Jedną podał Aleksowi.

– Wiesz co – zaczął Farer, ale przerwał. Przez moment usiłował pochwytać myśl, która kołatała mu się po głowie. – Tutaj coś nie gra. Mam wrażenie, że w kwestii wypadku wszystko jest jasne. Statek wyszedł w morze z niezabezpieczoną furtą. Trafił na potężny sztorm. W trakcie rejsu zmienił się wiatr, a w pewnym momencie kapitan wydał awaryjną komendę zmiany kursu i statek skierował się pod falę. Furta się urwała i cześć. Cała reszta, te wszystkie kontenery, ta cała historia z przemytnikami ludzi, to wszystko się nie zazębia. Nie sądzisz? Wyjaśniliśmy przyczyny katastrofy i tyle. Cała reszta to zwykły zbieg okoliczności.

– Niby tak – odparł Aleks, skubiąc popękana wargę. Gdy zorientował się, co robi, szybko napił się kawy. Od dawna usiłował zwalczyć ten odruch. Skubania wargi w momencie intensywnego główkowania. – Ale bosman skłamał, że zabezpieczył furtę. Nie pomylił się, tylko skłamał. A to oznacza

sabotaż. Nie wystarczy ustalić, co się stało. Równie ważne jest, dlaczego to się stało.

– Może odkrył, co jest przewożone w ładunku. A raczej kto.

– Tylko dlaczego miałby w związku z tym zatopić statek? Na logikę, jeśli był dobrym człowiekiem, powinien spróbować pomóc tym ludziom. Jeśli złym, udać się gdzie trzeba i poprosić o wręczenie korzyści majątkowej w zamian za milczenie. Ale zatopić statek? I to metodycznie. Działał zgodnie z jakimś planem. Nie spontanicznie, w wyniku szoku. On tak naprawdę zatopił ten statek, nim jeszcze wyszli z portu. I przypłacił to życiem. Z kolei gdyby miał to być zwykły wypadek, po co ktoś do nas strzela? Nie, tutaj się dzieje coś jeszcze. I zaraz się dowiemy co.

– Dopij kawę – Baldur uśmiechnął się złowieszczo – a ja idę się ubrać. Zobaczmy, co ciekawego złowił nasz koleżka.

ROZDZIAŁ 50

W Eriksbergu dawniej była stocznia. I to nie byle jaka. W latach świetności przypadających na piąte i szóste dziesięciolecie XX wieku Eriksbergs Mekaniska Verkstad była najbardziej dochodową stocznia w całej Szwecji. Wszystko zaczęło się od pilnej potrzeby naprawiania szkód, jakie na Bałtyku poczyniła pierwsza wojna światowa. Potem nastąpił ogromny morski boom i w Eriksbergu montowano jednostki dla całej Skandynawii. W następnych latach bito kolejne rekordy, aż w końcu zarząd stoczni postanowił się zmierzyć z naprawdę ambitnym zadaniem. Budową supertankowca kategorii ULCC, o nośności czterystu sześćdziesięciu tysięcy ton. Żeby zrozumieć, o czym mowa, należy sobie wyobrazić statek długi na czterysta metrów, szeroki na sześćdziesiąt, który od stępki do głównego pokładu liczy ponad pięćdziesiąt metrów, a do szczytu nadbudówki osiemdziesiąt. W dodatku o ogromnym współczynniku pełnotliwości kadłuba, co czyniło z jednostki wielki stalowy prostopadłościan, mieszczący nawet sześćset milionów litrów ropy.

Aby wybudować takie monstrum, potrzebny był potężny dźwиг, mogący unosić elementy ważące nawet czterysta pięćdziesiąt ton. I w ten oto sposób w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziesiątym roku w Eriksbergu stanęło urządzenie po dziś dzień będące symbolem miasta i jego nieodległej gospodarczej potęgi. Samojezdna suwnica bramowa o rozpiętości stu dwunastu metrów i sięgająca osiemdziesięciu metrów wzwyż. Wybudowano ją w Kolonii, a na miejsce przetransportowano w częściach. Złożenie tych gigantycznych puzzli w sprawnie działającą maszynę zajęło trzy miesiące.

Ale wkrótce potem nastąpił kryzys gospodarczy. Szwedzkie stocznie upadały jedna po drugiej. Upadały również szwedzkie bramownice. Niektóre dosłownie. Tę w Uddevalla zburzono

w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, a film z tego smutnego wydarzenia po dziś dzień można zobaczyć na YouTube. Tę w Malmö rozebrano w dwa tysiące pierwszym i sprzedano koreańskiemu Hyundaiowi za symbolicznego dolara. Ale mieszkańcy Göteborga nie mieli zamiaru pozwolić, by ich bramownicę spotkał podobny los. I choć dziś dźwig od lat już nie pracuje, większość urządzeń zdemontowano, a całość pomalowano krzykliwą pomarańczową farbą, choć w gruncie rzeczy jest to jedynie tysiąc siedemset pięćdziesiąt ton złomu, to w dwa tysiące dwunastym roku dźwig został wciągnięty na listę budynków chronionych prawem ze względu na jego ogromną wartość kulturowo-historyczną. Deweloperzy, którzy przejęli postoczniowe tereny, musieli wkomponować obiekt w swoje plany. Dlatego dziś dawny suchy dok służy za przystań dla prywatnych jachtów, a stara bramownica góruje nad gęstą, nowoczesną zabudową mieszkalną.

Aleks i Baldur zostawili auto na parkingu leżącym tuż obok zachodniej podpory, przy Monsungatan. Śnieg nadal sypał i choć Venom był tutaj zaledwie dwie godziny wcześniej, nie stwierdzili na ziemi żadnych śladów jego obecności.

– Ej, wy dwaj, tam nie wolno! – zawołała w ich kierunku starsza kobieta, która niezrażona aurą cierpliwie spacerowała z niewielkim kundlem. Pies zupełnie nie zwracał uwagi na poruszenie swojej właścicielki, z ulgą barwiąc świeży śnieg na żółto. Ponad rosnącą plamą moczu unosiła się para. Było naprawdę zimno.

– Jesteśmy z nadzoru, musimy sprawdzić, czy pokrywa śnieżna na górze nie zagraża konstrukcji – odrzekł Baldur płynnym szwedzkim, otwierając portfel i pokazując jej z daleka swój libijski dowód osobisty. Aleks nie wnikał. Ale kobieta też nie. Machnęła tylko ręką i ruszyła w swoją stronę. Pies zakończył już swoje zadanie w tym miejscu i mógł się przenieść kawałek dalej.

– Halo, przepraszam! – krzyknął za nią Baldur. Kobieta zatrzymała się i spojrzała na niego z ciekawością. – Pani tu pewnie mieszka w okolicy. Czy na suwnicę ktoś wchodzi? Widziała pani coś?

– Wchodzili – odrzekła po chwili wahania. – Ale od kiedy taki jeden spadł, to już za bardzo nie wchodzą. To znaczy w zimie. Bo latem to się tam czasem organizuje wejścia dla turystów. No i skaczą na tych, wie pan, linach takich. Ale co ja panu opowiadam, jak pan z nadzoru.

– Oczywiście, wiemy o tym – zapewnił ją Baldur. – Chodziło mi raczej o to, czy ostatnio kogoś pani nie wypatrzyła.

– Raz mi się zdawało, że widziałam jakiegoś lumpa na schodach. Kilka dni temu.

– Zdawało się pani?

– No wie pan, wzrok już nie ten. I ciemno było. Może się myłę.

– A jednak mimo to twierdzi pani, że to był lump? Czyli widziała go pani dość dobrze.

– Proszę mnie nie łąpać za słówka, młody człowieku. Powiedziałam panu to, co chciał pan wiedzieć. Resztę sobie sprawdźcie sami.

Odwróciła się i odeszła, a Baldur przez kilka sekund zastanawiał się, czy jej czasem nie uraził. A przecież powiedziała mu ważną rzecz. Potwierdziła, że snajper korzystał z bramownicy. Kto inny mógłby chcieć się na nią wdrapywać? Powtórzył treść rozmowy Aleksowi, a ten pokiwał głową zamyślony. Potem chwilę milczeli, zastanawiając się nad tym, co ich czeka.

– Ja pierdolę – jęknął Baldur. – Już trzeci raz się pomyliłem, ale będzie z miliard schodów.

– Faktycznie – mruknął Aleks, zadzierając głowę.

Od szczytu podpora rozszczepiała się na dwie części, a te schodziły ukośnie w dół, przyjmując kształt ogromnej litery A. Pomiędzy odnogami zamontowano schody. Biegły od jednej do drugiej, a potem zawracały. I tak aż na sam szczyt.

Aleks upewnił się, że pani z pieskiem odeszła wystarczająco daleko, by nie usłyszeć, jak kopniakiem rozwala metalową siatkę rozpiętą wokół podpory. Pierwsza drabinka poprowadziła ich na wielki wózek, powyżej którego rozpoczynała się właściwa droga na górę. Już na tym etapie Baldur zrozumiał, że kiedy lekarz kazał mu oszczędzać rękę, nie robił tego złośliwie. Ból był nieznośny,

a opasana elastycznym bandażem klatka piersiowa nie zapewniała wystarczającej ilości tlenu. Farer sapał jak wściekły byk, ale nie miał zamiaru się poddać.

Wózek stanowił jedynie podparcie dla całej konstrukcji. Bramownica miała ich łącznie cztery. I choć w skali całej budowli był jak pierwszy stopień na szczyt dziesięciopiętrowego budynku, to przecież i tak miał cztery metry wysokości. Gdy już się na niego wdrapali, okazało się, że dalej nie będzie wcale przyjemniej. Świeży śnieg na metalowych stopniach sprawiał, że stały się one bardzo śliskie. Baldurowi, który planował w drodze na szczyt nie chwycić się poręczy i tym samym zaoszczędzić sobie bólu, los po raz kolejny pokazał środkowy palec. Ale Baldur nie pozostawał dłużny i też pokazał losowi palec. Parł do góry wytrwale.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytał Aleks.

– Na przykład nie wkurwiać mnie swoją nachalną troską – odburknął Baldur.

– Ale ja przecież...

– Tak, wiem. Po prostu idź na górę i poczekaj tam na mnie, dobra?

– Dobra.

Wejście na szczyt zajęło Gallowi dziesięć minut, głównie dlatego, że mimo wszystko nie potrafił się nie martwić o przyjaciela. Co jakiś czas przystawał i kontrolował sytuację, na co Baldur fukał i prychał. Koniec końców, Farer osiągnął zaledwie połowę wysokości, gdy Aleks odpoczywał już i podziwiał widoki. A te były niesamowite, nawet pomimo gęstego śniegu, który skutecznie utrudniał spoglądanie przed siebie. Światła miasta, choć rozmazane, pięknie malowały siatkę ulic i uliczek. Dopiero z tego miejsca można było dostrzec, jak wielką metropolią jest Göteborg. Aleks zapalił. Zaciągnął się głęboko dymem, a gdy go wydychał, trudno mu było rozróżnić, czy to dym z papierosa, czy zmarznięta para z jego ust.

Baldur w końcu pojawił się na szczycie i znać było, że nie jest ani w najlepszej kondycji, ani tym bardziej humorze.

– Kurwa, musiałbym w ogóle nie oddychać, żeby cokolwiek

widzieć! – ryknął, rozwiewając unoszącą się przed jego oczami parę. – Daj mi chwilę, okej? Nie chciałbym tam wejść, oddychając jak astmatyk po maratonie.

Aleks się uśmiechnął. Farer w naprawdę złym humorze nigdy nie żartował. I właściwie ktoś obcy nie rozróżniał Baldura złego od Baldura wesołego. I w jednym, i w drugim wypadku bywał zarówno niezwykle przyjazny, jak i wybitnie opryskliwy. Ale biada temu, kto się pomylił w odczytywaniu jego stanu ducha.

– Okej – rzucił w końcu od niechcenia Farer. – Idźmy tam.

Schody prowadziły do niewielkich metalowych drzwi, którymi można się było dostać do wnętrza bramownicy. Wyżej nie dało się wejść. Aleks przed wyjściem z domu uruchomił Internet i dokładnie obejrzał zdjęcia wnętrza obiektu. Wiedział, co spotka ich za drzwiami. I zdawał sobie sprawę, że Baldurowi to się nie spodoba. Ale postanowił nie uprzedzać faktów.

– Ja pierdołę, zrobiłeś to złośliwie – jęknął Farer, gdy znaleźli się w środku.

– Co niby? – zapytał Aleks, starając się, żeby jego głos brzmiał niewinnie.

– No to! – Baldur wskazał palcem korytarz o długości stu dwunastu metrów, w dwóch miejscach przedzielony zwężkami. Można nim było przejść do wybebeszonej i okradzionej ze wszystkiego, co prezentowało jakąkolwiek wartość, kabiny operatora, ulokowanej pomiędzy odnogami podpory po przeciwległej stronie basenu portowego. I nie była to łatwa droga. W korytarzu było wąsko, środkiem biegł zielony pomost, rozpięty powyżej rur instalacji hydraulicznej, a wszędzie dookoła wisiały wszelkiego rodzaju i rozmiaru kable elektryczne.

– Przecież nie ja to projektowałem. – Aleks się zaśmiał.

– Ale mogłeś mi powiedzieć. Nastawiłbym się bardziej bojowo.

– Mówiłem ci, żebyś został w mieszkaniu.

– I co jeszcze? Masz mnie może za kalekę? Mam ci pokazać, co ten kaleka może zrobić z twoim zakutym...

Aleks nie słuchał. A raczej słuchał, ale już nie Baldura, lecz odgłosów dobiegających z wnętrza korytarza. Nieprzyjemnego dźwięku metalu ocierającego się o metal. Więzień musiał się

ocknąć i usiłował zerwać kajdanki zaczepione o balustradę. Gall jeszcze go nie widział. Nie wiedział, czego się spodziewać. Czy przeciwnik jest mały, czy duży? Gdyby doszło do walki wręcz, mogło się to okazać bardzo istotne. Aleks miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i nie czuł się komfortowo w niskim korytarzu. Nie miał szans skorzystać ze swojej zwrotności i refleksu. Baldur był sporo niższy, ale z kolei, cóż... Nigdy nie ważył mało, a tej zimy chyba jeszcze odłożył nieco sadła. I choć nie żył już nikt, kto podczas konfrontacji ocenił Baldura po wyglądzie, to teraz Aleks obawiał się raczej, by jego przyjaciel nie zaklinował się w którymś z wąskich przesmyków, które mieli do pokonania. O walce wolał nawet nie myśleć.

– Jak rozumiem, nie masz broni – szepnął.

– Sam nie masz broni – odszepnął Baldur, błyskając przyjacielowi przed oczami beretką.

– Dobra. Ale schowaj to na razie. I strzelaj tylko w ostateczności. Strzelanie w takim miejscu...

– Może nam obu uszkodzić słuch, bla, bla, bla. Naprawdę, Aleks, czasami jesteś tak irytująco przemądrzały, że aż mam ochotę cię zaprosić na obiad do mojej teściowej.

– Nie masz teściowej.

– I co z tego? Gdybym miał, na pewno świetnie byście się dogadali.

– Prędzej moje wnuki umrą ze starości, niż świat pozna panią Eysturvind.

– Racja, bracie. Dobrze, idźmy w końcu, bo pierdolimy jak potłuczeni, a drzwi otwarte i nasz gagatek nam marznie. Nie chciałbym, żeby się przez nas rozchorował.

Ruszyli. Baldur udawał, że wszystko jest okej. Jedyne kilka cichych sapnięć dowodziło, jak wiele trudu sprawia mu spacer wewnątrz żelaznego korpusu bramownicy z Eriksbergu. Szybko okazało się, że ani rury, ani kable nie stanowią tak irytującej przeszkody, jak wszechobecne stare pajęczyny. Podłoga była nimi pokryta jak kurzem. Baldur sapał coraz głośniej, na szczęście nie musieli iść daleko. W jednej trzeciej długości przecisnęli się przez zwężkę i natychmiast ujrzeni cel swojej

wędrówki.

Ubrany na biało mężczyzna siedział na pomoście. Zza jego pleców wyłaniała się żelazna drabina, którą można było wejść na szczyt bramownicy. Na widok nadchodzących więzień się szarpnął. Głuchy łoskot zasygnalizował, że spięte za plecami ręce wciąż miał przyczepione kajdankami do pierwszego stopnia drabiny.

Podchodzili powoli. Mężczyzna wpatrywał się w nich dziko. Wyglądał, jakby tylko czekał, by się na nich rzucić. Uderzał kajdankami o metalowy stopień i wykrzykiwał coś po arabsku. Aleks nie miał wątpliwości, że to arabski. Ośluchał się już w życiu z tym językiem. Nie miał też wątpliwości, że więzień gra. Że jego wściekły fanatyzm był jedynie na pokaz. Gall nie miał intencji, by okazać uwięzionemu lekceważenie, ale odruchowo skupił się na ważniejszych rzeczach. Otaksował wzrokiem pomieszczenie. Po lewej stronie stały duże żelazne szafy, dawniej służące najpewniej serwisantom lub obsłudze bramownicy. Na mocno przerdzewiałych drzwiach tu i ówdzie ostały się placki zielonej farby i Aleks nawet odczytał fragment jakiegoś napisu, zapewne „tools”, choć widoczne były zaledwie trzy pierwsze litery. Reszta niknęła we rdzy. Po prawej stronie stał sporych rozmiarów pulpit sterowniczy, zapewne awaryjny lub serwisowy, okradziony już jednak z większości przycisków i dźwigni. Na jego szczycie leżał rozłożony ręką profesjonalisty barrett M82.

– Ty, zobacz, Aleks! Jaki se wzorek pierdolnął na ryju! – krzyknął Baldur.

Aleks podążył wzrokiem za palcem przyjaciela, a ten wskazywał twarz więźnia. Faktycznie. Mężczyzna wydawał się świeżo ogolony. Jego broda była tak czarna i tak równo przystrzyżona, że wyglądała jak domalowana farba.

– Myślisz, że też by mi taki pasował? – Farer się zaśmiał. Aleks znał ten rodzaj uszczypliwości. Baldur uznał, że dobrze będzie się trochę podroczyć z więźniem. Miał chyba zresztą zamiar posunąć się nawet dalej niż tylko do słownej wymiany uprzejmości, ale Aleks chwycił go za ramię. Baldur syknął z bólu.

– Przepraszam – zreflektował się Gall. – Ale nie podchodź do

niego.

Farer spojrział na przyjaciela zdumiony, dostrzegł jednak gest, który uzmysłowił mu, że nie należy dyskutować. Aleks znów przygryzał dolną wargę. Myślał. A kiedy Aleks myślał, nie należało mu przeszkadzać.

Więzień chyba też zrozumiał, że dzieje się coś interesującego, bo niespodziewanie zamilkł. Siedział teraz spokojnie na pomoście i przenikliwym spojrzeniem świdrował przeciwnika. Aleks podszedł do niego powoli. Nie za blisko, ale na tyle, by zdobyć pozycję dominującą. Siedzący musiał teraz unieść głowę, by na niego patrzeć. I zrobił to.

– Mój człowiek, ten, którego dziś poznałeś – zaczął Gall spokojnym, niemal przyjaznym głosem – to nie tylko profesjonalista, ale przede wszystkim człowiek szalenie uzdolniony w swojej dziedzinie. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Więzień ani się nie odezwał, ani nie poruszył. Wciąż wpatrywał się w Aleksa. Jego wzrok pozbawiony był już szaleństwa. Wyrażał raczej zainteresowanie. Teraz dopiero, gdy jego twarzy nie wykrzywiały już żadne grymasy, z łatwością można było ocenić, że musi mieć około czterdziestki. Może nawet pięćdziesiątki. I że jest znacznie sprytniejszy, niżby chciał to okazać. Ale w Aleksie znalazł godnego przeciwnika.

– Dobrze – ciągnął Gall. – To konkretniej. Jestem przekonany, że mój przyjaciel przykułby twoje ręce nie do dolnego szczebelka, ale do jednego z wyższych. Tak bym wchodząc tutaj, od razu widział twoje ręce. To rozumiały, prawda? Dalej: po lewej stoi szafa. I choć wszystko dookoła pokryte jest pajęczynami, ona jest czystość. Co oznacza, że ktoś z niej ostatnio korzystał, a tym kimś musiały być ty. Przypuszczam, że tam trzymasz barretta, bo po cholere z nim łączyć na co dzień po mieście? To za dobra kryjówka. No ale skoro trzymasz tam barretta, to zapewne również inne zabawki. Na przykład broń krótką. Gdybym miał zgadywać, to glocka 19. Zatem moja teza jest następująca: w jakiś sposób udało ci się zrzucić kajdanki. Miałeś na to sporo czasu. Za plecami trzymasz glocka 19, z palcem na spuście. I usiłujesz robić

ze mnie durnia.

Mężczyzna nie okazał żadnej emocji. Był pod tym względem niemal tak dobry jak Aleks. Wciąż spoglądając na przeciwników, spokojnym, pozornie niedbałym ruchem wyciągnął dłonie zza pleców i oparł je na kolanach. A wszystko bez choćby jednego słowa. Glocka 19 ustawił tak, by dobrze go było widać, ale nie celował w przybyszy.

– No pięknie. – Baldur westchnął. – I co teraz?

– Teraz? Nic – odparł Aleks.

– Jak to nic?! – warknął Farer. – On ma broń. Ja też mam broń. Albo się jakoś dogadamy, albo zrobi się tu bardzo głośno.

– Dogadamy się – powiedział Aleks. – A właściwie to po prostu sobie pójdziemy. Pojmać się nie da, zresztą nie widzę powodu, żeby to robić. On nam w niczym nie pomoże.

– Jak to? Aleks, ten typ mnie zabił. Znaczący prawie. W każdym razie próbował.

– Nic podobnego, Baldi. Nie próbował cię zabić.

– No może. Ale ciebie próbował. A jak dla mnie, to nawet jeszcze gorzej. Znasz kogoś, kto próbował cię zabić, a sam wciąż jeszcze żyje?

– Niewielu. Ale ten tutaj nie próbował mnie zabić.

– Eeee... – popisał się elokwencją Baldur, a Aleks zrobił minę.

– Rusz tą pustą łepetyną, Baldur. Barrett M82? To zawodowiec. Żaden zawodowiec, nawet taki z niższej półki, nie łudziłby się, że przy takiej wichurze uda mu się oddać celny strzał. I to w dodatku z takiej odległości. Tysiąc osiemset metrów. On nie chciał mnie zabić. Ani wtedy w konwoju, ani teraz. Mam rację?

Arab ani drgnął, a jednak wyraz jego twarzy się zmienił. Słuchał z większym zainteresowaniem niż wcześniej. Ale wciąż milczał.

– To ja już nie wiem – powiedział w końcu Baldur i rychło w czas, bo cisza stawała się nieco niezręczna. – W te klocki to ty jesteś wymiataczem, Aleks. Naprawdę dobrze główkujesz. Więc wygłówkuj mi, co takiego zamierzał zrobić nasz arabski fotomodel z tą swoją armatą, jeśli nie był to zamach na twoje życie?

Aleks sięgnął ręką do kieszeni i wyjął zgnieciony pocisk.

Przyjrzał mu się pod światło, nieco teatralnie. Snajper był doskonałym aktorem. Nie drgnął mu ani jeden mięsień. Twarz miał jak wykutą z kamienia. Ale Aleks wiedział, że jest na właściwym tropie.

- Wiadomość - powiedział w końcu. - Kto graweruje coś na pocisku? I to na tyle umiejętnie, że choć jest zniszczony, to grawerunek doskonale widać? Tylko ktoś, kto chce coś przekazać. Nasz przyjaciel nie mógł mnie trafić, ale nie musiał. Wystarczyło trafić w samochód. Volvo było pancerne i nasz snajper o tym wiedział. Mógł założyć, że pocisk zostanie w szybie. A sam fakt, że wiedział, do którego samochodu strzelać, dowodzi, że jest dobry. Potem, pod biurem Baltic Bridge, też chciał trafić w auto. Uznał, że za pierwszym razem przegapiliśmy wiadomość. Kula w maskę natychmiast wzbudziłaby nasze zainteresowanie. Ale było za daleko. I za mocno wiało. Pocisk zniosło i trafił w ciebie.

- Biednemu zawsze kula w dupę - rzekł na wpuł sentencjonalnie Baldur, siląc się przy okazji na jak najbardziej zboląły wyraz twarzy. - No więc co za wiadomość chciałeś nam przekazać, dupku? Chyba mam prawo wiedzieć. Strasznie mnie bolą żebra.

- Nie nam - zaprzeczył Gall.

- To komu?

- Jak to komu? Litery F i R. Pamiętasz, co opowiadała Marianne? A raczej jej mąż? Że admirał Bergman szmuglował jakieś towary? I co mówił Siegbahn? Że FR to oznaczenie wojskowego frachtu, ładunku niepodlegającego kontroli. To wiadomość dla admirała Bergmana. - Aleks kucnął i zbliżył swoją twarz do twarzy więźnia na tak niewielką odległość, że ten aż musiał cofnąć głowę. Gall zajrzał mu głęboko w oczy i szepnął: - I teraz muszę się zastanowić, czy mu ją przekazać, czy nie.

Arab odepchnął Aleksa. Niezbyt mocno, chciał sobie po prostu zrobić miejsce. Wstał. Baldur natychmiast sięgnął po pistolet umieszczony z tyłu, za paskiem. Syknął z bólu, ale chwycił rękojęść i wycelował w Araba.

- No, no, sukinsynu - warknął. - Tylko bez numerów. Jeszcze ci

nie wybaczyłem.

Więzień spojrzął na niego z politowaniem, co wprowadziło Farera w lekką konsternację. Rzadko mu się zdarzało, by ktoś tak koncertowo miał go w dupie, zwłaszcza gdy trzymał w ręku broń. Arab tymczasem niespiesznie podszedł do rozłożonego na pulpicie barretta, pobierał wszystkie części i skierował się w kierunku szafy. Otworzył ją niezbyt mocnym kopniakiem. Wewnątrz stał pokrowiec na gitarę. Kilkoma sprawnymi ruchami Arab złożył karabin, a następnie zamknął go pudle. Obok położył glocka, a jeszcze dalej nóż, który wyciągnął z nogawki. Następnie zamknął szafę. Z kieszeni wydobył niewielką kłódkę z szyfrem i zapiął ją na skoblu. A potem ruszył w ich stronę. Zbliżał się powoli, a gdy był już na wyciągnięcie ręki, wskazał palcem Baldura.

– Przykro mi z tego powodu, panie Eysturland.

– Eysturvind – poprawił go Baldur.

– A z panem się jeszcze spotkam, Gall – powiedział Arab, wskazując tym razem na Aleksa. Po tych słowach ruszył do wyjścia. Ale po kilku krokach zatrzymał się i raz jeszcze do nich odwrócił. – Gdybyście panowie nie wiedzieli, tam, po drugiej stronie, jest winda. Zewnętrzna, postawiona na czas renowacji. Ale działa całkiem dobrze. Nawet w taką pogodę. Wystarczy wyjść na dach.

I poszedł sobie.

– Już nie żyjesz, Gall – syknął Baldur.

– Ja? – zaperzył się Aleks. – To nie ja tu jestem od zbierania informacji.

– Racja – zgodził się Baldur – ale przecież sam sobie nie mogę strzelić w łeb. To by było samobójstwo.

– Ach, więc jednak się zorientowałaś. Szkoda. Świat byłby znacznie cichszy, gdybyś nie powiązał ze sobą tych dwóch faktów.

– Och, zamknij się. On nam groził.

– Mnie groził.

– To tak, jakby groził nam obu.

– Boisz się?

- Pytasz serio?
- Czyli nie. A powinieneś.
- Jak to?
- To Księżę.
- Co?
- Fahid Ibn...

- ...Ahmad as-Sudajri – przerwał mu Baldur. – Saudyjski członek rodziny królewskiej, jeden z najlepszych snajperów na świecie, żołnierz saudyjskich sił zbrojnych, wiem. Znam się na tym, jeśli już zapomniałeś. Teraz już rozumiem, skąd wiedziałeś, że będzie miał dziewiętnastkę. Standardowa w saudyjskiej armii. Ale... To był on? Skąd to wiesz.

- Widziałem kiedyś jego zdjęcie.
- Bez żartów. Wszystkie kebaby wyglądają tak samo!
- Ale taka jest prawda. Widziałem jego zdjęcie. W ramach jednej z operacji.

- Dobra. Nic już nie chcę wiedzieć o twoich operacjach. Ale co to, do cholery, znaczy? Saudyjczycy też są uwikłani w tę sprawę?

- Nie sądzę, Baldur. Jakiś czas temu Księżę i kilkunastu jego towarzyszy napadli na rządowe więzienie w Rijadzie. Operacja się nie udała. Księżę zniknął, bo prawdopodobnie miał swojego człowieka wśród strażników. Resztę napastników zastrzelono. Nasz snajper jest poszukiwany przez tajne służby przynajmniej trzech krajów, w tym również Arabii Saudyjskiej. I założę się, że nie będzie chciał tam wrócić.

- Ja bym tam nawet na wakacje nie pojechał.
- A ja byłem. Rijad jest wspaniałym miastem.
- Przecież wiem. Mam tam chałupę.
- Ale mówiłeś...

- Dobra, Aleks. Co ten lowelasik odpierdala, co? Po co wysyła jakieś zakodowane na pociskach wiadomości? Jak ma coś do Bergmana, to dlaczego mu zwyczajnie nie palnie w łeb jak normalny człowiek? Ostatecznie ma do tego i umiejętności, i zabawki.

- Dobre pytanie. Trzeba było je zadać, jak był tu ktoś, kto mógł odpowiedzieć.

– Dostarczysz Bergmanowi tę wiadomość?

– Właśnie się zastanawiam. Musimy być ostrożni. Możemy zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, dostarczyć Bergmanowi wiadomość i sprawdzić, co robi. Po drugie, poinformować o wszystkim Siegbahna, który zapoluje na Księcia. Wszystko się sprowadza do tego, z kogo możemy mieć większy pożytek. Z Siegbahna czy z Księcia.

– Myślę, że obecnie oni grają w jednej drużynie. Nawet jeśli jeszcze tego nie wiedzą.

Aleks zamyślił się na moment, po czym wyjął komórkę. Wybrał numer Siegbahna.

– Tu Gall – rzucił do słuchawki, gdy żandarm odebrał połączenie. – Pamiętasz kulę, którą ci pokazałem? Tak, tę z grawerunkiem. Czy możesz o niej opowiedzieć Bergmanowi? Po prostu zrób to. Skontaktuję się z tobą jeszcze.

Zakończył połączenie i zorientował się, że Baldur powoli, ale wytrwale podąża w kierunku wyjścia.

– Ej! – krzyknął za nim. – Słyszałeś, co on powiedział? Po tamtej stronie jest winda.

– W dupie mam windę – odparł Farer, nie zwalniając kroku. – Potem musielibyśmy obejść cały kanał, żeby wrócić po rama. Wolę się pomęczyć na schodach.

ROZDZIAŁ 51

Wracali przez Lundby, bo według nawigacji tamtędy wiodła najkrótsza droga. Tyle że nawigacja nie brała poprawki na pogodę. I zanim dojechali do dwupasowej jako tako odśnieżonej Lundbyleden, niemiłosiernie zakopywali się w śniegu na lokalnych drogach. A nawet gdy dotarli już do obwodnicy, ruch na niej odbywał się bardzo wolno. Kierowcy ciężarówek musieli się solidnie napracować, by zmusić swoje auta do jazdy na wprost. Niektórzy się poddawali i zatrzymywali zestawy na jezdni. Jedni na lewym pasie, inni na prawym. Jazda przypominała slalom.

Baldur nie odzywał się całą drogę. Był wyraźnie zmęczony. Aleks z kolei musiał się skupić na jeździe i nie miał czasu zabawić rozmową przyjaciela. Niemal godzinę zajęło im dotarcie do mostu Götaälvbron. I choć przebiegał on tuż obok Lilla Bommen, podróż jeszcze się nie kończyła. Układ ulic był na tyle skomplikowany, że aby dojechać na parking, musieli wykonać kilka kółek po zatłoczonych i śliskich ulicach.

– Aleks, możesz się tu zatrzymać? – zapytał Baldur.

– Znaczą gdzie? Na moście?

– Na sekundę. Tu są schodki. Zejdę nimi i za sto dwadzieścia sekund będę już w Lilla Bommen. A ty sobie jedź naokoło. Jestem okropnie zmęczony.

– Dobra – powiedział Aleks, wduszając przycisk świateł awaryjnych i zjeżdżając w bok. Baldur wysiadł. – Dasz radę?

– Jasne. Jedź.

Gdy Baldur zatrząskiwiał drzwiami, Aleks usłyszał pojedynczy, chropowaty odgłos policyjnego koguta. Radiowóz jednak się nie zatrzymał. Widocznie policjant chciał mu jedynie pogrozić palcem. Gall wiedział, że nie powinien stawać w tym miejscu. Ale na moście akurat niewiele się działo. Jedna jezdnia była zamknięta, a druga niemal pusta. Most był stromy. Jazda po nim

sprawiła problemy. Ludzie woleli inne drogi.

Aleks ruszył i omal nie przejechał jakiegoś bezdomnego dziwaka, który nie wiedzieć czemu postanowił przebiec z jednej strony mostu na drugą. Wdepnął hamulec, a bezdomny oparł się o maskę i przewrócił. Wstał jednak szybko, walnął pięścią w szybę, wykrzykując słowa, których Aleks ani nie zrozumiał, ani nie chciał zrozumieć. Ruszył do przodu, nie zwracając uwagi na natręta. Spojrzał tylko w lusterko, czy aby nie zrobił mu żadnej krzywdy, ale nie. Lump ruszył w kierunku spiralnych schodów, tych samych, po których chwilę wcześniej zszedł Baldur.

Gdy zjechał z mostu, okazało się, że na dole doszło do kolizji, co prawdopodobnie wydłuży niektórym powrót do domu o kilka godzin. Nic poważnego, ale po prostu wszystko się zakorkowało.

Dla Aleksa była to jednak wspaniała wiadomość. Z powodu zatoru mógł szybko przeskoczyć pod prąd kilkadziesiąt metrów, a potem skręcić w drogę wiodącą wprost do podziemnego garażu Lilla Bommen. W przeciwnym razie musiałyby objechać pół dzielnicy. Nie namyślając się wiele, skręcił w lewo, mijając radiowóz zastawiający wjazd na skrzyżowanie. Mina, jaką zrobił policjant, świadczyła, że uznał go za niereformowalnego. Ale chyba zrozumiał jego intencje, podobnie jak na moście. W takich niecodziennych warunkach czasami trzeba niecodziennie jeździć.

Z niewłaściwego pasa skręcił w lewo i znów poruszał się zgodnie z przepisami. Objechał filar mostu i powoli kierował się w stronę kolejnego skrzyżowania, gdy nagle w szybę coś uderzyło. Zapewne śnieżka, bo śnieg rozprysnął się po całej szybie. Wdusił hamulec i ram się zatrzymał. Gdy wycieraczki oczyściły mu pole widzenia, ujrzał bezdomnego, którego przed chwilą o mało nie przejechał na moście. Westchnął tylko i puścił hamulec. Ram powoli ruszył do przodu, ale bezdomny się nie poddawał. Posłał mu kolejną porcję śniegu i znów zapaskudził Aleksowi szybę. Tego było już za wiele. Gall otworzył drzwi i zauważył, że bezdomny zbliża się w jego kierunku szybkim, agresywnym krokiem, krzycząc coś po szwedzku. Aleks przełączył dźwignię na „brake” i wyskoczył z auta.

- *What's you fucking problem?!* - wrzasnął, by nieco ostudzić

zapał napastnika. Podziałało. Tamten zatrzymał się na moment. Potrzebował chwili, by przestawić się na angielski. Bardzo mizerny.

– Twój przyjaciel – wysapał zmęczony – on się mocno źle czuje.

– Co?

– Prawie zemdłał na schodach. Potem wstał i poszedł, ale mocno się zataczał. Na dole się wywrócił. Chciałem mu pomóc, ale mnie uderzył.

Aleks bez słowa minął mężczyznę, wsiadł do rama, wrzucił „drive” i ruszył z takim impetem, że tyłem auta solidnie zarzuciło. Przeciął parking ulokowany pod mostem, taranując zostawione tam na zimę rowery. Gdy wyjeżdżał na jezdnię wiodącą do podziemnego garażu, wciąż jeszcze pchał je przed sobą. Ale nie pojechał do garażu. Zamiast tego skręcił w prawo i przeleciał jak wiatr obok betonowych ograniczników. Nie zmieściłby się, ale lewymi kołami wjechał na schody prowadzące na niewielką galerijkę handlową. Wystarczyło jeszcze minąć ogromne betonowe filary. Normalnie zrobiłby to bez problemu. Ale nie przy tej pogodzie i nie przy takiej prędkości. Pierwszy minął, a drugi tylko w połowie. Zahaczył tylną podłużnicą i auto obróciło się w prawo. Uderzył ponownie. Tym razem lewym bokiem. Lekko. Nawet poduszki nie wystrzeliły. Wyklepie się. Otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Za dużo czasu zajęłoby mu wygrzebanie rama z tego betonowego gąszczy. Pobiegł wprost do drzwi wejściowych Lilla Bommen.

Gdy wpadł do holu, ujrzał puste stanowisko ochrony. Doskoczył do niego i przechylił się przez kontuar wypatrując monitorów.

– *Vad gör du?* – usłyszał za sobą stanowcze pytanie i odgłos szybko zbliżających się kroków. Nie odpowiedział. Na jednym z monitorów ujrzał Baldura. Leżał skulony w windzie. Aleks zsunął się z kontuaru i w tym samym momencie poczuł silne szarpnięcie za rękaw kurtki.

– Puść mnie – syknął, odbijając rękę strażnika. Ten zorientował się w końcu, do kogo mówi, więc przeszedł na angielski:

– Przepraszam. Tu nie wolno.

– Módl się, żeby mojemu przyjacielowi nic się nie stało.

W przeciwnym razie już jesteś trupem.

Strażnik spojrział na ekran i zbladł.

- Ja... Musiałem iść do kibla. Dzwonię po pomoc.
- Nie. Sam zadzwonię. Która to winda?
- Trzecia.

Aleks ruszył biegiem do windy. Wdusił wszystkie przyciski, ale uruchomił się tylko pierwszy dźwig. Zaklął i wyciągnął telefon. Wybrał numer Nate'a.

- Co jest? - usłyszał zaspany głos.
- Baldur w niebezpieczeństwie.
- Gdzie?
- W windzie.

Rozłączył się. Winda nadjechała. Pusta. Aleks wsiadł do środka i na dotykowym panelu wybrał jakąś liczbę na chybił trafił. Nim drzwi się zamknęły, wyskoczył na zewnątrz. Dźwig ruszył, a Gall ponownie wcisnął guzik wzywający kabinę. Tym razem ruszyła kabina oznaczona numerem trzy. Nie było wyświetlacza. Aleks nie wiedział, na którym piętrze znajduje się winda. Jedyne migająca na niebiesko lampka informowała, że dźwig realizuje połączenie. Sekundy płynęły jak godziny. Gdyby tylko mógł, gołymi rękami rozerwałby drzwi.

W końcu dało się słyszeć ciche brzdęknięcie, niebieska lampka zgąsła i drzwi się rozsunęły. U boku leżącego na podłodze Baldura klęczał Nate.

- A ty jak się tu znalazłeś? - zapytał zaskoczony Aleks.
- Winda stała na naszym piętrze. Stracił przytomność - odpowiedział Nate, układając Baldura w pozycji bocznej bezpiecznej.
- Jakiś pomysł?
- Tak. Baldi mówił, że w szpitalu zajął się nim jakiś lekarz. Podobno jest w porządku. Przytrzymaj go, poszukam jego komórki. Może ma w niej numer.

Aleks przytrzymał delikatnie tułów Farera. Nate wymacał w kieszeni jego kurtki komórkę.

- Czekaaj, on się nazywał jakoś... Birgir... Garden? Czekaaj, nie ma nic pod „g”. Birgir...

- Sprawdź Krygård.
- Krygård, dokładnie. Teraz pamiętam. Znasz go?
- Poznałem. To lekarz Torgila Thoresena. Szefa Baltic Bridge.
- Zajmij się Baldim. Zadzwoń do niego.
- Niech tu przyjedzie.

W tym momencie Aleksowi zadzwoniła komórka. Nate wyszedł, żeby cokolwiek słyszeć. Ochroniarz machnął Gallowi, by odebrał, a sam ułożył Baldura na podłodze i podłożył mu pod głowę przyniesiony zza kontuaru koc. Facet musiał mieć wyrzuty sumienia.

- Co jest? - rzucił do słuchawki Aleks. - Już załatwiłeś?
- Nie - odparł Siegbahn. - Jutro. Ale tymczasem mam dla ciebie wiadomość.

- Nie mam teraz czasu, Viggo.

- Znaleźli Szeligę.

- Co?

- Tego bosmana z *Raginisa*.

- Wiem, kto to jest. Ale nie miałem pojęcia, że ktoś nurkuje do wraku.

- I o to właśnie chodzi, że nikt nie nurkuje. Szeliga siedzi w swoim fotelu, w świnoujskim mieszkaniu. Ma w czole dziurę wielkości pięciocentówki.

- Skąd to wiesz?

- Mam dobrego znajomego w Świnoujściu. Polskiego komisarza. Powiedziałem mu, że przyjedziesz.

Aleks się rozłączył.

- Krygård już jedzie. Choć nie był zadowolony. To chyba jakiś dziwak.

- Bo?

- Bo ogląda badmintona - powiedział Nate. - I to po chińsku. Słyszałem telewizor. Czubek.

- Nate, będziesz musiał być bardzo czujny przez kilka najbliższych dni. Nie odstępujesz Baldura na krok, jasne?

- Jasne. - Kao błyskawicznie spowaźniał. - A ty?

- A ja wybieram się do Świnoujścia.

ROZDZIAŁ 52

Oczywiście po drodze wszystko się skomplikowało. Burza śnieżna sparaliżowała ruch lotniczy nad Europą. Trzeba było płynąć statkiem. Aleks zabrał więc rama i ruszył w kierunku Ystad. Na szczęście auto spisywało się bez zarzutu. Aleks go nie uszkodził, a jedynie trochę pokiereszował.

Droga, którą w normalnych warunkach pokonałby w trzy i pół godziny, zabrała mu dwa razy więcej i na wybrzeże dotarł dopiero około szóstej rano. Pół godziny po tym, jak jego prom odbił od kei.

Następny prom wyruszał dopiero o trzynastej z odległego o pięćdziesiąt kilometrów Trelleborga. Aleks wykorzystał ten czas, by się chwilę zdrzemnąć. Nie spał od wielu godzin, a trasa w głębokim śniegu, z którym nie radziły sobie całkiem sprawne szwedzkie służby drogowe, dała mu się mocno we znaki.

Wynajął pokój w pierwszym napotkanym hotelu. Był to Continental. Tych kilka godzin snu kosztowało go prawie dwa tysiące koron plus dodatkowy tysiąc łapówki, by recepcjonista zechciał wydać mu pokój poza dobą hotelową. Ale dostał apartament na ostatnim piętrze, gdzie było już posprzątane i nikt mu nie przeszkadzał.

Chwilę po jedenastej udał się do portu w Trelleborgu. Przy kei grzał już silniki najdłuższy prom pływający na tej trasie – M/F Wolin należący do Polskiej Żeglugi Morskiej i obsługiwany przez Unity Line. Wprawdzie na rufie trzepotała tania bahamska bandera, jednak można było śmiało powiedzieć, że jest to polska jednostka. Oficer nadzorujący załadunek nawet nie próbował ukrywać niechęci do kierowcy potężnego rama, który zajmował dwa miejsca i burzył mu cały misternie przygotowany plan. Aleks zupełnie się tym nie przejął. Wolin mógł przyjąć na pokład osiemdziesiąt pięć zestawów kołowych, a nic nie wskazywało na to, że zapełni się choćby w jednej trzeciej. Samochodów

osobowych nie było wcale. I nic dziwnego. Kto chciałby się pchać na morze w taką pogodę? Chyba tylko ci, co naprawdę muszą.

W pokładowej restauracji zjadł polskie śniadanie złożone z jajecznicy i dwóch parówek, a potem udał się do swojej kajuty. Tam złapał jeszcze kilka godzin snu.

Teraz, stojąc na pustym pokładzie widokowym, obserwował wynurzające się z mroku światła sygnalizacyjne główek portu świnoujskiego. Rejs zajął dziesięć godzin. O dwie i pół dłużej niż powinien.

Aleks martwił się o Baldura. Ostatnią informację o stanie jego zdrowia otrzymał od Nate'a w Ystad. Baldur wciąż był nieprzytomny. Trochę z nudów poszperał w necie za informacjami o doktorze Birgirze Krygårdzie. Wyłonił się z nich obraz tak przyjazny, że Aleks natychmiast zapomniał, jak nieprzyjemne było ich pierwsze spotkanie. Krygård miał sześćdziesiąt siedem lat. Określano go jako wybitnego wirusologa. Studia skończył z wyróżnieniem, ale zamiast robić karierę, którą mu wrócono, jeszcze w trakcie nauki wypłynął na statku szpitalnym SS Hope w roczny rejs do Tunezji. Wkrótce po ukończeniu nauki wstąpił do świeżo sformowanej organizacji Lekarze bez Granic i wyruszył do Nigerii pomagać ofiarom wojny domowej. A czynił to z prawdziwym poświęceniem. Rozstał się ze świeżo poślubioną żoną. Trzykrotnie połamano mu obie nogi, stracił dwa palce u lewej stopy, ale odmówił powrotu do kraju. Spędził na Czarnym Łądzie prawie czterdzieści lat, przeżył wszystkie zamachy stanu, epidemię eboli w Kongu i Liberii oraz konflikt z Boko Haram. Zawsze był na pierwszej linii frontu. Do Szwecji wrócił dopiero pięć lat temu. Jak tłumaczył w jednym z wywiadów, nie czuł się już na tyle silny fizycznie, by prowadzić takie życie. Aleksa uspokajała świadomość, że zostawił przyjaciela pod opieką takiego człowieka.

Wolin przycumował do nabrzeża terminalu promowego. Tylna furta została otwarta i rozpoczęto rozładunek. Aleks zaczekał, aż stojące przed nim ciężarówki zwolnią przejazd, po czym ruszył w kierunku rampy. Gdy zjechał na nabrzeże, w masywne cielsko jego rama uderzył wiatr. Najwyraźniej po tej stronie Bałtyku

Christina miała jeszcze coś do udowodnienia. Lepki, gęsty śnieg zasypał mu szybę. Wycieraczki włączyły się automatycznie.

Aleks wyjechał przez bramę i w sznurze tirów ruszył drogą numer trzy w kierunku Szczecina. Jednak w przeciwieństwie do pozostałych kierowców po ośmiuset metrach zjechał w ulicę Fińską i pognął w kierunku promu.

Świnoujście leży na kilku wyspach, a pomiędzy najważniejszymi z nich nie ma połączenia drogowego. Politycy wciąż obiecują, że zepną dwa brzegi Świny mostem lub podwodnym tunelem. Tymczasem jednak by dostać się z dworca kolejowego lub portu do centrum miasta, trzeba odczekać swoje w kolejce do promu. Serwis obsługują cztery jednostki. Każda z nich nazywa się *Bielik*, a odróżniają je jedynie kolejne numery.

Przy nabrzeżu stał *Bielik III*. Ale coś było nie tak. Rampę wjazdową miał podniesioną, a przejazd blokował dodatkowo szlaban. Aleks wiedział, że *Bielik* pracuje przez całą dobę i w każdą pogodę. Za dnia nie mógłby tędy przepłynąć. Wówczas serwis obsługuje tylko pojazdy na świnoujskich numerach rejestracyjnych. Ale teraz nikt nie powinien mu robić problemów.

Chyba że przeprawa jest nieczynna.

Zatrzymał auto przy samym szlabanie. Dookoła było ciemno. Jedyne reflektory jego rama rozświetlały okolicę. To też było podejrzane. Zwykle całe nabrzeże świeci się jak choinka.

Nie gasząc silnika, szarpnął za klamkę i wysiadł na zewnątrz. Do nabrzeża mogły cumować jednocześnie dwie jednostki, bo znajdowały się na nim dwa niezależne stanowiska do dokowania. Pomiedzy nimi stał dwupiętrowy budynek pokryty niebieską farbą. Za dnia służył jako restauracja. Teraz jednak wyszedł z niego jakiś facet i zamknął drzwi na klucz. Podeszedł do Aleksa i rzucił:

– Nie pływamy. Nie ma warunków.

– Jak to nie ma warunków? – odparł zdumiony Aleks. – Właśnie przepłynąłem cały Bałtyk i warunki były.

– Nie ma warunków – powtórzył mężczyzna wyraźnie znudzonym głosem. – Widzisz pan drugi brzeg?

Aleks spojrział w kierunku, który mężczyzna wskazał mu palcem. Widział jedynie ciemność.

– Nie.

– No właśnie. My też nie. Zwykle nie stanowi to problemu. Mamy radar i komunikację radiową. Ale komunikacja w obszarze nie działa, bo padło zasilanie. Nie będziemy pływać na ślepo i głucho w poprzek kanału. Musi pan czekać do rana.

– Nie mam czasu do rana. – Aleks machnął ręką i skierował się w stronę samochodu.

– Jedziesz pan na Karsibór? Tam też jest prom. Siedem kilometrów stąd. Ale oni też nie pływają.

– To jak mam się dostać do miasta?

– Czekać. Albo szosą. Przez Szczecin i Niemcy.

– Daleko to będzie?

– Dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

Aleks zaklął. Wyjął portfel i zajrzał do środka. W Ystad wyjął z bankomatu pięć tysięcy koron. Trzy wydał w hotelu, zostały mu cztery pięćsetki. Z każdej spoglądał na niego szwedzki król Karol XI. Z wyrzutem. Gall westchnął i wyjął pieniądze.

– Niech pan posłucha. Spiesz mi się. Mam tu dwa tysiące koron.

– No i?

– To dwieście euro. Nie wiem, po ile teraz macie euro w Polsce, ale...

– Nie mam załogi – przerwał mu mężczyzna. – Nie pływamy, więc jestem tu sam. Pilnuję jednostki.

– Tym lepiej. Nie będzie się pan musiał dzielić. Pływałem tym już. Jedna osoba spokojnie sobie poradzi.

Mężczyzna westchnął.

– Ile pan tu widzi statków? – zapytał.

– Jeden – odparł Aleks.

– A na przeciwległym brzegu?

– Nie widzę przeciwległego brzegu.

– Ale stoją tam dwa. Zapewniam pana. Czwartym stoi w suchym doku, w stoczni remontowej, bo przecieka. Oba nabrzeża po stronie miasta są zajęte. Nawet gdybym złamał wszystkie zakazy

i naraził życie pana i swoje, to i tak nie miałbym dokąd przybić. Rozumie pan?

Aleks zauważył, że mężczyzna mu się przygląda. Zapewne zastanawiał się, w jaki sposób sprawić, by pieniądze jednak zmieniły właściciela. Był wysoki i masywny, ale z pewnością przekroczył już pięćdziesiątkę. Gdyby spróbował brudnych sztuczek, nie miałby z Alekssem większych szans.

– Do widzenia – powiedział w końcu Gall i ruszył w kierunku rama.

– Czekaj pan. – Mężczyzna się zawahał. Potem jednak wyciągnął z kieszeni telefon. – Zadzwoń gdzieś. Ale nic nie obiecuję.

– Będę w aucie.

Czekał pół piosenki. Alicia Keys w radiu śpiewała, że Nowy Jork to betonowa dżungla, w której spełniają się marzenia. Trochę się to kupy nie trzymało. Potem mężczyzna zastukał w szybę, a Aleks ją opuścił.

– Dziesięć minut. Zbiorą tylko ludzi i przyplynie tu *Bielik IV*.

– Dobra robota – odparł Aleks, wręczając mężczyźnie pieniądze.

– Proszę się podzielić z kolegami.

Chwilę jeszcze posiedział w ramie, a potem naszła go chęć zapalić. Wychynął więc z auta i przykucnął nieco, by ogromna sylwetka terenówki osłoniła go od wiatru i śniegu. Przez moment męczył się z ogniem. Każdy inny na jego miejscu już by się poddał i ciskając przekleństwa, wrzucił zapalniczkę do kanału. Ale nie Aleks. Jego takie rzeczy nie ruszały. Pomyślał tylko, że warto by kupić zapalniczkę zarową. Albo rzucić palenie. Gdyby ktoś na niego patrzył, zapewne roześmiałyby się na widok cudacznej gimnastyki, jaką uprawiał, by osiągnąć cel. W końcu jednak mu się udało i duszący dym wtargnął do płuc. A pół minuty później Aleks usłyszał syrenę mgłową, która rozległa się naprawdę blisko. W ślad za nią z mgły wyłonił się *Bielik IV*. Wyglądał jak statek z horrorów. Sunął wprost na nabrzeże, a załoga nie czekała nawet, aż sternik przybije do brzegu. Jeszcze w biegu uchyliła rampę. Za moment nocną ciszę przeszył nieprzyjemny odgłos metalu zgrzytającego po betonowym progu pomostu. Załoga nie cumowała. Sternik utrzymywał obroty, dociskając

statek do brzegu, a chyląca się ku nabrzeżu rampa specjalnie zaprojektowanym otworem przywarła do wystającego z betonu metalowego bolca. To wystarczyło.

– No pośpiesz się pan! – zakrzyknął facet z obsługi, podnosząc szlaban. Aleks rzucił niedopałek w śnieg i wskoczył do rama. Przerzucił dźwignię w pozycję „drive” i potoczył się do przodu. Rampa zadudniła, gdy pikap naparł na nią swoim ciężarem. A kiedy tylko tylne koła znalazły się na zaasfaltowanym pokładzie, załoga podniosła rampę i statek ruszył ku przeciwnemu brzegowi. Aleks podjechał jeszcze kawałek i ustawił się dokładnie pod zawieszonym w połowie pokładu mostkiem kapitańskim. Wyłączył silnik i rozparł się wygodnie w fotelu. Miał teraz dziewięć minut dla siebie. Alicję Keys w głośnikach zmienił jakiś polski piosenkarz, który do dźwięku pierdzącego saksofonu informował, że życie smakuje jak chwila, którą warto żyć, czy coś takiego. Trudno było zrozumieć. Aleks ściszył muzykę i sprawdził komórkę. Przypomniał sobie polskie porzekadło, że brak wiadomości to dobre wiadomości. Ale jakoś to do niego nie przemawiało. W końcu odłożył komórkę na fotel.

Naraz za jego plecami rozległo się głucho uderzenie i dźwięk przetaczającego się po asfalcie plastiku. Aleks zerknął w lusterko i zobaczył w nim pięciu mężczyzn stojących tuż za klapą rama.

– Wyłaź, Gall! – wrzasnął jeden z nich.

Aleks chwycił za klamkę i otworzył drzwi. Wolnym krokiem ruszył w stronę przeciwników, uważnie lustrując ich wzrokiem. Ci odsunęli się nieco, by zrobić mu miejsce. Aleks podszedł do tyłu rama i zauważył stłuczony reflektor. Odwrócił się w kierunku mężczyzn, zakładając ręce na piersi.

Stali naprzeciwko niego, przyjmując formację zaokrąglonej tyraliery. Dwóch największych stało po bokach, a każdy dzierżył w rękach metrowej długości żelazny klucz do śrub. Z pewnością to właśnie jeden z nich stłukł lampę rama, jednak teraz Aleks kompletnie nie zaprzętał sobie nimi głowy. Gdy się zaczną, będą bezużyteczni. Nie wykorzystają swojej broni w obawie przed uderzeniem jednego ze swoich. Skupił się więc na pozostałych. Pośrodku stał najmłodszy z nich. Miał nie więcej niż metr

siedemdziesiąt wzrostu. Klasyczny bojowy kurdupel. Kipiał z wściekłości.

– Pamiętasz nas? – wycharczał.

– Nie – odparł Aleks, czym wyraźnie zbił tamtego z tropu. Dwóch skrzydłowych przysunęło się bliżej kurdupla, unosząc ręce do bójki. Jedno spojrzenie wystarczyło Gallowi, by stwierdzić, że to będzie zabawa. Tamci z pewnością brali udział w niejednej awanturze, ale były to raczej typowe pijackie portowe rozróby. A teraz mieli naprzeciwko siebie doskonale wyszkolonego żołnierza. Przeciwnika, z jakim się dotąd nie mierzyli.

– Słyszeliście?! – krzyknął do swych kompanów pokurcz. – Nie pamięta nas. Nie szkodzi. Przypomnimy się.

I skoczył w kierunku Aleksa z pochyloną głową. Być może liczył, że trafi nią przeciwnika w brzuch. Pewnie zawsze tak robił. Ostatecznie niedobór wzrostu musiał sobie rekompensować cwaniactwem. Był nawet szybki, ale nie wystarczająco. W dodatku jego taktyka miała jeden słaby punkt. Pochylając głowę, stracił przeciwnika z oczu. Nie wiedział, co Aleks robi w trakcie ataku. A on odskoczył lekko w prawo i z całej siły kopnął kurdupla w lewą nogę. Napastnik runął jak długi, uderzając twarzą w masywny zderzak rama. Być może nawet już to pozbawiło go przytomności. A być może drugie kopnięcie, które Aleks wymierzył mu prosto w potylicę.

Skrzydłowi nie zamierzali się temu przyglądać, ale ich Aleks pokonał już kilkanaście sekund wcześniej. Wtedy gdy stanął właśnie w tym miejscu, w którym stał. Plecami do tylnej kłapy rama. Nie zrobił tego przez przypadek. Teraz, gdy we dwóch rzucili się w jego kierunku, on prawą nogą potężnie odepchnął się od zderzaka i wystrzelił w ich kierunku jak pocisk. Oba uniesione łokcie sięgnęły celów. Aleks był praworęczny. Więc ten, który trafił mu pod prawy łokieć, leżał już na pokładzie w nienaturalnej pozycji, w jakiej zwykle leżą ludzie, którym nagle odcięto zasilanie. Ten drugi upadł jedynie i próbował się nawet poderwać, ale widoczność zasłoniła mu zalewająca oczy krew. Nos z pewnością był złamany, zanim Aleks poprawił mu

kopnięciem.

Teraz pozostało już tylko tych dwóch z kluczami. Nie zapomniał o nich. Ten po lewej już unosił klucz do uderzenia, ale trwało to całe wieki. Narzędzie ważyło ze dwadzieścia kilo i zamach musiał być nie tylko potężny, ale i wykonany oburącz. A to sprawiło, że facet kompletnie się odłonił. Aleks dopadł do niego i wyprowadził lewy prosty i prawy sierpowy. Wystarczyło. Tamten upuścił klucz, a potem zważył się na pokład w ślad za nim.

Ale ten drugi miał więcej czasu i gdy Gall w końcu się nim zajął, opuszczał już broń znad głowy. Aleks doskoczył tak blisko przeciwnika, jak tylko się dało. Kawał żelastwa mógł być bronią tylko na dystans. Z bliska był zupełnie niegroźny. Jednak i tak by nie zdążył. Facet zdmuchnąłby go jak piłkę baseballową. Gdyby nie to, że spękał. Przestraszył się konsekwencji. Jasne, można zdzielić frajera przez łeb czy obić mu mordę, ale ryzykować przez takiego dłuższą odsiadkę? Dlatego w ostatniej chwili spowolnił opadanie klucza.

Aleks natomiast nie podzielał obaw napastnika. Ostatecznie tamten wyskoczył na niego z potencjalnie śmiercionośną bronią. A takich sytuacjach Gall nie zwykł się patyczkować. Przemknął pod opadającym kluczem i trafił tamtego czołem prosto w nos. Chrupnęło. Zawsze chrupie. Zabrzęczało i za moment drugi z kluczy też leżał już na asfalcie. A obok niego trzech jęczących i zwijających się z bólu marynarzy. Oraz dwóch niejęczących i niezwijających się z bólu. Za to kompletnie nieprzytomnych. Wszystko trwało osiem sekund.

Gall podniósł z ziemi klucz i cisnął nim za burtę. Potem podszedł do drugiego.

– Nie wyrzucaj – wysapał jeden z dryblasów. – Potrzebujemy tego do pracy.

– Kupicie sobie nowe – odparł Aleks i za chwilę drugie żelastwo pomknęło w ślad za pierwszym. – Odpocznijcie, mamy jeszcze siedem minut do brzegu. A ja utnę sobie pogawędkę z kapitanem Paliwodą.

Bo oczywiście, wbrew temu, co im powiedział, Aleks natychmiast rozpoznał przeciwników. Załoga *Harpoona*. Ta,

która wskutek jego śledztwa została uznana za winną kolizji na Morzu Północnym dwa lata temu. A przecież kapitan Wścieklica powiedział mu niedawno, że pływają teraz na promach w Świnoujściu. I tak mieli dużo szczęścia, że wyroki dostali w zawieszeniu. Gdyby nie to, pewnie nigdy już nie wróciliby na morze. A tak? Kto wie. Może odpokutują, pływając w poprzek cieśniny, a potem znów wyruszą w dal. Ten na brzegu na pewno natychmiast go rozpoznał. Wezwał przez komórkę chłopaków. Teraz pewnie siedzi w swojej budzie i czeka na wieści. A może nawet na zdjęcia?

Aleks wbiegł po metalowych schodach na galeryjkę ciągnącą się wzdłuż burty. Pokonał połowę długości pokładu i dotarł do kolejnych schodów. Przegrodzone były metalową linką, na której wisiała tabliczka z napisem *Stuff only*. Odpiął łańcuch i ruszył w górę. Po przebyciu kilkunastu stopni stanął przed brązowymi drewnianymi drzwiami. Pchnął je lekko i wszedł do pogrążonej w mroku sterówki.

Pośrodku pomieszczenia, za szeroką kremową konsolą stał rudy mężczyzna. Aleks nie mógłby dostrzec koloru jego włosów. Nie w tym świetle. Ale nie musiał. Miał już przyjemność z tym facetem. Oficer wachtowy z *Harpoona*.

– Dzień dobry, panie Konkel – rzucił. Tamten uśmiechnął się i spojrzał na swojego gościa. Ale tylko przez ułamek sekundy. Zaraz przeniósł wzrok z powrotem na okna sterówki i tonącą we mgle dziobnicę statku. Skupiony był na swoim zadaniu. Jego dłonie wprawnie tańczyły na zadajnikach ciągu.

– Dzień dobry, panie Gall – rzucił wesoło. – Świetnie pan wygląda.

– Jak sądzę, lepiej, niżby się pan spodziewał.

– O tak, to to na pewno. – Rudzielec zarechotał. – A moi koledzy?

– Nic im nie będzie.

– To dobrze. To bardzo dobrze.

– Fajne zabawki – rzucił Aleks, wskazując na zadajniki.

– To się wie, panie Gall. *Thruster*. Steruję jednocześnie przednim i tylnym pędnikiem. Jedną ręką mogę dodawać

i odejmować mocy albo obracać gondolą i skręcać promem. A drugą to samo robię z drugim pędnikiem.

– Trudne?

– Można się nauczyć. Początkowo to trochę nienaturalne. Że jednym pędnikiem się napędza łajbę, drugim ją hamuje, a obydwoma skręca. A potem przybijamy do brzegu, przechodzę na drugą stronę konsoli i odwrotnie, tym co napędzałem, teraz hamuję, a tym, co hamowałem...

– Gdzie jest kapitan? – przerwał mu Gall.

– Nie ma – odparł Konkel nieco za szybko.

– Czyli mam rozumieć, że wypłynęliście bez kapitana?

– No właśnie. – Rudzielec wyszczerzył zęby.

– Naciągane.

– Jak tam pan sobie uważa.

– *Bielik IV*, dyspozytor – zaskrzeczało radio. Operator sprawiał wrażenie rozgniewanego. A raczej rozgniewanej, bo operatorem była kobieta. – *Bielik IV*, dyspozytor – powtórzyła szorstko.

W konsolę wbudowane były dwa odbiorniki radiowe. Jeden wskazywał kanał dwunasty, drugi kanał trzynasty. Konkel podniósł gruszkę tego drugiego.

– Dyspozytor, *Bielik IV* – rzucił wesoło. – Co jest, Halinka?

– Ja ci zaraz dam Halinkę! Dlaczego jesteście w ruchu?

– Halinka, ty nic się nie denerwuj...

– Ty mnie nie denerwuj. Gdzie stary?

– Tu go nie ma.

– A gdzie jest?

– Nie wiem.

Ciche westchnięcie po drugiej stronie radia świadczyło, że to nie pierwsza taka rozmowa z Konkelem. Aleks przypomniał sobie, że już w czasie śledztwa rudzielec potrafił koncertowo grać na nerwach przesłuchującym. Krążył, kluczył, zmieniał zeznania, a ostatecznie i tak nic ciekawego nie powiedział.

– Dlaczego jesteście w ruchu? – ponowiła pytanie dyspozytorka.

– Psa wyłowiliśmy.

– Co?

– No psa. Dostaliśmy informację z drugiego brzegu, że

sierściuch się tapła w kanale. No to popłynęliśmy. Przecież teraz port i tak zamknięty. Co miał się kundel utopić?

– Czy wyście zwariowali?! – krzyknęła kobieta.

– Ona uwielbia psy – rzekł rudy, nakrywając dłonią mikrofon. Ale zrobił to tylko dla efektu. Kobieta po drugiej stronie radia nie mogła go usłyszeć, bo nie nacisnęła przycisku nadawania.

– Natychmiast do nabrzeża – poleciała kobieta i faktycznie, choć w jej głosie wciąż pobrzmiwała pewna groźba, Gall mógłby przysiąc, że i ona była jedynie na pokaz.

– Tak jest! – odparł z przesadną służalczością w głosie Konkel.

– Ten wyłowiony pies... Żyje?

– Och jeszcze jak – powiedział, wolno cedząc sylaby, rudzielec, po czym przeniósł rozbawiony wzrok na Aleksa. – Nawet trochę kasa.

– *Over and out.* – Dyspozytorka westchnęła, a Konkel odłożył mikrofon.

– Kanał trzynasty to wasz dyspozytor – zauważył Aleks.

– Nic się przed panem nie ukryje, Gall.

– A dwunasty? – zapytał Aleks, wskazując sąsiedni odbiornik.

– Dwunasty to ogólny. Do kontroli ruchu na akwenie. Ale teraz nie działa. Awaria zasilania.

– A to? – Tym razem Gall wskazał palcem niewielką, czarnopomarańczową krótkofalówkę, leżącą na konsoli tuż poniżej ekranu radaru ARPA, obok lornetki spoczywającej na specjalnie dorobionej drewnianej półeczce.

– Do naszej wewnętrznej komunikacji.

– Świetnie – rzucił Gall i sięgnął po urządzenie.

– Hej! Tego nie wolno...

– Paliwoda, gdzie pan jest? – powiedział do urządzenia, po czym zwolnił przycisk nadawania. Urządzenie przez chwilę szumiło. Konkel spoglądał na Galla z niemym wyrzutem, jakby się poczuł oszukany. W końcu szum ustał i w głośniku dał się słyszeć spokojny, bardzo niski i trochę chropowaty głos.

– Pomieszczenie pędnika dziobowego. Zapraszam, panie Gall.

Konkel westchnął. Nie patrzył już na Aleksa. Właśnie dobijał do brzegu i na tym musiał skupić uwagę. Aleks odnotował w głowie,

że pomimo całej tej błazenady Konkel naprawdę fantastycznie panuje nad jednostką.

– Gdzie tu jest dziób? – zapytał Gall. – Z obu stron wszystko wygląda tak samo.

– Tylko pozornie. Maszynownia jest na rufie, więc pójdzie pan w przeciwną stronę. Tymi drzwiami po mojej prawej. Zejdzie pan na pokład samochodowy i od razu zobaczy pan drzwi. Wejdzie pan, skręci w prawo, po schodkach w dół, potem w prawo i znów w prawo. Otworzy pan drzwi, a dalej zastanie pan włącz do pomieszczenia pędnika.

Dotarcie na miejsce zajęło mu sześćdziesiąt sekund. Gdy tylko znalazł się pod pokładem, ujrzał gromadzących się w niewielkim pomieszczeniu socjalnym marynarzy. Byli wszyscy. Jedni w lepszej kondycji, inni w gorszej, ale żaden nie doznał trwałego uszczerbku. Spoglądali teraz na swojego oprawcę z wyraźną niechęcią, ale żaden się nawet nie odezwał. Aleks skręcił w prawo, pokonał krótki korytarzyk z wyeksponowaną zawieszka zawierającą wykaz najpopularniejszych węzłów marynarskich, a potem znów skręcił w prawo i dotarł przed drzwi. Gdy je minął, ujrzał okrągły otwór w ścianie, podobny do tych na starych okrętach podwodnych. Powyżej otworu zamontowany był niewielki uchwyt. Gall chwycił go obiema rękami, przerzucił nogi przez otwór i sprawnie wskoczył do kolejnego pomieszczenia. Tutaj podłoga wykonana była z ryflowanej blachy i otaczała umieszczony centralnie reces, z którego wznosiła się kopała fundamentu pędnika. Sięgała pół metra powyżej podłogi i od góry nakrywała ją gruba, przykręcona śrubami blacha, do której od spodu przymocowano pędnik. Aleks aż się oblizał. Wiele by dał, by zobaczyć to urządzenie. Miał okazję kilka tygodni wcześniej. Był wówczas w Szczecinie, dokładnie w tym samym czasie, kiedy *Bielik III*, bliźniacza jednostka *Bielika IV*, stał w doku Stoczni Gryfia, z wyeksponowanymi wszystkimi swoimi walorami. Jeden z menedżerów stoczni proponował mu wówczas wycieczkę po obiekcie. Można było wejść do doku i dokładnie obejrzeć wiszące poniżej stępki pędniki. Jeden na dziobie, drugi na rufie. Ale Aleks

nie skorzystał. Śpieszył się.

Powyżej zwieńczenia kopuły piętrzyły się przewody hydrauliczne. Silnik spalinowy znajdował się po drugiej stronie promu. Za pomocą pompy hydraulicznej generował ciśnienie oleju, który następnie tłoczony był przewodami do silnika hydraulicznego wchodzącego w skład pędnika. Tam następowała zamiana ciśnienia oleju w energię mechaniczną, która napędzała łopaty śruby. Właśnie dlatego w pomieszczeniu pędnika było niemal zupełnie cicho.

W recesie siedział niewysoki, siwy mężczyzna ubrany w granatową odzież ochronną. W ustach dogasał mu papieros. Wprawnymi, posuwistymi ruchami pędzla nakładał zieloną farbę ochronną na węzłówki fundamentu. Na Aleksa nawet nie spojrzął, ale zarejestrował jego wejście.

– Panie Gall – powiedział spokojnie.

– Kapitanie Paliwoda – odparł Aleks i w tej samej chwili usłyszał za sobą stłumione głosy. Przez okrągły otwór w ścianie do pomieszczenia kolejno pakowali się członkowie załogi. Pierwszy wbiegł kurdupel. Najwyraźniej szybko doszedł do siebie po tym, jak masywny zderzak rama dostał lanie od jego twarzy.

Za kurduplem wchodzili inni, ale Paliwoda odłożył pędzel do puszki, wyszedł z recesu i zagroził im drogę.

– Zostawcie nas, chłopcy – polecił.

– Kapitanie... – zaczął kurdupel, ale Paliwoda nie dał mu skończyć.

– No już, już – powiedział, a w jego spokojnym głosie zabrzmiała poufała nuta. Jakby nie był ich dowódcą, lecz kumplem z osiedla. – I zamknijcie za sobą drzwi.

Pokurcz wzruszył ramionami.

– Dobra, chłopaki, spadamy. A ty... – zwrócił się w stronę Aleksa, ale nie wyartykułował groźby. Spojrzął na niego jedynie spoode łba i wyszedł.

– Niech mi pan wybaczy, Gall – powiedział kapitan, gdy zostali sami. – Nie chciałem tego, ale nie mogłem odmówić chłopakom. Ostatecznie zrujnował im pan życie.

– To pan im zrujnował życie. I sami je sobie zrujnowali. A jeśli dalej będą się zabawiać w taki sposób jak dziś, to będzie jeszcze gorzej.

– Jak pan sobie chce. – Kapitan wszedł z powrotem do recesu. – W każdym razie cieszę się, że nic panu nie jest.

– Cieszy się pan, że nic mi nie jest. – Aleks się zaśmiał. – I naprawdę nie chciał pan całej tej eskapady. Ale zupełnie przypadkiem siedzi pan podczas niej pod pokładem i maluje... Co to jest? Fundament?

– Owszem. Fundament. I co w tym takiego dziwnego?

– Zdawało mi się, że kapitan ma ludzi do takiej roboty.

Paliwoda się uśmiechnął. W tej samej chwili chyba zdał sobie sprawę, że nie palił już od dobrej minuty, więc wyciągnął z kieszeni na piersi paczkę lucky strike'ów. Wyjął jednego i podpalił, a paczkę rzucił w kierunku Aleksa. Aleks chętnie skorzystał.

– Pan nic nie wie o pracy na morzu. Mam na myśli taką prawdziwą pracę.

– Wiem wystarczająco wiele – odparł Aleks, zwracając kapitanowi paczkę. – Znam na przykład przepisy morskie i potrafię ocenić, kto zawinił w morskiej kolizji. Zwłaszcza tak banalnej jak wasza.

– Składałem wyjaśnienia, które pan puścił mimo uszu.

– Pańskie wyjaśnienia nie trzymały się kupy.

– Bo pan tak uważa?

– Nie ja. Izba Morska.

– Której pan był konsultantem.

– Nie ja, tylko SHK.

– Której pan był konsultantem. Naprawdę. Darujmy sobie.

– To była prosta sprawa, kapitanie. Jedna z najprostszych, jakimi się zajmowałem.

– Co tylko najlepiej świadczy o pańskiej rzetelności. A raczej jej braku. Skoro już się pan tym zajmował, to pana psim obowiązkiem było sprawdzenie moich słów.

– Tak pan uważa?

– Właśnie tak uważam. Każdy ma jakąś pracę do wykonania.

A pan miał tylko jedno zadanie. I mu pan nie podołał.

Aleks zaciągnął się nieco głębiej niż zwykle. Za wszelką cenę usiłował zachować powagę. Ale nie podołał. Roześmiał się, a dym natychmiast podrapał go po gardle. Wyrzucił go z siebie, krztusząc się przy tym niemiłosiernie.

– Będzie mnie pan miał na sumieniu – rzekł w końcu, gdy już opanował oddech. – Nie mówili panu, by nie rozśmieszać człowieka, który pali papierosa?

– Mnie to nie bawi, panie Gall. Pan się śmieje, a ja pływam w poprzek Świny. Osiem minut tam, osiem minut z powrotem. I tak przez cały dzień. To świetna robota. Ale nie dla mnie. Za mało buja.

– Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej, kapitanie. Za błędy się płaci.

W tym starciu Aleks był górą. Zresztą nie mogło być inaczej. On zawsze wytrzymywał ciśnienie. Tymczasem Paliwoda w końcu się zagotował. Wyskoczył z recesu i stanął naprzeciwko Galla.

– Złożyłem wyjaśnienia – syknął przez zęby. – Powiedziałem wyraźnie, że...

– Powiedział pan wyraźnie, że zauważył pożar na *Thraki* i próbował do niej podpłynąć, a wtedy *Thraki*, z niewiadomych przyczyn, wpłynęła panu pod dziób.

– Nie z niewiadomych przyczyn, tylko dlatego że dryfowała.

– Dość, kapitanie! – wrzasnął niespodziewanie Aleks. Nie, nie stracił nad sobą panowania. Ale chciał, by Paliwoda tak właśnie pomyślał. – To teraz ja panu coś powiem. Wbrew temu, co się panu zdaje, ja dokładnie sprawdziłem pańskie zeznania. Wiedziałyby pan o tym, gdyby aktywnie uczestniczył w postępowaniu. Ale pan postanowił się obrazić, nie przychodzić na posiedzenia i w ogóle robić wszystko, by prawda nie wyszła na jaw. No więc, kapitanie Paliwoda, proszę sobie wyobrazić, że przesłuchałem załogę *Thraki* na okoliczność pożaru. Żaden z jej członków nie potwierdził pana rewelacji. Ale postanowiłem się upewnić. Wrak leżał dość głęboko, ale i tak spenetrowało go dziewięciu nurków. Nie znaleźli żadnych śladów pożaru, prócz tego, który wybuchł w maszynowni, zaraz po kolizji. Nie zdążył się

rozprzestrzenić, bo zaraz ugasiło go morze. W maszynowni nurkowie odnaleźli jedną z pięciu ofiar wypadku. Miała poparzenia na całym ciele. Nikt inny, ani ocaleni, ani ci, co zginęli, nie nosili na ciele śladów takich obrażeń. Prócz tego podjęliśmy z dna czarną skrzynkę jednostki. Przez cały rejs komputer nie zasygnalizował pożaru za pomocą żadnego z tysięcy czujników. Siedemnaście godzin podwodnych badań nie dostarczyło nam żadnego dowodu na występowanie pożaru przed kolizją. Ale znaleźliśmy inne rzeczy. Na przykład dziurę w kadłubie o powierzchni ponad dwudziestu pięciu metrów kwadratowych. W rejonie śródokręcia, a dokładnie – o ile dobrze pamiętam – pomiędzy wręgiem osiemdziesiątym szóstym a dziewięćdziesiątym dziewiątym. Na bakburcie. Dolna krawędź rozdarcia około sześciu metrów poniżej lustra wody. Górna – metr poniżej lustra wody. Akurat tak, by pasowała do gruszki dziobowej waszego *Harpoona*. Mam coś jeszcze dodać? Może tyle, że pańskiej teorii o dryfie *Thraki* rejestrator również nie potwierdził. Silniki pracowały. Zapisy z GPS-u potwierdziły, że to wy zmieniliście kurs i doprowadziliście do kolizji.

– Chcieliśmy ich ratować.

– Oni nie potrzebowali ratunku, kapitanie. Potrzebowali jedynie, by ratownicy tacy jak wy trzymali się od nich z daleka.

Tego już było za wiele. Paliwoda skoczył w kierunku Aleksa. Popchnął go z siłą, o jaką Gall by go nie podejrzewał.

– Wiem, co widziałem! – wrzasnął i natarł ponownie. Tym razem Aleks był na to przygotowany. Uchylił się i chwycił kapitana za bluzę. Wytrącił napastnika z równowagi, ale nie posłał go na podłogę. Nie chciał mu robić krzywdy. Wciąż trzymając Paliwodę za fraki, wysyczał mu do ucha:

– Gównu pan widział, Paliwoda.

Kapitan wyszarpnął się w końcu z uchwytu Galla, ale nie udało mu się utrzymać równowagi. Upadł na podłogę i postanowił na niej zostać. Wyjął z kieszeni papierosy i wsunął sobie do ust jednego.

– Nie możemy rozmawiać w taki sposób – rzekł w końcu. – Ja panu mówię, co widziałem, a pan mi mówi, że gównu widziałem.

Dokąd nad doprowadzi taka dyskusja?

– Do prawdy, kapitanie.

– Co pan przez to rozumie?

– To, że w istocie głównie pan widział. Bo w trakcie kolizji nie było pana na mostku. Siedział pan w swojej kajucie, rozmawiał przez telefon satelitarny z kochanką i popijał piwko.

– Co? Co? Jak pan śmie!

– Niech pan przestanie jęczeć, Paliwoda. Czy pan naprawdę ma mnie za idiotę? Sprawdziłem wykaz połączeń. W momencie kolizji od sześciu minut trwała rozmowa pomiędzy *Harpoonem* a niejaką Anną Cygan, lat trzydzieści sześć, zamieszkałą w Wolinie. Odwiedziłem panią Annę. Potwierdziła, że rozmawiała właśnie z panem.

– Tego nie ma w aktach! – krzyknął Paliwoda. – I nie ma słowa o żadnym alkoholu! Poddałem się badaniu, gdy tylko na miejsce kolizji przybyli śledczy. Zero koma zero!

– Nie, kapitanie. Zero koma jeden promila. Po trzech godzinach od wypadku. Więc w jego trakcie mogło to być nawet pół promila.

– Kłamie pan! Czytałem raport.

– A ja go sfałszowałem.

Paliwoda w końcu zamilkł. Zaciągnął się papierosem, jakby potrzebował chwili, by coś sobie przemyśleć. Ale nie odezwał się ani słowem.

– Widzi pan – ciągnął Gall – zostawił pan statek pod opieką Konkela i udał się na spoczynek. Miał pan prawo. Kapitan wyłączony jest z wachtowego systemu pracy. Pracuje i odpoczywa, kiedy uzna za stosowne. Co mogło się stać? Spokojne morze, rutynowa trasa, Konkeli pewnie płynął tamtędy dziesiątki razy. I komu by zaszkodziło kilka piwek czy szklaneczka czegoś mocniejszego? Ale Konkeli popełnił błąd nawigacyjny i doprowadził do kolizji. A pan postanowił wziąć winę na siebie. Jak na mastera marinera przystało. Jestem przekonany, że Konkeli by pana nie okłamał. Więc bajeczkę o pożarze wymyśliliście we dwóch. I od początku nie trzymała się kupy. Skoro zauważyliście pożar, to dlaczego nie nadaliście

mayday relay? Co wy jesteście? Ochotnicza straż pożarna? Nie, kapitanie. Konkell po prostu stracił zimną krew. Wezwał pana na mostek już po wypadku. I ja to wiedziałem od początku, bo jak już wspominałem, sprawdziłem rejestr połączeń. Uznałem więc, że przemilczę informację o alkoholu. Musiałem się bardzo natrudzić, by przekonać do tego śledczą SHK, bo w pierwszej chwili nie chciała o tym słyszeć. Ale uznałem, że mam dwa wyjścia. Poinformować o pana badaniu i tym samym głównym sprawcą kolizji uczynić Konkella albo pozwolić panu wziąć winę na siebie. Uznałem, że jako kapitan ma pan prawo do takiej decyzji. Ale wiedziałem też, że jeśli wykażę, że w trakcie prowadzenia jednostki był pan pod wpływem alkoholu, to zgnije pan w więzieniu. Gdyby faktycznie tak było, gdyby wydawał pan komendy po wódzie, w dupie miałbym, co się z panem stanie. Ale ja wiedziałem, że pan tego nie robił, więc uznałem, że zasądzona wobec takiego zarzutu kara będzie niesprawiedliwa.

– Pan jest nienormalny, Gall.

– Nie. Ja jestem jedną z tych jednostek, dla których sprawiedliwość jest ważniejsza od prawa.

– To bardzo niepopularne. Ale jeśli pan myśli, że będę mu dziękować, to jest pan w błędzie.

– Obejdzie się.

– Na *Thraki* był pożar. Konkell zapewniał mnie o tym, a ja mu bezgranicznie wierzę. Ma pan rację. Nie wszystko odbyło się tak, jak powinno. Konkell nie ogłosił *mayday relay*. Nie wezwał mnie też na mostek, a bezwzględnie powinien tak uczynić. To świetny oficer wachtowy i uważam, że jak tylko wrócimy na morze, to zaraz awansuje na pierwszego. Ale wciąż jest młodziakiem. Adrenalina wymusiła na nim chęć natychmiastowego działania. Nie wiem, jak to możliwe, że badania nie wykazały śladów pożaru. Pożar był i koniec.

– Pan jest niereformowalny, Paliwoda – rzucił bezsilnie Aleks, po czym ruszył w kierunku wyjścia. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Zresztą właściwie nie miała sensu od samego początku. Sprawa *Harpoona* dawno została zamknięta. A odpowiedzi na pytania dotyczące *Raginisa* nie mógł tutaj znaleźć. Tak mu się

w każdym razie zdawało.

– A pan jest obrzydliwym człowiekiem, Gall. – Paliwoda westchnął, podnosząc się w końcu z podłogi. – Obrzydliwym, bo przekonany o własnej nieomyślności. Liczą się dla pana paragrafy i wykresy, ale na pewno nie człowiek. Jeśli chce się pan nadal realizować w tym segmencie, musi pan zrozumieć, że po morzach nie pływają statki, lecz ludzie.

– Do widzenia, kapitanie.

Nie spodziewał się usłyszeć czegoś takiego, ale Paliwoda się zaśmiał. Aleks zatrzymał się i odwrócił w stronę kapitana.

– Co pana tak bawi, kapitanie? – zapytał.

– Ironia losu – odparł Paliwoda wyraźnie rozbawiony. – Ja wiem, co pan robi, Gall. Bada pan wypadek *Raginisa*. I niech pan sobie wyobrazi, że ja panu w tym pomogę.

– Bardzo jestem ciekaw jak.

– Widzi pan, gdyby dostatecznie przyłożył się pan do śledztwa w sprawie *Harpoona*, posiadłby pan pewną wiedzę. Wiedzę, którą ja dysponuję, a pan nie. Pewną drobnostkę właściwie. Coś, co zapewne dałoby panu do myślenia, szczególnie w kontekście *Raginisa*.

– Niech mnie pan oświeci.

– Nie ma mowy. – Paliwoda zadudnił śmiechem, a Aleks zrozumiał, że kapitan nie gra. Nie udaje. Jego rozbawienie jest prawdziwe. – Nic panu nie powiem, Gall. Jeśli chce się pan dowiedzieć, co mam na myśli, będzie pan musiał ponownie przyjrzeć się mojej sprawie. W aktach nie ma informacji, o której mówię. Uzyskałem ją na własną rękę. Dotąd była właściwie bezwartościowa, ale teraz, po katastrofie *Raginisa*, wiele rzeczy poukładało się w dziwny sposób. Naprawdę dziwny.

Aleks nie odpowiedział. Przez okrągły otwór w ścianie wyszedł na zewnątrz, a potem schodami na pokład samochodowy. Prom od dawna stał już przy nabrzeżu. Rampa była opuszczona. Gall wszedł do rama i wyjechał na pokrytą miękkim śniegiem ulicę Władysława IV. Wyspa Uznam przywitała go burzą lodową, jakiej w okolicy nie było przynajmniej od dekady. A być może nawet od owej pamiętnej nocy, kiedy z ulokowanego po przeciwnej stronie

Świny nabrzeża w swój ostatni rejs wyruszył Jan *Heweliusz*.

ROZDZIAŁ 53

Gustav Forsberg miał czterdzieści jeden lat i wciąż wyglądał całkiem nieźle. Dbał o siebie i byłby zapewne wzorem sprawności dla wielu rówieśników, gdyby nie ta cholerna noga.

– Gotowe? – zapytał młodszego kucharza.

– Jeszcze chwila, szefie.

– Pospieszcie się, do cholery. I żeby wszystko było tip-top. Pierwszą kolację musi zapamiętać. Inaczej wszyscy mamy przesrane.

– Będzie zadowolony, szefie.

Z pewnością – pomyślał Forsberg i westchnął ciężko. Dziś był jeden z tych dni, kiedy wszystko sobie przypominał. Nienawidził tego i nienawidził siebie. Swojego parszywego życia. Swojej parszywej ułomności. Nie żeby prawa noga krótsza o sześć centymetrów była jakimś wielkim problemem. Nie. Chodziło raczej o to, co by się mogło stać, gdyby nie...

– Szefie, układamy wszystko i można podawać.

– Winda dalej nie działa?

– Przykro mi. Jeśli pan chce, to ja zaniosę. To znaczy...

– Sam zaniosę – warknął Forsberg.

– Dobra. Sześćdziesiąt sekund.

HSwMS *Färjestaden* była wspaniałym statkiem i Forsberg czuł się na niej naprawdę dobrze. Nie przeszkadzało mu nawet, że za trzy lata jednostka skończy czterdzieści lat. Zwodowano ją w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku, w Seattle. Początkowo wraz dwiema swoimi siostrami miała służyć w Straży Wybrzeża Stanów Zjednoczonych, ale zaledwie siedem miesięcy po wprowadzeniu jednostki do służby nowy komendant, admirał John B. Hayes, uznał, że straż potrzebuje większych jednostek. Więc studwudziestometrową *Polar Dawn* sprzedano do Szwecji, gdzie po drobnych modyfikacjach stała się jednostką patrolową *Svenska marinen*. Siedem lat temu admirał

Manfred Nygaard uznał, że dotychczasowy okręt flagowy HSwMS Carlskrona jest za mały dla jego potrzeb, zarządził więc remont generalny *Färjestaden* i już rok później na jej maszcie zatrzepotała admirałska flaga z czterema białymi gwiazdkami. Złośliwi mówili, że Nygaard zbudował sobie luksusową pływającą willę i Forsberg skłonny był przyznać, że tkwiło w tym ziarno prawdy. Jednostka zawierała wiele zadziwiających modyfikacji, których nie sposób było wytłumaczyć w inny sposób niż tylko fanaberią starego admirała. Na trzecim poziomie nadbudówki, licząc od głównego pokładu, o poziom niżej od mostka i centrum dowodzenia, dawniej znajdowała się mesa, w której na co dzień stołowało się piętnastu oficerów z kapitanem włącznie. By zapewnić sprawną obsługę kelnerską, na sterburcie zainstalowano windę, która łączyła mesę z kuchnią znajdującą się głęboko w czeluściach kadłuba, cztery poziomy niżej. *Färjestaden* była pięknym i majestatycznym okrętem. Ale tylko na wodzie lub wśród lodowych połaci. Wyciągnięta do doku prezentowała ogromne, obłe brzuszysko, na co dzień skryte pod wodą, w którym prócz maszynowni kryła się również ogromna mesa dla stu sześćdziesięciu marynarzy i naukowców, kuchnia oraz pomieszczenia badawcze.

– Gotowe – rzekł młody kucharz, wręczając Forsbergowi posrebrzaną tacę nakrytą kloszem ze stali nierdzewnej.

– Wszystko jest?

– Sam pan sprawdzi, szefie.

Oczywiście, że sprawdzę – pomyślał Forsberg. Za dużo od tego zależało, by ryzykować. Podniósł klosz i nie musiał nawet spoglądać na zawartość porcelanowego talerza. Węch mu odpowiedział, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Szefie, przepraszam, czy to aby na pewno dobry pomysł? Bo wie szef, to dość kontrowersyjne.

– Sam jesteś kontrowersyjny. – Forsberg się uśmiechnął. Rzeczywiście, pięć plasterków ananasa ułożonych na kilku listkach świeżej sałaty, porcja świeżego łososia obłana polewą czekoladową i mieszanka kilku rodzajów ryżu, cóż, w pierwszej chwili wszystko to mogło sugerować, że kucharz oszalał. Ale

tylko do pierwszego kęsa. Forsberg miał to już przećwiczone. Nikt nie potrafił się oprzeć temu daniu.

Nakrył tacę kloszem, poprawił czapkę i ruszył w kierunku wyjścia z kuchni.

– Wymień bezpieczniki windy – warknął do kucharza, gdy tylko sobie przypomniał, jak daleko będzie musiał kuśtykać z powodu awarii dźwigu.

– Sprawdziłem, szefie, naprawdę. Wszystkie załączone.

Forsberg westchnął i pchnął kuchenne drzwi. W dalszej kolejności będzie musiał przejść przez mesę, stamtąd wydostać się na korytarz, dojść do klatki schodowej i wspiąć schodami cztery poziomy, do dawnej mesy oficerskiej.

W czasie remontu admirał Nygaard uznał, że mesa dla oficerów nie jest na statku potrzebna. Usunął ją więc i cały poziom przekształcił w swój luksusowy apartament. Była tam jego sypialnia i dwie prywatne łazienki, gabinet, salon i prywatna jadalnia. Poziom i dwa poziomy niżej urządził czternaście niewielkich, ale luksusowych kajut dla swoich oficerów, którzy dotąd nocowali w zabudowaniach wznoszących się nad głównym pokładem, w środkowej sekcji okrętu. Tym samym każdy z nich otrzymał do dyspozycji niewielką sypialnię, łazienkę i jadalnię. Windę kuchenną przebudowano tak, by zatrzymywała się na każdym z tych poziomów. By dostać się do pomieszczeń admirała od strony klatki schodowej, trzeba było wejść na odpowiednie piętro. Tam trafiało się na ciągnącą się w poprzek statku dębową ścianę, w której znajdowały się pojedyncze drzwi. Drzwi miał prawo otworzyć tylko admirał. Za drzwiami, wzdłuż ściany ciągnął się niewielki korytarz, z którego można było przejść do poszczególnych pomieszczeń użytkowanych przez admirała. Podobnie rzecz wyglądała na pokładach oficerskich. Tam z korytarza za drzwiami można się było dostać do czternastu apartamentów. Po siedem na każdym poziomie.

Admirał cieszył się wielką estymą, dlatego nikt nie dopytywał, skąd taki projekt. Tylko kilka osób na statku wiedziało, że ten układ wcale nie był dziełem przypadku. Wśród nich znajdował się Forsberg. Był przecież bardzo istotnym elementem całej tej

układanki. Admirał Nygaard po prostu uwielbiał dobry alkohol. Pił dużo, choć nikt nigdy nie widział go pijanego. A prócz tego, że lubił pić, uwielbiał się bratać ze swoimi oficerami. W salonie luksusowego morskogo apartamentu admirała bywali oni częściej niż we własnych łózkach i wypili więcej alkoholu niż kiedykolwiek na ładzie. Ale jeszcze ważniejsza niż dobra whisky była dla Nygarda reputacja. Dlatego nie mógł sobie pozwolić, by ktokolwiek spoza wąskiego kręgu jego gości domyślił się, co działo się na jego prywatnym pokładzie. Wszystkie korytarze na statku objęte były monitoringiem. Podobnie jak mesa, większość pomieszczeń badawczych i cała maszynownia. Dla operatora wizyta kilku oficerów na pokładzie admirała nie stanowiła nic podejrzanego. Ale gdyby opuścili go kilka godzin później, w dodatku nie trzymając pionu, skandal byłby murowany. Dlatego właśnie powstał projekt wewnętrznego korytarza. Tam, poza drzwi klatki schodowej, oko kamery już nie sięgało. Wewnętrzny korytarz na sterburcie kończył się wejściem do windy. Dzięki temu oficerowie z poziomu drugiego i trzeciego mogli przybywać na „narady” do admirała, nie opuszczając prywatnej strefy swojego pokładu. Poza zasięgiem kamer.

Wszystko było pomyślane tak sprytnie, że nawet kapitan Class Blomstrom nie miał o niczym pojęcia. Ale nic dziwnego. Jego kajutę Nygaard urządził w dawnej części oficerskiej, na drugim końcu statku. Blomstrom otrzymał takie same luksusy jak admirał i choć trochę narzekał, że wolałby bliżej mostka, to na argument, że tylko w tamtej części statku dało się wygospodarować wystarczająco dużo przynależnego mu miejsca, nie znalazł już odpowiedzi.

No, a teraz Nygaard nie żyje, a cesarstwo ma nowego cesarza.

Forsberg zatrzymał się przed drzwiami prywatnej strefy admirała. Uspokoił trochę oddech i zapukał. Czekał dobre dwie minuty, nim drzwi się w końcu otworzyły.

– Nie mogłeś wjechać windą? – warknął admirał Yngve Bergman. – Co ja jestem, odźwierny?

Forsberg wyprężył się, by wyglądać jak najbardziej godnie. Spodziewał się bury. Bergman był zupełnie inny niż Nygaard.

Stary admirał darzył swojego szefa kuchni dużą sympatią. I nic dziwnego, ostatecznie to Forsberg właśnie dbał o odpowiednie zaopatrzenie jego małych bankietów i sam wielokrotnie w nich uczestniczył. Dlatego kuchni nie włączono do systemu monitoringu. Oficjalnie z powodu panującej tam temperatury, która niszczyła urządzenia. A tak naprawdę po to, by Forsberg mógł przerzucać windą dowolne ilości zaopatrzenia.

Ale dla Bergmana Gustav był tylko marynarzem niższego szczebla.

– Panie admirale – rzekł spokojnym głosem – winda jest zepsuta.

– Jak to zepsuta, do cholery? To ją naprawcie.

– Próbowaliśmy, ale się nie udało. Quist powiedział, że jutro się tym zajmie.

– Quist?

– Nasz elektryk, panie admirale. Jutro się tym zajmie. Teraz regenerują agregat pomocniczy. Był niesprawny, a że rozkazał pan pilnie wyjść w morze, to nie zdążyli tego zrobić na lądzie i...

– Dobra. Co tam masz?

Forsberg podniósł kłosz, a Bergman się skrzywił.

– Co to ma być? – warknął.

– Moje popisowe danie, tylko na szczególne okazje. Zapewniam pana admirała, że gdy pan skosztuje, to stanie się stałą pozycją w pana zamówieniach.

– Wątpię – odparł Bergman, ale odebrał od Forsberga tacę.

– Panie admirale, pozwolę sobie przyjść po naczynia za pół godziny.

– Dobrze.

– W imieniu załogi życzę smacznego.

Bergman nie silił się na podziękowania. Machnął tylko ręką i zamknął drzwi.

Dupek – pomyślał Forsberg i ruszył w kierunku schodów. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego na takim statku jak *Färjestaden* nie zamontowano zwykłej windy pasażerskiej. To znaczy była jedna, ale łączyła bezpośrednio centrum zarządzania operacjami na mostku z pokładem głównym. Po modyfikacjach sporządzonych

przez Nygaarda nawet admirał musiał się piąć po schodach na mostek. Wprawdzie miał do pokonania tylko jeden poziom, ale zawsze.

Forsberg się nie spieszył. Miał pół godziny. Zszedł więc do mesy, wyjął z lodówki półlitrową butelkę pepsa max, odkręcił i jednym haustem wypił niemal całą zawartość.

– Szefie, kończymy – rzucił młody kucharz, gdy Forsberg pchnął stalowe drzwi i znalazł się w kuchni.

– W porządku. Ile wam jeszcze zejdzie?

– Kilka minut. Wszystko już posprzątane. Jesteś głodny, szefie?

– Jak diabli.

– To mam jeszcze trochę karkówki. Może być?

– Może. Daj i zmykaj. Sam umyję po sobie.

– Dzięki, szefie.

Karkówka była smaczna i Forsberg doszedł do wniosku, że dobrze wyszkolił swoich ludzi. Byłby pewnie z siebie wyjątkowo zadowolony, gdyby nie to, że w głębi serca nienawidził tej roboty. Każdego dnia, gdy zwlekał się z łóżka i wyciągał z szafy swój kuchenny ubiór, przypominał sobie, kim mógłby być, gdyby nie ten pieprzony Afganistan.

Pojechał tam w dwa tysiące trzecim roku jako uczestnik pierwszego szwedzkiego kontyngentu. Szwedzi wprawdzie nie należeli do NATO i nic nie wskazywało, by miało się to zmienić, ale do walki z talibami w ciągu dwunastu lat wysłali ponad dziewięć tysięcy żołnierzy. A Forsberg był jednym z tych, którzy przecierali szlaki. Trafił do prowincji Kandahar, jednej z najgorętszych w Afganistanie. Po zakończonej sukcesem operacji „Anakonda” alianci umocnili swoje wpływy w regionie, ale talibowie nie zamierzali się poddawać. Przeszli do walki partyzanckiej. Wciąż młodemu, ale już doświadczonemu, szanowanemu przez kolegów i dowódców sierżantowi Forsbergowi powierzono dowództwo nad trzyosobowym oddziałem zwiadowczym. Miał pod sobą kaprała i dwóch szeregowych. Kompletnych żółtodziobów. W takiej kompanii dotarli do wsi Bazar-e Pandzwa’i, na południowym brzegu rzeki Arghandab. Nie byli w Afganistanie dostatecznie długo, by

wiedzieć, że ta pięcioletnia osada po operacji „Anakonda” stała się bazą wypadową na Kandahar dla kilkuset talibów ukrywających się w odległym o sto kilometrów na wschód mieście Laszkargah. Mieli tu swój dziesięcioosobowy, silnie uzbrojony posterunek. A Forsberg i jego ludzie weszli do wsi jak do monopolowego. W Kandaharze przez wielu byli uznawani za bohaterów. Ludzie dziękowali im na ulicach. Ale w Bazar-e Pandzwa’i sytuacja było zgoła odmienna.

Walka nie trwała długo, jednak była zażarta. Nikt z oddziału Forsberga nie przeżył, prócz niego samego. Ale posłali do diabła siedmiu talibów, a trzech pozostałych uciekło. Forsberg miał nawet szansę, by się z tego wykaraskać, ale w trakcie walki talibowie użyli RPG-7. Nie potrafili z niego korzystać. Pocisk rozorał nieodległe domostwo, które natychmiast stanęło w płomieniach. I choć na pobliskim minarecie muezin rozpoczął właśnie azan, to jego melodyjny głos nie zagłuszył krzyków uwięzionych w płonącym domu kobiet. Gdy sierżant zabił już ostatniego strzelca, rzucił się na pomoc cywilom. Dwie kobiety i małą dziewczynkę łatwo było wyciągnąć z płomieni. Wystarczyło odblokować drzwi. Najwyraźniej pan i władca, imć małżonek, nie wypuszczał swoich kobiet z domu bez szczególnego powodu.

Uciekły, a on, kulejąc nieco w powodu zranionej stopy, ruszył w kierunku pozostawionej nieopodal nyali. Ale nim dotarł do transportera, dostał kolejną kulę. Prosto w kość udową. Upadł, a karabin wypadł mu dłoni. Dwóch z tych, co uciekli, gdy zobaczyło, że został sam, powróciło na swój posterunek. Powolnym krokiem podeszli do niego. Sierżant nie wiedział, o czym rozmawiają, ale byli najwyraźniej rozbawieni. Jeden z nich wskazał palcem roztrzaskane udo Forsberga, drugi wyrzucił z siebie kilka słów w języku paszto. A potem obaj oddali po strzale. Pierwszy chybił. Rozciął jedynie skórę na udzie Forsberga i zarył w piasek. Drugi uderzył w staw biodrowy. Sierżant poczuł rozdzierający ból. Jednak nim zemdłał, zdarzył się cud. Forsberg nie wyznawał żadnej religii. Ale cud i tak się wydarzył.

Wszystkie te myśli sprawiły, że znów zaboląa go noga. I dobrze, bo gdyby nie to, pewnie zatraciłyby się we wspomnieniach. A właśnie minęło pół godziny. Nie uśmiechała mu się droga po schodach. Odruchowo wcisnął przycisk windy, ale oczywiście nic się nie stało. Kucharz mówił, że sprawdził korki. Ale Forsberg nie kazał mu ich sprawdzać, tylko wymienić. Banda tępaków – pomyślał. Kluczem otworzył swoją szafkę. Trzymał w niej różności. Wyłowił niewielkie plastikowe opakowanie. Rozciął je nożem i wyjął ze środka niewielki bezpiecznik. Tablica z bezpiecznikami wisiała po drugiej stronie kuchni. Podszedł do niej, przekręcił niewielką sztabkę trzymającą drzwi w pozycji zamkniętej i zajrzał do środka. Było ciemno, ale wiedział, który bezpiecznik musi wymienić. Na samym dole, trzeci po lewej. Znał tę windę.

Gdy wpiął nowy korek, usłyszał ciche stuknięcie. Spojrzał w kierunku windy. Jej panel był rozświetlony. Forsberg uśmiechnął się. Nawet głupich bezpieczników nie potrafią wymienić – pomyślał i ruszył w kierunku dźwigu.

Wjazd na górę zajął mu dwie minuty. Gdy wysiadł w wewnętrznym korytarzu pokładu admirała, dookoła panowała ciemność.

– Admirale – powiedział trochę głośniejszym głosem niż zwykle.

– W jadalni – usłyszał.

Forsberg ruszył w tamtym kierunku. Bergman siedział przy stole, na którym rozłożona była „Svenska Dagbladet”.

– Widzę, że naprawiliście windę.

– Tak. Miałem chwilę, więc pogrzebałem przy bezpiecznikach.

– Świetnie. Więć zabierz, co masz zabrać, i dobranoc.

Forsberg odnotował, że nowy admirał nawet na niego nie spojrział. Ani na moment nie oderwał wzroku od gazety. Najwyraźniej kolumny sportowe, które wertował, zdawały mu się bardziej zajmujące niż rozmowa z jakimś kucharzem.

I bardzo dobrze, głupi skurwysynu.

Forsberg uśmiechnął się w myślach. Nie spodziewał się, że to będzie takie łatwe. Błyskawicznym ruchem wyjął z kieszeni kawałek grubego sznurka, oplótł go sobie wokół obu dłoni,

a potem przerzucił nad głową Bergmana i silnie szarpnął. Admirał jęknął, gdy powróż wbił mu się w szyję tuż poniżej grdyki. Nie był na to przygotowany. Nie miał w płucach ani odrobiny zapasowego powietrza. Próbował wierzgnąć, ale napastnik był za silny.

Forsberg robił swoje na chłodno. Nie pastwił się nad ofiarą, nie mówił do niej tych wszystkich rzeczy, którymi mógłby ją upokorzyć. Im bardziej Bergman opadał z sił, tym mocniej Forsberg zaciskał pętlę. Admirał umarł czterdzieści sekund później. Forsberg dusił go jeszcze przez dwie minuty. Chciał mieć pewność. Nigdzie się nie spieszył. Nikt tu nie mógł wejść. Na pewno nie o pierwszej w nocy.

W końcu poluzował uchwyt. Ta łatwiejsza część planu była już za nim. Teraz ta druga, wymagająca nieco wysiłku. Wszedł z jadalni i skierował się do łazienki. Otworzył szafę na detergenty i wyjął z niej mocny sznur. Sam go tam podrzucił dziś rano. Nim jeszcze zepsuł windę. Był niemal pewien, że Bergman nie zniży się do tego, by sięgnąć po domestos. Wracając, z szafy w wewnętrznym korytarzy wyciągnął drabinę. Ją również przywiózł tu rano.

W jadalni przywiązał linę do dużego haka w suficie. Nim Nygaard przeprowadził swoją małą modyfikację, w tym miejscu wisiał stelaż na telewizor. Hak był żelazny, przyspawany bezpośrednio do sufitu. Nie miał prawa się urwać.

I się nie urwał. Bergman sporo ważył, ale Forsberg był silny jak tur. Zarzucił sobie zwłoki na ramię i wszedł na drabinę. Sufit znajdował się tu dwa i pół metra powyżej podłogi. Noga go bolała, ale nie zwracał na to uwagi. Jedną ręką przerzucił pętlę przez szyję admirała, a potem po prostu zrzucił go z siebie. Ciało runęło w dół i zatrzymało się dopiero wtedy, gdy sznur się napiął. Suche trzaśnięcie łamanego kręgosłupa informowało, że plan się powiódł. Teraz jeszcze krzesło. Forsberg kopnął w nie tak, by przewróciło się nieopodal wiszących zwłok. Sprawa załatwiona.

Zrobił zdjęcie smartfonem, a następnie złożył drabinę i zaniósł ją do szafy. Potem ruszył w kierunku windy. Po drodze raz

jeszcze przejrzał wszystko w myślach, by sprawdzić, czy o czymś nie zapomniał.

Zaniósł Bergmanowi kolację, tak jak zawsze zanosił ją Nygaardowi. Poszedł schodami i dał się nagrać kamerom. Potem wyszedł od admirała i ponownie dał się nagrać kamerom. Nikt nie będzie go podejrzewał o zabójstwo, skoro wszyscy zobaczą, jak wychodzi. A przecież w trakcie autopsji patolog stwierdzi, że śmierć nastąpiła po spożyciu posiłku. A więc na długo po tym, jak Forsberg opuścił pokład admirała. Oczywiście pomyślą o windzie. Ale przynajmniej sześć osób potwierdzi, że tego dnia nie działała.

A właśnie, Gustav, tylko nie zapomnij z powrotem podmienić bezpiecznika na przepalony!

Ten bezpiecznik był najslabszym ogniwnem całego planu. Forsberg bał się, że ktoś go po prostu wymieni. Dlatego rano wyrzucił wszystkie prócz tego jednego, który zamknął w swojej szafce. Ale ci idioci i tak na to nie wpadli.

Winda zatrzymała się na poziomie kuchennym. Forsberg wysiadł z niej i podmienił bezpiecznik. Panel dźwigu zgasł. Forsberg zabrał działający bezpiecznik i leżące na szafce otwarte opakowanie. Schował wszystko do kieszeni, a potem pchnął drzwi kuchni i dał się nagrać kamerom w mesie. Jeśli go będą pytać, odpowie, że po tym jak zaniósł posiłek admirałowi, wrócił do kuchni i przez godzinę planował jadłospis na kolejne dni. Ale nie będą. Nie domyślą się.

To będzie krótki rejs – pomyślał jeszcze, a potem zgasił światło w mesie i ruszył do swojej kajuty. Pojedynczej, ulokowanej na śródkręciu, małej i ze wspólną łazienką.

ROZDZIAŁ 54

– Chcesz kawy? – zapytała Kjerstin, gdy tylko minął próg.

– Wolałbym coś zjeść. Co z nim? – zapytał, wskazując na sypialnię.

– Niedobrze – wtrącił się Nate. – Był tu kilka razy ten doktor, jak mu tam, powiedział, że coś go niepokoi. Prosi, żebyś go odwiedził.

– To jutro. – Aleks ziewnął. – Ale jeść chcę jeszcze dzisiaj.

Był zmęczony. Ze Świnoujścia wypłynął dopiero o siódmej trzydzieści rano. Do Trelleborga przybył po osiemnastej, ale i tak nie mógł narzekać. Zaledwie trzy i pół godziny spóźnienia w taką pogodę wystawiały Unity Line jak najlepsze świadectwo. Chwilę zastanawiał się, czy nie zostać w Trelleborgu do rana, ale w końcu uznał, że szkoda czasu. Ruszył w trasę, której przebycie zajęło mu pięć godzin. Teraz było już chwilę przed północą.

– Opowiadaj. – Kjerstin zachęciła go kawałkiem odgrzanej pizzy i kubkiem soku pomarańczowego.

– Nie ma za wiele do opowiadania. Pojechałem do tego mieszkania. Policja była bardzo uczynna. Trupa oczywiście już dawno nie było. Pokazali mi zdjęcia. Nie mam wątpliwości, że to Szeliga. Nie mam również wątpliwości, że ja tego człowieka skądś znam.

– Skąd? – zapytała śledcza.

– Nie wiem. Ale od kiedy zobaczyłem go na nagraniu z wraku, cały czas mam jego głowę przed oczami. Tylko do nikogo nie potrafię jej przypisać.

– Coś o samym zdarzeniu?

– Niewątpliwie zabójstwo. Dziura w czole. W mieszkaniu nie znaleziono broni.

– Dobra – wtrącił Nate. – Moment. Coś tu trzeba ustalić. Czy jest jakaś możliwość, żeby Szeliga celowo nie zamknął furty, potem w jakiś sposób wyskoczył ze statku, bo pamiętajmy, że statek już

ruszył, kiedy widzieliśmy go na nagraniu, a potem jak gdyby nigdy nic wrócił do swojego mieszkania? I dał się ubić?

– Klasycznie – odparł Aleks. – Świetne pytanie, brak odpowiedzi.

– Ja mam inne – wtrąciła Kjerstin. – Skoro Szeliga celowo zatopił statek, to dlaczego *Raginis* tak długo płynął bez większych problemów? Przecież zatonął już na Ławicy Orlej, na wysokości Rønne. Mieli za sobą dwie trzecie drogi w kiepskich warunkach.

– Mogły wystąpić jakieś inne uwarunkowania – zgadywał Aleks.

– Na pewno wystąpiły. *Raginis* skręcił, żeby ominąć *Stepanique* – odparła śledcza. – Ale Szeliga nie mógł tego przewidzieć. Więc to jest gówno, a nie zamach, Aleks.

– Racja. Dobrze. Podsumujmy. Co jakiś czas admirał Bergman odbiera tajemnicze kontenery o...

– Stop! – krzyknęła Kjerstin. – O kurwa. Nie powiedziałam wam.

– Czego?

– Bergman nie żyje!

– Jak to nie żyje? – Aleks i Nate wykrzyczeli to jednocześnie. Spojrzeli po sobie, ale nie roześmiali się jak zwykle, gdy zdarzały się takie rzeczy.

– Powiesił się zeszłej nocy na *Färjestaden*, statku flagowym Svenska marinen. Siegbahn cały dzień próbował się do ciebie dodzwonić.

– Telefon mi się rozładował. A skąd on wziął namiar na ciebie? – zapytał Aleks.

– Nie mam pojęcia.

– Śmierć Bergmana tylko potwierdza, że był winny – powiedział Kao. – Wyrzuty sumienia!

– Albo ktoś go zmusił, Nate – zaproponowała Kjerstin.

– To też oznacza, że był winny – nie poddawał się Kao. – Skoro go zmusili, to musieli coś na niego mieć, a skoro coś na niego mieli, to znaczy, że był winny.

– Nie podniecajcie się tak – przerwał Aleks. – O tym, że był winny i tak już wiedzieliśmy.

– Ale... – zaczęła Kjerstin i zawiesiła głos. Kilka chwil

analizowała w głowie jakąś myśl. – Aleks, jeśli Bergman popełnił samobójstwo z powodu wyrzutów sumienia, jak twierdzi Nate, to sprawa jest prosta. Pozostaje nam ustalić kilka szczegółów, i tyle. Ale jeśli ktoś go do tego zmusił...

– To znaczy, że Bergman wcale nie był kluczowym pionkiem w tej grze – wypalił podekscytowany Nate.

– Właśnie – potwierdziła śledcza.

– Skłaniam się ku tej drugiej możliwości – powiedział Aleks po chwili namysłu. – Nie bardzo widzę powód, dla którego Bergman miałby teraz popełnić samobójstwo. Planował zalać wrak betonem i zniszczyć wszystkie ślady.

– Pamiętaj, że on wiedział o waszej wizycie na *Raginisie* – zauważyła Kjerstin. – Mówiłeś, że zostaliście ostrzelani przez korwetę klasy Visby. Żaden kapitan nie podjąłby takiej decyzji. Musiał dostać rozkaz z lądu.

– W takim wypadku powinien trochę skuteczniej na nas zapolować. Miał wszystkie asy w rękawie. Samobójstwo? W dodatku na statku? Na oczach wszystkich?

– A jeśli ktoś go załatwił? – podsunął Nate.

– To by było dość trudne – stwierdziła Kjerstin. – I bezsensowne. Dużo łatwiej byłoby dopaść Bergmana na lądzie. Znam tylko jedną osobę, która zdołałaby zrobić coś takiego na morzu, ale Nate nigdzie się stąd nie ruszał.

Kao pokraśniał jak gimnazjalista pochwalony przy całej klasie przez najseksowniejszą nauczycielkę w szkole.

– Ale jeśli ktoś go dopadł – ciągnęła Kjerstin – to znaczy, że mamy do czynienia z kimś znacznie potężniejszym, niż nam się zdawało.

– Albo to jedynie zbieg okoliczności – zauważył Aleks.

– Taki zbieg okoliczności byłby naprawdę niewiarygodny, nie uważasz? – rzuciła śledcza.

– Taa... – Aleks westchnął i ziewnął, zasłaniając usta. – Dobrze – dodał po chwili – podsumujmy to. Tyle, ile wiemy. Tajemniczy ktoś wykupuje w Afryce ludzi skazanych na śmierć za homoseksualizm. Pakuje ich do kontenera, który przesyła do Polski.

– Dlaczego? – zapytał Kao.

– Co dlaczego?

– Dlaczego do Polski, a nie prosto do Szwecji.

– To akurat zupełnie rozumiałe – zauważyła Kjerstin. – Bergman nie chciał ryzykować. Szwecja i Polska mają umowę, w ramach której mogą sobie przekazywać wzajemnie nierejestrowane przesyłki wojskowe. Ale Szwecja i Nigeria takiej umowy nie mają. Gdyby statek szedł prosto z Afryki, w każdej chwili mógłby zostać przeszukany przez służby celne i Bergman jako zadeklarowany odbiorca miałby przesrane.

– A tak mogą go przeszukać na trasie Nigeria–Polska – zauważył Kao.

– Owszem – zgodziła się śledcza – ale Bergman ma to w dupie. Nie jego broszka. Nikt go z tym nie powiąże. Odbiorcą przesyłki jest ktoś w Polsce. Ktoś, kto przyjmie transport, a potem nada go w trybie wojskowym do Szwecji. Tyle.

– Nawet niekoniecznie – wtrącił się Aleks. – Wystarczy ktoś, kto dostarczy przesyłkę. Nie musi to być wojsko. Ważne, żeby przesyłka wyglądała na wojskową i miała odpowiednie dokumenty. Wtedy ani w Polsce, ani w Szwecji żaden celnik tego nie ruszy.

– I tu wracamy do Szeligi – powiedziała Kjerstin. – Idealny kandydat. Pracuje na promie, zarządza załadunkiem. Wprowadza na prom kontenery dla Bergmana.

– Ale Szeliga zdradził, więc Bergman kazał go odstrzelić – podsumował Kao. – Dziura w głowie. Robota zawodowca.

– Wszystko pasuje – zauważyła Kjerstin.

– Owszem – przytaknął Aleks – ale tym bardziej nie pasuje mi samobójstwo Bergmana. Pozbył się właśnie kluczowego świadka, a zaraz potem się wiesz? Absurdalne.

– Co pozostawia nas z jasną konkluzją. – Kjerstin westchnęła. – Jest jeszcze ktoś ważniejszy niż on.

– Ale to rozumiałe – powiedział Aleks. – Musi być ktoś w Afryce. Ktoś, kto pozyskuje skazańców, ładuje ich na statek, dba o to, by Polska strona nie znalazła podejrzanych kontenerów.

– Albo tutaj, w Szwecji – wtrąciła Kjerstin. – Jakoś nie widzę

Bergmana jako szefa burdelu. Myślę, że on tylko odbierał towar. Dzięki swoim prerogatywom był bardzo użyteczny. Ale przypuszczam, że zaraz potem kontener jechał dalej w kraj. Albo i dalej. Może do Rosji? Przez Finlandię dałoby się to zrobić.

- Wątpię - rzekł Aleks. - Gdyby zamawiał to ktoś z Rosji, z pewnością byłby poukładany z władzą. Tam inni ludzie nie robią interesów. Zwłaszcza w tego typu branży. A gdyby odbiorca był poukładany z władzą, to kontener wysyłano by wprost do Petersburga, Primorska albo Ust-Ługi, gdzie rozpląnąłby się w powietrzu. Albo choćby do Wyborga, żeby jeszcze mniej się rzucać w oczy.

- Może to i dobrze - wtrąciła Kjerstin. - Bo skoro ci ludzie wciąż są w Skandynawii, to mamy szansę ich odszukać.

- W porządku - przerwał Kao. - Coś jeszcze? Bo spać mi się chce.

- Jeszcze jedno - powiedział Aleks. - Jakub Ćwiek. Ktoś próbował go zabić. A to oznacza, że chłopak musiał coś wiedzieć.

- A to z kolei oznacza, że to coś musiało wydarzyć się na *Raginisie* - zauważyła Kjerstin.

- A może Szeligę zabito jeszcze na promie? - wyrwał się Nate. - Młody to widział i...

- ...i nikomu nie zameldował przez całą drogę? - Kjerstin zrobiła wyrozumiałą minę. Ona też była zmęczona.

- No tak - speszył się Kao.

- W każdym razie na logikę śmierć Szeligi i próba zabójstwa Ćwieka muszą się ze sobą jakoś łączyć. Ćwiek był asystentem Szeligi. To, że usiłowano go stuknąć wkrótce po zabójstwie bosmana, nie może być przypadkiem.

Żadne mądre słowa więcej nie padły, więc Kao pożegnał się i poszedł na kanapę. Spał w salonie, bo apartament miał tylko trzy sypialnie. Zasnął od razu. Kjerstin wzięła kąpiel. Gdy wyszła z łazienki, Aleks wciąż siedział w fotelu przy stole.

- Myślałam, że będziesz już spać.

- Bo zaraz będę. Ale chcę z tobą jeszcze o czymś porozmawiać.

- Słucham.

- Pamiętasz kolizję *Thraki* i *Harpoona*?

- Pewnie.
 - Chciałbym, żebyś się jej jeszcze raz przyjrzała.
 - Po co? - zdziwiła się. - Przecież tam wszystko jest jasne.
 - Spotkałem wczoraj Paliwodę. On wciąż utrzymuje, że są niewinni.
 - No właśnie. „Wciąż” to kluczowe słowo. Dotąd mu nie wierzyłeś, więc skąd teraz ta zmiana?
 - Nie wiem. Ale prawdę mówiąc, im dłużej nad tym myślę, tym więcej mam wątpliwości.
 - Aleks...
 - Powiedział mi, że istnieje związek pomiędzy jego wypadkiem a zatonięciem *Raginisa*.
 - Jaki?
 - Tego akurat nie zdradził.
 - Bo?
 - Bo chce, żebyśmy ponownie przyjrzeni się jego sprawie.
- Kjerstin westchnęła. Chwilę się zastanawiała, po czym zapytała:
- Myślisz, że to coś warte?
 - Myślę, że i tak tkwimy w martwym punkcie. Coś wiemy, ale znacznie więcej nie wiemy. Poszlaki nam się wzajemnie wykluczają. A czas ucieka.
 - Dobrze. Zajmę się tym.

ROZDZIAŁ 55

Czarna furgonetka z przyciemnionymi szybami stała pod Lilla Bommen już od dwóch godzin. Właściwie to czarna była tylko przez chwilę. Śnieżycy ani myślała ustępować. Lokalne rozgłośnie radiowe coraz częściej zaczęły używać sformułowań w rodzaju „klęska żywiołowa” czy „zima stulecia”. Ale ich vito miało zaledwie rok i było wyposażone w ogrzewanie postojowe webasto, więc Barbarian tylko co jakiś czas musiał odsuwać drzwi i przecierać z zewnątrz szybę.

– Masz kominiarkę? – zapytał Pan Dżuma.

– Już czwarty raz mnie o to pytasz.

– I dobrze. To ważne.

– Ale dlaczego?

– Dlatego że coś może pójść nie tak. A wtedy Gall będzie znał twoją twarz.

– No i?

– No i nie chciałbyś, żeby on znał twoją twarz.

– Skąd wiesz, że Gall w ogóle tam jest?

– Bo wiem.

– Aha.

– Młody, nie mędrkuj, tylko czuwaj. Kiepsko by było, gdybyśmy go teraz przegapili.

– Fakt. Cieszy mnie jedynie to, że w końcu kończymy ten temat. Wkurwia mnie ta pogoda. Chcę już wracać do Stanów.

– Czy kończymy, to się jeszcze okaże. Nie podoba mi się ten Pan Jednorożec. Coś czuję, że będzie nas chciał przewalić.

– Nie radzę. – Barbarian ziewnął. – Bardzo bym się na niego zdenerwował.

Pan Dżuma nie odpowiedział. Niepokoił go czarny mercedes klasy G, który minął ich właśnie, po czym zatoczył kółko i stanął na miejscu parkingowym w pobliżu Lilla Bommen. Kierowca nie wysiadł z auta. Najwyraźniej na kogoś czekał. Jeśli nie odjedzie

przed wyjściem Galla, może się zrobić nerwowo. Pan Dżuma w żadnym razie nie potrzebował świadka. Zwłaszcza w takim mercu, który z pewnością ma na szybie kamerkę.

- Kurwa mać - powiedział, wzdychając.

ROZDZIAŁ 56

Tego ranka Baldur czuł się trochę lepiej. Wprawdzie wciąż był błądy, ale gdy Aleks wyszedł ze swojej sypialni, Farer jak gdyby nigdy nic siedział przy laptopie i popijał kawę.

– Oho, Wyspy Owcze znowu w grze – ucieszył się Gall.

– Żebyś wiedział – odparł Baldur, a Aleks natychmiast zrozumiał, że dobre samopoczucie przyjaciela to zaledwie gra i to raczej niewysokich lotów. Głos miał słaby, a palce tak niesprawne, że ledwo trafiał w klawisze.

– Gdzie Nate? – zapytał Aleks.

– Wyszedł.

– Aha.

– Wysłałem go, żeby coś dla mnie zdobył.

– Aha.

– No nie piłuj. Coś mi wpadło do głowy, ale to strzał na ślepo. No dobra, powiem ci. Wysłałem go, żeby zwinął telefon Bergmana.

Aleks tylko na niego popatrzył.

– Co? – obruszył się Baldur. – Zły pomysł?

– Nie. Właściwie to bardzo dobry. Ale nie lubię cię chwalić.

– Zauważyłem. – Baldur udał oburzenie i choć zwykle robił to beznadziejnie, to teraz było jeszcze gorzej. Aleks wybuchnął śmiechem. – Cicho – fuknęła Farer. – Może uda nam się sprawdzić, z kim się ostatnio kontaktował. Nate mi mówił, co wczoraj ustaliliście. Że jest ktoś, kto zmusił Bergmana do samobójstwa. Ergo, ktoś wyżej w spisku.

– Nonsens.

– No jak nonsens? Nate mówił, że ty to powiedziałaś.

– A mówił, że byłem zmordowany i średnio mi się myślało? No, ale niestety się wyspałem i rano zrozumiałem, że to wszystko bzdura. I ty też powinieneś już to rozumieć. Wiadomo, jesteś ranny, nie myślisz za szybko.

– Za to bardzo szybko nakopuję do dupy takim... Czekaj, co ty robisz?

– Wychodzę – odparł Aleks, zarzucając na siebie puchową kurtkę. – Muszę coś sprawdzić.

– Co niby? Nie jedziesz aby do tego konowała?

– Nie, to potem. Teraz idę na spacer. Mam wrażenie, że kogoś na nim spotkam.

– A co ty, Nostradamus? Kogo?

– Kogoś, kto bardzo będzie chciał cię zobaczyć, więc się umaluj.

– Bardzo śmieszne!

Aleks rzadko śmiał się ze swoich żartów, ale tym razem uczynił wyjątek. Wprawdzie jedynie na pokaz, by podtrzymać przekonanie Baldura, że mu się oberwało, ale zawsze.

Ale z ciebie zabawny gość, Aleks.

W pierwszej chwili nie poczuł chłodu. Wszystko przez kurtynę powietrzną, którą Szwedzi z upodobaniem instalowali w wejściu do każdego nowego budynku i wielu starych. Ostatecznie Lilla Bommen od dawna była już pełnoletnia. W tym roku miało jej stuknąć ćwierćwiecze.

Ale chłód w końcu przyszedł. I obraz jak z apokalipsy. Szalejąca w nocy burza lodowa zamieniła miasto w pustynię. Można było odnieść wrażenie, że wszelkie życie w najlepszym wypadku wybrało się w jakieś cieplejsze miejsce. Z pobliskich dźwigów portowych zwisały fikuśne sople, o ile można tak mówić o kilkunastometrowych, ostro zakończonych i z pewnością potencjalnie śmiertcionośnych bryłach. Wznosząca się nad pobliską estakadą sieć trakcji tramwajowej ugięła się pod ciężarem szczelnie pokrywającego przewody lodu. Wyglądała trochę jak zamrożone spaghetti i Aleks nie miał wątpliwości, że tego dnia tramwaje linii pięć, sześć, dziesięć i trzynaście z pewnością nie zabiorą pasażerów. Co było złą informacją dla mieszkańców wyspy Hisingen, którzy tracili właśnie jedyne połączenie tramwajowe z resztą miasta. No, ale może w tak paskudną sobotę jak ta będą woleli siedzieć w ciepłych domach, zamiast się szwendać po mieście.

Zastanawiał się, co teraz zrobić. Prawdę mówiąc, nie miał

żadnego planu. Improwizował. Ale według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien spotkać człowieka, na którego czekał. On musiał się tu gdzieś kręcić.

W tym zamyśleniu nie zauważył, jak stojące nieopodal czarne vito powolutku ruszyło w ślad za nim. Dostrzegł je dopiero, gdy go mijalo, ale było już za późno. Niespodziewanie kierowca szarpnął kierownicą i furgonetka skoczyła w lewo, zagradzając mu drogę. Kierowcy nie mógł dostrzec, bo skrywał się za przyciemnioną szybą. Ale umiejscowione w środkowej części auta przesuwane drzwi przejechały po szynach i naprzeciwko siebie Aleks ujrział chudego mężczyznę w kominiarce. Oraz walthera P99 wycelowanego prosto w swoje czoło.

– Wsiadaj – syknął mężczyzna.

– Nie mam zamiaru – odparł spokojnie Aleks.

– Wsiadaj, kurwa! – wrzasnął tamten i machnął uzbrojoną dłonią w kierunku Galla, zupełnie jakby chciał zyskać jeszcze kilka dodatkowych centymetrów. Jakby wierzył, że im bliżej lufy znajdzie się Aleks, tym łatwiej go będzie przekonać.

Ale się przeliczył. Gall powoli wykonał krok w tył.

– Szybciej – dobiegł go stłumiony głos kierowcy.

– Wsiadaj, bo odstrzelę ci dupę! – wrzasnął napastnik. Z każdym jego słowem Aleks nabierał przekonania, że jego przeciwnik jest bardzo młody. To trochę dobrze, bo może nie miał odpowiedniego doświadczenia. I trochę źle. Młodzi gorzej wytrzymywali ciśnienie. Spojrzał w oczy napastnika i znów się cofnął o krok.

– Kurwa mać! – krzyknął tamten i wyskoczył z auta. Na to właśnie liczył Aleks. Że młody się podpali, wyskoczy z samochodu, tracąc na moment cel z zasięgu rażenia. Ale się przeliczył. Młody jednak miał doświadczenie. Ani na moment nie opuścił broni. Przyłożył ją teraz Gallowi do czoła.

– Teraz powolutku. Ja się trochę odsunę, a ty mnie miniesz i wsiądziesz do pierdolonego auta, jasne?

Aleks nie odpowiedział, ale kiwnął głową.

– Dobrze. – Chłopak odsunął lufę od czoła Aleksa.

A potem stało się coś dziwnego. Walther w dłoniach napastnika

ekspłodował. Młody wrzasnął. Śnieg dokoła nich natychmiast zabarwił się na czerwono.

– Kurwa – jęknął ranny, a potem rzucił się w kierunku vito. Wskoczył do środka. Kierowca nie czekał nawet na zamknięcie drzwi. Nie bawił się też we wrzucanie wstecznego. Skręcił koła w prawo i ruszył. Najechał na nasyp tak, że o mało nie fiknęli koziołka. Ale nie fiknęli. Kierowca wdepnął gaz i vito skoczyło do przodu.

Aleks nie miał zamiaru ich gonić. Właściwie to nawet już o nich nie pamiętał. Spoglądał na opartego o czarnego mercedesa klasy G mężczyznę, który spokojnie pakował barretta M82 do futerału od gitary.

– Mówiłem ci, że jeszcze się spotkamy, Gall – powiedział, gdy Aleks podszedł wystarczająco blisko, by nie trzeba było krzyczeć.

– Wybierasz się dokądś?

– Nie. Czekam na kogoś.

– Na kogo?

– Na ciebie.

– O, ciekawe. Z jakiegoś szczególnego powodu?

– Owszem. Z takiego, że zepsułeś mi dziś poranek.

– Odnoszę wrażenie, że w powietrzu czuć niewdzięczność.

– Bergman.

– Co z nim?

– Wczoraj przez cały wieczór zastanawialiśmy się, kto go zmusił do samobójstwa. Odpowiedź na to pytanie przypuszczalnie otworzyłaby nam wiele nowych możliwości. Ale rano zrozumiałem, że nadal gówno mamy. Przekazałem mu twoją wiadomość. A on następnego dnia popełnił samobójstwo. To twoja sprawa. Nie jakiegoś tajemniczego mocodawcy.

– Istotnie. A skąd przekonanie, że nie jestem tym mocodawcą?

– Intuicja poparta obserwacją.

– Jak się czuje twój przyjaciel?

– Kiepsko.

– Chciałbym z nim porozmawiać, jeśli pozwolisz.

Aleks przypomniał sobie, co powiedział Baldurowi i mimowolnie się roześmiał. Książę zrobił minę, której Gall nie

potrafił zaklasyfikować ani jako przyjaznej, ani jako wrogiej. Ale czuł, że ten człowiek nie jest jego przeciwnikiem.

– Skąd wiedziałeś, że tu będę? – zapytał Księżę. – Powiedziałaś, że na mnie czekałeś.

– Och, to tylko taki eksperyment myślowy. Uznałem, że osiągnąłeś swój cel, więc przyjdiesz mi podziękować. Albo mnie zabić. Jedno z dwojga. Ostatecznie sam się odgrażałeś, że do takiego spotkania dojdzie.

– To prawda. Pojedziemy na górę? Okropnie tu zimno.

Baldur nie ucieszył się z niespodzianki.

– I po coś mi tu przyprowadził tę Al-Kaidę? – jęknął, gdy Księżę przekroczył próg jego sypialni.

– Przyjechałem pokazać ci, jak fajnie przytrzymować brodę – rzucił Księżę, a Aleks ryknął śmiechem.

– No pięknie – jęknął Baldur. – Terrorysta stand-uper mi się trafił.

– Mówiłeś, że on się kiepsko czuje – zwrócił się Księżę do Aleksa. – A wygląda na to, że jest w doskonałej formie.

– Zaraz ci pokażę jak bardzo – warknęła Farer. – Czeka, kurwa, tylko wstanę, to ci zrobię taką Pustynną Burzę, że ci bomba z dupy wypadnie.

– Ostatni raz słyszałem coś takiego w szkole podstawowej.

– Chyba na zajęciach z terroryzmu!

Trochę trwało, nim Aleks w końcu przestał się śmiać i zaczął robić herbatę. Krzyki Baldura zbudziły w końcu Kjerstin, która wyszła do salonu, ale gdy zobaczyła, że mają gości, zaraz się cofnęła. Dopiero zapewnienie Aleksa, że nie ma się czego obawiać, dodało jej pewności siebie. Baldur się obraził, jednak Gall zbyt dobrze znał swojego przyjaciela, by nie dostrzec, że jest rozbawiony.

W końcu Aleks przytachał do sypialni Baldura niewielki stół, a Kjerstin dzbanek z *earl greyem* i cztery kubki. Przez chwilę jeszcze gadali o niczym, a potem Księżę zrozumiał, że nadszedł jego moment.

– Obawiam się – zaczął z lekkim ociąganiem – że nie dostarczę wam zbyt wielu nowych informacji. Przypuszczam, że wiecie już

wszystko, co mogłoby was zaciekawić w mojej historii. Ale może moja opowieść pozwoli wam trochę posegregować dane lub dokonać pewnej selekcji. Bo jak zaraz wykażę, mój udział w tym wszystkim jest, że tak powiem, poboczny. Wiem, że badacie sprawę zatonięcia tego promu. W tym niestety nie pomogę.

– Aleks, spław typa i idziemy na browar – rzucił z przekąsem Baldur, ale został zignorowany.

– Przepraszam – ciągnął Książę – powinienem był zacząć od tego, że nazywam się Fahid Ibn...

– ...Ahmad as-Sudajri – dokończył Baldur, a Książę uniósł brwi.

– Tak, tak. Wiemy. Powiedz nam coś nowego.

– Baldur, jak jeszcze raz mu przerwiesz, to wetknę ci palec w ranę – zagroziła Kjerstin, a Farer prychnął obrażony, ale zamilkł. Nawet on nie miał ochoty na darcie kotów z tą kobietą.

– Nazywam się Fahid Ibn Ahmad as-Sudajri, jestem członkiem rodziny królewskiej, któraś tam woda po kisielu, bez cienia szans na sukcesję, której nawiasem mówiąc, nie pragnę. A nawet powiedziałbym, że nie jestem nią zainteresowany. Od małego miałem dość beztroskie życie. I trochę nudne. Dlatego w wieku szesnastu lat wstąpiłem do armii. Zawsze lubiłem strzelać, więc w to poszedłem. Minęło trochę lat, ożeniłem się, urodził mi się syn, a żona zmarła. Wszystko było dobrze, aż do szesnastych urodzin mojego syna, kiedy to przyłapałem go na seksie oralnym ze swoim kolegą. Nie chcę tu wchodzić w szczegóły, których i tak nie zrozumiecie, ale zapewne domyślacie się, co takie doświadczenie oznacza dla pobożnego muzułmanina. A za takiego się uważam. Próbowałem z nim rozmawiać, ale im więcej mówiłem, tym było gorzej. W końcu uznałem swoją bezradność i doniosłem na niego Komitetowi Krzewienia Cnót i Zapobiegania Złu.

– Co?! – wrzasnął Baldur. – Doniosłeś na własnego syna religijnej policji? Ty skurwysynu!

– Baldur... – zaczął Aleks.

– Nie – przerwał mu Fahid. – Niech mówi, co chce. Zasłużyłem na wszelkie obelgi, jakie mogę usłyszeć we wszystkich ludzkich językach. I już do końca życia będę się mierzyć z piętnem

synobójcy. Ale nie tak miało być. Nie miałem wątpliwości, że Basamowi włos z głowy nie spadnie. Ostatecznie pochodził z rodziny królewskiej. Chciałem go postraszyć. W najgorszym razie miał wyjść przy okazji corocznej amnestii ogłaszanej z okazji ramadanu. Niestety, nie spodziewałem się, że w mojej licznej rodzinie posiadam potężnych wrogów. Którzy tylko czekali na taką okazję. Basam został skazany na śmierć.

- Myślałem, że ta policja nie może aresztować ludzi - zauważył Aleks.

- Teoretycznie. W praktyce robią, co chcą. Zresztą, to nieważne. Mogli donieść na niego do Mabahith, saudyjskiej tajnej policji, a ta ma nieograniczone kompetencje. W każdym razie, kiedy zrozumiałem, co się dzieje, rzuciłem wszystko i podjąłem wszelkie możliwe działania, by wyciągnąć mojego syna z więzienia. Od próśb po groźby. Łapówki, szantaże, obietnice przysług. Pisałem nawet do Amnesty International, ale nie podjęli tematu. W końcu uznałem, że czas na bardziej bezpośrednie działanie.

- Masakra w więzieniu Al-Ha'ir. Teraz rozumiem - szepnął Aleks.

- Tak. Zebrałem piętnastu najwierniejszych towarzyszy. Takich, z którymi służyłem w Iraku, Afganistanie i Somalii. Miałem do dyspozycji wszystko, czego zapragnąłem, włącznie ze szturmowym F-15, śmigłowcem Bell 412 i do tego czekającym na pustyni herculesem, żebyśmy się mogli szybko ewakuować. Mieliśmy mało czasu, bo data egzekucji była już wyznaczona, a termin nieodległy. Dokonaliśmy czegoś bez precedensu. Zdobywaliśmy blok po bloku, choć strażnicy stawiali bardzo zacięty opór. W końcu dotarliśmy do gabinetu naczelnika, który poinformował mnie, że Basama nie ma już w Al-Ha'ir. Ktoś go wykupił. Wszystko zajęło nam kilkanaście minut, ale gdy byliśmy gotowi, żeby wracać, nadciągnęły posiłki. Zmiażdżyli nas. Wszyscy moi towarzysze zginęli. Ja przeżyłem, bo jeden ze strażników znał i szanował mojego ojca. Pomógł mi się wydostać, ale niestety przypłacił to życiem. Ja uciekłem. Ani w Rijadzie, ani gdziekolwiek indziej nie miałem już czego szukać, więc

przedostałem się przez Jordanię do Izraela. Mam tam dobrego znajomego, agenta Mosadu, który...

- Agentu Mosadu? - Baldur wytrzeszczył oczy. - Saudyjski książę w bliskiej komitywie z agentem izraelskiego wywiadu?

- Różne dziwne rzeczy dzieją się na wojnie, Baldur - odparł Książę.

- Właśnie - potwierdził Aleks. - My też przecież lubimy się z niektórymi naszymi wrogami.

- Na przykład?

- No, Lodowa Caryca.

- A nie, to nie to samo. My jej tylko buchnęliśmy lodołamacz.

- Atomowy.

- Jednak nie podrzynaliśmy sobie wzajemnie gardeł i nie wrzucaliśmy sobie bomb za koszulę. Poza tym oddaliśmy jej *Matuszkę*.

- Nie oddaliśmy, tylko nam ją buchnęła z Nome.

- Fakt. - Baldur się zaśmiał. - Do dziś nie mam pojęcia, jak to zrobiła.

- Zwłaszcza że statek był w doku.

- I to osuszonym.

- Największe jaja w całej ruskiej flocie.

- To na pewno.

- Czy wy dwaj nie moglibyście się na chwilę skupić? - warknęła Kjerstin. - Co było dalej, Fahid?

- Z pomocą zaufanych ludzi szukałem syna po całym kraju. W końcu ktoś dokopał się do informacji, że Basama przewieziono do Nigerii. Poleciałem tam, wykorzystałem wszystkie kontakty, ale nic nie osiągnąłem. Prócz tego, że nawiązałem znajomość z pewnym urzędnikiem Federalnego Ministerstwa Sprawiedliwości. A ściśle mówiąc, zapłaciłem mu dwadzieścia milionów nair za to, żeby mnie poinformował, gdyby się czegoś dowiedział.

- Ile to jest? - zapytał Aleks.

- Dzisiaj jakieś sto osiemnaście tysięcy dolarów - odparł machinalnie Baldur, jakby nie było kompletnie nic dziwnego w tym, że zna kurs nigeryjskiej waluty, niewymienialnej prawie

nigdzie na świecie. – Ale tam jest duża inflacja, w ciągu ostatnich dwudziestu lat naira zaliczyła dziesięciokrotny spadek wartości. A będzie jeszcze gorzej.

– On tak na serio? – zapytała Kjerstin.

– Obawiam się, że tak – odparł Fahid. – W każdym razie kurs się zgadza. No więc zapłaciłem i kilka lat później okazało się, że to była dobra decyzja. Ale nie uprzedzajmy faktów. Kiedy wiedziałem już o kierunku nigeryjskim, Gabriel, mój znajomy z Mosadu, zdobył informację o ponadnormatywnej nigeryjskiej emigracji do Szwecji. Podobno służby podejrzewały nawet zorganizowany przemyt, bo w ciągu roku o azyl poprosiło przeszło sto pięćdziesiąt osób. To było na początku dwa tysiące dziesiątego roku. Ta informacja wlała w moje serce nadzieję. Pomyślałem, że może mój syn wcale nie został porwany, tylko oswobodzony. Miał dostęp do pieniędzy. Bez problemu mógł się wykupić i zapłacić przemytnikom za dostarczenie go, gdzie tylko sobie zażyczył. A Szwecja wydawała się dla niego wymarzonym miejscem. No wiecie, tu wiele wolno w kwestii obyczajowości. Więc spakowałem się i poleciałem do Sztokholmu.

– Możesz się swobodnie poruszać po świecie? – zapytał Aleks.

– Oczywiście nie mogę. Ale mam kumpla w Mosadzie.

– Rozumiem. – Baldur się uśmiechnął. – To jak się teraz nazywasz?

– Mosze Meier. Ale mam też szwedzki paszport i...

Farer wybuchnął tak głębokim śmiechem, że aż mu zaświszczało w płucach. Wesołość szybko przerodziła się w ból, gdy zmaltretowane ciało przypomniało, że to nie jest dobry moment na śmichy-chichy.

– Nazwisko jak każde inne – obruszył się Książę.

– Gówno prawda. Ten twój koleżka to cię chyba jednak nie lubi. Nie mógł z ciebie zrobić jakiegoś Araba? Arab podobny do Araba to zawsze lepiej niż Żyd podobny do Araba.

– Zrobił, co mógł.

– Jak ładnie poprosisz, to zrobię ci lepsze. Bo prawdziwe.

– Jak to prawdziwe?

– Prawdziwe. Wymyślimy ci tożsamość, a potem wprowadzimy

ją do ewidencji kraju, jaki sobie obierzesz za nową ojczyznę.

– Może zrobmy przerwę – zwrócił się do Aleksa Fahid. – Twój przyjaciel chyba bredzi.

– Nie tym razem – odparł rozbawiony Gall. – Mów dalej.

– W Szwecji spędziłem trzy lata. Bezowocne. Sprawdziłem, co się dało. Odnalazłem wielu imigrantów z Nigerii, kilku z krajów arabskich, ale Basama wśród nich nie było. Namierzyłem kilka domów publicznych dla gejów, w tym przynajmniej dwa z afrykańską obsadą. Inwigilowałem je miesiącami, ale nie znalazłem dowodów na to, że pracują w nich uprowadzeni mężczyźni. I kiedy już traciłem nadzieję, skontaktowałem się ze mną ten urzędnik z Nigerii, któremu zapłaciłem. To było w sierpniu zeszłego roku. Poinformował mnie, że szykuje się kolejny duży wykup osób skazanych na karę śmierci. Poleciałem do Abudży. Dostałem namiar na człowieka, który się tym zajmował, i ustaliłem, że wykupionych ludzi transportują do Lagos, skąd zostaną zabrani niewielkim frachtowcem w nieznanym kierunku.

– Jak nazywał się ten frachtowiec? – zapytał Aleks.

– Annapurna.

– Dziwne – zmartwił się Gall. – Myślałem, że *Opakh*.

– Annapurna? Co to w ogóle za nazwa? – wypalił Baldur.

– To szczyt w Himalajach – odparła Kjerstin.

– Przecież wiem! Mam mieszkanie w Katmandu! Tylko nie wiedziałem, że Nepal ma dostęp do morza!

– Zignoruj go – poprosił Fahida Aleks. – Jednak ma gorączkę i majaczy.

– Dostałem się na ten statek. Odbyłem na nim całą podróż z Lagos do Świnoujścia. To było dość trudne. Statek miał niecałe sto metrów długości, a ja musiałem się na nim ukrywać przez osiemnaście dni. Według moich wyliczeń, to pudło poruszało się ze średnią prędkością czternastu węzłów. W ładowni stał tylko jeden kontener. Był zaplombowany. Kilka razy udało mi się zakraść w jego pobliże. Bez wątpienia w środku byli ludzie. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zaspokojono ich potrzeby żywieniowe i sanitarne. Ale kontener podłączony był do niewielkiej pompy. Przypuszczam, że wymieniała powietrze

wewnątrz. Jednak smród i tak był nie do opisania. W końcu dotarliśmy do Świnoujścia. Urzędnicy celni nawet nie obejrzeni kontenera. Nie wiem dlaczego. W nocy przesyłka stała na prywatnym parkingu, gdzieś na polu w okolicy przeprawy promowej z wyspy Karsibór na Uznam. Zakradłem się tam. Było niebezpiecznie. Przesyłki pilnowało czterech facetów uzbrojonych w karabiny automatyczne. Udało mi się odplombować kontener, ale nawet do niego nie zajrzałem, bo zaraz otworzyli ogień. Uciekłem. Nie wiem, czy z tego kontenera wyszedł ktoś żywy. Następnego dnia kontener dostał oznaczenie wojskowe i trafił na prom do Ystad. A Sadik bardzo szybko ustalił, że odbiorcą jest kontradmirał Bergman.

– A ten Sadik to kto? – zapytała Kjerstin.

– Zaraz do tego dojdę. W każdym razie wiedziałem już, kto stoi za całą tą historią. Zdążyłem się pogodzić z tym, że nigdy nie zobaczę Basama, więc w pierwszej chwili chciałem po prostu oderżnąć Bergmanowi głowę. Potem miałem moment zwątpienia, który niemal przypłaciłem życiem. Doszedłem do wniosku, że tylko ja ponoszę za to wszystko winę. Że gdyby Bergman czy ktokolwiek, z kim współpracuje, nie podjął swoich działań, mój syn i tak zostałby stracony w Rijadzie. Pokuśtałbym się pod mostem, gdyby nie Sadik. Przekonał mnie, że tak czy inaczej Bergmana należy ukarać. Nie tylko ze względu na Basama, ale i innych ludzi. Przekonał mnie i rozpocząłem łowy. Ale do tego sukinsyna nie dało się podejść. Najpierw mieszkał tutaj, w Lilla Bommen, dwa piętra nad wami. Bez szans na celny strzał. Każdego ranka odbierało go opancerzone auto. Wsiadał na parkingu podziemnym, wysiadał za murem w Nya Varvet lub jechał bezpośrednio do Karlskrony, gdzie przebywał całymi tygodniami. Potem przeprowadził się do Skeppstadsholmen, gdzie ma strzeżoną willę, w dodatku wszystko zasłaniają drzewa. Nie mogłem się zbliżyć do tego człowieka na mniej niż pół kilometra, a co dopiero oddać strzał. Ale wszystko się zmieniło, gdy Bergmana awansowano na admirała.

– Czyli dwa tygodnie temu – uściśliła Kjerstin.

– Trzy – poprawił ją Fahid. – Nominacja spłynęła trzy tygodnie

temu. I wybaczcie mi, teraz muszę uczynić sporą retrospekcję, żeby wam zarysować tło.

– To może ja zaparzę kawę?

Wszyscy przystali na to z ochotą. Aleks postanowił zjechać na dół i zapalić papierosa. Wyszedł przed Lilla Bommen i dotarł aż do miejsca, gdzie na śniegu odnalazł ślady krwi. Nie było to wcale łatwe. Śnieg padał bez przerwy.

Rozumiał coraz więcej i coraz mniej zarazem. Wiedział już, że śmierć Bergmana nie miała związku z zatonięciem *Raginisa*, podobnie jak działania samotnego strzelca. Ale przecież był ktoś jeszcze. Tych dwóch. Być może już jeden, Aleks nie potrafił ocenić, jakich obrażeń doznał ten młody w kominiarce. Ale doznał ich z ręki Księcia, co sugeruje raczej, że nie pracowali w jednej ekipie. A więc jeszcze jedna zagadka. I to dość niebezpieczna. Od spotkania z Fahidem w Eriksbergu łudził się, że nikt więcej nie czyha na jego życie. Bez względu na to, czym Książę uzupełni swoją opowieść, Aleks odczuwał dziwne zaufanie wobec tego człowieka. Już na bramownicy nabrał absolutnej pewności, że postrzelenie Baldura było wypadkiem. Nie oglądał się więc przesadnie za siebie. Aż do dziś.

Gdy wrócił na górę, wszyscy już czekali. Jego kawa stała zaparzona na stoliku, więc przysiadł się do towarzyszy.

– Dobrze – ciągnął swą opowieść Fahid. – Zatem retrospekcja. W dwa tysiące trzecim roku służyłem jako najemnik w Afganistanie. Walczyłem po stronie Talibanu przeciwko siłom prezydenta Hamida Karzaja.

– Który wówczas wcale nie był prezydentem – zakpił Baldur. – Dopiero od dwa tysiące czwartego.

– Brawo. Niezwykle bogata wiedza o świecie – pochwalił Fahid, ale ironia w jego głosie brzmiała tak wyraźnie, że Farer aż się zaczerwienił. – Ale już od dwa tysiące drugiego roku Karzaj był prezydentem Tymczasowego Islamskiego Państwa Afgańskiego. I powinienes o tym wiedzieć, skoro byłeś najemnikiem.

Baldur prychnął, bo bardzo nie lubił wychodzić na durnia, a wyraz zmieszania na jego twarzy z pewnością dostrzegli wszyscy. Aleks pomyślał, że gdyby Farer nie był ranny, to Fahid

mógłby nie dożyć końca opowieści. Ale Baldur był ranny. Przez Fahida właśnie.

Bardzo sprytnie, Książę.

– To była czysta partyzantka – ciągnął Fahid. – Nie bawiła mnie ani trochę. Arabia Saudyjska w teorii odcinała się od talibów, a jednak ja tam byłem. I to nie talibowie mi płacili. Robota była nudna jak cholera i tylko czekałem na koniec tury. Żałowałem, że tam pojechałem. Aż do pewnego dnia, który zaczął się dokładnie tak jak zwykle, a skończył w zupełnie innym kraju. To było jakoś około południa. Wieś o nazwie Bazar-e Pandźwa’i, w prowincji Kandahar. Takie tam, kilka meczetów i właściwie nic więcej. Na minarecie świątyni w samym centrum wsi miałem swoją pozycję snajperską. Zabezpieczałem posterunek talibów, którego i tak nikt nie chciał atakować. Właziłem na ten minaret codziennie od sześciu tygodni. Czytałem tam książki, bo inaczej umarłbym z nudów. A tego dnia zupełnie nieoczekiwanie do wioski przybyło czterech obcych żołnierzy. Przyjechali nyalą. To taki transporter. Ale Baldur z pewnością to wie.

– Aleks, czy on się ze mnie czasem nie nabija? – zapytał przyjaciela Farer.

– Nie przejmuj się. To z zemsty za to, że cię postrzelił.

– Aha. Ale nie, czekaj...

Fahid przewrócił oczami, a Kjerstin chrząknęła. Znacząco.

– Gdy tylko wysiedli – kontynuował Książę, kiedy ci dwaj w końcu się zamknęli – talibowie otworzyli ogień. Zrobiło się gorąco. Jedni i drudzy pruli do siebie na ślepo. Ci przyjezdni musieli być ogarnięci, bo natychmiast skryli się w ruinach starego spichlerza, więc nie mogłem ich sięgnąć. Co tylko ostatecznie dowiodło, że moja obecność była zbędna. Tyle tygodni czekania, a jak przyszło co do czego, to nawet nie miałem czystego strzału. W dodatku akurat zaczęło się nawoływanie do modlitw, więc głos muezina tuż nad uchem niemiłosiernie mnie rozpraszał. Wszystko trwało może ze dwie minuty. Wybili się prawie do cna. Talibowie mieli ręczny granatnik przeciwpancerny i walili z niego bez opamiętania. Chcieli zaważyć magazyn, ale zamiast tego trafiali w domy mieszkalne. W końcu

wybili wszystkich prócz jednego, ale i sami pozdychali. Trzech uciekło. Ten przyjezdny wyszedł wreszcie z magazynu i włożył mi prosto pod lufę. Ale zamiast do nyali pobiegł do jednego z płonących domów. W pierwszej chwili nie wiedziałem po co. A potem zobaczyłem, jak wyciąga z niego dwie kobiety i dziecko. Pasztunki. Zamiast uciekać, ratował cywilów. A potem wrócili talibowie. Tych dwóch, co uciekło, zaczęło do niego strzelać. Trzeci stał kawałek dalej w odwodzie. Facet nie miał szans. Zaskoczyli go. Zgubił broń, a oni stali nad nim, upajając się triumfem. Później oddali jeszcze dwa strzały, ale nie po to, żeby go zabić. Chyba chcieli mu odstrzelić nogę. Tak to wyglądało. I gdy tak patrzyłem przez celownik, jak te dwa psy znęcają się nad bezbronnym człowiekiem, nad dobrym żołnierzem, który w walce był nieustępliwy, a poza nią heroiczny i dobroduszny, to coś we mnie pękło. Posłałem im po kuli, a potem jeszcze temu trzeciemu, co stał na czatach. Wolałem nie zostawiać świadka, sami rozumiecie. Ludzie byli pochowani w domach, nikt nie wiedział, co tak naprawdę zaszło.

– A muezin? – zapytał Aleks.

– Jaki muezin?

– Mówiłeś, że ci śpiewał nad uchem.

– Coś ty, Aleks, to się z taśmy puszcza. Zbiegłem na dół. Żołnierz był w kiepskim stanie. Miał na rękawie szwedzką flagę. Mocno krwawił. Musiałem szybko zdecydować, co dalej. Zapakowałem go do nyali i zawiozłem do Kandaharu, gdzie miałem ludzi, którzy mogli mu pomóc. Pomogli, ale tylko doraźnie. Zatomowali krwawienie, jednak potrzebna była skomplikowana operacja. Szwed praktycznie nie miał biodra. Sam nie wiem, dlaczego tak się tym wszystkim przejąłem. Ale się przejąłem. Wynająłem boeinga 737 i poleciliśmy do Rijadu, gdzie Szwedem zajęli się najlepsi królewscy lekarze. Miał zdruzgotaną kość udową, właściwie szyjka była zupełnie oddzielona od głowy. Zmiażdżony krętarz wielki. Rozoraną panewkę stawu biodrowego. Przeszedł endoprotezoplastykę. Odtworzyli mu staw biodrowy i nerwy. Potem ponad rok trwała jego rehabilitacja. Niestety, nie wszystko dało się zrobić, jak trzeba. Przy takich obrażeniach to i tak cud

i dobra wola Allaha, że nie stracił nogi. Ale niestety, ta odtworzona jest sześć centymetrów krótsza niż zdrowa. W każdym razie zaprzyjaźniliśmy się w czasie jego pobytu w Rijadzie.

– I to jest właśnie ów Sadik? – zapytał Aleks. – Sadik znaczy po arabsku „przyjaciel”.

– Tak. To jest Sadik. Przy czym ja go tak nie nazywam. Mówimy sobie po imieniu, ale...

– Ale nie chcesz, byśmy poznali jego tożsamość.

– Wybaczcie, proszę.

– Mów dalej – poprosiła Kjerstin.

– Gdy Sadik wylatywał do domu w Sztokholmie, zostawił mi karteczkę. Był na niej jego szwedzki numer telefonu i tylko jedno słowo: „zawsze”. Więc kiedy na początku dwa tysiące dziesiątego roku przyjechałem do Szwecji, pierwsze kroki skierowałem do niego. Przyjął mnie jak przyjaciel. Pomagał w poszukiwaniach Basama i uczył szwedzkiego. No i on wciąż ma dostęp do wielu ciekawych informacji. Ale, co najważniejsze, zajmuje istotną funkcję w załodze okrętu flagowego Svenska marinen.

– Kucharz – wypalił Baldur, a Księżę spojrzał na niego zdumiony. Farer roześmiał się serdecznie. – No coś taki zdziwiony? Po takim urazie dostał fuchę na okręcie wojennym? To tylko jako kucharz. To zupełnie jasne. Facet nie ma żadnych predyspozycji bojowych, a za sprzątanie odpowiada załoga cywilna. I chyba powinienes o tym wiedzieć. W końcu byłeś najemnikiem.

Zaśmiał się, a Aleks przewrócił oczami. Kjerstin westchnęła głęboko. I tylko Fahid nie wykonał żadnego gestu. Najwyraźniej nic z tego nie zrozumiał.

– Nie martw się, Fahid – powiedział w końcu Gall. – Bardzo doceniam twoją pomoc. Nie interesuje mnie nazwisko człowieka, który zabił dla ciebie Bergmana. Szczerze mówiąc, w dupie mam Bergmana. I chyba potrafię sprawić, by Livgardet też miała go w dupie.

– Ale... przecież jeszcze nie powiedziałem ci najważniejszego – zdumiał się Fahid.

– Właśnie – poparł go nieoczekiwanie Baldur.

– Wszystko jest jasne – powiedział spokojnie Aleks. – Wiadomości na pociskach. Chcieliście wystraszyć Bergmana. Założyliście, że jak się przestraszy, to wypłynie w morze, żebyście go nie mogli sięgnąć. Nie wiedział tylko, że właśnie tam go sięgniecie bez problemów. Po katastrofie *Raginisa* Bergman zyskał wygodny pretekst, by wyjść w morze. Trzeba go tylko było przycisnąć. Gratulacje. Udało wam się. Dostałem wiadomość, że Bergman się powiesił. Zakładam więc, że twój przyjaciel mu w tym pomógł.

Księżę pokiwał głową.

– Wysłałem mu anonim – przyznał w końcu. – Zasugerowałem w nim, że znam jego tajemnicę. Napisałem, że mój syn był jedną z jego ofiar. I że go zabiję. Dzięki temu wiedział, że zagrożenie jest realne. Sadik mógł zrobić swoje. Mnie wystarczyło zdjęcie.

– A mógł odciąć głowę – zakpił Baldur. Księżę odwrócił się w jego kierunku.

– Jest mi naprawdę przykro, że zrobiłem ci krzywdę – powiedział i pochylił głowę.

– Eeee tam – odparł zawstydzony Baldur. – Ja żyję, a ten skurwysyn nie. Bardzo przyzwoity układ.

Księżę podniósł się z miejsca. Przez chwilę patrzył na Aleksa, a potem wyjął z kieszeni wizytówkę i bez słowa mu ją wręczył. Później po prostu wyszedł.

Gall spojrzął na kartonik. Ujrzał na nim nazwisko Fahida. Na górze pięknie wykaligrafowane w alfabecie arabskim, poniżej wydrukowane w łacińskim. I numer telefonu. A pod spodem ołówkiem dopisano tylko jedno słowo:

Zawsze.

ROZDZIAŁ 57

Pan Jednorożec długo zastanawiał się, czy zadzwonić. Na dobrą sprawę trochę bał się swojego rozmówcy. Z drugiej strony zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli coś pójdzie nie tak, to on, Pan Jednorożec, najbardziej dostanie po dupie. Dlatego dobrze by było, żeby wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Najgorszym scenariuszem byłaby zdrada płatnika. Człowieka, który wiedział stanowczo zbyt wiele, ale który dokładnie to samo mógł myśleć o nim.

Wziął głęboki oddech i wybrał numer.

– Mów – odezwał się męski głos. Ani wesoły, ani rozgniewany. Taki jak zwykle. To wlało nieco otuchy w serce Pana Jednorożca.

– Bergman nie żyje – powiedział.

– Przecież wiem – odparł rozmówca.

– Czy ty...

– Czy ja co?

– To twoja robota?

– Właściwie to miałem cię zapytać o to samo.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Ani ja.

– To mamy problem.

– To prawda – przyznał rozmówca. Chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiał. – Może Bergman miał jakiś prywatny kłopot.

– Niewykluczone – odparł Pan Jednorożec. – Ale ten prywatny kłopot mógł dotyczyć naszej sprawy. A jeśli ktoś się dowiedział?

– Niby kto? I niby w jaki sposób?

– Przychodzi mi na myśl tylko Gall.

– On by raczej nie sprzątnął Bergmana.

– Musimy być bardzo ostrożni – powiedział Pan Jednorożec. Bardziej do siebie niż do swojego rozmówcy. Ten jednak odparł od razu:

- Zgadza się. Dlatego od kilku dni zwijam temat.
- Wyjeżdżasz?
- Tak. Dziś w nocy. Wszystko gotowe. Po katastrofie *Raginisa* wiadomo było, że nie ma już na co czekać. Tym bardziej że ostatnia partia i tak nie dotarła.
- To dobrze. To bardzo dobrze.
- Pozostaje jedna kwestia. Gall. Trzeba się go pozbyć raz na zawsze. Za dużo wie.
- Prawdę mówiąc, nic nie wie.
- Ale może się łatwo dowiedzieć.
- Mam ludzi, którzy go załatwią – powiedział Pan Jednorożec, starając się zachować resztkę godności. Chciał zasygnalizować, że właściwie nic się jeszcze nie stało, bo on nadal panuje nad sytuacją. Ale rozmówca nie dał się nabrać.
- Za dużo razy to słyszałem – powiedział. – Odwołaj ich. Sam się tym zajmę.
- Ale...
- Nie dyskutuj. Zabawa się skończyła. Przechodzimy do sedna operacji i nie chcę żadnych niespodzianek.
- Dobrze. Odwołam ich – powiedział Pan Jednorożec, a tamten nawet się nie pożegnał. Połączenie zostało zakończone.

ROZDZIAŁ 58

- Przestań w końcu marudzić! – krzyknął Pan Dżuma.
 - Daj mi spokój. Nie tobie o mało nie odstrzelili ręki – odparł Barbarian, gładząc się po bandażu.
 - Niczego ci nie odstrzelili. Trafili w twój pistolet. Ręka cała. Trochę krwi i to wszystko.
 - Mogłem zginąć.
 - Dramatyzujesz. I wygrywasz dwa do zera, więc łąsko masz sprawne.
 - Mam tego dość! Chcę wszystko wiedzieć.
- Pan Dżuma wcisnął przycisk uruchamiający pauzę i odłożył kontroler na stolik. Barbarian spojrział na niego z wyrzutem.
- Miałem właśnie strzelić trzeciego gola!
 - Co chcesz wiedzieć?
 - Wszystko. Dlaczego nie zabiliśmy Galla? Skąd go znasz? Co ci zrobił? Kto to jest? I w co grasz z tym, kurwa, jak mu tam, Panem Nosorożcem.
 - Jednorożcem.
 - Jednochujem! I dlaczego mam cię nazywać Panem Dżumą? Co to za durne przezwisko? Mam tego dość! Kasy nie zobaczyliśmy na oczy, a męczymy się nad tym jak jacyś amatorzy.
 - Uspokój się.
 - Nie mam zamiaru.
 - Świetnie. W takim razie wypad.
 - Co?
 - Wypad. Nie chcę cię więcej widzieć na oczy.
 - Ale... Ale coś ty. Co ja bym miał niby robić?
 - A co mnie to obchodzi? Pamiętasz umowę?
 - No, że robimy swoje i...
 - Nie tę umowę. Naszą pierwszą umowę.
- Barbarian spuścił głowę i nic nie odpowiedział.
- Czyli jednak pamiętasz – ucieszył się Pan Dżuma. – Robisz

wszystko, co ci każe. A jak nie, to wypad.

Patrzył chwilę na swojego podopiecznego, starając się robić poważną minę. Ale z trudem mu to przychodziło. Po prostu lubił tego dzieciaka. Kiedy zdecydował się go przygarnąć, nie miał pojęcia, jak dobrze będzie się czuł w roli mentora. To było coś zupełnie nowego. Coś, co dodawało mu energii. Co napędzało go do poszukiwania nowych rozwiązań. No bo jeśli już kogoś uczyć, to tylko najlepszych rzeczy.

Gdy tak o tym myślał, zadzwonił telefon. Na ekranie pojawił się słodziutki różowy jednorożec, tańczący z motylkami na tle tęczy. Odebrał połączenie.

- Gall nadal żyje - rzucił krótko Pan Jednorożec.
- Pracuję nad tym - odparł Pan Dżuma.
- Już nie.
- Proszę?
- Skończyła mi się już cierpliwość. Oferta jest nieaktualna.
- Ale...

Połączenie zostało zerwane.

W chwilach takich jak ta Barbarian zastanawiał się, czy wtedy, trzy lata temu, dobrze zrobił, przyjmując propozycję tego człowieka. Lubiał swojego nauczyciela. Ale bał się go najbardziej na świecie. Jego twarz i twarz śmierci miały dla niego te same rysy. Wiedział to, bo śmierć już kiedyś spotkał. Wprawdzie przyglądał się jej z daleka, ale i ona na niego patrzyła. Nie miał wątpliwości, że już na niego czeka. I tylko obecności mentora zawdzięczał, że wciąż jeszcze oddycha.

- Zostaliśmy zwolnieni - zakomunikował mu Pan Dżuma.
- Ale jak to?
- Zwyczajnie. Zerwał kontrakt.
- I... I co teraz?
- Muszę pomyśleć. A ty mi w tym pomożesz.
- Ja?

- Ciągłe słyszę, że chciałbyś mieć większy wkład w naszą pracę. Więc proszę bardzo. Oto twoja szansa.

- Ale ja nic nie wiem. Prócz tego, że chciałbym dostać tę kasę.
- Dostaniesz, zapewniam cię. Ale musimy podejść do tego

sprytnie. Dlatego teraz opowiem ci historię mojego spotkania z pewnym człowiekiem. Jedynym, którego miałem na muszce, a który wciąż żyje.

– Czyli o kim?

– O Gallu, durniu!

ROZDZIAŁ 59

Aleks miał trochę problemów, by wyjechać z podziemnego parkingu Lilla Bommen. Konstruktorzy najwyraźniej nie przewidzieli, że ktoś kiedyś będzie chciał tu postawić rama. Musiał złożyć lusterka, by zmieścić się w bramie.

Gdy tylko wyjechał, zadzwonił jego telefon. Zatrzymał auto i odebrał połączenie.

– No, w końcu – powiedział Siegbahn, a Gall usłyszał w jego głosie delikatną nutkę pretensji. – Gdzie byłeś?

– W Świnoujściu.

– Długo.

– Bo tam się długo płynie.

– Słyszałeś?

– O śmierci Bergmana? Tak. I wiem, dlaczego popełnił samobójstwo.

– Prawdę mówiąc, uważam, że to nie było samobójstwo – odparł Siegbahn, a mówił w sposób sugerujący, że bardzo dokładnie waży wypowiedzane słowa.

– Rozwiń – poprosił Aleks.

– Prowadzę śledztwo. Co najlepiej świadczy, że za moim odsunięciem stał Bergman. Teraz on nie żyje, więc mój powrót ucięto. W każdym razie mam nieboszczyka ze złamanym karkiem, wiszącego na linie. Ale patolog twierdzi, że przyczyną śmierci było uduszenie. Przekrwienie trzewi, wybroczyny, sinica. U wisielców mamy zwykle dwie możliwe przyczyny śmierci. Uduszenie, kiedy kręgosłup się nie łamie. I złamanie kręgosłupa, kiedy się łamie. Natomiast jedno i drugie wzajemnie się wykluczają. Nie można się udusić w pętli, a potem złamać kręgosłup ani złamać kręgosłupa, a potem się udusić w pętli. W dodatku patolog twierdzi, że przebieg bruzdy wisielczej jest nietypowy dla...

– Masz jakiegoś podejrzanego?

– Nie tylko nie mam, ale wręcz twierdzę, że absolutnie nikt na statku nie mógł tego zrobić. Sprawdziliśmy monitoring, przesłuchaliśmy ludzi. Ostatnią osobą, która widziała Bergmana żywego, był kucharz. Ale wyszedł dobre pół godziny przed śmiercią admirała. Patolog znalazł sporo treści żołądkowej, więc zgon nastąpił po zjedzeniu kolacji, którą kucharz przyniósł. A nagrania...

– Nie przejmuj się tym, Viggo.

W słuchawce zapanowała cisza, która trwała dobre dziesięć sekund. W końcu Siegbahn nie wytrzymał.

– Więc? – zapytał.

– Co „więc”?

– Aleks, jestem śledczym podejrzewającym morderstwo na najważniejszym człowieku w szwedzkiej marynarce. Mam problem z ustaleniem sprawcy, a ty mi mówisz, że mam się nie przejmować. Zrozumiałbym, gdybyś był moją żoną. Wtedy pewnie starałbyś się dodać mi niemerytorycznej otuchy. Ale nie jesteś, więc musisz coś do tego dorzucić.

– Dobrze. Dorzucę. Wkrótce fakt, że będziesz mógł z czystym sumieniem zrobić z tego samobójstwo, będziesz oceniać jako dar losu. Bo mam pewne informacje o Bergmanie, które sprawią, że przyczynę jego śmierci zapragniesz zamieść pod jak najcięższy dywan.

– Co to za informacje?

– Wkrótce się dowiesz. Sam jeszcze nie wiem wszystkiego.

– Aleks...

– Dobra. Więc tylko w skrócie. Bergman wykupował w Afryce ludzi skazanych na karę śmierci i przemycał ich do Szwecji, gdzie ślad się po nich urywa.

– Co ty pierdolisz, chłopie?

– Nie wiem jeszcze po co, ale wszystko wskazuje na niewolnictwo seksualne. Homoseksualne dodam, bo przemycani ludzie byli skazywani za homoseksualizm.

– Ja pier...

Nie skończył, bo telefon Aleksa zawibrował i się wyłączył.

– Kurwa mać – warknął Aleks. Ten złom doprowadzał go do

szau. Szału w wydaniu Aleksa, rzecz jasna. Gdyby nie to, że ten niepozorny samsung wyposażony był przez Baldura w wiele ciekawych i z pewnością niedostępnych na rynku funkcji, już dawno by go wywalił. Teraz jednak po prostu otworzył schowek na rękawiczki, a raczej służący przynajmniej do hurtowego przewozu rękawiczek, bo można tam było wpakować ze dwieście par, wymacał kabelek ładowarki, podpiął urządzenie, wrzucił je do środka i zamknął schowek.

Padał ni to śnieg, ni to grad. Gall włączył wycieraczki i nawiew na szybę, która w trakcie krótkiej rozmowy z Siegbahnem zdążyła zaparować, i ruszył w kierunku nieodległego Innom Vallgraven, gdzie przy ulicy Kungstorget, dokładnie naprzeciwko hali targowej Stora Saluhallen, mieściła się prywatna przychodnia doktora Krygård.

Choć od celu dzielił go zaledwie kilometr w linii prostej, zmarnował na to pół godziny. Göteborg ma swoje problemy komunikacyjne. Budynek Lilla Bommen wybudowano na brzegu rzeki w miejscu, gdzie most Götaälvbron zjeżdża estakadą w kierunku miasta i spotyka się ze wschodnim wjazdem do Götatunneln, który wyprowadza trasę europejską E45 aż do portu, oraz dworcem centralnym, drugim największym w całej Szwecji. Trudno by było jednoznacznie określić, czy w samym sercu miasta wyrosło urbanistyczne чудо, czy raczej betonowy koszmar. Z pewnością ruch w mieście się uspokoił, ale koszt estetyczny był naprawdę wysoki. I choć z tego niezwykłego układu drogowego można było wyruszyć aż w dwunastu kierunkach, to żeby z parkingu Lilla Bommen dostać się do Stora Saluhallen, trzeba było objechać połowę centralnej części miasta. A wszystko dlatego, że w układzie zabrakło dziesięciometrowego łącznika między ulicami Vjästra Sjöfarten a Östra Hamngatan. Aleks widział w swoim życiu wiele dziwnych skrzyżowań, ale to stanowczo było najgorsze ze wszystkich. Jeśli dodać do tego fakt, że cały układ bezustannie przebudowywano, poprawiano i zmieniano na nim organizację ruchu, to w efekcie Aleksowi trudno było przewidzieć, czy droga, którą jechał wczoraj, dziś wyprowadzi go w tym samym kierunku czy może w przeciwnym.

Ale choć przez to wszystko odległość do przebycia wydłużyła się dwukrotnie, to za wolną jazdę odpowiadała przede wszystkim gołoledź. Sypiący bezustannie śnieg w końcu ubił się na asfalcie i przeszklił świeżą warstwą lodu. Ram spisywał się dzielnie w takich warunkach, ale w każdym zakręcie Aleks czuł, że auto jedzie innym torem, niż powinno.

Gdy dojechał na miejsce, było już po szesnastej. Gęsty, stalowosiny nimbostratus, który nakrywał miasto niczym gruba zimowa czapka, wysłał resztki światła jak wielki odkurzacz.

Aleks zaparkował na chodniku tuż przed wejściem, zupełnie nic sobie nie robiąc ani z zakazu, ani z tego, że po drugiej stronie wąskiej brukowanej ulicy miał do dyspozycji zupełnie pusty parking. W taką pogodę nie spodziewał się mandatu, a nawet gdyby, to przecież ram nie należał ani do niego, ani do Baldura. Niech się właściciel martwi, jak już wróci z urlopu. Podszedł do przeszkłonych drzwi, nad którymi niewielki neon wyświetlał adres obiektu. Kungstorget 2. Pchnął drzwi i znalazł się w niewielkim patiu, pośrodku którego stał półokrągły, wykonany z czarnego marmuru kontuar. Recepcjonista przywitał go uśmiechem, choć był już ubrany i szykował się do wyjścia.

– Do doktora Krygård – powiedział po angielsku Aleks.

– Pana godność? – zapytał mężczyzna.

– Aleksander Gall.

Recepcjonista podniósł słuchawkę i wybrał numer. Przez chwilę wylewał do urzędnika potok szwedzkich słów, a następnie uśmiechnął się do gościa.

– Doktor Krygård czeka na pana w swoim biurze. Trzecie piętro. Winda na wprost i w lewo.

Aleks podziękował i ruszył we wskazanym kierunku. Ale kabina znajdowała się na trzecim piętrze, więc postanowił pójść schodami.

Na pierwszym i drugim piętrze znajdowały się gabinety kliniki. Wszystko było przeszkłone, czyste i pachnące nowością. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio był w tak dobrze utrzymanej placówce medycznej. Nawet amerykańskie lecznice mogłyby się od Krygård wiele nauczyć.

Na trzecim piętrze znajdowały się biura zarówno administracji, jak i lekarzy. Teraz korytarz był zupełnie pusty, a światła przygaszone. Najwyraźniej klinika Krygård pracowała tylko do szesnastej. Gabinet dyrektora mieścił się na końcu korytarza, pod numerem czterysta dziewięć. Gall zapukał. Spodziewał się, że Krygård zawoła, by wszedł, ten jednak osobiście pofatygował się do drzwi, by powitać swojego gościa.

- Zapraszam - rzekł, ściskając dłoń Aleksa. - Dziękuję, że pan przyszedł. Coś do picia?

- Mógłbym zabić za kawę.

- W takim razie lepiej jej panu nie zrobię. - Doktor się zaśmiał. Był w dobrym humorze, jakże innym niż wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Wyglądał na pełnego energii, choć być może dlatego, że jego twarz wciąż była ogorziała od afrykańskiego słońca. Pewnie zostanie mu to już do końca życia. Wskazał Aleksowi miejsce przy biurku i ruszył w kierunku stojącego na eleganckim kredensie ekspresu.

- Czarną - poprosił Aleks.

Doktor wcisnął przycisk, młynek zassał ziarenka i na chwilę zrobiło się głośno. Aleks przeciągnął się w wygodnym skórzanym fotelu. Mimowolnie rozejrzał się po gabinecie. Był minimalistyczny, ale elegancki.

Krygård wrócił z kawą i usiadł za biurkiem, naprzeciwko Aleksa. Odsunął nieco monitor macbooka i Gall uśmiechnął się, dostrzegając odbijającą się w szybie zawartość ekranu. Nawet ktoś taki, jak Krygård miał swoje małe odstępstwa od powagi. Na ekranie nie widać było żadnych lekarskich dokumentów czy specjalistycznych artykułów, a jedynie okienko ze streamingowanym na żywo meczem badmintonu.

- Wciąż nie mogę się przyzwyczać do tego zimna. A przecież urodziłem się w Kirunie. Przepraszam, pan pewnie nie wie, gdzie to jest.

- Faktycznie. Ale podejrzewam, że daleko.

- W rzeczy samej. Daleko na północy. Panie Gall, chciałbym z panem porozmawiać o pańskim przyjacielu.

- Po to tu jestem. - Aleks uśmiechnął się uprzejmie.

- Właściwie to mam pytanie. Trochę... Hm, niezręcznie.
- Niech pan pyta.
- Niepokoją mnie wyniki jego badań. I nie chodzi tu wcale o postrzał. Raczej o inne wskazania.
- Panie doktorze, nie wątpię, że możemy sobie uciąć bardzo sympatyczną pogawędkę o tym i owym, ale w kwestii zdrowia Baldura wolałbym jednak, byśmy rozmawiali bez tej całej otoczki.
- Zgoda. Czy pański przyjaciel gustuje w czarnoskórych kobietach? Lub mężczyznach?
- A co to za pytanie?
- Usiłuję ustalić, czy miał w ciągu ostatnich kilku tygodni kontakty seksualne z osobą z Afryki.
- Nie wydaje mi się. Czy pan podejrzewa, że Baldur jest nosicielem...
- Nie, nie – przerwał szybko doktor, jakby mu się głupio zrobiło, że przez swą ostrożność naprowadził Aleksa na niewłaściwy trop. – Akurat HIV można złapać wszędzie, panie Gall. A raczej od każdego. Nie trzeba po niego jechać do Afryki ani uprawiać seksu z ludźmi z tego kontynentu. Ale sprawa i tak jest dość poważna. Podejrzewam, że pan Eysturvind zarażony jest jakąś niegroźną odmianą filowirusa.
- Aleks drgnął. Nie był specjalistą, ale wiedział, że filowirusy powodują gorączkę krwotoczną. Niegroźna odmiana gorączki krwotocznej zabrzmiała jak oksymoron. Nie miał pojęcia, czy doktor mówi serio, czy tylko nie chce go straszyć. Ten jednak szybko rozwiał jego wątpliwości:
- Spokojnie, panie Gall. Zrobiłem badania. Pana przyjacielowi nic nie grozi prócz tego, że przez dwa, trzy tygodnie poleży w łóżku.
- Chyba go pan nie zna, doktorze.
- Być może. Nieistotne. Powiem wprost. Bardzo mnie interesuje ten przypadek. Muszę wiedzieć, gdzie pan Eysturvind to złapał. Proszę zrozumieć. Niezjadliwa odmiana gorączki krwotocznej może się bardzo przyczynić do opracowania szczepionki przeciwko filowirusom. Wie pan, co to oznacza?

– Nagrodę Nobla dla pana?

Krygård zaśmiał się, choć Aleks wyczuł w tym wszystkim jakąś nutkę fałszu. Być może doktor nie był do końca przekonany, czy jego gość nie stroi sobie z niego żartów.

– Być może, być może – przytaknął wesoło. – Ale przede wszystkim pierwszy skuteczny sposób na walkę z ebolą. A może również marburgiem. Dlatego ponawiam pytanie o upodobania pańskiego przyjaciela. Dodam, że od pana szczerości może zależeć również jego bezpieczeństwo. W tej chwili sytuacja jest pod kontrolą, ale trudno mi przewidzieć, co się wydarzy za kilka dni lub tygodni.

– Powtórzę, panie doktorze. Według mojej najlepszej wiedzy Baldur nie miał w ostatnim czasie kontaktów seksualnych z kimkolwiek, którejkolwiek płci, pochodzenia afrykańskiego. Bo jak rozumiem, o tę Afrykę panu wciąż chodzi.

– Owszem. Filowirusy pochodzą głównie z Afryki i nie mam wątpliwości, że ten również narodził się właśnie tam. A wobec pana odpowiedzi zmuszony jestem zadać jeszcze bardziej niewygodne pytanie. Czy pan Eysturvind miał w ostatnim czasie kontakt ze zwłokami Afrykanina?

Aleks nie odpowiedział, co samo w sobie było najwyraźniej wystarczającą odpowiedzią. Doktor poruszył się niespokojnie.

– Czy może mi pan opowiedzieć o szczegółach? – zapytał, wstając z miejsca. Podniósł swoją kawę i przeszedł z nią do kredensu, zupełnie jakby liczył na to, że kiedy zniknie Aleksowi z zasięgu wzroku, ten łatwiej się przed nim otworzy. Aleks się nie poruszył. Spoglądał na migające w szybie postacie badmintonistów i rozważał, co zrobić.

– Tak – rzekł w końcu. – Baldur miał kontakt z ciałem Afrykanina.

– Czy może mi pan opowiedzieć o okolicznościach?

– Podczas eksploracji wraku *Raginisa* znaleźliśmy kontener wypełniony ciałami. Młodzi, czarnoskórzy mężczyźni.

– Tego się obawiałem – szepnął doktor. – Tego się obawiałem.

ROZDZIAŁ 60

Najpierw rozdrażniło go światło. Było za mocne. Wdzierało się pod powieki, wywołując ból. Potem zastanowiło go, dlaczego w ogóle się pali. Nigdy nie spał przy zapalanej lampie. A później przypomniał sobie, że przecież w ogóle nie kładł się spać.

Połączenie tych wszystkich faktów i wyciągnięcie wniosków zajęło Aleksowi godzinę. Nie pomagał mu ten dziwny hałas. Coś jakby... Chrupanie? Dobiegające zewsząd. I wibracje. Wibracje były szczególnie irytujące.

Rozejrzał się dookoła i zrozumiał, że znajduje się w celi. Zupełnie białej, bez okien, z jakimś udającym parkiet linoleum na podłodze. Również białym. Pomieszczenie było niewielkie i niewysokie. Z jednej ze ścian wystawało lekko zaokrąglone obramowanie drzwi. Żelaznych. Na oko bardzo ciężkich. Wyposażonych wprawdzie w klamkę, ale Aleks nie miał wątpliwości, że zamkniętych od zewnątrz.

Łóżko, na którym leżał, było nawet wygodne, ale zdecydowanie za małe. Nogi wystawały mu poza materac. Nie był przykryty żadną kołdrą i nie miał pod głową żadnej poduszki. Ot, ktoś go tu zatargał i rzucił na wyro.

Zeskoczył z łóżka i natychmiast upadł na podłogę. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. I dopiero teraz naprawdę się przejął. Musiał tu leżeć dość długo. Powracające krążenie przyniosło silny ból. Ale zacisnął zęby, wytrzymał chwilę, a potem wstał. Zataczając się lekko, podszedł do drzwi i zauważył przymontowany do nich zegar. Zwykły wyświetlacz pokazujący czerwone cyferki. Jeżeli działał poprawnie, dochodziła jedenasta rano.

Nacisnął klamkę, a ta, o dziwo, się ugięła. Drzwi trzeba było pociągnąć do siebie. Chwilę zajęło, nim rozleniwione mięśnie zadziałały poprawnie, ale w końcu się udało i wyszedł na korytarz. Po prawej stronie zobaczył klatkę schodową i drzwi

windy. Ruszył w tamtym kierunku, ale zaraz się zatrzymał. Wejścia na schody prowadzące w dół pilnował mężczyzna niedbale trzymający przewieszony przez ramię AK-74. Spoglądał na Galla z pewnym zaciekawieniem, ale nie wykonał żadnego ruchu. Aleks podszedł do niego. Gdy był już blisko, mężczyzna się spiął. Chwycił mocniej karabin, ale nie wycelował. Wyglądał groźnie i Aleks zrezygnował z dalszej eksploracji tego obszaru. Zawrócił i ruszył w drugą stronę. Na przeciwnym końcu korytarza znajdowały się kolejne drzwi. Wyglądały tak samo jak te, które prowadziły do jego celi. I nie stał przy nich żaden strażnik.

Dotarł do nich dokładnie w tym samym momencie, gdy za jego plecami cicho piknęła nadjeżdżająca winda. Nie zamierzał sprawdzać, kto z niej wyjdzie. Szarpnął drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

Nigdy wcześniej nie doświadczył tak silnie działania odruchu bezwarunkowego. Receptory na jego ciele odebrały bodziec i natychmiast wysłały do mięśni sygnał, by te jak najprędzej rozpoczęły ewakuację. A mimo to niewiele brakowało, a nie przeżyłby tej próby. Gdy był już z powrotem w środku i zatrząskiwiał za sobą drzwi, centralny układ nerwowy informował w końcu mózg, co się właściwie stało.

Z pewnością wyszedł na zewnątrz. Był na świeżym powietrzu. Ale było ono przeraźliwie zimne. Dookoła panował mrok. Nie noc, ale mrok. Ten stan, kiedy słońca już nie ma, ale wciąż jest jeszcze na tyle widno, by dostrzec to, co było w tym wszystkim najgorsze. Pustkę. Przerażliwą nicość, ciągnącą się daleko za rufą.

– Dzień dobry, panie Gall – usłyszał za sobą znajomy głos.

Obrócił się bardzo powoli. Był słaby. Gdyby przyszło mu się teraz bić, mógłby mieć problemy. Ale doktor Birgir Krygård nie zamierzał mu robić krzywdy. Na razie.

– Witam serdecznie na MF *Modest Musorgski*. Wie pan co to?

– Kompozytor. Znam *Obrazki z wystawy*.

– No, to się chwali, ale chodziło mi raczej o statek.

Aleks nie odpowiedział, a doktor nie zamierzał go dręczyć.

– Przejdźmy do pana kajuty – zaproponował.

– Nie będzie nam tam za wygodnie – odparł z przekąsem Aleks.
– Słusznie – przyznał Krygård, po czym rzucił kilka poleceń do stojącego nieopodal strażnika, a ten powtórzył je do krótkofalówki. Aleks całkiem dobrze sobie dawał radę z rosyjskim. Ale tym razem nie potrafił rozpoznać słów. Wciąż kręciło mu się w głowie.

– Co mi pan podał?

– Nic panu nie będzie, zapewniam.

– Jak długo tu jestem?

– Dziś jest dwudziesty piąty stycznia.

– Niemożliwe! – krzyknął Aleks. Ale wiedział, że doktor nie kłamie. Te wszystkie objawy nie wzięły się znikąd. Był nieprzytomny przez siedem dni. Może nie tak długo jak wtedy, gdy pewien płatny zabójca uratował go na pustyni w Nevadzie, a potem potajemnie przywiózł do Nowego Jorku, ale i tak wystarczyło, by poczuł się naprawdę nieswojo.

Tymczasem po schodach zbiegło dwóch facetów. Nie byli uzbrojeni, za to każdy z nich niósł po fotelu. Ustawili je w kajucie Aleksa i natychmiast wrócili do swoich obowiązków. Doktor gestem zaprosił Galla do środka, a potem zamknął drzwi.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Aleks, siadając w fotelu.

– Pan niech mi powie, podobno straszny z pana mądrała.

– Gdybym miał strzelać, to na Morzu Barentsa. Poza sześćdziesiątym szóstym równoleżnikiem, bo mamy chyba noc polarną. I widziałem lód. Lodołamacz?

– Powiedzmy. *Musorgski* to frachtowiec przystosowany do pływania w lodzie.

– *Double acting*?

– Można tak powiedzieć. Ma wzmocniony dziób, ale w lodowych warunkach obracamy go rufą do przodu i idziemy *astern*. Nie wiem dlaczego, panie Gall. Nie znam się na tym.

– Azipody.

– Co?

– Azipody. Pędniki azymutalne. Śruby napędowe na obrotowych gondolach. Wytwarzają ciśnienie wody, które rozmywa lód, nim statek wejdzie na niego przystosowaną do

łamania lodu rufą. Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

– Jakie? Ach, rozumiem. Nie wiem, czy to jeszcze Morze Barentsa, czy już Karskie. A może Łaptiewów? Gdzieś na ich styku.

– Gdzieś na ich styku to jest biegun północny, doktorze.

– No właśnie. Zapewne wkrótce będziemy go mijać. W przybliżeniu jesteśmy pomiędzy Svalbardem a Grenlandią.

– Czyli Ocean Arktyczny.

– Nic się przed panem nie ukryje, Gall.

– Dzięki. Zawsze marzyłem o takiej wycieczce. Ale co ja tu robię?

– Jest mi bardzo przykro, że musiało do tego dojść. Niestety, posunął się pan za daleko. Wprawdzie nadal nic pan nie wie, ale jest pan coraz bliżej. A ja nie mogę ryzykować. Nie w takim momencie.

Umilkł, a Aleks nie podjął tematu. Mętlik w jego głowie powoli ustępował. Przypominał sobie kolejne szczegóły wizyty w gabinecie doktora. Rozmawiali o Baldurze i o kontenerze ze zwłokami. Siedział ze wzrokiem wbitym w szybę. Martwił się o przyjaciela. Doktor stał za jego plecami. Zapewne wtedy właśnie wbił mu w szyję strzykawkę z jakimś świństwem. Może midazolamem?

Ale, do cholery, dlaczego nic nie zauważyłem? – zastanawiał się. Był czujny. Na pewno dość czujny, by dostrzec w okiennym odbiciu człowieka skradającego się z gotową do użycia strzykawką. Tymczasem on pamiętał tylko tę śmigającą w ekranie komputera lotkę.

I teraz otrzeźwienie przyszło natychmiast. Już wiedział, dlaczego nie zauważył doktora. Bo gdy ten szykował się do uderzenia, Aleks zrozumiał wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi. Jego mózg zajęty był analizą tysięcy drobnych faktów, dopasowywaniem elementów układanki, składaniem wszystkiego w logiczną całość. A efekt był tak sensacyjny, że Gall stracił na moment kontakt z rzeczywistością. Jego własne myśli pochłonęły go jak załamujący się Maverick. Fala legenda przyciągająca na plaże kalifornijskiego miasteczka Half Moon Bay

tłumy surferów z całego świata.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął, a doktor odruchowo drgnął w swoim fotelu. Nie był przygotowany na taki afront i nie wiedział, jak się wobec niego zachować. Tymczasem Aleks niespodziewanie, bez żadnego ostrzeżenia rzucił się w kierunku Krygårda. Zwalił się na niego jak serak toczący się górskim żlebem. Chwycił doktora za gardło, a ten był tak zaskoczony, że nawet nie próbował się bronić.

– Urwę ci łeb – powiedział mu do ucha Aleks. A zrobił to głosem tak zimnym i spokojnym, że Krygård zrozumiał w końcu, że rozmawia z człowiekiem, którego naprawdę należy się obawiać. Nim Gall zdążył mu nakryć dłonią usta, wrzasnął przeraźliwie. Trwało to ułamek sekundy, ale wystarczyło. Drzwi do celi odskoczyły, a do środka wpadł mężczyzna z karabinem. Usiłował uderzyć Aleksa kolbą, ale nie zdążył. Gall odskoczył na bok. Strażnik w ostatniej chwili wyhamował impet, by nie trafić doktora. A za sekundę leżał już na ziemi powalony przez Aleksa, który wrywał mu właśnie z dłoni broń.

– Dość! – krzyknął Krygård, przykładając Aleksowi do skroni lufę pistoletu. Gall uśmiechnął się. Doktorek był przygotowany. Miał plan B. I potrafił zabijać. Aleks nie miał co do tego wątpliwości. Odłożył więc karabin i powoli podniósł ręce. Wpatrywał się przy tym w Krygårda z chełpliwym wyzwaniem. Jego wzrok nie wyrażał zrezygnowania. Raczej groźbę. Jakby chciał powiedzieć: Hej, doktorzku, nim nasze małe rendez-vous się skończy, będziesz martwy.

Krygård machnął dłonią w kierunku strażnika. Ten zrozumiał polecenie. Wyjął z kieszeni kajdanki i przypiął nimi Galla do łóżka. Łóżko było przyśrubowane do podłogi. Aleks był unieruchomiony. Potem doktor rzucił prostą komendę i strażnik bez słowa opuścił pomieszczenie.

– Jest pan wrzodem na dupie, Gall – powiedział, dysząc ciężko.

– Niezbyt trafne porównanie, doktorze. Wrzód można wyleczyć. A ja jestem schorzeniem nieuleczalnym. W pana przypadku, śmiertelnym.

Doktor westchnął i usiadł z powrotem w fotelu. Nie znał się na

tych wszystkich wojskowych pierdołach. Nie miał pojęcia, czy kajdanki na przegubie Galla są dobrze zapięte, czy nie. Dlatego na wszelki wypadek nie opuszczał broni.

– Świetny blef, Gall. Przez chwilę naprawdę uwierzyłem, że może coś pan wie. Ale nic pan nie wie. Nie może wiedzieć.

– Naprawdę? – Aleks się zaśmiał. – To może pobawmy się w zgadywanki. Co pan na to?

– W jakie zgadywanki?

– A takie, że ja będę zgadywał, a pan będzie coraz rozpaczliwiej kłamać, że nie mam racji.

– Bardzo chciałbym to usłyszeć.

– Czytałem o panu, doktorze. Wszystko, co tylko znalazłem. Ostatecznie opiekuje się pan moim najlepszym przyjacielem. Z opisów wyłania się postać nieskazitelna i szlachetna. Lekarze bez Granic zaraz po specjalizacji, wiele lat w Afryce, pomoc biednym, często okupiona ciężkimi urazami. Po prostu złoty człowiek. Zastanawiałem się, co powoduje, że ludzie decydują się na coś takiego. Rezygnują ze wszystkiego, nawet z małżeństwa, bo pan przecież zostawił świeżo poślubioną żonę. To musi być wyjątkowo silne poczucie misji. System wartości, w którym służbę drugiemu człowiekowi przedkłada się nad własne korzyści. Tylko że taki opis zupełnie do pana nie pasuje, doktorze Krygård. Ludzie tego typu nie kupują sobie samochodu za trzysta tysięcy dolarów. A ja widziałem pana mercedesa. Pod siedzibą Baltic Bridge, pamięta pan? Pan lubi pieniądze, doktorze. Widać to po tym, jak się pan ubiera, jak wygląda pańska klinika. I bardzo mi trudno przypuszczać, że taka cecha objawiła się u pana nagle, po niemal czterdziestu latach pracy dla dobra ludzkości. To się albo ma, albo nie. Więc dlaczego pan wyjechał, doktorze?

– Pan niech mi powie. – Krygård się uśmiechnął.

– Cóż, przyznam ze wstydem, że zrozumiałem to bardzo późno. Dopiero kiedy przyszedłem do pana biura. Na biurku leżał pana laptop, a na nim zobaczyłem *livestream* z meczu badmintonu. Mój przyjaciel Nate powiedział mi kilka dni temu, że gdy do pana dzwonił, również słyszał relację z meczu. Po chińsku. Zna pan chiński, doktorze? Nikt tak namiętnie nie ogląda badmintonu.

Nikt prócz ludzi, którzy stawiają pieniądze w zakładach bukmacherskich. Oto i cała tajemnica. Pan jest hazardzistą, doktorze Krygård. Od lat. To dlatego uciekł pan do Afryki. Pewnie pożyczył pan za dużo pieniędzy od niewłaściwych osób. W Afryce oczywiście nie wyzbył się pan swojego nałogu. Tego nie da się wyzbyć. Według informacji dostępnych w Szwecji w trakcie działań wojennych trzykrotnie połamano panu nogi. Ale to nie jest typowo wojenny uraz. Postrzały, urwane i połamane kończycy, rany cięte i klute, zakażenia i tak dalej. Ale połamanie obu nóg? Może gdyby stało się to raz, to byłbym w stanie uwierzyć. Ale trzy razy to zdecydowanie za dużo. To były zwyczajne bandyckie porachunki. Ktoś usiłował odzyskać od pana pieniądze, które pan pożyczył. Zapewne ze sporym procentem.

Krygård wybuchnął śmiechem. Ani nerwowym, ani wyraźnie nieszczerem. Sprawiał wrażenie zrelaksowanego człowieka, który doskonale się bawi. Ale Aleksa to nie zniechęciło. Doktor był wytrawnym graczem. Zawodowym kłamcą. Każdy hazardzista taki jest. Bo hazard to przede wszystkim gra.

- Ale wyobrażam sobie - ciągnął Aleks - że w Afryce dużo łatwiej było znaleźć sobie odpowiedniego protektora. Ostatecznie w wielu środowiskach człowiek z pańskimi umiejętnościami jest tam na wagę złota. Każdy reżim potrzebuje dobrego, zaufanego lekarza. Podobnie jak każde środowisko przestępcze. A zwłaszcza takiego lekarza, którego ma w garści. Więc jakoś się pan urządził na Czarnym Łądzie. Ciągła zmiana władzy, bezustanne zamieszanie, wszechobecna korupcja, takie warunki sprzyjają działalności takich ludzi jak pan. Można szybko pozyskiwać wielu nowych przyjaciół. Ale nagle, po prawie czterech dekadach, pan wraca do Szwecji. Wraca bardzo bogaty. Na czym się pan dorobił, doktorze? Na biednych dzieciach? Oczywiście, w Nigerii można zarabiać dobre pieniądze. Na ropie albo nowych technologiach. Ale na pewno nie służąc w Lekarzach bez Granic czy nawet pracując w szpitalu. Więc? Spadku pan nie otrzymał, bo pana rodzina nie była bogata. To też podkreślają media. Syn pracownika portowego i przedszkolanki. Oczywiście istnieje szansa, że wygrał pan w końcu jakąś pokaźną sumkę, ale

wątpię. Hazardziści nigdy nie wychodzą na swoje.

– Zdziwiłby się pan – przerwał doktor. – W swoim życiu wygrałem więcej, niż pan zarobił.

– Wątpię. W każdym razie dziękuję za potwierdzenie moich przypuszczeń do tego momentu. Idźmy więc dalej. Na czym mógł się pan dorobić? I tu przypominam sobie kolejną informację na pana temat. Wybitny wirusolog. Kiedy stał się pan wybitnym wirusologiem? Wyjechał pan po studiach, a wrócił już ze swoją sławą. Co daje odpowiedź, czym się pan tak naprawdę zajmował w Afryce. Nawiasem mówiąc, Czarny Łąd to doskonałe miejsce do eksperymentowania na drobnoustrojach. Gdyby tak wynaleźć szczepionkę na AIDS czy gorączki krwotoczne, to można by naprawdę sporo zarobić. A żeby móc grać, trzeba zarabiać. Mam rację?

– Niech pan opowiada dalej, Gall, fantastycznie się tego słucha. Widzę przed panem przyszłość w branży rozrywkowej.

– A ja przed panem w więziennej. Na przykład jako tester wyposażenia cel przeznaczonych dla odsiadujących długie wyroki. W każdym razie żadnej szczepionki czy leku pan nie wynalazł. Byłoby o tym głośno. A mimo to wrócił pan do Szwecji. Zapewne spłacił pan swoje długi i stać pana na samochód kosztujący więcej niż roczne zarobki całego personelu szpitala w Abudży. Tam pan pracował?

– Nie. W Lagos. A potem w wielu innych afrykańskich miastach.

– Chce pan posłuchać mojej tezy?

– Proszę bardzo.

– Tylko na jednym mógł się pan tak dorobić. Odkrył pan jakiegoś zupełnie nowego wirusa. Przebadał go pan i ustalił, że nadaje się na broń biologiczną. Wiele rządów marzyło, by przekształcić ebolę w śmiertelne narzędzie, ale on się do tego nie nadaje. Za szybko zabija i za trudno się nim zarazić. Ale gdyby odkryć coś, co zabija wolniej? I na przykład przenosi się drogą kropelkową? Takie odkrycie na czarnym rynku byłoby warte miliardy dolarów. Ale do badań potrzebne są pieniądze, wykwalifikowany, ale lojalny personel i nowoczesne, w pełni wyposażone laboratorium. Więc trzeba było przewieźć pański

wynalazek do Europy. Niezły z pana skurwysyn, Krygård. Myśmy myśleli, że pan przemyca ludzi w kontenerach. A pan przemyca wirusa w ludziach. Wykupuje pan skazańców, pod pozorem badań i szczepień wprowadza pan do ich organizmów wirusa. I w ten sposób przewozi go do Europy.

Doktor ponownie wybuchnął śmiechem. Wciąż był zrelaksowany, ale przyglądał się Aleksowi z zaciekawieniem. Wyglądał jak nauczyciel, który bardzo chce pochwalić swojego ucznia, ale lata praktyki nauczyły go, że chwaleń często osiadają na laurach.

– Fantastyczna fabuła – rzekł w końcu. – Rozumiem, że ma pan jakieś dowody?

– Nie, absolutnie. Przecież mówiłem panu, że to tylko zgadywanki. Ale nie potrzebuję dowodów.

– Nie?

– Nie. Bo myślę, że sam mi to pan opowie.

– A dlaczego miałbym to robić?

– Niech pan da już spokój, doktorze Krygård. Widzę ten błysk w pańskich oczach. Dokonał pan niesamowitego odkrycia. Czegoś, co powinno dać panu międzynarodową sławę i miejsce w panteonie najwybitniejszych wirusologów świata. A pan nawet nie może się tym pochwalić. Nikomu. No, niech pan skorzysta z okazji. Chętnie posłucham. Przecież i tak nie zamierza mnie pan wypuścić, mam rację?

Doktor westchnął. Trochę teatralnie, ale nawet ta teatralność była udawana. Przywodził na myśl aktora ze sceny ogródkowej, niezbyt utalentowanego chałturnika, który inkasuje dwadzieścia euro za każdy występ i ma ich każdego dnia cztery, o ile pogoda dopisze i piwo w ogródku będzie odpowiednio schłodzone.

– Dobrze więc, panie Gall – rzekł z uśmiechem – zacznijmy od tego, że ja nie odkryłem żadnego nowego wirusa. Nie, panie Gall. Ja go stworzyłem. Rozumie pan różnicę? Każdy idiota mógłby odkryć nowego wirusa, ale tylko wyjątkowo utalentowany specjalista może jakiegoś stworzyć. Wiem, chełpię się, ale jeśli chodzi o moje zawodowe kompetencje, nie mam zamiaru silić się na fałszywą skromność. Acz przyznam, że dokonałem tego nieco

przez przypadek. Zapewne pan nie wie, bo nikt nie wie, ale w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku wirus ebola gatunku zairskiego spowodował epidemię w Angoli. Bardzo dziwną epidemię, która zapewne zainteresowałaby naukowców z całego świata, gdyby nie to, że informacje na jej temat zostały skrzętnie ukryte. Ale ja wtedy z różnych powodów mieszkałem wówczas w Brazaville...

– Z „różnych powodów”, czyli znów pan musiał uciekać.

– Niech pan nie ocenia, Gall. Hazard to choroba. Ale akurat w dziewięćdziesiątym piątym moje relacje z odpowiednimi ludźmi były już poukładane. Do Konga pojechałem – że użyję piłkarskiej terminologii – na wypożyczenie. Generał Abacha, który rządził wówczas Nigerią, polecił mnie prezydentowi Lissoubie, bo osiągnąłem naprawdę dobre wyniki w leczeniu grypy. Epidemia, o której wspomniałem, wybuchła w angolskiej prowincji Kabinda, eksklawie oddzielonej od Angoli wąskim pasmem terytorium Demokratycznej Republiki Konga i sąsiadującej bezpośrednio z Kongiem. Jak rozumiem, wie pan, że to dwa różne kraje.

– Oczywiście. Z geografii zawsze byłem najlepszy w szkole.

– Taki z pana naukowiec?

– Pewnie. Znam wszystkie stolice świata. Wygrałem olimpiadę.

Krygård westchnął. Zastanawiał się, po co w ogóle zdecydował się na rozmowę z tym człowiekiem. On nie tylko nie doceni wagi nowego odkrycia, ale nawet go nie zrozumie. Ale trzeba przyznać, że trafił w sedno. Doktor zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie nigdy i nikomu więcej nie opowie o swoim odkryciu.

– Do Kabindy pojechałem na prośbę Lissouby – kontynuował – który bał się, że epidemia rozprzestrzeni się na Kongo. Ognisko znajdowało się nieopodal miasteczka Belize, nie mylić z Belize w Ameryce Środkowej, zaledwie dziesięć kilometrów od kongijskiej granicy i niecałe trzysta od Brazaville, więc obawy Lissouby były uzasadnione. Na miejscu zastałem katastrofalne warunki. Mówimy o regionie, który wydobywa i przetwarza najwięcej ropy naftowej w kraju, a jednocześnie jest

najbiedniejszy. Sporo ludzi żyje z nielegalnych, chałupniczych wręcz odwiertów.

- Biedaszyby – powiedział Aleks po polsku.

- Co?

- Nieważne. Niech pan kontynuuje.

- Miejsce, do którego trafiłem, to właśnie taki nielegalny odwiert, niemal w samym środku lasu deszczowego. Zaledwie dziesięć kilometrów od miasteczka, ale podróż tam trwała siedem godzin. Jedna błotnista droga. Jak na rajdzie Camel Trophy. Pamięta pan? Od dawna już tego nie organizują.

- Pamiętam. Niech się pan przestanie nad sobą użalać, doktorze, i przejdzie w końcu do rzeczy.

- W porządku. Na miejscu zastałem siedemnaście osób z wczesnymi objawami gorączki krwotocznej ebola. Przystąpiłem do leczenia.

- A można to leczyć?

- No, powiedzmy. Mowa raczej o opiece paliatywnej, czyli próbie zachowania pacjentów przy życiu w czasie, gdy ich organizm usiłuje sobie poradzić z chorobą. Polega to głównie na dożylnym nawadnianiu i utrzymywaniu odpowiedniego ciśnienia krwi. A także na zwalczaniu ewentualnych koinfekcji, bo osłabiony organizm łatwo przyjmuje inne drobnoustroje. Niemniej opieka paliatywna nie leczy z eboli, a jej skuteczność jest pozałowania godna. Zwykle wirus zabija od sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu procent zarażonych, przy czym raczej bliżej górnej granicy.

- A jednak tym razem było inaczej? Nikt nie umarł, tak?

- Skąd pan to wie?

- Domyślam się. Powiedział pan, że to nietypowa epidemia i że zainteresowałyby naukowców z całego świata. Naukowców z całego świata mogłoby zainteresować tylko coś, co dawałoby szansę na odkrycie szczepionki lub leku.

- Bardzo interesujący ciąg myślowy. Świadczy o tym, że nie pokłada pan zbyt dużej wiary w poczucie misji dzisiejszej medycyny. Niestety, słusznie. A pana wywód w pełni pokrywa się z prawdą.

– Więc jak ich pan wyleczył?

– Nie wyleczyłem. Sami wyzdrowieli. I to jest właśnie najbardziej niesamowite w tej historii. Pobrałem mnóstwo próbek. Analizując je potem, odkryłem w tkankach pacjentów ogromne ilości limfocytów T, limfocytów B i komórek NK.

– Moment – przerwał Aleks. – Jeśli chce pan, żebym to docenił, musi pan mówić po ludzku.

– No dobrze. To krótkie podsumowanie. Czy wie pan, jak działa ebola?

– Uszkadza narządy i powoduje krwotoki wewnętrzne.

– Powiedzmy. Najistotniejsze jest to, że ebola atakuje układ odpornościowy. Infekując komórki dendrytyczne, hamuje uruchamianie swoistej odpowiedzi immunologicznej. Głównym zadaniem komórek dendrytycznych jest prezentowanie antygenów limfocytom T. Wygląda to trochę tak, że komórka dendrytyczna eksponuje próbki uzyskanego antygeny w celu wyszukania limfocytu T, który zdołałby zwalczać ten konkretny patogen. Kiedy to się uda, limfocyt T zaczyna się namnażać, a następnie zabija zainfekowane przez patogen komórki i zapisuje informację immunologiczną na przyszłość. Ale ebola atakuje i zabija komórki dendrytyczne, przez co wyłącza limfocyt T z gry. W dodatku limfocyt T jest również odpowiedzialny za aktywowanie limfocytu B, który wytwarza przeciwciała. A bez przeciwciał organizm staje się praktycznie bezbronny. Wirus łatwo sobie radzi z komórkami NK i makrofagami. Za pomocą białka VP24 blokuje produkcję interferonu, białka, które przekazuje informację o infekcji do innych komórek. Proszę zapamiętać to ostatnie, bo za moment do tego wrócę. Krótko mówiąc, wirus ebola wyłącza wszystko, co może go zabić. Jednocześnie przyłącza się do wewnętrznej błony naczyń krwionośnych i powoduje zespół wykrzepiania wewnątrznaczyniowego, co zużywa czynniki krzepnięcia i hamuje dopływ krwi do narządów. Uwalnia białka, które niszczą śródbłonek naczyń krwionośnych i prowadzą do uwalniania krwi z naczyń krwionośnych, co powoduje spadek jej ciśnienia. Atakuje wątrobę i inne narządy. Potem, gdy organizm

jest już na krawędzi, wydzielają się ogromne ilości cytokin, następuje dodatnie sprzężenie zwrotne prowadzące do hipercytokinemii, która na dobrą sprawę jest samobójstwem organizmu. Zabija wszystko, w tym zdrowe jeszcze komórki. I wtedy następuje śmierć. Nadaża pan jak dotąd?

– Wystarczająco, że zrozumieć sens. W pana próbkach były limfocyty T i limfocyty B, co oznacza, że tym razem wirusowi coś poszło nie tak.

– Dokładnie. Coś poszło nie tak. Coś sprawiło, że wirus nie wyłączył komórek prezentujących antygen. Pan nawet nie zdaje sobie sprawy z wagi tego odkrycia. Oznacza ono, że jest sposób na pokonanie wirusa ebola. Wykonałem szereg testów immunoenzymatycznych ELISA i uzyskałem pewność, że w zakażeniu brał udział gatunek zairski, a ściśle mówiąc szczep Kikwit. Dokładnie sprawdziłem całą sekwencję aminokwasów. Więc uznałem, że istnieje tylko jedno wytłumaczenie takiego stanu rzeczy. Istnieje jeszcze jeden, nieznany dotąd szczep wirusa zairskiego. W tamtym czasie znaleźliśmy dwa podstawowe: Mayinga i Kikwit. Obecnie znamy jeszcze szczep Makona, który lada moment spustoszy Afrykę Zachodnią. Potwierdzono już trzy przypadki śmiertelne w Gwinei. Doświadczenie podpowiada mi, że na tym się nie skończy. Nieważne. Wracając do tematu, uznałem, że musi istnieć jeszcze jeden szczep, bardzo podobny do Kikwit, skoro oba były zwalczane przez te same limfocyty, ale charakteryzujący się mniejszą wirulencją, a przede wszystkim mniejszą zdolnością do przeciwdziałania odpowiedzi immunologicznej. I ten szczep musiał zaatakować moich pacjentów bardzo niedawno, skoro cały układ był wciąż aktywny. Więc zacząłem szukać. Na mój stół trafiło wszystko, co mogło być rezerwuarem albo wektorem dla nowego szczepu. Poświęciłem temu cztery lata i nic nie znalazłem. W końcu postanowiłem zmienić strategię. Uznałem, że zamiast szukać nowego szczepu, spróbuję go odtworzyć w laboratorium...

Urwał, widząc, że Gall nie poświęca mu tyle uwagi, na ile sobie zasłużył. Wiedział wprawdzie, że rzeczy, o których mówi, są trudne i nie każdego interesują, ale przecież Gall sam o nie

zapytał.

– Czy pan się nudzi? – zapytał lekko urażony.

– Wprost przeciwnie, doktorze. To pasjonujące. Ale jestem głodny. Nie jadłem od... No, sam pan wie.

Krygård nie miał zamiaru ryzykować, więc na trzeci poziom nadbudówki, gdzie mieściła się mesa, przenieśli się w asyście strażników. Wkrótce podano kiełbaski tuluskie, jajka sadzone i trochę bekonu. Do tego sok pomarańczowy w kartoniku. Niczego więcej Aleks nie potrzebował do szczęścia. Jadł przez chwilę, a doktor milczał, jakby wstydził się podjąć porzuconą opowieść. Być może chciał po prostu sprawdzić, czy Gallowi faktycznie zależy, by jej wysłuchać. Opowiadał o rzeczach, którym poświęcił wiele lat. Nie miał zamiaru się zgadzać, by ktokolwiek sobie z tego kpił.

Ale jego obawy były nieuzasadnione. Aleks aż gotował się z ciekawości. Gdy przedstawiał doktorowi swoje przypuszczenia, nie spodziewał się, że trafi w sedno. Bo tak naprawdę nie miał nic. Ot, zaledwie drobne spostrzeżenie na temat dziwnego hobby Krygårda, które przecież nie musiało znaczyć kompletnie nic złego. Do tego ciąg umiarkowanie prawdopodobnych zdarzeń. I tylko jedna rzecz nadawała temu wszystkiemu sens. To, że mimo wszystko znajdowali się półtora tysiąca mil morskich od Göteborga i Aleks nie był tu z własnej woli. Został uśpiony i wprowadzony. A niewinni nie postępują w ten sposób.

Beknął. Tak po prostu. Doktorowi aż oczy wyszły na wierzch. Bardziej jednak ze zdumienia niż zdegustowania.

– O, przepraszam – powiedział Aleks. – Dobrze było. Tylko mało.

– Chce pan więcej?

– Później, doktorze. Teraz chcę usłyszeć ciąg dalszy.

Krygård spojrział na stojącego przy drzwiach strażnika.

– Czy muszę pana ponownie zakuwać, Gall? – zapytał.

– Nie – odparł spokojnie Aleks. – Chciałbym trochę rozprostować kości.

Doktor nawet nie zadał sobie trudu, by rozkaz dla strażnika przyjął formę ustnego komunikatu. Kiwnął tylko głową i tamten natychmiast wyszedł. Aleks zrozumiał, że Krygård nie miał

zamiaru się uzewnętrznić przy załodze. Być może uważał, że potrzeba bycia docenionym to w rzeczywistości słabość, którą jego ludzie przyjmą z pogardą. I pewnie miał rację.

– Skończył pan na decyzji o powrocie do laboratorium. – Aleks podszedł do przeszklonej ściany. Na zewnątrz panował mrok, ale mimo to światła było dość, żeby mógł dostrzec pieniący się w lodowej rynnie kilwáter. Zdał sobie sprawę, że choć wiele razy był na morzu, to chyba jeszcze nigdy nie płynął nim tyłem do przodu.

– Pojechałem do Kinszasy – podjął opowieść doktor – gdzie zgromadzono najwięcej próbek wirusa ebola gatunku zairskiego. Podpisałem stosowne umowy, a potem wynająłem laboratorium w lesie sto kilometrów od Kanangi. W miejscowości Kandolo. Nie przez przypadek na takim zadupiu. Tam właśnie znajdował się państwowy ośrodek badań nad ebolą, który zamknięto dwa lata wcześniej. Dostałem warunki, jakich nigdy bym się nie spodziewał w Afryce. A już szczególnie w Demokratycznej Republice Konga.

– Czyli w dawnym Zairze.

– Dokładnie. Czyli w domu mojego patogenu.

– Blisko rzeki Ebola?

– No nie. Akurat nie. Myślę, że ponad tysiąc kilometrów w linii prostej. To duży kraj. W każdym razie zacząłem pracę. Pierwsze kilka miesięcy układałem plan działań. Miałem wiele pomysłów, ale prawdę mówiąc, większość była bez sensu. Poniósł mnie entuzjazm. Celem było zmodyfikowanie szczepu Kikwit, a ściślej mówiąc, białka VP24, tak by nie blokowało powstawania interferonu. W moim odczuciu to powinno wystarczyć. Przynajmniej na początek. Mając aktywny interferon, organizm powinien sobie poradzić z wirusem. Taka była teza. Nad tym zagadnieniem pracowałem niemal trzy lata. Towarzyszyło mi pięciu asystentów. Było ciężko. Każdą zmianę trzeba było testować. Wszystko to trwało w nieskończoność. W listopadzie dwa tysiące trzeciego roku udało mi się w końcu stworzyć odpowiednią sekwencję aminokwasów. Byłem przekonany, że właśnie dokonałem największego przełomu w nauce od lat.

Niestety, trzy tygodnie później zmarł szympan, na którym testowałem nowy szczep. Okazało się, że VP24 działa na dwa sposoby. Nie tylko blokuje powstawanie interferonu, ale również upośledza transduktor sygnałowy STAT1. Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć, żeby pan zrozumiał. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale to jest już naprawdę zaawansowana genetyka.

– Niech pan coś wymyśli.

– Niech będzie, że interferon to samochód policyjny, który pędzi z jednego miasta do drugiego. W takim wypadku STAT1 będzie autostradą. Ale nie byle jaką, lecz specjalną autostradą rządową, z której korzystać mogą tylko pojazdy uprzywilejowane i która ma absolutny priorytet w całym ruchu.

– Bardzo obrazowo pan to przedstawił, ale rozumiem.

– Po śmierci Sambo, mojego szympana, porzuciłem temat niemal na rok. Uznałem, że tego się nie da zrobić. Ale potem wpadłem na pewien pomysł. Na dobrą sprawę do dziś nie rozumiem, dlaczego nie pomyślałem o tym znacznie wcześniej. Czy słyszał pan kiedyś o eboli Reston?

– Coś mi się obilo o uszy. Ebola ze Stanów.

– No, niezupełnie. Odkryta w Stanach, ale przywleczona z Filipin. Jeden z pięciu głównych gatunków wirusa ebola. Od swoich siostrzyczek różni się tylko jednym. Choć jest zabójcza dla makaków i świń, to człowiekowi nie robi krzywdy. Uważa się, że jest to spowodowane mutacją białka VP24. Podjąłem więc próbę przeszczepienia białka VP24 eboli Reston do eboli Zairë.

– Po co?

– Przepraszam?

– Skoro Reston to taka ebola zairska z upośledzonym białkiem, to o ile dobrze zrozumiałem, jest dokładnie tym, co chciał pan stworzyć.

– Niezupełnie. Właściwie zupełnie nie. Swoista odpowiedź układu odpornościowego ma to do siebie, że jest dobrana specjalnie pod aktywny patogen. Wprawdzie trudno to stwierdzić na pewno, ale z dużą dawką prawdopodobieństwa możemy założyć, że pamięć immunologiczna wytworzona w trakcie zwalczania eboli Reston na nic by się zdała

w przypadku ataku eboli Zairë.

- I co się stało, doktorze? Bo wciąż nie rozumiem, jak z rycerza walczącego o dobro świata stał się pan podłym przestępcą.

- Nie spodziewam się, by zrozumiał pan moje motywacje. Ale już kończę tę przydługą opowieść. Po modyfikacji prowadziłem dalsze testy i dały one jedynie umiarkowane rezultaty. Testowałem nowy szczep na trzech szympanсах. Dwa zdechły, jeden przeżył. Jak się pan domyśla, to wciąż było za mało, a mnie kończyły się już pomysły. Uznałem, że najwyraźniej sama zamiana białka VP24 nie wystarczy i trzeba będzie popracować też nad białkiem VP35. Ale nim się do tego zabrałem, postanowiłem sprawdzić, co się stanie, jeśli przeprowadzę tę samą operację w drugą stronę. Czy zmodyfikowane białko VP24 zamieni niegroźny gatunek Reston w masowego zabójcę. Gdyby się tak nie stało, zyskałbym pewność, że to konkretne białko ma mniejszy wpływ na zjadliwość wirusa, niż mi się zdawało. Dokonałem modyfikacji dwudziestego szóstego czerwca dwa tysiące siódmego roku.

- Rozumiem, że to ważna data.

- Bardzo ważna. To był wtorek. Od następnego poniedziałku zaczęliśmy testy. Wybraliśmy jednego szympansa. Nazywał się Zanzibar. Nie wiedzieliśmy do końca, jak Reston podziela na szympansa, bo dotąd zarażał tylko makaki i świnie, ale podejrzewaliśmy, że będzie śmiertelny. Chcieliśmy w każdym razie pobrać jak najwięcej próbek i prześledzić przebieg infekcji. Ale nic się działo. Zanzibar nie zachorował. Czekaliśmy na pierwsze objawy, żeby zacząć prowadzić badania, ale one po prostu nie następowały. W końcu po pięćdziesięciu dniach zaprzestaliśmy testów, a dwa dni później zabiliśmy zwierzę i trafiło na stół. To, co zobaczyliśmy... Cały organizm zainfekowany. Cały. Oczywiście wątroba, ale też nerki, serce, mózg. A przede wszystkim płuca, oskrzela i tchawica. Po prostu nie do wiary. Brak jakiejkolwiek reakcji immunologicznej. Z jakiegoś powodu, do dziś nie wiem jakiego, wirus namnażał się znacznie wolniej niż klasyczny Reston i klasyczny Zairë. Ale nie ulegało wątpliwości, że wkrótce pojawiłyby się objawy choroby.

Przypuszczałem wówczas, że najwyżej w ciągu doby. Tydzień później udałem się do Addis Abeby, do siedziby Unii Afrykańskiej. Chciałem zdobyć środki, bo fundusze się kończyły, a sporo jeszcze było do zrobienia. Unijni urzędnicy nie byli jednak zainteresowani. Próbowałem więc w ministerstwach poszczególnych krajów. Byłem w Egipcie, Nigerii i RPA. Niestety, wszędzie odbijałem się od ściany. Najwyraźniej nie byli zainteresowani lekiem na chorobę, która u nich występowała. Z kolei ci, u których ebola się pojawiała, jak Sudan, Ghana czy Demokratyczna Republika Kongo, odmawiali z przyczyn finansowych. Półtora miesiąca po wyjeździe zadzwonił do mnie mój asystent, doktor Ameyo, z informacją, że zmarł jeden z naszych techników. I że jego zdaniem to z pewnością gorączka krwotoczna ebola, ale takiego przebiegu choroby w życiu jeszcze nie widział. Pacjent zmarł dwadzieścia cztery godziny po wystąpieniu pierwszych objawów. Po trzech dniach byłem już z powrotem w Kandolo, ale mnie nie wpuszczono. W miasteczku zarządzono kilkupoziomową kwarantannę. Od razu trafiłem do izolatki, ale szybko okazało się, że nic mi nie jest. Ostatecznie zmarli wszyscy pracownicy mojego laboratorium z doktorem Ameyo włącznie. Pięciu asystentów i czterech techników. Do tego jeszcze sześćdziesiąt dwie inne ofiary w całym miasteczku i siedemnaście szympanów. Wszystkie, jakie mieliśmy w laboratorium. Zabiła ich najstraszliwsza gorączka krwotoczna, jaką widział świat. Wirus ebola Reston, szczep Krybi. Tak go nazwałem, bo jak pan zapewne wie, Gall, każdy naukowiec jest troszeczkę próżny. Kwarantanna trwała sto dwadzieścia dni. W tym czasie wirus zaliczył trzy pokolenia, a potem epidemia wygasła. Ja przewodziłem zespołowi lekarzy, którzy zjechali się z całej Afryki, by to wszystko posprzątać. Ale nikt nie wiedział, z czym tak naprawdę mamy do czynienia. W świat poszła informacja o kolejnym ognisku zwykłej eboli zairskiej i nikt do tego przesadnie nie przykładał wagi. Prócz mnie oczywiście. Zebrałem sporo materiału biologicznego i pozyskałem najbardziej niebezpiecznego wirusa świata.

- Przesadza pan - powiedział Aleks. - Ebola powoduje fatalne

konsekwencje, ale zabija może promil tych, których uśmierca malaria.

- Zaczniemy od tego, że malaria nie jest chorobą wirusową. Ale wracając do Krybi, zapomniał pan o najważniejszym. Ebola Reston potrafi zarażać wziewnie. Oczywiście na bardzo krótki dystans. Współczesna wirusologia dowodzi, że za zdolność przenoszenia się wirusa drogą kropelkową odpowiada zwykle jego budowa. Jeśli mamy do czynienia z prymitywnym wirusem, który składa się jedynie z nukleokapsydu, to taki twór jest bardzo wytrzymały na wpływ warunków zewnętrznych. Ale jeśli zawiera dodatkowe białka, to staje się dużo wrażliwszy. Na przykład na światło słoneczne czy promieniowanie jonizujące. A przypomnę tylko, że dorosły człowiek wytwarza jakieś dziesięć tysięcy bekerelów. Ebola koduje siedem białek. Ale jak się okazuje, znaczenie ma też inna okoliczność. Taka mianowicie, że u człowieka zairska ebola nie atakuje zwykle płuc. Wprawdzie dociera tam w trakcie zakażenia, ale pacjent jest już wówczas niemal martwy. Natomiast ebola Reston atakuje płuca i resztę układu oddechowego. Robi to również mój szczep. I w związku z obecnością w płucach, oskrzelach, a nawet jamie ustnej, jest podatna na rozsiewanie drogą kropelkową. Zwłaszcza gdy pacjent kaszle. Krybi początkowo daje objawy jak przy zwykłym przeziębieniu. Oczywiście, w związku z wrażliwością na wspomniane czynniki, jest w stanie przetrwać poza organizmem gospodarza tylko kilka chwil, ale w zatłoczonych miejscach to spokojnie wystarcza.

- Kilka chwil, to znaczy dokładnie ile?

- Do stu sześćdziesięciu minut przy wilgotności rzędu pięćdziesięciu procent i temperaturze od dziewiętnastu do dwudziestu pięciu stopni Celsjusza. W toku badań odkryłem, że Krybi ma bardzo długi okres inkubacji. I bardzo regularny. Od momentu zarażenia do śmierci pacjenta mija średnio pięćdziesiąt siedem dni. Pacjent zaczyna zarażać na dziesięć dni przed śmiercią, kiedy pojawiają się pierwsze pozornie niebudzące strachu objawy. Kaszel i stan podgorączkowy. Na pięć dni przed śmiercią choroba przyspiesza, a najgorsze objawy, w tym

ogólnoustrojowy krwotok wewnętrzny, następują dwie doby przed śmiercią. Drastycznie spada ciśnienie krwi, a organizm zabija się sam w wyniku burzy cytokin. Można powiedzieć, że Krybi bardzo długo szykuje się do wojny. Ale gdy już ruszy na wroga, to mamy blitzkrieg. Kiedy badałem wektorowanie, dowiedziałem się, że pod koniec testów, gdy byliśmy pewni, że nasz szczep nie zadziałał, jeden z moich techników nie zachował należytej ostrożności i wszedł do pomieszczenia, w którym trzymaliśmy Zanzibara. Zaraził się, a po czterdziestu siedmiu dniach zaczął zarażać pozostałych. Dziesięć dni później umarł, a my nawet nie wiedzieliśmy, jak wiele ludzi i małą zaraził.

– Jak długo taki wirus żyje po śmierci pacjenta? – zapytał Aleks.

– Wirus w ogóle nie żyje. Nie prowadzi metabolizmu. Ale nie będziemy się wdawać w akademickie dyskusje, bo wiem, o co panu chodzi. Jak udało mi się odzyskać Krybi.

– Właśnie.

– Opiekowałem się chorymi. Pobierałem ich krew i tkanki. Jak już mówiłem, Krybi namnaża się przez długi czas. Tym samym każda komórka jest nimi wypełniona po brzegi. Uzyskałem miliardy wirionów. Niełatwo to było wywieźć z miasteczka, ale nie mogłem pozwolić, by mój szczep został zniszczony. A wkrótce całe Kandolo spalono. Po prostu podpalili miasteczko.

– I wtedy w pańskiej głowie zrodził się szatański plan.

– Genialny plan, panie Gall. Ale nie. Wtedy jeszcze nie. Wciąż się zastanawiałem, czy moja praca nie może się przyczynić do powstania leku lub szczepionki na zairską ebolę. Nawiasem mówiąc, chcę panu powiedzieć, że udostępniłem anonimowo wyniki moich badań znajomym wirusologom z Norwegii, a oni już w tej chwili mają niemal gotową szczepionkę. To jeszcze nieoficjalne. Według komunikatów atenuowali jeden ze zwierzęcych gatunków eboli, dodając do niego jedno z białek zairskiej eboli. Przypomina to panu coś?

– Jest pan aniołem, doktorze.

– Może pan sobie kpić. Ale za kilka lat ebola zairska przestanie stanowić problem w Afryce.

– Za to ebola Reston zacznie w Europie, mam rację?

- Kto wie. To już nie ode mnie zależy.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Pół roku po epidemii w Kandolo zgłosił się do mnie pewien Rosjanin. Powiedział mi, że ma informacje wprost od wysokiego urzędnika państwowego Demokratycznej Republiki Konga, a ja mu uwierzyłem. Twierdził, że dokonał analizy wektorowania i nie sądzi, by w Kandolo zarażała zwykła ebola zairska. Słusznie wywnioskował, że szczep musiał się roznosić drogą kropelkową. A potem złożył propozycję nie do odrzucenia.
- I od tego czasu podążał pan w zaprzęgu komercji?
- Co?
- Nieważne. Co było dalej?
- Dalej? Sam się pan chyba domyśla. Zaproponował zakup Krybi. W każdej ilości. Zażądałem nowoczesnego laboratorium w Szwecji i je otrzymałem.
- A potem zaczął pan przemycać wirusa w ciele żywicieli.
- Gospodarzy, panie Gall. Wirus się nie odżywia, więc nie ma żywiciela.
- Niech będzie. Tak czy inaczej jest pan potworem.
- Skoro tak pan uważa. Ja to widzę inaczej. Ci ludzie i tak byli skazani na śmierć.
- Serio pan to powiedział czy się przesłyszałem?
- Byli skazani na śmierć – powtórzył z naciskiem Krygård. – A ja zapłaciłem po sto tysięcy dolarów rodzinie każdego z czterystu czterdziestu kurierów. Niech pan dobrze policzy zera.
- Kurierów. A to dobre.
- Tym właśnie byli. Przewozili moją przesyłkę.
- A potem ginęli w męczarniach. Czy nie? Czy zabijaliście ich wcześniej?
- Sami się zabijali. Dostawali diagnozę i cyjanek potasu.
- Jakże humanitarnie.
- Prawda? Niech pan myśli, co chce. Gdyby nie ja, ci ludzie i tak by umarli. I to w dużo większych męczarniach. Nie wiem, czy pan słyszał, ale karą za homoseksualizm u tych dzikusów jest ukamienowanie. Tak. Ukamienowanie w dwudziestym

pierwszym wieku. Więc pańska kpina jest bezpodstawna.

– Faktycznie. Pan przecież zrobił z nich jedynie pojemniki na towar.

– Niezupełnie. Tak naprawdę to inkubatory. Służyli mi głównie do namnażania Krybi.

– Sprytnie. Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Przemysł i namnażanie. I co? Wycinał im pan potem narządy?

– Nie. To by było zbyt niebezpieczne. Utaczałem ich krew.

– Proszę?

– Krew, panie Gall. Człowiek ma w sobie średnio około sześciu litrów krwi. Połowę z tego stanowi osocze, które bardzo łatwo odzyskać. Wystarczy odwirować krew. W jednym mililitrze osocza Krybi zostawia około miliona kopii. Jak łatwo policzyć, mamy circa trzy miliardy wirionów z jednego gospodarza.

– Czyli bilion trzysta dwadzieścia miliardów z czterystu czterdziestu, jak pan to nazywa, kurierów.

– W głowie pan to policzył?

– Chodziło się na matematykę w szkole.

– Zaskakujące. W każdym razie to mi w zupełności wystarczyło. Nawet jeśli przyjąć, że niektóre frachty nie dotarły do nas w całości. Jak choćby ostatni.

– A co z resztą?

– Jaką resztą?

– Ciało. Po utoczeniu krwi nie były już potrzebne.

– A jak się panu zdaje? Kremowaliśmy.

– Tak z ciekawości, o jakiej śmiertelności mówimy?

– Blisko sto procent.

– Blisko, ale niezupełnie. Bo osobiście znam jednego człowieka, który dostał od was zastrzyk i żyje do dziś.

– Naprawdę? Znalazł pan Jombe?

– Znał pan każdego po imieniu?

– Tylko tych, którzy mi uciekli. Jombe był pierwszy. W listopadzie dwa tysiące dziewiątego roku. Uciekł w Lagos. Z drugiego frachtu. Na akcję poszukiwawczą wydałem prawie dziesięć milionów dolarów.

– Tak wiele warte było jego trzy miliardy wirionów?

– Niech pan nie żartuje. Chyba pan sobie zdaje sprawę, że jego ucieczka mogła się zakończyć niekontrolowaną epidemią. W największym afrykańskim mieście. Nie udałooby mi się spieniężyć Krybi, gdyby jego istnienie nie pozostało ścisłą tajemnicą. Taki zresztą był warunek mojego inwestora. Ostatecznie nigdy nie znaleźliśmy Jombe. Uznaliśmy, że uciekł gdzieś do lasu, a tam umarł w samotności. Co w gruncie rzeczy uznaliśmy za ogromny fart.

– A ten drugi uciekinier?

– Djembe. Ale z nim sprawa była prostsza. Po wpadce z Jombe zaczęliśmy chipować wszystkich kurierów, a także wkrótce po inokulacji wyjawialiśmy im prawdę. Mówiliśmy, że po przybyciu do Szwecji dostaną antidotum, i to wystarczało. Zwykle. Djembe uciekł nam we wrześniu zeszłego roku, z dziesiątego frachtu. W Świnoujściu. Jego zwłoki odnaleźliśmy dwa tygodnie później, zakopane w jednym z gdańskich parków.

Aleks się wzdrygnął. Śmiertelnie niebezpieczny patogen w mieście, w którym żyli jego rodzice i rodzeństwo. Ze wszystkich miast świata właśnie to jedno.

– Niech się pan nie martwi – powiedział Krygård, jakby czytał w jego myślach. – Djembe popełnił samobójstwo, zanim zaczął zarażać. Trudno mi powiedzieć, dlaczego to zrobił, ale nawet gdyby nie to, i tak zdążylibyśmy go dopaść.

– Jakoś nie wierzę. Facet pokonał ledwie trzysta pięćdziesiąt kilometrów, a wy szukaliście go aż dwa tygodnie. I znaleźliście tylko dlatego, że umarł.

– Niech pan nie dramatyzuje. Cały przerzut z Lagos do mojego laboratorium trwał dwadzieścia pięć dni. Djembe uciekł dwudziestego trzeciego. Odnaleźliśmy go trzydziestego siódmego. Zaczęłyby zarażać dopiero dziesięć dni później.

– A Jombe? Dlaczego przeżył?

– Niech pan się domyśli.

– Nabyta odporność?

– Właśnie. Okazało się, że każdy, kto wcześniej przeżył zakażenie zairską ebolą, bez większych problemów radzi sobie z Krybi. Ale to niewielki problem. Mało jest takich ludzi.

- Wnioskuje z tego, że Jombe nie był jedyny. Bo inaczej nie mógłby się pan tego dowiedzieć.
- Licząc z Jombe, miałem cztery takie osoby. U trzech pozostałych w okresie kontrolnym nie znaleźliśmy patogenu.
- I co się z nimi stało? Bo przecież nie odesłał ich pan do domu.
- Oczywiście, że nie. Wygrali los na loterii.
- Jak mam to rozumieć?
- Wszyscy trzej dla mnie pracują.
- Pan żartuje.
- Ani trochę. Każdego można kupić, panie Gall. Tylko za jednych trzeba zapłacić więcej, za innych mniej.
- Obawiam się, że nie każdego.
- Naprawdę pan tak uważa?
- Naprawdę.
- Dlatego właśnie zawsze pan będzie biedny.
- Zdziwiłby się pan, jak wiele można odłożyć, jeśli się nie chodzi do kasyna.
- Być może. - Doktor mlasnął. - Ale większą frajdą jest chodzić do kasyna, kiedy się chce, a i tak odłożyć, ile się chce. Nie mam racji?
- Nie uda się panu, doktorze.
- A kto mnie powstrzyma, panie Gall? Nie przeczę, napędziliście mi trochę strachu. I trochę skomplikowaliście układy biznesowe, bo dostarczam inwestorowi jeden fracht mniej, niż uzgodniliśmy w umowie, ale nic więcej nie możecie mi zrobić. Chyba panu jeszcze nie powiedziałem, ale cały ładunek najbardziej zabójczego wirusa świata płynie wraz panem na jednym statku. Moje szwedzkie laboratorium zostało zlikwidowane. Przenosimy się w nowe miejsce, przygotowane przez inwestora. Na pewną przyjemną wyspę, na której nikt nas nie będzie niepokoić.
- Wyspę Wrangla.
- Co? Skąd pan to wie, do cholery?
- Za dużo pan kłapie dziobem. A ja dobrze się znam na nawigacji. Jedyna rosyjska wyspa, na którą prowadzi ta ortodroma, to Wyspa Wrangla. Nawet płynąc na Wyspy Nowosyberyjskie, nie mijalibyśmy Svalbardu od północy.

- Są jeszcze Wyspy Kurylskie. Albo Sachalin.
- Zbyt niebezpieczne. Wody międzynarodowe, USA, Japonia, Chiny.
- Naprawdę jest pan niezwykły, Gall. Bardzo żałuję, że nie spotkaliśmy się wcześniej.
- Ja też. Już by pan nie żył. Ale co się odwlecze, to nie uciecze, doktorku. Poznał pan już Baldura. I musi pan sobie zdawać sprawę z tego, że on panu nie odpuści. Zwłaszcza jeśli mnie pan zabije.
- Przekona go pan. Przez cztery dni trułem go fluorooctanem sodu i nawet się nie zorientował. Chyba nie sądził pan, że te wszystkie objawy to od niegroźnego postrzału?
- To panu się zdaje, że się nie zorientował. Zwłaszcza jeśli objawy ustąpiły po pana wyjeździe. I powiem panu tylko tyle, że nie ma takiej ruskiej wyspy, na której zdołałby się pan przed nim ukryć.
- Zobaczymy. Tymczasem jednak czas kończyć naszą pogawędkę. Muszę wracać do swoich obowiązków. Moi ludzie odprowadzą pana do apartamentu.
- I co potem?
- Wkrótce się pan przekona. Proszę o chwilę cierpliwości.

ROZDZIAŁ 61

Obudził go huk. A nawet mimo to Aleks nie poderwał się z łóżka, nie krzyknął, nie okazał strachu. Spokojnie poczekał, aż jeden z trzech wbiegających do celi mężczyzn chwyci go za koszulę, poderwie z łóżka i ciśnie nim o podłogę.

– Gdzie on jest?! – wrzasnął Krygård, który wbiegł do pomieszczenia zaraz po strażnikach. W przeciwieństwie do nich nie był uzbrojony w karabin, ale i bez tego widać było, że jest tu absolutnym panem i władcą. Gdy podbiegł do Galla, pozostali odsunęli się na bok. Doktor wyprowadził cios, który sięgnął Aleksa, ale ten nawet go nie poczuł. Wybuchnął za to śmiechem.

– Bijesz jak dziecko – rzekł wesoło – i na dobrą sprawę zepsułeś tę kwestię. Powinienem ją wymawiać z krwią między zębami. Tak by było bardziej filmowo.

– Gdzie on jest?! – wrzasnął ponownie doktor i uderzył po raz kolejny.

– Chłopaki, możecie go zastąpić? – zapytał Gall, zwracając się do strażników. – Jeśli on będzie ze mnie wyciągać informacje, będziemy tu sterczeć do rana.

Nikt się nie ruszył. Zapewne w ogóle go nie zrozumieli. Doktor rzucił coś po rosyjsku i mężczyźni rozpoczęli przeszukanie. Najniższy, a przy okazji najbardziej napakowany ze strażników zrzucił z łóżka materac i natychmiast zlokalizował srebrnego macbooka. Leżał na metalowych szczelbelkach łączących obie krawędzie łóżka.

– Mam – powiedział spokojnie Rosjanin. Był w trybie akcji. Wypełniał swoje zadania, nie okazując przy tym emocji. Nie kolegował się z Krygårdem. Nie planowali razem wypadku na gorące pacyficzne wyspy, z których próżno oczekiwać ekstradycji do Szwecji. Każdy robił swoje.

– Co z nim robiłeś? – zapytał doktor, siłąc się na spokój.

– Oglądałem twoje pornoski – odparował Gall. – Wiesz, te

z kozami.

– Lubisz takie rzeczy?

– Jeszcze nie zdecydowałem. Ale ty najwyraźniej tak.

Uderzenie.

Śmiech.

– Naprawdę nie masz do tego ręki – parsknął Aleks, łapiąc oddech. – Ale wciąż jeszcze jest szansa, że umrę ze śmiechu.

Gdy tak sobie przyjemnie gaworzyli, niski Rosjanin przejrzał komputer. Kilka chwil przesuwiał palec po touchpadzie, coś sprawdzał, coś analizował, w końcu jednak zamknął klapę.

– Nigdzie nie zaglądał – powiedział, a Aleks ponownie zrozumiał go bez najmniejszego problemu. – Chyba że potrafi jakoś sfałszować w systemie informacje na temat ostatnich aktywności.

– Wątpię – odparł doktor. – To nie Baldur.

– Z Internetem też się nie łączył – dodał strażnik. – Licznik transferu ani drgnął. Możemy chyba uznać, że nie wyrządził żadnych szkód.

– Świetnie. I żadnych już nie wyrządzi. Wyprowadzić go.

Dwóch żołnierzy wykonało rozkaz bezzwłocznie. Chwycili Galla pod ręce i wynieśli z celi. Doktor otworzył drzwi stojącej w korytarzu szafy i wyjął z niej spory pakunek. Rzucił nim w Aleksa, a że ten nie zadał sobie trudu, by schwytać przesyłkę, upadła ona na podłogę i rozsypała swoją zawartość. Składały się na nią cztery rzeczy. Gruba czerwona kurtka z kapturem, połączona od spodu z równie grubymi, ocieplanymi spodniami, czarna bawełniana kominiarka i para dwupalczastych rękawiczek.

– Masz minutę, by się ubrać, Gall – powiedział doktor.

– Po co?

– Bo na dworze jest zimno.

– Dlatego właśnie się tam nie wybieram.

– Ależ zapewniam, że się wybierasz. Właśnie wyszło na jaw, że jesteś pasażerem na gapę. Jako armator tego statku mam prawo cię z niego wyprosić.

– Chyba prawo kaduka.

– Co proszę?

– Nieważne. Nie mam zamiaru tego wkładać.

– W porządku – rzekł doktor i skinął dłonią na Rosjan. Ci natychmiast unieśli Aleksa i pociągnęli w kierunku drzwi. Próbował się szarpać, ale na nic się to zdało. Byli za mocni. Zrozumiał, że trzeba odpuścić.

– Dobra. Daj te ciuchy.

Krygård uśmiechnął się i kopnął w tobołek, który potoczył się po podłodze w kierunku Galla.

– I po co to wszystko? – zapytał Aleks, wciągając na nogi spodnie. Miały elastyczne nogawki. Każdą z nich wieńczył zamek błyskawiczny, dzięki czemu nie trzeba było zdejmować butów, by je nałożyć.

– Najwyraźniej cię nie doceniłem, Gall – powiedział poważnie doktor. – Zakładałem, że nie możesz mi już zaszkodzić, a jednak przez ostatnią godzinę bardzo się bałem, że cały mój wysiłek pójdzie na marne. Na szczęście najwyraźniej nie zorientowałeś się, co masz w dłoniach.

– Najwyraźniej – odparł Aleks. – Dlaczego mnie po prostu nie zastrzelisz?

– Bo nie – uciął doktor. – Nie zamierzam sobie robić bałaganu na statku ani ryzykować, że ktoś kiedyś wejdzie tu ze sprzętem i odkryje twoją krew w korytarzu. Zresztą tak naprawdę chcę cię sprawdzić.

– Nie rozumiem.

– Jesteś spryciarzem, Gall. Więc chcę sprawdzić, jak sobie poradzisz z następującym problemem: jesteś sam na lodowej połaci Oceanu Arktycznego. Temperatura: minus czterdzieści stopni Celsjusza. Do najbliższego brzegu ponad tysiąc mil morskich, ale choćbyś nawet był w stanie pokonać taki odcinek, to i tak najpierw dotrzesz do granicy lodu. W promieniu tysiąca mil nie ma żadnego innego statku. Specjalnie dla ciebie sprawdziłem to na radarze. Wybity przez nas szlak wkrótce się zamknie, więc jutro utracisz jakikolwiek punkt odniesienia. Nie masz ani wody, ani jedzenia. Ani nawet głupiego noża. – Krygård zbliżył się teraz do Aleksa. Zawisł tuż nad nim i spokojnie

wycedził: – Chcę się przekonać, czy z takim gównem też sobie poradzisz, dupku.

I niespodziewanie ryknął śmiechem. Aleks przez chwilę pomyślał, że doktor go wystawia. Że chciał go jedynie nastraszyć. Ostatecznie miałyby to sens. Przecież Aleks upokarzał go w oczach podwładnych za każdym razem, gdy tylko otworzył usta. Ale szybko okazało się, że na litość tego człowieka nie ma co liczyć. Co było w sumie zrozumiałe. Był on przecież masowym zabójcą, a potencjalnie być może nawet mordercą całych narodów. Pierdolony Doktor Śmierć w zupełnie nowej, dwudziestopierwszowiecznej odsłonie.

– Nakładaj kominiarkę, Gall – syknął doktor. – Bo moja cierpliwość i twój czas właśnie dobiegają końca.

Aleks naciągnął materiał na twarz, a potem włożył rękawiczki. Gdy tylko to uczynił, dwóch strażników ponownie chwyciło go pod ramiona i powlokło w kierunku drzwi. Jeden z nich szarpnął klamkę, a drzwi rozwarły się z takim impetem, że cała trójka na moment straciła równowagę.

– Uuuu – Krygård się uśmiechnął, narzucając na siebie kurtkę – burza śnieżna. Będzie nawet ciekawiej, niż się spodziewałem.

Strażnicy musieli się napracować, by wypchnąć Galla na zewnątrz. Raz, że nieszczególnie chętnie współpracował, dwa, że musieli przełamać napór wiatru. A ten jakby się uparł, by tego wieczoru uratować Gallowi życie. W końcu jednak dopięli swego. Wykorzystali chwilę, gdy wichura na ułamek sekundy straciła impet i wyrzucili Galla na zewnątrz. Upadł na śliski pokład. Chwilę się zbierał. W końcu udało mu się wstać, ale tylko dlatego, że barierka, której mógł się chwycić, była akurat w zasięgu jego dłoni. Gdy jako tako odzyskał równowagę, z nadbudówki wyszedł w jego kierunku Krygård. Był na tyle ciepło ubrany, że mógł wytrzymać na zewnątrz kilka minut. Żeby mieć pewność, że więcej nie będzie musiał wystawiać nosa na to zimno, zabrał ze sobą AK-74. Celował prosto w pierś Aleksa. Ale Aleks tego nie widział. Głowę musiał odchylić w kierunku bocznej ściany nadbudówki. Niesiony wiatrem śnieg ciął po twarzy jak niewprawiony cyrulik.

– Ruszaj – powiedział doktor.

Lufa karabinu zatańczyła lekko, wskazując kierunek. Gall odruchowo spojrział w tamtą stronę, ale nic nie zobaczył. Na zewnątrz panowały ciemności. Trudno było powiedzieć, która jest godzina. Aleks nawet nie wiedział, w której strefie czasowej się znajdują. Ale gdyby ktoś go pytał, odparłby, że było po północy. Tak na wycucie. A w styczniu o tej porze nad biegunem północnym jest bardzo ciemno. Lecz gdyby nawet było inaczej, Aleks i tak nie mógłby dostrzec zrzuconego na lód trapu. Śnieg nie sypał z góry, a ze wszystkich kierunków. Powietrze nie było przejrzyste. I oddychanie bardzo bolało. Z każdą sekundą coraz bardziej. Aleksowi zdarzało się już doświadczać tak niskiej temperatury. Ale nigdy przy takim wietrze.

– Rusz się! – krzyknął Krygård, przekrzykując wichurę.

Aleks zrozumiał, że żarty się skończyły. Doktor z pewnością cierpiał jeszcze bardziej niż on. Miał na sobie cieńsze ubranie. Zastrzeli swojego więźnia bez wahania, jeśli ten będzie niepotrzebnie przedłużał opuszczenie jednostki.

Gall niewiele widział, ale wiedział, dokąd musi iść. W lewo, w kierunku burty. Ruszył więc przed siebie i po kilku sekundach wymacał węzłówkę, jedną z wielu usztywniających wznoszące się nad krawędzią pokładu nadburcie. Opierając się o nie, poszedł w kierunku rufy. Czyli właściwie do przodu, bo Modest *Musorgski* wciąż poruszał się w trybie astern. Nawet gruba, sięgająca trzech metrów pokrywa lodowa nie miała szans w starciu z potęgą azipodów i ciężarem specjalnie wyprofilowanej rufy statku. Pomimo złej pogody jednostka wciąż płynęła ze średnią prędkością trzech węzłów. To tempo, z jakim porusza się idący człowiek. Ale na pewno nie w taką pogodę.

Nim jeszcze dostrzegł otwór w nadburciu, usłyszał metalowy trap szorujący o chropowaty, nierówny lód. Ustawiono go wzdłuż burty, by się nie wyłamał. Żeby z niego skorzystać, Aleks musiał przejść na niewielką platformę wysuniętą poza obrys burty, a następnie skręcić w lewo i zejść po śliskiej powierzchni. Nie było to ani łatwe, ani bezpieczne. Główny pokład *Musorgskiego* wznosił się siedem metrów powyżej lodowej tafli. W dodatku

pracujące pełną mocą azipody generowały pęcherzyki powietrza, które prześlizgiwały się wzdłuż burty i odrzucały od niej strzaskane przez kadłub lodowe bloki. Kto nigdy nie był na takim lodzie, nie domyśliłby się, że wcale nie jest on śliski. Zwłaszcza pokryty świeżym śniegiem. Dawniej rozbijane przez lodołamacze lodowe bloki przylegały do kadłuba, niekiedy zupełnie klinując go w świeżo wyrąbanym przejściu. Bywało, że lodołamacze zostawały unieruchomione na wiele miesięcy lub że na pomoc wysyłano im kolejne jednostki. Pęcherzyki powietrza, czy to generowane przez azipody w trybie astern, czy przez specjalne dysze w trybie ahead, zmniejszały tarcie brył lodowych i powodowały, że swobodnie prześlizgiwały się one wzdłuż kadłuba.

Ten fantastyczny, przełomowy wynalazek komplikował jednak sytuację Aleksa. Odrzucane przez kadłub fragmenty lodu mogły ważyć nawet kilkaset kilogramów. Gdyby któryś go uderzył w trakcie schodzenia po trapie, jego arktyczna wycieczka skończyłaby się nawet szybciej, niż się spodziewał. Nie dawał już sobie zbyt wielkich szans na długie i spokojne życie. Ale pragnął przynajmniej spróbować. Żeby jednak spróbować, musiał przeżyć ten etap.

W połowie drogi poślizgnął się i już nie odzyskał równowagi. Zjechał po trapie na sam dół i niewiele brakowało, a wpadłby w wąską szczelinę oddzielającą lód od kadłuba. W ostatniej chwili oparł się nogami o burtę. Płynące przez szczelinę lodowe bloki przeorały mu uda, ale były na szczęście niewielkie i nie zrobiły mu krzywdy.

Odczył się kawałek w obawie, że przy samej krawędzi lód nie będzie dość mocny, by go utrzymać. Słyszał wołanie doktora, ale nie potrafił rozpoznać słów. I nie dbał o to za bardzo. Wątpił, by na pożegnanie Krygård mógł mu powiedzieć cokolwiek, co by go interesowało. Podniósł się mimo nawałnicy i przez moment spoglądał, jak ogromny, stuściędziesięciometrowy kadłub *Musorgskiego* powoli, ale nieustępliwie ucieka mu sprzed oczu. Dopiero w takich chwilach człowiek zdaje sobie sprawę, jak wielkie są maszyny, które buduje. A przecież po oceanach

plywały jednostki nawet trzykrotnie dłuższe.

Huk burzy i nieprzyjemne odgłosy miażdżonego lodu rozpięły partyturę dla tej niewiarygodnej sceny końcowej. Na dobrą sprawę w każdej chwili ekran powinien się zaciemnić i pokryć napisami końcowymi. Aleks lubił uważać, że jest w czepku urodzony. Wielokrotnie wychodził z opresji i to często takich, z których pozornie wyjścia nie było. Był awanturnikiem. Uwielbiał przygody i nie wyobrażał sobie życia bez ryzyka. Ale tym razem sprawa wyglądała beznadziejnie.

Nie czekał, aż *Musorgski* zniknie mu z oczu. Ruszył w kierunku, z którego przyплыnęli. Nawet teraz nie zamierzał się poddać. Nie miał wprawdzie żadnego pomysłu, ale reagował odruchowo. Wiedział, że przy takiej temperaturze lepiej iść, niż stać. Więc szedł. Światła statku dawały jeszcze poświatę i spoglądając w dół na własne ciało, Aleks zdał sobie sprawę, że znalazł się w świecie pozbawionym kolorów. Wszystko było białe. Lód, niebo i on sam. Kilka chwil w tej burzy sprawiło, że jego kurtka przestała być czerwona i pokryła się białym osadem. Nawet nie śniegiem. Czymś innym. Czymś jakby zamarznętym powietrzem. Może mu się zresztą zdawało?

Musorgski odpływał, a wraz z nim światło. I nagle, w jednej chwili biel zamieniła się w czerń. Poczuci się, jakby doświadczał zaćmienia słońca. Było światło, a po kilku chwilach świat rozplynął się w ciemności. Ogromne połacie lodowca wspaniale odbijają światło. Ale co, gdy nie ma czego odbijać? Aleks przypomniał sobie, jak wraz z Baldurem oglądali kiedyś jakąś hollywoodzką superprodukcję, w której oddział komandosów wtargnął do podziemnej fabryki. Fabryka była opuszczona, ale komandosi podejrzewali, że skrywają się w niej przemytnicy narkotyków. Nie mogli zapalić światła, bo nie chcieli spłoszyć przestępców. Na szczęście mieli noktowizory, które oczywiście włożyli i które rozświetliły cały świat na zielono.

- Ty, to bez sensu - powiedział z przejściem Baldur w jego głowie. - Przecież noktowizory nie tworzą światła, a jedynie je wzmacniają. Skoro światła nie ma, to nie ma czego wzmacniać.

- A ty pierwszy raz oglądasz film? - zapytał Aleks i wybuchnął

śmiechem.

Czy to już hipotermia? Obrazki z przeszłości coraz częściej wdzierały mu się do świadomości. Momentami nie potrafił rozróżnić, który świat jest prawdziwy. Ta lodowa pustynia? Czy może ciepła plaża w Acapulco, na której po jednej z misji on, Baldur i Nate siedzieli w towarzystwie swoich kompanów z oddziału AQIR. Tego, w którym razem służyli i z którym zapewne przeżyli swoje najbardziej niezwykle przygody.

Coś go zakłuło w boku. Odruchowo dotknął się w to miejsce i poczuł ból. Niezbyt silny, ale intensywny na tyle, by rozumiał, że ma na biodrze siniaka. Pewnie nabawił się go, spadając z trapu. Gdyby było ciepłej, bolałoby bardziej. Gall bardzo by chciał, żeby bolało bardziej. Raz jeszcze pomacał się po boku i choć rękawica chroniąca jego dłoń była bardzo gruba, wyraźnie poczuł, że ma coś w kieszeni. Coś w kształcie sześcianu. Nie tak dużego jak kostka Rubika, ale z pewnością większego niż zwykła kostka do gry. Sięgnął do kieszeni, jednak była zapięta na zamek. Nie dało się go otworzyć w rękawiczce. Przez chwilę rozważał, czy ją zdjąć. Z jednej strony nie spodziewał się znaleźć w kieszeni cegokolwiek, co mogłoby mu uratować życie. Z drugiej strony zdjęcie rękawicy na kilka sekund pewnie zaboli, ale też go nie zabije. W końcu się zdecydował. Ściągnął ją i natychmiast schował dłoń do kieszeni. Wyjął z niej coś, ale nie był w stanie dostrzec, co to jest. Schował dłoń z powrotem do kieszeni. Bliskość ciała sprawiła, że było w niej ciepło. Aleks poobracał w dłoni dziwny przedmiot, licząc, że wymaca coś, co mu podpowie, czym to właściwie jest i do czego służy. Przedmiot przyczepiony był do szerokiej elastycznej opaski. Obudowa była twarda. Niewątpliwie plastikowa. Przerzucając znalezisko to w lewo, to w prawo, namacał w końcu miękką fragment poszycia. Nacisnął go lekko i coś kliknęło. Nie usłyszał tego, ale poczuł. I nagle jego kieszeń buchnęła światłem.

- Czołówka! - krzyknął ucieszony. Na niewiele mu się mogła przydać, jednak perspektywa rozświetlenia wszechobecnego mroku bardzo go uradowała. Uznał, że dzięki temu będzie mógł iść trochę szybciej. Tempo jego marszu spowalniała obawa, że

wpadnie do wyrżniętego przez statek korytarza. Było tak ciemno, że nie widział, gdzie kończył się lód, a zaczynała woda.

Szybko włożył rękawiczkę, a następnie naciągnął gumkę na głowę, mocując latarkę na czole. I wtedy spotkało go rozczarowanie. Zamiast widzieć więcej, niemal zupełnie oślepl. Zobaczył to samo, co widzi kierowca włączający światła drogowe w trakcie gęstej mgły. Blask rozlał mu się po oczach, aż syknął z bólu. Zaklął, zamknął oczy i wymacał wyłącznik. Teraz, gdy wiedział już, gdzie jest, przyszło mu to z łatwością. Świat znów pogrążył się w ciemności.

Nie szkodzi – pomyślał Gall. – Włączę, gdy przestanie padać. O ile dożyję takiej chwili.

Nawet nie było mu aż tak zimno. Albo po prostu tego nie czuł. Rozgrzewał go trochę gniew. Miał ogromną ochotę dać mu się ponieść. Wywrzeszczyć swój żal. Doprowadzało go do szału, że jest taki bezsilny. Że nic nie może zrobić. Tyle razy dotąd ryzykował życie. Tyle razy porывał się na rzeczy tak absurdalne, że rozbawiona śmierć przyrządzała popcorn i zapraszała kumpli na seans, w trakcie którego niektórzy z nich trzymali nawet za niego kciuki. Świat kocha zuchwałych ludzi. Teraz Gall też potrafiłby się wznieść na wyżyny kreatywności. Znów mógłby wszystkich zaskoczyć. Znów poświęcić wszystko, by uchwycić się tej jednej jedynej szansy. Ale tej szansy nie było i nie będzie.

Zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie znajdował się w takiej sytuacji. Zawsze miał jakąś kontrolę. Zawsze coś można było zrobić. Gdy niespełna rok temu znalazł się we wnętrzu tonącego na Pacyfiku statku badawczego, potrafił wpłynąć do zalanej windy kuchennej i pokonać wewnątrz szybu piętnaście metrów. Niby nic wielkiego, ale było tam tak wąsko, że mógł używać tylko nóg. A właściwie jednej, bo drugiej przytrzymywał się ranny towarzysz. I dzięki tej eskapadzie dotarł do jedynej miejsca w statku, z którego mógł się uratować. W dodatku zabrał ze sobą dwoje ludzi. A wszystko to pomimo faktu, że nikt nie wiedział, co spotka ich po drugiej stronie, czy pomieszczenia nie są tam zalane, czy szyb nie jest zablokowany, a właz techniczny widniejący na planach w ogóle da się otworzyć. Zrobił to, bo

istniała szansa. Nieważne jak wielka. Nie potrafiłby umierać beczynn timer. Zawsze walczył do końca. Do ostatniego pomysłu.

A teraz żadnego nie miał. Jedyne ryzyko, jakie mógł podjąć, to alokacja energii. Myślał tak intensywnie i zużywał przy tym tyle energii, że nogi powoli zaczynały mu odmawiać posłuszeństwa.

I nic. Żadnego rezultatu. Żadnej choćby marnej namiastki nadziei.

A mimo to nie potrafił z siebie wykrzesać złości. Gniew tak. W pełni kontrolowany.

– Kurwa mać! – krzyknął zupełnie bez sensu. Jakby samego siebie chciał przekonać, że coś jeszcze robi, by przeżyć.

Upadł. Próbował się podnieść, ale bezskutecznie.

Że zaraz umrze, zrozumiał, kiedy naraz pośrodku całkowitej ciemności ujrzał twarz Weroniki. Była taka piękna. Patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi smutnymi oczami. Ale uśmiechała się. Jakby wiedziała, że tylko jej uśmiech może go jeszcze podtrzymać na duchu. Kochał ją. Kochał ją najbardziej na świecie. Mając trzydzieści dwa lata, nie uprawiał seksu z kobietą prawie od pięciu. Miał wiele okazji. Wyglądał zupełnie dobrze. Kobiety lubiły jego sposób bycia. A on nie potrafił się zdecydować, mimo iż przez cztery lata był pewien, że jego żona nie żyje. Gdy w końcu poznał prawdę, okazała się ona równie bolesna. Od tego czasu i on, i ona trwali w zawieszeniu. Ona nikogo nie szukała, bo chciała być z nim. On też chciał być z nią, ale nie potrafił po tym wszystkim, co mu zgotowała. Uznał, że potrzebuje czasu. I choć była to egoistyczna decyzja, ona na nią przystała. A teraz nigdy więcej się nie zobaczą. Aleks nie przeczesze już dłonią jej włosów. Nie uszczyplnie w pupę, co tak bardzo lubiła, gdy byli sami, i co tak bardzo ją złościło, gdy sami nie byli.

I nie zobaczy Anny. Dziecka, o którym zawsze marzył i które na zawsze pozostanie jego dzieckiem, chociaż spłodził je ktoś inny. Tęsknił za nimi. Tak bardzo chciałby je jeszcze zobaczyć. Albo przynajmniej móc się z nimi pożegnać. Kto wie, może dwie najważniejsze kobiety jego życia nigdy się nawet nie dowiedzą, gdzie i jak umarł. Ani dlaczego.

Ta myśl raz jeszcze sprowadziła gniew. Krygárd wygrał. Podły

skurwysyn. Wygrał. Sprzeda swój śmiertelny wynalazek i do końca życia będzie się pławić w luksusie. Wykupi sobie pakiety VIP-owskie w najlepszych kasynach świata i całe życie będzie z radością przegrywać pieniądze. Nikt nie pomści ani Aleksa, ani tych wszystkich nieszczęśników.

Odegnął od siebie te myśli. W tych ostatnich minutach życia wolał pozostać z Weroniką. Naraz usłyszał w głowie Bruno Pelletiera, intonującego pierwsze słowa *Le Temps des cathédrales* z musicalu *Notre-Dame de Paris*. Jej ulubionego. Weronika była bardzo młoda. Gdy się poznali, zaledwie osiemnastoletnia. Ale wśród jej plików muzycznych próżno było szukać Beyoncé, Rihanny czy czego tam słuchały wówczas amerykańskie nastolatki. Jako córka bogatego przedsiębiorcy miała wszystko, czego zapragnęła. Ale gdy Aleks pierwszy raz odwiedził ją w jej niewielkim waszyngtońskim apartamencie, pod telewizorem ujrzał kilkuletni odtwarzacz DVD, a obok przeszkloną szafę pełną płyt z musicalami. Tamtego wieczoru oglądali *Koty* z niesamowitą Elaine Paige w roli Grizabelli. Pamiętał, jak głupio mu było przyznać, że nie ma pojęcia o musicalach i z jak rozbijającą pobłażliwością przyjęła ten fakt. Wiedział już wówczas, ich znajomość nie była niczym więcej niż zaplanowaną przez CIA grą. Ona miała oczarować jego, a on ją. Ale oboje robili to albo bardzo nieumiejętnie, albo wprost przeciwnie. Aleks szybko zrozumiał, że granice pomiędzy realizowanymi zadaniami a prawdziwym afektem bardzo szybko się u nich zatarły. A musicale nie były wpisane do scenariusza. Weronika po prostu je uwielbiała. Dlatego z radością uzupełniał luki. Po pół roku potrafił przywoływać z pamięci poszczególne utwory, opowiadać o ich historii, a nawet czasem coś zaśpiewać. Głównie, żeby ją rozbawić. Że nie miał przed sobą przyszłości estradowej, wiedział każdy, kto dysponował słuchem sprawnym przynajmniej w pięciu procentach. W jednym uchu. Ale gdy tylko zaczynał śpiewać *La Haine* z *Romeo et Juliette*, w dodatku po francusku, który straszliwie kaleczył, a którym ona mówiła płynnie, wybuchała tak niepowstrzymanym śmiechem, że natychmiast mijała jej wszelka złość.

Aleksander Gall. Mistrz *lifelhacków*. Choć oczywiście, jak to on, zawsze musiał dodać swoje trzy grosze, co niekiedy wszystko psuło. I gdy powiedział jej kiedyś, że paryska wersja *Romea i Julii* jest absurdalna, skoro twórcy postanowili wbrew intencji Szekspira zrobić z Tybalta dziwaczego typu, który chce wyrwać własną kuzynkę, nie odzywała się do niego przez trzy dni.

Tymczasem przegląd przebojów w jego głowie trwał w najlepsze. *À boire* przechodziło właśnie w *Belle*, najślynniejszy song *Notre-Dame de Paris*, dzięki któremu Garou wypłynął na szerokie wody. Oznaczało to, że Aleks przeglądał w głowie już dwudziesty utwór. Ile mogło mu to zająć? Przynajmniej czterdzieści pięć minut. Nie przypuszczał, że w ogóle potrafi dokonać takiej rzeczy. Że jakikolwiek człowiek by to potrafił. Zdał sobie sprawę, że mimo trzydziestu dwóch lat wciąż tak niewiele wie o samym sobie. Zawsze uchodził za dziwaka. Ludzie wiele mu zarzucali. Że jest zarozumiałym dupkiem albo że ma socjopatyczne, żeby nie powiedzieć psychopatyczne, usposobienie. Ale nie ulegało wątpliwości, że był człowiekiem wybitnie uzdolnionym w wielu dziedzinach. Przede wszystkim błyskawicznie przyswajał wiedzę. Kiedyś Jerry Soto, fantastyczny człowiek i jeszcze lepszy śledczy Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, zaprosił go do współudziału w śledztwie dotyczącym katastrofy pociągu towarowego w Tiskilwa, w stanie Illinois. Stutrzydziestojednowagonowy pociąg wykoleił się na pękniętej szynie, dwadzieścia sześć wagonów wypadło z torów, a sześć stanęło w płomieniach. Trzeba było ewakuować ponad osiemset osób, bo w cysternach przewożono alkohol etylowy. Aleks nic nie wiedział wówczas o pociągach. Ale w ciągu dwóch dni przeczytał instrukcję obsługi ES44AC, lokomotywy prowadzącej skład, a że cały dokument liczył zaledwie czterdzieści stron, dorzucił do tego wszystko, co tylko znalazł o lokomotywach produkowanych przez GE Transportation, wszystko, co znalazł o Iowa Interstate Railroad – właścicielu linii i przewoźniku, a także zapoznał się z prawem przewozowym, zasadami serwisowania, trybem pracy maszyn i ludzi, technologią budowy dróg kolejowych oraz wieloma

innymi dokumentami. I w końcu to on, Aleksander Gall, znalazł tę pieprzoną pękniętą szynę.

Wszystkie te myśli zaabsorbowały go na tyle, że nie wyłapał, kiedy playlista w jego głowie uległa nieoczekiwanej zmianie. Wyraźnie słyszał teraz coś, co wprawdzie znał z radia, ale czego nie potrafił ani nazwać, ani przypisać konkretnemu twórcy. Co za cholerstwo? – pomyślał i potrząsnął głową, jakby chciał odegnać nieproszone dźwięki. Bo chciał. Zamierzał zostać z *Notre-Dame de Paris*. Zamierzał zostać z Weroniką. Ale intruz nie zamierzał się wynieść z jego głowy. Grał cichutko, ale bardzo wyraźnie. Resztką świadomości Gall uzmysłowił sobie, że nie zna tego utworu aż tak dobrze, by samemu odtwarzać go w myślach.

Drgnął. Czyżby... Czyżby Krygård się mylił? A może po prostu kłamał? Może jednak w okolicy był jakiś inny statek? Ale przecież statek to nie samochód. Nie można sobie otworzyć szyby i puścić piosenki w świat. Nie, nie. To niemożliwe. Na pewno niemożliwe.

Jednak Aleks nie działał już racjonalnie. W takich sytuacjach człowiek zaskakująco łatwo odrzuca fakty. Zignorował więc logikę, uczepiając się tej jednej myśli, która dawała mu szansę na ratunek.

Ktoś tu jest.

– Halo! – krzyknął. Natychmiast zrozumiał, że nie miał żadnych szans przebić się przez wichurę. Zerwał się i przebiegł kilka metrów, ale po chwili nogi się pod nim rozjechały i znów upadł na lód. Chwilę zbierał siły, ale nie uzbierał tak wiele, by ponownie się podnieść. Zamiast tego złapał się za głowę, a potem przesunął dłoń w dół, wprost na czołówkę. Dotknął włącznika, ale nie miał siły, by nacisnąć go odpowiednio mocno. Latarka włączyła się na kilka chwil, a gdy tylko cofnął rękę, zaraz zgasła. Zaklął w duchu. Postanowił ponowić próbę, lecz nim zdążył to zrobić, dwa potężne snopy światła uderzyły go prosto w twarz. I zaraz zgasły. Aleks nie wiedział, co się dzieje. Zacisnął zęby i raz jeszcze spróbował włączyć czołówkę. Tym razem skutecznie. Gdy mu się w końcu udało, upadł plecami na lód. Nie miał już siły. Leżał w niewielkim kręgu światła, starając się nie zamykać oczu. I po chwili, wśród nienaturalnie dużych płatków śniegu, w polu

jego widzenia przesunął się ciemny kształt. W pierwszej chwili go nie rozpoznał.

– Aleks! – usłyszał znajomy głos. Jakiś człowiek chwycił go mocno za ramiona i szarpnął w górę.

Zakręciło mu się w głowie i poczuł, że zaraz straci przytomność. Jednak kolejny raz jego duch okazał się silniejszy od ciała. Może dlatego, że zrozumiał w końcu, czym jest czarny kształt stojący obok niego.

Dodge ram.

ROZDZIAŁ 62

Choć Murmańsk to największe na świecie miasto położone za kręgiem polarnym, bywają takie lata, gdy w okresie kanikuły jest naprawdę urocze. I w dwa tysiące dwunastym roku tak właśnie było. Przez cały sierpień padało może ze dwa razy, a temperatura nie schodziła poniżej dwudziestu dwóch stopni Celsjusza.

Ale grzyb na ścianie i tak miał się bardzo dobrze.

Kobieta, która kupiła to mieszkanie zaledwie dwa dni wcześniej, była naprawdę ogromna. Miała sto dziewięćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu i niewiele mniej mierzyła wszerz. Na co dzień budziła strach wśród wielu mężczyzn, również tych, którzy na swych galowych mundurach mieli więcej wszytych orderów niż guzików. Ale gdyby tamtego dnia ktoś odwiedził ją w tej podłej, trzydziestometrowej ruderze przy ulicy Sedowej, ujrzałby małą, zapłakaną kobietkę, toczącą walkę jedynie z przemożną ochotą odkręcenia butelki wódki. Wódki, którą poprzedni właściciel zapomniał zabrać z zamrażalnika.

I ktoś taki nieoczekiwanie się zjawił.

Usłyszała pukanie do drzwi. Przez chwilę nie była pewna, czy to nie u sąsiadów. Ściany nie gwarantowały tu jakiegokolwiek intymności. Ale pukanie się powtórzyło.

– *Wchodzi* – powiedziała cicho, ale gość najwyraźniej ją usłyszał, bo drzwi wejściowe zaskrzypiały i za chwilę z przedpokoju wyłonił się niewysoki mężczyzna. Gdyby nie siedziała, wyglądałby przy niej komicznie. Rozejrzał się z zaciekawieniem po mieszkaniu.

– Witaj – powiedziała po angielsku kobieta. Bez cienia zdziwienia, jakby od dawna go tu oczekiwała. A przecież było dokładnie odwrotnie. Prędzej spodziewałaby się, że Rasputin wstanie z grobu, żeby ją odwiedzić, niż że w progu jej murmańskiego mieszkania stanie Baldur Eysturvind. A właśnie tam stał. Miał na sobie niebieską, idealnie skrojoną koszulę

z bordowym krawatem i czarne spodnie od któregoś ze znanych projektantów. Kobieta nie znała się na modzie, ale te spodnie po prostu wyglądały na drogie. W rękę trzymał czarną aktówkę.

– Witaj – odparł po rosyjsku.

– Przyjechałeś, żeby mi zrobić krzywdę?

– Nie. A ty? Zamierzasz mi zrobić krzywdę?

– Nie mam na to siły, Baldur.

– To dobrze.

– Każde z nas miało swoje zadania do wykonania.

Milczeli przez chwilę, a potem ona spytała:

– Coś cię trapi? Wyglądasz, jakbyś się nad czymś zastanawiał.

– Bo się zastanawiam. Miałem ochotę się odlać, ale...

Uśmiechnęła się lekko. Pierwszy raz od tygodnia. Doskonale wiedziała, o co mu chodzi. W jej nowej rezydencji nie było zwykłej łazienki. Ustęp stał w rogu sypialni, osłonięty niezbyt szczelną i niezbyt czystą zasłonką.

– Nie tego się spodziewałeś, co? – zapytała.

– Raczej nie. Myślałem, że ktoś taki jak ty zarabia wystarczająco dobrze, by żyć w przyzwoitych warunkach.

– Było tak. Miałam cudowne mieszkanie w Petersburgu. Dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych w kamienicy przy alei Wileńskiej. Sprzedałam pięć dni temu.

– Warte pewnie ze dwieście milionów rubli.

– Albo i więcej. Ale sprzedałam za trzydzieści.

– Masz dziwne hobby. Sprzedać mieszkanie warte trzy i pół miliona dolarów za pół miliona tylko po to, by przeprowadzić się do paskudnej rudery na zadupiu zadupia.

– Czego ty właściwie chcesz, Baldur?

– Dowiedzieć się, dlaczego to zrobiłaś. Pamiętam, jak mi opowiadałaś o swoim mieszkaniu. Uwielbiałaś je.

Kobieta nie odpowiedziała. Nie wiedziała, jak zacząć. A może po prostu nie chciała? Poznała Baldura wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że choć sięgał jej zaledwie do piersi, to nie należy do ludzi, z którymi warto się wdawać w gierki. Lubiła go i było to zupełnie absurdalne uczucie, zważywszy na to, co jej zrobił. Ale sympatia to jedno, a zaufanie to drugie.

– Co u Aleksa? – zmieniła temat. Niezbyt zgrabnie, więc mały Farer przewrócił teatralnie oczami.

– Dwa i pół roku temu stracił żonę i córkę w katastrofie lotniczej – odparł.

– Słyszałam o tym. Straszne – szepnęła.

– Od tego czasu nie mamy kontaktu. Nie wiem, co u niego.

– Kłamiesz.

– Co proszę?

– Kłamiesz, Baldur. Poznałam cię trochę. I poznałam tę waszą szczególną relację. Może i nie macie ze sobą kontaktu, ale nie wierzę, że nie otoczyłeś go dyskretną opieką.

Ale tym razem Baldur nie kłamał. Oczywiście, dowiedział się tego i owego, ale żeby się nie mieszał, poprosił go osobiście Dwayne Kowalsky. Niedawny dowódca jego i Aleksa, szef oddziału AQIR. Powiedział, że Aleks potrzebuje czasu dla siebie. Baldur nie był głupi. Wiedział, że coś się dzieje za jego plecami. Ale ta przyjaźń miała swoje reguły. Dlatego nie drażył i pozwolił Gallowi zniknąć, choć z łatwością mógłby podążać w ślad za nim. Wiedział, że gdy przyjdzie czas, przyjaciel i tak się do niego odezwie.

– Wiem tylko tyle – powiedział powoli, jakby samym swoim tonem chciał dać do zrozumienia swojej rozmówczyni, że i tak mówi jej dużo za dużo – że bada teraz wypadki.

– Jakie wypadki?

– Lotnicze, kolejowe, morskie, drogowe. Wszystko, co popadnie.

– Mam nadzieję, że sobie poradzi.

– Na pewno. Ale jeśli myślałaś, że się nie zorientuję, to pomyłka.

– Nie rozumiem.

– Że zmieniłaś temat. Dlaczego sprzedałaś mieszkanie?

– Nie chcę o tym mówić.

– Dobra, to może sam zgadnę?

– Skoro chcesz.

– Napadowa nocna hemoglobinuria?

Spojrzała na niego i zrobiła minę. Teraz dopiero uzmysłowiła sobie, że przecież nie odwiedził jej na samym końcu świata ot tak sobie. Wiedział wszystko.

- Powiedziałaś, że nie przyjechałaś mi zrobić krzywdy.
- Bo nie przyjechałam.
- Ale zmuszasz mnie do bolesnych wynurzeń.
- Przepraszam. Mów.
- Nie wiesz?
- Nie wszystko.
- Czego nie wiesz?
- Córnka?
- Wnuczka.
- Kiedy?
- Tydzień temu.
- Szybko działasz.
- Nie miałam wyjścia. Leczenie trzeba zacząć jak najszybciej.
- Wkurwia mnie to - powiedział Baldur, a w jego głosie po raz pierwszy tego popołudnia dało się usłyszeć rozdrażnienie.

- Co takiego? - zapytała kobieta.

- To, że co chwila media donoszą nam o jakimś wspaniałym wynalazku. Jakimś cudownym leku, który da w końcu nadzieję, by wyleczyć nieuleczalną dotąd chorobę. Tylko nie mówią nam, że terapia tym pierdolonym lekiem będzie kosztować pół miliona dolarów. Jak się to gównu nazywa? Soliris?

Kobieta rozłożyła ręce. Po policzku popłynęła jej łza. Ale szybko otarła ją rękawem.

- Nie jest tak źle, Baldur. Sprzedałam mieszkanie i wyczyściłam konto, ale zebrał się z tego prawie milion dolarów. Moja wnuczka będzie miała najlepszą opiekę. Wiele innych dzieciaków nie ma takiej szansy.

- Ile ci zostało?
- A, jakieś dwieście dolarów.
- Niewiarygodne.
- Zarabiam sto tysięcy dolarów rocznie, Baldur. Za pół roku kupię coś lepszego. Jakoś się przemęcę w tej klitce. I tak więcej mnie tu nie będzie, niż będę.

Podszedł do niej i kucnął tak, by zajrzeć jej w oczy.

- Chodzi o to - wyjaśnił - że ja potrzebuję tego mieszkania.

Spodziewał się, że jakoś zareaguje, ale ona jedynie zamrugnęła.

– Nie rozumiem – powiedziała, patrząc na niego ze zdumieniem.
– Potrzebuję tego mieszkania. Chciałbym, żebyś je opuściła.
– A po co ci taka rudera?
– Może i rudera, ale ma dobry widok na miasto. Wyremontuję je sobie.

– Zamierzasz mnie stąd wyrzucić? Wiem, że dysponujesz ciekawymi umiejętnościami. Pewnie gdybyś chciał...

– Tak – uciął. – Zamierzam cię stąd wyrzucić.

– Tak po prostu? Na ulicę?

– Źle mnie zrozumiałaś. Chcę się zamienić.

– Na co?

– Na to – powiedział, otwierając aktówkę. Wyjął z niej zieloną papierową teczkę i rzucił na kolana swojej rozmówczyni.

Otakowała go badawczym wzrokiem, a potem westchnęła i niezgrabnymi ruchami otworzyła teczkę. Gdy w końcu zrozumiała, co widzi, z jej ust wydobył się pojedynczy cichy jęk.

– Nic nie powiesz? – zapytał Baldur.

– Skąd...

– Ja go kupiłem – odparł z uśmiechem. – Twój apartament przy alei Wileńskiej.

– Jak...?

– Może nie wiesz, ale, że tak powiem, kolekcjonuję apartamenty. A w Petersburgu jeszcze żadnego nie posiadałem. Mam brokera, który zbiera dla mnie najlepsze oferty z całego świata. Twojej po prostu nie dało się przegapić. Poznałem to mieszkanie od razu. Pokazywałaś mi kiedyś zdjęcia. Pamiętasz?

– Tak, ale...

– Kupiłem od razu, żeby ktoś go nie przejął.

– I teraz chcesz go wymienić na tę dziurę? Wiesz, że dałam za to sześćset tysięcy rubli? To tylko odrobinę więcej niż dziesięć tysięcy dolarów, Baldur.

– Nie szkodzi. Potrzebuję tego mieszkania. A tamtego nie. Uznałem, że jednak jest nieco za duże jak na moje skromne potrzeby.

– A nie możesz go po prostu dla mnie przetrzymać? Za kilka lat będę w stanie je od ciebie odkupić za cenę, którą zapłaciłeś.

- Nie mam na to czasu.
 - Nie wierzę.
 - Poza tym z przyjemnością dołożę się do terapii twojej wnuczki.
 - Baldur...
 - Mój prawnik umówi się z tobą na wymianę papierami. A jak będziesz wychodzić, zostaw mi klucz w skrzynce na listy, dobrze?
- I już go nie było. Wyszedł z silnym przekonaniem, że nigdy więcej nie wróci w to miejsce. A Jekaterina Aleksandrowna Jegorowa rozplakała się na dobre.

ROZDZIAŁ 63

– Twoja mina to jedno z najfajniejszych trofeów, jakie mi się w życiu trafiły. – Nathaniel Kao zaśmiał się, rozmasowując dłonie. Bardziej odruchowo niż z powodu zimna. Silnik rama pracował i temperatura w środku była bardzo przyjemna. Aleks pociągnął łyk herbaty wprost z termosu. Nie była już gorąca, ale nadal przyjemnie rozgrzewała podniebienie.

– Wiele numerów mi wyciąłeś w życiu – powiedział wciąż jeszcze słabym głosem – ale ten jest chyba najlepszy. Na dobrą sprawę ciągle nie jestem pewien, czy to aby nie agonia. Może mam zwiady.

– I słyszysz głosy?

– No właśnie.

Kao ponownie się zaśmiał. Czuł się wspaniale. Przez ostatnie godziny bardzo się martwił o Aleksa. Nie był pewien, czy wszystko pójdzie tak, jak sobie wymyślił. Wprawdzie plan był niezły, ale tylko w teorii. Na dobrą sprawę lista rzeczy, które mogły się spieprzyć, była znacznie dłuższa niż argumentów za tym, że wszystko się uda. Teraz, choć już rozluźniony, wciąż jeszcze spoglądał na przyjaciela z podwyższoną czujnością. Poprawił koc, który Aleks zarzucił sobie na plecy i w którym jeszcze kilka chwil musiał posiedzieć. Tak na wszelki wypadek. Hipotermia była blisko, ale Gall miał fantastyczny organizm.

– Dowiem się w końcu, co robisz na samym środku Oceanu Arktycznego? – zapytał Aleks.

– Testuję rama. Zastanawiałem się, czy sobie takiego nie sprawić.

– No tak. Że też w ogóle zapytałem.

– Nie domyślasz się?

– A muszę? Jestem zmęczony, Nate.

– No dobra. Ale to prosta sprawa, Aleks. Krygård to dureń. Właściwie od tego trzeba zacząć. Uspić cię w swoim gabinecie,

a potem się zorientował, że przy samym wejściu do jego kliniki stoi twój ram. Uznał, że jeśli samochód tam zostanie, to szybko powiążemy twoje zniknięcie z jego osobą. Dlatego wpakował cię do tego pudła i zawiózł do Marstrand. Ma tam prywatny port i jakieś magazyny. Czy też może raczej laboratoria. Ale już sobie nakręcił spiralę strachu. Gdy dotarliście na miejsce, uznał, że tam też nie może zostawić rama. W sumie nawet go rozumiem. Biorąc pod uwagę, co on tam przetrzymywał. Zrozumiał, że gdyby zostawił auto w Marstrand, to równie dobrze mógłby nam wysłać mail ze swoją lokalizacją. On już chyba załapał, że jesteśmy niezli w te klocki i bez problemu znaleźlibyśmy samochód. W związku z tym postanowił, że po prostu zabierze rama ze sobą. Aaa, bo ci nie powiedziałem. W Marstrand czekał już na was statek. Załadowali rama do kontenera i wrzucili na pokład.

- Rozumiem – powiedział Aleks, okręcając się szczerzej kocem.
- A ty skąd wiesz o tym wszystkim?
- Podśлуchałem.
- Kogo?
- Dobra, czekaj. Teraz mała pauza i zmieniamy trochę czas i miejsce akcji.
- Nate, litości!
- No już, już. Rano pojechałem do portu, żeby wykraść telefon Bergmana. Nawiasem mówiąc, misja zakończyła się sukcesem.
- W to ani przez chwilę nie wątpiłem.
- Ale trzeba przyznać, że to było łatwe. Komórkę zdeponowano w biurze kapitanatu. W Göteborgu nie ma portu marynarki wojennej, więc statki marynarki przybijają do nabrzeża przy Emigräntvagen. Dokładnie naprzeciw budynku Amerikaskjulet, gdzie mieści się kapitanat. Bułka z masłem. Kiedy wróciłem, Baldi powiedział mi, że pojechałeś do doktora, i wysłał mnie za tobą. Domyślny jest ten nasz grubasek. Od razu mu się nie spodobała ta kreatura. Ale u doktora już cię nie było. Na szczęście, jak już wspominałem, Krygård jest durniem i zabrał rama.
- A ram, jak to każda zabawka Baldura, ma pewnie milion

nadajników.

– A skąd – mruknął Nate – przecież wiesz, że to nie jest jego auto.

– Faktycznie. Mówił mi o tym.

– Nie ma tu żadnych zabawek.

– Więc...

– W przeciwieństwie do twojej komórki. Ona, w rzeczy samej, jest wyjątkowo interesującą zabawką.

– No tak! – krzyknął Gall. – Komórka Baldura! Zostawiłem ją w schowku, bo się ładowała.

– Baldi szybko cię namierzył, a ja pojechałem za jego wskazaniem. A gdy się okazało, że jesteś na jakimś dziwnym statku, który w dodatku szykuje się do wyjścia w morze, wiedzieliśmy, że trzeba działać.

– Rozumiem, że jak zwykle wbiłeś się nieproszony na imprezkę.

– No właśnie. Ten cały *Musorgski* to całkiem duża krypa. Bez problemu znalazłem tam sobie swój kącik. Ale też pozakładałem trochę podsłuchów, kamerek i takich tam dupereli.

– Skąd je miałeś?

– A co ty sobie myślisz? Zawsze mam przy sobie to i owo. Jestem profesjonalistą.

– No tak. Mogłem się domyślić.

– W każdym razie podsłuchiłem kilka ciekawych rzeczy. Między innymi twoją rozmowę z doktorkiem. Przyznam, że miałem ciary. Zwłaszcza gdy powiedział, ile to gówno jest warte...

– Ile?

– Co ile?

– Ile to jest warte? Mnie tego nie powiedział.

– No, w rozmowie z kapitanem powiedział, że mają na pokładzie dziesięć miliardów dolarów.

Aleks próbował gwizdnąć, ale mu za bardzo nie wyszło. Usta wciąż jeszcze nie nabrały odpowiedniej elastyczności.

– Już pierwszego dnia się dowiedziałem, że zamierzają cię, za przeproszeniem, zostawić na lodzie. Nie wiedziałem tylko kiedy. Musiałem szybko opracować jakiś plan. Pojawiło się w tym

wszystkim bardzo dużo zmiennych, na pewno mieliśmy trochę szczęścia, ale ostatecznie wiedziałem, co trzeba zrobić. Na początek czekać.

- Na co?

- Na to, aż cię obudzą. Wiedziałem, że obudzą cię tylko po to, żeby wystawić za burtę. W końcu to nastąpiło. Podśledzałem Krygårda, jak kazał swoim ludziom poczynić przygotowania. Wtedy trzeba było wykonać pewien sprytny manewr.

- Nate, kurwa mać, nie jesteś reklamą na portalu informacyjnym.

- Że co?

- „Pewien sprytny manewr”, „jeden niecodzienny trick”, „jedna dziwna metoda”.

- „Branża porno go nienawidzi”. Rozumiem, rozumiem.

- Do rzeczy.

- Dałem znać Baldiemu, a on...

- Jak to dałeś znać?

- No... Przecież z telefonów Baldiego można dzwonić przez satelitę. Co ty, nie wiedziałeś? Od jak dawna masz taki telefon?

- Naprawdę?

- Nieważne, słuchaj dalej. No więc zdobyłem numer telefonu satelitarnego doktora. Baldi do niego zadzwonił i powiedział mniej więcej coś takiego, że ram był wcześniej pod jego kliniką, a teraz niespodziewanie jest na Oceanie Arktycznym i niech mu to doktorek wyjaśni. Doktorek oczywiście nic nie wyjaśnił, za to zrozumiał, że samochód ma nadajnik GPS.

- Chociaż wcale nie ma.

- No właśnie. Ale doktor myślał, że ma. Więc zrobił dokładnie to, na co liczyłem. Natychmiast postanowił się pozbyć rama.

- A nie zdziwiło go, że Baldur zna numer jego telefonu satelitarnego?

- Coś ty. Mówię ci, zesrał się ze strachu. Wiesz, jak jest. Kto choć trochę pozna Baldura, ten wie, że naprawdę lepiej go nie wkurwiać. W każdym razie tutaj mieliśmy trochę szczęścia. W Marstrand do załadunku kontenera wykorzystano niewielki dźwig burtowy. Najprawdopodobniej tak było najszybciej.

Musorgski wyposażony jest również w duży dźwig na rufie. Ale on obraca się tylko o dziewięćdziesiąt stopni w lewo i tyle samo w prawo. I do miejsca, gdzie ustawiono kontener z ramem, po prostu nie sięgał. Dlatego żeby wywalić auto za burtę, musieli wykorzystać ten sam dźwig burtowy, którym załadowali je na pokład. A to dość toporna maszyna. Główny dźwig na rufie jest elektromagnetyczny, a to burtowe gówno po prostu miało zwykły hak. Kontener był już opleciony stalową liną, bo oplekli go w Marstrand. Więc tylko podczepili hak i wio za burtę. Ale tak podczepionego ładunku nie dało się zwolnić w powietrzu, bo lina była za mocno naprężona. Musieli więc postawić kontener na lodzie i dopiero wtedy to zrobić. I dzięki temu nie rozwalili nam rama. Bo gdyby go podnosili tym rufowym, to...

– Rozumiem.

– No to wszystko już wiesz. Ja się ewakuowałem kwadrans później, zabierając palnik acetylenowy, ciuchy, koce, trochę zarcia i dwa termosy z herbatą. Bałem się tylko jednego.

– Że ram nie odpali.

– Właśnie. Trochę stał na zimnie. Mam na myśli naprawdę skurwysyńskie zimno. Ale najwyraźniej kontener zapewnił mi odpowiednią ochronę. Odpalił od pierwszego kopa. Oczekałem trochę i ruszyłem za śladem. Nie mogli mnie zobaczyć. Jak jeszcze było w miarę widno, to jechało się dość łatwo. Lód jest gładki, choć czasami trzeba było omijać drobne bariery lodowe. Trudniej się zrobiło, gdy zapadła ciemność. Właściwie to naprawdę strasznie. Nie mogłem zapalić lamp, bo mogliby się zorientować. A bez nich nic nie widziałem. Jechałem trochę na czuja, ale bałem się, że zjadę do wody. W dodatku martwiłem się, że cię przegapię. Dlatego włączyłem muzykę. Mówię ci, ta burza śnieżna kompletnie rozstroiła mi nerwy.

Aleks uśmiechnął się i poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Zafunduję ci kilka wizyt u psychoterapeuty. Chcesz? – zapytał, a Kao skrzywił się teatralnie.

– Śmieję się śmieję – odparował. – Ale wiesz, że masz fart życia. Przejechałem za tobą trzydzieści kilometrów. A od dwudziestu pięciu pali się rezerwa. Najwyraźniej dawno nie tankowałeś.

A ram dużo pije. Twoje szczęście, że tempo statku w lodzie jest bardzo powolne.

Aleks dopił herbatę. Zrobiło mu się przyjemnie. Próbował znaleźć na termosie nazwę producenta. Skoro trzymał ciepło tak długo, to musiał być naprawdę produktem najwyższej jakości. Niestety producent się nie podpisał.

– No dobra. To co teraz?

– Czekamy.

– Na co?

– Jak to na co? Na Baldiego. Jest gdzieś w pobliżu.

– Niemożliwe... Chociaż w sumie z nim wszystko jest możliwe. W każdym razie Krygård twierdził, że na akwenie nie ma żywego ducha.

– Rozbrajasz mnie, Aleks. Wystarczy wyłączyć transponder.

Czekali jednak dość długo. Gall nie umiał powiedzieć ile, ale gdy odsiecz w końcu się zjawiała, ram od dwóch godzin nie pracował, bo skończyło się paliwo. Na zewnątrz nieco się przejaśniło, jeśli można tak mówić o poranku podczas nocy polarnej. Aleks po raz kolejny przekonał się, jak przewidującym człowiekiem jest Nate. Uchodząc z *Musorgskiego*, zabrał tyle ciepłych ubrań, ile udało mu się znaleźć. Mając na sobie po dwie ciepłe kurtki i kryjąc się pod grubymi kocami, nie odczuwali zimna. Ram zaparował od środka, ale skutecznie chronił przed mroźnym wiatrem. Komórka Nate'a nadawała pozycję, a gdyby nawet się rozładowała, Baldur znał ich ostatnią pozycję. A oni nie mieli zamiaru się z niej ruszać. Trzeba było tylko poczekać.

I w końcu się doczekali. Choć nie mogli nic dostrzec przez zaparowane szyby, przeszywającej syreny okrętowej przegapić się nie dało. Trzy krótkie sygnały. Według trzydziestego piątego prawidła Międzynarodowych Przepisów o Zapobieganiu Zderzeniom na Morzu, dotyczącego sygnałów dźwiękowych w trakcie ograniczonej widoczności, nie znaczyło to kompletnie nic. Ale podziałało. Aleks i Nate kilka chwil mocowali się z drzwiami, bo te przymarzły do gumowych uszczelki, ale w końcu wydostali się z pojazdu. I ujrzeli coś, czego nie spodziewał się żaden z nich.

– Czy to jest... – zaczął Aleks.

– O kurwa – skończył Nate.

Przed ich oczami wznosiła się potężna, czarna burta rosyjskiego lodołamacza atomowego klasy *Arktika*. Na całej długości pokrywał ją biały napis Rosatomflot. Jednostka miała prawie dwadzieścia sześć tysięcy ton wyporności, sto sześćdziesiąt metrów długości i trzydzieści szerokości. Antena radarowa, najwyżej zlokalizowany punkt statku, wznosiła się trzydzieści trzy metry nad poziomem lodu. A stępka ułożona była czterdzieści cztery metry niżej. Jedenaście metrów pod wodą. W ponad stu pięćdziesięciu kabinach mieszkało od stu do stu sześćdziesięciu członków załogi. W zależności od rejsu i zapotrzebowania na ręce do pracy.

Aleks doskonale znał tę jednostkę. Był już na niej. A nawet ją ukradł. Zadarł głowę. Wysoko na potężnej skutej lodem burcie spodziewał się dostrzec wymalowany cyrylicą napis *Matuszka*. Ale tak się nie stało. W pierwszej chwili nie rozróżnił literek. Dookoła panował mrok, a nazwa jednostki była nieco przytarta. W końcu jednak udało mu się ją odcyfrować. *Balto*.

Zaledwie kilka minut później załoga lodołamacza opuściła zielony trap okolony czerwoną balustradą. Zjechał z pokładu dokładnie w połowie długości kadłuba. Gdy tylko zaczęli się na niego wspinać, ujrzeni na górze Baldura. Wyskoczył na schody i pobiegł im na spotkanie.

– Kurwa mać – rzucił serdecznie na przywitanie.

– Wszyscy zdrowi – odparł Nate.

– Masz to?

– Wiadomo – powiedział Nate i wyciągnął z kieszeni pudełko rozmiarów dużego portfela.

– Schowaj, durniu, bo zamarznie. I nie róbcie mi więcej takich numerów. Chcecie, żebym osiwiiał?

– I tak wkrótce osiwiejesz. – Aleks się zaśmiał. – O ile najpierw nie wyłysiejesz.

– Jeszcze słowo, a wykopię cię z powrotem – syknął Farer, ale zaraz potem się roześmiał. Należał do tych ludzi, którzy nigdy nie mieli żadnych problemów ze sobą. Lekka nadwaga? I co z tego?

Trzydzieści osiem lat? Wielkie halo. Łysiejący czerep i zabawne okulary na nosie? Nie on pierwszy i nie ostatni. Powodzenia u płci pięknej mógłby mu pozazdrościć nawet Hugh Hefner. Tym bardziej że Hugh był po postu bogaty. A Baldur był i bogaty, i szalenie interesujący.

Gdy w końcu dotarli na burzę, Aleks przekonał się, że pamięć go nie myliła. Że stał na statku, który doskonale znał.

– Mój największy wróg i najdroższy przyjaciel! – huknęła potężna kobieta, która wyszła mu na spotkanie. Była ogromna, ale nie gruba. Jasne, gęste włosy zaplotła w warkocz, który zawinęła wokół głowy. Patrzyła na przybyszy z przyjaznym wyrazem twarzy, zupełnie niepasującym do jej postury.

– Lodowa Caryca! – krzyknął Aleks, rozkładając ramiona. I już za chwilę tonął w nich jak świnka morska w czułym uścisku boa dusiciela.

ROZDZIAŁ 64

Jekaterina Aleksandrowna Jegorowa urodziła się pod koniec lat pięćdziesiątych w Petersburgu, wówczas zwanym jeszcze Leningradem. Wedle relacji matki była jednym z wielu nieślubnych dzieci bohatera Związku Radzieckiego, dwukrotnego zdobywcy Orderu Czerwonego Sztandaru i pośmiertnie Złotej Gwiazdy Aleksandra Iwanowicza Marineski, który wsławił się tym, że w trakcie zaledwie jednego rejsu bojowego zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku dowodzony przez niego okręt podwodny S-13 zatopił na Bałtyku transportowiec Kriegsmarine MS *Wilhelm Gustloff* i transportowiec SS *General von Steuben*, posyłając na dno być może nawet piętnaście tysięcy wrogów Związku Radzieckiego. Historycy wciąż nie potrafią ustalić odpowiedniej liczby. Jekaterina Aleksandrowna nie wiedziała, czy przez te wszystkie lata matka mówiła jej prawdę, czy tylko fantazjowała. Ale lubiła żyć życiem córki bohatera. Dlatego nerwowo reagowała, gdy zwracając się do niej, pomijano otczestwo.

Od najmłodszych lat wiedziała, że skończy na morzu i faktycznie, tak właśnie się stało. W wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat objęła dowodzenie pierwszym w historii lodołamaczem o napędzie atomowym. MS *Lenin* był dla niej statkiem szczególnym. Zwodowano go tego samego dnia, gdy ona przyszła na świat. Piątego grudnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Pływała na nim siedem lat, aż ktoś w dowództwie uznał, że wysłużona łajba bardziej nadaje się na statek muzeum niż do czynnej służby. Później na krótko objęła *Jamala*, starą jednostkę klasy *Arktika*, której kazała wymalować na dziobie słynną uzębioną paszczę, a gdy w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku wprowadzono do służby dwie ostatnie jednostki tej klasy, *50 Liet Pobiedy* i *Matuszkę*, objęła komendę nad tą ostatnią. Już wówczas

nazywano ją Lodową Carycą.

Siedemnastego listopada dwa tysiące ósmego roku niewielki amerykański statek badawczy *George Worthylake*, nazwany tak po pierwszym amerykańskim latarniku, który zginął na służbie, zapuścił się nieco za daleko w głąb rosyjskiej wyłącznej strefy ekonomicznej na Morzu Czukockim. Mieli pecha, bo w rejonie bujała się na fali jednostka Bieregowej Ochrony z Anadyru. Do spotkania doszło dziewiętnaście mil morskich na północ od Uelen. A rosyjscy strażnicy wybrzeża to nie są sympatyczne misie, jak ci z USS Coast Guard. Amerykańscy naukowcy tłumaczyli się awarią, więc uczynni żołnierze, nie zważając na protesty, wzięli jednostkę na hol i doprowadzili do odległego o czterysta czterdzieści mil morskich portu w Peweku. Załoga została zatrzymana, a statek trafił do doku. Oczywiście natychmiast zaczęła się wymiana not dyplomatycznych pomiędzy Rosją a Stanami Zjednoczonymi. Te ostatnie żądały natychmiastowego uwolnienia statku i załogi. Rosjanie stanowczo zaprzeczyli, jakoby Amerykanie zostali w Rosji uwięzieni. Ale odesłania ich do domu odmówili. „Nie, niestety w chwili obecnej statek nie może zostać wypuszczony. Morze Wschodniosyberyjskie jest zamrożone”. „Nie, Federacja Rosyjska nie dysponuje w tym momencie lodołamaczem, który podjąłby się tego zadania”. „Nie, Marynarka Stanów Zjednoczonych nie może przysłać swojego lodołamacza, ponieważ strona rosyjska uważa, że mogłoby to zaszkodzić środowisku naturalnemu”. Absurdalne wykręty trwały w najlepsze. Ostatecznie ludzi zwolniono i polecieli oni przez Władywostok do Anchorage. Tu też Rosjanie wykazali się fantazją i zamiast dwóch tysięcy kilometrów droga naukowców do domu wyniosła niemal pięć razy więcej. A gdy już dotarli na amerykańską ziemię, zaczął się dyplomatyczny koncert, w którym pierwsze skrzypce grali ambasadorowie obu krajów. Tyle że Amerykanie lubią głównie swoją muzykę. To był moment, w którym rosyjska dominacja w Arktyce stała się wysoce niepokojąca. Dowództwo US Navy postanowiło podnieść poprzeczkę. Ustalono, że Rosjan należy pokonać ich własną

bronią. Potrzebny był zakładnik, który ułatwiłby negocjacje. Wybór padł na lodołamacz atomowy *Matuszka*. Największy i najnowocześniejszy, jakim wówczas dysponował Rosatomflot. Wykonanie zadania powierzono oddziałowi AQIR.

Siódmego grudnia do licznej załogi *Matuszki* dołączyło trzech naukowców. Polski glaciolog doktor Przemysław Romański, farerski oceanograf, specjalista w zakresie fauny Arktyki, profesor Norðan Bjarkarskon, oraz student Państwowego Uniwersytetu Morskiego w Błagowieszczeńsku, Rosjanin o buriackich korzeniach, Jewgienij Rodionow. Zaledwie dwudziestodwuletni, ale świetnie się zapowiadający klimatolog. Wszyscy zameldowali się w Pietropawłowsku Kamczackim, przedstawiając doskonałe referencje i bogaty dorobek naukowy.

Wyprawa miała zająć trzy miesiące i przez środek Arktyki doprowadzić załogę aż do Murmańska. Ale *Matuszka* nigdy nie dotarła do celu. Noc sylwestrową załoga i statek spędzili w Prowidienii. Gdy pierwszego stycznia rano nie do końca jeszcze przyswajający rzeczywistość marynarze i naukowcy pojawili się na nabrzeżu, ich oczom ukazała się pusta keja. Aleks, Baldur i Nate, oraz czterech marynarzy, którzy w tajemnicy przybyli do Prowidienii zaledwie dobę wcześniej, okrążali właśnie Wyspę Świętego Wawrzyńca i kierowali się na północ. Pięciu marynarzy wachtowych, pechowców, którzy zamiast świętować nastanie Nowego Roku, wyznaczeni byli do pilnowania jednostki, zostało uwięzionych w dużym koferdamie na dziobie. To było proste zadanie. Amerykańska wyłączna strefa ekonomiczna rozciągała się zaledwie pięćdziesiąt mil morskich od Prowidienii. Statek trafił do doku w Nome i tam oczekiwał na dalsze ruchy na linii Kreml – Biały Dom.

Jekaterina Aleksandrowna nigdy nie pogodziła się z utratą jednostki. Po pierwsze dlatego, że niewdzięczną wachtę przydzieliła najmniej doświadczonym marynarzom, a sama noc sylwestrową przeżyła w pobliskiej remizie, gdzie dla załogi *Matuszki* przygotowano specjalny bankiet. Po drugie dlatego, że kradzieży dokonali ludzie, do których w ciągu ostatnich tygodni zapałała prawdziwą i zdawało się, że odwzajemnioną sympatią.

A po trzecie, nikt na świecie nie miał prawa ukraść statku Jekaterinie Aleksandrownej Jegorowej!

Trzy i pół miesiąca później *Matuszka* w tajemniczy sposób zniknęła z doku w Nome. W toku śledztwa okazało się, że ogromnych rozmiarów kobieta kilkakrotnie widziana była w miasteczku. Statku nigdy nie odnaleziono.

A teraz Aleks ponownie stał na jego pokładzie. Nie miał wątpliwości, że pomimo zmienionej nazwy to dokładnie ta sama jednostka. Poznał ją dość dobrze.

Rosyjscy marynarze zaopiekowali się nimi jak należy, nawet mimo faktu, że wielu z nich doskonale pamiętało trójkę fałszywych naukowców. Aleks ze zdumieniem zauważył, że jego obecność na pokładzie jest raczej pretekstem do żartów i wspomnień niż jakichkolwiek wypominań. Nawet Borys Nietugow, bosman, z którym miał niewielkie spięcie na samym początku rejsu, teraz wystartował do niego z pełnym kieliszkiem w rękę, twierdząc, że skoro jego wachta zaczyna się dopiero za pięć godzin, to przecież może się napić z przyjaciółmi. Aleks przyjął kieliszek, ale nim zdążył wypić, Baldur chwycił go za ramię.

– Nie teraz – powiedział. – Musimy coś jeszcze zrobić.

– Zapraszam do mojego gabinetu – powiedziała Lodowa Caryca i ruszyła w kierunku drzwi.

Krwistoczerwona nadbudówka *Matuszki*, czy też raczej *Balto*, ciągnęła się przez całą długość statku. Na rufie była dość wąska i liczyła sobie dwa poziomy. Kilkanaście metrów dalej zyskiwała trzy kolejne i tę wysokość zachowywała aż do śródkręcia, gdzie rozdymała się do szerokości całego pokładu i wzrastała o jeszcze dwa piętra. Z daleka przypominała wielką socrealistyczną kamienicę wrzuconą do morza. I faktycznie, w jej przepastnych czeluściach nawet podczas mijania bieguna północnego człowiek czuł się jak w domu. Było tam czterdzieści sześć podwójnych kajut o standardzie dobrego hostelu i osiemnaście apartamentów różnej klasy, przy czym te najbardziej okazałe w niczym nie ustępowały najlepszym moskiewskim i petersburskim pokojom hotelowym. A z pewnością gwarantowały ciekawszy widok

z okna. Prócz tego nadbudówka mieściła dużą restaurację, bar i salon dzienny, bibliotekę, basen z sauną, siłownię, szpital, a nawet salon masażu i boisko do siatkówki.

Z pokładu weszli do szerokiego korytarza, w którym po stronie lewej burty zlokalizowano windę. Wjechali na przedostatnie piętro. Tam, na ścianie czołowej, dokładnie pod mostkiem znajdowało się dwoje drzwi. Te po lewej stronie prowadziły do prywatnego apartamentu Jekateriny Aleksandrownej, a te po prawej do jej gabinetu. Właśnie do tych drugich skierowali swe kroki. Kapitan przyłożyła kartę i weszli do środka.

– Dawaj – powiedział Baldur do Nate’a, sięgając do czarnej torby leżącej na stoliku. Wyjął z niej dużego i ciężkiego laptopa.

– Co to ma być? – jęknął Nate.

– Komputer. Masz ten dysk?

– Mam, ale nie zadziała. Przecież to pecet.

– Nie. To Hestur. Nie pamiętasz już?

– Gubię się w tych twoich wynalazkach.

– W tym pudełku siedzą trzy systemy operacyjne. Nowa „winda”, macOS i Ubuntu.

– Przecież to niemożliwe.

– Ty sam jesteś niemożliwy. – Baldur westchnął, wciskając jakąś kombinację klawiszy. Ekran natychmiast się rozświetlił. Aleks pamiętał, że Hestur jest piekielnie szybki.

– Chłopaki, co wy właściwie robicie? – zapytał.

– Poczekaj – poprosił Nate, podając Baldurovi dysk zewnętrzny. Ten sam, który Aleks widział, gdy wchodzili po trapie. Farer wpiął dysk do komputera i odpalił aplikację Time Machine.

– Trochę to potrwa – powiedział.

– Jak to? – zapytał zaskoczony Nate. – Myślałem, że ten twój komputer...

– Mój komputer to jedno, a dysk, który ukradłeś, to drugie.

– Nie było innego!

– Wiem, wiem. Ale widzę, że szybko idzie. System musiał być niemal zupełnie goły.

– O czym wy mówicie? – zapytał Aleks.

– Powiedz mu, a ja wszystko przygotuję – zarządził Baldur.

– *Musorgski* to jeden wielki materiał wybuchowy – rzucił Nate.

– Co? – Aleks nie zrozumiał.

– No przecież mówię. Cały statek jest zaminowany. Rozumiesz? Boją się. Są przygotowani, by zniszczyć jednostkę, gdyby w jakiś sposób doszło do rozszczelnienia laboratorium. Teraz to już nie ma żartów. Gdy wieźli fracht do Szwecji, mogli być względnie spokojni. Jeśli dobrze zrozumiałem ten naukowy bełkot doktorka, to nosiciele nie zarażali aż przez czterdzieści siedem dni. Ale teraz to coś innego. Wiozą wirusa, który w każdej może zaatakować.

– Fiodor Markow, skurwysyn! – huknęło im za plecami. Gall obejrzał się i zobaczył nachmurzone oblicze Jekateriny Aleksandrownej. – Wiem wszystko. Baldur mi opowiedział. I znam kapitana *Musorgskiego*. Trudno o większą mendę w całej naszej flocie. Wcale mnie nie dziwi, że to akurat on prowadzi ten rejs. Pijak, łajdak i podła gnida.

Co oznaczało prawdopodobnie, że Jekaterina Aleksandrowna miała z nim kiedyś romans. O podbojach Lodowej Carycy krążyły legendy i to bynajmniej nie tylko na statkach o nazwach pisanych cyrylicą. Kiedy została wdową w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, ruszyła na niekończące się łowy. Swego czasu Aleks podejrzewał, że w trakcie krótkiej misji na Matuszce Baldur również uległ jej niewątpliwym wdziękom. Ale nigdy nie zapytał o to swojego przyjaciela, a przyjaciel nie raczył się pochwalić.

– No dobra – powiedział Gall. – Mamy zaminowany statek. I co w związku z tym?

– A to – odparł Nate – że system może aktywować tylko jedna osoba. Doktorek. Ze swojego lśniącego jak psie jaja macbooka.

– O, robi się ciekawie. Rozumiem, że z tego, który jakimś trafem znalazł się pod moim materacem? – zdumiał się Aleks.

– Dokładnie tego samego – odparł Nate. – Przez Internet. Nie miałem za dużo czasu, żeby wyeksportować kopię zapasową systemu przez Time Machine. Zrobiłem to, gdy wy ucinaliście sobie pogawędkę w mesie. Ale nie zdążyłem już odnieść

komputera na miejsce.

– Nie mogłeś go po prostu zabrać ze sobą?

– Pewnie, że mogłem. Ale chyba nawet Krygård nie jest aż tak głupi, żeby nie dezaktywować systemu, po tym jak mu zajebano detonator, no nie? Musiał odzyskać komputer.

– Ale my mamy kopię systemu – rzekł triumfalnie Baldur. I faktycznie. Na ekranie Hestura pojawiło się okienko żądające hasła.

– Spróbuj „krybi” – zaproponował Aleks.

– Raczej spróbuj małe zet, duże er, jeden, sześć, małe ef, duże el, dziewięć, dwa, jedenaście – powiedział Nate.

Baldur bez słowa wklepał kombinację i po chwili pojawił się pulpit doktora Krygarda. Na tapecie znajdował się on sam, w towarzystwie swojego srebrnego SLS AMG.

– Co za fanfaron pierdolony. – Baldur mlasnął, a potem wykonał gest, jakby chciał zwymiotować.

– Fanfaron? – Nate zaśmiał się, ale nie kontynuował wątku, bo Aleks trącił go w ramię.

– Skąd znałeś hasło? – zapytał.

– No mówiłem ci przecież. Umieściłem sukinsynowi kamerkę tuż nad biurkiem. Mam wszystko, co trzeba. Baldur, znajdź tam aplikację o nazwie „Jerycho”.

– Ty tak serio?

– A co, to ja wymyśliłem taką nazwę? O co ci chodzi?

– Dobra, dobra.

– Ma taką czerwoną ikonkę. Myślę, że to aplikacja specjalnie zaprojektowana do tego zadania.

– Znalazłem i kliknąłem. Ale znowu chce hasła. Mam nadzieję, że Krygård nie pozmieniał kluczy.

– Wątpię – odparł Nate. – Odniosłem wrażenie, że średnio sobie radzi z komputerami. Ostatecznie ma już sześćdziesiąt sześć lat i osiem miesięcy. Tak, uprzedzam pytanie, zajrzałem mu do portfela. W każdym razie potrafi obsługiwać Worda i jakieś arkusze kalkulacyjne. Nawet z Chrome radzi sobie przeciętnie. A bardzo wątpię, by pozwalał komukolwiek dotykać komputera, więc nikt mu raczej nie pomógł.

- Swojemu żołnierzowi pozwolił – zwrócił uwagę Aleks.
- Zapewne w drodze wyjątku – uciął Nate. – W każdym razie zaraz się przekonamy.
- No to się przekonujmy, do cholery – nie wytrzymał Baldur. – Podasz w końcu to hasło?
- Wszystko małymi literami: ka, er, igrek, be, igrek, e.
- Krybye? – Aleks się zaśmiał. – Gotów jestem pomyśleć, że doktorek zakochał się w swoim wynalazku.
- I nic dziwnego. Dziesięć miliardów dolarów potrafi rozpalić nawet górę lodową – odparł Baldur. – Dobra. Mam połączenie. Jest przycisk inicjacji. Aleks? To twoja decyzja.
- Bardzo trudna – stwierdził Gall. – Przypuszczam, że oznacza śmierć kilkunastu osób. Ale uważam, że należy to zrobić. Ktoś zgłasza jakiś sprzeciw?
- Nikt się nie odezwał.
- Pani kapitan?
- Ja? Ja tu jestem tylko kierowcą.
- Katia, prędzej czy później ktoś się dowie, że tu byłaś – powiedział Baldur, a Aleks zmarszczył brwi. Nigdy nie słyszał, by ktokolwiek zwracał się w taki sposób do Jekateriny Aleksandrownej. Najwyraźniej jednak Baldur miał u niej szczególne względy.
- Spokojnie – odparła z uśmiechem. – Wytłumaczę się z tego.
- Będzie trzeba poszukać kupca Krygârda – zauważył Aleks. – I to będzie bardzo niebezpieczne. Ktoś z takim kapitałem prawdopodobnie jest umocowany gdzieś bardzo wysoko.
- Biorę to na siebie – powiedziała Lodowa Caryca.
- No dobra. To odpalamy fajerwerki, Baldur.
- *Aye, aye, sir.*
- Farer wybrał komendę na ekranie. System zapytał Baldura, czy jest pewien, że chce zainicjować działanie programu.
- Dobra – powiedział Baldur. – Co teraz będzie?
- Pojawią się dwa okienka, w które trzeba będzie wpisać klucze.
- Znasz je? – zapytał Aleks.
- No przecież mówiłem, że nagrałem doktora.
- Ale z tego, co mi wiadomo, jak dotąd nie wysadził jeszcze

swojej jednostki. Więc zapewne ich nie wprowadzał.

– I tu się mylisz – odparł Nate. – Wprowadzał je codziennie. Testował system. Po aktywowaniu obu kluczy system się uzbraja, ale do inicjacji pozostaje sześćdziesiąt sekund, w trakcie których można dezaktywować proces. Trzeciego dnia doktorek doszedł do pięćdziesięciu siedmiu sekund. Prawie się zesrałem ze strachu, bo zrozumiałem, że on po prostu nie jest normalny.

– Może ma wyrzuty sumienia? – zasugerował Baldur. – Podświadomie myśli, by zniszczyć swoje dzieło, bo jest zagrożeniem dla świata.

Aleks i Nate ryknęli śmiechem.

– No co? – zaperzył się Baldur. – Tak tylko mówię.

Przesunął palcem po touchpadzie i na ekranie pojawiło się okno pierwszego klucza.

– Dyktuj – zakomenderował.

– Zero, zero, jeden, jeden, dwa, dwa, trzy, trzy, cztery, cztery.

– To jest kpina! – krzyknął Baldur.

– Nie mędrkuj, tylko pisz.

Baldur szybko wklepał cyfry i na ekranie pojawiło się drugie okno.

– I co teraz? – zapytał.

– To samo – odparł Nate.

– Ja pierdolę – syknął Baldur i wpisał ciąg. Okienko klucza znikło, ale prócz tego na ekranie praktycznie nic się nie zmieniło. Poza tym, że w lewym górnym rogu ruszył timer, a w prawym pojawił się czerwony prostokąt z napisem „przerwij”.

Czekali w napięciu i byłoby to pewnie najdłuższe sześćdziesiąt sekund w ich życiu, gdyby nie to, że Jekaterina Aleksandrowna nieoczekiwanie puściła bąka. Bardzo głośnego.

– *Izwienitie*. – Zaśmiała się basem, a oni zaraz do niej dołączyli. Gdy im w końcu przeszło, na ekranie widniał jedynie napis: „brak połączenia”.

– I co? – zapytał Aleks. – Już po wszystkim?

– Trudno powiedzieć – odparł Baldur. – Jak daleko od nas mogą się teraz znajdować?

– Może już nawet dwadzieścia mil morskich – odparła Lodowa

Caryca.

– Nie zobaczymy łuny?

– Nie. Może w nocy by się udało, ale i w to wątpię. Nie przy takiej pogodzie. Ale mam na mostku urządzenia, które pomogą nam ustalić, czy sprawa jest zakończona. Przejdziemy się tam?

– Pewnie – powiedział Aleks. – Z przyjemnością znów...

– No, no, no. – Jekaterina Aleksandrowna pokiwała palcem, zupełnie jakby była nauczycielką plastyki w szkole podstawowej.

– Tylko łapy z dala od przyrządów. Bo utracę.

Gdy byli na klatce schodowej, zatrzeszczała krótkofalówka przytroczona do pasa Lodowej Carycy.

– Pani kapitan – odezwał się niski, szorstki głos. – Zgłoszenie mayday. Osiemnaście mil morskich na północny wschód od nas.

– Rozumiem.

– Rozkazy?

– Zawracamy. Kurs na Murmańsk. I zepsuj radio.

– Tak jest. Odnotować?

– Nie.

– Tak jest – powiedział i radio zamilkło.

– Nie miał głosu człowieka, któremu właśnie rozkazano zostawić na pewną śmierć kilkanaście osób – zauważył Aleks.

– Moja załoga nie kwestionuje rozkazów, tylko je wypełnia – ucieła Lodowa Caryca. – Stara dobra sowiecka szkoła, Aleks.

Na mostek dotarli sześćdziesiąt sekund później. Krzątało się na nim kilka osób, ale Jekaterina Aleksandrowna wygospodarowała dla nich trochę miejsca na lewym skrzydle, tuż obok panelu służącego do sterowania jednostką w trakcie cumowania. Mostek przypominał trzydziestometrowy korytarz o podłodze wyłożonej bordową wykładziną i niebieskim suficie. W części, którą dostali do swojej dyspozycji, oszklony był z trzech stron.

– Myślicie, że zdążyliśmy minąć biegun? – zapytał Nate.

– Nie zdążyliśmy – rozwiła jego wątpliwości kapitan Jegorowa.

– A coś ty sobie myślał? My za taką wycieczkę bierzemy trzydzieści tysięcy dolarów od osoby. A teraz pozwólcie panowie, że was opuszczę. Muszę wyznaczyć nowy kurs.

– Tylko nie za długo – powiedział Baldur. – Bez ciebie nie ma

zabawy.

– Słodziak. – Lodowa Caryca zaśmiała się i ruszyła w kierunku niewielkiego stołu ustawionego kilka metrów dalej. Gdy tam dotarła, puściła do nich oko, a potem szczelnie zasunęła otaczające stolik zasłonki.

– Chyba nam nie ufa – zauważył Nate.

– Chyba się nie dziwię – odparł Aleks.

– Jesteś gotowy? – zapytał Baldur.

– Na co?

Farer spojrział na Nate'a z takim wyrzutem, że ten natychmiast się zreflektował, że popełnił gafę.

– No co? Nie było za bardzo okazji, żeby pogadać.

– Nie było okazji, że powiedzieć Aleksowi o najważniejszej rzeczy w tym śledztwie?

– No...

– Ale o tym, jaki to jesteś zajebisty, bo jeździłeś ramem po lodzie, to już tak?

– No bo musiałem po kolei...

Baldur machnął tylko ręką, jakby odganiał muchę, i zwrócił się bezpośrednio do Aleksa.

– Namierzyłem Annapurnę – powiedział, szczerząc zęby.

– O proszę. Widać, że od kiedy doktorek cię nie podtruwa, twoja głowa powróciła do pełnej sprawności.

– Co znaczy „nie podtruwa”? – zapytał zdumiony Farer, spoglądając znacząco na Nate'a.

– Aaaaaa, widzisz – odparł Kao. – Też nie było okazji, żeby...

– Dość – przerwał Baldur. – Annapurna. Wcale nie tak łatwo było ustalić, do kogo należy, bo jej właścicielem jest spółka, która jest córką innej spółki, a ta jeszcze innej spółki.

– Do brzegu, Baldur – ponaglił go Aleks. – Rozumiem, co chcesz powiedzieć, i z pewnością cię pochwalę, jeśli ustaliłeś coś ekstra.

– A pewnie, że ustaliłem. Ów łańcuszek kończy się na spółce „TorAfrica”. Zgadnij, do kogo należy.

– Torgila Thoresena.

– Co? Skąd to wiesz?

– Baldur, błagam. „TorAfrica”.

- Zawsze musisz mi zepsuć puentę!

- Czyli co? - zapytał Nate.

- Jak to co? - Baldur się zdumiał. - Mamy dowód, że statek, o którym nam powiedział Książę, ten, którym szmuglowano wirusa, należy do Thoresena. Wszystko jasne.

Aleks pogładził dłonią podbródek. Kilkudniowy zarost był już na tyle twardy, że przyjemnie drapał w dłoń.

- No właśnie nie wiem - rzekł Aleks. - Chyba jednak nie wszystko. Torgil jest zamieszany w przemyt wirusa i morderstwa. Zgnije za to w pierdłu. Ale co to ma wspólnego z katastrofą *Raginisa*? Jeśli przyjmujemy, że siedział w tym na równi z Krygårdem i Bergmanem, to utrata kontenera jest dla niego ogromną stratą. Więc sam sobie raczej statku nie zatopił. Cały ten wątek z wirusem wlaź nam gdzieś bokiem.

- I wychodzi nam bokiem - uzupełnił Kao.

- Właśnie. Przyjechałem do Szwecji, by ustalić przyczynę wypadku, a ciągle robię coś innego. Do tej pory mamy jedynie hipotezę celowego zatopienia promu przez bosmana, prawdopodobnie na czyjeś zlecenie. Świadczy o tym fakt, że się go pozbyto. I jednocześnie powinniśmy przyjąć, że ci, co byli zaangażowani w przemyt wirusa, absolutnie nie mieli interesu w posłaniu statku na dno. Wygląda więc na to, że istnieje jeszcze jakiś wątek, do którego jak dotąd nie dotarliśmy.

- Chyba że ten Szeliga to jakiś szaleniec - powiedział Kao.

- Może i szaleniec, ale ktoś go jednak zabił - zaprotestował Baldur. - Czyli mamy przynajmniej dwóch szaleńców. A to dość osobliwy zbieg okoliczności.

- Może popełnił samobójstwo? - zaryzykował Nate.

- Nie - zaprzeczył Aleks. - Policja nie ma wątpliwości, że został zamordowany. Już mówiłem: w mieszkaniu nie znaleziono broni. A martwy by jej raczej nie schował.

- Dobra - przerwał Baldur. - Skończmy najpierw jeden wątek, skoro mamy rozbabrany. Podsumowując: Krygård stworzył superwirusa, Thoresen przewoził go z Afryki do Szwecji przez Polskę w ramach umowy międzynarodowej o frachcie wojskowym, a Bergman odbierał wszystko i ekspediował do

laboratorium w Marstrand. Zgadza się?

– Na to wygląda – powiedział Aleks.

– Jeszcze jedna drobnostka – dodał Baldur. – Pamiętasz? Jak się widzieliśmy ostatnio, mówiłem ci, że posłałem Nate’a po telefon Bergmana.

– Pamiętam.

– Okazało się, że admirał zainstalował sobie aplikację do nagrywania rozmów. Może chciał się jakoś zabezpieczyć, nie wiem. W każdym razie rozmowa poszła nie tak, jak planował, więc zaraz usunął aplikację. Ale nagrania nie. Tak to jest, jak starzy ludzie mierzą się z nowoczesną technologią. Nie będę wam tego puszczać, bo jest po szwedzku...

– Ej, ja mówię po szwedzku – obruszył się Nate, ale pod piorunującym spojrzeniem Baldura postanowił nie ciągnąć tematu.

– W każdym razie cała rozmowa odbyła się zaraz po zatonięciu *Raginisa* i tyczy się właśnie tego. Thoresen straszy w niej Bergmana, Bergman Thoresena, a obaj kilka razy podkreślają, jak to bardzo mają przejebane i jak muszą się postarać, żeby ukryć ślady.

– Jesteś pewien, że to Thoresen był rozmówcą?

– No nie przedstawił się. Ale według mnie to on.

– Świetnie – podsumował Aleks. – Zatem pojedziemy w odwiedziny do Torgila Thoresena.

– I co potem? – zapytał Baldur.

– Potem? Zwalimy całą robotę na Siegbahna – odparł wesoło Gall.

– To żandarm – zaproponował Baldur. – A Torgil jest cywilem.

– Nie szkodzi. Ma do rozwiązania sprawę śmierci Bergmana. Podrzucimy mu temat frachtu. Jak będzie chciał przejść przez wszystkie wątki, to do Torgila też się dobierze. I jeszcze będzie nam wdzięczny za cynk.

– Brzmi jak plan. – Nate ziewnął. – Ale na razie może chodźmy do restauracji. Umieram z głodu. A potem chętnie bym się kimnął. W ostatnim tygodniu raczej mało spałem.

Ale akurat Aleks na brak snu w ostatnim czasie nie mógł

narzekać. Dlatego zjadł z przyjaciółmi śniadanie, a potem wrócił na mostek. Kapitan Jegorowa osobiście stała przy manetkach steru. Gdy spostrzegła gościa, uśmiechnęła się i przywołała go ręką.

- Wybacz - powiedziała - niedługo wejdziemy w pak lodowy. To moment, kiedy zwykle sama steruję, więc nie mogę się oderwać.

- Pak jest taki niebezpieczny? - zdziwił się Aleks. - Wydawało mi się, że trwały lód jest znacznie gorszy.

- Z pakiem jest taki problem, że nie do końca wiadomo, czy kawałek kry, który mamy zamiar roztrącić, nie jest w rzeczywistości górą lodową, która nas poważnie uszkodzi. Ja potrafię to ocenić. Kwestia doświadczenia. Poza tym w paku dużo łatwiej ugrzęznąć. Lód da się przełamać i iść dalej. Pak oplata jednostkę jak lep na muchy. Jeśli pole jest wyjątkowo rozległe, to może zamknąć nawet tak duży statek jak nasz.

- Jekaterino Aleksandrowno...

- Daj już spokój - przerwała mu. - Wiem, że dla was, Amerykanów, takie tytułowanie jest zupełnie nienaturalne. Mów mi „Katia”. Tak jak Baldur.

- Nie jestem Amerykaninem, Katiu.

- No tak. Przepraszam, Paliak. - Uśmiechnęła się.

- Zawsze chciałem cię zapytać o jedną rzecz, Katiu. Jak, do cholery, odbiłaś *Matuszkę*?

Uśmiechnęła, ale nic nie odpowiedziała. Przez kilka chwil przekrzywiwała głowę to w lewo, to w prawo, jakby chciała się dokładniej przyjrzeć przestrzeni rozciągającej się przed dziobem jej statku. Ale wszystko to było tylko na pokaz. Potrzebowała czasu, by wykonać w głowie szybkie obliczenia. Oficjalnie przecież rząd Federacji Rosyjskiej nigdy nie przyznał się do odzyskania jednostki. Wygrali zresztą tamto starcie. *George Worthylake* pozostał w Peweku przez jedenaście miesięcy, a gdy go w końcu zwrócono, niemal nie nadawał się do żeglugi. Skrajne warunki i przestój zrobiły swoje. Remont się nie opłacał i jednostkę sprzedano. Utrata *Matuszki* zrujnowała wiele karier, głównie w kierownictwie amerykańskiej Straży Przybrzeżnej. Ale

przede wszystkim pozbawiła Waszyngton jakiegokolwiek karty przetargowej. Ostatecznie stanęło na tym, że Kreml zażądał odszkodowania za przejętą jednostkę. Amerykanie doskonale wiedzieli, że Rosatomflot odzyskał swój statek. Ale nie mieli twardych dowodów. Musieli zapłacić. Od wielu już lat Rosja nie upokorzyła Ameryki w sposób tak znaczący.

– Gdybym miała z tym coś wspólnego... No wiesz, rozważamy sytuację hipotetyczną, prawda?

– Oczywiście.

– No więc gdybym miała z tym coś wspólnego, to zaszyłabym się ze swoją ekipą na półtora miesiąca na Wyspie Ratmanowa, sto pięćdziesiąt mil morskich od Nome. W połowie lutego popłynęłabym do Nome pod pretekstem treningów do Iditarod Trail Sled Dog Race...

– Do czego?

– Aleks, nie osłabiaj mnie. – Zaśmiała się. – Nie słyszałeś nigdy o Iditarod Trail Sled Dog Race?

– Nie.

– Ani o Wielkim Wyścigu Miłosierdzia? Przecież to przepiękna, niezwykle romantyczna historia.

– Jakoś mi się nie obiło o uszy.

– W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku w Nome wybuchła epidemia błonicy. Lokalny szpital nie miał w swoich zapasach anatoksyny. Zresztą szpital to i tak dużo powiedziane. Jeden lekarz, cztery pielęgniarki i dwadzieścia pięć łóżek. Jedynym ratunkiem dla dzieci było dostarczenie anatoksyny ze szpitala w Anchorage. Ale to był styczeń. Port zamarzał. Morze Beringa w styczniu nie jest szczególnie przyjazne. Nie dało się dotrzeć do Nome od strony wody. Wysłano więc lek pociągami tak daleko na północ, jak tylko się dało. A dalszą drogę musiał pokonać psim zaprzęgiem. Tysiąc osiemdziesiąt pięć kilometrów w dziewiczej Alasce przy temperaturze sięgającej minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza i wietrze przekraczającym sto kilometrów na godzinę. Dwudziestu maszerów i ponad sto psów pokonało tę trasę w sto dwadzieścia siedem godzin. Ostatni odcinek pokonał Norweg Gunnar Kaasem, a jego psem

prowadzącym był Balto. Husky syberyjski. Burza śnieżna sprawiła, że maszer kompletnie nic nie widział, ale dzielna psina doprowadziła zaprzęg do domu. Ostatecznie epidemię udało się zdławić. Zawody psich zaprzęgów były w tamtym rejonie bardzo popularne już od początku wieku. Ale dopiero po wydarzeniach z tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku impreza nabrała naprawdę prestiżowej rangi. Dziś wyścig odbywa się na trasie niemal z samego Anchorage do Nome i uchodzi za najtrudniejszą tego typu imprezę na świecie. No, może oprócz Yukon Quest.

– Faktycznie. Piękna opowieść.

– No więc gdybym miała z tym coś wspólnego, to przybyłabym do Nome jako uczestnik zawodów, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, bo w tym okresie do miasta przyjeżdżają dziesiątki maszerów z psami. Następnie odesłałabym część swoich ludzi do Anchorage, by wzięli udział w wyścigu, co też nie byłoby dziwne, zważywszy na to, jak wielu Rosjan do niego przystępuje. Wraz z pozostałą częścią ekipy ukryłabym się na pobliskich wzgórzach i starała nie rzucać w oczy. Co w moim przypadku jest trudne. Mamusia podarowało mi to i owo. Następnie doczekałabym do osiemnastego marca, kiedy wyścig dociera do Nome i kończy się wielkim bankietem, w którym biorą udział wszyscy mieszkańcy. Mówiąc „biorą udział”, mam na myśli „piją”. Korzystając z zamieszania i faktu, że po okolicy kręcą się setki zupełnie obcych osób, dostałabym się na statek i w ciągu sześciu godzin przygotowała go do rejsu. Reszty łatwo się domyślić.

– Czy ja wiem? *Matuszka* stała w osuszonym doku.

– A co to za filozofia? Dok zatapia się jednym przyciskiem i trwa to dwie godziny. W dodatku nie wydaje hałasów. Co innego osuszanie doku, kiedy pracują pompy. Ale zalewanie? Otwierasz grodzie i tyle. Woda wpływa, statek się unosi, a kilbloki zostają na dnie. Jeśli dodatkowo ma się szczęście, bo tego dnia nad miastem szaleje burza śnieżna, to sprawa robi się naprawdę prosta.

– Ale to przecież była baza Straży Przybrzeżnej. Takich obiektów się pilnuje.

– A kto ci takich bzdur naopowiadał? W Nome nie ma bazy od sześćdziesięciu pięciu lat. W tamtym czasie sto kilometrów dalej była jedynie stacja radiowa obsługiwana przez Straż Przybrzeżną, ale właśnie się związała. Zlikwidowali ją pół roku później. Najbliższa baza znajduje się w Anchorage. *Matuszka* nie stała nawet w samym porcie, boby się tam nie zmieściła. Dok ustawiono w awanporcie. Jak możesz tego nie wiedzieć, skoro sam ją tam doprowadziłeś?

– Nie doprowadziłem. Nas już dawno tam nie było. Po minięciu Wyspy Świętego Wawrzyńca przyleciał seahawk i zabrał nas do Bethel, skąd odlecieliśmy do Waszyngtonu. Statek przejęła inna załoga. W każdym razie wiem już, skąd nowa nazwa *Matuszki Balto*. Jak ten pies.

– Wciąż mówiąc hipotetycznie, po tego typu sytuacji z różnych względów statek musiałby zostać uznany za stracony i wyrejestrowany. A potem zarejestrowany pod nową nazwą. A że Amerykanie doskonale wiedzieli, co zaszło, gdybym miała z tym cokolwiek wspólnego, z pewnością zarekomendowałabym nazwę, która da im prztyczka w nos.

Rozmawiali tak jeszcze kilka chwil, a potem kapitan wróciła do swoich zajęć, a Aleks poszwendał się po statku, zaglądając we wszystkie kąty. Odświeżał znajomość. Bardzo lubił tę jednostkę. Była potężna, ale i po prostu piękna. Bardzo żałował, że Rosatomflot nie planował kolejnych statków klasy *Arktika*. Już wkrótce na wodę spłynąć miały zupełnie nowe lodołamacze atomowe projektu 22220. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej położono stępkę pod pierwszą z serii nowych jednostek. Zapewne sentyment sprawił, że armator zdecydował się nadać jej nazwę *Arktika*. Ale z klasą *Arktika* nie będzie miała ona nic wspólnego. Ponad sto siedemdziesiąt metrów długości i trzydzieści trzy i pół tysiąca ton wyporności. Monstrum. Bardzo wygodne i wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia, ale jeden rzut oka na oficjalny projekt uzmysłowił Aleksowi, że po prostu kończy się pewna era. Charakterystyczne czerwono-czarne olbrzymy, statki, który urzeczywistniły niejedno marzenie o podróży po Arktyce, maszyny kochane przez ludzi na całym

świecie, wkrótce znikną z lodowych połączeń, zastąpione opływowymi, wymuskanymi pływającymi komputerami.

Na tych romantycznych rozważaniach Gallowi minął cały dzień. Był zmęczony. Nie chciało mu się raz jeszcze rozmyślać o wszystkich pozyskanych informacjach. Na wszystko przyjdzie czas. Plan działania był gotowy.

Przed północą spotkali się w prywatnym salonie Lodowej Carycy i racząc doskonałym winem, rozprawiali o rzeczach zupełnie nieważnych. Nate'owi dość szybko zaszumiało w głowie, a Baldur, jak to Baldur, więcej gadał, niż pił. Jekaterina Aleksandrowna nie piła w ogóle. Bo choć wszyscy wiedzieli, że potrafi bez większych reperkusji wychylić cysternę alkoholu, to wyznawała przy tym jedną podstawową zasadę. Ani kropelki na pokładzie.

– Miło się rozmawiało – powiedział Aleks, dość rozpaczliwie usiłując ukryć ziewanie. – Ale chyba czas już spać.

– Oczywiście. Wasze kwatery są przygotowane. Dostaniecie najlepsze, czym dysponuję. Pokład niżej, dwa narożne apartamenty. Nazywamy je *Arktika Suite*. Oczywiście każdy dostanie swój. Mówię dwa, bo Baldur swój już od jakiegoś czasu zamieszkuje.

– Jesteś wspaniała, Katiu. Pokład niżej, tak?

– Owszem. Zaraz zawołam...

– Nie ma potrzeby trudzić marynarza. – Nate się uśmiechnął. – Znamy statek. Przejdziemy się sami.

– Nie – odparła Lodowa Caryca, a promienny uśmiech na jej twarzy zupełnie nie korespondował ze stanowczym tonem.

– Nie? – zdziwił się Nate.

– Nie – powtórzyła Jegorowa. – Lubię was, chłopaki. Zawsze was lubiłam. Nawet już po tym, kiedy okazało się, jakie z was gagatki. A prócz tego jestem wdzięczna za pomoc, którą Baldur okazał mojej rodzinie. Moja wnuczka ma się bardzo dobrze. I już zawsze będę waszą dłużniczką. Ale już raz ukradliście mi statek, a ja nie mam zamiaru ryzykować, że zrobicie to znowu. Dlatego śpicie za zamkniętymi drzwiami. Od zewnątrz.

I wybuchła śmiechem. A oni wraz z nią, bo wiedzieli, że żadna

dyskusja nic tu nie zmieni. Kto sieje wiatr, zbiera burzę. Kto okrada Lodową Carycę, ten śpi pod kluczem.

Arktika suite faktycznie okazał się bardzo komfortowy. Składał się z dużego salonu, osobnej sypialni i prywatnej łazienki wyposażonej w dużą wannę. W tej ostatniej Aleks spędził pół godziny, zmywając z siebie emocje ostatnich kilkudziesięciu godzin. Nim wśliznął się pod kołdrę, zarzucił jeszcze na siebie grube ubranie i otworzył okno. Na statku była wprawdzie palarnia, on jednak miał ochotę zapalić z widokiem na bezkresny pak lodowy. Ogromne, wkręczone w ostatni pokład nadbudówki reflektory rozświetlały wszystko dookoła. Aleks podejrzewał, że nie szybko mu się trafi pokój z równie niesamowitym widokiem z okna. Spojrzał w dół. Na pokładzie dziobówki leniwie przesuwały się po kilka centymetrów w przód i w tył wyposażone w niewielkie silniki pontony. Nic się nie działo. Dookoła było cicho. Burza odeszła kilka godzin wcześniej, a pak lodowy nie wydawał już tak nieprzyjemnych odgłosów jak pokrywa lodowa.

Dopalił papierosa i zamknął okno. Temperatura na zewnątrz wynosiła minus trzydzieści dwa stopnie, więc chociaż miał na sobie dwupalczaste rękawice, dłonie zmarzły mu na kość. Chciał szybko wskoczyć do łóżka, ale właśnie wtedy usłyszał pukanie do drzwi.

Gdy otworzył, w drzwiach stał bosman Nietugow. W dłoni trzymał telefon satelitarny, nakrywając mikrofon dłonią.

– Mam nadzieję, że nie obudziłem – powiedział po rosyjsku. – Ale mam tu do ciebie telefon ze Szwecji.

Aleks odebrał telefon i przyjaznym uśmiechem podziękował bosmanowi.

– Halo? – rzucił do słuchawki, gdy tylko tamten zamknął drzwi.

– No wreszcie – usłyszał znajomy głos.

– Cześć, Kjerstin – odpowiedział nieco zaskoczony.

– Cześć, Aleks. Gdzieś się, do ciężkiej cholery, podziewał?

– Oj, dużo by gadać. Niedługo będę w Szwecji, to ci wszystko wyjaśnię.

– Świetnie. Ale teraz musisz mnie dokładnie wysłuchać.

– Która jest u ciebie godzina?

– Dochodzi północ.

– Zatem to chyba faktycznie ważne.

– Owszem. Przeanalizowałam jeszcze raz dokładnie zderzenie *Harpoona z Thraki*.

– Znalazłaś coś?

– A siedzisz?

– Nie.

– To lepiej usiądź.

ROZDZIAŁ 65

Pan Jednorożec spojrział nerwowo na zegarek. Dochodziła ósma trzydzieści rano. Tego poranka był już naprawdę poważnie zaniepokojony. Prawie od siedemdziesięciu godzin nie miał kontaktu z Krygårdem. A umawiali się na rozmowę codziennie w południe czasu szwedzkiego. Rozliczyli się już dawno temu, więc doktor nie miał powodu, by tak po prostu zamilknąć. Zwłaszcza że dużo razem przeszli i niewiele zostało do końca.

Ale Krygård popełnił błąd. Zabrał ze sobą Galla. Jakby nie mógł mu po prostu strzelić w łeb. Ostatecznie od lat mordował ludzi, co za różnica, jeden mniej czy jeden więcej?

A teraz się nie odzywa.

Pan Jednorożec nie spał dobrze minionej nocy. Właściwie w ogóle nie spał. W jego głowie pojawiały się przerażające obrazy. A w każdym z nich występował on. Gall. Diabeł wcielony. Na szczęście on z pewnością już nie żyje. Nawet jeśli pokrzyżował plany doktorowi, to nie miał przecież szans wyjść z tego cało. W Arktyce nie złapie autostopu. Jedno zmartwienie mniej.

Gdy zawibrowała komórka, zareagował tak nerwowo, że aż się oblał kawą. Zaklął pod nosem, a potem ponownie, widząc na wyświetlaczu numer dzwoniącego. Chwilę się zastanawiał, czy odebrać, w końcu jednak to zrobił.

- Czego chcesz? - zapytał?
- Mojego miliona - odparł Pan Dżuma.
- Tę sprawę chyba już sobie wyjaśniliśmy.
- Mógłbym polemizować. Ale nie muszę.
- Bo?
- Bo rozgrywka zaliczyła właśnie niewielki zwrot akcji.
- Mów jaśniej, do cholery.
- Proszę bardzo. Gall żyje. Jest w Murmańsku i jeszcze dziś pojawi się w Göteborgu.

– To niemożliwe.

– Owszem, możliwe. I w dodatku z tego, co wiem, wybiera się do ciebie.

– A to już jest zupełnie niemożliwe.

– Panie Jednoroźcu, pan mnie naprawdę nie docenia. Dziwne, zważywszy na to, że to pan mnie znalazł, a nie ja pana. Powinien pan sobie chyba zdawać sprawę z tego, co potrafię.

– Miałeś zabić Galla – powiedział Pan Jednorożec z wyraźnie wyczuwaną pretensją.

– I nadal mogę to zrobić.

– Jak?

– Przyjadę do pana.

– Nie ma mowy.

– W porządku. Do widzenia.

Pan Jednorożec nie spodziewał się, że jego rozmówca zakończy połączenie. Ale tak właśnie się stało.

– Kurwa mać! – wrzasnął i niekontrolowanym ruchem dłoni zrzucił z biurka laptopa. Zerwał się z krzesła i chwycił dłońmi za głowę. Trwał w takiej pozycji, czekając, aż fala gniewu w końcu odpłynie. Trwało to kilkanaście sekund. Westchnął, a potem wybrał numer Pana Dżumy.

– Dobrze – powiedział, gdy rozmówca odebrał połączenie. – Przyjedź.

– Obaj przyjedziemy.

– Jaki jest plan?

– Dla pana jedynie taki, by zebrać moje pieniądze. Jeśli Gall się zjawi, a mój milion nie, to nie kiwnę dla pana palcem. Gotówka. Wyłącznie nowe banknoty studolarowe. Mam na myśli te kolorowe. Czy to jest jasne?

Było jasne.

ROZDZIAŁ 66

„Pewnie, wpadajcie, będę w biurze do późna w nocy” – usłyszeli, więc mimo że dochodziła dwudziesta druga, pojechali bezpośrednio do siedziby Baltic Bridge. Byli we dwóch z Baldurem. Nate przypłacił wycieczkę na biegun przeziębieniem, a oni uznali, że dadzą radę sami. Christina w końcu sobie odpuściła, ale zostawiła po sobie pokryte gęstym śniegiem ulice. Teraz, gdy od ostatnich opadów minęło już kilka dni, biały puch przeradzał się powoli w szarą, rozjeżdżoną breję.

Na parkingu było bardzo nierówno. Przemieszczające się po nim samochody wyłobily kołami głębokie koleiny. A ponieważ nikt nie chciał jechać koleinami, kierowcy starali się brać je między koła, przez co obok powstawały kolejne koleiny. Gdyby do wszystkich wyłobień wlać czarny tusz, z odpowiedniej wysokości parking pod Baltic Bridge przypominałby obraz jednego z abstrakcjonistów. Może Kandinsky’ego? Tylko w czerni i bieli.

Ale dla rama żadne koleiny nie mogły stanowić przeszkody. Baldur uparł się, że odkupi właścicielowi auto w zamian za to, które zostało w Arktyce. „Gdybym tego nie zrobił, to co ten człowiek by sobie o mnie pomyślał?” – pytał, gdy jedli dziś rano śniadanie. Aleks nie sądził jednak, by właściciel się obraził. Raczej powiedziałaby coś w rodzaju: „Pewnie, spoko, nie ma problemu. Właściwie to ram i tak mi się nie podobał. Był za duży, trudno nim było wyjechać z garażu, nie mówiąc już o tym, że dużo za dużo palił”.

W holu przywitał ich nocny stróż. Choć przywitał to za dużo powiedziane. Po prostu bez słowa wskazał im windę, nie odrywając nawet wzroku od telewizora. Wjechali na przedostatnie, dwudzieste pierwsze piętro. Przeszklone drzwi były otwarte. W środku panował półmrok.

– Gdzie teraz? – zapytał Baldur.

– W lewo i do końca.

Szli powoli, wychodząc z wypracowanego przez lata służby założenia, że ostrożności nigdy za wiele. W końcu dotarli jednak do szerokich drewnianych drzwi. Aleks chciał zapukać, ale zrezygnował po tym, jak Baldur zrobił jedną ze swoich min, mówiącą coś w rodzaju „no chyba cię pojechało”. Pchnął więc drzwi i weszli do środka.

W pomieszczeniu było ciemno, jeśli nie liczyć włączonej lampki nocnej stojącej na mahoniowym biurku i delikatnej poświaty rzucanej przez ekran pracującego laptopa. Od razu dostrzegli mężczyznę stojącego przy oknie. Wyglądał na zewnątrz, podziwiając zalane światłem latarni ulicznych miasto. Musiał ich usłyszeć, ale się nie odwrócił.

– Witaj, Aleks – powiedział po angielsku. Był zupełnie spokojny.

– Spodziewałem się was, choć prawdę mówiąc, znacznie wcześniej.

– Coś nam wypadło – odpowiedział Aleks.

Chwilę milczeli. Laptop musiał wykonywać w tle jakąś skomplikowaną operację, bo szum jego wiatraka był przez pewien czas jedynym odgłosem unoszącym się w powietrzu.

– Wiesz, bardzo lubię tu przebywać po zmroku – powiedział w końcu Tomasz Makuszewski. – Szczecin z tej perspektywy jest naprawdę imponujący.

– Kurwa, romantyk się znalazł – skomentował w swoim stylu Baldur i atmosfera prysła. Makuszewski odwrócił się do swoich gości.

– Usiądźcie – zaproponował. – Napijcie się czegoś?

– Nie napijemy się – powiedział Baldur. – Na pewno nie z tobą.

– Ty pewnie jesteś Baldur – domyślił się Makuszewski. – Nie mieliśmy dotąd przyjemności.

– I nadal nie mamy – odciął się Farer.

Makuszewski westchnął i usiadł za biurkiem. Aleks zajął miejsce naprzeciwko niego, a Baldur stanął obok, opierając się o ścianę. Chciał mieć pewność, że gospodarz nie ma w swoich szufladach czegoś, co mogłoby im narobić przykrości.

– Co już wiesz? – zapytał Makuszewski.

- Wszystko, Tomek.

- Wątpię. Gdyby tak było, nie przyjechałbyś tu do mnie. Długa wycieczka za tobą. Z Murmańska do Göteborga, potem do Szczecina. Po co byłeś w Göteborgu, Aleks? Mogłeś przylecieć bezpośrednio z Murmańska. Przecież i tak nie leciałeś lotem rejsowym.

- Masz rację. Ale musiałem się spotkać z majorem Viggo Siegbahnem. I opowiedzieć mu trochę o tym i owym.

- O mnie też?

- O tobie też.

- Fatalnie. To wiele komplikuje. Na szczęście nie sędzę, byś miał jakiegokolwiek dowody.

- Zatem mnie nie doceniasz. Od samego początku. Bo gdybyś docenił, to nigdy nie poprosiłbyś mnie o pomoc. Zresztą nie będę przypisywać zasług jedynie sobie. Prawda jest taka, że to Kjerstin Vasa cię zdemaskowała. Mówię ci, ona jest naprawdę dobra. Bardzo prawdopodobne, że nigdy nie pracowałem z nikim lepszym.

- Zaraz mu jebnę, zaraz mu jebnę – zaśpiewał pod nosem Baldur, a Aleks zrobił minę.

- To chyba jasne, że ciebie wyłączam z tej klasyfikacji, no nie? – powiedział, ignorując zaskoczenie na twarzy Makuszewskiego. – Podobnie, jak Nate'a, Leo Burley czy...

- Halo – przerwał gospodarz. – Możemy wrócić do mnie? Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej. I pomińmy już te wstępy. Znam głównych aktorów tej rozgrywki.

- Fantastycznie – ucieszył się Aleks. – No więc kilka ostatnich dni spędziłem w Arktyce, o czym rzecz jasna wiesz. Ja i moi przyjaciele mieliśmy sporo czasu na przepracowanie pewnych kwestii. Wiedzieliśmy, że jednym ze statków wiozących fracht z Lagos do Świnoujścia była Annapurna, obecny tu mój przyjaciel Baldur Eysturvind, doskonały specjalista w dziedzinie pozyskiwania informacji...

- Bardzo śmieszne – syknął cicho Baldur.

- No co? Podkreślam twoje zasługi – wyszeptał w odpowiedzi Aleks. – Żebyś się zaraz nie mazał.

Makuszewski chrząknął, na co Gall wzruszył tylko ramionami i kontynuował:

– No więc mój przyjaciel Baldur ustalił, że właścicielem statku jest spółka Torgila Thoresena. To zgadzało się z naszymi wcześniejszymi podejrzeniami, które wprawdzie nie miały żadnego szczególnego uzasadnienia i bazowały jedynie na przecuciach, ale za to dzielaliśmy je wszyscy. Wszystko się zmieniło, kiedy zadzwoniła do mnie Kjerstin Vasa. Jakiś czas temu badaliśmy razem sprawę zderzenia dwóch statków na Morzu Północnym. *Harpoon* i *Thraki*. Za winnego uznaliśmy kapitana *Harpoona*, ale gdy rozmawiałem z nim ostatnio, zasugerował mi, że coś przegapiłem. Poprosiłem Kjerstin, by jeszcze raz przejrzała akta. I przejrzała. Jeszcze jak. Ustaliła, że *Thraki* należała do spółki, która należała do innej spółki, z kolei ta należała do jeszcze innej spółki, bla, bla, bla, i tak trzy spółki później docieramy do takiej, której prezesem zarządu byłeś ty. Nie wiem, o co chodzi w tym waszym biznesie, że co statek, to rozmyty w morzu spółek. Ale wiem, że to ty byłeś właścicielem statku, który zatonął na Morzu Północnym w dwa tysiące dwunastym roku.

– I co? To wszystko? – Makuszewski się zaśmiał. – Trzeba było zapytać. Sam bym ci powiedział.

– Nie. To dopiero początek, Tomek. Do prawdziwej bomby przejdziemy dopiero teraz. Mam pewnego świadka. Jedyne go człowieka, który uciekł, że się tak wyrażę, ze statku niewolniczego. Zapewniał mnie potem, że statek ten nazywał się *Opakh*, w co ja, szczerze mówiąc, nie do końca wierzyłem. Statki zwykle mają nazwy, które coś znaczą. Słowo „opakh” nie istnieje w żadnym języku, ale to w sumie jeszcze nic nie znaczy. Wystarczyło, że jakiś bogaty Hindus czy ktokolwiek inny zapragnął, by statek nosił jego imię. Nie da się tego sprawdzić. Ale da się przeczesać bazę zarejestrowanych statków. A ta również nie ujawniła nic interesującego. Uznałem więc, że mój świadek się pomylił. Ale tu znowu popisała się Kjerstin. Coś jej się skojarzyło. Przejrzała materiały wideo z rekonesansu nurków na wraku *Thraki*. I zobacz, co znalazła.

Podszedł do Makuszewskiego i podał mu komórkę. Makuszewski wzruszył ramionami i ledwo rzucił okiem na wyświetlacz. Tak tylko, żeby nie było, że i tak wie, co się na nim znajduje. Ale wiedział. Obraz był odrobinę nieostry i miał tylko trzy kolory. Bezkresną, głęboką zieleń morskiej toni, trochę jaśniejszą plamę, która w rzeczywistości była białym, choć tu i ówdzie poprzątkowanym rdzawymi odpryskami kadłubem, i czerń wijących się na dziobnicy liter. Napis brzmiał „ΘΡΑΚΗ”.

– *Thraki* pływa pod cypryjską banderą. – Aleks się zaśmiał. – I nazwę na burcie miała wypisaną greckimi literami. Nic nowego. Rosjanie też wszystko podpisują cyrylicą. Aż nie chce mi się wierzyć, że na to nie wpadłem. I kiedy sobie uzmysłowiłem, że mam w ręku dowód na to, że to ty przewoziłeś fracht dla Krygârda, przypomniałem sobie jeszcze jedną rzecz. Kiedy rozmawialiśmy trzy tygodnie temu, powiedziałaś mi, że po podpisaniu umowy z Torgilem on przejął wszystkie twoje frachtowce. Czyli *Annapurna*, statek, który po zatonięciu *Thraki* przejął jej zadania, należała do ciebie, Tomek. Oczywiście, po przejściu formalnie jej właścicielem był Torgil, ale to tylko kwestia przesunięcia kapitału. Ty dalej byłeś armatorem, Krygârd płatnikiem, a Torgil jedynie sprawdzał, czy kasa się zgadza. Zgadzała się, więc nie było tematu.

Makuszewski zaśmiał się i zaklaskał. Zupełnie jakby był na występie kabaretowym.

– Brawo – powiedział, a jego mina świadczyła, że bawi się doskonale. A dla Galla był to sygnał, by zachować czujność. Makuszewski nigdy nie był żadnym wybitnym graczem. W sytuacjach kryzysowych raczej chował się za plecami silniejszych. Aleks pamiętał wiele momentów z przeszłości, kiedy Makuszewskiemu po prostu brakowało odwagi do działania. A teraz był pewny siebie i rozbawiony. Co mogło oznaczać jedynie to, że ma jeszcze w rękawie jakiegoś asa.

– Co się stało na *Thraki*, Tomek? – zapytał Aleks.

Makuszewski zabębnił palcami w biurko. Patrzył gdzieś w bok. Starał się sprawiać wrażenie, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Ale była to jedynie poza. Na każdym kroku usiłował

zdobyć przewagę nad Gallem. Chciał mu pokazać, że na bieżąco weryfikuje, jakie informacje mu poda, a jakie zatrzyma dla siebie.

– Na *Thraki* kapitanem był mój dobry przyjaciel – powiedział w końcu. – Filipińczyk, ale fantastyczny facet. Od początku brał udział w operacji, znał szczegóły i wiedział, co wiezie. Tamtego wieczoru zorientował się, że kontener z frachtem się rozszczelnił. I wpadł w panikę. Kazał swoim ludziom go podpalić.

– Jezusie jedyny – szepnął Baldur, który po religijne środki wyrazu sięgał naprawdę w sytuacjach krytycznych. – Spaliliście ich żywcem, skurwysyny?

– Nie „my”, tylko on. Ja z tym nie mam nic wspólnego. Zadzwoił do mnie z pokładu. Powiedziałem mu, żeby nie panikował, bo kurierzy jeszcze nie zarażają. Ale nie chciał mnie słuchać. Powiedział swoim ludziom, co wiozą, a oni otworzyli luki i podpalili kontener bezpośrednio w ładowni. Potem przejęli statek. Mój przyjaciel zamknął się w swojej kajucie. Powiedział mi, że załoga planuje zatopić statek. Ale nie zdążyli, bo staranował ich ten drugi statek.

– *Harpoon*.

– Właśnie. Nie było mnie tam. Wiem tylko, że wówczas *Thraki* już nikt nie prowadził. Zostawili „małą naprzód” i poszli w cholerę. Na mostku nie było nikogo. Uszkodzili również komputer, żeby zatrzeć ślady. Czujniki wychwyciłyby gwałtowny wzrost temperatury w ładowni.

Za dużo mówił. Stanowczo za dużo. Podważał nawet ustalenia, które przecież uwolniły go od odpowiedzialności za wypadek. Aleks wiedział, że coś się szykuje. I wiedział to również Baldur, który nieco wcześniej zmienił pozycję i stanął teraz tak, by obserwować drzwi. Zrozumiał, że kilka chwil wcześniej popełnił błąd. Nie dopilnował, by były zamknięte. Teraz widział otwarte skrzydło, ale nie był w stanie dostrzec, czy ktoś nie czai się w korytarzu.

A w korytarzu ktoś się czaił.

– Wiem, że masz pistolet w kieszeni, Eysturvind – odezwał się naraz ciepły, niemal przyjazny głos. – I wiem, że mnie nie widzisz. Ale ja celuję w głowę Galla. Teraz mój współpracownik

otworzy szerzej drzwi, żebyś mógł się przekonać, że nie kłamię. Okej?

– Tak – powiedział spokojnie Baldur.

Drzwi drgnęły i powoli zaczęły się przesuwac w kierunku ściany. Baldur ujrzał młodego, chudego chłopaka z burzą kręconych rudych włosów. A chwilę później mężczyznę trzymającego w dłoni walthera P99 z tłumikiem. Nie kłamał. Celował prosto w Aleksa.

– No wreszcie, Panie Dżuma – powiedział Makuszewski. – Jeszcze trochę i musiałbym mu opowiedzieć cały życiorys.

Mężczyzna nie odpowiedział. Błyskawicznym ruchem przeniósł lufę z Aleksa na Baldura. Młody natomiast wyjął zza paska od spodni swoją broń i przystawił ją Gallowi do czoła. Potem popchnął nią lekko głowę Aleksa, tak by ten spojrział w kierunku drugiego napastnika.

– Pamiętasz mnie, Gall? – zapytał Pan Dżuma, gdy pochwycił już spojrzenie Aleksa.

– Bardzo dobrze – odparł Aleks. – Znów się spotykamy.

– Ale to już ostatni raz – rzucił wesoło Makuszewski. – Znowu przegrałeś, Aleks. I coś ci powiem. Ja nie wybrałem cię dlatego, że jesteś dobry. Przeciwnie. Wybrałem cię, bo jesteś mierny. Wypadek *Thraki* kompletnie spartoliłeś. Jak to amator. Nie znalazłeś śladów pożaru, choć wypalił połowę ładowni. Sprawdziłeś czarne skrzynki, ale nawet nie wiedziałeś, jak one naprawdę działają. A działają tak, że parametry steru i silnika zapisują nie z urządzeń czy czujników, a z zadajnika mocy. Zadajnik nastawiony był na tryb „mała na przód”, więc czarna skrzynka zanotowała płynięcie na wprost z małą prędkością. Ale nie uwzględniła wpływu falowania i wiatru. To wszystko oraz setki innych parametrów przekazuje do czarnej skrzynki komputer główny, który został wyłączony. Gdybyś to wiedział, nie twierdziłbyś z taką pewnością, że to *Harpoon* wpłynął w *Thraki*. Bo było dokładnie odwrotnie. To *Thraki* wpłynęła pod *Harpoona*. I wiedziałbyś, dlaczego czarna skrzynka nie zarejestrowała pożaru. Nie zarejestrowała, bo komputer nie pobrał pakietu danych. Do tego wszystkiego nie znalazłeś nawet

powiązania pomiędzy *Thraki* a mną. Właśnie dlatego cię wybrałem. Założyłem, że może znajdziesz coś na Torgila, a naprawdę bardzo chciałem udupić tego skurwiela. Ale wiedziałem, że do prawdy o moim udziale nigdy nie dojdiesz. Tym bardziej że Kjerstin Vasa też brała udział w tym śledztwie. A ona tak samo się nie popisała przy *Thraki* jak ty.

– A jednak dopadłem cię – powiedział zupełnie spokojnie Aleks.

– Miałeś fart i nic więcej. Gdyby nie trafił ci się świadek, to może byś znalazł powiązanie między *Thraki* a mną, ale nigdzie by cię to nie zaprowadziło. Chociaż nie, przepraszam. Źle powiedziałem. Nie miałeś wcale farta. Teraz będziesz musiał umrzeć.

Zamilkł, czekając na dalszy rozwój zdarzeń. A ponieważ się nie doczekał, zwrócił się do pana Dżumy.

– Na co czekasz? Zabij go.

– Bardzo chętnie – odparł morderca. – Ale to za moment. Bo chyba o czymś zapomniałeś.

– O niczym nie zapomniałem – prychnął Makuszewski, otwierając drzwiczki biurka. Wyciągnął z niego dużą czarną torbę sportową i z impetem rzucił ją na środek pomieszczenia.

– Co to ma być?! – wrzasnął Barbarian.

– Zamknij się – upomniął go Pan Dżuma, a potem się zwrócił się do Baldura: – Teraz odejdę. Nikt już nie będzie w ciebie celować, ale mój współpracownik ma Galla na muszce. Jeśli się ruszysz, Gall zginie. Rozumiesz to, prawda?

Baldur świdrował spojrzeniem twarz Pana Dżumy, ale powoli pokiwał głową.

– Świetnie – powiedział morderca, a potem podszedł do torby, przykucnął nad nią i rozsunął suwak. Wewnątrz ujrzał pospinane gumką stopy studenckich banknotów. Przejrzał kilka na chybił trafił i nie znalazł nic podejrzanego. Wyciągnął ze zwitków kilka przypadkowych banknotów a następnie sięgnął do kieszeni, z której wyjął niewielkie szkło powiększające. Podszedł bliżej światła i przyjrzał się dokładnie papierkom. Wyraźnie dostrzegł maleńkie napisy: THE UNITED STATES OF AMERICA na kołnierzu płaszcza Benjamina Franklina, wielokrotnie powtórzone ONE HUNDRED USA w obrysie gęsiego pióra oraz

również wielokrotnie powtórzone 100 USA ciągnące się wokół czegoś, co przypominało słońce zachodzące nad Independence Hall. Potem pozagniatał delikatnie wszystkie banknoty i z satysfakcją zauważył, że dzwony nadrukowane na taśmie 3D zmieniają kolor z miedzianego na zielony. Nitki zabezpieczające były w porządku, znaki wodne z podobizną prezydenta również. Papier w dotyku był taki jak trzeba, a niebieskie i czerwone włókna bardzo dobrze widoczne. To już nie te czasy, kiedy setka była po prostu biało-zielono-szara.

Zebrał pieniądze i wrzucił je z powrotem do torby. Zapiął suwak i podniósł torbę za ucho. Chwilę ważył w dłoni.

– I co? – zapytał Barbarian.

– Wszystko się zgadza.

– Policzyłeś?

– Nie muszę. Wyczuwam wagę. Równe dziesięć kilo. Sto paczek po sto studolarowych banknotów.

– Jest pan zadowolony, Panie Dżuma? – zapytał Makuszewski z przekąsem.

– Jak najbardziej.

– W takim razie do roboty.

– Z przyjemnością. – Pan Dżuma się uśmiechnął. – Barbarian...

– Co jest?

– A co ma być, kurwa? Zastrzel go.

– No, wreszcie – krzyknął chłopak.

– Nie! – wrzasnął Baldur i rzucił się rozpaczliwie w kierunku Barbariana. Ale nie miał szans zdążyć. Tłumik przykręcony do broni młodego zabójcy syknął i wypluł pocisk. Z tej odległości nie dało się chybić.

ROZDZIAŁ 67

Rihanna skończyła właśnie śpiewać swojemu ukochanemu, że może stanąć pod jej parasolem, olem, olem, a za chwilę w głośnikach rozbrzmiał celowo rozedrgany, sztucznie wymodulowany głos lektora:

– Dzień dobry, San Francisco! Czwarty lipca dwa tysiące jedenaście. Szczęśliwego Dnia Niepodległości, Ameryko! Mówi do was Sneaky Dee, a wy słuchacie jedynej naprawdę alternatywnej rozgłośni radiowej w całej Kalifornii, The Underair, sto koma jeden FM. Mam dla was komunikat od jednego z naszych słuchaczy: Złote Wrota znowu zamknięte! Kolejny samobójca postanowił skorzystać z kojącego nerwy wpływu wód zatoki San Francisco! Korek sięga trzech mil w kierunku południowym, a w północnym stoi cała Doyle Drive i Richardson Avenue aż do Cow Hollow oraz Veterans Boulevard do Balboa Hollow. Więc jeśli szukacie czegoś w Marin Headlands, to lepiej ciśnijcie przez Oakland. Ale nie martwcie się przesadnie. Synoptycy twierdzą, że w ciągu dwóch godzin mgła się podniesie i będziemy mieli przepiękny dzień. I tego właśnie wam życzę. Cudownego, pełnego magii dnia! A wy chcielibyście życzyć czegoś komuś bliskiemu? Macie trzy minuty. Trzysta czterdzieści sześć, osiem, dwa, dziewięć, dziewięć!

Mężczyzna w bardzo drogim garniturze był wściekły. Walnął pięścią w kierownicę, aż się klakson włączył. Porwał leżącą na fotelu pasażera komórkę i wybrał numer.

– Underair, jesteś na antenie! Kogo chcesz pozdrowić? – usłyszał głos jednocześnie z komórki i głośnika.

– Twoją matkę! – wrzasnął. – Przekaż jej, że wychowała idiotę, który w jednym zdaniu mówi o samobójcy i cudownym, kurwa, przepelnionym magią dniu! Ty zasrany dupku. I serio określasz się jako niezależna rozgłośnia, a jednocześnie grasz jebaną Rihannę?

– Ja... – wydukał prezydent, ale mężczyzna w drogim garniturze już go nie słuchał. Rzucił komórkę na siedzenie i wyłączył radio. Nie spodziewał się, że trafi na antenę, ale najwyraźniej niezależne stacje radiowe nie inwestują w technologię opóźniania transmisji.

Mężczyzna spojrział na zegarek i westchnął. Dochodziła siódma trzydzieści rano. Musiał przyznać, że ten krótki wybuch wypalił w nim cały gniew, który zbierał się niemal od godziny. Zresztą przecież to właśnie powiedział mu psychoanalityk. „Zaklnij sobie czasem, wybuchnij. Uwolnisz złość i ci ulży”. Ulżyło. Przynajmniej na razie.

W San Francisco był po raz pierwszy w życiu. I koniecznie chciał się przejechać mostem Golden Gate. I w dzień, i w noc. Dlatego przyleciał dzień wcześniej i ostatnią noc spędził w wynajętym drewnianym domku ulokowanym na wzgórzach niedaleko Muir Beach. Nocna przejażdżka mostem sprawiła mu sporo radości. Ale teraz po prostu się spieszył. Do spotkania zostało półtorej godziny.

Jeszcze godzinę temu był przeszcześliwy. Wyjechał odpowiednio wcześniej, by zahaczyć jeszcze o platformę widokową Golden Gate Bridge Vista Point. A tam doświadczył najpiękniejszego widoku w całym swoim życiu. Poranna, gęsta jak śmietana mgła szczelnie otuliła całą cieśninę wraz ze spinającym ją mostem. Lecz on stał wysoko, powyżej granicy mgły, przez którą przebijały jedynie dwie oświetlone czerwonymi lampami końcówki dwustutrzydziestometrowych pylonów najpiękniejszego mostu świata, z których odchodziły rozplywające się we mgle kable nośne. Widok był niesamowity. Wypalił tam najsmaczniejszego papierosa w swoim życiu.

Gdyby tego poranka cieśniny nie przykryła mgła, miałyby na widoku całe główne przesłone. I wiedziałyby, że jest kompletnie nieprzejezdne. Słyszał wprawdzie dobiegające z oddali klaksony, ale gdzie się ich nie używa? Dopiero gdy zjeżdżał Conzelman Road w kierunku drogi numer sto jeden, zrozumiał, że coś jest nie tak. Potok aut kierował się w górę zamiast w dół. Mijały go, a niektórzy kierowcy nawet machali do niego rękami.

Gdy wjechał we mgłę, poczuł się naraz trochę niepewnie. Nie spodziewał się, że będzie tak gęsta. Zwolnił do dwudziestu mil na godzinę, pięciu poniżej limitu. I gdy w końcu zjechał na dół, zrozumiał, co się dzieje. Droga numer sto jeden stała. Kierowcy dojeżdżający do niej z góry zawracali. Mężczyzna w bardzo drogim garniturze wiedział, że jadą do tunelu Barry-Baker, a potem do Sausalito, gdzie będą mieli nadzieję dostać się na prom. Znał tę drogę. Zeszłego wieczoru studiował mapę okolicy przez dobre dwie godziny. Ci, którym się nie uda, będą musieli jechać przez San Quentin i Oakland. Daleko. Ponad trzydzieści mil. Prawie pięćdziesiąt kilometrów.

Stacja Underair po jego krótkim ekscesie powróciła do normalnego funkcjonowania. W ramach gardzenia komercją puścili teraz Justina Biebera. Mężczyzna westchnął. A potem znudziło mu się stanie w tym korku. Zawrócił, ale nie pojechał w górę. Zamiast tego skręcił w lewo i sto metrów dalej zatrzymał się na niewielkim przydrożnym parkingu. Był prawie pusty. Pewnie głównie dlatego, że w tej mgłę nikt nie miał szans go zauważyć.

Zgasił silnik, zabrał czarną skórzaną aktówkę i komórkę, a potem wysiadł z auta. Uznał, że najszybciej będzie, jak pójdzie pieszo. Wystarczyło przejść przez most, a po drugiej stronie na pewno złapie Ubera, fantastyczny wynalazek, który jak dotąd funkcjonował tylko w San Francisco, ale zdaniem mężczyzny w drogim garniturze miał przed sobą świetlaną przyszłość.

Nie spodziewał się, że to będzie tak upiorna wycieczka. Gdy tylko minął pierwszą dylatację i ujrzał po prawej stronie kable nośne, odbijające się od gigantycznego betonowego bloku kotwiczącego i wznoszące prosto w mgłę, poczuł ciarki na całym ciele. Znalazł się nagle w scenerii jak z horroru. Mgła otulała go tak szczelnie, że widział jedynie na dziesięć metrów do przodu. Główny pomost zdawał się rozpląwać w upiornym oparze. Gdyby nie towarzystwo stojących na jezdni aut, ich złorzeczących właścicieli i wszechogarniającej kakofonii klaksonów, poczułby się naprawdę nieswojo.

I poczuł się. Dokładnie kilometr dalej. Zupełnie

niespodziewanie auta znikły z jego pola widzenia. Jeźdźnia zrobiła się pusta. Przeszedł jeszcze kawałek i znalazł się w innym świecie. Niewiele było widać, a jeszcze mniej słyszeć. Był w połowie drogi, ale przez chwilę zastanawiał się, czy nie lepiej zawrócić.

Zaraz jednak racjonalny charakter wziął górę nad wyobraźnią i mężczyzna zaśmiał się z zażenowaniem.

– Kto tu jest? – odezwał się niespodziewanie głos z mgły, a mężczyzna aż odskoczył.

– Halo? – rzucił cicho.

– Policja – odezwał się głos. – Proszę wrócić za taśmę.

– Ale ja nie widziałem żadnej taśmy.

Policjant wyłonił się z mgły jak duch. Był grubym Latynosem, o czarnych, splecionych w warkoczyki włosach. Zbliżał się pewnym i jak na swoją tuszę naprawdę sprężystym krokiem.

– Proszę wrócić za taśmę – powtórzył. – Mamy tu samobójcę.

– Skoczył już?

– Jakby skoczył, tobyśmy otworzyli. Stoi za poręczą i nie pozwala się zbliżyć. Boi się, że go ściągniemy, ale jak tak dalej pójdzie, to któryś z chłopaków go popchnie. Strasznie nas wkurwia, pyskаты szczeniak.

– Świetnie. Puśćcie mnie do niego.

– Dlaczego?

– Jestem psychiatrą i pracuję z samobójcami.

Grubas podrapał się po głowie, dając sobie czas na przeanalizowanie słów niespodziewanego przechodnia.

– Masz jakąś odznakę? – zapytał.

– Jaką odznakę, człowieku? My nie nosimy odznak.

– No może. To skąd mam wiedzieć, że jesteś psychiatrą?

– Stąd, że ci o tym mówię, a ty nie masz powodów, by mi nie uwierzyć. Zresztą jak chcesz. Możecie się z nim męczyć sami.

– Nie no, poczekaj. Jest problem. Nasz psychiatra jest w drodze, ale tu wszystko stoi, a przez mgłę nie możemy użyć śmigłowca. Lekarz to stary dziad i powiedział, że piechotą czterech mil szedł nie będzie. Może być faktycznie z tym gościem pogadał?

– Mogę pogadać. Ty też się powinieneś do mnie zgłosić, bo masz

duże problemy z podejmowaniem decyzji. Za często zmieniasz zdanie.

Policjant wybuchnął śmiechem i chwycił krótkofalówkę.

– Tu Gutierrez – rzucił. – Mam tu lekarza od czubków. Puszczam go na miejsce.

– Każ się wszystkim cofnąć o pięćdziesiąt kroków.

– Po co?

– Po prostu to zrób. Chłopak musi się przede mną otworzyć. To chłopak, tak?

– Tak. Dobra – powiedział, a potem przekazał prośbę. A ton, którym to uczynił, uzmysłowił mężczyźnie, że ma do czynienia z dowódcą akcji.

Ruszył w kierunku wskazanym palcem przez Gutierrez. Szedł niemal na ślepo przez kilka chwil, aż dotarł w końcu do metrowej wysokości barierki.

– Gdzie jesteś?! – krzyknął.

– Nie zbliżaj się, bo skoczę – zapiał słaby głosik gdzieś na lewo.

– To skacz – odparł mężczyzna i powoli ruszył w stronę samobójcy. Na wszelki wypadek nie puścił już barierki. Zaledwie dziesięć sekund później ujrzał stojącego po drugiej stronie barierki młodego chłopaka. Miał na sobie szeroką hip-hopową bluzę w kolorze ultramaryny, której kaptur naciągnął na głowę.

– Jak to „skacz”? – zapytał chłopak.

– No skacz – odparł mężczyzna. – Przecież po to tu przyszedłeś.

– A ty po to, żeby mnie uratować.

– Błagam cię, chłopie. Za godzinę mam ważne spotkanie. Przez ciebie się na nie spóźnię.

– To sobie przełoż.

– Wyobraź sobie, że nie mogę. Może ty przełoż te głupoty.

– Co, samobójstwo mam przełożyć? Dobrze się czujesz?

– Kurwa mać. Skacz albo cię popchnę. A jak nie chcesz, to wypierdalaj zza barierki.

Potem przez chwilę było cicho. Jakby chłopak naprawdę zastanawiał się, co zrobić.

– Nie mogę – powiedział w końcu. – Naprawdę chciałem skoczyć. Ale przecież nic nie widać.

- No i?
- Nie wiem.

Mężczyzna westchnął i spojrzał na zegarek.

- Dobra. Od początku. Dlaczego chcesz popełnić samobójstwo?
- Bo mam depresję.
- I?
- Co „i”?
- I to tyle? Nie zakochałeś się nieszczęśliwie? Nie straciłeś roboty czy co się tam traci w twoim wieku? I ile ty właściwie masz lat?
- Osiemnaście i dziewięć miesięcy. I chyba nic nie wiesz o depresji.
- No nie. I może właśnie dlatego jej nie mam.
- Aha, uważasz, że to takie proste?
- Owszem.
- A w to, że szczepionki powodują autyzm, też wierzysz?
- No... Nie. W to akurat nie.
- O proszę. – Chłopak się zaśmiał. – Jaki oświecony. Taki z ciebie psychiatra, jak ze mnie trąba powietrzna.
- O proszę – odciął się mężczyzna w bardzo drogim garniturze – jaki oświecony. Powiem krótko. Nudzisz mnie. Albo mi powiesz coś ciekawego, albo stąd spadam. Dlaczego chcesz się zabić?
- Kurwa, to jest tak głupie pytanie... Psychiatrzy na całym świecie od dekad pracują nad zagadnieniami związanymi z depresją. Wypracowali miliony, jak nie setki milionów stron naukowych tekstów o tym, jak depresja wpływa na człowieka, jakie zachodzą w nim mechanizmy, czym są powodowane, czym są stymulowane i tak dalej. A ty...
- A ja nie jestem psychiatrą, mam to w dupie i się spieszę. Musi być jakaś przyczyna. Nie wiem, śmieją się z ciebie w szkole?
- Chłopak zamarł. Mężczyzna w bardzo drogim garniturze był już na tyle blisko, że widział, jak bieleją mu dłonie zaciskane na krawędzi balustrady.
- Czyli trafiłem – powiedział – śmieją się z ciebie w szkole. Z jakiego powodu?
- Nie twój zaszraniony interes.

- No nie mój. To idę.
- Dobra, czekaj. Śmieją się z mojego imienia.
- Co ty, kurwa, masz dziesięć lat? Jak masz na imię?

I znów cisza. Ale mężczyzna nie pozwolił jej trwać zbyt długo. Czuł, że porozumienie jest blisko.

- Dobra, to coś ci powiem. Ja też mam dziwne imię. I też się ze mnie śmiali. Ale to przetrwałem.

- Jakie?
- Siobhan.
- Jak?

Westchnął i powtórzył, choć nie spodziewał się, że chłopak zdoła je zapamiętać. Nikt z jego znajomych tego nie potrafił. Zapisywali sobie, pewnie, ale gdy potem próbowali odczytać, nigdy nie udało im się wymówić go tak, jak trzeba. „Sziwoun”. Tak powinno brzmieć.

- To zupełnie fajne imię. Właściwie to całkiem spoko - powiedział chłopak, ale Siobhan uznał, że niezbyt szczerze. Pewnie po prostu mówił to, co sam zawsze chciał usłyszeć.

- Powiedziałem ci moje imię, to teraz ty powiedz swoje.
- Barbarian.
- Jak? - zdziwił się Siobhan.
- Wszyscy nazywają mnie Barbarą. I traktują jak dziewczynę.
- Faktycznie, przejebane.
- A niekiedy jest nawet jeszcze gorzej. Niektórzy mówią na mnie Barbie.

- Olej ich. Mnie się podoba. Chętnie bym się zamienił.

- E, kitujesz.

- Nie. Barbarian to od barbarzyńców. Potężnych germańskich wojowników.

- Jakich?

- Czym się zajmujesz, Barbie?

- Serio? Będiesz teraz tak do mnie mówić?

- Pewnie. Trochę po złości, a trochę, żeby cię nauczyć sobie z tym radzić. Więc czym?

- Już niczym. Rzuciłem college. Grałem trochę w kosza.

- W co?

– W koszykówkę. Co ty?

– A. Nie kumam tego sportu. Jestem z Europy. Da się na tym coś zarobić?

– Kurwa, człowieku. Kobe dostał sto trzydzieści siedem milionów za siedem lat. I to kiedy? Dziewięć la temu. Teraz płacą jeszcze więcej.

– Nieźle. A kto to jest Kobe?

– O kurwa.

– Czyli teraz nic nie robisz?

– Teraz się zabijam.

– Ale oprócz tego.

– Masz jakąś propozycję?

– Możliwe.

– To złóż.

Siobhan się zawahał. Ta rozmowa wymknęła mu się spod kontroli. Nie zamierzał tego mówić. Nie zamierzał temu gnojkwowi nic proponować. Samo tak wyszło. Ale skoro wyszło, to znaczy, że zadziałał instynkt. Siobhan widział potencjał w tym chłopaku. W końcu się zdecydował.

– Rób to, co ja.

– Znaczą się co?

– Zamiast odebrać sobie życie, odbieraj je innym.

Spodziewał się bardziej stanowczej reakcji. Właściwie spodziewał się po prostu reakcji. Jakiegokolwiek. Ale Barbarian nawet nie drgnął.

– Jesteś jakimś zawodowym zabójcą czy jak?

– Niech będzie.

– I ja miałbym też to robić?

– Jeśli chcesz.

– Ale ja nie umiem.

– To akurat nie problem. Nauczę cię. Ważniejsze, czy potrafisz.

– A to jakaś różnica?

– Zasadnicza. Ale sprawdzimy to. Potrzebuję asystenta i kogoś, kto wkrótce będzie wykonywał za mnie mniej istotne zlecenia. Póki się uczysz, dostajesz jedną czwartą tego, co zarobię. Jak uznam, że jesteś gotowy – połowę.

– A dużo można zarobić?

Siobhan spojrzał na zegarek.

– Jak się pospieszysz z decyzją, to dziś dostaniesz swoje pierwsze dwadzieścia pięć kawałków.

– Pierdolisz! Pomóż mi stąd zejść. A nie, czekaj. Przecież ty mnie wkręcasz.

Siobhan uśmiechnął się i podał Barbarianowi swoją aktówkę. Ten wziął ją niepewnie, ale nie potrafił jedną ręką rozsunąć zamka. W końcu jednak chwycił zawleczkę zębami i udało mu się rozchylić materiał na tyle, by zajrzeć do środka.

– Oooo, kurwa – powiedział, przyglądając się pistoletowi. – To jest tłumik?

– Tak. Nie upuść.

– Jak to się nazywa? Jakaś beretta?

– Wszystkiego się dowiesz w swoim czasie. Chodź.

Przełazł przez barierkę całkiem sprawnie, a Siobhan, nie czekając na niego, ruszył w kierunku południowego końca mostu.

– Teraz ani słowa – powiedział.

– Dobra.

– Oficerze Gutierrez! – krzyknął Siobhan.

– Idę – odparł policjant i zjawił się dziesięć sekund później. – O. Udało się? Będziesz grzeczny, młody?

– Zabieram go – powiedział spokojnie Siobhan.

– Co? Nie możesz.

– Wymaga natychmiastowej pomocy. – Wyjął z kieszeni marynarki portfel, a z niego wizytówkę. Podał ją Gutierrezowi. – Tu masz mój numer, gdybyś chciał go przesłuchać czy coś tam. Zabieram go do mojej kliniki.

– Siobhan Ó Coileáin – wydukał policjant, łamiąc sobie język. A i tak nie wypowiedział poprawnie choćby jednej literki. – Hej! Tu jest napisane „specjalista ds. zasobów ludzkich”!

– No właśnie. Zabieram zasób ludzki na leczenie. A ty w końcu otwórz tę jebaną drogę.

Gutierrez machnął tylko ręką. Sam miał już tego wszystkiego dość.

– Otwieramy – powiedział do radia i zniknął we mgle.

– Zupełnie nie rozumiem – rzekł Siobhan, gdy powoli zbliżali się do drugiego pylonu – dlaczego wy, samobójcy, z takim upodobaniem zapierdalacie aż na sam środek tego cholernego mostu. Jakby nie można było skoczyć gdzieś bliżej. Śmierć byłaby taka sama.

– Nie zastanawiałem się nad tym – przyznał Barbarian. – Siobhan...

– Nie nazywaj mnie tak.

– Co?

– Nie nazywaj mnie tym imieniem. Nienawidzę go.

– Ale mówiłeś...

– Mówiłem, a teraz mówię, że masz go nie używać.

– To jak mam cię, do cholery, nazywać?

– Tak, jak wszyscy. Venom.

ROZDZIAŁ 68

– Coś ty zrobił, durniu?! – wrzasnął Baldur. – Jak my go teraz przesłuchamy?

– No co? Wkurwił mnie – wypalił Barbarian, a Venom tylko rozłożył ręce.

– Młody jest – powiedział. – Wyrobi się.

– Nie z takim nauczycielem – syknął Farer. – Przecież to ty mu kazałeś strzelać.

Krew Makuszewskiego rozlała się po całej podłodze. Aleks musiał się solidnie postarać, żeby w nią nie wdepnąć.

– Ale chyba już wszystko wiecie, no nie – spróbował Barbarian.

– Gównu wiemy – warknął Baldur. – Nie znamy przyczyny zatonięcia *Raginisa*. Czyli nie mamy odpowiedzi na najważniejsze pytanie! A w ogóle to kto ty, do cholery, jesteś?

– Ja? Barbarian.

– Barbarian jaki?

– Barbarian McAlister – wydukał chłopak.

– Daj mu spokój – poprosił Venom. – Uratował wam życie.

– Nie zabijając nas?

– Właśnie. Gdybyśmy nie dostali tego zlecenia, to dostałby je kto inny. A wy bylibyście martwi. Jesteś fantastycznym wojownikiem, Baldi. Ale znam przynajmniej trzech specjalistów, z którymi byś sobie nie poradził.

– Twój stary by sobie nie poradził! – warknął rozeźlony Farer. – Co to w ogóle za teatrzyk? „Pamiętasz mnie, Gall”?

– Musiałem zachować pozory – usprawiedliwił się zabójca. – Żebyście mi zaraz nie wyskoczyli z „o, siema Venom, co słyhać”. Zresztą ty może nie załapałeś, ale Aleks tak. „Znowu się spotykamy”? Niezła odzywka.

– Będziemy musieli pogadać – rzucił Aleks, ignorując zaczepkę.

– Ale to później. Teraz trzeba się stąd jak najszybciej wynosić. Na pewno nagrała nas masa kamer.

- Was tak – powiedział Venom. – Nas nie. Mieliśmy kominiarki.
- Pociuszające – syknął Baldur. – Dobra. Zajmę się tym. Nie powinno być trudno dostać się do serwera.
- Jest jeszcze ochroniarz – zauważył Aleks.
- Poproszę go, żeby o nas zapomniał – powiedział Baldur.
- I zapomni? – zdziwił się Barbarian.
- Zapomni. – Venom zarechotał. – Jak poznasz Baldiego trochę lepiej, to zrozumiesz. No? Jaki masz pomysł, Baldi? Zapłacisz mu? Czy coś na niego znajdziesz?
- Jeszcze nie wiem. Zastanowię się w windzie.
- Dobra. To idziemy. Macie auto?
- Czarny ram. Stoi na parkingu.
- Mogłem się domyślić.

Pazim jest najwyższym budynkiem Szczecina i swoją siedzibę mają w nim banki, firmy ubezpieczeniowe, biura podróży, gabinety medyczne, wszelkiego rodzaju start-upy i masa innych najemców. Prócz tego oczywiście Polska Żegluga Bałtycka Morska, której kaseton przyczepiono do elewacji, dziewięćdziesiąt metrów powyżej poziomu chodnika. Baldur parsknął, gdy się dowiedział, że na jedenastym piętrze znajduje się konsulat Królestwa Szwecji. Na szczęście o tej porze budynek był zupełnie pusty. W kompleksie znajdował się wprawdzie hotel, ale w zupełnie innej jego części.

Gdy znaleźli się na parterze, Aleks, Barbarian i Venom poszli prosto do rama. Kiedy tylko zamknęli za sobą drzwi, przyszedł esemes od Kjerstin. Gall był zmęczony i literki skakały mu przed oczami. Ale w końcu złożył treść wiadomości do kupy i teraz zastanawiał się, co ona właściwie dla niego oznacza. Nie doszedł do żadnych wniosków, więc stwierdził, że zostawi sobie przemyślenia na później.

Po dziesięciu minutach zjawiał się Baldur, który odłączył się od nich, by porozmawiać z ochroniarzem. Farer był bardzo zadowolony, twierdząc, że monitoring nie będzie problemem, bo pliki można było skasować z poziomu komputera ciecica. A sam cieć nie miał nic przeciwko, by przytulić dwadzieścia tysięcy euro.

I wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

Minęła dwudziesta trzecia.

– Co robimy? – zapytał Aleks.

– Dobre pytanie – odpowiedział Baldur.

– Zjadłbym kebab – rozmarzył się Barbarian i wszyscy uznali, że to w sumie dobry pomysł. Aleks przestawił dźwignię na „drive” i wyjechał na aleję Wyzwolenia.

– Mów – powiedział do Venoma, a ten wzruszył ramionami i odparł:

– Nie ma za bardzo o czym mówić. Najwyraźniej zrobiłem się dość popularny. Spotkałem się z typem, złożył mi propozycję. Jak pokazał twoje zdjęcie, to na moment zwątpiłem. Ale facet pocił się ze strachu. Uznałem, że łatwo go będzie wyrolować. A że chodziło o milion dolców, to sam rozumiesz, trzeba było trochę teatru.

– Ładnego mi teatru – odparł Aleks. – Przy Lilla Bommen myślałem, że mnie naprawdę sprzątniecie.

– Niesłusznie. Widzisz, mam swój kodeks honorowy, do którego podchodzę niezwykle ortodoksyjnie. Liczy sobie tylko jeden punkt, którzy brzmi: nigdy nie zabijać przyjaciół. Stosuję to z dobrym skutkiem od kilku lat. Sprawdza się.

– A wielu masz tych przyjaciół?

– Nieważne. Ciebie nie zabiłbym za żadne pieniądze.

– Słodziaczek. Ale rok temu odniosłem inne wrażenie.

– Wtedy nie byliśmy przyjaciółmi. – Morderca się uśmiechnął.

– A nie mogliście mi po prostu powiedzieć, co się dzieje?

– Planowaliśmy. Miałeś wsiąść do auta i wszystkiego się dowiedzieć. Ale bałem się, że jesteśmy obserwowani, więc musiało to wyglądać na porwanie. Dużo dziwnych rzeczy działo się wokół ciebie. Jacyś snajperzy, jakaś żandarmeria wojskowa, sam rozumiesz.

– W każdym razie wiem już, jakim cudem tak szybko przyjechałeś na moje wezwanie. Po prostu byłeś na miejscu.

– Dokładnie. A przy okazji, wybac mi, proszę, jak byłem u ciebie, podrzuciłem ci mały nadajnik GPS. Masz go w portfelu. Musiałem wiedzieć, co się z tobą dzieje, żeby Pan Jednorożec

myślał, że naprawdę cię śledzę.

– Pan Jedorożec?

– Tak kazał na siebie mówić. Ja byłem Panem Dzumą. Wyobrazasz sobie? Złożył mi ofertę na balu maskowym. U samego króla Szwecji.

– Ooo, piesek salonowy – zakpił Baldur.

– Słyszałeś, co on powiedział? – obruszył się Barbarian. – Mam go zabić?

– Nie, idioto. Będziesz mi jeszcze potrzebny.

Kebab zjedli na ulicy Krzywoustego. Barbarian cmokał z zachwytem.

– Lepszy niż w Szwecji – ocenił tonem znawcy. Śmiali się z niego, bo Venom powiedział, że chłopak pierwszy kebab w życiu zjadł dwa tygodnie wcześniej, w dodatku z oporami i efektem w postaci rozwolnienia. A następnego dnia zamówił dwa.

Potem się pożegnali. Barbarian pojechał prosto na lotnisko, skąd za kilka godzin miał odlecieć do Warszawy i dalej do Nowego Jorku. Venom wybierał się do Berlina, gdzie planował zdeponować pieniądze u znajomego bankiera, który nie był przesadnie uczciwy, ale za to bardzo kreatywny. Aleks i Baldur ruszyli do Świnoujścia. Tym razem to Farer prowadził.

Droga była pusta i jechało się bardzo przyjemnie. Temperatura podnosiła się z każdą chwilą. Ani się obejrzeni, gdy w ciągu drogi ekspresowej S3 wjechali na most łukowy nad Dziwną.

– Martwisz się? – zapytał Baldur, acz było to pytanie retoryczne, bo przez te wszystkie lata bardzo dobrze poznał swojego przyjaciela.

– Nic nie mamy – powiedział Aleks. – Zbiór domysłów, i tyle. Każdy, kto mógł nam coś powiedzieć, jest martwy. Trudno będzie coś ustalić. Oczywiście jest, że to nie Makuszewski zatopił statek. On miał nadzieję, że zrobił to Thoresen. I że ja znajdę dowody.

– I pewnie miał rację. Zastawiałem się nad tym. Zobacz: jeśli odejmiemy od puli faktów wszystko to, co się wiąże z przekrętem na linii doktorek – Makuszewski – Bergman, to co nam w sumie zostaje? Pracownik odpowiedzialny za zamknięcie furty nie

dopełnia obowiązków, prom wypływa bez odpowiedniej strugoszczelności, wywraca się, i tyle.

- Czyli powtórka z *Herald of Free Enterprise*.

- No właśnie. A tak się przypadkiem składa, że właściciel *Heralda* figuruje na naszej liście podejrzanych. I to dość wysoko.

- Głównie dlatego, że na tę chwilę jest to lista jednoosobowa. Ale pomocnik bosmana z *Heralda* nie został zastrzelony.

- Otóż to. Nie został zastrzelony i w trakcie przesłuchania narobił gnoju. Tym razem Torgil się na to przygotował.

- Może masz rację.

- Może. Nie wiem. Ale moja propozycja jest następująca: pojedźmy do Torgila Thoresena, przyciśnijmy go i zobaczymy, co wyśpiewa. Tylko zastosujmy moje metody, dobrze? Są ciut skuteczniejsze od twoich. Może nie dowiedzieliśmy się niczego nowego, ale za to oczyściliśmy bazę danych z niepotrzebnych śmieci. Teraz sprawa jest zupełnie prosta. Torgil miał sposobność i potężny motyw. Zatapia jedną starą łajbę, a przejmuje całe przedsiębiorstwo. Szeliga, czy jak mu tam było, zamknął furkę, ale jej nie zaryglował. Znał prognozę pogody. Wiedział, że furka tego nie wytrzyma. Potem wydostał się z promu i już. Nie ma co kombinować, Aleks. Tak było.

- Tego się nie da dowieść. Według mnie nie mógł założyć na pewno, że furka puści.

- Więc przyciśniemy Torgila. Przejrzemy jego papiery i na bank coś znajdziemy.

- W porządku. Rano zadzwonię do Kjerstin. Niech jedzie z nami.

- Myślisz, że powinniśmy ją w to wciągać? Wiesz, że moje metody są, że tak powiem, niekoszerne.

- Jej facet prawie podpalił biuro administracji terminalu, żeby mi w tajemnicy pokazać wykresy radarowe. Oboje są z nami.

- W porządku – powiedział Baldur i zamilkł. Na długo. Czyli pół minuty. Aleks nie przypominał sobie, by wytrzymał kiedyś tak długo bez gadania.

- No co? – zapytał w końcu, czując, że przyjaciel chce mu coś powiedzieć.

- A nic. Tylko zastanawiałem się... No wiesz...

- Nie.
- Jak jest między tobą a Weroniką?
- Co?
- No, bo ci nie powiedziałem, ale dzwoniła do mnie Marianne.
- Kiedy?
- Jak gadałem z cieciem. Pytała o ciebie – powiedział, składając usta w durny uśmiezek. – Moim zdaniem to ona na ciebie leci. A kawał z niej apetycznej dupci, musisz przyznać.
- No...
- Proszę, proszę. Aleksander Gall zapomniał języka w gębie. Powiedziała mi, że znalazła zwłoki męża. Załatwia jeszcze jakieś papiery. Drugiego lutego o siedemnastej trzydzieści wyrusza do domu. Za jakieś trzydzieści osiem godzin. Masz jeszcze czas, by coś ten teges.
- Baldur Eysturvind. Niepoprawny romantyk.
- Zdażymy na TT-line? – zapytał Aleks, zmieniając temat.
- Baldur spojrział za zegarek i się skrzywił.
- Odpływa za dwadzieścia sześć minut. A dopiero dojeżdżamy do Międzyzdrojów.
- No to wdepnij trochę.
- He, he, he.
- Co?
- Napaliłeś się na tę Estonkę.
- Zwariowałeś.
- Nic nie mówię. Spotkasz się z nią?
- Może przyjdę, żeby ją pożegnać.
- A może lepiej pożegnaj ją wcześniej? Jak chcesz, to wyniosę się z Lilla Bommen.
- Jesteś niemożliwy.
- He, he, he.
- W każdym razie, nim pojedziemy do Göteborga, chciałbym odwiedzić Ystad.
- Ystad? Płyniemy do Trelleborga. To nie po drodze.
- Wiem. Ale jak gadałeś z cieciem, dostałem esemesa od Kjerstin. Napisała mi, że Jakub Ćwiek wybudził się ze śpiączki.
- Rozumiem. To ten chłopak, co przeżył wypadek, tak?

– Zgadza się. Chcę go odwiedzić. Może coś zapamiętał? W tej chwili to chyba jedyna osoba, która może nam jeszcze wnieść coś nowego do śledztwa.

– W porządku. Pojedziemy tam. O ile nas wpuszczą na TT-line. Będziemy tam sześć minut przed wyjściem w morze. A zawsze mówią, że trzeba być najpóźniej pół godziny. Ale w razie czego wsiądziesz sam. A ja zostanę z autem i popłynę następnym promem.

– No to wdepnij w końcu!

Wdepnął.

EPILOG

Aż mu się oczy świeciły, gdy patrzył na bujającą się przy kei sztokholmskiego portu MS Baltic Queen. Jednostka miał zaledwie pięć lat, ponad dwieście dwanaście metrów długości i dwanaście pokładów. Mogła zabrać prawie trzy tysiące pasażerów. A co najważniejsze, była piekielnie szybka. Osiągała dwadzieścia pięć węzłów i trudną, poprzetykaną tysiącami wysp i wysepek trasę Sztokholm – Marienhamn – Tallinn pokonywała w szesnaście godzin. I wyglądała po prostu obłędnie. Biała, z czerwonymi, pomarańczowymi i granatowymi maziajami symbolizującymi morskie fale. Pomimo swego ogromu sprawiała wrażenie lekkiej i zwinnej.

Ale Aleks nie przyszedł tu, by kontemplować piękno przerośniętego kawałka stali. Szukał innej piękności. Nie zastał jej w kabine, którą otrzymała, więc uznał, że może poszła zapalić. Co się nawet dobrze składało. Sam miał na to ochotę. Podążając wzdłuż głównego pokładu, wyciągnął telefon i wybrał numer. Nie musiał długo czekać.

- Halo – odezwał się niski, nieco chropowaty męski głos.
- Dzień dobry, kapitanie Paliwoda. Jak tam warunki na Świnie?
- Gall? To pan? Na warunki nie narzekam. Ale mam dużo pracy, więc...
- Dzwonię, by panu powiedzieć, że wkrótce Izba Morska ponownie zbierze się w pańskiej sprawie.
- Nie rozumiem.
- Pojawiły się nowe okoliczności.
- Czy może pan mówić jaśniej?
- Odkryliśmy ślady pożaru na *Thraki*. Wcześniej ich nie znaleźliśmy, ponieważ wybuchł w ładowni, gdzie nie szukaliśmy. I wiele wskazuje na to, że został zainicjowany celowo.
- Celowo?
- Ponadto nowe dowody wskazują, że w trakcie kolizji statek

poruszał się bez kontroli. Nikogo nie było na mostu, a jednostka wpłynęła prosto pod dziób *Harpoona*. Zmyliły nas dane z czarnych skrzynek, a ściśle mówiąc, ich tryb przyjmowania danych z czujników. Nie będę się wdawał w szczegóły. Wkrótce sam się pan dowie. Dodam tylko, że przed podpaleniem ładowni załoga wyłączyła główny komputer, by zatrzeć ślady. Będę się musiał z tego tłumaczyć, ale Kjerstin Vasa już szykuje odpowiednie dokumenty. Myślę, że za kilka, może kilkanaście tygodni wróci pan na morze.

– A wie pan – powiedział Paliwoda po kilkusekundowej ciszy – niedawno mój szwagier przytargał skądś tylną lampę do dodge’a rama. Lewą. Mnie niepotrzebna, ale jeśli dobrze pamiętam, pan ma braki w tym temacie.

– Oj, niestety, nie mam już tego rama.

– Co się stało?

– Że tak powiem, tegoroczna zima okazała się dla niego zbyt sroga.

Znów chwila ciszy.

– Dziękuję – powiedział w końcu Paliwoda.

– A ja przepraszam – odparł Aleks i zakończył połączenie, bo właśnie ją zobaczył. Stała tam, opierając się o balustradę i patrząc w dal. Wyglądała bardzo apetycznie, a Aleks przestał już udawać przed sobą, że mu się nie podoba. Ostatecznie czy było w tym coś złego? Kochał Weronikę, ale ich relacja była naprawdę skomplikowana. A Marianne miała na sobie wyjątkowo obcisłe niebieskie dzinsy. Zastanawiał się, czy ona wie, że on tam stoi i się gapi. Chyba wiedziała, bo w końcu obróciła się, a ujrawszy go, nie okazała zaskoczenia. Zdjęła ciemne okulary i posłała mu promienny uśmiech. Podszedł do niej i lekko musnął wyciągniętą na przywitanie dłoń.

– A więc odpływasz – rzekł Aleks.

– Odpływam. – Spojrzała mu w oczy. – Czyżbyś chciał mnie zatrzymać?

– Właśnie się nad tym zastanawiam, Marianne.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Słyszałem, że odszukałaś zwłoki męża.

– Oczywiście, choć nie było łatwo. Jego ciało znajdowało się w kajucie. Prawdopodobnie zmarł we śnie. W każdym razie taką mam nadzieję.

– Nie wyglądasz na zrozpaczoną wdowę.

– Bo nią nie jestem, Aleks. Przecież o tym wiesz.

– Wiem.

– Mam chyba słabość do Polaków – szepnęła, a jej dłoń bezwiednie poszybowała w kierunku ramienia Aleksa. Gdy się w końcu zorientowała, co robi, delikatnie strzepnęła mu z kurtki jakiś paproszek.

– Gdzie on jest? – zapytał Aleks.

– W ładowni. Trumnę zaspawano i zaplombowano. Da sobie radę.

– I nie boisz się go tak zostawiać?

Spojrzała na niego z rosnącym zainteresowaniem.

– A co? Ucieknie mi? – zapytała. – Czy mi się wydaje, czy dostrzegam w tobie nerwowość?

Niespodziewanie eksplodował śmiechem. Zaskoczyło ją to tak bardzo, że aż się cofnęła o krok.

– Wydaje ci się – powiedział Gall i skinął ręką w kierunku stojącego nieopodal mężczyzny. Ten wolnym krokiem ruszył w ich kierunku. – W ogóle dużo rzeczy ci się wydaje, Marianne. Wydaje ci się, że mnie przechytrzyłaś. Wydaje ci się, że wyjedziesz ze Szwecji. Wydaje ci się być może, że się w tobie zakochałem. Są też rzeczy, o których nie masz pojęcia. Na przykład to, że policja właśnie dobiera się do twojej trumny i bardzo jej się nie spodoba to, co w niej znajdzie.

Mężczyzna przywołany przez Aleksa w końcu do nich dotarł. Był Arabem o srogim, karcącym spojrzeniu. Miał na oko pięćdziesiąt kilka lat, ale kilkudniowy, gęsty zarost dodawał mu jeszcze trochę do metryki.

– Marianne, poznaj mojego znajomego. To komendant Hanza Terim, szef hamburskiej policji.

– Czyżby Niemcy podbili Szwecję? – zapytała Marianne, biorąc się pod boki. – Bo jeśli nie, to chyba nie jest pan tu służbowo?

– Widzisz – powiedział Aleks, obdarzając dziewczynę swym

najszczerzym uśmiechem – jakiś czas temu komendant poprosił mnie o pomoc przy pewnej sprawie, a ja mu pomogłem.

– I teraz on pomoże tobie?

– Nie. Teraz nadal ja będę pomagał jemu.

– Aleks, za piętnaście minut ten statek wychodzi z portu. Wracam do domu. Co mi chcesz powiedzieć?

– To, że nim tu do ciebie przyjechałem, odwiedziłem w Ystad pewnego młodego chłopaka. Jakuba Ćwieka. Jedyne go człowieka, który przeżył katastrofę *Raginisa*. Przywitał mnie marszem na czołe. Bo ktoś mu pokazał gazetę wydaną dwa dni po katastrofie, w której podano listę ofiar. A na liście znajdowali się sami mężczyźni. Tymczasem Kuba zapewniał mnie, że na pokładzie była też kobieta. Młoda prostytutka, wyglądająca, no cóż, sądząc z opisu, mniej więcej jak ty.

– Mało udany komplement – rzekła Marianne, robiąc niezadowoloną minę, którą Aleks jednak kompletnie zignorował.

– Dodał też, że gdy ją ostatni raz widział, miała na twarzy paskudną ranę po uderzeniu jakiegoś przedmiotu. Ty wprawdzie nakładasz makijaż dość grubo, ale pamiętaj, że widziałem cię bez niego. I tę bliznę również. Trochę za dużo tu zbiegów okoliczności.

– I twoim zdaniem teleportowałam się do *Estonii* wprost z tonącego statku?

– Nie. Do Szwecji. Zabrał cię tam statek rybacki *Lero* dowodzony przez szypra Petera Oualembo. Którą to informację komendant Terim obiecał puścić mimo uszu.

– Nic nie słyszałem – zapewnił Terim.

– Zadzwoiłem do Oualembo. Powiedział, że nim uciekli z miejsca zdarzenia, wyłowili z wody jedną osobę, ale prosiła, by nikomu o tym nie mówić. Peter się zgodził, bo powiedziałaś, że jesteś nielegalną imigrantką. Sprytnie. I przy okazji nieco zabawne, ponieważ potem znów trafiłaś na *Lero*. Aż dziwne, że Peter cię nie poznał. No, ale może nowy kolor włosów go zmylił. Zresztą nie przyglądał się za bardzo, bo zajęty był prowadzeniem statku. Nieważne. Zacząłem się zastanawiać nad dwiema rzeczami. Po pierwsze, dlaczego ukrywałaś przede mną fakt, że

byłaś na statku, a po drugie, dlaczego tak bardzo chciałaś tam wrócić. I wtedy nagle mnie olśniło. No wiesz, czasami jest tak, że coś ci chodzi po głowie, a ty to czujesz, ale nie potrafisz tej myśli uchwycić. Aż nadchodzi moment, kiedy wszystkie klocki w pamięci wskakują na swoje miejsca i doznajesz objawienia.

– I cóż takiego ci się objawiło? – zapytała ironicznie dziewczyna.

– Dwie rzeczy. Coś, co powinienem był zapamiętać. Przypomniałem sobie twarz bosmana Szeligi. Byłem przekonany, że już ją wcześniej widziałem. I faktycznie. Nieco bardziej zarośniętą i właściwie to należącą do kogoś innego, ale to była ta twarz. Twarz Rolfa Himbeere.

– Nie znam – powiedziała dziewczyna.

– To konwojent, który siódmego stycznia obrobił bank Le Ressort z dziesięciu milionów euro.

Marianne gwizdnęła. Była naprawdę przekonująca w roli, którą wciąż jeszcze grała.

– Pogrzebałem i znalazłem zaskakującą informację. Szeliga miał dwa lata młodszego brata, który po rozwodzie rodziców wyjechał z matką do Niemiec. I kiedy sobie to uzmysłowiłem, przypomniałem sobie o drugiej rzeczy, która nie dawała mi spokoju. Nie będę cię zanudzać szczegółami, ale kiedy wraz z komendantem Terimem badaliśmy okoliczności kradzieży pieniędzy, uznałem, że bandyci sfałszowali nagrania z pociągu. I niewątpliwie miałem rację. Ale kiedy policjanci wieźli mnie na dworzec, ostatnie metry jechaliśmy po straszliwych dziurach. Podobno kilka dni wcześniej rzeka wylała i zniszczyła nawierzchnię. Kierowca jechał bardzo wolno, a i tak rzucało nami w lewo i prawo. Ale na nagraniu z furgonetki nic takiego się nie dzieje. Jadą, jadą i nagle stają. Wniosek: nagranie z furgonu również zostało podmienione. Najwyraźniej przygotowywali się do akcji kilka dni wcześniej. Nie mogli przewidzieć, że woda zniszczy drogę. Jeśli już wymieniać worki z kasą na puste, to dużo łatwiej to zrobić w furgonie niż w pociągu. A raczej chodzi o to, że sam furgon jest łatwiej podmienić niż wagon. Założyłem, że kupili takie samo auto i je zmodyfikowali. Na przykład zamontowali podwójne dno. Jedynym problemem było to, by

podmienić auta w odpowiednim momencie. Ale dyrektor banku powiedział mi, że każdego poranka konwojenci zabierali furgon do myjni. Komendant Terim zbadał sprawę. Właściciel na wieść o tym, że jest podejrzewany o kradzież dziesięciu milionów euro, natychmiast wszystko wyśpiewał. Wieczorem wstawili do magazynu swoje auto. Rano przyjechali prawdziwym furgonem, ale zostawili go tam, a wyjechali swoim zmodyfikowanym. Potem załadowali kasę i w drodze na stację zamienili worki. Po akcji pojechali do myjni, okleili je i odjechali. Zabrali prawdziwy furgon z myjni i odstawili do banku, podmienili pliki z nagraniem, i tyle. Koniec akcji.

– Wspaniały wywód – powiedziała z przekąsem Marianne. – Tylko co ja mam z tym wspólnego?

– Uznałem, że powiązanie Szeligi i Himbeere nie może być przypadkowe. A skoro kradzież nastąpiła wcześniej, niż pierwotnie zakładałem, to fałszywy furgon mógł spokojnie dojechać do Świnoujścia i wjechać na prom. Podejrzewam, że Himbeere zastrzelił brata, żeby się pod niego podszyć. Dzięki temu mogli załadować na pokład niezarejestrowane w systemie auto. Może przez zabójstwem zmusił Szeligę, by mu powiedział o swoich obowiązkach na statku. Ale jeśli tak, to Himbeere nie miał za dobrej pamięci. Nie wiedział, że żeby właściwie zamknąć furte, musi też zaciągnąć rygle. *Raginis* wypłynął w rejs z niezabezpieczoną furtą i tylko kwestią czasu było, kiedy sztorm ją wyrwie. Wyrwał, gdy kapitan, usiłując wyminąć przeszkodę, skręcił na fale.

– Bardzo dużo w tym wszystkim domysłów – rzekła Marianne.

– Mylisz się. Wczoraj przejrzałem dokładnie nagrania z naszego rekonesansu i natychmiast namierzyłem furgonetkę w barwach szwedzkiej służby ratowniczej. Pamiętałem ją, bo rozbawiła mnie ironia losu. Że auto z morskim sprzętem ratunkowym zatoneło w wyniku morskiej katastrofy. Przesłałem screeny Terimowi, a właściciel stacji rozpoznał okleiny. Nurkowie majora Siegbahna spenetrowali dziś w nocy wrak furgonetki. Była pusta, choć ja pamiętam dziesiątki kamizelek walających się po całej okolicy. W końcu jednak znaleźli jedną. A wtedy się okazało, że zamiast

pianką poliuretanową wypełniona była zwiwkami banknotów zabezpieczonych wodoszczelnymi woreczkami. Co tłumaczyło, dlaczego kamizelki nie wypłynęły na powierzchnię.

– Bardzo ciekawe. – Marianne klasnęła. – Co było dalej?

– Może ty mi powiesz? A tak przy okazji, wołę twoje prawdziwe imię. Wanda, prawda? Kuba mi powiedział.

– Komendancie, musi pan tu przyjść – odezwał się głos przez krótkofalówkę.

– Idę – rzucił do urzędnika Terim i dodał, spoglądając na Aleksa: – Poradzisz sobie? Zaraz ci kogoś przyślę.

– Spokojnie – odparł Aleks, a Terim podał mu krótkofalówkę.

– W razie czego wołaj – rzekł i ruszył biegiem w kierunku nadbudówki.

– Więc? – zapytał Aleks, gdy komendant zniknął w czeluściach statku.

Wanda milczała chwilę. Ale na jej twarzy próżno było szukać jakiegokolwiek oznaki wstydu. Uśmiechała się. Była bezgranicznie beczelna.

– Po co miałabym ci coś mówić, Aleks? Mam chyba prawo zachować milczenie, prawda? Jak to było? Oskarżony nie ma obowiązku się obciążać?

– Nie obciążysz się bardziej, niż już jesteś obciążona. Zresztą ja i tak wszystko wiem. Kuba wyjawiał mi, że w chwili wypadku byliście na pokładzie kolejowym, a potem przepłynęliście na samochodowy. Powiedział, że wzięłaś kamizelkę z rozbitej furgonetki. Później stracił cię z oczu. Ale kiedy Peter wyłowił cię z morza, zapewne zorientowałaś się, że kamizelka wypełniona jest pieniędzmi. Dlatego wymyśliłaś tę bajeczkę o zaginionym mężu. Żeby móc spenetrować wrak. Wynajęłaś ekipę, ale nie spodziewałaś się, że Yngve postanowi cię zabić. Musiałaś mu niezłe zaleźć za skórę. To świadczy, że wiesz coś, czego ja nie wiem.

– I chciałbyś się pewnie dowiedzieć?

– Nie lubię czegoś nie wiedzieć.

Wanda westchnęła. Nie było w tym żalu. Spoglądała na Aleksa mądrymi, sprytnymi oczami, przepelnionymi ciepłym uczuciem.

Być może podziwem. Usiadła na burcie i oparła się o reling. Wyjęła papierosa i zapaliła. Aleks też zapalił.

– Moje życie nigdy nie było proste, ale nie chcę się tłumaczyć. Wychowałam się w małym miasteczku na Białorusi. Jeśli jesteś ładną dziewczyną wychowującą się w małym miasteczku na Białorusi, to kończysz jako kurwa.

– Błagam!

– Znam wiele pięknych Białorusinek, które nie skończyły jako kurwy. Ale one potrafiły grać w tenisa.

– Nadal przesadzasz.

– Nieważne. Ja tego spróbowałam i dało się tak żyć. Nigdy nie ćpałam ani nie piłam wody, po prostu uprawiałam seks za pieniądze. Oczywiście dziewczyna taka jak ja nigdy nie poprowadzi takiego biznesu bez opiekuna. Do mnie też jeden przyszedł. Zamienił moje życie w koszmar. Uciekłam od niego. Zawziął się na mnie, ale zwiątał do Polski, a on nie odważył się za mną pojechać. Trochę pojeździłam po Polsce, aż w końcu trafiłam do Gdańska. I tam poznałam Djembe. To było kilka miesięcy temu.

– Mów dalej.

Posmutniała i Aleks nie miał wątpliwości, że są to szczere emocje. Wanda była mistrzynią manipulacji, doskonale o tym wiedział. Ale teraz po prostu było jej przykro.

– Djembe wychował się w Kongu czy gdzieś tam. Nie, chyba w Nigerii. Nie pamiętam. Był czarny jak noc. I okazał mi dużo przyjaźni. Zaufałam mu. Może dlatego, że szybko mnie poinformował, że jest gejem. Powiedział, że też jest uciekinierem. Że w jego kraju skazali go na karę śmierci za homoseksualizm, ale potem ktoś go wykupił i stał się niewolnikiem. Dodał, że coś mu wstrzyknęli. Coś straszego. I że obiecali mu odtrutkę w Szwecji, ale im nie uwierzył. Brzmiało to niewiarygodnie, ale wiedziałam, że mówi prawdę. Djembe nie potrafił kłamać. A potem zapakowali go do kontenera wypełnionego takimi jak on. W ten sposób trafił do Polski, ale w trakcie przeładunku w Świnoujściu udało im się otworzyć kontener i uciec. Wszystkich wyłapali. Prócz Djembe, który autostopem dotarł

w końcu do Gdańska. Jeszcze w Afryce powiedzieli mu, jak to będzie wyglądało. Że początkowo będzie się czuł dobrze, a wirus nie będzie zaraźliwy. Potem poczuje pierwsze bóle brzucha. Później pojawią się krwawe biegunki. Aż wreszcie umrze. Dodali też, że po iluś tam dniach zaczną zarażać innych ludzi. Djembe nie chciał czekać. Dwa tygodnie po ucieczce z kontenera zastrzelił się w gdańskim parku. Zarobił jakieś pieniądze i kupił pistolet. Chciał, żebym go zabiła, ale stanowczo odmówiłam. Więc zrobił to sam. Spaliłam jego zwłoki i zakopałam w lesie. Prosił mnie o to. W ten sposób straciłam jedyne przyjaciela, jakiego miałam w życiu.

Urwała, a Aleks jej nie poganiał. Wiedział, że dziewczyna mówi prawdę. Pokrywało się to z tym, co powiedział mu Krygård. Mieli mnóstwo czasu. Godzina odejścia promu już minęła, a cumy wciąż nie zostały odebrane. Wanda musiała zrozumieć, że przegrała. Ale nie wydawała się przestraszona czy rozczarowana. Była chyba jedną z tych osób, które przyjmują życie takie, jakie jest.

- Kiedy już się pozbierałam - ciągnęła - myślałam jedynie o zemście. Każdego dnia budziłam się z myślą, że zniszczę tego, kto zamordował Djembe. Ale nie było łatwo ustalić, kto jest za to odpowiedzialny. W końcu jednak znalazłam jednego podstarzałego detektywa. Miał na imię Witold. Jak się zapewne domyślasz, za jego usługi płaciłam ciałem. Ale było warto, bo staruch był bardzo sympatyczny, a w swoim fachu wyśmienity. Dotarł do listy wszystkich operacji przeładunkowych portu w Świnoujściu. Nie chcesz wiedzieć, ile tego było. Ślęczeliśmy nad tym, by znaleźć coś nietypowego i w końcu się udało. Odkryliśmy, że co jakiś czas do Świnoujścia przypląwał statek, z którego wyładowywano tylko jeden kontener. To dość nietypowe, prawda? Następnie kontener ładowano na prom do Ystad. W zeszłym roku takich transportów było osiem. Odbiorcą zawsze była szwedzka marynarka wojenna. W manifeście napisane było, że kontenery zawierały materiały medyczne, które szwedzka marynarka skupowała w celu przetworzenia. Jako materiały potencjalnie niebezpieczne były plombowane

jeszcze w Afryce i nikt ich nie otwierał aż do samej Szwecji. Regulowały to jakieś umowy. Witold mi to tłumaczył, ale nie zapamiętałam.

– To proste. Transport z Afryki prowadziła firma pewnego człowieka, który potrafił zadbać o swoje interesy. Swoją drogą, będę musiał poszukać urzędasza, który przyjmował od niego łapówki w Świnoujściu. A dalej to już było z górki, bo Polska i Szwecja mają specjalną umowę o transporcie wojskowym.

– Może. Szczerze mówiąc, zupełnie mnie to nie interesuje. Natomiast Witold ustalił, że odbiorcą kontenerów był kontradmirał Bergman. Potem już admirał. Więc postanowiłam, że go zabiję. Namówiłam jednego białoruskiego kierowcę, żeby mnie zabrał do Szwecji. Zapewne domyślasz się, co dostał w zamian.

– A potem *Raginis* zatonął, ty przypadkowo znalazłaś skarb i zmieniły ci się priorytety.

– Tak jakby.

– Co było dalej?

– Dalej? W kamizelce, którą zabrałam ze statku, znajdowało się sto tysięcy euro. W pięćsetkach. Wystarczająco dużo, żeby się dobrze ubrać, umalować i zmienić kolor włosów. Żeby wynająć kilku nurków, wykonać w Photoshopie prosty fotomontaż zdjęcia, które jakoby mój mąż wysłał mi już z pokładu *Raginis*, i wyrobić fałszywe dokumenty. Poszłam do Bergmana jako pani Eek. Powiedziałam, że chcę znaleźć ciało męża, który był na statku, ale którego nie ma na liście ofiar. Oczywiście nie chciał się zgodzić, ale go zaszantażowałam. Powiedziałam, że wiem, co przewozi. Wtedy się zgodził, ale wysłał za mną zabójców. Żyję tylko dlatego, że trzech wścibskich facetów postanowiło wtykać nos w nie swoje sprawy. Mam na myśli oczywiście ciebie, Baldura i tego Grenlandczyka z niemożliwym do wymówienia imieniem. A potem podsłuchałam, że nagraliście film ze zwłokami, zabrałam go i ponownie poszłam do Bergmana. Ale tym razem już na ostro. Zagrałam z nim w otwarte karty. Pokazałam mu film. Mówię ci, zrobił się biały na gębie i myślałam, że zemdleje. Co innego panienka, która straszy, że

opowie jakieś bajeczki tabloidom. A co innego taka, co ma w ręku film, który może wstrząsnąć całym światem. Zagrałam z nim w otwarte karty. Powiedziałam o pieniądzach. Że chcę je zabrać i nie mam zamiaru mieszać się w jego sprawy. Wahał się chwilę, ale w końcu się zgodził. I tym razem dotrzymał umowy. Koniec opowieści. Jakies pytania od publiczności?

– Nie, chyba nie.

– To co teraz?

– Teraz komendant Terim odzyska pieniądze, a ty... Szczerze mówiąc, to nie wiem. Właściwie nie ukradłaś pieniędzy, tylko je znalazłaś, ale nie mam pojęcia, jakie jest orzecznictwo w takich sprawach. Możliwe, że jeśli twój adwokat wykona dobrą robotę, to nawet cię uniewinnią.

– To chyba dobra wiadomość.

– Ale za próbę zabójstwa Jakuba Ćwieka pójdiesz do pudła na długie lata.

– Co?

– Tylko ty miałaś interes w tym, by go zabić. Gdyby się wybudził, media rzuciłyby się na niego jak wilki. A on z pewnością szybko by zauważył, że lista ofiar jest niepełna. Nawiasem mówiąc, miałaś tę listę. Przecież sama z niej korzystałaś, żeby załatwić Bergmana. Musiałaś zauważyć, że są na niej sami mężczyźni. I że wobec powyższego Ćwiek natychmiast podważy jej wiarygodność.

Wbiła oczy w pokład, ale to było jeszcze za mało. Odwróciła się do niego plecami i oparła o barierkę.

– Nie chciałam tego – powiedziała ze smutkiem. – Ale masz rację. Zleciłam to zabójstwo. Jak widzisz, był to nieludzki, ale rozsądny krok. Ostatecznie stało się to, czego się obawiałam. Gnojek mnie załatwił. Ale cieszę się, że on żyje. Sprawdziałam potem kilka razy jego stan. I stan tej dziewczyny. Yolande. Zakochała się w nim, głupia smarkula. I zaryzykowała dla niego życie. Mam nadzieję, że jej się to opłaci. W każdym razie nic jej nie będzie, choć solidnie oberwała. Głupi skurwysyn prawie ją zabił. Pierdolony damski bokser. Nienawidzę takich.

– Ja też – przyznał Aleks.

– Ponawiam pytanie. Co teraz?
– Odpowiedziałem ci. Jeśli liczysz, że cię wypuszczę, to się mylisz.

– A gdybym tak wypadła za burtę?

– To byś tego nie przeżyła. Woda ma dwa stopnie.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale niedawno pływałam już w takiej. I żyję.

– Nie rób tego – rzekł nieco głośniej, gdy zauważył, że nienaturalnie przechyla się przez barierkę.

– Może i jestem złą kobietą, Aleks. Ale nie pójdę do więzienia. Za bardzo kocham wolność.

– Znajdę cię, Wando.

– Nie sądzę, by ci się chciało szukać. Zostawisz to temu Turkowi albo komuś innemu. A oni mnie nigdy nie znajdą.

Zrobił ku niej krok, a ona dostrzegła to i wskoczyła na barierkę. Siedziała na niej teraz, twarzą do niego. Trudno jej było złapać równowagę w takiej pozycji. Delikatnie bujała się to w przód, to do tyłu.

– Nie opłaca ci się mnie ścigać, Aleks. Wiesz, co potrafię. I wiesz, że kiedyś mogę ci się przydać. Jeśli będziesz mnie potrzebować, Baldur z pewnością wpadnie na mój trop.

– Nie sądzę, by...

Ale mówił do powietrza, bo Wandy już nie było. Po prostu odchyliła się w tył i runęła do kanału portowego. Podbiegł do relingu i spojrzął w dół, ale ujrzał tylko spienioną wodę. Po dziewczynie nie było śladu. Ale wiedział, że nic jej się nie stanie. Nic nie pozostawiała przypadkowi. Nawet to, gdzie ją zastał, było zaplanowane. Najlepsze miejsce, by szybko opuścić pokład. Rozejrzał się na boki. Próbował wypatrzeć jakąś motorówkę. Albo przynajmniej usłyszeć. Ale mu się nie udało.

– Gall – odezwał się głos w krótkofalówce.

– Komendancie, dziewczyna mi uciekła.

– Co?

– Wyskoczyła za burtę, nic nie mogłem poradzić.

– Kiedy to się stało?

– Dwadzieścia sekund temu.

- Trzeba obstawić cały port. Zaraz to załatwię.
- Prawdę mówiąc, myślę, że ona nie żyje.
- A ja, myślę, że cię wykiwała, Gall. I nas wszystkich.
- Co pan przez to rozumie, do cholery?
- To, że w trumnie brakuje miliona euro.

Zaśmiał się tak głośno, że aż zwrócił na siebie uwagę pasażerów, którzy zaniepokojeni przeciągającym się opóźnieniem wyszli na pokład, by sprawdzić, co się dzieje.

- Co za dziewczyna - powiedział do siebie po polsku. A potem wyjął telefon, żeby zadzwonić do Weroniki. Chciał usłyszeć jej głos. Spacer po Arktyce uświadomił mu, jak bardzo za nią tęskni. W Waszyngtonie dochodziła jedenasta rano. Dobry czas na krótką pogawędkę.

Włączył książkę telefoniczną i wybrał pozycję AAAWERONIKA. Wpisał ją tak, by zawsze była na początku listy. Odebrała po dwóch sygnałach, ale nie zdążył się nawet odezwać.

- Dobrze, że dzwonisz - powiedziała, a ton jej głosu sprawił, że Gall natychmiast się spiął. - Jestem na lotnisku, zaraz mam lot do Polski. Chyba wydarzyło się coś niedobrego.

POSŁOWIE

Drogi Czytelniku, droga Czytelniczko. Bardzo Ci dziękuję za to, że poświęcasz swój czas, by poznać dalsze przygody Aleksa i jego przyjaciół. Mam nadzieję, że dobrze się przy tym bawisz, a lista wyrzeczeń nie jest przesadnie długa. Już wkrótce ekipa powróci, by przyjrzeć się pewnym tajemniczym zdarzeniom sprzed lat. Po raz pierwszy śledztwo poprowadzą w ojczyźnie Aleksa. Do ekipy dołączy jeszcze jeden człowiek. Już go znasz, ale idę o zakład, że nie domyślisz się, kto to taki.

Dwie rzeczy muszę na szybko wyjaśnić. Ale będę się streszczał.

Po pierwsze, w pisaniu fajne jest to, że nie wszystko musi być prawdziwe. I choć masa rzeczy, o których czytasz we Frachcie, to najprawdziwsza prawda, to pewne rzeczy są oczywiście zupełnie zmyślane. Jak choćby to, że Żegluga Świnoujska zatrudnia zbirów na swoich pokładach. Korzystałem z tego serwisu nie raz, nie dwa. I zapewniam, że pływające na Bielikach załogi są profesjonalne i uprzejme. Mało tego, dzięki uprzejmości Żeglugi Świnoujskiej miałem okazję zwiedzić *Bielika* od mostka aż po najgłębsze czeluści maszynowni. Dzięki temu opis jednostki jest bardzo dokładny i po prostu prawdziwy. I wobec tego chciałbym bardzo podziękować kapitanowi Robertowi Stasiakowi i jego załodze za pasjonującą, pouczającą i niezwykle zabawną wycieczkę.

Po drugie, doktor Birgir Krygård z pewnością był człowiekiem pysznym i o rozrośniętym ego, ale muszę Ci zdradzić pewną tajemnicę. Otóż nazwa stworzonego przez niego szczepu nie pochodzi wcale od jego imienia, lecz nazwiska. Jest ona moim osobistym podziękowaniem dla pani profesor Krystyny Bieńkowskiej-Szewczyk, kierownika Zakładu na Międzyuczelnianym Wydziale Biotechnologii Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, która cierpliwie tłumaczyła mi, co mogę napisać, a czego raczej nie

powinienem. Była to tak skuteczna nauka, że nie boję się stanąć przed Tobą do egzaminu. Wiem o eboli wszystko! Napisanie rozdziału, w którym doktorek objaśnia Aleksowi, o co w tym wszystkim chodzi, zajęło mi łącznie niemal dwa miesiące. Choć to tylko osiemnaście stron.

Ponieważ w Mayday dziękowałem wielu osobom, teraz dołączę jeszcze tylko kilka nazwisk. Dziękuję Piotrkowi Iskrze za ciekawe uwagi, wspólne wypadki tematyczne i współdzieloną zajawkę. Dziękuję Piotrkowi Kostce-Godeckiemu, który przywrócił moją duszę morzu. Już Ty będziesz wiedział, o co chodzi, Piotрку. Dziękuję Bartkowi Pussakowi za świetną sesję zdjęciową, słowa otuchy i masę fajnych podpowiedzi, bo konto na Instagramie samo się nie poprowadzi. Niezmiennie dziękuję też Kindze Eysturland za doskonały beta-test i gościnę na Wyspach Owczych, która w niedalekiej przyszłości z pewnością zaowocuje wizytę Aleksa w tamtym regionie świata. Oraz mężowi Kingi Ivanowi, który – wie to każdy, kto zna Ivana i czytał Mayday – jest nikim innym, jak Baldurem pod przykrywką.

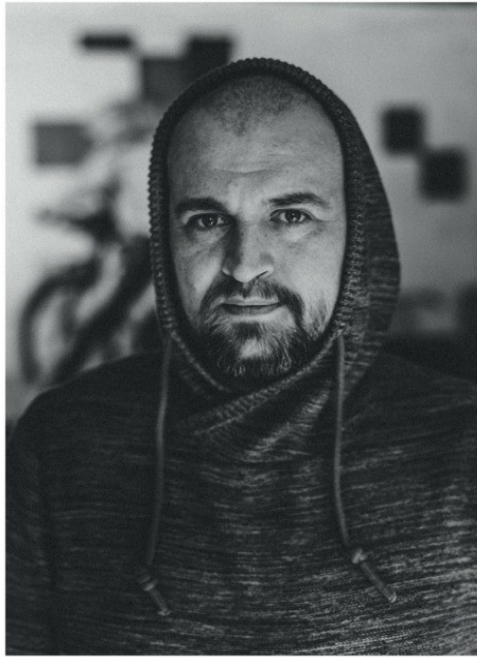
Chciałbym podziękować autorom i autorkom, którzy przyjęli mnie w swoim środowisku z sympatią i okazują mi wsparcie. Są to: Robert Małecki, Wojtek Chmielarz, Max Czornyj, Agnieszka Pruska, Magda Witkiewicz i Agnieszka Krawczyk. Oraz niezmiennie Kuba Ćwiek i Rafał Cichowski.

I na koniec specjalne podziękowania dla blogerów i recenzentów. To Wasze opinie dały mi moc, by pisać dalej. Są to: Urszula z opetaniczyniem.pl, Anna z coprzczytac.pl, Tomek z nowalijki.com, Piotrek z kryminalnyswiat.blogspot.com, Monika z bookparadise.pl, Asia z czytaska.pl, Marta z marudaczyta.blogspot.com, Justyna z zaciesz.com, Kasia z panika-czyta.blogspot.com, Renka z renkabrudnopolis.blogspot.com oraz pan Andrzej Kaniewski z Faktu. Jakby to powiedział Baldur, takk fyrri.

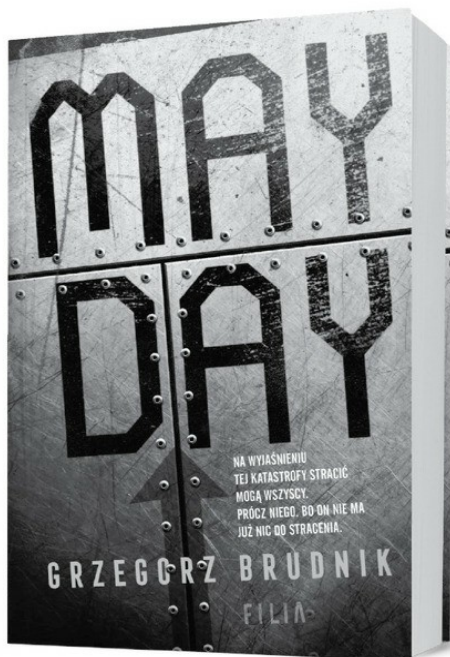
I Monice jeszcze, ale to wiadomo.

Do zobaczenia wkrótce!

Gdańsk, lipiec 2018



Grzegorz Brudnik niemal 15 lat pracował jako copywriter i dyrektor kreatywny. U szczytu kariery zawodowej rzucił wszystko praktycznie z dnia na dzień i skupił się tylko na książkach i podróżach. Od lat ma nietypową pasję: gromadzi bazę wiedzy i materiałów na temat katastrof drogowych, kolejowych, morskich i lotniczych, a także sposobów ich wyjaśniania. Po latach uznał, że jest gotów, by stworzyć własną katastrofę. Duża wiedza, tytaniczny research i pierwiastek pozytywnego szaleństwa autora sprawiają, że *Mayday* i *Fracht* to klasyczne page turnery, których nie sposób odłożyć przed zakończeniem.



Na wyjaśnieniu tej katastrofy stracić mogą wszyscy.
Prócz niego.
Bo on nie ma już nic do stracenia.

FILIA MROCNIA
STRONA